

Kathleen
Ann Goonan

Kości czasu

Bones of Time

przełożyła
Anna Krawczyk-Łaskarzewska



Chyba urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą, bo zdaje mi się, że ktoś planuje moje życie w taki sposób, iż nie mogę go zmienić.

*Victoria Kaiulani, ostatnia księżniczka Hawajów,
w liście do przyjaciela, Jersey, Anglia, 1897.*

Ważne jest to, że w prawach fizyki nie ma niczego, co wykluczałoby podróż przez tunele czasoprzestrzenne.

*John Gribbin,
Unveiling the Edge of Time*

PROLOG

Waikiki, Hawaje

2 lutego, 1887

Kiedy oczy księżniczki Kaiulani przywykły do nikłego światła w pokoju chorej matki, najpierw ujrzała świętego starca, kahunę.

Przystanęła w drzwiach ze ściśniętym gardłem.

Chudy niczym barakuda mężczyzna, złocisty i suchy jak piasek, zdawał się nie pasować do tego miejsca, a mimo to stał w pełnej wdzięku, władczej pozie. Duża sypialnia była zagracona eleganckimi, wiktoriańskimi meblami, ale kahuna nie zważał na stłoczone krzesła z mahoniu i ostrożnie rozłożył na belgijskim dywanie przyniesioną przez siebie matę, a następnie jednym zwinnym ruchem usiadł na niej i skrzyżował nogi.

Godzinę wcześniej Kaiulani patrzyła ze swojego okna na drugim piętrze, jak kahuna zbliża się do jej domu. Podniosła wzrok ku czubkom kwitnących mimoz na brązowych, urwistych stokach Diamond Head, zastanawiając się, dlaczego jej matka postanowiła umrzeć. Czy mogło być coś piękniejszego niż granatowa linia morza, słodka woń najeżonych różem mimozowych wachlarzy, albo cichutki szum przybrzeżnych fal za wąskim pasem mokradel? Parę miesięcy temu jej matka powiedziała coś o tym, że giną stare Hawaje. Powiedziała, że zjadają je rekiny. Kim były te rekiny? - dumiała Kaiulani, walcząc z napływem łez, ściskając parapet tak mocno, jak pragnęłaby ścisnąć cienką nić życia swojej matki, żeby nie odchodziła z tego świata.

Potem z cienia długiej zielonej alei, która prowadziła do Ainahau, wynurzył się kahuna, wprawiając Kaiulani w popłoch.

Miał tylko przepaskę na biodrach, a jego siwe włosy były krótkie. Bose stopy wzniewały tumany piasku na niewyafaltowanym podejździe. Na wyciągniętych rękach niósł z wyraźną czcią duże, nieforemne zawiniątko. Kiedy mijał szylkretowy powóz z błyszczącymi, srebrnymi wykończeniami, w którym Kaiulani i jej matka odbyły wiele obowiązkowych wizyt towarzyskich, sprawiał wrażenie przybysza z dawnych czasów, o których młoda księżniczka miała dość mgliste pojęcie.

Zanim zniknął pod dachem ganku, przystanął. Podniósł głowę i spojrzał na Kaiulani

nieodgadnionym wzrokiem, gdy białe zasłony załopotwały na wietrze. Odwzajemniła jego spojrzenie, zastanawiając się, co kahuna o niej myśli.

Teraz, znalazłszy się na progu pokoju swojej matki, nie chciała go przestąpić - z powodu jego obecności. Ojciec ścisnął ją mocniej za rękę, kiedy wahała się niby narowisty koń.

- O co chodzi? - zagadnął.

- Co *on* tutaj robi? - zapytała. Jej stara hawajska niańka opowiadała mnóstwo przerażających historii o kahunach, ale dotychczas Kaiulani widywała ich rzadko i nigdy z tak bliska. Ale ten kahuna był w domu jej ciotki Liliuokalani zaledwie przed dwoma miesiącami. Jego spojrzenie godzinę temu zmroziło ją. Było nieprzejednane, surowe, *ponagłające*.

- *Musisz wejść* - oświadczył ojciec, schrypniętym od płaczu głosem. - Matka prosiła. Tak bardzo cię kocha.

Wchodząc do środka, Kaiulani czuła się bardzo osamotniona. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Pokoju nie oświetlał ani nowy kinkiet na ścianie, ani delikatne lampy naftowe. Nie docierały tu nawet promienie słońca. Zgodnie z życzeniem księżniczki Likelike pokój został przyciemniony zaraz po Bożym Narodzeniu, kiedy zrobiła się obłożnie chora, chociaż przez zasłony sączyła się cieniutka smuga światła, przecinając na pół pociągłą, surową twarz kahuny.

Kaiulani oddychała płytko, broniąc się przed nasyconym kamforą powietrzem. Nic dziwnego, że jej matka...

Była umierająca. Umierająca. Kaiulani odważyła się wypowiedzieć to słowo.

Likelike postanowiła odciąć się od świata. Od światła, od *powietrza*. Zamknięte okna tłumiły ptasie trele i szelest botanicznego raju, stworzonego przez jej ojca na mokradłach Waikiki. Delikatna morska woń, która wypełniała inne pokoje w domu, tutaj ustępowała miejsca intensywnemu odorowi choroby. Stara hawajska pielęgniarka odwróciła się i postawiła pustą miskę na stole. Kaiulani aż podskoczyła, słysząc nagły brzęk. Miała ochotę krzyknąć: otwórzcie te okna, pozwólcie mojej matce oddychać!

Jej matka, drobna, skryta w cieniu postać na ogromnym łożu z baldachimem przykrytym białą, koronkową kapą z Anglii, wierciła się niespokojnie, aż w końcu podniosła głowę.

- Chodź, moje *keiki* - powiedziała.

Kaiulani podbiegła do łóżka i uklękła przy niej. Matka położyła na jej włosach lekką niczym ptasi pazur rękę. Likelike nie jadła od tygodni, jakby po prostu zdecydowała się umrzeć.

Umysł Kaiulani wypełniały szept i plotki pałacowej służby. Przez kilka ostatnich tygodni wydawało się jej, że każdy przelewający się po skałach strumień Manoa jest wypełniony tymi szepczącymi głosami, jak gdyby każda szeleszcząca liśćmi roślina wypowiadała tę samą okropną, fatalistyczną myśl: kahuna modli się o śmierć Likelike. Jakaż inna mogłaby być przyczyna? - pytano. Królewscy medycy wykształceni w Ameryce i Europie mówili, że nie dzieje się nic złego. Likelike miała zaledwie trzydzieści sześć lat. A dziś z samego rana rozeszła się wieść, że daleko od brzegu Hawaui zauważono ławicę czerwonych *aweoweo*. Jej matka była kiedyś gubernatorem tamtej wyspy, a *aweoweo* zwiastowały śmierć w królewskiej rodzinie. Czyżby rozwścieczyła kogoś stamtąd małżeństwem ze Szkotem, które rozcieńczyło królewską krew? Ale przecież na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat wielu członków królewskiego rodu na Hawajach poślubiło haoli. Kaiulani pytała o to kiedyś ojca, a on zezłościł się, bo nie miał cierpliwości do hawajskich przesądów. Od jednej nieostrożnej służącej dowiedziała się, że powinna uważać, gdyż za całą sprawą stoi sam brat księżniczki Likelike, król Dawid Kalakaua. Król Papa Moi? Kaiulani nie mogła uwierzyć w coś podobnego.

Kaiulani odwróciła się, usłyszawszy donośny, głuchy dźwięk, podobny do dzwonienia. Powoli wstała, ocierając łzy wierzchem ręki, gdy pielęgniarka tymczasem szybko sięgnęła po chusteczkę.

Pochylony do przodu kahuna odwijał wilgotny, cuchnący zimną ziemią węzełek. Przywdział jedną z tych hawajskich masek, które zawsze budziły u Kaiulani lęk, kiedy była młodsza. Ta była prosta: czarna po prawej stronie, biała po lewej. Żadnych wyszczerzonych zębów czy przerażającej miny. Bezpośrednia, nieunikniona powaga dnia i nocy, życia i śmierci.

Kaiulani ujrzała kości, stertę ogromnych kości, których było tak dużo, że wysypywały się na tkaną matę i bezcenny dywan. Były większe od kości psa, którego wybrano na zwierzę ofiarne, kiedy przed stu laty Kamehameha zabronił poświęcać bogom ludzi. Poczowała ucisk w żołądku.

- Co robisz? - zapytała z pretensją w głosie, nagle nie czując strachu. Była dziedziczką tronu Hawajów, on zaś należał w gruncie rzeczy do jej poddanych. - Czy to ty zabijasz moją matkę?

Pielęgniarka odwróciła się, rzuciła Kaiulani przerażone spojrzenie zza pleców kahuny, a potem się przeżegnała. Likelike otworzyła usta, ale nic nie rzekła. Kaiulani wyprostowała się i chwyciła matkę za rękę.

- Nie - odparł starzec, głosem nadzwyczaj melodyjnym, ale z wystudowanym

spokojem. Przywołał ją gestem, ale Kaiulani nie ruszyła się z miejsca.

- Idź - szepnęła matka.

Kaiulani zrobiła tylko jeden krok w jego kierunku.

- Dotknij ich - powiedział. - To święte kości króla Kamehameha, od którego wywodzisz swój ród.

Kaiulani potrzęsnęła głową. Była z nim spowinowacona, ale tylko przez kuzyna Kamehameha. Swoją genealogię знаła dobrze.

- Rób, co ci mówi - poleciła Likelike, zdumiewająco stanowczym głosem.

Kaiulani zawahała się, a potem uklękła, aż jej powłóczysta spódnica omiotła podłogę. Czubkami palców musnęła jedną z kości. Kahuna złapał ją za rękę i szarpnął ku sobie, a potem wcisnął w stertę kości i przytrzymał swoją niesamowicie silną dłoń. Kości nie były ani ciepłe, ani zimne.

- To twój chrzest, twoja inicjacja - oświadczył. - Nie haolska, nie chrześcijańska. Jesteś naszą ostatnią nadzieją, ostatnią nadzieją wszystkich Hawajczyków. Jesteś pół-haołką, ale jesteś naszą ostatnią *alii*, ostatnim dzieckiem z królewskiego rodu. Nasz lud ma życie, które jesteś zobowiązana chronić. Nasz lud ma ziemię, którą musisz dla niego ocalić.

W jego ciemnych oczach błyszczały łzy, ale nie wydawał się zawstydzony, gdy popłynęły, i tylko złobił palcami wilgotne szlaki na wyschniętych policzkach. W pokoju zapanowała całkowita cisza, jakby wszystko zamarło, jak gdyby czas wstrzymał oddech.

I wtedy, mimo iż pokój był zamknięty, rozległy się głośnie i straszne krzyki okolicznych pawi.

Wokół Kaiulani wezbrały szalone, gwałtowne sny. Pędziły ku niej, spowijały ją. Skrzyły się obce miasta, ich barwa i dźwięk były jak uderzenie, tak osobliwe, że gdy przenikały jedno w drugie w nieubłaganym korowodzie, z trudem uświadamiała sobie, iż widzi nowe ulice, nowe kanały, nowe, sunące śpiesznie tłumy ludzi. Płomienie, krzyki i trwoga, walące się budynki, dziwne szare okręty wojenne, wybuchające na tle Gór Koolau, i palący się mężczyźni, którzy wyskakiwali z nich do głębokiej, krystalicznie czystej rzeki Pearl. Festiwale radosnej muzyki, marsz groźnych hord. Czy to był jej świat? Przez chwilę trzymała w ramionach małą, ledwie oddychającą dziewczynkę w ubraniu mokrym od krwi, która lała się z jej zranionego boku. Małe biedne chaty, w których roilo się od obdartych żebraków, sąsiadowały z niesamowitymi, szklanymi wieżami. Pośród rzezi można było dostrzec piękne przebliski: falujące zielone lasy, rzeki wolno płynące po trawiastych równinach, złocistą wysepkę zwieńczoną błyszczącymi palmami kokosowymi na drugim brzegu cudownej błękitnej laguny. Kaiulani wypełniało oślepiające światło. Wizje

przepływały przez nią jedna po drugiej niczym fale. Zupełnie jak gdyby jej ciało również było utkane ze światła, przenikalne, płynne, zatrważające w swoim braku środka, jak ocean czasu nasycony obrazami i bólem bez końca i bez początku. Krzyknęła, ale miała wrażenie, że to głos kogoś innego, że słyszy stłumione krzyki ptaków za szczelnie zamkniętymi oknami.

Kahuna wciąż przyciskał rękę Kaiulani do kości, kiedy odezwała się jej matka. Wir obrazów stracił na intensywności. Słowa Likelike rozbrzmiewały w ciemnym pokoju niczym jasne kamienie, które lśnią po wrzuceniu do głębokiego basenu, a potem zapadają w mrok, podczas gdy kręgi wody rozchodzą się bez końca. Przemówiła schrypniętym szeptem. Słowa były ostre i precyzyjne, cedzone osobno, naznaczone nieuchronnością.

- Będziesz żyła daleko stąd - powiedziała Likelike. - Nigdy nie wyjdiesz za mąż. Nigdy nie będziesz królową.

Roztrzęsiona, zadyszana Kaiulani wyrwała rękę z mocnego, suchego uścisku kahuny, oddaliła ją od kości. Zrobiła dwa kroki. W tej strasznej, spowolnionej chwili widziała wyraźnie dziwne, abstrakcyjne wieżyczki i korytarze, które układały się we wzór na dywanie.

Zauważyła, że oczy matki są zamknięte. Jej klatka piersiowa... czyżby?...

Wciąż się podnosiła i opadała. Ledwo ledwo.

Kaiulani dotknęła policzka Likelike, ale te ukochane oczy pozostały zamknięte. Czula swędzenie, bo krople potu ściekały jej po twarzy. Chwyła wąskie ramiona matki i potrząsnęła nią. Tylko troszkę. Żeby ją przebudzić. Nie pomogło. Potrząsnęła nią mocniej.

- Obudź się, mamó. Obudź się!

- Księżniczko! - zawołała pielęgniarka. Kaiulani mocowała się z silną ręką, która trzymała ją w pasie i odciągała od łóżka. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł ojciec, głośno tupiąc buciorami.

- Co się stało? Czy ona...? - Obrócił się i patrząc kahunie w twarz, zawołał: - Wynoś się stąd!

Kaiulani jeszcze nigdy nie słyszała jego krzyku.

Kahuna stał i nucił wolną, piękną hawajską pieśń.

Jego słowa miały stworzyć przejście do innego świata dla duszy jej matki.

Wybiegła z pokoju. Sunęła śpiesznie szerokim, błyszczącym korytarzem, przeszła przez wielką salę zagraconą krzesłami i stołami, gdzie matka, z wysoko upiętymi, ozdobionymi kwiatami lśniąco włosami, jeszcze tak niedawno grała w karty z niemieckim ambasadorem i jego żoną.

Podkasawszy długą spódnicę, Kaiulani wypadła na dwór, gdzie świeciło słońce, i pobiegła ku jasnynieckiemu oceanowi na drugim końcu liściastej alei, by uciec od

okropnych wizji, podpaleń, oglądanych przez ułamek sekundy obrazów śmierci najbliższych, z których każdy wkraczał w straszliwą ciemność sam.

*

Księżniczka Likelike, siostra króla Dawida Kalakaua i Liliuopkalani Dominis, którzy nie mieli dzieci, zmarła o czwartej tego popołudnia.

Jej córka Kaiulani, ostatnia żyjąca spadkobierczyni królewskiego rodu na Hawajach, miała dwanaście lat.

LYNN

Honolulu 2034

1

Lynn Oshima odmierzała kroki, a potem kręciła się w kółko i przeskakiwała wyboje, starając się nie tracić rytmu. Owładnął nią endorfinowy wir biegania, czysta biała energia pochłaniała każdy lęk przed bólem. Biegając, potrafiła zapomnieć, że wie za dużo o nielegalnych badaniach genetycznych Interspace - IS - gdyż opierały się na pracy, którą sama wykonała. Potrafiła zapomnieć o swojej bierności. Potrafiła zapomnieć, że Nana nieustannie ją krytykuje za embrión z Kliniki „Zygota”, wszczepiony przed dwoma miesiącami.

I niemal zapominała, gdy po pierwszych trzech milach biegu wszystko wydawało się błyszczące, że pomimo obrzydzenia do IS czuje ogromną pokusę, by skorzystać z całkowicie nieoficjalnej propozycji swojego brata Jamesa i polecieć do Hongkongu, gdzie miałyby pośredniczyć w czarnorynkowej transakcji polegającej na kupnie części szpiku kostnego Mao. James zignorował jej ultimatum sprzed miesiąca, kiedy powiedziała mu, że ma dość jego podejrzanych układów. Wiedział, że jest uzależniona od informacji jeszcze bardziej niż od endorfin.

Centrum Honolulu wyglądało tego ranka bosko. Zewsząd otaczały ją szklane wieże, skąpane w promieniach wschodzącego słońca. Ciemnozielone Góry Koolau nagle wynurzyły się przed nią jak wizja raj, gdy poranne wiatry zepchnęły skłębione chmury za bazę Hickam i jeszcze dalej, w kierunku morza. Lynn wciągała do płuc zimne, czyste powietrze. Minął ją cichy, otwarty maglev. Wysiadło z niego dwóch prawników.

Chińska kwiaciarka uśmiechnęła się do Lynn, gdy ta biegła obok jasnopomarańczowych wiązanek strzelicy królewskich, ustawionych w wysokich czarnych pojemnikach. Okropna jest ta Nana, krytykując jej decyzję o urodzeniu dziecka! Niech się kuli w swojej starej japońskiej chałupce, niech bierze te staroświeckie pastylki na ciśnienie, zamiast dać sobie wszczepić implant, i niech mamrocze, jaki straszny zrobił się świat, a wraz z nim jej syn - praktycznie szef Interspace - i jej wnuki.

Przez chwilę czuła bolesne klucie, ale zignorowała je. Za chwilę poczuje się lepiej. Wyszła z sali Zendo, ponieważ nie czuła się dobrze. Codziennie o 4.30 rano szła ciemną Nuuanu na róg kościoła Zen, obok ambasady japońskiej. Tego ranka liście szeleściły i krople nagłej ulewy skapywały przez parawan obok miejsca, które zajmowała. Lynn miała rozbiegane oczy, siedziała wyprostowana, jakby otaczało ją zupełnie nowe powietrze. Deszcz skończył się po paru minutach i, jak zwykle, na dziesięć minut przed nastaniem tropikalnego świtu rozległ się szczebiot ptaków.

Lynn nie rozmyślała o tych wydarzeniach: co najwyżej odnotowywała je w pamięci. Sędziwy *roshi* uderzył w drewnianą *tima* i zaczął się śpiew, przenikający Lynn do szpiku kości jak głęboko ukryte w oddali źródło obcej energii.

Pamiętała powstawanie na *kinhin*, medytację podczas chodzenia i powolne przemierzanie pokoju. Potem miała sensacje żołądkowe i wybiegła przez korytarz na ganek. Wiedziała, że wszyscy słyszą, jak wymiotuje, wszyscy ci starzy mężczyźni, którzy nawet nie mieli ochoty przyjmować kobiety w swoje szeregi. Zrobili to, bo się uparła i podczas wieczorków wybierała strzelanie z łuku, a nie układanie kwiatów. Przynajmniej była stuprocentową Japonką. To był jej jedyny atut. Oni oczywiście myśleli „nic” albo „kobieta”. „Niezamężna, wstyd”. Jej ojciec był tak samo staroświecki jak oni i jeszcze się tym szczyił. Potem zapomnieli tej myśli, i wielu następnych. Co do Lynn, myśli czepiały się jej jak tłuszcz brudnych naczyń. Ocierając pot z czoła, podeszła do automatu z wodą i opłukała twarz.

Czy potem przeszła te kilka przecznic dzielących ją od domu? Nie! Niebo było cudowne, miało delikatny odcień błękitu, a świt był tak szybki, tak kompletny, że mogła obserwować jego nadejście i czuć się częścią dojrzałego poranka, i czas nie rozpraszał jej uwagi. Nic nie mogło się równać z równikowym światłem. Ignorując ból, który wciąż narastał, wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne, obróciła się na pięcie i zaczęła biec... bieg temu zaradzi.

Czyżby robiło się coraz gorzej? Nie była pewna. Przełączyła się na Two-Part Invention, zerkając na prawą górną ćwiartkę swoich okularów. Ominęła tradycyjną muzykę japońską i Billie Holidaya, aż dotarła do Bacha, który świetnie pasował do jej tempa. Oczy Lynn zalewał słony pot, otarła czoło chustką.

Spijała aromat pąków plumerii, które opadały na wietrze na opleciony winoroślą strumień Nuuanu. W uszach miała głośny szum wody. Dwóch młodych chłopców podjechalo do niej, pokrzykując na siebie nawzajem. Nawet nie spojrzeli na nią, gdy rozjeżdżali się na boki. Starczy szept Nany zagłuszył Bacha: „Jesteś nienormalna, dziewczyno, nie powinnaś biegać, będąc w ciąży. To wariactwo, że w ogóle je tam wszczepiłaś. Wybrałaś ojca z

katalogu? To nie może być prawdziwe dziecko. Myślę, że od tego doktoratu jeszcze bardziej zgłupiałaś! Dlaczego nie wyjdiesz za mąż i nie zrobisz sobie prawdziwego dziecka? Dziecko potrzebuje ojca. Jeszcze nie jesteś za stara, żeby sobie znaleźć faceta. Trzydzieści pięć lat to jeszcze nie starość”. Dzień w dzień to samo. To, że Nana dożyła setki, zawdzięczała swojej zgryźliwości. Codziennie ostrzyła swój umysł, jakby to był nóż, na nieuprzejmych sklepikarzach, na swojej rodzinie, na całym świecie bez wyjątku.

Dwie przecznice od domu Nany Lynn zaparło dech w piersiach z bólu. Złapała się za brzuch i zgięła w pół.

Miała wrażenie, że świat się oddała. Koreańska restauracja po drugiej stronie ulicy, stary Japończyk niosący siatkę z artykułami spożywczymi przed nią, góry wznoszące się ostrymi grzbietami i przysłaniające niebo, pisk i łoskot śmieciarki - to wszystko wydawało się zamazane i nierzeczywiste. Była spocona. Chwyliła się częściowo spróchniałej sztachety płotu. Kiedy, ciężko dysząc, oparła się o nią, drewno trzasnęło i trochę się wygięło. Jeszcze nigdy nie odczuwała tak strasznego bólu. Zauważyła strużkę ciemnej krwi na wewnętrznej stronie uda, poniżej szortów. Jedna kropla spadła na chodnik.

Za gęsto ulistnionymi mangowcami ledwo było widać malutki, podobny do lokum Nany drewniany dom, jeden z wielu, jakie budowano wieki temu dla imigrujących robotników. Jednak dom Nany był czysty i starannie utrzymany, zbudowany na planie kwadratu i pomalowany na szaro, z błyszczącym czarnym wykończeniem. Ten dom zaś wyglądał tak, jakby nawiedzały go duchy - był niepomalowany i miał krzywy ganek. Jego pozostałą część skrywała malutka, prywatna dżungla. Czerwono-żółty hibiskus szalał wśród pnączy, które zwisały z mimoz, jeszcze mokrych po porannej ulewie. Nie widać było choćby skrawka trawnika.

Lynn usiłowała się wyprostować. Pchnęła furtkę zwisającą ze sfatygowanego płotu i zmusiła się do marszu po zarośniętym, betonowym chodniku. Była na pierwszym stopniu, kiedy usłyszała trzask rozsuwających się drzwi.

Oszołomiona bólem Lynn wytrzeszczyła oczy. Wciąż docierała do niej muzyka Bacha. Gwałtownym ruchem zdjęła okulary przeciwsłoneczne i rzuciła je na chodnik.

Ten piękny chłopiec wydawał się tak doskonały, że nie mógł być prawdziwy. Miał złocisto-brązową skórę i duże, inteligentne oczy z długimi, czarnymi rzęsami. Jego owalną twarz okalały kręcone włosy. Miał na sobie luźne, białe szorty i chodził boso. Jego ciało również było doskonałe - gładkie, bez skazy, o proporcjach posągu. Stał na tle kwitnącej na żółto winorośli, która oplatała zniszczone deski wokół drzwi. Lynn pomyślała, że mógł mieć piętnaście, szesnaście lat.

Kiedy spuścił głowę i zobaczył buty Lynn, teraz zbryzgane krwią, otworzył szeroko oczy.

Miała zaledwie kilka sekund na przyglądanie się nieznanemu. Potem znowu chwycił ją ból.

- Wezwij karetkę - powiedziała i osunęła się na schodek.

- Mam poronienie. - Chłopiec stał zszokowany. - Pośpiesz się! - wrzasnęła. - Czy jest tu jeszcze ktoś? - Usiłowała wstać, ale nie mogła się wyprostować. W końcu jakoś doczłapała do drzwi, odepchnąwszy chłopca na bok. - Ktoś jest w domu? - krzyknęła do ciemnego korytarza.

W korytarzu pojawił się najpierw stary człowiek, a potem młodsza kobieta, każde z innych drzwi. W przyćmionym świetle spojrzeli na siebie, potem na nią, a wreszcie na drzwi frontowe, w których wciąż stał chłopiec.

- Wejdz do środka! - powiedziała kobieta. Jej czarne włosy sięgały prawie do kolan, były dłuższe niż jej żółta *muu-muu*.

- Cóżes ty sobie myślał? - Przebiegła obok Lynn.

- Ale ona jest ranna - powiedział chłopiec.

- Wezwijcie pogotowie - powiedziała Lynn. - Proszę.

Mężczyzna skinął głową i wrócił do swojego pokoju. Wyłonił się z niego mniej więcej po minucie.

- Już jedzie - powiedział. - Pomogę pani.

- Chyba nie jestem w stanie chodzić - odparła Lynn. Była wystraszona i z przerażeniem uświadomiła sobie, że zaczyna płakać.

Chociaż zarost na klatce piersiowej mężczyzny był zupełnie siwy, pochylił się i podniósł ją z taką łatwością, jakby była dzieckiem. Lynn rozglądała się po korytarzu, usiłując nie myśleć o tym, co się z nią dzieje, i co już na pewno się stało.

- Gdzie jest ten chłopiec? - zapytała.

- Jaki chłopiec? - odparł mężczyzna.

- Tu był chłopiec.

Mężczyzna stawiał duże, szybkie kroki. Coraz głośniejsze było słychać wycie karetki. Znajdowali się zaledwie kilka przecznic od Szpitala Kobiecego Kapiolani, gdzie dziecko miało się urodzić.

- To musiał być jakiś chłopak z sąsiedztwa - zawyrokował. Położył ją na noszach i poczuła, że jej karku dotyka chłodny, kojący czujnik, monitorujący funkcjonowanie organizmu. Mężczyzna odszedł, nie mówiąc nic więcej.

Kiedy ruszyli, lekarz założył Lynn maskę tlenową, ale wiedziała, że jest za późno na pomoc.

Za późno, by uratować dwumiesięczny płód, którego imię brzmiało Masa Elizabeth Oshima, dziecko, które już znajdowało się na liście kandydatów do ekskluzywnej szkoły Rainbow Keiki. Twarz złotego chłopca była jak długa muzyczna fraza. Niczym woda w rwącym potoku, jej inna przyszłość - ta, w której magicznie zmieniała typ osobowości A na B, komponowała dzieła na syntezator, wychowywała Masę i żyła z pieniędzy za patent geneskanowy zmarłej matki, a także ze sprzedaży udziałów w Interspace, kiedy ostatecznie i nieodwołalnie, bez strachu odchodziła z tej przeżartej korupcją instytucji.

Tak, dzięki zastrzykowi czystego tlenu Lynn wiedziała bez najmniejszej wątpliwości, kim był ten chłopiec. Jego obraz utrwalił się w jej pamięci przed wieloma laty i pozostał w niej aż do dziś. Wiedziała, że chłopiec prawdopodobnie niedługo umrze, tak jak inni mu podobni. Umrze jak Masa. Zmarnowane dziecko, zmarnowane życie.

Odwróciła głowę, czując piekące łzy na policzkach.

2

Stara bambusowa roleta furkotała na nocnym wietrze, kiedy Lynn wyciągnęła się na swoim krześle, oparła nogi na biurku i pochyliła się nad bladym ekranem małego handheda. Usłyszała, jak Nana idzie w kierunku półotwartych drzwi, mijając stare wyblakłe ryciny, na których widniała Wyspa Himage. Ojciec Nany sprowadził je z Japonii w latach trzydziestych, kiedy przybył tu jako robotnik. Rok później zjawiała się jego narzeczona ze zdjęcia.

Nana stanęła w drzwiach, filigranowa i poważna. Nikomu nie chciała powiedzieć, ile ma lat, ale Lynn i jej bracia oceniali, że musi mieć jakieś sto dwa. W jej zapadniętej, zniszczonej twarzy szczególną uwagę przykuwały czarne oczy. Nie zależało jej na sztucznym poprawianiu wyglądu!

- Młoda damo, powinnaś porządnie odpocząć - napomniała Lynn. - To niedobrze, że nie śpisz pół nocy po pobycie w szpitalu.

Nana nie użyła słowa *poronienie* - to byłoby zbyt śmiało.

Słyszając głos babki Lynn poczuła ulgę. Stara kobieta była delikatna, ani razu nie udzieliła jej reprimendy, przynajmniej dotychczas. Teraz wszystko wracało do normy. Tutaj był jej dom, a nie w oderwanej od prawdziwego życia posiadłości na Tantalus Drive, z której ojciec, ważna postać w Interspace, wyrzucił ją przed wielu laty. Kiedy była nastolatką, uparła się, że zacznie pracę, grając własne kompozycje na syntezatorze w Waikiki San Bar, klubie

nocnym w Strefie Turystycznej na dachu hotelu Princess Kaiulani. On oświadczył, że to wstyd i hańba dla całej rodziny.

Lynn od czasu do czasu jeszcze grywała, ale od lat pasjonowała ją genetyka i teoretyczne projektowanie ludzi, w celu przystosowania ich do długich podróży kosmicznych. To było jak zupełnie nowa forma muzyki: komponowanie możliwych istot ludzkich z nieskończonych kombinacji nut potencjalnej fizjologii.

- Masz rację - powiedziała, ale nacisnęła kilka podkładek na swoim handheldzie. Jej mały holoprojektor zabuczał i spojrzała na świetlną prezentację odcinka mózgu szczura z jakiejś nieznanej czeskiej pracy, która właśnie pojawiła się w sieci. Kilkakrotnie dotknęła innej podkładki i obserwowała kolejne fragmenty zwierzęcia.

Nana cmoknęła z dezaprobatą, odwróciła się i znowu pomaszerowała korytarzem. Lekka, wonna bryza wydeła zasłonę, przedzielając hologram na pół, ale nie zakłócając go.

Lynn zawsze cieszyła się z wywalczonej wolności i uważała, że jej przyrodni bracia kilka lat młodszy od niej i całkowicie uzależnieni od Interspace bliźniacy, w głębi duszy bardzo jej zazdroszczą.

Na jej polakierowanym na czarno biurku leżał liścik od jednego z nich, Jamesa. Przysłał go zwykłą pocztą w zeszłym tygodniu i zaszyfrował kodem z dziecięcych lat. List sugerował, że Lynn powinna wybrać się do Hongkongu i wystarać o materiał genetyczny, który rzekomo pochodził od Mao. Jeszcze jeden typowy, czarnorynkowy przekręt. Nie mogła zaprzeczyć, że rajcowały ją takie transakcje. Przynajmniej kiedyś.

Jeszcze tydzień temu czuła irytującą pokusę. Pobranie materiału wiązało się z replikacją i prawem do prowadzenia badań. W ten sposób mogłyby powiększyć swoją bibliotekę genetyczną, która już zawierała DNA wizjonerskiego prezydenta Chin, Zhong Chau zamordowanej w 2025 roku. Lynn miała również kolekcję wpływowych niegdyś ajatollahów, których zakupiła w pakiecie, rozmaitych królów i królowych zarówno dawnych, jak i współczesnych, a także Lenina, Indirę Gandhi, Teddy'ego Roosevelta i cały zastęp innych polityków. Miała też biblioteki pisarzy, artystów, sportowców, naukowców, a poza tym dysponowała bogatą, całkowicie skomputeryzowaną informacją Światowej Organizacji Zdrowia, która skatalogowała i zanalizowała kroplę krwi każdej osoby urodzonej po 2004 roku. Ilekroć ktoś miał jakiś kontakt ze środowiskiem lekarskim, informację aktualizowano. Wiele genetycznych problemów nie ujawniało się przez lata i teraz istniała możliwość pomocy zagrożonym osobom, jeszcze kiedy były młode.

Mao byłby interesującym, wręcz unikalnym nabytkiem. Wiedziała, że nikt go nie miał.

Lynn odsunęła papiery na biurku i wzięła do ręki liścik od Jamesa. Ponownie go przeczytała, a potem cisnęła na blat. Kiedy otworzyła list za pierwszym razem, dodała podany przez niego kod do swojego paszportu - cienkiej, niebieskiej podkładki z elektroniczną identyfikacją i danymi. Kod miał zostać aktywowany przez agenta z Hongkongu, kiedy ona wysiądzie z samolotu, i przekazać mu wiadomość, że wszystko jest w porządku.

Potem odłożyła go do swojego portfela, jakby na potwierdzenie, iż nie może się zdecydować. To był nałóg, od którego powinna się uwolnić. Ostatnio zastanawiała się, czy nie wyrwać by się do jakiegoś ustronnego klasztoru buddyjskiego gdzieś w Kambodży czy Japonii.

Jasne, Lynn.

Teraz wyciągnęła rękę i wzięła paszport, otworzyła go i przewinęła wszystkie pozycje. Bangkok. Kathmandu. Pekin. Narita, Narita, Narita. Londyn. Kair. Dwie, trzy podróże rocznie. Uwielbiała podróże, tęskniła za nimi, nawet jeśli świat wydawał jej się bardzo smutny. Często prześladował ją obrazek z Bombaju - lśniaca holograficzna reklama białej rodziny o jasnych włosach stojącej przed piękną rezydencją, w której tęczowym cieniu stała rodzina ciemnoskórych osób zebranych na chodniku.

No cóż. Nie mogła tylko się zadręczać. Miałyby coś do zrobienia. Mao! Byłby jej, prawie na wyłączność, przynajmniej dopóki nie zdecyduje się rzucić go na rynek. Idealny sposób na poprawienie humoru. Wyciągnęła portfel z tylnej kieszeni, wsunęła paszport, schowała portfel z powrotem. Mogła zrezygnować później.

No pewnie. Przestań się oszukiwać. Ale też przestań się tak zadręczać. Wiedza nie jest ani dobra, ani zła - rzecz w tym, kto i jak z niej korzysta.

Zatem, kto korzysta z tego, czego się dowiedziałaś? Jak? Po co?

Próbowała nie myśleć o Masa Elizabeth i zerknęła na swój hologram. Właśnie badała mediatory neurochemiczne inteligencji u ludzi i w rozwoju ludzkim, łącząc je z różnymi markerami genetycznymi. A raczej zajmowała się nimi przed tym, zanim poroniła, i dość regularnie publikowała wyniki w różnych czasopismach. Przez wiele lat starała się mieć jak najmniej do czynienia z IS. Istniały takie sprawy, o których po prostu nie chciała wiedzieć. Miała akcje IS, ale nie przychodziła na zebrania od lat. Jej dywidendy były automatycznie reinwestowane. Im mniej wiedziała o mrocznych poczynaniach, które pozwalały prosperować jej braciom, tym lepsze miała samopoczucie. Nie mogli pojąć, dlaczego nie jest lojalna wobec Interspace i obwiniali o to jej matkę, japońską badaczkę, która zmarła, kiedy Lynn miała cztery lata, ale zdążyła ją zarazić bakcylem niezależności. Właśnie ta cecha nie mieściła się bliźniakom w głowach.

Zaniepokojona potencjalnymi konsekwencjami swojej pracy badawczej ostatnio odkładała wiele wniosków z eksperymentów do archiwum, zamiast je publikować. Czasami pogardzała sobą za chowanie głowy w piasek, ale cóż mogła zdziałać w pojedynkę?

Wmawiała sobie, że nic.

Czy słusznie?

Jej dziedzina była stosunkowo nowa. Zarządzał nią chciwie wydział inżynierii genetycznej Uniwersytetu Hawajskiego, który w istocie podlegał Interspace. W swojej pracy dyplomowej Lynn zajmowała się badaniem fizjologii inteligencji - cokolwiek to słowo oznaczało - i jej znaczenia dla eksploracji kosmosu w przyszłości. W tej kwestii nie dało się uniknąć wpływu IS. Był nieunikniony. Nie można było bez niego uzyskać stopnia naukowego na Uniwersytecie Hawajskim.

Rozwój dziecka bardzo się zmienił od czasu, gdy - przy gwałtownych protestach administratorów i nauczycieli - zarządzono likwidację systemów edukacyjnych dyskryminujących płęć. Jednak zdaniem Lynn zanosilo się na coś gorszego. Kiedy wybierała szkołę dla Masa, odkryła, że prowadzono dyskretne śledztwo w sprawie dodania Nici X do genetycznego kodu jej zarodka.

Manipulacja małutkimi sekwencjami w kodzie genetycznym nosiła nazwę *bionan* i wywoływała gwałtowne spory na całym świecie. Jeśli rodzice decydowali się wydać na świat dziecko, w którego psychice miały występować cechy upośledzające psychicznie lub fizycznie, lecz łatwe do skorygowania, czy to już kwalifikowało się jako przemoc wobec dziecka? Czy państwo powinno płacić za dodatkową opiekę lub kształcenie, jakiego mogłyby wymagać takie dzieci?

Na dodatek Lynn przekonała się, że w przypadku innych dzieci definicja normalności była jeszcze bardziej niejednoznaczna.

Oczywiście nigdzie nie było to napisane. Ale podczas wywiadu administratorka siedząca za biurkiem z opalizującego materiału, który Lynn uznała za najnowszy wynalazek technologii kosmicznej, zagadnęła:

- Naturalnie ona będzie szczęśliwym dzieckiem? - powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o nazwie produktu.

- Co? - zapytała Lynn. - Ja...

- Och - odparła kobieta, i w tym momencie słońce oświetliło niezliczone ilości dyplomów i certyfikatów na ścianie za jej plecami. - Przepraszam, zapomniałam, czy to jest chłopiec, czy...

Lynn była w stanie jej to wybaczyć.

- Ale... nie rozumiem. Szczęśliwe? Mam taką nadzieję... - I wtedy oświeciło ją. - Och! Ma pani na myśli...

- Tak - odparła kobieta. - Mogę pani dać listę laboratoriów, którym wolno wykonywać...

Lynn wstała roztrzęsiona.

- To jest absolutnie zakazane - powiedziała.

- O - rzekła kobieta pogodnym tonem. - Proszę się nie martwić. Mamy dobre układy ze stanową legislaturą. Wiem od wysoko postawionego informatora, że jeszcze przed końcem roku będzie to całkowicie zgodne z prawem. - Obróciła ekran w stronę Lynn i zaczęła naciskać guziczki. - I wtedy będzie pani zadowolona, że uparliśmy się, aby dziecko miało lepszy start. Proszę popatrzeć - ucieszy się pani z wyników. Szczęśliwe dzieci są w stanie nauczyć się o wiele więcej bez tych niedorzecznych napadów złego humoru. Proszę zaczekać!

Lynn wybiegła z gabinetu i ze szkoły, trzaskając drzwiami. Szybko przeszła przez zatłoczoną ulicę do chłodnego, pełnego drzew parku i skuliła się na ławce, czując mdłości. Później tamtego popołudnia złożyła skargę w komisji kontrolującej inżynierię genetyczną, ale w głosie człowieka, który ją przyjął, wyczuła rozbawienie.

Tamtej nocy wysledziła tak zwaną nić Szczęśliwego Dziecka. Przenoszona przez łagodnego wirusa, jak większość bionanu, stymulowała system endokryny do produkcji kojących hormonów, kiedy w krwi pojawiały się delikatne markery gniewu i buntowniczości.

Nie, pomyślała Lynn patrząc na ekran, zupełnie zrozpaczona, chyba będę miała zwyczajne dzieci, ale mimo wszystko dziękuję za propozycję. Odnosiła wrażenie, że te niedogodne napady złego humoru, które likwidowano, były dla dziecka niezbędne w procesie separacji od rodziców i zdobywania wiedzy o władzy i jej ograniczeniach. Jakie inne istotne funkcje mogły spełniać? I w jaki sposób będą w przyszłości upośledzeni dorośli, którzy nigdy ich nie doświadczyli? Intelktualnie? Emocjonalnie? Na razie nikt nie potrafił odpowiedzieć na te pytania; dopiero kiedy pojawią się absolwenci Przedszkola Szczęśliwego Dziecka, a potem Liceum Szczęśliwego Dziecka...

Usłyszała trzask zamykanych przez Nanę drzwi w drugim końcu korytarza i to pomogło jej wrócić do terażniejszości. Nie musiała teraz zabiegać o genetyczną i rozwojową integralność Masa.

Wstała, przechyliła się do tyłu, aż trzasnęło jej coś w kręgosłupie, i mocno się przeciągnęła. Oparła się o parapet i wyjrzała na malutki, starannie przystrzyżony trawnik Nany, gdzie żadna roślina nie ośmieliła się wypuścić choćby jednego niesforenego listka, bo to zakłóciłoby nieskazitelny porządek. W razie czego Nana natychmiast pojawiała się z

nożycami, by z marsową miną przyciąć intruza.

Za oknem Lynn zwisała ciemna gałąź plumerii, której pąki były białe w świetle księżyca. Lynn pomyślała, że może wgramoli się na dach i przez kilka godzin będzie obserwowała niebo przez teleskop. Wiedziała, że nie będzie w stanie zasnąć. Widoczność tej nocy mogła być wystarczająco dobra, by zdigiskanować nieregularny postęp w budowie statku pokoleniowego, który po dwuletniej przerwie miał zostać szybko ukończony dzięki zastrzykowi pieniędzy z Korei. Była na bardzo eleganckim przyjęciu w posiadłości ojca, gdzie Samuel, brat bliźniak Jamesa, po roku starań uzyskał w końcu od koreańskiego ambasadora stanowcze zapewnienie, iż fundusze zostaną przekazane. Dobrze, że baza księżycowa znowu zaczęła służyć ambitniejszym celom, niż tylko turystycznym rejsom.

Odwróciła się od okna. Teraz to nie miało dla niej znaczenia. Głupio udawać, że cokolwiek miało teraz dla niej znaczenie. Odrzuciła implant hormonalny, który doradzono jej w szpitalu, gdzie powiedziano jej również, że potrzeba czasu, aby jej hormony wróciły do równowagi. Wiedziała, jak to zrobić. Bieganie było lekarstwem na wszystko. Chociaż Nana nie powiedziała jej wszystkiego, Lynn zdawała sobie sprawę, że to nie bieg wywołał u niej poronienie. Tego ranka w zendo poczuła się źle, ale to były innego rodzaju mdłości.

A zatem? I tak by do tego doszło. Coś musiało być nie w porządku z małą Masa. Albo z nią samą. Z błogim uśmiechem na twarzy zignorowała sugestię technika, że powinna poddać się różnym testom. Ślepa wiara, że wszystko będzie dobrze, teraz okazywała się głupotą.

Nie mogła usiedzieć w miejscu. Miała ochotę wybiec na ulicę i być ciągle w ruchu, ale nie odważyła się na to. Centrum Honolulu było niebezpieczne wieczorami, roilo się tu od kończących zmianę pracowników stacji kosmicznej, którzy zachowywali się równie niesfornie jak kiedyś marynarze w portowej dzielnicy miasta.

Przyszedł jej na myśl chłopiec o złocistej skórze, którego często wspominała w szpitalu. Nie powinien jej interesować.

W takim razie, co powinno cię interesować, Lynn?

Próbowała ignorować strach, który czuła na myśl o nim, zatroskanie jego niemal przesądzonym losem, swoją pewność, że wie, kim był.

Klonem króla Kamehameha. Doskonałą genetyczną kopią niezwykle człowieka, który nie żył od przeszło dwustu lat, chociaż klonowanie ludzi było zabronione na całym świecie.

I co z tego? Z tego, co się orientowała, co najmniej pięćdziesiąt procent operacji Interspace przeprowadzono niezgodnie z prawem. Manipulacje genetyczne, stymulacja

bionanem i rutynowe usuwanie pozostałości nieudanych eksperymentów na zwierzętach albo ludziach... mogły się odbywać tylko w ściśle określonych granicach.

Ale te granice były pośmiewiskiem i to na międzynarodową skalę. Wiele osób podejrzewało, że IS rutynowo narusza Konwencje Genetyczne, ale mało kto dysponował dowodami, a jeśli zdarzali się tacy, to przeważnie sami czerpali największe korzyści ze sprzedaży pakietów genetycznych i bionanowych na czarnym rynku. Szerokie rzesze plebsu na świecie *chciały* ideału, *chciały* być wolne od chorób, *chciały* inteligencji - jakkolwiek była definiowana. Oburzenie w stosunku do naukowców, którzy zdecydowali w 2009 roku, że trzeba oficjalnie wstrzymać wszelkie tego eksperymenty z ludzkością, dopóki nie pozna się lepiej ich skutków, było bardzo, bardzo silne. Świat dzielił się coraz wyraźniej na elitę skupiającą bogactwo - ludzi, których było stać na przykład na modyfikacje typu Szczęśliwe Dziecko, pomimo zawrotnych cen na czarnym rynku - i wielki, prymitywny trzeci świat, który pod względem gospodarczym i edukacyjnym zmienił się bardzo niewiele w ciągu ostatnich stu lat.

Lynn wyłączyła swój podręczny komputer. Miała wrażenie, że wszechświat coś jej odebrał, ale w miejsce utraconego dziecka obarczył ją odpowiedzialnością za coś większego. Doszła do wniosku, że to szalona myśl. Wcisnęła ręce do kieszeni. Raczej nie nadajesz się na wybrankę.

Ale ten dzieciak rzeczywiście mógł być w tarapatach.

Odwróciła się gwałtownie i przeszła skrzypiącym starym holem, po drodze nakładając bluzę z gładkiego jedwabiu. Na dworze było ciemno i chłodno. Zerknęła na usiane gwiazdami niebo. Skręciła w lewo, co oddalało ją od Honolulu.

Przeszła na drugą stronę ulicy. Było późno. W ciszy słychać było łopot palmowych liści. Mimozy przypominały czarne sylwetki na tle gwiazd, podobnie jak luksusowe apartamenty majające dwie przecznice dalej.

Dom Koolau na wzgórzu był stary, ale wspaniale zaprojektowany i utrzymany. Liczące siedemdziesiąt lat ogrodowe enklawy pięćdziesięciopiętrowego wieżowca były dojrzałymi, tropikalnymi dżunglami.

Lynn popatrzyła na retskanowy panel i drzwi otworzyły się z buczeniem. Zobaczyła plecy Dawida, nocnego stróża, który siedział w swoim małym biurze i zerkał na ekrany. Podniosła rękę w powitalnym geście, a on odwzajemnił go, nawet nie odwracając się do niej. Przeszła obok szumiącej fontanny i przywołała windę magnetyczną.

Kiedy otworzyła drzwi swojego mieszkania na czterdziestym trzecim piętrze, miała wrażenie, że wkracza w marzenie ze swojego stechnicyzowanego dzieciństwa. To tutaj, z dala

od wilgotnego, hałaśliwego starego domu Nany, zajmowała się prawdziwą pracą.

Widziała przed sobą światła Honolulu, piękne jak gwiazdy przez szybę z inteligentnego szkła, która tworzyła obudowę kondominium. Podeszła i wyciągnęła rękę, dotknięte miejsce zareagowało zgodnie z ustawionymi przez nią preferencjami w zakresie temperatury i światła. Kilkakrotnie dotknęła ikonki i wszystkie okna się otworzyły.

Turystyczne ślizgacze z kolorowymi światełkami przepływały obok Aka Moana po ciemnym oceanie. Fajerwerki w Strefie Turystycznej przy plaży Waikiki, milczącej i malutkiej z tej odległości, miały się ku końcowi. Zdążyła w sam raz na wielki finał - dobrze znajomy rytuał, w którym napędzany energią słoneczną statek zniknął w drodze do gwiazd, tworząc logo Interspace.

Wektorowany pokój, trapezoid z kuchnią na tyłach, był umeblowany skromnie: znajdował się tu komputer, kilka poduszek na przykrytej dywanem podłodze, niski, czarny stolik.

Osunęła się na poduszki przed zawijanym pustym ekranem, który wykorzystywała jako tło do wyświetlania hologramów. Uruchomiła komputer i zajęła się tym, co sprawiało jej autentyczną radość - wyszukiwaniem informacji.

Wewnętrznej informacji. Drobiazgów. Luminescencja skręconych nici DNA, malutki okruch informacji, które zalewały czasopisma elektroniczne i tajne zakamarki sieci IS. Jej ekran tworzył łuk 180 stopni. Jeśli chciała, mogła wyświetlić każdy aspekt informacji jako hologram, mogła wykorzystać do projekcji zagięcie ekranu i wykonywać piruety.

Jej palce zawisły nad świecącymi się klawiszami, jakby to były klawisze fortepianu, na którym zamierzała zagrać, jakby skupiała w sobie dźwięki, wchłaniając energię całego utworu, zanim w ogóle poruszy palcami. Tak jak ją uczono przed laty.

Przypominała sobie każdy szczegół twarzy chłopca. Zadygotała. Myślała o tym, jak najlepiej ukierunkować poszukiwania tego wieczora.

I przystąpiła do zadania.

Najłatwiejszy był początek - coś, co robiła od dzieciństwa, w co bawiła się ze swoimi braćmi. Sporządziła portret twarzy i poleciała komputerowi, żeby ją odszukał.

Nie zdziwiła się, gdy znalazła ją w starym serwisie informacyjnym HV sprzed trzech lat. Być może Interspace chciała pogrozić Ruchowi Ojczyźnianemu, bo nawet nie zatajono faktu, że to dziecko - jego ciało, ciało chłopca, które Lynn widziała tydzień temu, a teraz zredukowała do rozmiarów piętnastocentymetrowego hologramu - leżało na drodze na hawajskim North Shore. Głowa dzieciaka była wykręcona pod kątem, który przyprawiał Lynn o mdłości. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Malec nie żył.

Ten martwy chłopiec, a także chłopiec widziany przez Lynn, byli klonami.

Szybko zaczęła czytać odnośniki do tej wiadomości. Ponieważ była bardzo młoda, poruszała się po przemyślnie zakodowanej sieci IS jak ryba w wodzie. To była jej druga natura. Lynn odgarnęła włosy i pochyłona do przodu stuknęła zawzięcie w klawiaturę, aż stwierdziła ze zdumieniem, że hologram zegara po jej prawej stronie wskazuje godzinę w nocy, a potem trzecią. Ona tymczasem odsłaniała kolejne warstwy informacji.

Wiele dróg prowadziło do Kohala, wielkiego północnego półwyspu Wielkiej Wyspy, gdzie urodził się Kamehameha. Zwolennikom Ruchu Ojczyźnianego przyznano tę ziemię dawno temu w ramach rekompensaty. Za każdym razem gdy Lynn usiłowała podejść bliżej, natrafiała na mur. Ni stąd ni zowąd, pojawiał się długi dom ze strzechą albo krótki film o kobiecie ubijającej *poi* - coś nudnego i tradycyjnego.

Raz mignął jej na moment korytarz z nowoczesnym wyposażeniem oraz ktoś, kto miał na sobie kombinezon kosmonauty i zniknął za drzwiami. Ale to był tylko przeblysk, którego nie była w stanie odzyskać. Widocznie ktoś bardzo skutecznie pilnował wejścia, człowiek albo sztuczna inteligencja.

No cóż, musiała jeszcze poszukać innych rzeczy.

Poczuła senność. Wpisała słowo w wyszukiwarce, nacisnęła ostatni klawisz, a potem upakowała poduszki na dywanie i położyła głowę na jednej z nich.

Obudził ją głośny śpiew ptaków, który przybierał na intensywności, im mocniej świtało. Wciąż leżąc, otworzyła oko.

Powietrze było wypełnione czymś cudownym. Potrzeba było dwóch godzin, czterdziestu sześciu minut i dwudziestu trzech sekund, żeby wyszukiwarka mogła to coś znaleźć.

Lynn opadła na czarne poduszki przed zawijającym ekranem. Zgarbiona, z klawiaturą między kolanami, naciskała klawisze smukłymi, brązowymi palcami. Mimo podniecenia, nie popełniała błędów. Ogarnął ją przyjemny spokój, którego echem był ponadczasowy błękit morza za Honolulu, miastem-zabawką o srebrzystej poświacie, nieco przygaszonej, gdy oglądało się ją z czterdziestego trzeciego piętra wieżowca.

Powiększyła część geneskanu Fragmentu Kości nr 4283, należącej do osobnika płci męskiej, Hawajczyka.

Jaki był marker umiejętności nawigacyjnych? Jaki był marker nawigowania przestrzeniami matematycznymi? Przerzuciła się na program statystyczny, który analizował nukleotydy tego człowieka, jego A, T, G i C.

Niewielu czystej krwi Polinezyjczyków opuszczało wyspy. Ale to właśnie oni

kierowali się położeniem gwiazd i dla nich ziemia albo morze naprawdę się zatrzymywały, podczas gdy gwiazdy przesuwaly się w górze. To odwrócenie czasu i przestrzeni brało początek w ich umysłach, a nie w rzeczywistości. Przypomniała sobie nawet, jak kiedyś jeden ze starych żeglarzy zapewniał jakiegoś prowadzącego badania profesora, że marynarze wiedzą, iż to *oni* się ruszają, a nie cały świat dookoła, ale utrzymują się w tym stanie świadomości, żeby nie zboczyć z kursu.

Tak, miała go przed sobą. Szybko zaparzyła sobie herbatę, potem znowu usiadła, pochyliła się i oparła łokieć o udo. Czuła mrowienie na języku po wypiciu łyka herbaty *anqueta*, a przez otwartą przestrzeń *lanai* sączył się ciężki, słodki zapach plumerii sąsiadki.

Dlaczego markerem kreatywności - żądzy przygód, wielkiej inteligencji otwartej niby solarny żagiel rozpostarty po to, by łapać urojone fotony - tak często były szaleństwo i depresja?

Bo przecież właśnie widziała pijacką sekwencję, która rozproszyła się w rasie ludzkiej z jakiegoś szamańskiego źródła, sekwencję, którą cechowało chimeryczne szalone piękno; nagłą śmierć z własnej ręki.

Czuła, jak przygniata ją smutek. Widziała Hemingwaya po terapii wstrząsowej w klinice Mayo, jak dowodził, że potrafi znaleźć ukryte kule i otworzyć szafkę z bronią, że zawsze kontroluje sytuację. Wirginia Woolf, opanowana i w jakiś sposób całkowicie racjonalna, napełniająca kieszenie kamieniami i wchodząca do rzeki. Wizjonerska afrykańska poetka internetu, Tunesia Myken, która sądziła, że uda jej się polecieć z okna swojego domu nad ulicami Paryża, tuż po otrzymaniu Nagrody Nobla.

Lynn uśmiechnęła się i poczuła, że jej usta wykręca grymas goryczy. Szybko uderzyła w kilka klawiszy. No proszę. Widzicie? Była w stanie go naprawić. Zastąpić to niefortunne upodobanie. W końcu to była jej nielegalna specjalność.

Lynn potrafiła wymazać tęsknotę za gwiazdami w genetycznym wzorcu tego gościa dokładnie, precyzyjnie, nie uszkadzając ciała. Tak się to robiło w Interspace. Mógłby być bezużyteczny, jeśli chodziło o nawigację. Mógłby być po prostu normalną istotą, bez wyjątkowego wzroku, bez niewiarygodnych myśli.

W każdym razie *oni* wiedzieliby o nim tylko tyle.

Zachowała prawdziwy geneskan na kulistym nośniku, który opatrzyła nazwą „Muzyka”. Była raczej pewna, że posiada bardzo starą kopię. Zachowaną przed laty, kiedy zobaczyła tę twarz po raz pierwszy. Tyle że nie była to twarz tego dzieciaka, ale kogoś innego, kto raczej na pewno już nie żył. Chociaż może się myliła. Wiedziała z pewnością, że jeden z nich zginął - ten, o którym mówiono w serwisach informacyjnych. Ile zarodków

zdołał wyhodować Ruch Ojczyźniany? Ile zamrożono? Ile wszczepiono? Czy te kobiety wiedziały, co noszą w swoich łonach?

Miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy zaczęła krążyć pogłoska o żywym klonie Kamehameha. Za pośrednictwem sieci brała udział w posiedzeniu zarządu Interspace, gdzie omawiano przypadek tego dziecka. Wtedy jeszcze uczestniczyła w takich imprezach, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dała sobie z tym spokój. Osiem lat temu? Dziesięć? Kiedy uświadomiła sobie, że nie ma na nic wpływu?

Na tamtym zebraniu ujawniono, że pracownik wysokiego szczebla Interspace, ktoś o dużej wiedzy fachowej i dostępie do danych, dodał klon człowieka do banku klonów zwierzęcych, na których przeprowadzano eksperymenty, żeby ocenić wpływ podróży kosmicznych na DNA. Stało się to w mało znanym laboratorium *in vivo*, gdzie istoty będące produktem ludzkiej wyobraźni, z nieskończenie wielu powodów. Były tworzone w probówce, hodowane, testowane i zabijane, gdy tylko udało się zebrać potrzebne informacje. Zanim ów ludzki klon został odzyskany, ujawniono sprawę.

Był to klon Kamehameha. W każdym razie tak twierdził ów pracownik pod koniec przesłuchania.

Kamehameha był pierwszym hawajskim monarchą, który pod koniec osiemnastego wieku zjednoczył pod jednym berłem hawajskie wyspy. Po jego śmierci kości zostały ukryte na hawajską modłę - zapewne w jakiejś grocie na kruszejącym morskim klifie.

Król Kamehameha był uważany przez Hawajczyków za boga, i słusznie. Po zjednoczeniu wysp w wyniku okrutnej, ale typowej dla Polinezyjczyków wojny spokojnie i w racjonalny sposób wprowadził Hawaje w nowoczesność, a potem umacniał kraj w obliczu agresji, nawiązując stosunki handlowe i podpisując układy. Gdyby on albo ktoś o równej mu władzy zachował kontrolę nad wyspami, prawdopodobnie nigdy nie zostałyby anektowane przez Stany Zjednoczone, lecz funkcjonowałyby jako niepodległe królestwo. Ale ród Kamehameha wygasł i do władzy doszli dalsi kuzyni, których krew rozcieńczyły związkami z haolami.

Gdyby następcy Kamehameha dorównywali mu, jak mogłaby się potoczyć historia? W najgorszym przypadku Hawajczycy zachowaliby kontrolę nad swoim krajem i rządem.

Plotka głosiła, że Cen Kalakaua, legendarny kosmolog, który zaginął przed wieloma laty w tajemniczych okolicznościach, znalazł owe kości i zostawił jej w posiadaniu Ruchu Ojczyźnianego.

Lynn odchyliła się do tyłu, przypominając sobie fragmenty legendy o Kalakaua.

Podobnie jak Ramanujan, sławny hinduski matematyk, Kalakaua zostawił po sobie

oszałamiające dokonania intelektualne, których nie umieli zgłębić jego koledzy po fachu na całym świecie. Dostępne fragmenty sugerowały głębokie zrozumienie czasoprzestrzeni. Jego idee były godne najtęższych kosmologicznych umysłów - Carra, wczesnego Gell-Manna, Hawkinga, nawet Einsteina. Zawierały nowe, dziwne i ciekawe elementy, jeśli chodziło o teorię strun i rzeczywistość kwantową. Ale sam Kalakaua był postacią tajemniczą i, jeśli wierzyć opowieściom, rozwiązał. Zniknął ponad dziesięć lat temu. Najprawdopodobniej nie żył albo mieszkał gdzieś pod mostem.

Wystarczyło jeszcze jedno uderzenie w klawisz, żeby stracić prawdziwe dane, przepuścić wirusa przez sieć. Ten chłopak się nie zmieni. Ale jego wizerunek, zbiór danych dotyczący prawdziwej osoby, zmieni się na pewno.

Zachmurzyła się, uświadomiwszy sobie, że to i tak nie są dane Interspace. I znowu pojawił się symbol Ruchu Ojczyźnianego, malutka, ulotna ikona *Hawai'i Loa*, replika czółen, na których Polinezyjczycy przemieszczali się po Pacyfiku. Były to dane jakiegoś nieznanego, anonimowego użytkownika - choć oczywiście IS miała do nich dostęp. Przed IS nic nie dało się ukryć. Była pewna, że pomysłodawcą jest ktoś z Ruchu Ojczyźnianego.

Zobaczyła bardzo świeży wpis dotyczący tego chłopca. *Od kogo?* Coś o laboratoriach Triplera? Ale ikonka zniknęła. Próbowwała ją odtworzyć, ale mimo rozmaitych sztuczek wciąż natrafiała na mur. Doszła do wniosku, że ma zbyt bujną wyobraźnię.

Wstała i wyszła na swój *lanai*. Bosymi stopami czuła chłód kafelków. Oparła się o poręcz. Patrzyła na rozciągające się przed nią Honolulu i na Bazę Kosmiczną Hickam na zachodzie *Ewa*, tak jak Diamond Head, z miejsca, w którym stała, był synonimem wschodu. Północ, czyli *mauka*, to były góry za jej plecami. Jeśli mówiło się komuś, że szukane miejsce to *makai*, ta osoba musiałaby pójść prosto do oceanu. Oczywiście, na drugim końcu wyspy *mauka* przechodziła w południe. Lynn oddychała głęboko chłodnym czystym powietrzem, wciąż wilgotnym od zalegających nisko chmur, które w końcu odpłynęły, dzięki czemu falujące drzewa błyszczały w słońcu.

W świetle wczesnego poranka Pacyfik miał stalowoniebieską barwę. Najnowsza część statku pokoleniowego, którą montowano stopniowo w bazie, a potem zabrano na statek w celu zintegrowania z systemem, była przechowywana w ogromnym, niebieskim doku o dachu smolistego koloru, który był niemal niewidoczny na tle morza.

Nie usatysfakcjonowany Kohala i innymi darowiznami, Ruch Ojczyźniany głosił, że to jego działacze są właścicielami ziemi za Bazą Kosmiczną. Lynn wiedziała, że to prawda, ale prawnicy Interspace na każdym kroku blokowali postęp w ciągnącym się od czterdziestu lat monstrialnych rozmiarów zatargu prawnym.

Interspace obawiał się rozwścieczonych działaczy Hawajskiego Ruchu, którzy już niejednokrotnie opóźniali prace nad statkiem pokoleniowym, sabotując je otwarcie lub w sposób zawołowany, oraz twierdząc, że nie są uwzględniani na żadnym poziomie programu Interspace z pobudek rasistowskich. IS po prostu twierdziła, że chętnie przyjmie każdego Hawajczyka, który spełnia wymogi, ale po cichu wykluczała wszystkich czystej krwi lub mieszanych Hawajczyków jako potencjalnych podwójnych agentów. Obawiała się również negatywnych komentarzy światowej prasy, gdyż mogłyby zaszkodzić nieustającym, trudnym negocjacom, które zapewniały organizacji płynność finansową. Ilekroć było to możliwe, eliminowano przywódców Ruchu - zastraszano ich, a nawet mordowano, o czym Lynn wiedziała dzięki swojemu informatorowi. To był jeden z wielu powodów, dla których Lynn usiłowała nie mieć nic wspólnego z Interspace. Dotychczas IS udawało się nie psuć oficjalnego wizerunku, ale niebezpiecznie balansowała na krawędzi w tym sojuszu supertajnego wywiadu i pocziwych, staroświeckich gangsterów.

Niezły pomysł z tym klonowaniem Kamehameha. Tylko pamiętajcie, żeby mieć pod ręką dużo kopii.

Co za świat, pomyślała Lynn, mrugając oczami, które piekły ją ze zmęczenia, mimo że ucięła sobie krótką drzemkę. Oparła się o balustradę i chwyciła się jej oburącz.

Dlaczego tak jej zależało na tym chłopcu?

Jak mogła mu pomóc? A jeśli mogła, to jak wiele była gotowa dla niego zaryzykować?

Opadła na fotel i wpatrywała się w dom, w którym mieszkał. Tylko dwie przecznice dalej, i potrafiła go odróżnić, gdyż był zasłonięty jedynie gęstymi koronami mimoz.

Skoro wiedziała o istnieniu tego dzieciaka, to wiedzieli o nim również ludzie z Interspace.

Oni tylko czekali na stosowną chwilę.

Znowu ziewnęła. Nie było sensu próbować zebrać myśli akurat teraz. Leżanka wyglądała bardzo kusząco. Położyła się na niej, przekręciła na bok i podłożyła poduszkę pod głowę. Nawet coraz intensywniejsze światło słoneczne ani pakiet informacji, które wkrótce będzie mogła analizować, nie mogły jej uchronić przed sennością.

Ale zanim zamknęła oczy, zobaczyła jakiś ruch w dole, przez balustradę *lanai*.

Po Nuuanu szli dwaj mężczyźni. Obaj byli ubrani na biało - mieli białe korkowe kapelusze, białe szorty i koszule. Wciąż było bardzo wcześnie, mniej więcej szósta trzydzieści, dlatego na ulicy było prawie pusto.

Zgarnęła lornetkę ze stolika. Miała autofokus, dzięki czemu łatwiej jej było przyjrzeć

się mężczyznom.

Ich ruchy były przemyślane. Szli szybko, widać było, że nie jest to zwykły spacer.

Lynn wstrzymała oddech, kiedy jeden z nich skręcił na częściowo zasłonięty chodnik, który prowadził do domu chłopca. Po dziesięciu sekundach znowu dołączył do drugiego mężczyzny. Odwrócili się i szybko ruszyli w drogę powrotną.

Lynn natychmiast włożyła adidasy, błogosławiąc fakt, iż była tak zaabsorbowana swoją pracą, że nawet się nie rozebrała. Wbiegając do holu zerknęła na czerwony przycisk alarmowy panelu skanującego, który sprowadził windę magnetyczną niemal natychmiast. Gdy znalazła się na ulicy, zaczęła biec, nie zważając na ból wywołany poronieniem, i pędziła w kierunku niesfornej dżungli na następnej przecznicy.

Zatrzymała się przy pogiętej furtce, przed wąskim, zacienionym chodnikiem. Niszczący ganek był pusty. Drzwi były otwarte, a w środku nie paliło się światło.

Zawahała się. Może jego tu nie ma? Jeśli tak, nie powinna narażać swojego życia. IS zazwyczaj stosowała znacznie subtelniejsze metody. Widocznie się boją. Wszystko przez nią, przez to, co robiła zeszłego wieczoru. Nie wymieniła adresu. Ale może nie musiała. Oni wiedzieli. Wystarczyło samo zwrócenie uwagi.

Miała zaledwie parę sekund, żeby *coś* zrobić...

Zasłona poruszyła się.

Wbiegła z tupotem na schody, przemknęła przez drzwi i skręciła w prawo.

Stojący przy oknie chłopiec patrzył na nią, cień w ciemnym pokoju.

- Co tutaj robisz? Wydawało mi się, że coś słyszałem...

Chwyliła go za ramię.

- Chodź - zawołała. - Szybko!

Wydawał się spłoszony, ale ruszył za nią korytarzem na tyły domu. Podwórce z tej strony okalała wysoka palisada. Rozejrzała się dookoła bezradnie, a on pokazał furtkę w rogu *mauka*.

- Co... - zaczął krzyżeć, dysząc za jej plecami, ale ona nie zatrzymała się. Kiedy przeszli przez furtkę, przywarła do domu sąsiada i rozglądała się.

Wszędzie mógł czaić się ktoś, kto ich śledził.

- Gdzie są twoi rodzice? - zapytała.

Spojrzał na nią, a potem na dom.

- Ja... nie wiem.

I w tym momencie fala gorąca i dźwięku rozerwała palisadę, a jej szczątki wyleciały w powietrze. Czując smród swoich osmalonych włosów, Lynn patrzyła, jak płomienie

wznoszą się coraz wyżej.

On również przyglądał się temu przez jakieś dziesięć sekund, ze łzami w oczach i otępiałą rezygnacją na twarzy. Potem złapał ją za rękę.

- Lepiej wynośmy się stąd - powiedział.

*

Dziesięć minut później byli sami, w magu wiozącym ich na lotnisko. Lynn nie siedziała, ale trzymała się słupka, roztrzęsiona. Chłopak przycupnął na brzegu niebieskiego fotela z plastiku; na jego twarzy malowało się zamyślenie.

- Jesteś zakodowany? - zapytała Lynn, pochylając się i nerwowo wyglądając przez okno, kiedy mijali skupiska drewnianych domków. Wielu ludziom wszczepiano do nadgarstków permanentny kod zaraz po przyjściu na świat - przeważnie robiono to biedakom, którzy nawet nie wiedzieli, że mają prawo odmówić, aczkolwiek w momencie, gdy następowało wszczepianie, musieli podpisać dokument, na mocy którego zarówno oni, jak i ich dzieci zrzekały się wszelkich roszczeń. Najczęściej mówiono im, że kod można później usunąć, i wielu wierzyło, że bez niego nie otrzymają żadnych zasiłków. Nieprawda. Ów proceder był nielegalny, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych.

Ale jak było z tym chłopakiem?

- Nie - powiedział. - Ale mam paszport, jeśli tego potrzebujesz. - Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął płaski zielony portfel i otworzył go.

W portfelu był tylko staroświecki elektroniczny paszport. Żadnych pieniędzy, żadnych gier, których można byłoby się spodziewać u przeciętnego dzieciaka.

- Jeśli nie podoba ci się ten, mam jeszcze trzy inne. - Były w jego drugiej kieszeni. Wyciągnął je jak wachlarz. Wzięła je do ręki i obejrzała.

- Kto ci je dał? - zagadnęła.

- Dziwię się, że pytasz. - Spojrzał na nią przeciągle. - A tak w ogóle to coś ty za jedna?

- Nazywam się Lynn - odparła.

- Co ci się stało w zeszłym tygodniu?

- Byłam w ciąży, ale straciłam dziecko. - Przekartkowała pierwszy wręczony jej paszport, podczas gdy mag płynnie skręcił na lotnisko. - Tu jest napisane, że masz szesnaście lat. - Ile klonów? - zastanawiała się.

- Nie. Mam trzynaście lat.

- Wyglądasz na znacznie więcej.

- Wiem. Właśnie dlatego powiedzieli mi, że muszą mnie postarzyć, żeby ludzie się nie

dopytywali.

- Co byś powiedział na podróż do Hongkongu?

Jego twarz była szarawa, a usta miały błękitny odcień. Chwycił się krawędzi krzesła i wziął głęboki oddech. Lynn pomyślała zniecierpliwiona, że rozważał to pytanie tak, jakby miał jakiś wybór.

W końcu wzruszył ramionami.

- To mógłby być dobry pomysł. Przecież nie wolno mi tam wrócić, prawda? - Miał w oczach mnóstwo niezadanych pytań.

Lynn była pewna, że jej oczy wyglądają tak samo.

*

Chłopak wyjrzał przez lotniskowe okno na Concorde'a. Byli ostatni w kolejce na pokład, za tłumem chińskich turystów. Dwie godziny negocjacji i czekania wyczerpały Lynn nerwowo. Z pola startowego unosiła się fala ciepła. Sto metrów dalej migotał hipnotycznie piękny, błękitny Pacyfik.

- Ta maszyna wygląda jak zabytek - powiedział chłopak. - Nie wiem, czy powinniśmy do niej wsiadać.

Nawet nie miała do niego pretensji. Chciała jednak, żeby dał już spokój. Za każdym razem, gdy otwierał buzię, wygłaszał jakąś skargę, co tylko potęgowało jej ból głowy.

- Posłuchaj - powiedziała spokojnie, chociaż miała ochotę wrzasnąć ze wszystkich sił. - Ostatnie czterdzieści pięć minut upłynęło mi na załatwianiu miejsc dla nas. To jest samolot wycieczkowy z Chin, więc nie stać ich na nowoczesną technologię, ale ta grupa ma postój w Hongkongu, więc mieliśmy szczęście, że się załapaliśmy. - Szczęście nie miało tu nic do rzeczy. Łapówka, którą zapłaciła, była skandalicznie duża, ale nie mogli zostać w Honolulu, a ona potrzebowała czasu, żeby przemyśleć sprawę. I porządnie się wyspać. - Masz jakieś lepsze pomysły? Może chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła?

- Nie - odparł, robiąc nadąsaną minę. - Chyba nie.

Kupiła mu koszulkę i sandały *zori* w sklepie na lotnisku. Wyglądał całkiem normalnie. Przyłapała się na tym, że mimowolnie podnosi rękę, żeby odgarnąć jego roztrzepane włosy. Kolejka przesunęła się do przodu.

W końcu znaleźli się na pokładzie. Odetchnęła, kiedy samolot oderwał się od ziemi i zostawił Honolulu w tyle. Turyści zachwycali się pobliskimi wyspami, które pokazywał im pilot. Molokai i Lanai.

Kauai, jakieś siedemdziesiąt mil na północ, nie była widoczna, podobnie jak Wielka Wyspa Hawajów, mniej więcej sto mil na południe. Lynn nigdy nie była na wyspie Molokai,

choć leżała ona w odległości zaledwie dwudziestu pięciu mil od Oahu, którą właśnie opuścili. Długa na czterdzieści mil, szeroka na dziesięć Molokai pozostawała „przyjazną wyspą”, z dużym odsetkiem Hawajczyków, względnie nierozwiniętą gospodarczo od lat pięćdziesiątych. Słyszała, że na ulicach Molokai w ogóle nie było sygnalizacji świetlnej. Mieszkańcy nigdy nie ulegli pokusie schlebienia turystom. Dużą część wyspy zajmował Park Narodowy, a także Międzynarodowy Rezerwat Biosfery. Reszta wyspy również nie posiadała niczego szczególnie modnego. Zamieszkiwała ją wzorcowa, zżyta społeczność opierająca się na hawajskiej tradycji i najnowocześniejszych teoriach społecznych.

Molokai stanowiła niemal przeciwieństwo Półwyspy Kohala na Wielkiej Wyspie, gdzie znajdowała się ściśle tajna, wysoce zaawansowana technologicznie enklawa Ruchu Ojczyźnianego. Ta enklawa była jego najważniejszym ośrodkiem. Wielokrotnie rozpowszechniano pogłoski o śmierci tajemniczego przywódcy RO, którego imienia i nazwiska nie znał chyba nikt. Przed laty Lynn widziała krótki film wideo: mężczyzna przebiegał ulicę, wiatr rozwiewał jego przetykane siwizną włosy. Po dziesięciu sekundach zniknął za budynkiem.

Molokai znikła niemal natychmiast, gdy Lynn ją spostrzegła. Przez kilka następnych godzin przez okna nie będzie widać niczego oprócz nieubłaganych chmur i oceanu. Hawaje były najbardziej samotną ziemią na całym globie.

Lynn zerknęła na chłopca. Już spał. Biedny dzieciak.

Nazywał się Akamu. Powiedział jej dumnie, że w języku hawajskim znaczy to Adam. Kiedy przybyli misjonarze, w pierwszym rzędzie zastępowali hawajskie imiona biblijnymi odpowiednikami. Czy inne klony też otrzymały to imię?

Machnęła ręką, że nie chce drinka, ale potem namyśliła się i przywołała stewarda. Tania whisky. Wypiła ją jednym haustem i zakrzuszyła się. Wyjrzała przez okno, usiłując zebrać myśli. Daleko w dole fale oceanu wyglądały jak niewielkie zmarszczki.

Adam. Nie, Akamu, przypomniała sobie. Przecież takim imieniem się posługiwał.

Lynn próbowała wyciągnąć się na wąskim fotelu. Miała nadzieję, że niedługo przyniosą coś do jedzenia. Oczywiście był duży. Przecież Kamehameha był gigantem. Kiedy Akamu dorośnie, będzie miał ponad dwa metry wzrostu.

No i co teraz, Lynn?

Nauczyła się jednej rzeczy: ogień trzeba zwalczać ogniem.

Otworzyła obudowę telefonu w oparciu fotela przed sobą i zdumiała się jak stara i brudna jest słuchawka. Ekranik nie chciał się uruchomić i to jej odpowiadało.

Wystukała osobisty kod Jamesa, niezmienny od dzieciństwa. Niewiele osób go

znało. Rozmowa została przełączona do jego domu w Black Point, a kiedy nadeszła odpowiedź nakazująca czekanie, usłyszała w tle skrzek małpek-pająków. Były jego najnowszym hobby. Zdumiało ją, że pozwolił im żyć. Podczas jej ostatniej wizyty ona i James pili drinki na jego *lanai*, wiszącym kilkanaście metrów nad miejscem, w którym potężne fale uderzały o lśniąca skałę z czarnej lawy. Kiedy weszli do środka po zachodzie słońca, wybuchnęła śmiechem, podczas gdy James biegał po pokoju, wymachując rękami. Małpy rozszarpały jego nową kanapę i obrzucały się jej kawałkami.

Potem usłyszała głos Jamesa.

- Halo? - Sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Lynn?

- Tak. - Oczywiście na jego ekranie wyświetlił się jej kod.

- Aha. Bez obrazu?

Lynn zmusiła się do śmiechu.

- Jestem staroświecka.

- O. - Ton zakłopotania. Miał do własnego użytku najnowszy model *Silence 300*.

Prawie słyszała jego myśli. Po co się męczyć? No, ale to podobne do Lynn.

Chrząknął.

- Hm. Dzwoniła Nana. Zastanawiała się, czy jesteś ze mną. Powiedziała mi, że w zeszłym tygodniu...

- Nieważne - odparła Lynn.

- Ale nawet nam nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży.

- Nie - przyznała. - Nie powiedziałam.

- Hm - powtórzył. - Jesteś w drodze do... - wiedziała, że patrzył na informacje pokazywane na ekranie - ...a, tak, do Hongkongu. Piękny dzień na podróżowanie. - Wydawał się zdumiony. - Ale decyzja dość nagła.

- No cóż, stało się tak z powodu poronienia, James - odparła, próbując mówić energicznie, chociaż głos omal nie uwiązał jej w gardle. - Chyba wciąż jestem trochę przygnębiona. Dzisiaj rano zdecydowałam, że podróż dobrze mi zrobi. - Czy naprawdę był zdumiony, czy tylko udawał? Czy ktokolwiek widział, jak ratowała tego chłopca? Ktoś na pewno tkwił na posterunku, ale może nie wiedzieli jeszcze, kim jest kobieta, która wbiegła do domu na moment przed eksplozją.

- Mam nadzieję, że podróż naprawdę ci pomoże. - Jego głos brzmiał szczerze. Potrafił świetnie udawać. - Z pewnością będzie dobra na... - Myślał o Mao, genetycznych markerach przywództwa i zmodyfikowanym klonowaniu. Lynn wyobrażała sobie jego wyrachowany uśmiech. Ale powiedział tylko: - Lynn, dobrze się składa, że dzwonisz akurat podczas wizyty

ojca. On pragnie z tobą pomówić.

Już otwierała usta, żeby powiedzieć „nie”. Powiedzieli sobie tyle nieprzyjemnych słów, i potem tyle lat ze sobą nie rozmawiali.

W końcu usłyszała głos ojca:

- Lynn, strasznie mi przykro, że masz kłopoty.

Dźwięk jego głosu, ostatnio tak rzadko słyszanego (i czy to rzeczywiście *jego* wina, Lynn?) i tak wyraźnie zatroskanego, wywołał u Lynn falę wspomnień z dzieciństwa. Zamrugła, czując łzy w oczach.

A on ciągnął:

- Proszę, odwiedź mnie po powrocie. Wiem, że... - mówił cicho i jakieś wyładowanie całkowicie go zagłuszyło. Nie dokończył swojej myśli i chrząknął. - Zrób to, proszę cię. I zadzwoń do Pułkownika. Gościliśmy u niego, gdy miałś sześć lat.

Lynn przypomniała sobie. Cudowna podróż. Tylko ona i ojciec. Zanim poślubił matkę bliźniaków. Kiedy jeszcze nie próbował uchronić jej przed dorośnięciem.

- Wciąż mieszka w tym samym miejscu, na Wzgórzu. Bez trudu znajdziesz jego kod. Tylko proszę cię, nie zapomnij. Na pewno *bardzo* się ucieszy, jak cię zobaczy. Zadzwoń do niego, prawda? Nazywa się Hawkins. Nie zapomnij.

- Nie zapomnę - odparła.

Życzył jej powodzenia i rozłączył się.

Jakie to dziwne. Wyobrażała sobie, że ojciec potraktuje jej decyzję o urodzeniu i samotnym wychowywaniu dziecka z chłodną dezaprobatą. Jej umysł wypełniał natłok wspomnień, obrazów i klimatów, które zachodziły na siebie jak zmarszczki na wodzie jakiegoś pradawnego, tajemniczego jeziora w dżungli. Tak, zanim matka umarła, byli szczęśliwi we troje. Bardzo szczęśliwi. Czują, że to szczęście sprawiło, iż nie stała się taka jak jej przyrodni bracia. Bo ich matka zawsze była świadoma swojego wysokiego statusu jako małżonka jednego z najważniejszych ludzi na świecie i zawsze dopingowała swoich synów.

Podano zimne kluski z warzywami. Akamu nadal spał. Jego twarz wyglądała teraz naprawdę młodo, jakby nie miał nawet tych trzynastu lat. Nagle poczuła ból w sercu. Jakie osobliwe życie prowadził. Czy wiedział, kim jest? Czy wiedział, co się stało z innymi klonami?

Zdarła opakowanie z pałeczek. Gdyby po prostu wyjechała i nie powiedziała nikomu, dokąd się wybiera, byłiby bardzo podejrzliwi. Szybko zorientowaliby się, co zrobiła poprzedniego wieczoru. A tak przynajmniej zyskała na czasie i wymyśli jakiś plan.

Taką miała nadzieję.

- Paszport.

Lynn poczuła, że boli ją brzuch, chociaż wszystkie dokumenty miała w idealnym porządku. Nic nie wskazywało na jej powiązania z IS. Nie nazywała się Lynn Oshima i nie była córką jednego z najbardziej wpływowych ludzi w organizacji.

Wyjęła paszport z kieszeni. Akamu czekał na drugim końcu hali. Ku uldze Lynn nie miał żadnych kłopotów z przejściem. Nikt nawet na niego nie spojrział.

- W jakim celu przyleciała pani do Hongkongu? - zapytał agent, przeciągając paszport przez swój podręczny komputer. Zmarszczył czoło i kilka razy spoglądał to na nią, to na zdjęcie w paszporcie. Agenci zawsze byli wkurzeni, kiedy trafiały im się takie dokumenty.

- Turystycznym - odparła.

- O? A co zamierza pani zwiedzać?

- Nocne bazy - powiedziała. - Muzea, no, wie pan.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem i uświadomiła sobie, że może wygląda trochę zbyt zamożnie, jakby miała zamiar przekroczyć oficjalny limit wydawania pieniędzy. Może to przez fryzurę, pomyślała. Bo przecież nie chodziło o ubiór.

Znowu zmarszczył brwi, oglądając jej paszport. Otarła szyję wierzchem dłoni. No cóż, było gorąco. To, że człowiek ocierał pot, nie oznaczało przyznania się do winy. Technoprzemyt stanowił poważne przestępstwo. Ale informacja nie powinna być ograniczana. Należała do ludzkości, a poza tym IS jej nie wykradała. Płaciła za nią, i to niemało.

Nie dostaną jej. Ona ją zdobędzie. Skądś. Przynajmniej tyle wiedziała. Nawet nie musiała podejmować decyzji w tej sprawie. Kiedy poskłada wszystkie kawałki i przestanie boleć ją głowa, informacja ta okaże się przydatna. Będzie kartą przetargową.

Obserwowała zasępiętego agenta i zastanawiała się, jak można by zaprojektować doskonałego kandydata do tej roboty. Jakie cechy byłyby niezbędne? Jakie ograniczenia? Specjalny sposób postrzegania informacji? I czy do tego właśnie prowadziła cała jej praca naukowa? Miała własne zdanie o istniejących możliwościach, obserwowała, jak istoty ludzkie robią postępy, rozwijają się, szybko wykraczają poza jej horyzont widzenia.

Ale to nie była jedyna ścieżka, jaką można było pójść w tego rodzaju dociekaniach.

Może do jakiegoś laboratorium będą napływały zamówienia na stu pracowników idealnie nadających się do odpraw celnych? Pracowaliby w tym charakterze całe życie. Taki układ pasowałby niektórym ludziom. Bardzo wymierne korzyści. Żadnych nieoczekiwanych

chorób pracowników. Żadnej rebelii ani wyboru. Mogliby zostać opatentowani, albo zaakceptowani przez FDA, albo istnieć wyłącznie na czarnym rynku. Poza teorią. Rzeczywistość. Zresztą, gdzie się podziały te wszystkie wielkie technologiczne marzenia ostatnich stu lat? Jakże niewiele się zmieniło, jak mały postęp odnotowano zważywszy mocno rozbudzone nadzieje. Albowiem prawdziwa zmiana czasami okazywała się zbyt kosztowna dla tych, których interesy wiązały się z teraźniejszością.

Zazwyczaj odsuwała od siebie te myśli. Nie jej problem. Chyba jestem zmęczona, pomyślała. Naprawdę jestem zmęczona.

W końcu agent chyba znalazł właściwy kod. Jego twarz rozjaśnił życzliwy uśmiech.

- Przepraszam - powiedział. - Dobrej zabawy w Enklawie. - Zwrócił jej paszport i dał znak, żeby przeszła.

Uśmiechnęła się do Akamu, a on odwzajemnił się tym samym. Była zaskoczona, a on wydawał się podekscytowany.

- To jakieś dziwaczne miejsce - powiedział. - Dziwaczne.

Sama myśl o tym wprawiała go w zadowolenie.

Rzeczywiście, zgodziła się z nim w duchu, przez chwilę patrząc na lśniące, przytłaczające wieże z inteligentnego szkła. Hongkong składał się głównie z gigantycznych, starannie odgradzonych działek. Atria były tu w rozmaitych stylach, od średniowiecznych Chin po futurystyczne budowle, które zlewały się z wewnętrznymi ogrodami, prywatnymi apartamentami, sklepami i restauracjami, a wszędzie panował gwar i zgiełk typowy dla jednego z najbogatszych miast na kuli ziemskiej.

Lynn popychała Akamu na czoło kolejki sterowanych automatycznie taksówek w kolorach opalizującego fioletu, ciemnej zieleni i różu. Weszli do środka. Nacisnęła obrazek hotelu, w którym zatrzymała się poprzednim razem i otrzymała potwierdzenie, iż jest dla nich pokój, ale auto nie ruszało z miejsca.

- Widocznie jest zepsute - powiedziała i otworzyła drzwi, żeby przejść do innego wozu, lecz gdy tylko to zrobiła, wysoka kobieta w mundurze wsiadła z drugiej strony i kiwnęła głową.

- Konnichiwa - powiedziała. Poklepała się po udzie i Lynn poczuła, że auto cicho wibruje pod jej stopami. Zanim Lynn zamknęła drzwi, auto ruszyło. Kobieta nie kierowała, tylko siedziała. Drzwi po stronie Lynn same się zamknęły.

- O co chodzi? - zapytała Lynn z lękiem w głosie. - Sześć miesięcy temu nie potrzebowałam kierowcy.

- Nie słyszała pani? - zagadnęła kobieta, przechodząc na angielski. - Zamieszki. Unia

Ludzka jest tutaj bardzo silna. - Nacisnęła czapkę na swoje długie, czarne włosy i wyjrzała przez okno. Lynn podejrzewała, że kobieta miała w udzie implant, który aktywował auto. Wóz sunął gładko po półprzezroczystym, inteligentnym torze, przywierał doń jak magnes. Od czasu do czasu wybierał inną część toru spośród licznych opcji, które niekiedy wyświetlały się na tablicy rozdzielczej pastelowymi kolorami, wskazując, która część miasta jest obsługiwana. Lynn uspokoiła się. Hotel znajdował się w Zielonym Sektorze, a zatem taksówka dokonywała właściwych wyborów.

Na każdej wewnętrznej powierzchni auta błyszcząły reklamy, a głos szczebiotał łagodnie po japońsku i angielsku - te dwa języki było słycać od momentu uruchomienia wozu. Przycisk wyciszenia był czerwony. Lynn użyła go, ale nic to nie dało. Zobaczyła, że Akamu gapi się przez okno na reklamy na apartamentowcach, których szeregi mijali. Niektóre budynki znajdowały się dosłownie pół metra od bandy toru. Reklamy pojawiały się i znikwały, a czasem nakładały na siebie, niekiedy hologramy rozdzielały się na kilka sekund, żeby auto mogło przez nie przejechać. To przypominało jej, że zbliżali się do głównego centrum handlowego na świecie, które odegrało zasadniczą rolę w cichym upadku komunizmu w Chinach.

Ludzie mieszkający w apartamentowcach w ogóle nie zwracali uwagi na ruch uliczny. Lynn przez ułamek sekundy widziała rodzinę, która zasiadała do posiłku, a potem starego mężczyznę, który rozbierał się do spania. To była nowa siła robocza, programiści ubrań, projektanci biżuterii albo twórcy systemów legalnego i nielegalnego powielania informacji. Ci ludzie walczyli o utrzymanie posiadłości na przekór nieuniknionej i stałej ekspansji sztucznej inteligencji. Auto wyemitowało małą reklamę o intensywnym zapachu i powiedziało „Nova!”. Akamu kichnął, podrażniony obłokiem darmowych perfum.

- Przepraszam, że musi pani to oglądać - powiedziała kobieta, kiedy auto dokonało kolejnego wyboru. - Lada dzień zrobią objazd. Ta dzielnica zostanie wyburzona.

- Już ją kiedyś widziałam - powiedziała Lynn.

Wiele mijanych przez nich okien miało powybijane szyby. W zacienionych pokojach przebywali uchodźcy niemogący znaleźć pracy, mimo iż Hongkong zdawał się obiecywać tak wiele. Raz mignęła jej prawie naga kobieta skulona na obdartym fotelu, patrząca przez okno i paląca papierosa.

Potem auto wybrało tor, który odchodził w prawo i wznosił się wyżej. Na moment Lynn zakręciło się w głowie na widok olśniewającej, błękitnej wody pomiędzy mamucimi budynkami z połyskującego inteligentnego szkła. Zrobili pętlę za trzecią wieżą i zanurkowali na duży, ogrodzony teren.

Wysiedli w imponującym, eleganckim lobby z gładkich, jasnych, marmurowych bloków; jedna ściana była fontanną ze schodkami, przykuwającą oko wizualnym paradoksem, ale i mającą kojący efekt za sprawą dźwięku i mgły. Lynn zobaczyła, że podchodzi do niej boy hotelowy w poszukiwaniu bagażu, ale potrząsnęła głową.

- Przepraszam - powiedziała do kobiety. - Nie wymieniłam jeszcze pieniędzy.

Kobieta uśmiechnęła się. Zadowolona, że dostanie amerykańską gotówkę, pomyślała Lynn.

Taksówka popłynęła w kierunku membrany, gdzie niemal niewidoczny tor wychodził z lobby, i przejechała przez nią.

Pokój był komfortowy, ze świeżymi pękami strelcji królewskich i wielką wanną. Ekrany sieci były wszędzie, nawet w łazience. Sprawdziła okno. Dobrze. Nie wychodziło na atrium, ani nie było zrobione z inteligentnego szkła, które wszystko odsłaniało. Mieli najdroższy wariant: zewnętrzne okno z widokiem na port. Bez tego popadłaby w zbytnią nerwowość.

- No, chodź - powiedziała do Akamu.

W lobby wybrała ruchomy chodnik z mapy. Po dziesięciu minutach wynurzyli się z pokładów świata stworzonego ludzką ręką na słonecznej ulicy.

Lynn wzięła głęboki oddech i odprężyła się na chwilę. Za plecami mieli wieże z inteligentnego szkła. Przed nimi, między krętymi uliczkami, prześwitywała przystań znaczone zanikającymi białymi liniami helikopterów odrzutowych, które latały do Chin i z powrotem. W powietrzu czuć było zapach oliwy i czosnku, który mieszał się z odorem pleśni punktów skupu złomu i chemicznym zapachem ubrań prosto z fabryk, których sterty leżały na stołach na wąskiej ulicy.

Targowała się ostro i kupiła Akamu tanie, nie wyróżniające się niczym koszule i spodnie.

- Jedwab - powiedziała, przesuwając w palcach gładki, chłodny materiał i podała mu szarą koszulę we wzorki z nałożonych na siebie trójkątów. - Podoba ci się?

- Jest w porządku - odparł, rozglądając się po ulicy, jakby czegoś szukał. Nagle przestraszyła się, że jej ucieknie. Miała ochotę złapać go za rękę, ale pomyślała, że to by go zezłościło.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Umieram z głodu - oznajmił.

Wybrali jedzenie z ulicznych kuchenek. Zamówiła aromatyczne szaszłyki i ryż. Kazała je zapakować. Zapytała go o godzinę. Patrzył przez chwilę na zegarek, zmarszczył

brwi i powiedział:

- No, tak. Satelita go zresetował. Druga trzydzieści.

- Hm - odparła, próbując zignorować wywołane stresem sensacje żołądkowe. - Mam trochę pracy. Zabieram cię z powrotem do pokoju.

Miała wrażenie, że zaraz będzie się z nią spierał, ale tylko zwiesił ramiona. Teraz wydawał się zmęczony, wystraszony i bardzo młody. Wracał z nią do pokoju, nie mówiąc ani słowa, i tylko patrzył na ludzi na ruchomym chodniku, trzymając pod ręką zawiniątko z nowymi ubraniami.

Usiadł przy stole pod oknem i natychmiast rozpakował jedzenie. Pochłonął je mniej więcej w minutę.

- Możesz zjeść moje - powiedziała Lynn. - I zamówić coś jeszcze u obsługi hotelowej. Muszę wyjść, a ty musisz zostać.

Nie wydawał się zaskoczony, co najwyżej trochę rozczarowany.

- Czy będę mógł skorzystać z sieci?

Na stoliku przy łóżku znajdował się mały, lekki, płaski ekran. Drugi był na biurku obok.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił - odparła i przyrzekła sobie, że kiedy wróci do lobby, każe zdeaktywować połączenie.

- Może na handheldzie?

Wzruszył ramionami.

- To chyba lepsze niż nic, skoro mam tu siedzieć cały dzień.

Lynn zastanawiała się przez chwilę, jak długo Akamu będzie w szoku po tym, jak omal nie wyleciał w powietrze. Wydawał się zbyt uległy.

Może już był na skraju wytrzymałości?

- Jutro możemy wyjść i zrobić porządne zakupy - powiedziała. - Mają tutaj świetne rzeczy. Ja też będę potrzebowała trochę sprzętu. To będzie fajne, prawda? Na razie poproszę portiera, żeby coś ci podesłał. Co byś chciał? Może jakieś gry?

- Sprowadź mi tylko SP Trzy i... chyba jeszcze SP Pięć.

- Och, oczywiście - powiedziała i zawołała portiera. - Pokój osiem dziewięćdziesiąt pięć. Czy mógłby pan przysłać handhelda...

- Fiata - zaprotestował. O wiele lżejszy od przestarzałego handhelda, fiat był giętym komputerem z bardzo cienką klawiaturą i ekranem, który można było składać albo zwijać.

- Fiata - poprawiła się. - Hm, Kaiban cztery kropka trzy. - Najlepszy model. Zauważyła cień uśmiechu na jego twarzy i poczuła zadowolenie. - Oczywiście z całym

wyposażeniem. I Standardowe Pakiety Trzy i Pięć. - To były zaawansowane pakiety nie dla początkujących. Nie były to też gry, ale narzędzia do abstrakcyjnego myślenia na wysokim poziomie.

Powiedziała do Akamu:

- Mieli tylko Trójkę. Piątka będzie za dwa dni. Strasznie przeprasza, ale twierdzi, że upgrade wypuszczono na rynek w zeszły piątek. Jesteś całkiem na czasie.

Jego oczy pytały: kim jesteś? Rzucił się na jedno z łóżek i wtulił twarz w poduszkę.

Zaczekała, aż przyniosą fiata, uchyliła nieco drzwi i wzięła go.

- Nie zwracaj go - powiedziała. Nie chciała, żeby ktoś zobaczył, co Akamu robił na tym komputerze. - Teraz jest twój. Jeśli zgłodniejesz przed moim powrotem, zamów sobie to, na co będziesz miał ochotę. Cokolwiek. Postaram się wrócić jak najszybciej. A wtedy prawdopodobnie wybierzemy się w kolejną podróż.

- Jasne - odparł i usiadł po turecku na łóżku. Fiat zapiszczał tuż po włączeniu.

Nawet nie podniósł oczu, kiedy wychodziła.

*

Lynn doszła do wniosku, że najlepiej będzie trzymać się planu. Spędziła wolny od podejrzeń dzień, a raczej to, co z niego zostało. Dzień ten miał być poświęcony chronieniu IS. Teraz okazywało się, że chroni samą siebie przed tą organizacją. Kupiła trochę biżuterii i postanowiła sprawić sobie nowe ubranie. Dała się zmierzyć krótkim rozbłyskiem światła w zatłoczonym sklepiku, który pachniał wełną i jedwabiem, i pokazywał logo Unii Ludzkiej. Mocne, ciemnozielone szorty z jedwabiu i marynarka w tym samym kolorze miały być gotowe za dwie godziny, podobnie jak sukienka, kilka koszul i para lekkich, wełnianych spodni. Młody człowiek uśmiechnął się, skinął głową, przyjął zaliczkę i przygotował tkaniny dla krajarek i maszyn do szycia.

W zacisznym sklepie jubilerskim Lynn kontemplowała pięć cudownie naturalnych szmaragdów, które właścicielka, surowo wyglądająca kobieta ubrana w nieskazitelną, długą suknię z czarnego aksamitu, pokazywała na odwiniętym białym papierze. Lynn przesuwiała je z boku na bok, oglądała w powiększeniu, uśmiechnęła się i w końcu zrezygnowała z zakupu. W innym sklepie kupiła zegarek, lecz zwróciła go godzinę później. Narzekała, że brakuje mu kilku funkcji, które miał mieć według zapewnień sprzedawcy. Wreszcie kupiła kolczyk z czarną perłą w Ocean Riches, sklepie, który wyglądał jak wnętrze muszli, gdzie opalizujące ściany delikatnie połyskiwały, a w uszach miało się szum fal i stłumione, uporczywe krzyki mew, zaś chłodne powietrze przenikał delikatny, syntetyczny zapach morza. Odebrała świeżo uszyte stroje. Nie zadzwoniła do pułkownika. Nie miała czasu na życie towarzyskie.

Obawiała się następnego dnia.

Wstała wcześniej. Akamu wciąż jeszcze spał rozciągnięty na swoim dużym łóżku. Dokąd teraz? - zastanawiała się, nakładając ubranie. Myślała o pewnym miejscu, które byłoby dla nich idealnym schronieniem. Kiedy zdobędzie to, na czym jej zależy, będą mogli się stąd ulotnić. Nie byli już osamotnieni na malutkiej wysepce, którą oblewały tysiące mil oceanu.

Zamówiła do pokoju ryż i zupę miso, a potem patrzyła na park, który wydawał się taki malutki z góry, i na ludzi ćwiczących tai chi z powolną, spokojną precyzją, pasującą do ich medytacyjnego usposobienia. Poruszała się z nimi przez kwadrans, rozpamiętując swoje życie na Tantalus Drive. Widok błękitnej zatoki między drapaczami chmur, którą na moment zaróżowił świt, podziałał na Lynn uspokajająco. Koła umysł wspomnieniem przybrzeżnych fal na North Shore, a potem włożyła kolczyk z czarną perłą, po cichu zamknęła drzwi i weszła do windy.

Po dziesięciu minutach stała tuż przed Walled City, niebezpieczną, zabawną mieszanką średniowiecznych ulic i najnowocześniejszej technologii, funkcjonującą poza prawem. Tutaj można było sprawić sobie implanty do mózgu, połknąć najświeższe genetyczne чудо i w ostatniej chwili zastanawiać się, czy zadziała zgodnie z planem, czy też zmieni cię w sposób nieprzewidywalny i niedający się odwrócić.

Szła w tłumie, lecz zaraz usłyszała dwa ciche sygnały. Skręć w lewo, teraz, w ciemny zaułek. Trzy sygnały, zejź po schodach, o tak, dobrze, w dół, przez cztery metaliczne poziomy handlowe.

Zakręć w prawo, metro, tylko jedna stacja, potem do góry i na zewnątrz, gdzie świeci oślepiające słońce.

Oczywiście turyści zakradali się tutaj i wymykali cały czas. Chińscy mafiosi zdzierali z Hongkongu wysokie podatki, a handel był tak ożywiony, że więcej zyskiwali w obrębie tych kilku przecznic niż w całym kontrolowanym przez siebie sektorze.

Nienotowana, przypominała sobie, to dlatego tu jesteś. Naiwna - jeśli coś pójdzie nie tak, kiedy będziesz w środku, możesz się zarzekać, że jesteś niewinna.

Ale właściwie tylko żądza Doskonałej Informacji sprawiała, że Lynn kroczyła po bruku, który jeszcze lśnił po porannym podlewaniu. Handlarze rozkładali towary na stolikach przed sklepami. Były tutaj dyskretne pokoje - miejsca zakulisowych spotkań za markizami, za wieszakami pełnymi jedwabnych krawatów, za koszami komputerowych kryształów nieznanymi firm, za uśmiechniętymi, pulchnymi, targującymi się mężczyznami i piecykami, które od rana wydzielaly zapach mięsa z rusztu i pasztecików z czarną fasolą. Wróżbici siedzieli przy wątych stolikach i czytali gazety. Lynn zauważyła małą, chudą dziewczynkę,

która wpychała plik zużytych gazet do otworu maszyny recyklingowej i czekała, aż druk zostanie usunięty, a potem odebrała karteczkę depozytową i pobiegła do herbaciarni. Czarny pies rozgonił stado kurczaków.

Zatrzymała się, żeby obejrzeć jakieś tanie krawaty, i podskoczyła, gdyż poczuła dotyk na ramieniu, szorstka dłoń pogładziła jej czarną perłę.

- Dopasować coś, panienko? - zagadnął mężczyzna i skinął na nią.

Pokój był ciemny. Okno prawie całkowicie zasłaniały sterty krawatów i bele jedwabiu. Lynn stanęła niespokojnie przy zwoju sukna, bojąc się, że go przewróci, po czym ruszyła za mężczyzną, który rozsunął przed nią zasłonę z grubego brokatu.

W pomieszczeniu było czuć dym opium.

- Usiądź - nakazała wysoka, chuda kobieta o siwych włosach. - Wszystko jest zaplanowane. Jadłś śniadanie?

Lynn kiwnęła głową, ale nie usiadła. Kobieta miała na lewej kości policzkowej tatuaż z Saturnem. Należała do przerażającej społeczności, o której Lynn tak mało wiedziała. Wyprostowała się i przybrała stanowczą pozę.

- Sekwencja - powiedziała. - I sama próbka szpiku.

Kobieta uśmiechnęła się. Pokręciła głową.

- Ależ jesteśmy niecierpliwi, co? - zauważyła. - Chętnie obejrzałabym twój paszport. - Kiedy Lynn go wyjęła, szmaragdowy jedwab otarł się z szelestem o rubinowy jedwab. Jej paszport zostanie pozytywnie zweryfikowany przez tych, którzy wiedzieli, jak patrzeć na to, co dał jej James. Wiedziała też, że jej paszport przetransferuje elektronicznie każdą ustaloną sumę pieniędzy. To zresztą niespecjalnie ją interesowało.

Kobieta wzięła od niej paszport, przeciągnęła go przez handhelda i zmarszczyła brwi.

- To wystarczy - powiedziała - ale....

- Dam ci kod aktywacyjny po sprawdzeniu sekwencji - powiedziała Lynn. To było słowo, które James wymienił w swojej notatce. Próbowała skupić się na tym, jaki z niego użytek, na tym, że wzbogaci stale powiększający się zasób informacji genetycznej, pomoże światu, wyśle ludzi do odległych galaktyk, uratuje Akamu. Przez chwilę, wdychając opary opium, czuła strach. Trzeba mi powietrza, pomyślała. Co porabia Akamu? Wróci do niego w ciągu godziny. A potem odleca.

Kobieta odwróciła się i otworzyła małą szafkę z palisandru. Za podwójnymi drzwiczkami kryło się wewnątrz wykładane złotem. Wyjęła coś, co wyglądało jak kolczyk z czarną perłą, a potem na moment zawahała się. Ukłoniła się krótko, podała kolczyk Lynn, która przechyliła głowę, wyjęła swoją czarną perłę i włożyła tę drugą.

Potem zaczęła się strzelanina.

*

Lynn obudziła się kaszłąc. Dławiła się od gryzącego dymu i mdłości.

Było jej gorąco, oblewał ją pot, leżała w splątanej pościeli.

I uświadomiła sobie, że jest w pociągu przegubowym. Bardzo starym. Zerknęła na prędkościomierz, ale nic się na nim nie wyświetlało. Pomyślała, że od dawna jest zepsuty. Ktoś, kto kierował tym pociągiem, prawdopodobnie kupił już używany skład.

Szerokie, brudne okno było przedzielone metalowym pasem. Górna część została opuszczona i odsłaniała czyste błękitne niebo. Podmuch gorącego wiatru nie przyniósł Lynn ulgi. Czowała, że lepi się jeszcze bardziej. Oceniała, że pociąg jedzie z prędkością nie większą niż sto kilometrów na godzinę, a więc niemiłosiernie wolno jak na pociąg przegubowy. Podniosła się na łokciach i zerknęła przez okno.

Wysoki, chudy mężczyzna, który ją obserwował, palił papierosa, opierając łokieć o zgiętą nogę. Miał na sobie czarne spodnie, sandały i cienką koszulę z białej bawełny, która miejscami przylegała do jego spoconej klatki piersiowej. Jego nos był wąski i nieco haczykowaty. Oczy miał skośne, czarne. Uśmiechnął się do niej i oboje poczuli ironię sytuacji, jak gdyby to wszystko - on, ona i ten pociąg - było jednym wielkim żartem. Mężczyzna był łysy i miał białe brwi.

Lynn poruszyła się i zdała sobie sprawę, że jej prawa łydka jest grubo zabandażowana i bardzo boli.

- Jeszcze opium? - zagadnął mężczyzna. Wyciągnął rękę do ściany za swoimi plecami, gdzie w metalowym uchwycie znajdowała się butelka z colą, zdjął pokrywkę i podał jej butelkę.

- Jeszcze? - Posmakowała gęstej cieczy, skrzywiła się i oddała butelkę. - Ile już wzięłam?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Zobaczyła za oknem faliste, matowobrazowe wzgórza przecinane zielonymi polami. Góry w oddali tworzyły linię horyzontu. Na drodze równoległej do toru dwie ogromne ciężarówki wlokły się za autobusem, w którym ludzie podróżowali na dachu. Lynn oparła się na łokciach, czując dreszcz przerażenia.

Gdzie był Akamu?

I kim był ten mężczyzna?

Sięgnął do stojącego obok wiadra, wyciągnął białą szmatkę, wyjął ją.

- Połóż się i odpocznij jeszcze - powiedział. Kiedy wstał, poczuła chłodne, szorstkie sukno na swoim czole i policzkach.

- Byłaś bardzo chora - oznajmił. - Udało mi się znaleźć lekarza w obrębie Nowych Terytoriów. Zabezpieczył ranę, dał mi jakieś plastry z antybiotykami i opium na ból. Oczywiście, tutaj wciąż postępuje się dość prymitywnie. Nie tak jak w innych częściach świata. Z pewnością nie tak jak w Honolulu! Za łapówkę załatwiłem to osobne pomieszczenie, a oni uznali, że nie muszą oglądać twojego paszportu. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kim jesteś?

- Już ci mówiłem. Chyba zapomniałaś. Ale nic dziwnego. Hm. Wiesz, że twój ojciec przewoził kontrabandę dla kambodżańskiego podziemia, kiedy był młody?

- Towary, a nie kontrabandę. - Ten mężczyzna musiał być w wieku jej ojca. Osiemdziesiąt lat. I musiał być całkiem zamożny, bo nie wyglądał na tyle.

Znowu się uśmiechnął i zobaczyła w jego oczach ironiczne błyski.

- Towary. Tak. Byłem kimś w rodzaju łącznika między dostawcami i następną osobą w łańcuchu, ale z twoim ojcem latałem wiele razy.

- Pułkownik Hawkins! - powiedziała. - Ale...

- Jest dla mnie jak brat - ciągnął. - Wciąż jesteśmy blisko ze sobą związani. To zaszczyt dla mnie, że znowu cię widzę. Byłaś takim ładnym dzieckiem, a on czuł się taki nieszczęśliwy po utracie twojej matki.

Opuścił rękę, podniósł z brudnej podłogi otwartą butelkę whisky z chińską etykietą i pociągnął łyk, a potem odstawił ją na miejsce.

- Istnieją kanały, którymi twój ojciec poinformował mnie o twoim przybyciu. Nie zadzwoniłaś. Znalazłem cię i podązałem za tobą. Byłem mu to winien. Oczywiście zdawałaś sobie sprawę z zagrożenia.

- Tak - odparła. - Ale tak naprawdę chyba nie wierzyłam w nie do końca.

- No i dobrze - powiedział. - Najwyraźniej próbowałaś zdobyć coś rzadkiego i cennego.

- Tak - rzekła. Czekał, ale nic więcej nie powiedziała. Zastanawiała się tylko, jak wróci do Hongkongu i czy Akamu jest na zawsze stracony. Był cenniejszy niż jej głupie upieranie się przy Mao. Ciemność wypełniła jej serce i umysł, mimo iż dzień był pogodny. Jaka była głupia i samolubna. Powinna była po prostu go zabrać i biec. Teraz było za późno. Chiny!

Wiedziała, że Pekin może się równać z Tokio pod względem wyrefinowania i z

Londynem pod względem obszaru. Jednak od 2002 roku, kiedy komunizm załamał się na dobre, Chiny przeszły przez wiele ciężkich etapów. Mafia przez lata eksploatowała słaby młody biznes, grupy etniczne toczyły wewnętrzne wojny, dopóki wizjonerska Zhong Chau nie zjednoczyła kraju w 2019 roku. To jej zawdzięczano nowy poziom edukacji i przedsięwzięcia naukowe, ale w 2025 roku została zamordowana. Pomimo tej tragedii, kraj w końcu zaczął zbierać owoce w postaci infrastruktury produkcyjnej, edukacyjnej i handlowej. Ale zmiany następowały powoli.

Poczuła odór toalety. Zawartość żołądka podeszła jej do gardła, tyle że właściwie nie w nim nie było. Znowu zaczęła odczuwać ból i przypomniała sobie, że obudziła się właśnie z jego powodu. Pamiętała jak przez mgłę łyki taniego wina zaprawionego opium, intensywne sny o jaskrawych, różnobarwnych helisach wirujących w ciemnej przestrzeni, płomieniach i pięknej muzyce. Moja wizja DNA Mao, pomyślała z ironią i odruchowo podniosła rękę, żeby dotknąć swojego koleczyka.

- Mój ojciec nie mówił, że to ważne, abym do pana zadzwoniła. Myślałam, że chodzi tylko o kontakt towarzyski. Miałam zamiar zadzwonić do pana później.

Pułkownik pochylił się i zaczął grzebać w torbie. Wyciągnął plastikową butelkę z wodą. Odkorkował ją i podał Lynn.

- Myślę, że wiedział, że ty możesz tak pomyśleć. Mam tu trochę jedzenia. Trochę pasztecików z czarną fasolą. Jabłko.

Lynn wypila łyk wody i znowu się położyła. Miała ochotę na kojące miso. Głowa pękała jej z bólu, ale nie chciała już brać opium. Pragnęła zebrać myśli.

- Ma pan jakąś zupę?

Roześmiał się.

- Jest pewien problem. Obawiam się, że wiele tutejszych potraw przyprawiłoby cię o nudności. Jesteśmy w środku Chin, moja droga. Twój żołądek raczej nie jest przystosowany do szarańczy i gulaszu z czarnego psa. - Zerknął na zegarek. - Za godzinę wjedziemy do małej wioski. Wtedy będę mógł wysiąść i przynieść ci jakiś rosół. Może kluski, co? Co ty na to?

Kiwnęła głową i otarła spoconą twarz.

- Gdzie mogę się wysikać? - zapytała.

Wskazał na łopoczącą na wietrze tkaninę, która odgradzała róg pomieszczenia.

Kiedy usiadła, poczuła przeszywający ból w nodze. Ostrożnie wstała i przekonała się, że może przenieść na nią ciężar ciała. Lekko kuśtykając, przeszła przez przedział i odsunęła zasłonę.

Kiedy wróciła, pułkownik pił kolejną porcję whisky.

- Chcesz trochę? - zagadnął.

Alkohol był kiepskiej jakości. Po dwóch haustach poczuła ciepło w piersiach i zaczęła kaszleć. Wyciągnęła się na koi i oparła o ścianę. Widziała ogromną, gorącą równinę. Wiatr pełen kurzu rozwiewał jej włosy.

- Czy to wszystko jest konieczne? - zapytała. - To znaczy, czy nie było możliwe zabranie mnie gdzieś indziej? - Wciąż nie była pewna, czy została uratowana czy porwana.

- Pozwól, że ci coś pokażę - odparł.

Znowu przetrząsnął swoją torbę, marszcząc brwi, położył sobie na kolanach jabłko, a potem melona. Wreszcie wyciągnął podniszczony handheld i otworzył go. Nacisnął kilka klawiszy, a potem odwrócił go w stronę Lynn.

Były tam jej dane i parametry. Nazwisko, wiek, waga. Zdjęcie. Podpis głosił: zabić natychmiast.

- Co takiego? - Oddała mu komputer. - To wariactwo!

- Postaw go na słońcu - powiedział. - Musi się naładować. - Zapalił kolejnego papierosa. Kiedy wyciągnął paczkę w jej kierunku, potrząsnęła głową odmownie.

- Myślę, że w twojej organizacji był jakiś informator - powiedział. - Ale kto wie. Może to ktoś po tej stronie. W każdym razie chiński rząd nie ma ochoty podzielić się informacjami na temat genomu z żadnym innym narodem. Nawet nie bardzo chce przyznać, że takie badania są prowadzone. Widzisz, tyle wiem o waszych poczynaniach. Oczywiście, jest to dziedzina twojego ojca w IS, prawda? Koszty wykonywanej pracy są tak ogromne - zresztą, kto to w ogóle sprzedaje? Zdrajca z jednego z laboratoriów chińskiego rządu? Ktoś bardzo wysoko postawiony, zgadza się? Moja droga, stałaś się częścią spisku. Jeśli to możliwe, spróbuj potraktować tę sytuację jako coś zabawnego. Ja tak robię. Zawsze tak robiłem. - Zakaszłał raz, i jego twarz wykrzywił grymas. Podniósł oczy. - Ale - dodał, uśmiechając się teraz jak kot z Cheshire - tobie się udało.

Kiwnął głową i spojrzał wprost na jej lewe ucho.

Wypuściła oddech. Wiedział - coś wiedział.

Usiadła i wyjrzała przez okno. Mijali błotniste skrzyżowanie, gdzie trzech chudych mężczyzn na rowerach czekało na zmianę świateł.

Jej ojciec i bracia różnili się co do celów i metod ich osiągnięcia. Ojciec często wydawał się ślepy na oczywiste wykroczenia swoich synów, woląc odczuwać dyskretną dumę. Byli dobrzy, ciężko pracowali na rzecz rodziny, ich żony były ciche, obowiązkowe i wydawały na świat dzieci. Jednak ojciec Lynn miał bardzo zdecydowane poglądy w kwestii przestrzegania

prawa. Pamiętała, w jaką furję wpadł, kiedy dowiedział się o jakimś nielegalnym programie IS... ale teraz, będąc już osobą dorosłą, uświadamiała sobie, że właściwie nie miał pojęcia o tym, co się dzieje naprawdę.

Jednego była pewna. Bez względu na okoliczności ojciec zawsze starałby się ją chronić, choćby był nie wiem jak wściekły na nią w przeszłości. Ufała mu.

Nie ufała braciom. Była dla nich przydatna, to wszystko. A oni dla niej.

Wpatrywała się w pułkownika, zastanawiając się, jak rozszyfrować jego dążenia, które wcale nie musiały się pokrywać z zamiarami jej ojca. Wiele zależało od tego, na ile był zorientowany w sytuacji. Czy wiedział o Akamu? Czy wiedzieli o nim bracia?

I tak było za późno. Nawet gdyby natychmiast wróciła do Hongkongu, czy zastałaby go w pokoju, pracującego na fiacie? Mało prawdopodobne.

- Granice są pod obserwacją - powiedział jej pułkownik. - Gdybyś nie była ze mną, z pewnością zostałabyś zatrzymana.

- Zatem dokąd się wybieramy?

- Tybet - odparł i jeszcze raz się uśmiechnął tym razem bardzo pogodnie. - To moja ulubiona część świata. Wysoko położona i wspaniała. Smutna i uboga. Długie, święte rogi, w które dmie się przy każdej medytacji. Tam, gdzie została doprowadzona elektryczność, modlitwa pojawia się na monitorach komputerów w kątach domów. To jest dziwaczne, ale i cudowne. I w końcu będę mógł wsadzić cię do samolotu, który odleci do Bangkoku. Nie będziesz miała absolutnie żadnych problemów, kiedy już się tam znajdziesz.

Znowu skupiła spojrzenie na jego twarzy, zobaczyła szerokie kości policzkowe i miedzianą karnację. Jego twarz jaśniała jakimś osobliwym blaskiem, jak u świetlika, sprawiając, iż jego uśmiech był przekonujący.

- Rozumiem - powiedziała. - Proszę dać mi jeszcze łyk tej whisky. - Znowu wygodnie się ułożyła i patrzyła na szerokie równiny smagane gorącym mongolskim wiatrem. Może kiedy on pójdzie po jedzenie na następnym postoju, uda jej się wymknąć i złapać powrotny pociąg do Hongkongu. Ale będzie potrzebowała pieniędzy... i nowego paszportu.

- Coś ci pokażę - oznajmił. Otworzył drzwi do drugiego przedziału. - Wejdz - powiedział. Lynn zobaczyła poruszający się cień, a potem ktoś stanął w przejściu.

Akamu.

CEN

Honolulu 2007

4

Była dopiero ósma rano, ale w centrum Honolulu przy Aloha Tower, o tej porze było już gorąco.

Cen miał na sobie błyszczący, zielony kostium kąpielowy i sandały *zori*. Był spocony i strasznie bolały go ręce od przenoszenia skrzyni z mrożoną kałamarnicą i *mahi* z łodzi do furgonetki Lu-Wei wyglądającej jak stary gruchot. Zatrzymał się, otarł czoło wierzchem dłoni i zaczął się rozglądać za automatem z coca colą.

Lu-Wei był otyłym, niskim mężczyzną, który spędzał prawie każde popołudnie, grając na pieniądze w mah-jongga w podejrzanym chińskim parku na Nuuanu.

- Hej, chłopcze! - zawołał. - Płacę ci za robotę, a nie za obijanie się. Moi klienci chcą za towaru prosto z oceanu, ale płacą tylko, jeśli jest świeży.

- Pieprz się - mruknął pod nosem Cen, ale wrócił po skrzynkę z żółtymi odnóżami, wciąż czując pragnienie. Potrafił rozróżnić ryby hodowane na farmach, nawet jeśli klient nie umiał ich rozpoznać.

Odwrócił się i zatrzymał w pół kroku. Obok łodzi stała młoda dziewczyna. Nigdy przedtem jej tutaj nie widział.

Miała na sobie białą, plisowaną sukienkę z bawełny z dużą kokardką na boku obwiązującą jej szczupłą talię. Z płaskiej klatki piersiowej wzrok powędrował na wysoki, koronkowy kołnierzyk, na który opadało wiele cienkich zakładek. Parę razy był na zakupach z Mei i nigdy nie widział czegoś podobnego, nawet w najdroższym dziale Samson Brothers.

Kiedy podszedł bliżej, dziewczyna spojrzała na niego pięknymi, ogromnymi i brązowymi oczami. Jej długie, czarne włosy były związane w kok, lekko kręciły się wokół owalnej, śniadej twarzy, skrytej w cieniu parasola, który trzymała w prawej ręce. Miała nowiutkie, czarne buty z lakierowanej skóry błyszczącej w oślepiającym słońcu. Cen zmrużył oczy. Wyglądała zdecydowanie staroświecko na tle statku pokoleniowego w Bazie

Kosmicznej Hickam po drugiej stronie portu, kolejnego projektu Interspace.

- Cześć - powiedziała. - Obserwowałam cię. Jesteś *alii*, prawda?

Roześmiał się gorzko.

- Jasne. Zgadza się, w moich żyłach płynie królewska krew, jestem prawdziwym księciem. Mój tata też był księciem. Wspaniały człowiek. - Przejechał ręką po czole, jakby był w stanie zetrzeć pajęczynę czerwieni i czerni, która nagle go spowiała.

- Przypominasz mi mojego wujka Dawida - odparła i raz jeszcze zobaczył błyszczącą od słońca taflę wody i czyściutkie, błękitne niebo.

- Co się tak wleciesz, leniwy sukinsynu? - wrzasnął Lu. - Trzeba zawieźć towar na rynek. Już jesteśmy spóźnieni.

Cen gwałtownie odwrócił głowę w kierunku Lu-Wei.

- Tak, jestem kimś wyjątkowym. Dlatego pracuję dla tego dupka. - Od razu poczuł wstyd, że powiedział „dupka” w obecności dziewczyny. Pochylił się i podniósł skrzynkę z żółtymi odnóżami, zrobił kilka kroków i wrzucił ładunek do furgonetki.

Wytarł umazane rybą ręce o spodnie i odwrócił się, żeby pomachać dziewczynie.

Ale jej już nie było.

Popatrzył na ryby, które miał zaraz wypatroszyć. Pod ciśnieniem opryskiwacza w ścieku zabulgoce lśniąca czerwona krew, a on będzie wyjmował wnętrzności, czując na sobie spojrzenie rybiego oka. Przełknął ślinę i wgramolił się na fotel kierowcy.

Mei, młoda kobieta z Wysp Markizów, przyjęła Cena dwa lata temu, kiedy już miesiąc włóczył się po Honolulu, sypiając gdzie popadnie i unikając gliniarzy. Nie pytała go o przeszłość.

I tak nic by nie powiedział. Załatwiła mu pracę i pilnowała, żeby jej nie stracił, bo dokładał się do czynszu za małe mieszkanie na Hotel Street, gdzie wysokie, stare okna wychodziły na najbliższą ulicę w mieście.

Pierwszą noc spędził, leżąc na łóżku. Starał się nie słuchać odgłosu kroków i tekstów w rodzaju: „Tak cię potnę, że się wykrwawisz”, i muzyki tłuczonych butelek, mieszającej się z gwarem nocnych transakcji za zaciągniętymi roletami.

Dziwki - a Mei była jedną z nich, jak się wkrótce przekonał - zajmowały większość pokoi i przepadały za Cenem. Mei powiedziała mu, że jest podobny do jej braciszka.

W puszcze, którą Cen zabrał w wieczór, kiedy opuszczał dom, znajdowało się zdjęcie jego pradziadka.

Był potężny i śniady. Piasek w miejscu, gdzie stał wyprostowany, był pogrążony w cieniu nielicznych palm. Mężczyzna był nagi, ale jego tatuaże - delikatne, geometryczne

wzorki, sięgające nieco powyżej bioder - sprawiały, że wyglądał, jakby miał na sobie ubranie.

Cen zabrał to zdjęcie do staroświeckiego artysty tatuażu na Queen Street. Raz w tygodniu przez wiele miesięcy zaciskał zęby w tym nagrzanym, cuchnącym whisky malutkim pomieszczeniu. Tak wydał swoje pierwsze pieniądze, kiedy skończył trzynaście lat.

Z początku bał się, że ojciec go odnajdzie, ale po pewnym czasie uznał, że nawet nie chciałoby mu się za nim rozglądać. Przecież Cen znajdował się teraz na drugim końcu wyspy, kilka godzin jazdy samochodem. Dla większości mieszkańców Hawajów „drugi koniec wyspy” wydawał się równie bliski jak „odwrotna strona Księżycy”. Zanim uciekł, w ciągu dwunastu lat odwiedził Honolulu raptem kilkakrotnie: wybrał się na wycieczkę do Pałacu Iolani, raz na wycieczkę i zakupy z matką, a oprócz tego gościł tu jeszcze ze dwa razy, ale tych pobytów nawet nie pamiętał. Ta część wyspy z Honolulu szczyła się trzema milionami mieszkańców. W takim miejscu nietrudno było zniknąć.

Cenowi szybko udało się zapomnieć, dlaczego właściwie ojciec miałby go poszukiwać. Noc, w którą zbiegł z domu, kojarzyła mu się mgliście ze strachem, jaki wówczas odczuwał.

Kiedy zamykał powieki wieczorem, widział twarz matki: jej martwe oblicze było zalane krwią. Zastanawiał się, dlaczego nigdy nie zapamiętał jej żywej, dlaczego zawsze ma przed oczami tylko tę ostatnią, straszną wizję.

Z reszty tamtego dnia nie pamiętał niczego. Pustka nie doskwierała mu zaudto, gdyż czuł, że rozpamiętywanie byłoby jeszcze gorsze.

I wszyscy mówili mu, że będzie żałował tatuażu, ale mylili się. Dawały mu poczucie, że istnieje coś jeszcze oprócz jego własnego życia. Był bardzo zadowolony z podjętej decyzji.

Aż do dziś, do dnia, w którym skończył piętnaście lat.

Był pewien, że ta dziewczyna nie zaliczała się do miłośniczek tatuażu.

*

Cen był dumny ze starego mosiężnego klucza, którym otwierał dwupokojowe mieszkanie, dzielone z Mei. Wszyscy jego przyjaciele mieszkali w obskurnych wieżowcach, gdzie zamiast kluczy używało się plastikowych kart magnetycznych. Przyjemnie było czuć ciężar klucza w ręku, jego chłód w wieczornym upale wysoko sklepionego korytarza. Tapeta obok drzwi była odklejona, a wąski sufit tworzyły malowane niezliczoną liczbę razy deszczułki, ostatnio w kolorze wyblakłej szarości. Tabliczka na dole informowała, że Tutaj Spał Mark Twain. Cen wierzył w to.

Ale kiedy przekręcił klamkę, wyczuł różnicę. Później wmawiał sobie, że nie czuje żadnego zapachu, ale zatrzymał się, wziął głęboki oddech i ze ściśniętym gardłem zrobił krok

naprzód i dotknął kontaktu.

Mei leżała na łóżku w białej, jedwabnej koszuli nocnej. Szerokie okno za nią było otwarte na oścież, a długie zasłony łopotały na wietrze. Na ulicy widział światła statków w porcie, słyszał kroki spacerujących turystów, którzy koło północy opuszczali ten rewir i zostawiali go miejscowym. Ci inteligentniejsi czynili to zresztą o wiele wcześniej. Po drugiej stronie portu szklana wieża zwieńczona wszechobecnym na Wyspach logo IS odbijała się migotliwym blaskiem w spokojnej, ciemnej tafli wody. Każda z dziewiętnastu gwiazdek symbolizowała państwa członkowskie.

Podchodząc do łóżka, Cen zastanawiał się, dlaczego jest zaniepokojony. Być może Mei tylko drzemała, odsypiała jakąś ostrą popijawę.

Dotknął jej policzka. Był rozgrzany, a twarz mocno zarumieniona. Potrząsnął nią. Jęknęła. Przewrócił ją na plecy i zobaczył, jak na jej ustach formuje się i pęka pęcherzyk śliny. Poczuł ulgę. Żyje, w porządku, ale co teraz? Potrząsnął nią jeszcze raz.

- Mei - powiedział. - Dobrze się czujesz? - krzyknął do niej, a potem w desperackim geście uderzył ją po twarzy i z przerażeniem stwierdził, że na policzku został czerwony ślad. - Nie - dyszał. - Nie! - Podbiegł do okna.

Huang Po opierał się o swój stragan, jak zwykle mając nadzieję, że nawinie mu się jakiś frajer.

- Wezwij pogotowie! - wrzasnął do niego Cen. - Chodzi o Mei.

W chwilę później usłyszał tupot nóg w korytarzu i do pokoju wpadł Huang.

- Co się dzieje?

- Wezwałeś pogotowie?

Huang odparł:

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Widziałem ją dzisiaj z dwoma ludźmi z Interspace. Z kobietą i mężczyzną.

Cen nie zapytał go, skąd to wiedział. Takie rzeczy po prostu się wiedziało.

- Odprowadzali ją do domu, ona szła między nimi. Zaciekawilo mnie to, ale pomyślałem, że może po prostu jest pijana. Wiesz, że robiła dla nich coś w laboratoriach Triplera.

To był duży, różowy szpital na zboczu góry, okryty teraz niesławą z powodu pogłosek o dokonywanych tam nielegalnych eksperymentach.

- Nie - rzekł Cen. - Nic mi nie mówiła. - Nic dziwnego. Wiedziała, co on sądzi o IS i ich eksperymentach biotechnicznych.

- Od jak dawna?

Huang wzruszył ramionami.

- Jakieś parę tygodni.

Cen odwrócił się od Huanga, zbiegł po schodach na dół i nacisnął biały guzik. Podał adres i usłyszał, jak po drugiej stronie ktoś stuka w klawiaturę komputera.

- Przepraszamy - usłyszał. - Ta osoba, Mei Fossant, nie ma uprawnień

- Nie - odparł Cen - to nie dla niej. Dla Huang Po, sąsiada - ale usłyszał kliknięcie i wiedział, że to nic nie da.

Huang wyszedł, mrużąc: „Kiepski interes, kiepski interes”, a Cen schładzał Mei przez pół nocy mokrymi ściereczkami, aż zaczęła dygotać i jęczeć. Potem rzucił na nią prześcieradło i mocno ją przytulił, jakby chciał jej zastąpić łóżko pełne braci i sióstr, wśród których dorastała, chociaż wcześniej nigdy nie pozwalała mu się dotknąć.

- Kocham cię, Mei - powtarzał, mając nadzieję, że jego słowa docierają do niej, że uda się ją zawrócić ze skrajnej przepaści, na którą została zepchnięta.

Mei opowiadała Cenowi, że przybyła na Hawaje w nadziei, że będzie pracowała dla Interspace, międzynarodowego konsorcjum kosmicznego, które dzierżało stare budynki amerykańskiej armii - czyli ponad połowę terenów Wysp. Wszystkie państwa mające programy kosmiczne zgodziły się w roku 2000 na skoncentrowanie wysiłków w jednym miejscu. Do tego czasu większość pomieszczeń i urządzeń USA na lądzie zdążyła zarosnąć trawą, gdyż używano ich tylko do wysyłania i lądowania promów kosmicznych. „Mir” również popadł w stagnację. Hawaje mocno zabiegały o przejęcie wszystkich operacji - również związanych z działalnością naukową - i wygrały. Nadrzędnym i zapierającym dech w piersiach celem były podróże międzygwiazdne. Hawaje nadawały się do tego idealnie - stanowiły najbardziej odizolowany teren na całej planecie, dlatego nieudane starty nie stanowiły aż tak dużego problemu, a poziom zakłóceń mikrofalowych był bardzo niski. Najistotniejsze było to, że od czasu drugiej wojny światowej infrastruktura militarna bardzo się tu rozrosła. Baza lotnicza Hickam została zaprojektowana i zbudowana w późnych latach pięćdziesiątych z myślą o wysyłaniu i lądowaniu promów kosmicznych w przyszłości, i ten dalekosiężny plan okazał się idealnym rozwiązaniem. Ścisłe tajne sterownie, najnowocześniejsze krainy komunikacyjnych czarów, gigantyczne urządzenia pod ziemią i wyrafinowany sprzęt komputerowy można było dzierżawić, odkąd armia amerykańska została zredukowana, podkopując krajową gospodarkę. Niewiele osób wiedziało, że turystyka i rolnictwo ma mniejsze znaczenie gospodarcze niż sektor wojskowy, ale taka była prawda. Hawaje cieszyły się z napływu pieniędzy Interspace do gospodarki, podobnie jak z napływem naukowców z całego świata. Interspace działała na wielu płaszczyznach: wizjonerskie,

choć niezrealizowane koncepcje dotyczące inżynierii stacji kosmicznych i kolonii były opracowywane w imponującym tempie. Nie można było ignorować również czynnika ludzkiego. Inżynieria genetyczna (uwzględniająca, jak głosiły plotki, również zabronione przez społeczność międzynarodową eksperymenty i bionan) bardzo się liczyła w planach IS.

Niezbyt precyzyjnie określone cele, na przykład podnoszenie inteligencji czy adaptacja istot ludzkich do długotrwałych podróży w kosmosie, umożliwiały prowadzenie szeroko zakrojonych badań. Właśnie usiłowano energicznie zatuszować skandal dotyczący inżynierii genetycznej w łonie IS. Owe nielegalne eksperymenty stanowiły próbę ominięcia konwencji, które społeczność międzynarodowa uchwaliła w celu chronienia ludzkości przed różnymi potencjalnymi katastrofami. W tym przypadku manipulowano prawem, a często wręcz je łamano.

Sam Cen niekiedy odczuwał pociąg do szaleńczej spekulatywnych prac kosmologicznych dotyczących czasu i przestrzeni, w których naukowcy IS (zdaniem nie afiliowanych astrofizyków, nieuczciwie) wykorzystywali obserwatorium Mauna Kea; przynajmniej czytał o tym w gazecie z wypiekami na twarzy.

Tylko lokalni mieszkańcy odczuwali histerię, która ostatnio niczym wirus zaraziła Interspace. Dzierżawa IS miała być ponownie rozpatrzona za dwa lata - zresztą, odtąd ta procedura miała odbywać się właśnie co dwa lata - a od czasu tragicznej w skutkach próby zbudowania kolonii na Księżycu w 2005 roku poczyniono niewielkie postępy. Tajne kartele w łonie organizacji prawdopodobnie miały konszachty ze światem przestępczym w Japonii i Hongkongu, któremu sprzedawały informacje; stąd zmniejszał się odsetek zysków, który można było reinwestować.

Historia Mei była typowa. Azjatyckie slumsy Honolulu roiły się od takich ludzi jak ona: ludzi, którzy napływali na Hawaje, pragnąc znaleźć zatrudnienie w Interspace, umieścić swoje dzieci na statku pokoleniowym, skorzystać z przełomowych wynalazków medycyny i genetyki, o których zawzięcie plotkowano, być blisko źródła nielegalnych, eksperymentalnych nanów informacyjnych. Stanowili tanią siłę roboczą. Balkony wieżowców Honolulu były pozasłaniane ich bielizną, wypełnione zapachami chilli i oleju sezamowego, cytrynowej trawy, klusek oraz ryby gotowanej na parze. Orientalny Bazar w centrum był czynny całą dobę. Za dnia tłumy pociły się w tropikalnym słońcu, a nocą skomputeryzowani Chińczycy wróżbicy rozkładali swoje stoliki i czekali z ekranami o wysokiej rozdzielczości, które stosowały algorytmy teorii złożoności, żeby przepowiadać klientom wspaniałe podróże w czasie, a ich wnukom poznawanie pięknych, prymitywnych światów, gdzie zawsze będzie można się wyżywić.

Kiedy Mei siedziała następnego ranka w łóżku, popijając przyniesioną przez Cena mocną, gorącą, wietnamską kawę, jej wielkie, brązowe oczy były przygaszone. Próbowała się uśmiechać do chłopca, ale w jej oczach wezbrały łzy, które w końcu pociekły po szczupłym, arystokratycznym obliczu.

- Nic mi nie jest - powiedziała i pokazała Cenowi, żeby z powrotem usiadł na krześle, z którego ją obserwował.

- Co się stało, Mei? - zapytał. - Wypiłaś parę butelek tequili, czy co? - Pomyślał, że trzeba dać jej sposobność do wymówki.

- Tam są same *dupki* - odparła. Jej akcent z Francuskiej Polinezji przydawał słowu „dupki” swoistego uroku. - Ale byłam głupia, sądząc, że dostanę ten bionan za friko. No, teraz jest już po wszystkim - dorzuciła, spoglądając na niego z błyskiem triumfu w oczach.

- Mei - zagadnął. - Dlaczego? - Wyobraził sobie, jak Mei przechyla buteleczkę z posłodzoną cieczą jaskrawego koloru, mrużąc oczy w bolesnym oczekiwaniu, a potem ciska nią o podłogę. Z wrywkowych informacji, które były dostępne opinii publicznej, wiedział, że bionan docierał z dużą precyzją do właściwych części mózgu albo narządów. A w każdym razie usiłowano osiągnąć taką precyzję.

Spojrzała na niego gniewnie.

- A ty tego nie chcesz?

- Nie - odparł. To jedno słowo było zabarwione przerażeniem.

- Ach, to dlatego, że jesteś ignorantem - powiedziała. - Ale nie takim, jak większość ludzi, możesz mi wierzyć. W gruncie rzeczy uważam, że jesteś bardzo bystrym chłopakiem. Ale ja nie jestem specjalnie bystra. Ty mieszkasz na odległej wysepce, słyszysz o dobrodziejstwach terapii wzmacniającej i chcesz samemu z nich korzystać. Zapewniam cię, że chcieli tego wszyscy moi bracia i siostry, ale tylko mnie starczyło odwagi, żeby pójść i to zdobyć.

- Co zdobyć?

- Informację - powiedziała. - Oświecenie. Mądrość. Ha! - odparła, krzyżując chude, brązowe nogi. - Z pozoru jestem zwykłą prostytutką. Ale mam plany, Cen. Muszę tylko dostać się *do środka*, potrzebuję wejścia. Najpierw prawdopodobnie wrócę i znowu będę uczyć. Wiesz, że jestem nauczycielką. Teraz może będę miała czego uczyć. I łatwo będzie mi się *uczyć* - dodała. - Będę chwytala wszystko, ot tak - pstryknęła chudymi palcami.

Jej oczy zaszyły mgłą i Cen pomyślał, że Mei znowu zaczyna drzemać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Mei. - Zbyt wiele nasłuchał się okropności, by uwierzyć, że Mei się powiedzie.

Najpierw być może poczuje dziwny skurcz, potknie się, będzie sprawiała wrażenie pijanej pomimo braku alkoholu w organizmie. A może zacznie mieć wizje? Mózg potrafi wyczyniać zabawne rzeczy. Może stracić wzrok częściowo albo zupełnie nie będzie w stanie czytać. A przecież uwielbiała czytać.

Niewykluczone, że dojdzie do wniosków, które wpędzą ją w tarapaty, i nie będzie miała ani języka, ani pojęć matematycznych, żeby je wyjaśnić. I zwariuje z frustracji.

Wspomnienia Cena ze szkoły były mgliste, ale pozytywne. Przekonał się, że wie dużo, znacznie więcej o świecie, literaturze, matematyce, *o możliwościach* niż wszyscy, których poznał tutaj. Szydzono z niego za to, że oglądał wiadomości na Janelle's TV zamiast „opowieści”, których chętnie słuchali wszyscy inni. Codziennie, kiedy kupował gazetę, wciskał klawisz z napisem „nauka”. Automat wydawał gazetę z jakiegoś cienkiego, podlegającego recyklingowi materiału, który można było wsunąć z powrotem do otworu, aby został przerobiony. Czasami tęsknił za komputerem, za dostępem do sieci. Kiedyś bardzo w tym zasmakował. Może kiedy uda mu się zaoszczędzić trochę pieniędzy...

Niektórzy ludzie utrzymywali, że istnieje bezpieczny bionan, za który trzeba dużo zapłacić. Kiedy Cen zastanawiał się nad tym, czuł do IS jedynie pogardę. Jeśli to była prawda, dlaczego robili coś takiego?

- Wiesz, twój tatuaż - odezwała się znowu, otworzywszy oczy. - Tam, skąd pochodzę, takie tatuaże nie są niczym wyjątkowym. Ma je wielu starych ludzi. Jest w nich informacja.

Pochyliła się ku Cenowi, który wciąż siedział obok niej, wyciągnęła rękę i wodziła palcem po jednym z kwadratów, który miał wytatuowany na boku w okolicach pasa. Zadrżał i odsunął się. Zazwyczaj traktowała go jak młodszego brata i nie chciał, żeby to się zmieniło. Ta myśl go przerażała. Wstał.

Roześmiała się cicho.

- Tak, informacja, wiesz - powiedziała. - Wszystko jest informacją. Pięknymi wzorami. Wydaje się, że to pojawia się i znika. Ten sposób widzenia. Jakby wszystko było odwrócone do góry nogami albo rozpływało się, jakby to dawne znaczenie zniknęło, żebyśmy mogła naprawdę *widzieć*. Oczywiście, kiedyś lepiej to opanuję. Tak mi powiedzieli. - Odstawiła kawę na stolik przy łóżku i ziewnęła. - Słyszałeś kiedyś o tunelach czasoprzestrzennych?

- Idź spać, Mei - odparł. - Poczujesz się lepiej.

- Nie - rzekła. - Mówię poważnie. Tunele czasoprzestrzenne. Przejścia między różnymi czasami. Oczywiście, ludzie z IS o tym mi nie powiedzieli. Jedna z dziewczyn, które sprzątają laboratorium, pochodzi z mojej wyspy. Zorientowaliśmy się, kiedy byliśmy tam

same. Próbowwała mnie powstrzymać. Ale miała pietra! - Mei roześmiała się, ale w jej śmiechu była nuta życzliwości. - Opowiedziała mi, co podsłuchała o tunelach czasowych. Może myślała, że to mnie powstrzyma możliwość zepchnięcia w inny wszechświat! Mówiła, że tylko Starcy dysponowali informacją o tym, jak dostać się do następnego wszechświata po śmierci. Ona nadal wierzy w te bzdury. Ja wierzę w naukę. Po śmierci nie ma nic. Tunele czasoprzestrzenne! Co za ohydne słowo. Nie mogli wymyślić czegoś piękniejszego? Ja już przybyłam z innego czasu, z innego wieku, kiedy się tu zjawiłam. Pochodzę sprzed pięćdziesięciu lat.

Cen poczuł chłód, gdy przypomniała mu się dziwna dziewczyna, którą poznał, ale odrzucił tę myśl. Nonsens. Tunele czasoprzestrzenne zdarzały się tylko w salonach gier. Wielki hałas, a potem wyzwanie polegające na nawigowaniu przez wiry, które otwierała tak zwana materia egzotyczna, a potem pojawiał się w innym wszechświecie, w świecie który był - jak brzmiało to słowo? - *przyległy* do tego.

Ale to była tylko gra, która kosztowała sporo jenów, z której wychodziło się żywym, nawet jeśli twój statek ulegał zniszczeniu.

- Dużo mi zapłacili - odezwała się Mei. Wyskoczyła z łóżka, pokazując nagie, brązowe nogi i podeszła do swojego biurka. Otworzyła górną szufladę, przetrząsnęła bieliznę i wyciągnęła zwitek jenów, podrzuciła je do góry. Zanosila się śmiechem, podczas gdy banknoty spadały na ziemię, wirując na wietrze z okna.

Zebrała je jeden po drugim, starannie ułożyła i schowała z powrotem do szuflady. Na jej czoło wystąpiły drobne kropelki potu, kiedy skoczyła na łóżko, skrzyżowała nogi i sięgnęła po filiżankę z kawą.

Cen nie mógł pojąć, dlaczego czuje się o tyle starszy od niej, o tyle bardziej zmęczony i rozgoryczony.

- Jeśli chcesz, mogę tu teraz sprowadzić swoje siostry - powiedziała. - Albo jeśli wrócę, mogę zapłacić z góry za dom, w którym wszyscy się zmieścimy. Dzięki ich głupiemu pomysłowi jestem w stanie dotrzeć do tej informacji. W końcu wszystko jest informacją! Och, Cen, to takie cudowne! Kolory są takie żywe! I okno. Spójrz! Wpada tu tyle światła, rozprzestrzenia się tak, aż wszystko wydaje się takie... takie *białe* i... rozchodzi się...

- Na chwilę jej głos przycichł, lecz ciągnęła ze łzami w oczach. Cen zauważył, że Mei próbuje mówić normalnym, stanowczym tonem. - Mam im mówić, co się ze mną dzieje, to wszystko. Raz na tydzień chodzę na testy. To wszystko. Ja...

Ręka, którą trzymała kawę, zeszywniała. Filiżanka spadła na ziemię. Mei otworzyła szeroko oczy i osunęła się na łóżko.

Nawet na oddziale dla ubogich pacjentów korytarze Szpitala Queens były przestronne, białe i błyszczące. Cen czuł w nozdrzach gryzący odór antyseptyków. W holach wysokie do kolan boty skręcały od ściany do ściany, w nieskończoność czyszcząc podłogi.

Jakimś cudem uzyskał w recepcji informację, że Mei leży na intensywnej terapii. Kiedy już tam dotarł, pielęgniarka z Samoa powiedziała mu, że Mei nie wolno odwiedzać.

- Pani po prostu chce powiedzieć, że *mnie* nie wpuści! Nie podoba się pani mój wygląd? O co chodzi? To ja wsadziłem ją do taksówki i przywiozłem tutaj.

Wtedy nie mogli jej nie przyjąć. Byłoby to wbrew prawu.

Pielęgniarka zawahała się, być może wyczuwając, że trudno będzie przełamać jego upór.

- Nie o to chodzi - odparła, krzyżując muskularne ramiona na jeszcze bardziej umięśnionych piersiach.

- To o co?

- Po pierwsze, prawo do wizyt mają tylko najbliżsi krewni.

- Oni są tysiące mil stąd. Ona nie ma nikogo oprócz mnie. To ja jestem jej najbliższym krewnym.

Jej oblicze trochę złagodniało.

- Zauważyłam, że ona jest z Markizów... ale tak czy owak jesteś za młody.

- Mam piętnaście lat - odparł, mając nadzieję, że z jego głosu przebija pewność siebie.

- Proszę mnie wpuścić. Ja *muszę* się z nią zobaczyć. Proszę spojrzeć. Przyniosłem jej przysmak ryżowy. - Wyciągnął zgnieciony karton z kieszeni. - Ona naprawdę to lubi. Nawet tę głupią nagrodę ze środka. Pomyślałem, że to poprawi jej humor.

Ale kiedy spojrzał w głęboko osadzone, surowe oczy pielęgniarki, ciarki przeszły mu po plecach.

- Jak... jak ona się czuje?

- Jest na intensywnej terapii.

- Wiem...

- Nie odzyskała przytomności - oświadczyła pielęgniarka. - Nic dobrego by z tego nie wyszło ani dla ciebie, ani dla niej. Prawdę mówiąc, leży w pokoju, do którego w ogóle nie wolno wchodzić...

- *Proszę* - wyszeptał, zdumiony błagalnym tonem, jakiego nigdy u siebie nie słyszał. - Mam tylko ją...

Pielęgniarka chyba zrozumiała. Wyprostowała się. Była wysoka, miała jakieś 180 cm wzrostu.

- Musimy poczekać, aż dyżurna pójdzie na przerwę - powiedziała.

Kiedy przemyciła Cena do pokoju, mógł tylko patrzeć na Mei. Z jej ust wychodziła duża rurka. Pozwalała jej oddychać. Miarowym, nieubłaganym tempem pompowała powietrze do piersi, które wydawały się tak malutkie pod kocem. Dookoła Mei wisiało kilka kroplówek wypełnionych przezroczystą cieczą. Migwały cyferki na aparaturze monitorującej.

- Widzisz? - szepnęła pielęgniarka i nerwowo rozejrzała się dookoła.

- Mei! - krzyknął, nie mogąc się powstrzymać. Przystanął obok niej, dotknął jej twarzy.

Nie reagowała.

- Co jej jest? - zapytał, chociaż znał odpowiedź, a w każdym razie przyczynę jej stanu.

- No, chodź - powiedziała pielęgniarka i jej ręka zacisnęła się na ramieniu chłopca niczym imadło. - Nie chcę stracić roboty, dzieciaku.

Kiedy go wyprowadzała, wymacał drugą ręką pudełko z cukierkami w kieszeni. Kwadratowe żelki były zapakowane w przezroczysty papier, który rozpląwał się w ustach. Chciał rzucić pudełko na łóżko Mei. Może obudzi się i kiedy je zobaczy, domyśli się, że był u niej. Mógłby wykonać ten manewr, bo pielęgniarka rozglądała się po korytarzu.

Nie zdecydował się. To byłoby dziecinne. Tylko narobiłby kłopotu pielęgniarce, a poza tym, wbrew ckliwym historyjkom nadawanym w telewizji, pudełko słodczy nie miało magicznej mocy zdolnej obudzić chudą, życzliwą i piękną kobietę, której kręciło się w głowie od zakazanej nanotechnologii. To coś, co było przyklejone do jej głowy... czy przypadkiem nie wchodziło do jej ucha? Czy to jej krew powoli wędrowała jedną rurką i spływała drugą? Boże!

Pielęgniarka pchnęła go za róg.

- Zadowolony?

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki nie wepchnęła mu do ręki kilku chusteczek.

*

Cen stał przy oknie tajskiego baru, nalewając sobie słodkiego skondensowanego mleka do mrożonej kawy. Czuł się oszołomiony. Może ta kawa postawi go na nogi.

- Hej, wystarczy, chciwa świni - powiedziała kobieta i wyrwała mu puszkę z ręki, a potem zatrzaskała okienko.

Cen poczuł intensywną, słodką woń imbiru i odwrócił się.

- Tutejsi ludzie są bardzo nieuprzejmi - powiedziała dziewczyna z uśmiechem. W jej oczach tliły się figlarne ogniki. Słońce wisiało dokładnie za jej głową, sprawiając, że zaciemnioną twarz okalała aureola podświetlonych kosmyków włosów.

- Chcesz trochę? - zagadnął, nieco zbity z tropu. Co to za jedna, do diabła?

Wzięła naczynie i upiła z niego.

- Dobrze - powiedziała i znowu wzięła łyk.

Cen pożałował swojej szczodroblewości.

- Nie martw się - rzekła, jakby przenikała jego myśli, i oddała mu naczynie. - Chcesz się przejść?

Czego ona chce?

- Jasne.

Zaczął iść w stronę opustoszałej przetwórnicy ananasów, gdzie nad wszystkim górował ogromny, brzydki ananas z metalu, gdzie uliczny brud i nędza przypominały mu o prymitywnych projekcjach wirtualnych w salonach gier, o światach wyrzutków, gdzie należało mieć się na baczności, żeby nie zostać obrabowanym. Kilku filipińskich chłopaków urządzało walkę kogutów codziennie po południu na błotnistym podwórzu Mongoose'a. Miał do przepuszczenia kilkaset jenów.

- Nie - powiedziała. - Tędy.

Wzruszył ramionami. Pewnie straciłby te pieniądze tak czy siak.

- Dobra. - Zaczęli spacer w kierunku Diamond Head.

Miała na sobie tę samą białą sukienkę. Można by pomyśleć, że jest jej gorąco, ale wyglądała tak świeżo jak białe chmury, które okrywały wierzchołki gór.

- Jak tu dziwnie - powiedziała.

- Naprawdę?

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać. Tutaj nie jest mi tak smutno. Smucenie się strasznie mnie męczy. - I wybuchnęła tak niepohamowanym, histerycznym śmiechem, że Cen pomyślał ze strachem, że to jakaś naszprycowana bionanem wariatka z Interspace. Nie próbował jej przycisnąć i ku swojemu zdumieniu uświadomił sobie, że pragnie tylko ją chronić, dać jej poczucie bezpieczeństwa.

Sprawić, żeby nie znikła jak przedtem.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Odwzajemniła się tym samym przenikliwym, inteligentnym, żarliwym spojrzeniem, które zapamiętał z poprzedniego spotkania.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nazywam się Kaiulani.

- Gdzie mieszkasz?

- Mój ojciec ma duży dom na Waikiki. Byłby bardzo zły, gdyby się dowiedział, że wybieram się do portu. Chce mnie trzymać w zamknięciu, żebym była bezpieczna. Ale ja muszę wiedzieć, jaki jest mój lud.

- Twój lud?

Jej twarz jaśniała łagodnością i spokojem, ale odpowiedziała z pewną niecierpliwością w głosie:

- Tak. Król Dawid Kalakaua jest moim wujem, a Liliuokalani Dominis to moja ciotka. Jestem tuż po niej w kolejce do tronu. - Uniosła podbródek i patrzyła na niego uporczywie.

- O czym ty mówisz? - Czy ona zna jego nazwisko? Lu-Wei, jedynemu człowiekowi, który o nie pytał, podał nazwisko Cen Smith. Ogarnęło go przerażenie. Czyżby ojciec go znalazł i przysłał ją? Nie, to niemożliwe...

- Chyba nie wierzysz.

Wziął głęboki oddech.

- W co?

- Że to ja będę następną władczynią Hawajów.

Wariatka. Ale bogata wariatka. Była bardzo piękna, delikatna i drobna. Rozluźnił się. Ostatecznie Kalakaua było rzadko spotykanym nazwiskiem. Zrobiło mu się jej żal. Nie była turystką. Wyglądała na Hawajkę.

- Twój ojciec ma rację - powiedział Cen. - Nie powinnaś spacerować w tej części miasta. Pozwól, że odprowadzę cię do domu. - Nawet gdyby jego ojciec go odnalazł, co mógłby zrobić? Cen miał teraz prawie 180 cm wzrostu i był bardzo silny. Zbiłby ojca na krwawą miazgę, a potem...

Zmarszczyła brwi.

- Dziękuję, ale potrafię dojść do domu bez niczyjej pomocy - odparła. - Tak czy owak, pora na herbatę, a oni denerwują się, kiedy się spóźniam.

Herbata? Był tak zdumiony całym tym przedstawieniem, że pozwolił jej odejść. Zanim przyszło mu na myśl, żeby ją śledzić, skręciła już za róg. Kiedy pobiegł za nią do Huang Po i rozglądał się po King Street, panowały tu pustki, jak zwykle o tej porze dnia.

Ulica wibrowała od jej nieobecności.

Ze strachu nie mógł normalnie oddychać.

- Nie zostawiaj mnie - powiedział, gapiąc się na stare budynki, jakby w obawie, że i one za chwilę znikną, on zaś znajdzie się sam w ciemnej, przerażającej pustce z przeblyskami czerwieni, w mglistej krainie z nawracających koszmarów, gdzie wszystko wydawało się

nierealne, ale było jedynym dostępnym mu światem.

Zapał *pakalolo*, powiedział sobie. Zapomnij o tej dziewczynie. Uwal się na całą noc - w końcu i tak musisz pracować.

Jego dodatkowa praca polegała na napełnianiu zmywarki brudnymi naczyniami po bogatych turystach, którzy opychali się rybą pokrytą orzechami macadamia oraz ciastem orzechowym i zapijali to jakimiś dziesięcioma Blue Hawaii. Żałował, że nie może zrezygnować z pracy na rybnym bazarze. Dostawał od niej mdłości. Przynajmniej raz w miesiącu uciekał od miotających się ryb i rzek krwi, żeby zwymiotować w łazience, ale Lu-Wei płacił zaskakująco dobrze i ceniał jego niezawodność, a Cen miał mgliste marzenie, by skończyć szkołę.

Na haju mógł marzyć, że jest zima, a w Makaha jest duża fala. Wtedy życie było realne. W tamtych okolicach pojawiało się mnóstwo nierozgamiętych turystów, którzy zamykali w samochodach aparaty fotograficzne i portfele, myśląc, że w ten sposób zabezpieczą się przed kradzieżą. Cen potrafił włamać się do bagażnika i uciec z łupem w ciągu mniej więcej dziesięciu sekund. Jasne, gdyby on, dzieciak z ulicy, tylko spróbował, mógłby robić coś więcej niż tylko czyszczenie ryb i kradzieże. Może kiedyś.

Ale teraz może Mongoose udzieli mu pomocy. Zazwyczaj miał jakąś nadwyżkę.

*

Wróciła nazajutrz. Podeszła do niego, gdy siedział w parku, pałac *pakalolo*. Gliniarze nie zwracali na niego uwagi; ten park był dla włóczęgów, a on czuł się jak włóczęga. Może nim zostanie włóczęgą? Dlaczego nie? Wcześniej udał się do szpitala, stał w drzwiach, roztargnieni ludzie potracali go, aż zawrócił. Nie poszedł do pracy. Czy praca miała sens? Czy cokolwiek miało sens? Świat był szalonym, mrocznym miejscem, a lęk - od którego Cen nigdy nie mógł się uwolnić - przed nagłym pojawieniem się jego ojca był jak gotowa do obezwładniającego skoku bestia. Nie było dokąd uciec. Nie istniało bezpieczne miejsce. Park był jasny, skąpany w promieniach oślepiającego słońca, które ogrzewały jego plecy jak kojąca tarcza ochronna.

- Czytałeś kiedyś Roberta Louisa Stevensona? - zagadnęła.

Serce biło mu szybko, gdy odwracał się, natychmiast rozpoznawszy jej głos. Spokojnie, mówił sobie, tylko jej nie wystraszył.

- Kto to taki? - zapytał z lekkim drżeniem w głosie. Uświadomił sobie, że nie chce się przed nią przyznać, iż niewiele czyta. Czytanie przypominało mu o mamie.

Uśmiechnęła się do niego, przybliżając twarz. Miała śliczny uśmiech. Jeszcze nigdy nie widział tak życzliwych oczu.

- On jest moim przyjacielem. Czyta ze mną - Szekspira i Platona, a nawet uczy mnie łaciny. On jest *haku mele*. - Poetą. Znowu spoważniała. - Musisz wiedzieć bardzo dużo, żeby być władcą. Właściwie musisz wiedzieć wszystko, co wiedzieć należy. Zwłaszcza o polityce i o świecie, i o wszystkim. I trzeba znać języki obce - moim ulubionym jest francuski. Nie cierpię niemieckiego, a ty?

Podobała mu się ta zwariowana dziewczyna.

- Jedyne języki obce, jakie znam, to angielski - oświadczył.

- To znaczy, że twoim ojczystym językiem jest hawajski?

Mój język ojczysty.

- Tak.

Czasami, na przykład ilekroć wybierał się w Góry Waianae albo jeździł górale m Jake'a wokół Kaena Point, gdzie było tak dziko, albo kiedy korzystał z pożyczonej deski surfingowej, myślał po hawajsku.

- Skąd wiedziałaś?

- Przecież ci mówiłam - odparła. - Widzę, że jesteś *alii*.

- To szaleństwo - powiedział.

I w tym momencie zrozumiał, że nie ma racji.

Matka nauczyła go recytować całą genealogię aż do dni pradawnych wodzów, ale do tej chwili nawet o tym nie pamiętał. Zabawne, jakie rzeczy człowiek potrafił zapomnieć, jeśli się postara. Dla niej przeszłość miała znaczenie.

Ale przeszłość nie liczyła się. Nie w dzisiejszych czasach, kiedy usiłowano odbudować kolonię na Księżycu, a ze stacji kosmicznej, gdzie trwała budowa statku pokoleniowego, w każdą środę nadlatywał z rykiem kolejny prom.

Z drugiej strony, co mu szkodziło trochę poudawać, zwłaszcza w świecie, w którym można było rozmawiać z duchem? Pomyślał, że ona jest duchem, chociaż wydawała się całkiem rzeczywista. Po prostu było coś niesamowitego w jej wyglądzie i stroju. Umysł potrafi wyczyniać zabawne rzeczy, ale jakie to miało znaczenie? Ona sprawiała, że czuł się *szczęśliwy*. Czy to nie wystarczało?

- Tak - rzekł - i wiem, gdzie znajduje się szkielet Kamehameha.

Myślał, że odpowie mu: tak, akurat.

Zamiast tego zerwała się z trawy i stanęła przed nim. W jej twarzy było coś dzikiego.

- Nigdy, przenigdy, nikomu o tym nie mów - powiedziała i szybko pocałowała go prosto w usta.

Wszystko wydawało się rzeczywiste, chociaż jej obecność, a zwłaszcza dotknięcie jej

ust, przydawała barwom intensywności. O co chodziło z tym szkieletem Kamehameha? Po prostu wyrwało mu się to z ust. Kiedy był blisko niej, działy się dziwne rzeczy.

Faktycznie śnił czasami o tych kościach. Były poźółkłe i chropowate. Straszne. Emanowała z nich okropna energia śmierci. Takich snów bał się najbardziej. Niekiedy czuł, jak ta mroczna moc próbuje wdrzeć się do jego świata, przesączyć się przez jasne budynki nierzeczywistego Honolulu i porwać go w bezkresną noc.

W każdym razie, Kamehameha zmarł przeszło dwieście lat temu. Był pierwszym królem, który zjednoczył hawajskie wyspy. Nikt nie wiedział, gdzie spoczywają jego kości. Ukryli je kahuni - kapłani - gdy tylko umarł. Dziewczyna miała rację - dla Hawajczyków kości były świętością. Miały wiele *mana*, wiele mocy. Gdyby w ich posiadanie weszli wrogowie, mogliby zrobić z nich haczyki do wędek. Gorszej zniewagi nie można było sobie wyobrazić.

Nie wiedział, dlaczego mu się śniły. Doszedł do wniosku, że zobaczył je w telewizji, kiedy był mały, i że musiały wywrzeć na nim duże wrażenie. W swoich snach wręcz je *słyszał*. Gładkie, ciemne ręce o długich palcach zawijały je w stary kawałek tkaniny *tapa* i fragmenty szkieletu klekotały sucho w ciemności.

Zorientował się już, że Kaiulani nie ma w sobie nic ze śmierci. Była jak słońce w parku: pogodna i życiodajna.

Popatrzył na swojego skręta, pstryknął go zamaszystym łukiem na drugi koniec alejki. Kto wie, co Mongoose dodał do tytoniu. Przygotowywał się psychicznie do zadania jej serii pytań. Nie chciał myśleć, że zwariował i jest jak stary pijaczyna odgrażający się nie wiadomo komu.

- Dlaczego nie powinienem nikomu o tym mówić? Kim jesteś? Dlaczego uważasz, że możesz mi cokolwiek kazać robić?

Reakcja Kaiulani była nieoczekiwana. Spojrzała na Cena gniewnie i zbladła. Podniosła dojrzałe mango i rzuciła nim w chłopaka. Rozbryzgało się na jego ręce, a zapach owocu buchnął mu w nozdrza. No cóż, przynajmniej doświadczał czegoś rzeczywistego. Obserwował w rozbawieniu, jak zakręciła się i pobiegła, unosząc swoją długą, białą suknię. A potem puścił się na nią pędem.

Cen był zdumiony, jak szybko dziewczyna mknie po szerokim, zielonym trawniku, który znaczyły krótkie, południowe cienie palm kokosowych.

Ale już po minucie znalazł się dostatecznie blisko, by złapać jej szarfę i oderwać ją od sukni Kaiulani. Odwróciła się wtedy z płonąącym wzrokiem.

- Tak się nie postępuje z księżniczką - powiedziała i wymierzyła mu policzek.

Poczuł piekący ból. Rozzłoszczony zażądał:

- Skoro tak, to po prostu powiedz mi o tych kościach, *księżniczko*.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Wierzysz mi?

- Jasne - odparł. Może i wierzył.

- Usiądź - rzekła.

Usiedli i patrzyli, jak przybrzeżna fala rozbija się o rafę.

Ale Kaiulani była dziwnie cicha. Wreszcie przemówiła.

- Już je widywałam. One są *kapu*. Przynoszą wielkiego pecha. - Roześmiała się. - Zostałam przeklęta za sprawą mocy kości.

- Znowu wybuchnęła śmiechem. Mówiła wesołym, beztróskim tonem. - Głupi przesąd!

Na moment umilkła, a potem dorzuciła:

- Ale mimo wszystko *ja* muszę je zobaczyć.

- Dlaczego? - zapytał szeptem.

Wstała i odwróciła się, żeby popatrzeć na ocean, którego wąski, zwieńczony bielą pas był widoczny między drzewami. Zieloność przechodziła nagle w ciemny błękit w okolicy raf.

- Żeby zobaczyć... - Głos jej się załamał, ale pokonała wahanie i ciągnęła: - Żeby zobaczyć, czy są prawdziwe. Żeby znowu ich dotknąć. Żeby więcej wiedzieć. Ponieważ mam władac tą krainą i sprawić, by wróciła do niej sprawiedliwość. One będą mi o tym przypominały.

Gdyby ktokolwiek inny powiedział te słowa z taką powagą, na pewno wybuchnąłby szyderczym śmiechem. Ale ona mówiła z wielką godnością. Łatwo, bardzo łatwo było jej uwierzyć.

Czuł, jak cały jego umysł i cała jaźń wirują, a potem rozrastają ku *jej* rzeczywistości, *jej* życiu. O ileż pogodniejszemu niż jego życie. Kiedy obserwował śliczną, uczciwą twarz Kaiulani, przestawał odczuwać brzemień czerwieni i czerni i zapominał, jak wyglądała Mei w tamtym okropnym pokoju. Zdał sobie sprawę, że musi dopomóc Kaiulani ze wszystkich swoich sił. Nic nie było ważniejsze niż jej marzenie o sprawiedliwości dla Hawajczyków. Wszędzie dookoła widział swoich pozbawionych prawa głosu braci i siostry, którzy czuli potężny, obezwładniający gniew w stosunku do potomków tych, którzy zabrali im ich ziemię i kraj. Mimo upływu tylu lat wciąż nie chcieli się przystosować do życia, które wydawało im się mniej czyste i święte niż to, które zostało im ukradzione. Dziedziczne marzenie, które przekazywały sobie kolejne generacje, a które on sam dotychczas zawsze odrzucał, chociaż

właściwie nie miał go czym zastąpić. Istniało co najmniej osiem frakcji Ruchu Ojczyźnianego, które różniły się nieco programami, ale miały wspólny cel. Każda twierdziła, że chodzi jej o prawdziwe potrzeby Hawajczyków. Kontaktował się trochę z jedną z nich i doznał wówczas lekkiego zawodu.

Kaiulani patrzyła na fale omywające rafy. Przybrzeżny wiatr rozwiewał jej długie, ciemne włosy.

- Mówią, że chcą mnie wysłać do europejskich szkół - powiedziała. - Mam o tym nic nie wiedzieć, ale słyszę to i owo. Zawsze miałam tam jechać, ale kiedy będę starsza. Ale najwyraźniej w centrum coś się dzieje. - Zmarszczyła brwi. - Tu, na Hawajach jest tylu szalonych haoli. I wszystkim jakoś się udaje dostać do gabinetu mojego wuja. - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Czy to, co paliłeś wcześniej, to było opium?

- Nie - odparł. - To nie pochodziło z maków. - O nic jej nie pytaj. Niech cały czas gada, zapamiętuj, co mówi, staraj się wyciągać wnioski...

Zatrzymaj ją *tutaj*.

- To najświeższy problem mojego wuja - powiedziała.

- Przez długi czas tylko Hawajczykom nie wolno było pić ani palić opium. Wszyscy inni mogli to robić. Ale teraz sprzedał licencję jakiemuś chińskiemu kupcowi. Rozumiesz to już przestępstwo. Zdaje mi się, że zapłacono mu jakieś siedemdziesiąt tysięcy dolarów. A potem sprzedał tę samą licencję komuś innemu, a temu pierwszemu człowiekowi powiedział, że mu przykro, ale nie odda pieniędzy! No i ten pierwszy człowiek poszedł z tym do prasy... - westchnęła. - Teraz okazuje się, że mój wuj - no wiesz, to on jest królem - podpisał oświadczenie pod przysięgą, ponieważ zapłacili mu za to zwolennicy aneksji, co dyskredytuje go jeszcze bardziej. No cóż to prawda, że on chyba w ogóle nie ma poczucia odpowiedzialności. Tak twierdzi mój ojciec. Oczywiście wuj Dawid jest bratem mojej matki! On jest jak wyrośnięte dziecko. Siedzi sobie na swojej łodzi i opróżnia skrzynki szampana z *moim* przyjacielem, Louisem - to znaczy, panem Stevensonem. Louis nie cieszy się dobrym zdrowiem! Ale przynajmniej postępuje jak dorosły człowiek. Mam mnóstwo roboty, Cen. Muszę się wiele nauczyć. Wszyscy się skarżą, bo Hawajczycy nie pracują. Ależ naturalnie, że pracują! Przecież radziliśmy sobie jakoś przed przybyciem haoli, prawda? To nasza ziemia! Zanim zjawili się Europejczycy, wszystkim układało się dobrze. Pracowaliśmy intensywnie, kiedy było trzeba, i równie intensywnie się bawiliśmy. Tak mi mówiła moja stara pielęgniarka i moja ciotka Liliuokalani. Jeśli biznesmeni chcą zrobić majątek na sprzedaży cukru, dlaczego Hawajczycy mieliby być niewolnikami na własnej ziemi?

Odwróciła się do Cena z rozpłomienionymi policzkami. Nie wiedział, co powiedzieć.

Miała w sobie o wiele więcej pasji niż on. Pomyślał o Lu-Wei. Rodzina Lu miała stragan na bazarze rybnym od ponad stu lat. Cen nie chciał myśleć o swojej własnej rodzinie. Nie mógł. Czuł, jak wyrasta przed nim mur.

- Wybierasz się do Europy? - zapytał łagodnie, zastanawiając się, dlaczego słowa jakiegoś ducha nappełniają go takim żalem. Podniósł rękę i pomacał piekący policzek. Jego mózg nie chciał funkcjonować. Zresztą, jakie to miało znaczenie? I tak należała do świata zmarłych, jeśli te dziwne rzeczy, o których opowiadała, były prawdą.

Jednak to *miało* znaczenie.

Kiedy była tutaj, czas olśniewał Cena intensywnością, sprawiając, że reszta jego życia wydawała się nieważna. Wszystko w niej było jego przeciwieństwem, jak gdyby stanowili dwie strony tej samej maski jak ciemność i światło. Po co pytać, dlaczego ją widzi? Liczyło się tylko to, że w ogóle *był w stanie* ją widzieć.

Ze zdumieniem uświadomił sobie, że oszukuje samego siebie.

A teraz ona odchodziła.

- Nie chcę jechać tak daleko - powiedziała. - Ale to dla dobra mojego ludu. Aby pomóc mojemu ludowi, muszę dowiedzieć się wszystkiego o *tamtych*. O tym, w co wierzą. Moje życie jest bardzo cywilizowane. Siedzę w wielkiej sali wieczorami, słucham, jak przemawiają królowie i królowe z mojego kraju i innych państw. Okna są zawsze otwarte i napływa przez nie łagodny wiatr znad morza, potrząsając bananowcami. Wszyscy zagraniczni ambasadorowie przyjaźnią się z moim ojcem. Przychodzą, piją gin i grają w karty. Ja zachowuję się bardzo cicho, więc mnie nie wyganiają. Wygląda na to, że wszyscy chcą Hawajów - Brytyjczycy, Amerykanie, a nawet Japończycy. Ale my potrzebujemy ich dla samych siebie. Przecież one są nasze.

Odwróciła się i popatrzyła na Cena.

- Jesteś *alii*, tak jak ja. Jeśli wiesz, gdzie spoczywa szkielet, musisz mi pokazać to miejsce. Muszę się uczyć nie tylko podczas pobytu w Europie. Mój ojciec jest Szkotem i uważa, że powinnam się tam wybrać - ale ja sądzę, że w tym przypadku może się mylić. Moja stara pielęgniarka powiedziała, że kości dają życie tej ziemi. Może gdybym je zobaczyła, gdybym ich dotknęła - zobaczył, że dziewczyna się wzdryga - lepiej zrozumiałabym sprawy... moją krainę. Wiedziałabym, co powinnam zrobić. One zawierają... informację.

Cen poczuł chłód. Informacja. Tego samego słowa użyła Mei.

- Nie widziałem żadnego szkieletu - oświadczył. Dlaczego w ogóle powiedział wcześniej coś tak nedorzecznego?

- Nie wierzę w to - odparła, patrząc wprost na niego. - Nie wierzę, że mógłbyś mnie

okłamać.

Zatem niewiele o mnie wiesz, pomyślał.

- Jeśli naprawdę jesteś duchem - odezwał się - dlaczego mogę cię widzieć? Dotknąć?

Wyciągnęła rękę i dwoma palcami musnęła jego ramię.

- Bo jesteś wyjątkowy. Może dlatego ja mogę widzieć ciebie. Widocznie jesteśmy *uhana make*.

Przyjaciółmi duszy. Hawajskie wyrażenie. Był wstrząśnięty. Właściwie czym była dusza? Czy on *miał* duszę? Miał ochotę zapytać, jak to jest, kiedy jest się nieżywym, ale bał się.

*

Tej nocy Cen zbudził się z koszmarne snu i przypomniała mu się genealogiczna pieśń-wyliczanka, której kiedyś nauczyła go matka, lawina błyskotliwych, połączonych słów. W powodzi imion odnalazł ją, Kaiulani. Ostatnią księżniczkę Hawajów. Naprawdę nazywała się Victoria Kawekiu Lunalilo Kalaninuiāhīkaloāpapa Kaiulani. Mogła się ubiegać o tron za sprawą matki, księżniczki Likelike.

Jego szpitalna wizyta nazajutrz była krótka i bolesna. Miał na sobie najlepsze ubranie i starannie zaczesał włosy. Wziął dla pielęgniarki słodycze, które przyjęła z pewnym oszołomieniem. Wzruszyła ramionami.

- W porządku, wyrobiłam ci przepustkę. Powiedziałam, że jesteś jej bratem. Ale powiem ci, że dziwne to wszystko. Oni chyba nie wiedzą, co jej jest. Chyba stosują jakieś nadzwyczajne procedury. Myślisz, że dasz radę?

- Jasne - odparł, ale głos mu się załamał. Szedł za pielęgniarką korytarzem aż do pokoju Mei.

- Zaczekaj - szepnęła, łapiąc go tuż zanim weszli w drzwi.

- Myślałam, że on sobie poszedł.

Mei siedziała na łóżku. Miała na sobie bladoniebieską, szpitalną koszulę. Na jej głowie znajdował się hełm z przewodów podobny do odwróconego do góry nogami kosza. Patrzyła na trzymaną w ręku kartę. Obok niej stał mężczyzna w białym płaszczu. Cen nie słyszał, o czym rozmawiają. Mei kiwnęła głową, a mężczyzna zabrał jedną kartę i wręczył jej drugą. Mei była zbyt blada, zbyt chuda.

Cen cofnął się o krok i z nowej pozycji zobaczył ekran, a na ekranie kolorowy obraz... chyba mózgu.

Mózgu Mei. Wypełnionego przemieszczającymi się barwami, pączkującymi światłami, które rosły i kurczyły się. Nagle podniosła oczy, być może czując na sobie jego

wzrok, i otworzyła usta. Uśmiechnęła się, upuściła kartę i wyciągnęła ręce do niego...

- No, chodź - powiedziała pielęgniarka, która obserwowała ją wraz z nim. Pociągnęła go korytarzem tak szybko, że z trudem za nią nadążał. Pchnęła go do następnego przejścia i Cen usłyszał zatraskujące się drzwi.

Byli w pokoju z dwoma pustymi łózkami.

- Kto to był? - zapytał Cen. - Co oni robili?

- Zadajesz za dużo pytań - powiedziała i kazała mu spróbować jeszcze raz następnego dnia.

W pracy był tak zdenerwowany, że zaciął się w milczeniu. Odczuwał kompletną bezradność. Czy Mei była więźniem? Wiedział, kim byli ci ludzie. Albo tak mu się wydawało. Ci sami, którzy zabrali ją do Triplera, uwiedli marzeniem o staniu się osobą nieprzeciętnie inteligentną. Teraz, kiedy coś poszło nie tak, nie chcieli, żeby jej nazwisko kojarzono z Triplerem. Gdyby ich zapytano, co tutaj robią, ci ludzie zapewne odpowiedzieliby, że są pracownikami opieki społecznej, którzy prowadzą jej rehabilitację czy coś w tym stylu. Może powinien wezwać policję?

Jasne. Powinien to zrobić. To byłoby dobre posunięcie, po tylu latach ukrywania się. Pierwszą rzeczą, o którą go zapytają, będzie *jego* nazwisko. Na nic się nie przyda Mei, jeśli wyląduje w więzieniu. Poza tym tamci ludzie byli potężniejsi od policji.

Tego wieczoru spacerował po ciemnych ulicach i poszedł do Bishop Museum, wielkiego skarbcza Hawajców. Czuł niepokój, brak celu. Tu przynajmniej mógł się zająć czymś pożytecznym.

Gabloty wypełnione starożytnymi narzędziami i wyrobami rozmaitych Wyspiarzy z czasów prehistorycznych aż po dzieje ostatniego rodu królewskiego na Hawajach. Ekspozycje tak bardzo przypominały mu o matce, że omal nie wyszedł. Pieprzcie się, powiedział w duchu do ludzi, którzy, jak mu się wydawało, gapili się na niego, gdy ocierał łzy z twarzy. Nie wiedział, dlaczego tak się czuje, ale nie mógł tego ścierpieć.

Musiał poprosić o pomoc. A kiedy ją otrzymał, zawahał się przed otworzeniem wyblakłego, ilustrowanego przewodnika po starych Hawajach.

W indeksie znalazł jej imię. Księżniczka Kaiulani.

Z drzeniem przewracał wyschłe karty, aż trafił na właściwą.

Niesamowite jak bardzo ją przypominała.

Fotografia w tonacji sepii pokazywała ją na trawniku przed posiadłością. Rezydencja Ainahu została zbudowana przez jej ojca, Archibalda Clegorna, na Waikiki i wszyscy szydzili z niego za to, że powstała tak daleko od miasta, na środku bagna. Za domem było widać

czubki kilku palm, a podwórze zaciaśniało rozłożyste drzewo *banyan* i liczne mimozy. To by się zgadzało. Kaiulani przypominała mu te dziwne różowe kwiaty, wachlarze miękkich, jasnoróżowych kolców, które opadały na ziemię, kiedy wiały mocne wiatry, napelniając powietrze słodyczą.

Przed nią przechadzały się dwa pawie, a ona pochylała się ku jednemu z nich ze śmiechem. Twarz miała zwróconą wprost do aparatu, okoloną długimi czarnymi włosami.

- Robert Louis Stevenson, król Dawid Kalakaua i księżniczka Kaiulani - głosił podpis. Miał wrażenie, że na tym zdjęciu zaraz zacznie się rytuał picia herbaty.

Przekartkował księgę. Znalazł jeszcze jedno zdjęcie księżniczki. Była dzieckiem, stała obok swojej ciotki, królowej Liliuokalani, na schodach Pałacu Iolani. Przyglądali się koronacji jej wuja, króla Dawida Kalakaua i jego żony, królowej Kapiolani. Był rok 1882. Mimo że miała zaledwie siedem lat, jej twarz była poważna i spokojna.

I to wszystko. Ale to była ona. Bez wątpienia.

Jakim cudem?

Bibliotekarka była bardzo pomocna.

- Kaiulani należy do ulubieńców - powiedziała i podała mu białe rękawiczki, które musiał nałożyć, kiedy czytał kruche listy, w których Kaiulani opisywała tacie swoje studia w Europie. Uświadomił sobie, że w tym muzeum są ekrany dotykowe i projekcje wirtualne, które można obsługiwać tylko za pośrednictwem klucza bibliotecznego. A to - możliwość prowadzenia poważnych badań - wiązało się z kosztami. I nawet gdyby miał taką możliwość, lęk, który nigdy go nie odstępował, ujawniłby się ze zdwojoną siłą: musiał pozostać w ukryciu. Poza wszelkimi systemami. Nie chciał zostać odszukany przez ojca.

Znalazł w sklepiku z pamiątkami tanią książeczkę o hawajskich duchach i jeszcze jedną o Kaiulani, i wziął je do domu. Przeczytał je tego wieczoru w swoim samotnym pokoju, żeby nie zasnąć i nie mieć koszmarów, w których krzywdzono Mei. Kaiulani nigdy nie pojawiła się jako duch w starych legendach, ale przecież zmarła już po epoce starych Hawajów, kiedy legendy odgrywały tak istotną rolę w życiu ludzi.

Być może, rozumował, ona była nowym duchem. A takie miały rozmaite moce. Podróż w czasie było jedną z nich. Duchy dawały rady i ostrzeżenia. Potrafiły spowijać ludzi snami i w ten sposób wywierać na nich wpływ. Potrafiły przenosić każdego, kogo chciały, z miejsca na miejsce równie łatwo, jak policja przenosiła hologramy przedstawiające „zaginionych”. Do najślawniejszych należała Pele, bogini wulkanu, ale były też setki innych.

Dla niego najważniejsze było to, że wydawały się tak silnie związane z *miejscem*. Tak jakby ich obecność objawiała sama ziemia, jakby natykali się na nie ludzie, którzy akurat

kroczyli tą samą ścieżką. Od ostatniego spotkania mogło upłynąć nawet pięćdziesiąt lat, a duch wciąż tu był, niepomny czasu.

Rzucił książkę o duchach na podłogę, czując się głupio, i wziął do ręki biografię Kaiulani. Najgorsze było to, że umarła tak młodo. Dlaczego wszyscy musieli umrzeć, pomyślał ze złością. Przypomniawszy sobie najnowsze pogłoski, że gdzieś, w jakimś mrocznym laboratorium, stworzono nieśmiertelną nano-istotę. Ta myśl doprowadzała go do szału. Dajcie mi trochę tej substancji dla Mei, pomyślał. I trochę dla Kaiulani... Mógłbym ją przemycić do przeszłości i...

Im więcej o tym myślał, tym dziwniejszy wydawał się ów pomysł. Gdybym zdołał ją ożywić... co wtedy mogłoby się wydarzyć? Mei mogłaby być zdrowa. Albo...

To przerastało jego zdolność pojmowania, a poza tym było niedorzeczne.

Kilka ostatnich stron było dla niego dużym przeżyciem. Kiedy Kaiulani przebywała w Europie, ucząc się w drogich szkołach, miały miejsce rozmaite polityczne machinacje. Hawaje okazały się łakomym kąskiem i były zbyt małe, by obronić się przed chciwymi haolskimi biznesmenami. Wkrótce Hawajczykom odebrano całą ziemię. Kiedy Kaiulani miała osiemnaście lat, udała się do Waszyngtonu, gdzie spotkała się z prezydentem Groverem Clevelandem i jego żoną, podejmując desperacką próbę powstrzymania Stanów Zjednoczonych od aneksji Hawajów. Samozwańczy „Rząd Tymczasowy” składający się z bogatych amerykańskich biznesmenów usunął ciotkę Kaiulani, królową Liliuokalani, ale dopóki Cleveland był prezydentem, Hawaje pozostawały monarchią. W styczniu 1895 roku wybuchło małe powstanie, które zostało stłumione przez amerykańskie wojska.

Kiedy Cleveland opuścił Biały Dom, zwolennicy aneksji mieli pole do popisu. 12 sierpnia 1898 roku Hawaje utraciły suwerenność jako państwo. W styczniu 1899 roku, podczas pobytu w Parker Ranch na Wielkiej Wyspie, Kaiulani wybrała się na konną przejażdżkę wraz z przyjaciółmi. Zamiast założyć płaszcz przeciwdeszczowy podczas nagłej, zimnej ulewy, powiedziała: „Po co mam żyć?” Rozpuściła włosy i pogalopowała w środek burzy. Przeziębła się, jej stan stale się pogarszał i po kilku tygodniach zmarła. Miała dwadzieścia trzy lata. Mówiono o klątwie kahuny.

Ostatnie lata jej życia wypełnione były dumną rozpaczą i przygnębieniem, gdyż miała świadomość, że nie zdoła wypełnić swojego przeznaczenia.

Kaiulani była taka młoda i śliczna, tak pełna życia i nadziei. Podobnie jak Mei. Jak mogło dojść do tak strasznej rzeczy, jaką jest przedwczesna śmierć? Wydawało się wręcz, że została przepowiedziana jak narodziny Kamehameha: to kahuni zdecydowali przed jego przyjściem na świat, że ów władca doprowadzi do zjednoczenia wysp.

Hawajczycy byli chyba zafascynowani prorocत्वami, a także śmiercią. Najwyraźniej sądzono wtedy, że śmierć Kaiulani została wymodlona, podobnie jak wcześniejsza śmierć jej matki. Ta ostatnia miała zaledwie trzydzieści sześć lat, kiedy zmarła po tajemniczej, obłożnej chorobie. Przewidziała nie tylko własną śmierć, ale także wszystkie ważne wydarzenia w życiu Kaiulani: że dziewczyna większość czasu spędzi poza krajem, że nie wyjdzie za mąż i nigdy nie będzie królową. Jak ci Hawajczycy byli zdolni do takich strasznych wizji?

W jaki sposób mógłby odmienić jej los? Gdyby mógł ją *zobaczyć, dotknąć...*

Ty głupcze, powiedział do siebie. Ona jest duchem, a duchy przecież nie istnieją.

A jednak... Zastanawiał się, kiedy znowu ją zobaczy.

Jeśli w ogóle.

Stevenson napisał dla niej wiersz. Kiedy miała trzynaście lat, została wysłana do Europy, żeby odebrać wykształcenie należne przyszłej władczyni królestwa. To był jego pożegnalny prezent:

Z ojczyzny do mego kraju przybywa.

Wyspiarska dziewczeczka, róża prawdziwa

Z sercem beztroskim i pełna krasy

Wyspiarskie dziecię podwójnej rasy

Jej wyspy słońcem opromienione,

Za Kaiulani swoją stęsknione

Cień jej banyana będzie mnie skrywał

I będę daremnie jej wypatrywał

Lecz nasze szkockie wyspy w oddali

Niezwykły, pogodny dzień rozpali

Burzom choć raz folgować przestanie

I uśmiech rozbłyśnie w oczach Kaiulani

Cen pomyślał, że to dość cikliwa poezja. Sam pewnie napisałby coś lepszego. Przynajmniej dzięki temu wierszowi poczuł senność. Książka wypadła mu z rąk.

Następnego ranka Huang Po miał czelność zatrzymać go przy wyjściu i zażądać czynszu, ponieważ był pierwszy dzień miesiąca. Cen z godnością udał się na górę. Otworzył pudełko Mei z uporządkowanymi papierami i pokazał Po kwity.

- Według tych papierów mamy opłacony czynsz jeszcze za dwa miesiące - powiedział Cen, machając kwitkiem Po przed nosem i pokazując swój podpis na dole.

- A tak, zapomniałem - odparł Po.

- Jasne - rzekł Cen.

Pognał na bazar. Zaspał. Świat wydawał się dziwną gmatwaniną, błyszczącą zasłoną, niemal przezroczystą, którą mógł rozedrzeć. Poczul nagły zawrót głowy, kiedy podawał klientce pierwszą torbę z *mahi*. Wypadła mu z ręki. Przytrzymał się lady, żeby nie upaść. Lu-Wei podbiegł do niego, złorzeczając po chińsku, wymachując laską. Przeprósł klientkę i obsłużył ją. Kiedy odeszła, Lu-Wei odwrócił się do Cena i wrzasnął:

- Nie ma z ciebie dzisiaj żadnego pożytku! Wynocha! Nie będę płacił za chorego.

- Pieprz się! - odparł Cen. - Nie jestem chory!

- Zwalniam cię - powiedział Lu-Wei. - Masz tu ostatnią wypłatę. Jazda stąd!

Cen był tak oszołomiony, że nawet nie protestował. Stał tylko, podczas gdy Lu-Wei odliczał pieniądze. No i dobrze. Robota była okropna.

Kiedy znalazł się na ulicy, znowu owładnęła nim dziwna jasność. Co się z nim działo? Jego życie rozpadało się. Czyżby miał gorączkę? Przyłożył rękę do czoła, ale było chłodne. Uświadomił sobie, że idzie z powrotem do parku. *Ona* tam będzie. *Ona* sprawi, że wszystko będzie... pasowało.

Nie przyszła. Zasnął w parku. Kiedy się przebudził, popędził do szpitala, ale godziny odwiedzin już się skończyły.

Wyszedł przybity w ciemny wieczór. Szedł powoli, potem przyśpieszył, aż uświadomił sobie ze strachem, że zawraca do Bishop Museum.

Dlaczego by nie? Zaczął biec. Do Kaiulani.

Kiedy był już w środku, nie wiedział, co robić. Musiał znowu zobaczyć Kaiulani. Rozpierała go osobliwa, gorączkowa energia, jakiej nie czuł jeszcze nigdy w życiu. W katalogu podano, że muzeum stworzyło projekcję wirtualną w oparciu o zestaw fotografii. Trwała trzy minuty.

Uważnie obserwował, jak obsługiwano kabiny. Na Waikiki znajdował się salon gier, gdzie Cen przepuścił niemało jenów. Spędzał tam tak dużo czasu, że potrafił odgadnąć wirtualną tożsamość już po sposobie, w jaki postać tańczyła. Ale tutaj sytuacja była bardziej skomplikowana: projekcje wirtualne były opatrzone odnośnikami, a samo wejście do systemu wymagało pewnej znajomości komputerów. Cen obsługiwał komputery w zerówce. Kiedy to było - jakieś dziesięć lat temu? Od tego czasu wiele się zmieniło.

Ktoś klepnął go po ramieniu. Podskoczył ze strachu.

Odwrócił się i zobaczył dziwne, szare oczy.

Mężczyzna miał krótkie, jasnobrązowe włosy z licznymi pasemkami siwizny.

- Obserwowałem cię - powiedział.

Cen zeszytniał. Powtarzał w myślach: „Przecież nie robię niczego złego”, ale lata spędzone na kradzieżach i włamaniach usztywniły mu mięśnie. Jego serce biło bardzo szybko.

- Wiesz, obsługa projekcji wirtualnych nie jest taka trudna - powiedział mężczyzna.

- Kim pan jest? - zapytał Cen, zły na siebie za swój ostry, zaczepny ton.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nazywam się Ross Benet. Jestem profesorem matematyki na Uniwersytecie Hawajskim, ale przychodzę tu dosyć często. Tutaj dobrze się myśli. Zauważyłem, że byłeś w tej sali wczoraj.

Cenowi nie spodobało się jego badawcze spojrzenie.

- No i?

- No i jestem pod wrażeniem. Niewiele dzieciaków interesuje się nauką jak ty.

Niewiele dzieciaków ma *uhana make*.

- Bez projekcji wirtualnych naprawdę wiele tracisz. Mogę cię nauczyć, jak z nich korzystać.

Cen nie ufał mu, ale co tam. Chciał wiedzieć, jak wchodzić w odnośniki. Pozwolił mu zaprowadzić się do budki i usiadł na wysuniętym przez niego dodatkowym krześle. Ross wsunął swój klucz, płaską, plastikową kartę z paskiem magnetycznym.

- Hełm - powiedział Ross. - Rękawice.

Jasne, a ja mam cztery lata. Cen nałożył akcesoria.

- Sądząc po tym, co czytałeś, interesują cię Hawajana.

Wścibski stary bałwan.

Cen wybaczył mu już przy pierwszej serii projekcji.

*

A wieczorem Cen znalazł się w salonie Rossa i krzyknął do niego:

- Znajdź sobie inną dziwkę.

Rzucił butelkę z piwem na drugi koniec pokoju. Rozbiła się o czarno-białą fotografię na skazitelnie czystej ścianie. Szkło roztrzaskało się. Piwo ściekało po ścianie. Trysnęło tak mocno, że zmoczyło krzesło obite jedwabiem w pastelowym odcieniu zieleni.

- Cen, mój drogi - zaczął Ross. Stał w drzwiach korytarza, który łączył salon z sypialniami. Na zewnątrz ruch na trasie H-4 w centrum Honolulu kilka przecznic dalej

przypominał szum przybrzeżnej fali. Tu w górze, na niższej flance Doliny Manoa było słycać cykanie świerszczy i łopot podwiewanych rolet.

- Nie jestem twoim drogim! - ryknął Cen. Jakaś część jego osobowości zdumiewała się tym przyływem furii. Zastanawiał się, czy podobne odczucia miewał kiedyś jego ojciec.

- Oczywiście wiedziałeś - powiedział Ross, a na jego twarzy pojawił się wyraz ironicznego rozbawienia. Poszedł do kuchni i wrócił z ręcznikiem, po czym zaczął wycierać ścianę. - Przepraszam - ciągnął. - Jesteś bardzo atrakcyjny, a ja myślałem...

- Myślałeś, że skoro mieszkam na Hotel Street, to właśnie w ten sposób zarabiam pieniądze. Pewno lazałeś za mną zeszłego wieczoru i wydawało ci się, że mnie rozgryzłeś, co? A może podniecają cię tatuaże?

Milczenie Rossa, który wciąż klęczał i wycierał ścianę, było dla Cena dostateczną odpowiedzią.

Ross wstał i odwrócił się.

- Mówię poważnie - powiedział. - Wybacz mi. Jesteś bardzo utalentowanym chłopcem...

- Taak - odparł Cen. - Jestem utalentowany, jasne.

Ross usiadł na zielonym krześle. Trzymając mokry ręcznik w obu rękach, wykręcał go w węzeł.

- Spójrz - powiedział. - Nie potrzebuję seksu, Cen, chociaż jesteś atrakcyjny i to pod wieloma względami. Prawdę mówiąc, mam stałego kochanka, który bardzo by się wkurzył, gdyby dowiedział się o tobie. Ale to prawda, że jesteś bardzo bystry. Zajmuję się uczeniem. Uwierz mi, potrafię całkiem szybko odróżnić orłów od tępaków. Zaslugujesz na szansę, żeby się uczyć. Żeby pójść dalej. Żeby zdobyć wykształcenie. Mogę ci w tym pomóc. Obiecuję, że nie będę chciał niczego w zamian. - Uśmiechnął się cierpko i wzruszył ramionami. - W głębi duszy jestem pedagogiem, Cen. Właśnie temu poświęciłem swoje życie. Praca na bazarze rybnym - nie dla ciebie takie życie. Co będziesz robił dalej? Zresztą, teraz nie masz nawet tego.

Cen stał w salonie z rękami na biodrach. Powiedział mu za dużo, napłótl o wszystkim, co się działo - o Kaiulani, o Mei i w ogóle. Wciąż przypatrywał się mężczyźnie i podziwiał go za to, że w jego oczach nie było ani odrobiny wstydu, chociaż miał w spojrzeniu coś przepraszającego. A przecież Cen spędził na ulicy wiele lat. Nic nie zgadzało się w stu procentach.

Kusiło go, żeby zostać. Powinien skorzystać z sytuacji. Musiał iść do szkoły, bo to samo zrobiła Kaiulani. Nie mogła wiedzieć więcej od niego! Czuł, że coś zostało

zaaranżowane, że jest coś prostego w tym dziwnym człowieku i tej dziwnej szansie, i że on sam nie powinien z niej rezygnować.

- Nie wiem - powiedział, usiłując zapomnieć o tym, jak Ross przyciągnął go ku sobie i nieoczekiwanie, namiętnie pocałował.

Ross uśmiechnął się ponuro.

- Ja chyba wiem.

- Nie chodzi o to, że uważam, że jest w tym coś złego - powiedział powoli Cen. - Po prostu nie jestem zainteresowany. Nie sądzę, żebym kiedyś zmienił zdanie.

Odwrócił się i wyszedł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W ciemnym ogrodzie przed domem Rossa czuć było zapach słodkiej plumerii. To było bardzo przyjemne miejsce. Ty idioto, pomyślał. Masz jeszcze kilka tygodni w hotelu, a potem dokąd pójdziesz? Nie miał pracy. Ale czy to, u diabła, było ważne? Nie cierpiał oporządzania ryb, nienawidził wymagających klientów. Jedno, co było dobre w tej pracy, to to, że sprawiał Mei przyjemność, gdyż zarabiał pieniądze.

Znowu poczuł swoją bezradność. Może powinien po prostu wykraść ją ze szpitala.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej sensowny wydawał mu się ten pomysł. Poza tym, że był całkowicie niedorzeczny.

Z wielkim wysiłkiem skoncentrował się na teraźniejszości.

- Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko - powiedział do siebie albo do Rossa, kiedy schodził przez ciemny campus. - Wcale nie o to.

Pozwolił, żeby Kaiulani wypełniła jego umysł, zagłuszając niemożność uratowania Mei.

Kaiulani. Była martwa. A jednak widział ją.

Ty świrze, powiedział sobie z goryczą. Czasami żałował, że Kaiulani nie jest tylko wytworem jego wyobraźni.

Ale wiedział, że ona jest bardzo rzeczywista.

- Kaiulani - wyszeptał, obserwując duży ruch uliczny i czekając na zmianę świateł. - Wiesz, że to nie fair. Nie mogę cię zobaczyć, kiedy tego chcę.

Kiedy o niej myślał, wydawało się, że powinien umieć poruszyć czas, sprawić, by płynął jak ciecz, jak przyływ lśniącej turkusowej wody, przyplływającej i odpływającej z zagłębień raf. Kaiulani była jak wysepki, do których czasami przyplwował kajakiem w hawajskich projekcjach wirtualnych. Z początku ich nie dostrzegał, domyślał się tylko, że gdzieś tam są, a potem wyłaniały się, cienkie, ciemne linie na horyzoncie i sunęły ku niemu jak ona. A Kaiulani była jak one, czysta i ponadczasowa. Gdzieś tam, w dziewiczym oceanie.

Wiedział, że ona również nie może go zobaczyć, kiedy tego pragnie. Bo inaczej przyszlaby. Przyszlaby. Jasne, że tak.

Ale nie pojawiła się.

6

Cen podeszedł do interkomu i powiedział:

- *Doma.*

Dzisiejsze hasło otworzyło pomalowaną na niebiesko łuszczącą się bramę z kutego żelaza. Kiedy kroczył po porytym koleinami podjeździe, usłyszał, jak brama zamyka się z metalicznym szczękiem.

Po prawej stronie widział mur z pustaków żuźlowych. Po lewej stronie stał przekrzywiony stary dom, liczący chyba ze sto lat. Dom *kamaaina*, czyli weterana. Szeroki ganek od frontu, malutki salon, ciemna kuchnia. Cen już kiedyś był w środku i wiedział, jak tu jest obskurnie.

Już z daleka wyczuwał smród pomieszczeń dla drobiu, słyszał metaliczny szczęk klatek wyciąganych z furgonetek bez okien. Okrążył dom, ściskając w kieszeni zwitek jenów. Tylko tyle mu zostało. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby uszczknąć coś z pieniędzy zarobionych z takim poświęceniem przez Mei.

Był tutaj Haleakala. Zielono-złote upierzenie walczącego koguta podkreślały czerwone obwódki wokół śmiałych, żółtych ślepi. Sunita, właściciel, postawił klatkę obok areny. Na jego brązowych plecach i rękach lśnił pot. Wrócił do furgonetki po następną klatkę. Haleakala miotał się podekscytowany. Wiedział, gdzie jest. Niecierpliwie czekał na ofiarę.

Cen pamiętał dokładnie, jak przebiegało ostatnie dziesięć zakładów - pamiętał każdego ptaka, zwycięstwo i przegraną. Nie przychodził tu, odkąd Mei przebywała w szpitalu, odkąd zaczął widywać Kaiulani, odkąd poznał Rossa. Wdychał znajome zapachy. Przynajmniej one się nie zmieniły.

Jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany. *Przedtem* to była tylko zabawa, której Mei nie cierpiała, nawet kiedy za wygrane kupował jej ładne drobiazgi - piękną, ręcznie wykonaną miseczkę do ryżu albo parę jadeitowych kolczyków. Kiedy przychodziło do obstawiania, inni faceci po prostu nie byli specjalnie bystrzy. Podchodzili do tego strasznie emocjonalnie i chyba nie brali pod uwagę faktów.

No cóż. Pieprzyć Lu-Wei, powiedział sobie jeszcze raz. Przynajmniej nie będzie już patroszyć ryb.

Wyczuł czyjąś obecność i odwrócił się. Dzieciak był wysoki, a jego gibkie brązowe ciało błyszczało od oliwy. Mógł mieć tyle lat co Cen. Miał na sobie tylko czarne krótkie spodnie, a opaska podtrzymywała burzę gęstych czarnych włosów po prawej stronie twarzy. W tych włosach było jedno białe pasmo. Cen zastanawiał się, czy było naturalne. Z lewej strony włosy były bardzo krótko wygolone i tworzyły symbol Ruchu Ojczyźnianego: zakrzywione linie pierzastej korony Kamehameha. Pod względem urody mógłby być kuzynem Cena. I być może był. Rzadko spotykało się czystej krwi Hawajczyków, a jeśli już, to trzymali się razem.

Patrzył wprost na Cena.

Cen poczuł się nieswojo. Teraz już pamiętał. Ten chłopak zjawiał się na ostatniej walce kogutów i gapił się na niego cały czas. Niektórzy faceci mówili, że wypytywał ich o niego. Cen miał wrażenie, że widział go nawet w salonie gier, do którego przeważnie chodził.

Słońce było już wysoko na niebie i porządnie przygrzewało, kiedy zaczęła się walka. Cen pokrzykiwał jak wszyscy, a na ringu narastała atmosfera podniecenia. Cen podwoił stawkę z pierwszej walki i wygrał. Z ulgą składał banknoty, gdy ktoś dotknął jego ręki.

Cen zakręcił się na pięcie, wiedząc, z kim ma do czynienia.

- Czego chcesz? - zapytał.

Chłopak spokojnie patrzył na Cena przejrzystymi, brązowymi oczami, w których tliło się rozbawienie. Dostrzegł w jego wzroku również surowość.

- Wyglądasz jakbyś był *alii* - powiedział dzieciak.

- Gównu prawda - odparł Cen, mierząc go wzrokiem, próbując wy badać, o co mu chodzi.

- Nazywam się Maui - powiedział tamten.

- Bardzo mi miło, Maui - odparł Cen. - Ładne imię. Pewnie myślisz, że jesteś jakimś bogiem jak Maui, co? Wyciągnąłeś w tym miesiącu jakieś wyspy z oceanu?

- Matka mnie tak nazwała - odparł Maui spokojnym tonem - i naprawdę uwielbiam swoje imię. Robię wszystko, żeby na nie zasłużyć.

- Świetnie - rzekł Cen. - Więc czego chcesz ode mnie?

- Jak się nazywasz?

- Nie twój interes - odparł Cen, przyglądając się dzieciakowi uważniej. Czy był z IS?

- Posłuchaj - rzekł tamten. - W czym problem? Po prostu wyglądasz jak *alii*, to wszystko. Nie ma w tym nic złego.

- Dlaczego wciąż to powtarzasz? Co za różnica? Czy ty jesteś *alii*?

Chłopiec uśmiechnął się lekko.

- W pewnym sensie - odparł. - Prawdę mówiąc, wywodzę się z rodu kahunów.

Kahuna.

Cen zapomniał o walce kogutów, o dźwiękach i zapachach, o dopiero co wygranych jenach, które trzymał w kieszeni, o zbyt jasnym niebie. Zalał go pot. Chciał biec. Dlaczego to słowo wprowadziło go w taki niepokój?

- Jak się nazywa twoja matka? - zapytał Maui.

- Moja matka nie żyje - rzekł Cen po dłuższej przerwie. Trudno mu było myśleć o niej, znieść to, że ktoś mu o niej przypominał. Ten Maui naprawdę zaczynał go wkurzać.

- Przepraszam - powiedział Maui. Skąd wzięła się ta zmiana w jego oczach? Dlaczego miał takie dziwne, pełne zapału spojrzenie, jakby właśnie natrafił na coś fantastycznego? - Po prostu musimy wiedzieć, kim wszyscy są.

- Jasne. Podobnie jak IS - powiedział Cen.

- Nie, bracie, nie bądź haolem. Nie bądź głupi. Wiesz, skąd pochodzę i komu służę.

Cen dostrzegł zaaferowane spojrzenie Maui i czytał w jego myślach: dni chwały, dawnego splendoru, kiedy Hawajczycy władali wyspami. Chłopak służył Ruchowi Ojczyźnianemu, wygolono mu na głowie logo organizacji, a jemu wydawało się, że wyspy znowu staną się Edenem, który, tego Cen był pewien, nigdy nie istniał.

- Widziałeś kiedyś projekcje wirtualne Bishop Museum? - zagadnął Cen. Daj spokój z czytaniem. Ten chłopak prawdopodobnie nawet nie umiał czytać. Za bardzo haolskie, a zresztą nawet wśród haoli czytanie było uważane za przestarzałą formę wymiany informacji. Cen coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że przynajmniej tam mógł znaleźć odrobinę prawdy zamiast bajeczek turystów i Ruchu Ojczyźnianego, których pełno było w Honolulu. Z wyjątkiem azjatyckich slumsów - tam bajeczka IS o innych, doskonałych światach wgrzyzała się w gardła biednych Tajlandczyków, Birmańczyków i Laotańczyków.

Takich ludzi jak Mei.

- Bishop Museum jest pełne propagandy IS - powiedział Maui z przekonaniem w głosie. Nie wierzył, że kiedykolwiek istniał głód. Nie wierzył, że kobiety i prości ludzie złościli się, cierpieli i często umierali pod despotycznymi rządami małostkowych wodzów i niegodziwych kahunów - najpewniej przodków samego Maui - kahunów, którzy modlitwą potrafili doprowadzać ludzi do śmierci, jeśli sobie tego życzyli, wodzów, którzy często i chętnie prowadzili wojenne gierki, traktując swoich wojowników i mieszkańców wioski jak nic nieznaczące pionki.

Nie, Maui wierzył w łagodne, słoneczne wioski rybackie, w *hukilau*, tradycyjny połów ryb, podczas którego mieszkańcy wioski podnosili głos w polifonicznej pieśni i grali na

ukulele. Zapewne nawet nie wiedzieli, że ten instrument pochodzi z Portugalii.

Cen był zdumiony, kiedy Maui lekko się uklonił.

- Do zobaczenia - powiedział, niepokojąc Cena triumfującym spojrzeniem, i wyszedł przez żelazną bramę.

Cen jeszcze obstawiał, ale przegrywał dużo i szybko. Zdegustowany samym sobą, wyszedł trzaskając bramą. Niech diabli wezmą tego Maui.

Szedł z powrotem w kierunku Honolulu po rozgrzanych, nagich chodnikach. Mijał ogromne, rdzewiejące magazyny, zapuszczone okolice, gdzie białe domy zarastał hibiskus. Gorące pomieszczenia o blaszanych dachach, gdzie starzy ludzie z trudem opłacali coraz większe podatki, a nowa elita Interspace - Niemcy, Koreańczycy, Japończycy - podbijała wartość mieszkań, chociaż nie miała zamiaru ich kupować. Był wdzięczny, kiedy zasnutą szarą mgłą dolinę Nuuanu nawiedziła burza. Pięciominutowa ulewa zmyła z niego kurz, a potem cofnęła się ku szczytom Pali.

Cen wszedł do swojego pokoju. Przebrał się, przecesał włosy i poszedł do szpitala.

Pielęgniarki, którą znał, nie było na dyżurze, ale i tak go wpuszczono, ponieważ był bratem Mei.

Mei spała. Jej skronie były sine i pokierszowane.

- Och, Mei - powiedział i dotknął lekko jednego z posiniaczonych miejsc.

Zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Zobaczyła go.

- Cen? - szepnęła. Podparła się na łokciach. - Cen, proszę cię, zabierz mnie stąd. - Zaczęła dygotać pod pościelą. - Wszystko jest takie zwariowane. Muszę wrócić do domu. Wtedy wszystko wróci do normy. Tak! Wszystko będzie takie jak dawniej, jakie być powinno.

- Mei - odezwał się Cen i pomógł jej usiąść. Poprawił prześcieradło. - Czujesz się lepiej!

Roześmiała się, ale był to smętny cień jej dawnego sugestywnego chichotu.

- Och, oczywiście, Cen. O wiele, wiele lepiej. Zajrzyj do tej szafy? Czy są tam moje ciuchy? Dobrze! Teraz będziesz musiał mi pomóc. - Przerzuciła chude nogi na podłogę, spróbowała wstać i z powrotem opadła na łóżko. - Masz ci los - powiedziała.

- Mei, nie mogę cię wykraść z tego szpitala - powiedział. - Pozwól, że powiem im, że czujesz się lepiej...

- Nie, nie! - zawołała, podnosząc przerażony głos. - Posłuchaj - powiedziała, ciężko dysząc. - Założę się, że w holu jest wózek. Idź po niego. Nie śpiesz się. Chodzi o to, żeby nikt cię nie zobaczył. Ja się ubiorę. Potem ty wrócisz...

Drzwi uchylily się.

Stanęła w nich kobieta w białym fartuchu laborantki. Cenowi wcale nie przypominała lekarki. Wyglądała zbyt dziwnie, miała śmiesznie obcięte włosy, zupełnie jakby ostrzyżono ją w jakimś zakładzie prowadzonym przez punków. Tyle że musiał to być markowy zakład.

- Witam - powiedziała. - Kim jesteś?

- Jestem Fred, brat Mei - odparł Cen.

- Nie wiedziałam, że ona ma jakichś braci.

- Tak się składa, że ma. I zabieram ją do domu. Już czuje się lepiej.

- Nie - rzekła kobieta. - Ona jeszcze nie jest gotowa do powrotu do domu.

- Właśnie, że jestem! - powiedziała Mei, wstając. Przeszła niepewnym krokiem przez pokój, przytrzymując się łóżka, i otworzyła szafę. - Jadę do domu z Fredem. Nie możecie mnie tutaj przetrzymywać. Wypisuję się.

Kobieta spojrzała na Cena, który poczuł się bardzo nieswojo. Ale cóż takiego mogła zrobić? No, co?

Przede wszystkim mogła ustalić jego prawdziwą tożsamość. Policja zapewne byłaby tym bardzo zainteresowana.

No cóż, będzie musiał zaryzykować.

- Ona jedzie ze mną do domu - oświadczył i wręczył Mei jej ubranie. - Proszę. Załóż to, a ja znajdę wózek. - Podszedł i nacisnął guzik interkomu. - Prosimy o dostarczenie wózka. - Nikt nie odpowiedział, ale on udał, że wcale się tym nie przejmuje.

Mei wyszła z łazienki jeszcze bardziej blada, ale ubrana. Próbowwała nawet się uczesać. Kobieta wyglądała na trochę bezradną. Cen otoczył Mei ramieniem i powiedział:

- No, to zbieramy się, siostrzyczko.

Kobieta zakręciła się na pięcie i wyszła z pokoju przed nimi. Cen zobaczył, że zatrzymuje się przed stanowiskiem pielęgniarki i wskazuje na nich.

- Pośpiesz się, Mei - wyszeptał. Zawisła na nim, a on ją podtrzymał, kiedy podeszło do nich dwóch ochroniarzy.

- Będzie pan musiał wyjść.

- Właśnie usiłujemy to zrobić - powiedział Cen.

- Bez niej - oznajmił drugi.

- Ona nie chce tutaj zostać - odparł Cen. - Chce się wypisać. Boi się tej kobiety - oświadczył, pokazując nieznaną w fartuchu laborantki.

Kobieta zbliżyła się do nich i stanęła z założonymi rękami.

- Nonsens - powiedziała. Spojrzała na Cena z rozbawieniem, a on poczuł do niej

wielką nienawiść.

- Cen - odezwała się Mei, kiedy jeden ze strażników wyciągnął do niej rękę. - Proszę cię, pomóż mi. Nie pozwól im tego robić. - Cofnęła się.

Jeden z mężczyzn wziął Mei za rękę, gdy tymczasem Cen szybko się obrócił i zdzielił go pięścią w twarz. Zatoczył się do tyłu, zdumiony, jak bardzo boli go ręka.

Z nosa strażnika popłynęła struga krwi.

- Ty gnojku! - powiedział, puszczając Mei i gapiąc się na Cenę. Podniósł ciężką pięść.

- Zabij go, Cen, zabij! - wrzeszczała Mei.

- Uciekaj, Mei! - krzyknął Cen, uchylając się przed ciosem.

Mei odwróciła się i zrobiła kilka szybkich kroków w stronę drzwi klatki schodowej. Drugi strażnik ruszył za nią i Cen zwarł się z nim. Zraniony strażnik ryknął. Cen uchylił się. Kątem oka zauważył, że kobieta chwyta Mei za ramię. W ogólnym zamieszaniu usłyszał, jak Mei krzyczy: „Puść mnie, ty pieprzona suko!” i przez moment widział ludzi stojących w drzwiach, a potem strażnik uderzył go pięścią w skroń.

Ocknął się, czując dudnienie w uszach. Znajdował się na chropowatym chodniku przed szpitalem. Strażnik kopnął go w plecy, aż Cen syknął z bólu.

- Nie zadzieraj ze mną, ty mały kutasie - powiedział mężczyzna i splunął, a potem wymierzył Cenowi kolejnego kopniaka. - Chyba straciłem ząb. Masz, kurwa, szczęście, że cię nie aresztowałem. - Cen usłyszał jego oddalające się kroki.

Leżał na gorącym chodniku i czuł, że zaraz się rozplące, nie nad sobą, ale nad chudą, przerażoną Mei, która była uwięziona w środku.

Powoli wstał i odczekał, aż minie zawrót głowy. Otarł twarz. Na ręce została krew. Ludzie idący ulicą omijali go szerokim łukiem. Strażnika nie było.

Wrócił głównymi drzwiami do chłodnej, jasno oświetlonej izby przyjęć, po czym skierował się do kobiety w dziale informacji. Miała krótkie, kręcone włosy i duże okulary.

- Czy może mi pani pomóc? - zagadnął.

- Nagle przypadki przyjmują na Kuakini Street - powiedziała.

- Nie. Moja siostra chce opuścić szpital. Przetrzywiają ją tam wbrew jej woli.

Drzwi na drugim końcu sali uchyliły się. To był strażnik.

- Wezwij policję - ryknął.

- Proszę tego nie robić - rzekł ochrypłym głosem Cen.

- Jeśli to prawda, policja jej pomoże - stwierdziła kategorycznie kobieta i nacisnęła guzik.

- To Interspace - powiedział Cen. - Oni ją przetrzymują. Nie rozumie pani? Policja

nawet mnie nie wysłucha.

- O - powiedziała. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

W oddali rozległo się wycie syren. Cena ogarnęło śmiertelne przerażenie.

- Nazywa się Mei Fossant - powiedział. Odwrócił się i wybiegł z poczekalni.

Na końcu przecznicy przestał biec i odwrócił się. Przed szpitalem stało dwóch policjantów wspartych o prymitywne motocykle, a strażnik pokazywał im go.

Zgarbił się i biegł co sił w nogach.

7

Hai! Salon gier na King Street był jednym z ulubionych lokali Cena. Wpadł spocony do chłodnego, kiepsko oświetlonego pomieszczenia i rozejrzał się dookoła, usiłując znaleźć jakieś wolne miejsce.

Wiedział, czego pragnie w tym momencie: starych Hawajów. Rozmarzonych wizji Maui. Świata, który już nie istniał, a może nigdy go nie było. Nie chciał myśleć o Mei i o tym, że nie jest w stanie jej pomóc. Nie chciał myśleć o tym, że został wyrzucony z pracy. Nie chciał myśleć o niczym. O niczym.

Wbrew temu, co powiedział w rozmowie z Maui, Cen uświadomił sobie, jak miło jest wierzyć, że w czyichś żyłach płynie królewska krew, i że mimo wszystko człowiek czuje się trochę inny.

Był gotowy zniknąć.

Przebiegł wzrokiem po piktogramach przy jednym z nielicznych otworów, gdzie hełm wciąż wisiał w przezroczystych drzwiach. Nie trzeba było umieć czytać: wszystko robiło się za pośrednictwem ikonek i ekranów dotykowych.

Drzewo palmowe. Zmodyfikowane przez włócznie. To oznaczało dawne czasy. Początek wszechświata, czas legendarny, czas, kiedy jego ciotka śpiewała mu na Molokai podczas zbioru ananasów na matowozielonych polach, które rozpościerały się aż do morza, a zmierzający ku Chinom wiatr wzniecał tumany czerwonego kurzu.

Uruchomił sprzęt. Zapaliły się światełka programujące i drzwi rozsunęły się.

Cen założył hełm i wiszące obok rękawice.

Już kiedyś był w tej grze i bardzo mu się spodobała.

*

Czółno, które zrobili, było prawie gotowe. Cen zauważył spojrzenie swojego brata, Aanani, i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Pochylili się, żeby umocować róg salingu. Konopie z orzecha kokosowego były szorstkie i gorące w dotyku. Słońce niemiłosiernie prażyło Cena w plecy. Przybrzeżna fala szumiała jakieś sto metrów dalej, poza obszarem jasnożłotego piasku nietkniętym ludzką stopą.

Przez kilka miesięcy drążyli środek dużego ściętego pnia drzewa *koa* - wypalali je, strugali, pilnowali wolnego ognia, który rozpalili w poszerzającym się wyłobieniu. Potem wygładzili i wypolerowali drewno, elegancko zaokrąglając długi, odwrócony kadłub. Cen był dumny z kształtu łodzi. Na dnie czółna spoczywała sieć rybacka, a także kilka kokosów do picia, siekiera i nóż. Kahuna zdążył już poświęcić łódź.

Kiedy Aanani i Cen skończyli, poszli ścieżką na pole *taro*. Pięciu braci i kuzynów uprawiało gęste rzędy szerokolistnych roślin, używając zaostrzonych tyczek. Kiedy Cen im pomachał, rzucili tyczki na ziemię i pobiegli na plażę.

Całą grupą spuścili czółno. Kiedy biegli i pchali je, stopy Cena ugrzęzły w piachu. Potem wraz z Aanani wskoczyli do środka, uklękli i chwycili za wiosła. Kuzyni pchnęli łódź, która gwałtownie ruszyła do przodu. Wiosłowali z całych sił w kierunku przybierającej fali. Musieli ją pokonać w określonym momencie. Cen wyhamował łódź, kładąc wiosło na płasko, a kiedy fala przeszła za ich plecami, bracia spojrzeli na siebie i wydali okrzyk radości. Potem ruszyli ku przerwie między rafami.

Wyplłynąwszy na morze, Cen dał się ponieść wspaniałemu rytmowi fal. Jak zawsze, pragnął wiosłować bez końca z wyspy na wyspę, zatrzymując się tylko po to, by zabić kilka świń i zerwać trochę *taro*. Aanani był jego bratem i myśleli tak samo.

Uruchomił program zmiany wysp, poruszając zakrytymi hełmem oczami. Zapomniał, że ma go na sobie, i kiedy wiosłowali, stopniowo dostrzegał różowo-żółty zachód słońca i gwiazdy południowej półkuli.

Nagle włączył się nowy program. Cen zaskoczony poddał mu się. Może sprzęt się zepsuł i oferował mu coś na dodatek.

Czółno było tym razem większe, podobne do dwudziestometrowych modeli, które oglądało się w Bishop Museum. Żagiel w kształcie pazura był wzniesiony wysoko i majestatycznie łopotał na wietrze - tak wysoko, że Cen nie widział jego końca. Niebo w tle było czarne, pięknie wygwieżdzone. Umysł Cena wypełnił śpiew, któremu towarzyszył łagodny kobiecy głos mówiący: „Witamy na *Hawai'i Loa*. Odbędziemy podróż z Tahiti na Hawaje. Zajmie nam to sześć tygodni”.

Obok niego stanął stary człowiek.

- Naszą wyspą *etak* jest teraz Lamotrek. *Etak* to punkt odniesienia. Ten system

nawigacyjny jest wielowymiarowy, ma związek zarówno z czasem, jak i kierunkiem. Nie jest statyczny, lecz dynamiczny. Nauczę cię *havenga* - gwiazdnej ścieżki - którą będziemy analizowali w miarę, jak będzie nas mijała Lamotrek.

Cen poddał się doświadczeniu. Rozluźnił się, starając się pojąć ten dynamiczny system określania położenia względem pobliskich wysp, za pomocą którego Polinezyjczycy poruszali się po bezmiarach Pacyfiku. Dlaczego nie? To było zupełnie w stylu Ruchu Ojczyźnianego. Przypominał sobie, że kiedy był młodszy, bardzo pragnął wygrać miejsce na *Hawai'i Loa*, wielkiej łodzi, która była repliką okrętów przystosowanych do żeglugi po oceanach - dwudziestometrowej, z bardzo skomplikowanym ożaglowaniem.

Stary człowiek pokazał grupkę gwiazd nisko na niebie, a potem uderzył go w rękę.

- Cholera, jesteś w mojej przestrzeni - Cen usłyszał czyjś głos.

Ten salon gier był wyjątkowo obskurny i tani jak barszcz. W większości tego typu miejsce były zainstalowane osobne kabiny.

- Przepraszam - mruknął Cen, ale i tak skończył mu się czas. Zdjął hełm i rękawice i odłożył je. Plastikowe drzwi zasunęły się.

Rozejrzał się przed wyjściem.

Było tu jakieś dwadzieścia projekcji wirtualnych z wschodnimi walkami. Cen potrafił odróżnić każdego z ciemnych tancerzy po sposobie, w jaki kręcili się, kopali i przykucali. Najnudniejsi byli piloci kosmicznych pojazdów, wyposażeni w tanie fotele. Gwałtownie poruszali rękami w przewidywalny sposób, a przy tym kiwali głową w geście samozadowolenia, gdy udawało się im uniknąć kolejnej eksplozji pocisku lub przemierzyć kolejną fałdę czasu.

Cholera. Dlaczego nie potrafił się bawić jak tamci idioci? Ten program intruza przyniósł wspomnienia, które były bolesne, jak wszystkie wspomnienia.

Przypomniawszy sobie, jak ponosiła go wyobraźnia, kiedy był sześciu-, siedmioletnim *keiki* i oglądał edukacyjne projekcje wirtualne na temat żeglugi wielkimi czółnami po dawnych morskich szlakach na Południowym Pacyfiku. Pamiętał, jak uwielbiał gwiazdy, łopot masywnego, tkanego żagla. Pamiętał satysfakcję, gdy po sześciu wirtualnych tygodniach żeglugi dostrzegł wirtualny ląd. I jeszcze naiwną nadzieję, że on, Cen, któregoś dnia dostąpi zaszczytu bycia wybranym na członka załogi - ówczesne marzenie każdego hawajskiego dzieciaka. Projekcje wirtualne były oparte na rzeczywistości: od końca lat dziewięćdziesiątych Bishop Museum regularnie wysyłało takie czółna na Pacyfik. Sternikiem pierwszego był pochodzący z Rapy Santa Cruz niemłody już Tevake, który wypłynął z malutkiej wysepki o nazwie Nufilole. Nie umiał czytać ani pisać, nauczył się nawigacji za

młodu. Jego informacje, pieczołowicie odtwarzane przez naukowców i w ostatniej chwili ocalone od zapomnienia, stały się potężnym bodźcem dla Ruchu Ojczyźnianego. Starożytni Polinezyjczycy nie stosowali sekstansów czy kompasów, lecz metodę *etak*, polegającą na tym, że sternik wyobrażał sobie, że jest punktem stałym, wobec którego przemieszczają się czas i przestrzeń. Układy gwiazd oraz informacje wyczytane z przyływów i prądów, a także zachowania ptaków były przetwarzane w coś, co dorównywało precyzją programowi komputerowemu czy nasłuchowi radiowemu. Wszystko było zachowywane.

Całe pokolenie hawajskich dziewcząt i chłopców, włącznie z Cenem, poprzysięgło sobie, że nie tylko zakwalifikują się na któryś z rejsów, ale zdobędą umiejętności nawigowania statkiem pokoleniowym, napędzanym energią słoneczną i wiatrem. Graficzną reprezentacją tego marzenia była wielka łódź ze szponiastym żaglem Południowego Pacyfiku zaprojektowanym tak, by z łatwością chwycić albo rozpraszać wiatr. Na widnokreśgu logo znajdował się Krzyż Południa. Był to czas, kiedy IS dopiero zaczynała ekspansję na wyspy, czas ogromnego podniecenia i nadziei, bowiem wydawało się możliwe, że polinezyjski sposób na przemierzanie dużych odległości posłuży jako model dla wielopokoleniowych podróży kosmicznych.

Potem z coraz większym niedowierzaniem patrzono, jak IS sprowadza niemal wszystkich ludzi z zewnątrz. Oczywiście Hawajczycy mogli się zatrudniać jako dozorczy, pracownicy obsługi czy sekretarki. Ale bez względu na stopień wykształcenia chyba żaden Hawajczyk nie dostał posady, która mogłaby stać się odskocznią do pracy na Księżycu, projektowania statków kosmicznych albo stania się członkiem załogi. Uważano ich za podżegaczy. A wielki plan wysyłania czółen w rejsy stał się pośmiewiskiem. Na cóż mogła się zdać duma z dawnych osiągnięć albo poczucie samowystarczalności w trakcie takiej wyprawy? Pokonywanie tysięcy mil oceanu bez kompasu czy sekstansu było niezłą zabawą, ale niczym więcej - atrakcją dla hawajskich dzieci.

- Jesteście bandą idiotów! - ryknął Cen, ale w ogólnym zgiełku chyba nikt go nie słyszał. Zebrał się do wyjścia, boleśnie świadomy faktu, że nie będzie już mógł ignorować podłości świata po prostu wrzucając monety do maszyny.

Zmrużył oczy, gdy wyszedł na słońce.

Czyżby to Maui zapuszczał silnik tego motocykla? Odważnie sobie poczynał. Prywatne pojazdy były zakazane w mieście. Widocznie przekradł się jakoś przez strefę handlową - było tu tak tłoczno i tak wielu ściągало tu uciekinierów, że policji nawet nie chciało się patrolować tych okolic.

To rzeczywiście był Maui, który na dodatek szczerzył zęby w uśmiechu.

- Miałem nadzieję, że cię tutaj zastanę! - krzyknął. - Wskakuj, chcę ci coś pokazać.

Ten gość nie dawał za wygraną.

- Na przykład co? - zapytał Cen, mając nadzieję, że Maui nie widzi, jaką ma ochotę dosiąść tej maszyny. Przyjrzał jej się. Kawasaki. Markowy. Mimo że był w podłym nastroju, poczuł ożywienie.

- Przekonasz się. Za Makaha. No, wsiadaj, chłopie. Nie pożałujesz. Co się stało z twoją twarzą? Wdałeś się chyba w niezłą bójkę.

Cen wzruszył ramionami.

- Pozwolisz mi kierować?

Maui uśmiechnął się lekko.

- Wiedziałem, że cię namówię.

Cen postępował zgodnie ze wskazówkami Maui i bezpiecznie opuścili Honolulu. Potem minęli z rykiem Ewa, w kierunku przeciwnym do Diamond Head, i przejechali obok Bazy Kosmicznej Hickam, gdzie raz w tygodniu lądował prom Space Hotel. Niebawem zielone klify Gór Koolau przeszły w szerokie i suche żółte stoki pokryte domami, które stały tak blisko siebie, że nawet nie widać było gruntu. Cen wiedział, że niektóre pomosty wystają ponad dachami innych domów, i że na tych pomostach każdego wieczoru przesiadują bogacze, popijając drinki i oglądając zachody słońca. To były ostatnie prywatne domy, a od 2005 roku obowiązywało moratorium na wznoszenie wieżowców. Teraz, kiedy Interspace kontrolowała większość wysp, włącznie ze wszystkimi liczykrupami w dzielnicy rządowej, tylko ona dostawała pozwolenia na budowę. AIS interesowała się wyłącznie budową bazy kosmicznej, hal i laboratoriów.

Droga opadała ku przełęczu między dwiema połówkami Oahu, a potem po prawej stronie widzieli święte Góry Waianae. Kiedy Cen wjechał z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę między dwa samochody, Maui ścisnął go mocniej w pasie.

W Nanakuli, na światłach, Maui powiedział:

- Odtąd ja będę kierował.

Cen wzruszył ramionami. Zamienili się miejscami.

Po lewej stronie, między starymi chałupami, dumnymi i jedynymi nieruchomościami hawajskiej społeczności, widać było fragmenty niebieskiego Pacyfiku. W cieniu palm stały liczne stare, rdzewiejące samochody, a po krótkich, niebrukowanych ulicach biegały bose dzieciaki. Cen słyszał kiedyś, że w te okolice nie zapuszczają się nawet ludzie z IS. Łatwo mogliby paść ofiarą napadu, jak każdy. Hawajczycy przeważnie wkurzali się na widok obcych.

- Po co tu wjeżdżasz? - zawołał Cen, kiedy skręcili do Japanclub. - Nie mam odpowiedniej genekarty, żeby wejść do środka, bracie.

Maui wybuchnął śmiechem, który niósł się za nim. Tuż przed głównym wejściem zбочzył na wąską, utwardzoną ścieżkę, która wiła się wzdłuż doliny Makaha. Po mniej więcej półtora kilometra ścieżka zrobiła się błotnista.

Maui zatrzymał się.

- Od tego miejsca idziemy na piechotę - zdecydował. Zepchnął motocykl do małej niszy i oparł go bokiem.

Wspinali się po stromym klifie przez kilka kilometrów. Wokół nich krążyły białe ptaki, a daleko w dole zwiadowcze roboty śmigły po gładkiej zielonej darni Japanclub. Cen dostrzegł białą linię przybrzeżnej fali w Makaha. Morze miało ciemny odcień pięknego, równomiernie rozłożonego błękitu. Zatrzymał się i umył twarz w miejscu, gdzie woda spływała ze skały. Z wypiekami na policzkach rozpamiętywał swoją klęskę.

Po kolejnym półtorakilometrowym odcinku Maui dotknął ramienia Cena i skręcili wprost na malutki, nieoznakowany szlak, który był grząski z powodu strumyczków wody. Pięli się do góry przez las majestatycznych *koa*, które poruszały się na wietrze, oświetlone smugami światła, nasuwając skojarzenia z podwodną scenerią. Szli tak, aż dobrnęli do wejścia grotty.

Maui skinął głową.

- Ty pierwszy - powiedział.

Cen szukał na jego twarzy szyderczej miny albo zabójczych intencji, ale zobaczył jedynie osobliwy szacunek i powagę. Wzruszył ramionami i wszedł do środka.

Zatrzymał się w ciemnościach, żeby przyzwycząić wzrok.

A także dlatego, że był zdumiony.

Grota była kulista i całkowicie gładka, przypominała łono z czarnego, błyszczącego szkła, o szerokości kilkunastu metrów. Była jak wnętrze potężnej bańki lawy.

Pół metra od podłoża, które było przykryte bambusowymi matami, obwód jaskini tworzył szeroki rząd petroglifów, które przypominały ozdobny szlaczek na naczyniu.

W białej czaszce migotała świeca, której światło przedostawało się przez puste oczodoły, szczękę, dziury w uszach i zatoki. Przestrzeń, w której kiedyś zbierano informacje, emitowała światło pelgające po podłodze. W jednym rogu paliła się pochodnia *kukui*, która oświetlała siedzącą i obserwującą go kobietę.

Jej ciało było młode, prężne, niepostarzałe i wcale nieobwisłe, jak u przyjaciółek Mei, które Cen kiedyś podpatrywał. Jej piersi były piękne, pełne i jędrne. Była wysoka,

majestatyczna: czystej krwi Hawajka, pomyślał. Jak jego matka.

Miała na sobie spódnicę *tapa* i siedziała wyprostowana z podwiniętymi nogami. Ręce kobiety spoczywały na kolanach razem, jak włożone jedna w drugą miseczki. Po jej plecach aż na podłogę spływały lśniące czarne włosy.

Patrząc na nią, miał wrażenie, że i on jest obserwowany, testowany, ważony.

Maui uklonił się nieznajomej. Cen nie uczynił tego, nawet pomimo iż Maui kopnął go w kostkę.

Przyglądał się jej, a ona odwzajemniała się rozbawionym spojrzeniem. Ale w jej oczach było coś jeszcze.

- Witaj, Cen - powiedziała poważnym, grubym, oficjalnym głosem. - Czekaliśmy na ciebie.

- Na mnie?

- Usiądź - skinęła ręką. Zawahał się, a potem opadł na matę. Maui wyszedł na zewnątrz. Cen widział go, jak usiadł i patrzył na drugi koniec doliny. Wlot jaskini okalały bujne paprocie, a wiatr wiał nieustannie, od czasu do czasu osłabiając płomień świecy nagłymi podmuchami.

Cen zobaczył, że obok kobiety leży maska, typowa polinezyjska maska, dzika i pokryta tatużami. Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Chcę cię o coś zapytać. O pewien szkielet.

Jej pytanie było jak cios w brzuch. Nagle nie był w stanie oddychać.

- Kości Kamehameha - powiedziała. - Gdzie one są?

- Nie wiem - wyszeptał spiętym głosem.

Jej twarz zrobiła się bardzo przejęta.

- Oczywiście wiemy, kim jesteś. W każdym razie ja jestem pewna. Myślę, że twoja matka była Poea Kalakaua.

Cen miał świadomość, że po jego twarzy ciekną łzy, ale nie mrugnął oczami. Dostrzegł zamazaną sylwetkę kobiety i przez chwilę widział zamiast niej swoją matkę, królewską, księżniczkę - kapłankę...

- Nie wiem nic o żadnych cholernych kościach! - ryknął, i wściekłość jego wybuchu porządnie go zdumiała. Otarł twarz wierzchem dłoni i wstał. Cały dygotał. - Ludzie, nie wiem, kim jesteście, ani czego chcecie, ale dajcie mi spokój. Po prostu dajcie mi spokój! Nie chcę mieć kłopotów tylko dlatego, że jestem Hawajczykiem.

Miał zaciśnięte pięści. Zwrócił się do stojącego w wejściu do groty Maui, przypomniał sobie, jak mocno ten ścisnął go w pasie podczas jazdy motocyklem, ale czuł tylko obojętność.

- Proszę, wybacz mi. - Kobieta stanęła za nim, położyła mu ręce na ramionach i obróciła go tak szybko, że nie zdążył nawet stawić oporu.

Objęła go.

Był wysoki, ale ona była jeszcze wyższa. Przywarła do niego piersiami, ale nie czuł takiego pożądania, jak wtedy, gdy widywał roznegliżowane przyjaciółki Mei.

Przez jego ciało przemknęło wspomnienie przytulającej go matki. Zaczął płakać, zanosił się niekontrolowanym szlochem przez bardzo długi czas.

Pomogła mu usiąść, kiedy się uspokoił, i wróciła do ciemności groty, skąd przyniosła mu pudełko z chusteczkami. Ten gest wydał się Cenowi zabawny, dlatego wybuchnął śmiechem. Maui śmiał się razem z nim, a kobieta uśmiechnęła się na widok ich obu. Cen wziął głęboki oddech.

- Chodzi o to, że jesteśmy naprawdę ostatnimi Hawajczykami - oznajmiła. - Te kości... hm, nic już o nich nie będę mówiła. Na razie. Mogłyby być dla nas ważnym totemem, ale może byłeś zbyt młody. Może ona czekała na córkę - kapłankę - i jej chciała je przekazać. Nie wiem. Ona była jednym z kahunów *papa alii* - głównie kahunów, którzy byli zarówno *alii*, jak i kapłanami, a więc reprezentowali najszlachetniejszą mieszaninę krwi. Miała bardzo szczególne obowiązki, ogromną odpowiedzialność. Jej śmierć bardzo mnie zasmuciła. Co się stało? Raporty policyjne są nader skąpe.

- Nie wiem - wydusił ochryplym szeptem. Z jakiegoś powodu nadal nie ufał tej kobiecie, nie podobała mu się jej ciekawość. - Ja... ja uciekłem. - Był zawstydzony, że wie tak mało, i jeszcze bardziej zawstydzony, że nie chce wiedzieć i nawet nie ma ochoty zadawać jej żadnych pytań. Próbował nigdy nie myśleć o tamtym wieczorze, zresztą przekonał się, że nie jest w stanie, nawet jeśli by chciał. Czuł tylko pustkę i przerażenie. Wspomnienia z dzieciństwa z każdym dniem stawały się coraz bardziej mgliste, odległe. Cieszył się z tego.

Teraz gwałtownie pragnął wyjść, lecz tego nie zrobił. Kim byli ci ludzie?

- Twój ojciec poleciał do Las Vegas w noc, kiedy umarła, a potem zniknął. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wrócił. Dlatego nie byliśmy w stanie wydobyć od niego żadnych informacji. Ale wiemy, że jesteś zupełnie sam, Cen.

Próbował ukryć westchnienie ulgi. Dzięki Bogu, pomyślał, dzięki Bogu.

- Skąd wiesz o moim ojcu? - zagadnął.

- To leży w naszym interesie - odparła. Nie była to satysfakcjonująca odpowiedź, ale coś w tonie jej głosu wykluczało stawianie dalszych pytań.

Mimo wszystko z jakichś powodów wierzył jej. Jak by to było żyć bez ciągłego strachu, że ojciec kiedyś go odnajdzie?

Podniosła maskę.

- Chcę ci coś pokazać.

Kiedy padło na nią światło, zobaczył, że powtarzające się wzory to nie tatuaże, tylko bioobwody.

Wstała płynnym ruchem jak tancerka i podała mu maskę.

- Idź na słońce - powiedziała. - Ona jest napędzana energią słoneczną.

Wstał i wyszedł na zewnątrz. Maui nigdzie nie było widać.

Pokonał kilkaset metrów wąskiego szlaku, starając się nie potknąć na wulkanicznym żwirze, który tworzył niepewne podłoże dla jego sandałów *zori*. Słońce świeciło mocno po jego lewej stronie.

Dolina wyginała się i falowała w zachwycający sposób. Pokryty bujną zielenią stok skręcał, podtrzymywany powolnym, geologicznym upływem czasu. Kilkaset metrów niżej, dno doliny opadało na podnóże klifu i wybiegało na spotkanie łachy złocistego piasku, za którą rozpościerał się błękit Pacyfiku. Dolina została jednak oczyszczona z drzew i widok psuły owale dołów z piaskiem i sprytne japońskie mostki oraz stawy *koi* na polu golfowym.

Przez chwilę myślał o matce: ciepła brązowa twarz, kochające piwne oczy, włosy czarne, rozpuszczone i piękne jak u tej kobiety. Przytulała go w kojącym geście, zanim zasypiał.

Usiadł na szlaku obok grotty z maleńkim wodospadem, gdzie ziemię między sterczącymi skałami pokrywały miliony dzikich, różowych i czerwonych niecierpków. Następnie założył maskę.

Cieniutka siateczka wewnątrz przywarła do jego twarzy jak skrzydełko ćmy. Jakby z oddali zabrzmiała syntetyczna muzyka, ułatwiając mu przejście do wielorybiej symfonii z podkładem w postaci głośnego skandowania. Wiatr owiewał jego twarz przez malutkie otwory w masce.

Wyciągnął rękę i dotknął tatuaży, nacisnął fragment skóry nad kością policzkową.

Szedł teraz przez wioskę, gdzie z obu stron piaszczystej drogi stały długie domy ze strzechami. W cieniu trzech mężczyzn tkąło coś ze sterty liści palmowych. Z ziemnego pieca *imu* tuż przed nim unosił się parujący zapach pieczonej świni.

Pięcioro brązowych, nagich dzieci przebiegło obok niego, wrzeszcząc i zanosząc się śmiechem, a w ślad za nimi podążał chudy, rozszczekany czarny pies. Świnie marszczyły ryjki i pochrząkiwały w pobliskim chlewiku. Cen szedł dalej i zobaczył zielone pole szerokich liści taro. Na samą myśl o paście *poi* pociekła mu ślinka. Atmosfera tego miejsca kojarzyła mu się z samotną pustynią, pomimo obecności ludzi, czuł niemożliwy dystans, jak

niedający się usłyszeć rezonans ukryty w słonecznej, otwartej scenerii.

Dość. Już rozumiem.

Nacisnął skórę na podbródku.

Czekał, kucnąwszy za drewnianą barykadą. Smród spalenizny z jego zniszczonej wsi przyprowadził go o mdłości, albowiem wyczuwał również zapach gotowanego mięsa. Horda z Molokai zjadała ciała jego kuzynów po bitwie. Miał zaledwie sześć lat, ale w rękę trzymał duży odłamek skalny, którym mógłby rozwalić wrogowi głowę, gdyby ten akurat tamtędy przechodził. Czuł gorącą, chropowatą powierzchnię kamienia w dłoni.

Teraz potarł fragment nad powieką.

I uwolnił konstelacje we własnym umyśle.

Był nawigatorem. Bezgłośnie powtarzał monotonną pieśń, której nauczył go jego mistrz na Tahiti, a która miała go doprowadzić do nowego lądu. Przez dwa dni i dwie noce niebo było zachmurzone. Ostrzegano ich, by nie wyruszali zimą, ale nie mieli wyboru: musieli odpłynąć, bo inaczej spalono by również ich wielką łódź, przygotowane zapasy oraz klatki ze świniami i psami, tak jak to zrobiono z ich wioską. Maruderzy słyszeli o tym planie, ale ich wojownicy, którzy od tygodni leżeli martwi, wcześniej toczyli zacięty bój, podczas gdy ludzie, którzy byli z nim teraz, pośpiesznie pakowali, co tylko się dało. Zaryzykowali postój na jednej z zewnętrznych wysp, żeby zdobyć wodę.

Byli na morzu od miesiąca.

Cen chciał, żeby chmury ustąpiły. Tak się stało.

Podróż całkowicie go pochłonęła. Przekonał się, że ma ona wyrafinowane hipertekstowe połączenia. To było jego powołanie, do tego się urodził: żeby sterować ku nieznanym lądom, kierując się jedynie pamięcią. Żadnych sekstansów, tylko ten suchy, prastary głos opisujący drogę jak poziomy skomplikowanego równania, wstrzykujący informację do jego umysłu jakby była narkotykiem.

Wystarczyło dotknąć jego policzka i historia się zmieniła.

Trudno było nadażyć, bo jedna scena gwałtownie przechodziła w drugą. Hawajska kobieta leżała na sali operacyjnej, miała wygoloną głowę i otwarte oczy. Specjalne uchwyty przytrzymały fałdy skóry powyżej jej czoła.

Przed oczami szybko mignęły mu schematy, w których rozpoznał helisy DNA. Czyjś głos pojawił się i ucichł jak we śnie. Wtedy Cen pomyślał, że być może rzeczywiście to wszystko mu się śni.

Wizje, które przyszły później, były o wiele bardziej ulotne. Jakiś głos wyjaśniał coś, czego nie potrafił do końca pojąć, coś o przejściu w kosmosie, o badaniach naukowych, które

dotyczyły samej natury czasu. Cen przechodził przez membrany w kierunku coraz intensywniejszego światła, za każdym razem widząc rzeczy, których w ogóle nie rozumiał, za każdym razem w towarzystwie Hawajczyków, zawsze tych samych, ale wykonujących różne zadania o charakterze naukowym. Ci ludzie badali krańce informacji, tak jak kiedyś przesuwali granice badań oceanicznych.

Zachwiał się i czuł, że głowa mu opada. Potem maska została zdjęta.

Przekonał się, że noc była prawdziwa.

Przed nim rozpościerała się nieskończoność.

- My też pragniemy tam dotrzeć, Cen - powiedziała stojąca obok niego kobieta, pokazując mu intensywnie świecące gwiazdy podzwrotnikowej nocy. - Te gwiazdy są logicznym przedłużeniem naszych poszukiwań, migracji Polinezyjczyków. Martwiłam się o ciebie. Długo cię nie było. Chyba zasnąłeś.

Cen otworzył usta, ale zaraz je zamknął, nie mówiąc ani słowa. Podała mu butelkę, z której zaczął pić. To był sok z guawy.

- Kim jesteś? - zapytał.

- To nie ma znaczenia. Ważne, że tu jestem. Nasza organizacja jest większa, niż mógłbyś podejrzewać, ale jesteśmy twoją *ohana*, twoją rodziną.

- Moja rodzina mieszka na Molokai - powiedział z ponurą zaciętością w głosie. Rodzina jego matki - ciotki, wujowie, kuzyni.

Księżycowa poświata rozjaśniła jej gładką, śliczną twarz i Cen znowu pomyślał o swojej matce. Ale matce mógł zaufać. Nie ufał tej kobiecie. Nawet nie znał jej imienia i wiedział, że jeśli o nie zapyta, nie zostanie mu wyjawione.

- Chcielibyśmy, żebyś się przyłączył do Ruchu Ojczyźnianego - powiedziała. - Potrzebujemy tych kości.

Zadrzał i poczuł, że ma ściśnięte gardło.

- Nie chcę się przyłączyć. I nie wiem, gdzie one są. Mówisz, że ona była strażniczką. Możliwe. Ale *ja nie wiem, gdzie one są*. - Czuł, jak poczucie pewności, gniew i ciemność przetaczają się przez jego umysł niby wielka fala, która zaraz go zatopi, unicestwi. Naprawdę nie wiedział, gdzie są te kości. - Dlaczego wciąż mnie o to pytasz?

Zmarszczyła brwi. Usiadła przy nim i oparła plecy o kamienny występ, wyciągając i krzyżując nogi. Długie włosy zakrywały jej piersi.

- Kiedy twoja matka umarła, byłeś zbyt młody, żeby mogła ci to ujawnić. Dziecko mogłoby się wygadać, nie wiedząc, że ma do czynienia z czymś świętym. - Westchnęła. - Ale mimo to żywiliśmy nadzieję.

- Co byście zrobili z tymi kośćmi? - zapytał.

Odwróciła wzrok i popatrzyła na dolinę, a potem powiedziała:

- Może zdołałyby poruszyć tych otepiałych ludzi, rozpalić ich wyobraźnię.

Przypomnieć im, że kiedyś byli wielcy. A poza tym - zerknęła na niego - zbieramy informacje genetyczne.

- Nie macie takich możliwości.

- Nie - odparła. - Ale IS je ma.

Gapił się na nią bezceremonialnie, wierząc się i nachylając. Mówiła z nim bardzo szczerze i zastanawiał się, jaka jest tego przyczyna. Przecież był tylko dzieciakiem z ulicy w Honolulu.

- Co ty mówisz?

- Nic - odparła.

- Coś jednak mówisz - upierał się. - Że macie członków waszego ruchu w strukturach IS.

- Nic podobnego nie *mówiłam* - odparła. - Ale Interspace to międzynarodowe konsorcjum - składa się z wielu grup, które współpracują na rzecz promowania podróży kosmicznych. Oczywiście, każda z tych grup ma swoje własne interesy i nie jest skłonna dzielić się wszystkimi informacjami z pozostałymi.

- Te wirtualne bioodżywki są skomplikowane i bardzo nowe - powiedział. - Musicie mieć pieniądze.

- O tak - powiedziała. - Mamy je. I szukamy sposobów, żeby mieć ich więcej.

- Na przykład jakich? - zapytał.

- Nie trzeba się nad tym rozwodzić - odparła. - Ale na Hawajach wszystko było oczywiście wydzielane ludowi przez króla Kamehameha II, który chciał, żeby majątek pozostał w rękach Hawajczyków, a nie haoli, bowiem, jak się zorientował, oni wszystko rozkradali.

Cen wzruszył ramionami.

- Myślałem, że większość z nich w gruncie rzeczy nie rozumie idei prywatnej własności i tak czy owak wyprzedala majątek haolom za bezcen. Albo Chińczykom czy Japończykom.

- Wiele wyprzedano - powiedziała. - Ale nie wszystko. Jesteśmy bardzo zajęci odszukiwaniem aktów notarialnych. Potrzebujemy tylko strategicznego kawałka ziemi, żeby móc położyć kres ich poczynaniom, dopóki nie zagwarantują nam, że dziesięciu pełnokrwistych Hawajczyków znajdzie się na statku pokoleniowym.

Cen miał świadomość, że wielu ludzi w IS i poza tą organizacją, w kraju i zagranicą, uważało projekt statku pokoleniowego za niemożliwą, absurdalną i kosztowną mrzonkę. Ale gospodarka wyspy opierała się na jego budowie, dlatego miejscowi specjalnie nie psioczyli.

- Wierzysz, że oni naprawdę to skończą? - zapytał.

Przez chwilę milczała.

- W świecie nauki i techniki dzieje się wiele rzeczy - odparła - o których większość ludzi nie ma pojęcia. Dziś, patrząc realnie, wydaje się niemożliwe, żeby ludzie kiedykolwiek zdołali oddalić się tak bardzo od Ziemi. Ale być Hawajczykiem, to wierzyć w istnienie czegoś, co jeszcze nie zostało znalezione, Cen. Przede wszystkim ściągnęła nas tutaj abstrakcyjna obietnica miejsca, które może nawet w ogóle nie istnieje. Kiedy zaczniemy lepiej rozumieć czas, dotarcie do innych gwiazd może się okazać całkiem wykonalne.

Czas. Czy nie zastanawiał się nad czasem? Wpatrywał się w profil kobiety, bladej w księżycowej poświacie, ona zaś chłonęła rozpościerające się przed nimi piękno. Ile wiedziała o nim i o Kaiulani? Przecież nie mogła wiedzieć o jej istnieniu. Nikomu o niej nie mówił. Absolutnie nikomu.

Stała i wyciągała rękę ku ciemnej pustce, którą była Dolina Makaha, gdzie było słycać szelest dżungli. Szerokie, piaszczyste plaże u wlotu doliny jaśniały kręgami światła; na wybrzeżu stały rzędy wysokich kondominiów. W odległej ciemności pojawiały się krótkie białe odbłyski - przybrzeżna fala na plaży Makaha była silna zwłaszcza teraz, zimą.

- To nasza ziemia - powiedziała. - Nasze dziedzictwo. My ją znaleźliśmy i my ją zasiedliliśmy. Jeśli ma być użyta jako odskocznia do podróży kosmicznych, to zasługujemy na to, żeby stać się częścią tego programu. Ale zamiast tego nasze dzieci mają braki w wykształceniu, a my wszyscy jesteśmy po prostu biedną siłą roboczą, i jeśli w ogóle decydujemy się pracować, pomagamy w budowaniu czegoś, co będzie korzystne tylko dla innych. Potrzebujemy wykształcenia. Potrzebujemy nowej wizji.

- Chodź - powiedziała. Poszedł za nią po oświetlonym księżycem szlaku.

Maui czekał u wlotu do jaskini.

- On cię odprowadzi - rzekła. - Proszę, daj nam znać, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy. Będziemy z tobą w kontakcie. Aloha. - Ucałowała go w oba policzki i weszła do środka.

- Ona jest naprawdę piękna, co? - zagadnął Maui, kiedy Cen ostrożnie kroczył za nim ścieżką.

- Hm - odparł Cen, próbując koncentrować uwagę na tym, żeby nie zboczyć ze szlaku.

- Ma osiemdziesiąt lat - powiedział Maui.

- Jasne - odparł Cen. - I pewno mieszka w tej grocie od 2000 roku.

- Nie. Ona tu nie mieszka. Jest prawniczką. Pracuje dla dużej japońskiej firmy w centrum Honolulu. Zarobiła dużo pieniędzy, wydała je na liczne eksperymentalne kuracje genetyczne. I na nanotech. Jak na razie, chyba wszystko jest w porządku. Myślę, że jest na progu odkrycia czegoś wielkiego, tylko nie mówi mi o tym. Ale była bardzo zadowolona, że cię odnalazłem.

Cen poczuł się nieswojo, schodząc z góry. Ci ludzie znali jego nazwisko, wiedzieli o nim więcej, niż on o nich, a może nawet więcej, niż on wiedział o sobie. Co tak naprawdę knuli? Właściwie nie powiedziała, czego chce, tylko marudziła o tych cholernych kościach, upierając się, że jego matka wie, gdzie one są.

- Skąd wiesz, że ma osiemdziesiąt lat? - zapytał.

- Jest moja babcią - odparł Maui.

*

Zanim wrócili do motocykla, zrobiło się zimno.

W drodze powrotnej, kiedy smagał ich zimny wiatr, Cen nagle uświadomił sobie, że ci ludzie mają władzę.

Może mogliby pomóc Mei.

Kiedy zatrzymali się przed jego domem. Cen szybko opowiedział Maui o Mei:

- Myślisz, że możecie jej pomóc? Wydobyć ją ze szpitala? Jeśli tak, zrobiłbym wszystko. Przyłączyłbym się do was.

W świetle latarni było widać, jak Maui mruży oczy, słuchając opowieści Cena. Sprawiał wrażenie rozgniewanego. Zaciśnął usta.

- Oczywiście - powiedział. - Może uda się coś zrobić dziś wieczorem. - Ścisnął Cena za ramię. - Po to przecież jesteśmy, bracie, nieprawdaż?

Odjechał z rykiem, a Cen poczuł niewysłowioną ulgę. Dwie cudowne rzeczy jednego dnia. Wieść o tym, że uwolnił się od swojego ojca i perspektywa pomocy dla Mei. Ruszył ku schodom i wtedy z jego pokoju wynurzył się Po.

- Cen?

Cen zatrzymał się na schodach.

- Mei wróciła - powiedział. - Nie miała klucza. Pojawiła się tylko w szlafroku, bez kapci. Wpuściłem ją. Chciałem, żebyś wiedział, że to nie *oni*...

Cen wbiegł po schodach na górę i otworzył drzwi.

Zobaczył jej drobne ciało na łóżku.

Leżała tak nieruchomo, że poczuł panikę. Zanim wyciągnął do niej rękę, wiedział.

Dotknął jej policzka. Był zimny, a jej wzrok szklisty, niewidzący.

- Przynajmniej dotarłaś do domu, Mei - szepnęła i zamknęła jej oczy. Podeszedł do okna i wyrzwał przez nie. Za późno, pomyślał, za późno, do diabła.

Po kilku minutach wyszedł na dwór, w nagle obcą noc.

Szedł bez celu, stopniowo zwiększając tempo, aż puścił się pędem po stoku w dół, do dzielnicy czerwonych latarni w Honolulu, po czym skręcił w kierunku Diamond Head.

Obrazy Mei mieszały się w jego umyśle ze smugami neonów i rozmazanymi twarzami turystów, gdy próbował oddychać mimo bólu ściskającego mu gardło. Sklepy, restauracje, bary, skłębiony tłum, przecznica za przecznicą. Potrzebował dwudziestu minut, żeby dotrzeć do Waikiki, a potem skręcił *makai*, biegnąc, słyszał szum przybrzeżnej fali, widział hotelowe światła odbite na czarnej tafli oceanu. Minął ogród zoologiczny, gdzie schrypniętych następców pawi Kaiulani zagłuszał łopot palmowych liści. Łzy zmoczyły mu twarz, ale ich nie wycierał. „Pozwól, że ci pomożemy”. Tak mówiła babka Maui, ale nie chciał, żeby Ruch Ojczyźniany mu pomagał, nie chciał, żeby ta organizacja na niego wpływała, odrzucało go jej poczucie misji, jej fanatyzm, przesady.

A może jej dziwaczne żądania.

Była odwrotnością tego, co zabiło Mei.

Kiedy tak biegł, owładnęła nim jedna obsesyjna myśl: chciał wiedzieć. Wszystko. Ale nie za pośrednictwem nanu, który Mei uważała za konieczność.

Chciał wiedzieć dzięki mocy *własnego* umysłu. I nikt nie będzie mu mówił, co powinien, a czego nie powinien wiedzieć albo myśleć. Chciał wiedzieć wszystko o czasie. O czasie - o oceanie, który rozdzielał go od Kaiulani.

Skręcił *mauka*, w stronę ciemnych gór, które zasłaniały teraz już rozgwieżdżone niebo. Sunął Doliną Manoa, ale dokąd? Kolejna ulica, kolejny róg, dalej, jeszcze dalej. Nogi były teraz jak z gumy, a serce waliło z całych sił, gdy w końcu uświadomił sobie, dokąd zmierza.

*

Mały, ale wytworny dom, rośliny podzwrotnikowe, delikatnie podświetlone i starannie utrzymane. Drzwi, które nie były zamknięte na klucz - przymknięto tylko rozsuwane drzwi.

Wbiegł po schodkach domku Rossa i zaczął bębnić do drzwi.

- Żadnego seksu - zapowiedział, kiedy Ross wyszedł z kuchni, żeby zobaczyć, kto do niego zawitał. Właśnie wycierał ręce w ręcznik. Głos Rossa był szorstki i ochrypły. Kilka razy zakaszłał.

Ross wydawał się zaskoczony tylko przez chwilę, a potem stanowczo skinął głową.

- Żadnego seksu - zgodził się. - Właśnie to powiedziałem.

Cen zajrzał do pięknego, skromnego pokoju wyłożonego cienkimi, błyszczącymi klepkami *koa*, umeblowanego tak, by każdy wiedział, że *to jest inny świat*.

- Hm, może w końcu wejdiesz do środka - powiedział Ross zaniepokojony. - Co się stało?

Cen przeszedł przez próg i znalazł się w dobrze oświetlonym pokoju.

Zgiął się, ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsały spazmy szlochu.

8

Najpierw książki w bibliotece Rossa wywołały pożar w jego umyśle.

Gamow, Bohr, Gödel. Potem Einstein i jego wyjaśnienie teorii względności dla laików, i jeszcze te popularne stare książki o teorii chaosu i wszystko, co kiedykolwiek napisał lub powiedział Stephen Hawking. I jeszcze więcej. Inflacja i teoria, że istnieją wszechświaty w obrębie wszechświatów w obrębie wszechświatów. A teoria wielu światów? Vilenkin i jego zasada przeciętności, według której Ziemia była tylko jedną z nie wiadomo ilu planet, które ewoluowały niemal identycznie. Może *on* odkryje kiedyś materię egzotyczną, która miała otwierać tunele czasoprzestrzenne. Wtedy mógłby *zostać z Kaiulani, uratować ją*. Każdy nowy pomysł napępiał go wielkim podnieceniem. Inni już myśleli o tych rzeczach! Biblioteka Rossa rozpaliała w nim osobliwą nadzieję i zachęcała do badania podstaw tych kontrowersyjnych spekulacji. Kontrowersyjnych, jak mniemał, dla większości ludzi.

Nie dla niego.

Ross był zycziwym mentorem i po tamtym pierwszym razie nigdy nie domagał się od niego seksu. Jednak mówił prawdę: dość często wpadał do niego kochanek. Nazywał się Michael i był fizykiem.

Przez pierwsze kilka tygodni Cen nieustannie przeglądał sieciowe zasoby komputerowej biblioteki Rossa. Kiedy Ross dostał rachunek, delikatnie zasugerował Cenowi, że może powinien robić badania na miejscu. Po sześciu miesiącach Ross próbował wysłać go do szkoły, lecz Cen nie chciał wyrazić zgody na geneskan. Ale zdał wszystkie szkolne testy śpiewająco. Któregoś dnia, nalewając sok w kuchni, Cen usłyszał, jak Ross mówi do kogoś przez telefon, że właściwie nie ma powodu, by nie przyznać mu dyplomu szkoły średniej już teraz.

- Wiesz doskonale, jak ja, co tutaj mamy - powiedział Ross. - Ten dzieciak jest geniuszem.

Cisza. Cen zostawił drzwi lodówki otwarte i podszedł bliżej na palcach.

- Tak, wiem, że to Hawajczyk. Mam ci przypomnieć o prawach zapobiegających dyskryminacji? Nie, nie został w żaden sposób ulepszony. Ręczę za to.

Chociaż próbowali go ulepszyć, pomyślał Cen. Interspace miała laboratoria, które zabawiały się takimi przybłędami, jak on czy Mei, osobnikami tak spragnionymi nowych kuracji hormonalnych czy zastrzyków endorfiny, że dawali robić z siebie króliki doświadczalne, a raczej myszy, pożerane przez mangustę. Właśnie tak myślał o Interspace, jak o zdradzieckiej manguście, intruzie z zewnątrz, który atakował i wykańczał miejscową przyrodę, futerkowym złodzieju, który pustoszył tę ziemię podstępnie, w mrocznych miejscach - który uderzał jak grom.

Nie, na nim nie położyli łapy, ale Mei...

Poczuł ból w piersiach i zacisnął powieki, żeby się nie rozplakać.

Usłyszał, jak Ross odwiesza słuchawkę. Już zamykał lodówkę, kiedy gospodarz wszedł do kuchni.

- Przypuszczam, że usłyszałeś tę rozmowę? - zagadnął Ross. - Oni chcą geneskanu. Okazuje się, że teraz jest to standardowy wymóg we wszystkich szkołach na Hawajach, państwowych i prywatnych.

- Nie - odparł Cen. Poczuł w ustach eksplozję słodczy guawy. Wziął jeszcze jeden łyk.

- To poważne naruszenie praw - rzekł Ross. Usiadł przy stole, wziął do ręki jabłko i podrzucał je w zamyśleniu. - Ciekaw jestem, po co im one.

- Coś ci powiem - odparł Cen. - Nie wierzę, że tego nie wiesz. Oni chcą dorwać wszystkich czystej krwi Hawajczyków. Dlatego, że boją się RO.

- Dlaczego? Ten ruch wydaje się raczej nieszkodliwy. Od czasu do czasu jakaś demonstracja. Wielkie mi rzeczy.

- No, a co się stanie, jeśli RO zdoła dowieść, że to jego członkowie są właścicielami Interspace, a nie amerykański rząd.

- To raczej mało prawdopodobne, ale jeśli tak się stanie, przypuszczam, że RO dostanie te pieniądze za dzierżawę - ale Interspace i tak musi komuś zapłacić, więc dlaczego to miałyby robić jej różnicę?

- Nie sądzisz, że pieniądze za dzierżawę bardzo wzmocniłyby RO? Następna sprawa. Co będzie, jeśli działacze Ruchu Ojczyźnianego zdołają dowieść, że wskutek eksperymentów biologicznych i nanotechnologicznych doszło do naruszenia prawa międzynarodowego? - zapytał Cen.

Ross milczał przez minutę. Wreszcie odparł:

- Wtedy RO narobiłby niezłego pasztetu, co? - Spojrzał na Cena w zamyśleniu. - Nie jesteś z nimi powiązany, prawda?

- Nie jestem - odpowiedział Cen.

Ross dał za wygraną w kwestii szkoły, ale bez udokumentowanej przeszłości Cen nie mógł wstąpić również na Uniwersytet Hawajski. Ross rozwiązał problem w ten sposób, że załatwił Cenowi uczestnictwo w wielu kursach UH bez rejestracji. Z początku były to tylko zajęcia wstępne i Ross cierpliwie uczył go tych fragmentów materiału, które sprawiały Cenowi trudność. Któregoś dnia Cen oderwał wzrok od ekranu komputera, kiedy siedzieli przy kuchennym stole, i zauważył, że Ross przygląda mu się z zakłopotaniem.

- Znakomicie się orientujesz w podstawowej matematyce. Masz niewiarygodną intuicję, jeśli chodzi o geometrię, algebrę, trygonometrię. Mam trzeciorocznych studentów, którym rachunek różniczkowy i całkowy sprawia trudność, ale tobie idzie jak po maśle. Dlaczego?

Cen wzruszył ramionami, oparł łokcie na stole i pochylił głowę nad spoczywającym przed nim przechylnym ekranem. Nacisnął kilka klawiszy.

Kiedy Ross tak do niego mówił, Cen doświadczał przebłysków pamięci. Wiedział, że za młodu uczęszczał do szkoły.

To była bardzo dobra szkoła. Duże pomieszczenie bez dachu, ulewy bębniące o szerokie liście bananowca w ogrodzie wiele razy dziennie, tak że tworzyły się ściany wody. Był pewien, że to najnowszy gadżet w wyposażeniu edukacyjnym. Pamiętał, że musiał zawsze dbać o to, żeby zamykać drzwi do klimatyzowanego pomieszczenia, w którym trzymano komputery. Ekran były wtopione w niskie, półprzezroczyste biurka, a potężne okna wychodziły na błękitną Zatokę Kailua. Pamiętał jak przez mgłę inne dzieciaki, z których kilkoro było jego przyjaciółmi. Inne dokuczały mu, kiedy był starszy, z racji hawajskiego pochodzenia. Jego rodzice często kłócili się zawzięcie o pieniądze.

Zmarszczył czoło wpatrzony w ekran.

- Przepraszam - powiedział Ross. - No, zobaczmy, co zrobiłeś z tym nowym podręcznikiem kwantowym, który przyszedł pocztą elektroniczną w zeszłym miesiącu. Dobrze jest wreszcie mieć królika doświadczalnego, żeby przetestować wszystkie te rzeczy. Nigdy nie wiem, czy powinienem zachęcać swoich studentów, żeby wydawali na nie kasę.

Cen skinął głową. Wizje przywołane przez Rossa miłosiernie odpłynęły. Wiedział, że Ross jest zaintrygowany, a czasami zły na niego za uparte i całkowite odcinanie się od przeszłości. Jednak stanowczo oświadczył swojemu dobroczyńcy, że odejdzie, jeśli Ross

będzie go o to nagabywał. Jeżeli nawet Ross odkrył coś dzięki swojemu wścibstwu, to z niczym się nie zdradzał. I taki układ w zupełności Cena satysfakcjonował.

*

Mały drewniany dom wydawał się pusty bez Rossa. Był w San Diego na jakimś spotkaniu. W ten sobotni poranek światło kładło się długą, samotną smugą na deskach podłogi, jeśli akurat nie padał deszcz. Co pewien czas o liście bananowca na podwórzu stukały krople ulewy, a potem wiatr odpychał chmurę nad dolinę.

Century siedział w stylu Zen na poduszkach, które Ross kładł przed swoim terminalem. Włączał go i wyłączał raz po raz.

Był pod wrażeniem władzy, jaka kryła się pod jego palcami. Czegóż to mógłby dokonać dzięki takiemu systemowi! Poprzez uniwersytet był połączony z całym światem informacji. Ale kiedy Rossa nie było, miał surowy zakaz logowania się. W wolnym czasie pracował nad stworzeniem wirtualnych segmentów. Powiedział Rossowi, że ma nadzieję zarobić pieniądze, przygotowując projekcje wirtualne dla salonów w centrum. Ross był tym rozbawiony, ale pozwolił mu na tę rozrywkę.

Teraz Cen pieścił klawisze. Trzymał ręce przy bokach, wziął głęboki oddech.

Potem wyciągnął ręce i założył hełm.

Przez chwilę zastanawiał się, jak najlepiej ukryć swoją ścieżkę. To nie było zbyt trudne. Poczul wyrzuty sumienia - Ross nauczył go wszystkiego, co było mu potrzebne do wykonywania takich operacji.

Niebawem zabrał się do tworzenia świata wirujących chmur, otwartego morza. Fantastyczne rzeczy, które działy się w jego umyśle, kiedy pracował, nie mogły się równać z poczuciem, iż jego serce zostało wyzwolone, ale uświadomił to sobie później. Na razie istniała ścieżka, którą mógł pójść, bezpośrednia i kompletna.

Musiał odnaleźć Kaiulani.

Pracował nad nią przez większość dnia, aczkolwiek nawet nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu. Jej prosty nos, równe brwi - rozważał i odrzucał tysiące możliwości, dopóki nie poczul się usatysfakcjonowany którąś z nich, a potem, gdy przybierała określony kształt, dopracowywał ją bez końca.

Zatrzymał się, gdy tworzył jej ciało - znał ją od tak dawna, odkąd była dziewięcioletnią, zupełnie pozbawioną biustu dziewczynką.

Ale teraz była prawie kobietą i właśnie taki nadał jej kształt.

W standardowej bibliotece ikon nie było żadnego stroju, który przypominałby jej ubiór, dlatego wkradł się za pośrednictwem Sieci do Bishop Museum i przejrzał tamtejszą

kolekcję zdjęć rodziny królewskiej. Przez UH uzyskał dostęp do kursu na temat historii mody i sprowadził dla Kaiulani odpowiednią garderobę, włącznie z bielizną.

Serce waliło mu jak młot, kiedy zachował wszystkie zmiany i zdjął hełm.

Był wieczór. Poczul lekki zawrót głowy, kiedy wstał. Wyszedł na *lanai* i usiadł na obszytej kwiecistym perkalem poduszce cennego, starego, wyplatane go krzesła.

Z trudem uświadamiał sobie, że tego nowoczesnego miasta płonącego jasnym blaskiem na tle ciemniejącego nieba sto lat temu w ogóle nie było.

Podmuchy wiatru chłodziły jego twarz, ręce i klatkę piersiową.

W tej ciemności uśmiechnął się od ucha do ucha.

Rachunkiem za pracę w Sieci, dostęp do Paryża i Nowego Jorku, w całości obciążył niezwykle zatłoczoną bazę wymiany danych w IS.

- Gdzie jesteś, księżniczko Kaiulani? - zapytał. Cykanie świerszczy i szelest gekonów przemykających po suficie były jedyną odpowiedzią, a tymczasem w czarnej, wciąż przywołującej go przestrzeni zaczęły się pokazywać gwiazdy.

Tę błyszczącą, szepczącą w jego umyśle odpowiedź przypisał swojej wyobraźni. Świat, gwiazdy, światła miasta - wszystko pulsowało jej obecnością. Zasnął skulony na krześle na ganku, śniąc sny dręczące i chaotyczne.

Potem wracał wiele razy. Ross sprowadził do domu system, którego pozbywał się uniwersytet, ze staroświeckim hełmem. Oddał go Cenowi. Cen poczuł się lepiej, kiedy mógł zmodyfikować swoje ścieżki, żeby w razie czego nie mieszać w to Rossa. Hełm przypominał trochę zabawkę i nie był specjalnie przydatny, ale umożliwiał Cenowi wypróbowanie nowych pomysłów z zastosowaniem modeli trójwymiarowych. Trochę rozleniwiona, ale niezła zabawa.

Po tamtym pierwszym dniu nie chciało mu się tworzyć obrazów, chociaż zachował to, co już zrobił jako wstęp podczas logowania do systemu.

Zamiast tego chciał stworzyć ścieżki w obrębie czasu, w jakiś sposób połączyć to, czego się uczył z tym, co uważał za możliwe. Wyczuwał moment, kiedy coś uprzednio abstrakcyjnego nagle zazębiało się, stawało się przydatne. Stopniowo był w stanie zrozumieć więcej z tego, o czym czytał w podręcznikach kosmologii i mechaniki kwantowej. Nie pracował na oślep, nie myślał tylko po to, żeby myśleć. Miał cel, wizję kogoś bardzo mu drogiego, kto był po drugiej stronie szerokiej, wzburzonej rzeki.

Musiał tylko znaleźć sposób na przerzucenie mostu.

Albo ponownie znaleźć most, który kiedyś był otwarty.

Kaiulani była jego *etak*, jego punktem odniesienia dla wszystkiego, czego się uczył,

ogniskującą rzeczy w sposób, jaki nie był dany nikomu innemu.

*

Cen siedział na *lanai* pochylony nad swoim handheldem.

Szare słupki okalały tropikalny ogród, który poruszał się na lekkim wietrze, przecinany smugami światła i cienia. Lizzy, jego ulubiona jaszczurka, wskoczyła na słupek i zniknęła po drugiej stronie ogrodzenia. Drzewo plumerii było w pełnym rozkwicie, a jego słodki, ciężki zapach wprawiał Cena w senność.

- Cen!

Poderwał się.

- Proszę cię, bądź dobrym chłopcem i przynieś nam lemoniady.

- Co on sobie wyobraża, że jestem jego służącym? - narzekał w obecności Lizzy, ale wstał i spokojnie poczłapał do kuchni.

Kiedy wyjmował szklanki z kredensu - najlepsze, bo ten siedzący w nowiutkiej, wykrochmalonej, hawajskiej koszuli gość właśnie zaczął pracę w katedrze wydziału astronomii - przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Według moich danych ta ćwiartka nie powinna być pusta - powiedział Hellman.

Cen wyjął z lodówki zroszony wilgocią dzbanek i polał lód słodką lemoniadą. Wiedział dokładnie, o czym mówi Hellman. Ross wspomniał o problemie z soczewkami grawitacyjnymi podczas niedawnego pokazu nad Mauna Kea - właśnie w tej sprawie był wzywany, a Cen rozmyślał o niej od dwóch tygodni.

- Nie jest - powiedział Cen, wnosząc tacę i stawiając ją na stole. Hellman był grubym, bladym mężczyzną. Niedawno przyjechał z Niemiec. Siedząc na wytwornym bambusowym meblu Rossa, lekko się pocił. - Proszę - powiedział Cen i wręczył pulchnemu mężczyźnie jego lemoniadę.

- Co masz na myśli? - zagadnął Hellman.

- On nie ma pojęcia, o czym mówi - powiedział Ross.

- Dziękuję, Cen.

- Jak to nie wiem, do cholery! - odparł Cen. Wybiegł przez oszklone drzwi na werandę i chwycił swojego handhelda.

- Znalazłem go jakiś rok temu - usłyszał tłumaczącego się Rossa.

Cen wbiegł z powrotem do pokoju z takim zapałem, że omal nie potknął się o własne nogi.

- Proszę, spójrzcie na to.

- Szanowny panie - odezwał się Ross, uznając swoją porażkę.

Cen zignorował go.

- Do tych obliczeń użyłem stałej Gutha.

Kiedy mówił, niemal czuł obecność Kaiulani przy jego ramieniu, rozprzestrzeniającą jego myśl dalej i dalej. Gdyby tylko mógł dotrzeć do niej. Zawsze o tym myślał, kiedy zmagał się z tymi problemami, jakby to *ona* był problemem, jej istnienie, jej realność. Nazywał swoje pliki jej imieniem: Kaiulani 1, Kaiulani 2, a pamięć o ich spotkaniach była zawsze trampoliną, z której ruszał.

Po dwudziestu minutach Hellman rzekł:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz w domu geniusza? Myślałem, że on jest twoim, hm, no wiesz...

Ross zaniósł się nerwowym śmiechem.

- On jest fanatykiem, to wszystko - oświadczył, a z jego twarzy były jednocześnie duma i zatroskanie.

- Zapisaleś się na uniwersytet? - zagadnął Hellman. - Naprawdę powinieneś chodzić do mnie na seminarium. Wyglądasz trochę za młodo, ale...

Cen zerknął na Rossa, uświadamiając sobie, że zachował się trochę idiotycznie.

- Ee - wydusił tylko. Nie powinien był w ogóle się odzywać, ale nie wytrzymał rozsadzającego go podniecenia.

- No cóż - powiedział Hellman. Wstał i mocno klepnął Cena po plecach. - Dałeś mi wiele do myślenia. Porozmawiaj o tym z Rossem. - Zebrał swoje papierzyska i wyszedł.

Ross usiadł na kanapie. Pochylił się do przodu, skrzyżował nogi i przez kilka minut patrzył w przestrzeń. Cen nie przerywał mu.

- Skąd zdobyłeś tę informację? - zapytał wreszcie Ross.

- Nie wiem. Po prostu... przyszło mi to na myśl.

- Nie rozmawiałaś z nikim? Nie miałaś dostępu do pracy, którą w związku z tym wykonywałem?

Cena zaczęło ogarniać rozdrażnienie.

- Co masz na myśli? - zapytał. - Chcesz mi powiedzieć, że nie uważasz tego za moją własną pracę?

- Spokojnie, młody człowieku - odparł Ross. - Mówię tylko, że to zdumiewające i wspaniałe, i faktycznie nie pojmuję, jak mogłeś na to wpaść. Nawet pomimo tego, że jesteś taki bystry. To naprawdę wielki wyczyn. Jeszcze jedno... - dorzucił, gdy Cen wziął szklankę ze stołu i wysączył resztkę soku.

Cen spojrzał na niego.

- Chodzi o Kaiulani.

Cen zakrztusił się napojem i z trudem łapał oddech. Pobiegł do kuchennego zlewu i kaszłał, aż łzy stanęły mu w oczach. Odkręcił kurek, pochylił głowę i ochlapał twarz zimną wodą. Ross udał się za nim do kuchni, usiadł na jednym z drewnianych krzeseł przy stole i położył rękę na oparciu.

- Coś ci to mówi? - zagadnął.

- A tobie? - odparł Cen, oparłszy się o zlew. Mówił szeptem, ponieważ bardzo bolało go gardło. - Tak czy siak, myślisz, że to wszystko ukradłem.

Ross westchnął.

- Wcale tak nie myślę. Naprawdę. Taki wariant po prostu wydaje się najrozsądniejszy, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że jesteś nieprzeciętny. Myślę, że jeśli ktokolwiek będzie z tobą o tym rozmawiał, najlepiej będzie przyjąć tę wersję. Musisz być bardziej dyskretny. Jestem pewien, że powiedziałem ci, iż wszystko w moim systemie jest otwarte dla ludzi z Interspace. Spędziłem pół życia, próbując nie wchodzić im w drogę. Odkąd przybyli, wszystko się zmieniło. Wszędzie panuje większe napięcie. Tutaj nic nie funkcjonuje w oderwaniu od IS. Albo jesteś z nimi, albo przeciw nim. Dostałem profesurę z największym trudem i wcale nie musiało mi się to udać. Miałem dobre oferty gdzie indziej - ale tutaj jest Michael. IS zajmuje się ciekawymi projektami. I kto może mieć jej to za złe? Zgromadzono tutaj wszystkich, którzy znają się na rzeczy. Najtęższe i najbardziej błyskotliwe mózgi na świecie. Jak... och, jak ci, co pracowali w Los Alamos w 1944. Jak teoretycy złożoności i chaosu w latach pięćdziesiątych. I oni *wiedzą*, że nic się nie dzieje, a wszystko się opóźnia. Że najwięksi geniusze tego świata nie potrafią wydostać ich z układu słonecznego. I mają w garści każdego z tych ludzi, w ten czy inny sposób. Uniemożliwiają nam zorganizowanie się. Wiedzą, jak dać ci znać, co może ci się przytrafić. Kto będzie ryzykował?

Cen poczuł mdłości.

- Dlaczego wszyscy naraz nie wystąpią przeciwko nim?

Ross mówił dalej, ale już bez gniewu w głosie. Cen zdawał sobie sprawę, że Ross przedstawia mu fakty tak, jakby jego podopieczny był małym dzieckiem.

- Trudno mieć pewność, komu można zaufać. Ach, cóż, myślę że to się w końcu rozwali. To nie może trwać w nieskończoność. Wiem, że na rozmaite sposoby zabezpieczyłeś swoją pracę na temat - jak ona się nazywa? Kaiulani? - ale za kogo ty się uważasz? Nie wiesz, że podróż przez tunele czasoprzestrzenne to teraz kluczowy projekt? To ich ostatnia deska ratunku. Gdyby mieli jakiegokolwiek konkretne informacje, byłoby im znacznie łatwiej.

Podróż tunelem czasoprzestrzennym. Cen nie mówił o tym nawet w myślach. Ale

przecież to właśnie rozważał, nad tym pracował. Jeśli Kaiulani była prawdziwa, jeśli ich spotkania były rzeczywiste, a on sądził, że były, to...

- Uważam się za nikogo, jestem nikim - odparł, czując się zmęczony, pokonany, a zarazem dziwnie rozłuszczony. - Kogo obchodzą moje myśli?

- Najwyraźniej obchodzą one Interspace - rzekł Ross. - Kręcili się tutaj, wypytywali o ciebie. Chcą wiedzieć, co ty za jeden, skąd pochodzisz. Czy masz jakieś konszachty z RO. Powszechnie wiadomo, że Ruch rekrutuje członków tylko spośród czystej krwi Hawajczyków. Ale co mam zrobić teraz, kiedy wzbudziłeś zainteresowanie Hellmana? On jest jednym z ważniaków. W każdym razie postanowiłem zajrzeć do rzeczy w twoich plikach, którymi oni tak bardzo się interesują.

- Nie pytałeś mnie o zgodę! - zawołał Cen.

- Przepraszam - powiedział Ross.

- Nie, ty wcale nie przepraszasz.

- Posłuchaj - odparł Ross - jak na kogoś tak młodego jak ty, masz bardzo niezwykle myśli, a jeszcze w dodatku wyrażasz je językiem matematyki.

- To wcale nie jest dziwne - zaprotestował Cen. - Większość matematyków osiąga najlepsze wyniki przed ukończeniem trzydziestki.

- Ty chyba nie wierzysz w takie rzeczy, co? To znaczy, nawet jeśli tunele czasoprzestrzenne istnieją poza obrębem teorii, to jak można byłoby nimi manipulować? Jak znajdziesz inżynierów, którzy zbudują przejście, otworzą je i uczynią podróż czymś przewidywalnym? Dawniej sądzono, że aby takie przejście pozostawało otwarte, potrzeba tak zwanej materii egzotycznej - formy materii, którą miała stworzyć bardziej zaawansowana cywilizacja w odległej przyszłości. Ale jeśli IS - czy ktokolwiek - byłaby w stanie zrobić coś takiego teraz - powiedział cicho, niemal do siebie - okazałoby się to niebezpieczniejsze niż energia atomowa. I jeśli ty miałbyś o tym jakieś pojęcie - jeśli byłbyś w stanie zaoferować jedną z wielu cząstek informacji, której ich mózgi mogłyby użyć nawet do czegoś zupełnie marginalnego... chyba w to nie wierzysz, co? I jeszcze jedno, Cen... - w tym momencie Ross zawahał się - ...to nie są mili ludzie. Jak myślisz, co sprowadziło Hellmana na Hawaje? Jak myślisz, o co teraz chodzi Uniwersytetowi Hawajskiemu? On sam się tutaj wprosił... i może dostał to, czego chciał. No cóż, powinienem być być mądrzejszy. Jeśli jakimś cudem naprawdę w to wierzysz, to dałbyś za wygraną, prawda? Nie rozumiesz, że oni mogliby zwichrować ci całe życie? - Westchnął. - W co ja cię wpakowałem?

Cen widział zaniepokojenie na jego twarzy. Ross był dla niego dobry, bardzo dobry. Chciał powiedzieć: „Nie, nic nie wiem, i tak, mógłbym dać za wygraną”. Pragnął tego przez

chwilę.

Ale to byłoby równoznaczne z zabiciem Kaiulani. Czasami czuł, że ona istnieje, że go potrzebuje, liczy na niego, liczy, że on do niej wróci. Bez względu na to, jak długo miałyby to trwać.

Nagle, kiedy wyjrzał przez otwarte okno na drzewo mangowe i stłoczone w dole jaskrawopomarańczowe strelacje królewskie, uświadomił sobie, co próbował zrobić, i to pomimo ostrożnego dystansu, który tworzył przez kilka ostatnich lat między tym, czego doświadczał i tym, co wydawało się sensowne.

Usiłował zmienić bieg jej życia. Zaparło mu dech w piersiach, kiedy jego umysł wypełniły, niczym kwiaty kwitnące i więdnące w przyśpieszonym tempie, potencjalne skutki tego działania. Czuł się tak, jakby potrafił zaglądać do kolejnych korytarzy możliwych czasów i dostrzec śmierć na końcu każdego z nich. Na myśl o jej śmierci („Ależ ona już umarła”, powtarzała mu ta część umysłu, której nienawidził. „Jest martwa!”) poczuł ścisk w piersiach i piekące łzy w oczach.

Odwrócił się, żeby wybiec z pokoju, ale Ross wstał o wiele szybciej, chwycił Cena za ramię i odwrócił go ku sobie. Przez długą chwilę patrzył mu w oczy.

- Tak - powiedział. - Myślę że ty naprawdę wierzysz. - Puścił chłopca.

Cen zatoczył się do tyłu i wyrznął we framugę drzwi. Ból wywołał w nim wstrząs, doprowadził do płaczu.

- Przepraszam - powiedział Ross. - Nie miałem zamiaru...

Wiem, pomyślał Cen, wybiegając z domu. Wiem, wiem, wiem.

9

Zanim Cen skończył osiemnaście lat, nie pamiętał już, kiedy po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy Kaiulani może być skutkiem czegoś w rodzaju przemieszczenia czasowego. Wiedział tylko, że chyba nie istnieją żadne zaklęcia, żaden stan umysłu, żadna forma bytu, która mogłaby ją do niego przywołać. Wciąż czytał, studiował, aż cała ta energia została wykorzystana i przeobrażona. Ross zrobił z niego syna, którego nigdy nie miał. Cen nadal czuł się odcięty od samego siebie, ale teraz godził się z tym. Czuł się niekompletny. Brakowało mu Kaiulani. Nie widział jej od lat. Lat!

Któregoś popołudnia Cen piął się krętymi uliczkami, które sąsiadowały z kraterem Punchbowl.

Wszedł na cmentarz z rzędami amerykańskich grobów. Wiedział, że pod nimi

znajdują się lawowe skały starożytnych świątyń *heiau*, świętych tarasów, na których kahuni zabijali ludzi, by zadowolić bogów. Ta ziemia była usiana kośćmi.

Kośćmi.

Pamiętał, co powiedziała Kaiulani o szkielecie króla Kamehameha, i uśmiechnął się. Jaką poważną była dziewczyną. Zadygotał i poczuł, że gdy myśli o kościach, przenika go coś mrocznego. Zwrócił swoje myśli ku Kaiulani, która zawsze była taka pogodna.

Uświadomił sobie, że wcale nie jest bliższy odkrycia, kim albo czym ona jest. Miał wrażenie, że w którąkolwiek stronę się zwraca, napotyka psychiczne bariery. To było jak Imię Boga, tylko gorsze. Jedyna nadzieja tkwiła w badaniu granic czasu i przestrzeni, gdziekolwiek one były - w astronomii, matematyce, fizyce, kosmologii. I jeśli *miejsce* miało tu jakiegokolwiek znaczenie, uzyskałby proste wytłumaczenie, dlaczego nie widział jej od tylu lat. Była w jakiejś szkole w Europie. Przebywała w Berlinie, oświadczał jej się bogaty niemiecki hrabia, a ona dała mu kosza, ponieważ go nie kochała. Odwiedziła południe Francji, „flirtując”, jak się wyraziła w liście - bo „lepiej pozwolić sobie na skok w bok teraz niż później!”

Patrząc na ułożone płasko w regularnych rzędach prostokątne, białe kamienie Cen poczuł energię, która nadawała temu miejscu prawdziwą nazwę, Wzgórze Poświęcenia. Bogów należało ugłaskać, bogów danej chwili - tych, które przydawały furii Kilauea gejzerami płonącej lawy albo tych, którzy smagali biczem furii cały świat i traktowali te rzędy ciał jako przekąskę, jak swoją rację bytu, dowód na to, że w ogóle istnieją. Ostatnio poznawał historię. Wprawiała go w wielki smutek.

Spojrzał przez krawędź, na porośnięte jeżynami strome zbocze aż za Bazą Kosmiczną w Hickam. Na samym końcu widział zamglony Kaena Point, szarą plamę na linii widnokregu, świętą ziemię, do której, jak wierzyli Hawajczycy, odchodziły dusze. Błękitny Pacyfik niestrudzenie pieścił plaże w Ewa, Nanakuli, Makaha.

Spotęgowany upałem aromat imbiru i czosnku unosił się coraz wyżej. Ktoś przygotowywał obiad w jednym z malutkich drewnianych domów, które stały stłoczone w dole, na stromym zboczu. Mieszkali w nich niemówiący po angielsku Azjaci. Cen pragnął, żeby bogowie nie istnieli, ale wiedział, że będą istnieli zawsze, choćby w ukryciu. Ich przerażające grymasy i rozdziawione mordy z rzędami psich zębów być może zostały oddane wdzięczniej w innych kulturach, ale Cen pomyślał, że ich polinezyjskie wyobrażenie jest w ostatecznym rozrachunku chyba najuczciwsze. Daj im wszystko, czego chcą, wepchnij im żarcie do gęb, trzymaj ich z dala od własnego karku.

Co do niego, miał boginię, której uprzejmość wspaniale kontrastowała z

okrucieństwem wieków spędzonych na zaspokajaniu chciwości Wzgórza Poświęcenia.

Westchnął i zaczął schodzić.

*

Siedząc obok Rossa w cichym, powolnym, elektrycznym jeepie, Cen skręcił na rozwidleniu drogi, która miała ich doprowadzić do Haleiwa, sennego miasteczka, które musieli minąć po drodze do North Shore.

Droga była czarną dwupasmówką: wysokie złociste trawy dookoła z rzadka pstrzyła jakaś zielona, wyginająca się trzcina, pozostałość dawnych czasów, a równiny, które opadały ku błękitnemu morzu, były usiane zadrzewionymi pagórkami. Po lewej stronie, suche Góry Waianae wyginały się nad przełęczą, gdzie dawno temu doszło do spotkania strumieni lawy. Po prawej stronie znajdowały się Góry Koolau zwieńczone obłokami.

Według prawa niczego nie wolno tu było zmieniać - turyści mieli oglądać pierwotne, nieskażone Hawaje.

Oczywiście dopóki nie zjawiała się IS z pomysłem, jak tę okolicę wykorzystać.

- Czy o tej porze roku nie jest już za późno? - zagadnął Cen.

Po twarzy Rossa przemknął uśmiech.

Był osobiście błady. Ostatnio za dużo spał.

- Coś musi być ze mną nie w porządku - powiedział teraz.

- Tak. Może powinienes więcej jeść. Zachowywać się trochę rozsądniej. Może dzisiaj powinienes po prostu posiedzieć na plaży.

- Nie - odparł Ross. - Jeśli chodzi o pływanie po falach, jestem w tym naprawdę dobry. Nie rozumiesz. Najlepszy będzie dla mnie porządny wysiłek fizyczny. Wiesz, ludzie w moim wieku przeważnie mają za sobą dwadzieścia lat małżeństwa. Dave i John, Will i Ben...

- Nie wydają się najszcześliwszymi ludźmi na świecie - zauważył Cen. Ostatnimi czasy Ross sprawiał wrażenie, iż bardzo ubolewa nad życiem, jakie prowadzi.

- No cóż, w takim razie może powinni mi sprawdzić sekwencje. Jestem zmęczony takim życiem. Jestem zmęczony tym, że ludzie nienawidzą mnie bez wyraźnego powodu.

Cen wzruszył ramionami.

- To twoje życie - powiedział.

- Zgadza się - odparł Ross. - To moje życie.

Zatrzymali się w Haleiwa na espresso. Słońce świeciło mocniej. Na werandzie małego sklepu łopotały czerwone, zielone i żółte latawce, a wraz z nimi rzędy podkoszulek na wieszakach. Ross podszedł do następnych drzwi i oglądał kostium surfingowy.

- Naprawdę poprawili dzęty na tych nowych modelach - stwierdził.

- To głupi sport - odparł Cen. - Ja tam zawsze wolę pocziwą starą deskę. Nawet nie chcę myśleć, jak zabawiasz się z hektolitrami wody w ten sposób. Chcę powiedzieć, że od trzech lat nawet nie *surfowałem*. Przestałem po tym, jak zobaczyłem śmierć Kino. Po czymś takim człowiek po prostu się załamuje.

Ross wyjrzał na smaganą wiatrem zatokę. Zacisnął szczęki.

- Chodź się przejść po wybrzeżu - powiedział.

Kiedy zaparkowali wóz w Waimea, Cen poczuł ulgę.

- Wywiesili ostrzegawcze flagi. Nie wypuszczą cię. - Wyjął z walizki kubek z piwem i lodem. - Ale dzień jest cudowny, prawda?

- Surferów wypuszczają - rzekł Ross z urazą w głosie.

Ludzie balansowali na deskach, tworząc miniaturowy rząd w oddali, jakieś pół mili w głąb zatoki. Ilekroć nadchodziła fala, na moment znikali z pola widzenia.

- To idiotyzm wypływać w tych warunkach - stwierdził Cen. - Moim zdaniem te fale są wysokie na co najmniej siedem metrów.

Zobaczył, że Ross zerka na swój błyszczący, zielony kostium w przezroczystym opakowaniu, owinięty wokół aerodynamicznie mocnych płetw, i na zestaw rurek biegnących do lśniącej maski.

Kostium za pomocą dżetów sprężał wodę i wypuszczał ją strumieniem, którym zdolny zawodnik potrafił subtelnie sterować lekko napinając rozmaite mięśnie, tak jak surfer płynął wprost na szybko nadciągającą falę, nieznacznie zmieniając układ ciała. To była zaawansowana forma bodysurfingu. Dzieciaki korzystały z kostiumów w stojącej wodzie albo na małych falach. Ludzie tacy jak Ross poszukiwali coraz większych wyzwań. Dokonywali zdumiewających wyczynów akrobatycznych, przedzierając się przez spiętrzoną masę wodną po to, by zaznać rozkoszy mistrzostwa.

Teraz wiatr od lądu rozpryskiwał kropelki wody z czubków fal i spychał je na pełne morze jak delikatne białe proporce.

- Założę się, że niektórzy z tych surfujących idiotów już niedługo zasygnalizują, że potrzebują helikoptera - powiedział Cen. - Nie chciałbym być w ich skórze. - Szeroka złocista plaża, która opadała stromo do miejsca, gdzie potężne fale zasysały brzeg, roiała się od gapiów.

- Taki piękny dzień - narzekał Ross. Zabrali maty i kubek z lodem i przeszli obok stanowiska ratowniczego, z którego trzech ratowników nerwowo obserwowało przybrzeżną falę za pomocą lornetek, trzymając krótkofalówki w pogotowiu.

Pili piwo przez jakieś dwie godziny. Cen czytał, ale Ross wciąż w milczeniu

przyglądał się fali. W końcu Cen zasnął. Obudził się słysząc, jak Ross zerwał się z miejsca.

- Ściągnęli flagę - powiedział Ross.

- No i? - zagadnął Cen.

Rossa już nie było.

Cen patrzył, jak dziesięć minut później Ross podchodzi w kostiumie do fali jakieś ćwierć mili dalej. Idiota, mruknął pod nosem. Poderwał się i zbiegł po szerokim, złocistym zboczu skąpanym w głębokiej, wzbierającej fali, której przyciąganie nawet w tym miejscu było tak silne, że Cen z trudem utrzymał się na nogach. Ratownik zagwizdał na nich obu. Ross tylko uśmiechnął się, pomachał i rzucił się do wody. Zanurkował i Cen spoglądał w to miejsce z niepokojem. Po chwili Ross wynurzył się spod wody i pomachał ręką, a następnie odwrócił się i zaczął unosić na falach jak zielona rybka w głębokim błękitnym morzu. Śmignął w poprzek wysokiej, przezroczystej fali, zanim uderzyła, i w końcu przykucnął na stopach i rękach. Wstał w momencie, gdy biały grzebień fali dogonił jego twarz. Potem, pochyliwszy głowę, wykonał cudowny potrójny obrót, przyciągając rękami kolana do klatki piersiowej.

Cen obejrzał się i zobaczył, że temu pokazowi przygląda się całkiem spory tłumek.

Ross popisывał się swoją szczytową formą przez czterdzieści minut. Kiedy zaczął ujeżdżać trzecią gigantyczną falę, Cen poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, gdyż jego przyjaciel zniknął pod głębokim, wzburzonym grzywaczem, który był jeszcze gwałtowniejszy, niż ten z Sandy Beach, znany surferom jako Pyskał.

A potem ujrzał zielony kostium.

Przedarł się do fali i pozwolił jej ponieść się wprost do Rossa. Pomógł mu stanąć i, słaniając się na nogach, weszli na plażę.

Ross ściągnął maskę i padł na plecy, ciężko dysząc i zanosząc się śmiechem.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Cen.

- A jak ci się wydaje?

Cen rozejrzał się po wybrzeżu. Cypel Kaena Point był stalowo szary, zasłaniały go chmury, które nadciągnęły wraz z deszczem. Poczul w kościach grozę zimowego morza. Miał wrażenie, że sączy się do jego umysłu niczym seria niekończących się fał.

- To wyglądało... cudownie - powiedział. - Pomogę ci zdjąć kostium. Chyba nie powinieneś więcej wychodzić aż do lata.

- Lato! A więc postanowione! - roześmiał się Ross.

Wyszedł znowu w następnym tygodniu, i jeszcze w następnym. Raz Cen nie zgodził się na wspólny wypad i czuł się podle, przez cały dzień czekając na powrót Rossa. Wiedział,

że nie powinien się zamartwiać. Ross był mistrzem.

Kiedy w końcu umarł, to nie z braku mistrzowskiej klasy.

Policja zbadała jego kostium i odkryła zatkany dżet. To wyjaśniło, dlaczego stracił kontrolę w kluczowym momencie naporu olbrzymiej fali i runął pod zwałem wody, która złamała mu kark. Uznano ten incydent za „przypadkową śmierć”.

*

Sprawy Rossa były w takim nieładzie, że Cen wiedział, iż nie było tu mowy o zamiarach samobójczych.

Kiedy wszystkie formalności zostały załatwione, dom oddano siostrze z Kauai, o której istnieniu Cen nawet nie wiedział. Osobiście zjawiła się, żeby objąć dom w posiadanie. Złotowłosa kobieta o zasznurowanych wargach miała ciemną opaleniznę i niewiele do powiedzenia Cenowi.

- Daję ci tydzień na zabranie rzeczy - oznajmiła. - W przyszły wtorek zjawią się tu ludzie z firmy produkującej urządzenia do rozpoznawania głosu, żeby zmienić zamki.

Do zdobycia licencjatu nauk ścisłych zabrakło Cenowi raptem kilku miesięcy, ale przerwał studia.

Coraz częściej jeździł koleją magnetyczną do Makaha. Raz szukał nawet początku szlaku gdzieś w górze, ale nie mógł go znaleźć.

Początkowo był zdziwiony, że zaczął zachodzić do Pantheon, starego baru blisko domu, w którym kiedyś mieszkał z Mei. Nie przejmował się specjalnie tym, że zaczął popijać, ani tym, że pił za dużo, ani nawet tym, że często urywał mu się film.

Ale kiedy zdarzyło mu się, że obudził się na początku szlaku, tuż poniżej Pali. Świtało. Przypominał sobie jak przez mgłę, że poprzedniego wieczoru podwieszono go aż tutaj.

Był zamroczony. Schował się w rosnącym kilka metrów dalej gąszczu, zdjął ubranie i moczył się w zimnym strumieniu, aż zupełnie zdrętwiał. Ubrał się, zerknął na szlak i przeszedł jakieś ćwierć mili. Ale ośladnął nim dziwny, mroczny strach i przystanął, jakby wyrósł przed nim mur. Oszołomiony i pokryty potem, pomimo iż poranne powietrze było chłodne, zawrócił z płaczem.

Tego wieczoru znowu znalazł się w barze, gdzie ściskał swoje czwarte piwo. Uporczywy ból głowy przeszedł już po drugim piwie. Właśnie rozważał nowe wirtualne pomysły, podczas gdy jakiś turysta dawał koszmarny występ na sprzęcie karaoke. Na scenie migotały projekcje wirtualne trzech naturalnej wielkości Tahitańczyków. Dwie kobiety, które ich uaktywniły, siedziały roześmiane obok Cena, z ogromną stertą żetonów. Cen popatrzył na

żetony i westchnął. Zapowiadał się wyjątkowo długi wieczór.

Ktoś po jego drugiej stronie zapytał:

- Kupić ci piwo?

Cen wzruszył ramionami. Potem zerknął na mężczyznę, przyjrzał mu się dokładniej, doszedł do wniosku, że to musi być ktoś z IS, i w końcu powiedział:

- Nie, dziękuję.

Mężczyzna i tak je zamówił i postawił przy łokciu Cena.

- Wiesz, kim jestem - powiedział. Miał wygoloną głowę i nienaturalnie schludny, zadbany wygląd.

- Nie jestem zainteresowany - odparł Cen.

- Posłuchaj - rzekł mężczyzna. - Naprawdę nie możesz przepuścić takiej okazji.

- Zobaczymy, czy nie przepuszczę.

- Zapłacimy ci za doktorat. Wszędzie. Gdziekolwiek sobie zażyczysz.

- Uczciwa stawka za mózg? - zapytał Cen. Ale i tak serce mu podskoczyło.

- Posłuchaj - powiedział mężczyzna i Cen widział, że jego rozmówca czyni duże wysiłki, żeby się opanować. - Twój przyjaciel Ross trzymał nas na dystans naprawdę długo. W gruncie rzeczy nie wiesz o nas aż tak dużo, ale my naprawdę możemy ci pomóc. Rób swoją karierę. Uwierz mi, on był cholernie uparty, jeśli chodzi o twoją pracę. Nic nie chciał nam powiedzieć, a potem sprowadził tę prawniczkę do naszej sprawy, ale...

- Co? - głos Cena przerodził się w szept. - Jak to, nic nie chciał wam powiedzieć? O czym? Jaka prawniczka?

- Uspokój się. Wiesz, o czym mówię. Twoja matematyka. On był najbardziej upartą osobą na świecie...

Nawet nie patrząc na faceta, Cen przesunął rękę i pchnął mu piwo na kolana.

Odepchnął taboret. Przeszedł po ciemnej drewnianej podłodze, widząc uśmiechnięte twarze. Dlaczego u diabła, tak się uśmiechali? Co tu było do śmiechu?

Czyżby Ross umarł za niego?

Czekał niecierpliwie na stacji Aloha Tower na kolej magnetyczną do Kailua. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi przed sobą Kaiulani w jednej z tych białych sukienek.

- Ty też zostaw mnie w spokoju - powiedział i wszedł do pociągu.

Oparł się na fotelu, czując okropne mdłości. Kiedy skończy się ten koszmar? Kiedy zniknie ta straszliwa czerń? Dlaczego to, co wiedział, każda zwariowana hipoteza na temat parametrów tego, co określał mianem problemów Kaiulani, mogło interesować kogokolwiek oprócz niego samego? To wszystko było absurdalne jak szaleństwo dzieciaka, który pali za

dużo *pakalolo*. Dlaczego Ross - dobry, życzliwy, inteligentny Ross - musiał stać się ofiarą?

Jego gwałtowne szlochanie odbijało się echem w pustym wagonie.

Wysiadł na stacji Nuuanu Pali i przeszedł sto metrów po stronie Kailua. Między drzewami znalazł początek szlaku. Był wąski, nieoznakowany, zarośnięty i ledwo widoczny.

Ale wiedział, że to jest właściwy początek.

Dziwił się, że tak długo o nim nie pamiętał. Ukląkł, wsadził głowę w zimny, wartki strumień, a kiedy ją podniósł, jego umysł był całkowicie, aż do bólu oczyszczony. Nie był tak czysty od wielu lat.

Miał dziesięć lat i jego matka szła przed nim bardzo szybko.

Cen zrobił jeden krok, potem drugi. Niebawem zaczął iść w dobrym tempie.

Krocząc tak, wszystko sobie przypominał.

*

Ulewny deszcz pojawił się na nawietrzną stronę Oahu i nagle zaczął bębnić o liście lasu *koa*, gdy tymczasem Cen wraz z matką kontynuował wspinaczkę. Porywisty wiatr sprawiał, że malec kulił się z zimna, ale nie spuszczał oka ze śliskich skał na szlaku.

Ulewa minęła szybko, zostawiając chłód w powietrzu i zapach wilgotnej ziemi.

- Kiedy dojdziemy, mamó? - zapytał Cen, ciężko dysząc.

Szła przed nim, szczupła w spodniach khaki z przeceny. Zawiązała bawełnianą koszulę na przedzie, skóra między szortami i koszulą była brązowa. Długie, czarne włosy były rozpuszczone i poruszały się z każdym podmuchem wiatru. Kilka mokrych pasemek przylepiło się do jej pleców. Wydawało się, że nie usłyszała jego pytania.

- Robi się późno - powiedział nieco głośniejszym głosem. Nogi go bolały, ale ona zaczęła iść jeszcze szybciej. - Tata nie będzie się niepokoił?

Potknęła się, powiedziała „Cholera” i kroczyła dalej.

- Nie, słodki *kukui*, nie będzie się niepokoił.

Ale Cen wiedział, że często ze sobą walczyli i niemal co noc krzyczeli, kiedy on kładł się spać. Czasami, po kilku piwach, tata bił mamę. W każdym razie Cen był tego pewien, bo skąd by miała te siniaki? Tata rzucił też malowanie, chociaż kiedyś sprzedawał swoje obrazy do małych galerii w Honolulu. Przestał malować, odkąd jakaś haolska krytyczka wyśmiała go w prasie, nazywając „prymitywnym Hawajczykiem”, i odstraszyła ludzi od inwestowania w jego sztukę. Cen przyglądał się ojcu, który podpalił tę gazetę i rzucił ją w powietrze. Poczul strach, kiedy wiatr uniósł ją ku niebu, tak że wyglądała jak widmo, które zbiegło i zamieniło się w popiół, zahaczywszy o liście bananowców.

- Nie musimy iść - powiedział. - Robi mi się zimno. - Nie miał pojęcia, co zamierzała.

Wybrała wąski szlak, który rozwidlał się na lewo. Cen chwycił w przelocie dojrzałą żółtą guawę, wgrzyzł się w słodki, różowy miąższ i zaczął żuć nasiona. Zerwał jeszcze jeden owoc.

- Nie objadaj się nimi, Century - rzuciła matka przez ramię. Tylko ona zwracała się do niego, używając jego pełnego imienia.

- Rozchorujesz się. - Jakim cudem wiedziała, co robił?

Szli po wietrzejącej, ostrej krawędzi szczytu mniej więcej milę. Cena ogarnął strach, że się poślizgnie, spadnie na dno głębokiej zielonej doliny. Strzępki obłoków unosiły się gdzieś w połowie fasady niemal pionowej grani, którą mieli przed sobą. Porastał ją gęsty, intensywnie zielony deszczowy las.

Skoncentrował się na oddychaniu i na tym, co widział w dole. Próbował panować nad sobą.

Dolina za Nuuanu Pali była zatłoczona. Lokalne drogi żłobiły malutkie, czarne rowki między kwadratami zwykłej białej zabudowy, gdzie mieszkali pracownicy Interspace i mieszkał on sam. Niebieskie dachówki łąpały słońce obok Jeziora Enchanted, gdzie mieszkali bogaci kierownicy Interspace.

Nie taka straszna. Piękna. Interesująca.

Ścieżka obniżyła się i niebawem weszli na polanę.

Znajdowali się zaledwie kilkadziesiąt metrów poniżej czubka grani. Cen doszedł do wniosku, że to za sprawą deszczu wciąż szemrze mały wodospad, tworząc rozlewisko wśród skał. Podmuch zimnego powietrza na moment zmienił kierunek wody, ale niebawem wszystko wróciło do normy.

- Znowu są tutaj - stwierdziła matka.

- Co takiego? - zagadnął, ale jego pytanie zagłuszył szum wody podmywającej kamienie.

Cen wgramolił się za nią do wąskiego, śliskiego wgłębienia za wodospadem. Woń chłodnej, mokrej skały mieszała się z zapachami wilgotnej ziemi. Chwytał się skały dokładnie w tych miejscach, co jego matka, przerażony, że spadnie i rozbije się o płytkie rozlewisko w dole.

Zdażył się skaleczyć w kilku miejscach, kiedy matka dotarła do wąskiego występu, usiadła na piętach i odsunęła podłużną, kamienną płytę, wysoką na jakieś trzydzieści centymetrów. Włożyła obie ręce do zagłębienia i ciągnęła z całych sił. Po chwili światło dzienne ujrzał długi, wąski tobołek.

Postawiła go między nimi.

Był zawinięty w kruszącą się tkaninę *tapa* robioną z moczonych i ubijanych włókien kory. Jej długie, brązowe palce rozsypały gruzelkowate pnącze i bardzo ostrożnie odwinęły sukno.

Cen wstrzymał oddech.

- Kości? - zagadnął.

- Śmiało, dotknij ich - powiedziała. - Po mnie będziesz ostatnią osobą, która wie, gdzie one są.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Czy to *ludzkie* kości?

- To kości króla Kamehameha - odparła.

Dotknął ich. Były chropowate i poźółkłe. Czuł pustkę i oszołomienie. Dziwnie było pomyśleć, że kiedyś otaczało je ciało i krew.

- Dlaczego to *ty* je masz? - zapytał. Oczywiście wiedział z genealogicznej pieśni, że był po kądzieli potomkiem Kamehameha. Czasami, kiedy ojciec wrzeszczał na matkę, Cen słyszał słowo „księżniczka”, a potem śmiech, jakby to był dowcip.

- Twój dziadek był kahuną, kapłanem - powiedziała jego matka. - Przynajmniej jedna osoba cały czas znała tę tajemnicę. Te kości mają wielką *mana*, wielką moc. Przynajmniej wtedy tak myślano. - Uśmiechnęła się lekko i spojrzała na syna. - Nadal tak się uważa - powiedziała. - Ktoś musi wiedzieć. Później.

W milczeniu zawijała kości w *tapa*. Tobolek sięgał jej do pasa. Ten człowiek musiał być gigantem. Jego kości gruchotały, wydając głuchy dźwięk. Cen zauważył, że starała się nie gnieść już i tak mocno sfatygowanej *tapa*, bo za każdym razem, gdy jej się to nie udawało, materiał, który wyglądał jak cienki brązowy papier pokryty malutkimi, precyzyjnymi wzorami geometrycznymi, rwał się na strzępy.

Ponownie owinęła tobolek starą winoroślą i zawiązała go, a potem wepchnęła do długiej, ciemnej dziury, zasunęła otwór wysokim kamieniem i podparła go kilkoma odłamkami skalnymi. Intensywna zieleń paproci, które zasłaniały to miejsce, kontrastowała z mrokiem lasu.

- To wszystko - powiedziała.

Powrót do początku szlaku, gdzie zostawili samochód, trwał długo, ale ona była cicha jak zawsze.

- Co chcesz, żebyśmy z nimi zrobił, po co mi je pokazałaś? - pytał kilka razy. Ona odparła tylko:

- To święty obowiązek.

Jego ojciec był w malutkiej kuchni, kiedy Cen otworzył rozsuwane drzwi. Mrucząc coś pod nosem, stukał słoikami w lodówce, aż wyciągnął piwo. Kiedy trzasnął drzwiami lodówki, obrazek królowej Liliuokalani, starej Hawajki o królewskim obliczu, który mama trzymała na ścianie, aż podskoczył.

- Cześć - powiedział Cen i uśmiechnął się. Czasami było to skuteczne.

Dzisiaj nie zadziało.

- Tylko mi tu nie wyskakuj z jakimś „cześć” - warknął stary mężczyzna. - Chcę się dowiedzieć, gdzie jest moja kolacja. Gdzie was nosiło, do cholery?

- Poszliśmy na spacer - odparła stojąca tuż za nim matka. - Nie martw się, trzeba to tylko podgrzać. - Odgarnęła włosy, włączyła mikrofalówkę i wyjęła talerze z kredensu.

- Spacer, akurat - rzekł, opierając się o framugę drzwi. - Masz tu całkiem niezły układ. Musisz tylko gotować i sprzątać, i od czasu do czasu rozchyłać nogi. Raz na miesiąc, jeśli mam fart, a ty masz ochotę. Podczas gdy ja codziennie naprawiam te pieprzone roboty. - Przechylił butelkę i opróżnił ją do połowy. Cen zastanawiał się, czy powinien iść do swojego pokoju, czy w ogóle wyjść z domu.

- Kiedyś pracowałam - powiedziała jego matka, tak cicho, że Cen ledwo ją słyszał. - Zanim Interspace sprowadziła japońskich nauczycieli dla Japończyków, koreańskich nauczycieli dla Koreańczyków, czeskich nauczycieli dla Czechów. Zawsze zapominasz, że ty nie musiałeś pracować przez lata. I zdajesz się nie pamiętać, że to ja wysłałam cię do technikum i doprowadziłam do tego, że *dostałeś* pracę. W przeciwnym razie zajmowałbyś się tylko surfowaniem i malowaniem, i żyłbyś z mojej nauczycielskiej pensji. Ha! Czy tylko ja jedna mam dobrą pamięć? - Odwróciła się do niego, z pałeczkami do ryżu naszykowanymi jak broń. Uniosła podbródek. Oczy bardzo jej pociemniały.

- Na pewno świetnie jest być kimś tak dobrym i inteligentnym - odciął się ojciec.

Cen poczuł coś dziwnego w brzuchu. Zawsze zaczynało się tak samo.

Może gdyby po prostu zachował się normalnie, dał upust emocjom, spróbował zażartować, przestaliby. Podszedł do kredensu i wyjął szklankę. Ale nie przychodziło mu do głowy nic śmiesznego. Zawsze kiedy rodzice walczyli, miał wrażenie, że w jego mózgu tworzy się blokada.

Cen podskoczył, kiedy ojciec trzasnął drzwiczkami kredensu, których nie zamknęła matka.

- W każdym razie pewno ci się wydaje, że to zrobiłaś. Może to i dobrze, że nie masz pracy. Wydawałaś wszystkie zarobione przez siebie pieniądze, posyłając tego leniwego dzieciaka do super szkoły. - Mówił coraz głośniejsze. - Ja nie widzę, żeby wyszło mu to na

dobrze. Jest dosyć tępy, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nic nadzwyczajnego. To mały chuligan. Widziałaś, z kim się zadaje? I już pali *pakalolo*.

- Ciekawe, skąd je bierze - odparła matka, stawiając danie na stole z osobliwą ostrożnością.

Chłód w jej głosie zmroził Cena do szpiku kości. Nie mógł zaprzeczyć, że pali *pakalolo*. Wyjął zimną butelkę soku i zaczął napełniać szklankę, którą postawił na ladzie.

- A w ogóle to po co go uczysz tych hawajskich głupot, tych starych przesądów? - ciągnął ojciec, niskim, zgrzytliwym głosem. - Są nieprzydatne, bez względu na to, co będzie robił. Spójrz prawdzie w oczy. To zły dzieciak.

Cen miał przez chwilę wizję szkieletu Kamehameha. „Stare przesady”. Tata wściekłby się nie na żarty, gdyby znał prawdziwy powód, dla którego kolacja się opóźniła. Zdenerwowany, obrócił się zbyt szybko, wyrzucił łokciem o ladę i próbował złapać przewracającą się butelkę z sokiem.

Rozbiła się o podłogę.

- Ty głupi gnoju!

Cen wybiegł w deszcz, kuląc się przed podniesioną ręką ojca.

Płakał, biegnąc drogą w kierunku plaży. Zaciśnął pięści. Mokre, śliskie sandały *zori* klaskały o jego stopy. Miał zaledwie dziesięć lat, ale był dość wysoki jak na swój wiek, a jego ojciec był tylko małym palantem, złośliwym piwo Primo codziennie po pracy i wszczynającym awantury.

Kiedy dotarł do parku na plaży, cieszył się, że deszcz odstraszył wszystkich innych ludzi. Zanurkował w ciepłe, małe fale i wypłynął dalej, położył się na plecach i mocno poruszał nogami, wpatrzony w czarną dziurę w górach na drugim brzegu zatoki, skąd miała wyjeżdżać kolej magnetyczna. Kołysał się na łagodnych wybrzuszeniach, czuł na twarzy kropelki deszczu. Słona woda wdzieriała mu się do ust, smakowała jak lzy.

Zmierzchało już, gdy zaczął się zbierać do powrotu, dlatego dygotał w mokrym stroju. O tej porze tata już na pewno był nieprzytomny, a matka siedziała w kuchni i czytała.

Ale w miarę jak zbliżał się do domu, słyszał coraz głośniejsze wrzaski.

Trawa, po której stapał, była szorstka i słona. Cen wszedł na szary pustak pod kuchennym oknem i zajrzał przez szparę w rolcie.

Matka stała przy drzwiach salonu obok kuchennego stołu. Szklany pojemnik był wypełniony resztkami z kolacji - były tam grudki ryżu, butelka po sosie sojowym, kilka pojedynczych pasków *bok choy* i fasoli szparagowej. Wiatraczek wypychał powietrze, w którym Cen wyczuł czosnek i piwo.

- Przez wszystkie te lata pracowałem. - To był ojciec. Matka zaśmiała się gorzko, ale tata zignorował ją. - Dokładnie tak. Płaciłem za tego małego bękarta i za ciebie.

- Nie nazywaj go bękartem. Jest twoim synem i jest *alii*.

- Stara gadka. Obudź się. Teraz to nic nie znaczy. Nic. Mniej niż nic. Myślałem, że znaczy, ale myliłem się. Uważasz, że skoro wywodzisz się z rodu kahunów, robi to jakąś różnicę? Och, wybacz, kahunów *papa alii* - dorzucił ironicznie. - Kahunów wodzów, kahunów *królewskich*. Tak blisko spowinowaconych z Kamehameha. - Potem w jego głosie pojawił się ton pogroźki. - I co z tego? Jakie to ma znaczenie? Jesteś głupia jak but. Dlaczego pakujesz mu do łba te gusła?

Zaśmiała się cicho, ale w śmiechu było coś, co sprawiło, że Cenowi przeszły ciarki po plecach. A może desperacja w jej oczach, którą Cen widział nawet z dużej odległości.

- To ma znaczenie. To znaczy wszystko.

We fluorescencyjnym świetle jej twarz wyglądała inaczej. Wydawała się starsza, dostojniejsza. Długie, czarne włosy matki okalały zacięte oblicze wojownika, pomyślał Cen. Była to twarz kogoś, kogo nie znał. Jej ręka na stole dygotała.

- Jesteś nienormalna - powiedział ojciec. - Zrujnowałaś mi życie tymi hawajskimi bzdurami.

- Kiedyś w nie wierzyłeś - odparła. - Kiedy byliśmy młodzi. Pamiętasz? Wierzyliśmy *razem*. Dopóki nie zacząłeś pić...

- Jasne, akurat, wina jest zawsze po mojej stronie, prawda? - Cen nie widział twarzy ojca, ale znał ten szydery grymas - podwiniętą wargę, przerażające zimne oczy. - Mam dosyć twojego szczekania!

Pchnął ją dłonią i uderzył w twarz tak mocno, że dźwięk niósł się jeszcze w ciszy wieczoru.

Wezwij policję, powiedział jakiś głos w głowie Cena, ale nie był w stanie oddychać. Próbował krzyczeć, ale gardło miał tak ściśnięte, że wydał tylko niski, ochryply szloch.

- Przestań - powiedziała zadyszczonym głosem. - Przestań, ostrzegam cię, mam już tego dość!

Zamiast jej usłuchać, zrobił krok w jej kierunku.

Patrzyła na niego. Twarz miała wykrzywioną, ciekły po niej łzy. Szukała czegoś w kieszeni fartucha.

Drżącą ręką wyciągnęła matowo czarny pistolet, który przechowywali w szufladzie serwantki.

- Nie! - krzyknął Cen.

Zeskoczył i rzucił się do frontu domu. Biegając, usiłował głośno wołać o pomoc, miał bowiem nadzieję, że ich rosyjscy sąsiedzi go usłyszą i że zrozumieją, co się dzieje, ale jego głos brzmiał obco, jakby należał do kogoś innego.

Przedarł się przez rozsuwane drzwi i podbiegł do walczących rodziców. Skoczył ojcu na plecy, wrzeszcząc i bijąc go pięściami, a potem zmienił pozycję i sięgnął po broń.

Udało mu się złapać czyjąś rękę, ale nie wiedział, do kogo należała. W każdym razie zaczął nią mocno potrząsać, żeby wyrwać pistolet.

Ktoś wykręcił mu ramię. Kiedy myślał, że mu odpadło, rozległ się huk strzału.

Jego ojciec ryknął. Odwrócił się i walnął go jedną ręką tak mocno, że Cen przeleciał przez pokój, wyrznął w krawędź stołu i stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, poczuł piekielny ból głowy i całego ciała. Bolała go zwłaszcza ręka. Dotknął jej w najbardziej piekącym miejscu i poczuł lepkość.

Gwałtownie się wyprostował.

Matka leżała zgięta na podłodze. Na ścianie wokół jej głowy było widać rozbryzganą aureolę krwi.

Usiadł i zwymiotował na posadzkę, potem zaś oparł się o kredens. Był wyczerpany. Nie patrzył na swoją matkę, tylko na wzór płytek podłogowych - białe, przecinane różowymi liniami, które tworzyły romby. Na jednym z nich zakrzepła kałuża krwi. Zaczął śledzić wąski, kręty szlaczek czerwieni, który do niej prowadził.

Potem zgarbił się i objął kolana.

Zastanawiał się, dlaczego czuje taki spokój, i gdzie jest jego ojciec. Może myślał, że Cen też nie żyje. Może wróci, żeby się upewnić. Cen uznał, że powinien uciekać, i to natychmiast.

Ale jeszcze nie był w stanie dźwignąć się na nogi. Poczł lekkie, powolne drzenie w ciele, które po chwili ustąpiło, jakby to był tylko nagły dreszcz.

Wreszcie powstał, czując gęsią skórę, i odkręcił kurek. Przez dłuższą chwilę patrzył na wodę, próbując przypomnieć sobie, co chciał zrobić. Muskał strumień wody jednym palcem.

Powoli obmył piekące miejsce na głowie i twarz, aż czerwone kropelki przestały wirować po białej porcelanie.

Z twarzą ociekającą wodą sięgnął po blaszaną puszkę matki, stojącą na parapecie. Trzymała w niej trochę pieniędzy i kilka drobiazgów. Wyjrzał przez okno.

Nie było powodu, żeby wzywać policję. Teraz i tak nie byliby w stanie niczego zrobić.

Nagle przypomniał sobie o chłodnym pistolecie i uświadomił sobie, że nawet nie wie,

czy broń wciąż tu jest, i że zupełnie o to nie dba.

Odwrócił się i patrzył uważnie tylko na wyszczerbioną, niebieską gałkę drzwi. Dom wypełniły nocne odgłosy. Obszarpane bananowce za oknem hałasowały na wietrze, jakby padał na nie deszcz. Wyciągnął lewą rękę i zgasił światło nad zlewem, wciąż wpatrzony w gałkę.

Podszedł do drzwi przyciskając, puszkę do piersi.

*

- Niech cię diabli, Kaiulani - powiedział Cen. Bolały go nogi. Oderwał wzrok od szlaku i rozglądał się dookoła. Był wysoko na górze. Nawet nie pamiętał, jak tutaj dotarł. Zimna, mglista bryza mierzwiła czubki drzew. Podniósł rękę i otarł twarz. Była mokra po ostatniej krótkiej ulewie. Albo od łez.

Zadygotał. Czuł ból w klatce piersiowej. Zaczął iść, ale miał wrażenie, że ma ołów w nogach. Brnął do góry, wiedząc.

Wiedząc, że zabił swoją matkę.

I wiedząc, że Kaiulani nie istnieje naprawdę.

Nie była nawet duchem. Całkowicie ją wymyślił, być może na podstawie historii opowiadanych mu przez matkę albo tego, czego nauczył się w szkole tak dawno temu. Czyż ludzie nie robili takich rzeczy: czyż nie mieli rozszczepionych osobowości, nie halucynowali?

A i te kości też nie musiały być prawdziwe. Zmyślił je, tak jak zmyślił Kaiulani, żeby poprawić sobie samopoczucie, żeby mieć choć jedną dobrą rzecz w życiu. Przecież nie mógł wierzyć w coś, co wydawało mu się, że pamięta, prawda? Chciał się roześmiać, ale wiatr zagłuszył ochryply dźwięk, jaki wydostał się z gardła. Zabawne, jak jego umysł potrafił przeinaczać to, co się działo dookoła. Tak, cholernie zabawne.

Tylko że ta krew była prawdziwa, a on zabił swoją matkę.

Tylko to, co mówił mu ojciec - że nie jest *alii*, że to nie ma znaczenia - tylko to było prawdą. Zmyślił tę historyjkę o szkielecie i przywiązał się do niej, żeby nie myśleć o prawdzie. Cały świat zamienił w widmo, żeby nie pamiętać. Ta góra, ten łagodny deszcz, słodki zapach ukrytych kwiatów dżungli - wszystko było urojeniem jak stare Hawaje. Nierealne jak cel podróży, który sobie wyobrażał, albo wszystkie jego zwariowane koncepcje czasu i przestrzeni. Kiedy był dzieciakiem, biegał po tych górach jak dziki kozioł z gangami przyjaciół. Bawili się w Hawajczyka, Wodzów, Dawne Dni. To tłumaczyło, dlaczego wiedział o istnieniu tego szlaku, który zresztą nie prowadził do niczego nadzwyczajnego. Pora wracać. Do rzeczywistości.

Kiedy minął zakręt, zatrzymał się.

Delikatny wodospad spływał po wysokiej skale i pienił się obficie w małym rozlewisku. Na czarnej skale kwitły, jak w bajce, białe kwiaty.

Miał ochotę odwrócić się i biec.

Zobaczył lśniąca zasłonę, którą z łatwością mógłby rozedrzeć. Wszystko zamieniłoby się w popiół, gdyby ośmielił się patrzeć zbyt intensywnie, znikłaby delikatna i efemeryczna pułapka piękna, zastawiona przez ciemność, która zdawała się szydzić z tego, czym Cen był w rzeczywistości: mordercą.

Uświadomił sobie, że jednak coś pamięta. Z jakiegoś powodu. Do tego miejsca mógł przychodzić nocą, kiedy budził się zły potem po krwawych snach. Gdyby odważył się zapuścić dalej, czy zniósłby utratę tej pociechy, to przekonanie, że jednak jest *kimś*?

Dlaczego nie?

Właściwie równie dobrze mógłby utracić wszystko naraz.

Przeszedł przez polanę i oparł się o mokry kamień, przywarł do niego całym ciałem, uniósł ręce.

Wsuwał palce do zagłębień, które zdawały się wyciągać ku nim. Poruszał się jak pająk po skale.

Skala była prawdziwa. Czuł ją. Zupełnie tak, jak czuł chłodną stal pistoletu na moment przed tym, jak zastrzelił matkę. Gdyby tylko nie mocował się z nimi...

Osunął się po skale, przytulił do płaskiego występu i zapłakał.

Zobaczył ojca siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na *lanai*. Malował i przeklinał, kiedy kwiaty mimozy zaśmiecały powietrze niczym różowe motyle i osiadały na jego dziele. Przypomniawszy sobie, z jaką dumą ojciec pokazywał pieniądze matce, niejednym razem, ale przez wiele lat. Cen poczuł ciemność i alkohol, do których uciekł ojciec, kiedy ta ważna krytyczka z Nowego Jorku wyśmiała malarza i jego hawajskość, chociaż jego żona stwierdziła, że jej zarzuty są bzdurne.

Wrażliwy mężczyzna, uświadomił sobie Cen, wtulając mokry policzek w szorstką ławę. Zgorzkniały człowiek, rozdarty między wyidealizowanym przez żonę obrazem starych Hawajów, swoimi artystycznymi marzeniami i koniecznością życia w teraźniejszości, którą tworzyli haole i zmieniające się czasy. Alkohol i niewiedza zabiły jego matkę.

- Nie ja - wyszeptał. Zdał sobie sprawę, że to właśnie ta ciemność czaiła się w ukryciu, gotowa do skoku. Nie strach, że ojciec go odnajdzie. Gdyby był w stanie pomyśleć o tym na trzeźwo, może uświadomiłby sobie, że jego ojciec wiedział, iż został słusznie obwiniony, i dlatego zniknął.

Nie. Cen bał się, że w ogólnym ferworze broń wypaliła z jego winy.

Ustalenie, jak było naprawdę, wydawało się niemożliwe.

- Nie ja! - krzyknął, a jego krzyk rozniósł się echem po małej polanie i przetoczył przez górę do spowitego mgłą wilgotnego lasu.

Cen sięgnął zapalczywie do następnego wgłębienia w skale.

- Nieprawdziwe? - mruknął, dysząc. - Tylko duch? Tylko głupi przesąd? Przekonamy się, tatusiu. Przekonamy się.

Podniecenie i strach napełniały go jak trzepot małych kolibrów w żołądku, kiedy wyciągnął rękę do półki. Duży odłamek skalny zgrzytał, kiedy Cen ciągnął go po kamiennym występie. Wodospad huczał mu w uszach. Ręce drżały, gdy odepchnął kamienną płytę i sięgnął do środka.

- *Alii* - szepnęła i wyciągnęła szorstkie zawiniątko.

Ostatnią osobą, która go dotykała, była jego matka.

Cen osunął się bezwładnie na skałę i przyciągnął nogi do klatki piersiowej. Zadowolenie napełniło go jak światło. Krztusił się ze śmiechu i trząsał się pod wpływem łez.

- Miałaś rację, księżniczko Victorio Kaiulani. Wiedziałem.

Czuł, jakby była przy nim, jakby go obserwowała.

Ale czy to była Kaiulani?

Może to była jego matka.

Może teraz będzie spoczywała w spokoju.

Rozwinął stare sukno *tapa* i odsłonił kości, które prześladowały go w dziecięcych snach.

Czas stał się dla niego tak płynny, wykraczał poza wszystko, co był w stanie pojąć. Całe minuty, a może i godziny stał, ściskając kości kurczowo jak ktoś, kto chwycił się ostatniej - albo pierwszej - nitki rzeczywistości.

Może czuł emanującą z nich moc po prostu dlatego, że były prawdziwe. Może działało się tak dlatego, że go uprawomocniały, czyniły silnym jak nigdy przedtem. Przeszłość wślizgiwała się za nim, jakby stanowiła alternatywę: przeszłość, której tak bardzo starał się nie dostrzegać. Może tak bardzo, że przyprawiła go o szaleństwo.

Nie. Po raz pierwszy pomyślał, że tak się nie stało.

Po raz pierwszy w życiu czuł się całkowicie rzeczywisty.

*

Powiedział ludziom z IS, że chce studiować w Londynie. Nie był zaskoczony, kiedy powiedzieli, że nie ma problemu, i wszystko mu ułatwili. Wiedział, że będzie grał w niebezpieczną grę. Ale nie przejmował się tym.

Wiedział tylko, że jest teraz odpowiedzialny za wiele osób. Za matkę. Rossa. Babkę Maui. Prosiła o te kości, ale Cen uznał, że powinny spoczywać w spokoju i zostawił je w starym miejscu.

Wiedział coś jeszcze. Musiał jeszcze raz odnaleźć Kaiulani. Odnaleźć i ocalić. Może nawet w końcu będzie w stanie spełnić jej dziecięcą zachciankę i sprawi, że Kaiulani zobaczy te kości, dotknie ich.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób. Po prostu dokona tego. Wiedział, że zobaczy ją w Anglii. Był tego pewien.

Szalony? Nie.

Teraz był całością. Wszystko było możliwe.

LYNN

Azja 2034

10

Każde szarpnięcie pociągu przegubowego powodowało dziwnie przytłumiony ból w nodze Lynn. Miała wrażenie, że trwa to w nieskończoność, a potem szarpnięcia wstrząsały całym jej ciałem. „Obudź się!” usłyszała w swoim śnie. „Musimy tutaj wysiąść!”

To budzenie nie podobało jej się, gdyż potęgowało ból. Przewróciła się na bok, żeby uciec od koszmarne snu, ale ktoś ściągnął ją z koi wraz z prześcieradłem, które brutalnie rzucono na podłogę.

- Podtrzymuj ją, dobrze? - ktoś syknął obok jej ucha, kiedy znowu opadła bezwładnie na twardą koję. Zamrugła powiekami, gdyż wąski snop światła latarki uchwycił część twarzy Akamu, i nagle całkowicie się przebudziła. Akamu niezdarnie objął ją ramieniem i uspokoił.

- Nic mi nie jest - szepnęła. Poczowała mdłości i oblała się potem. - Chodźmy.

Pociąg zadygotał i przystanął z sykiem. Lynn wyciągnęła rękę i chwyciła się metalowego drążka. W przyćmionym świetle ujrzała chuderlawego Hawkinsa, który miał na sobie zieloną kurtkę z mnóstwem wypchanych kieszeni. Schylił się i podniósł duży wyplatany kosz z poplamionej podłogi. Lynn nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Była noc. Światła za oknem były rozmieszczone nieregularnie, ukazując iluzyjną gmatwaninę kształtów i krętą, brukowaną ulicę, gdzie jarzyły się przyćmione latarnie.

- Chodź - powiedział Hawkins i otworzył drzwi ich przedziału. Szli między rzędami drzemiących ludzi. Potknęła się o druciane pudło z dwoma kurczakami, które przebudziły się, gdacząc. Z haków w górze zwisały kosze wypełnione odzieżą i pakunki. Wszędzie poutykane były zawiniątka. Jedna kobieta, z włosami ściągniętymi do tyłu i związanymi wstążką, patrzyła na nich spode łba.

Lynn próbowała zapomnieć o bólu w nodze i o tym, że chciałaby zażyć więcej opium. Hawkins dotknął przycisku umożliwiającego wyjście na peron i maszyna zazgrzytała. Drzwi zacięły się w połowie, ale mieli dość miejsca, by wyjść z pociągu na chłodne, nocne

powietrze, które całkowicie obudziło Lynn. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, jakby były zadowolone, że pozbyły się pasażerów. Nigdy w życiu nie widziała równie zniszczonego taboru. Z pewnością nie przypominał nowoczesnych kolei, którymi dojeżdżała do szykownych, bogatych miast Obrzeża Pacyfiku, gdzie zazwyczaj robiła interesy.

Kiedy Lynn zeszła na peron, opierała się na Akamu znacznie mocniej, niż zamierzała, gdyż wiedziała, że w każdej chwili może się zachwiać. Żałowała, że nie może się udać do kliniki, ale jeśli rzeczywiście była na liście osób najbardziej poszukiwanych, jak utrzymywał Hawkins - choćby nawet wydawało się to nieprawdopodobne - mogliby ją zidentyfikować po kropelce krwi.

Dlatego Lynn zacisnęła zęby, gdy musiała oprzeć ciężar ciała na bolącej nodze. Była na siebie zła za to, że jest taka bezradna. Była uzależniona od starego mężczyzny i od chłopca, a w dodatku nie mogła się porozumiewać z nikim innym.

- Tak będzie dobrze, posadź ją - usłyszała, jak Hawkins komenderuje Akamu, przekrzykując wibrację kolei, podczas gdy chłopak prowadził ją po betonowym peronie do ławki pod ścianą. Cienki skrawek nieba między okapem stacji i pociągiem był usiany gwiazdami. Zadygotała i przekonała się, że z jej ust bucha para. Nienawidziła zimna!

Hawkins szybko podszedł do wagonu i powiedział coś, czego nie zrozumiała, do stojącego tam mężczyzny. Spojrzał na niego z nachmurzoną miną, a potem pogrzebał w kieszeni i wręczył mu coś. Mężczyzna skinął głową i chwycił się metalowej poręczy obok stopni wagonu, po czym wskoczył na podest i pociąg odjechał. Jakiś ruch przykuł uwagę Lynn. Ktoś podniósł roletę i patrzył na nich przez okno. Ta sama kobieta, która gapiała się na nich, gdy szli między rzędami pasażerów.

- Hawkins - powiedziała.

- Nie zwracaj na nią uwagi - odparł lakonicznie. Rozejrzał się po pustym peronie. - Nic nie mów.

Potem pociąg zniknął i zobaczyła miasto wyraźniej.

Po drugiej stronie torów znajdowało się zbiorowisko domów z cegły i drewna, stłoczonych niemal tak, jakby tworzyły zwartą zabudowę. Niektóre liczyły po cztery piętra, inne nawet sześć. Ich okna były małe i ciemne. Stragany na ulicach, na których piętrzyły się rozmaite towary, sąsiadowały ze stolikami wróżbitów podświetlającymi twarze pochylonych klientów. Lynn nie wiedziała, która jest godzina, ale chyba jeszcze nie wybiła północ. Nie była pewna, jak duże jest to miasto. Z miejsca, w którym się znajdowała, sprawiało raczej wrażenie małego. I starego - ludzie mieszkali tu chyba od niepamiętnych czasów. Poruszyła się nerwowo i rozejrzała dookoła. Tamta kobieta w pociągu... Niewykluczone, że już

przesłała komuś wiadomość.

- Co oni tam robią? - szepnął Akamu.

Hawkins przeszedł się tam i z powrotem po pustym peronie, nerwowo oglądając się na wszystkie strony.

- Wróżbici - wyszeptała w odpowiedzi. Jak na ulicach Chinatown w Honolulu - szylkret, monety - aczkolwiek teraz oparte na chaosie algorytmy generowały pęknięcia w holograficznej żółwiej skorupie albo układzie holograficznych łądźek krwawnika, które pokazywały się, gdy klient zapłacił za aktywację programu. Każdego wieczoru wróżbici przeważnie zanosili lekkie stoliki do parku u stóp Nuuanu i mieli duże obroty aż do późnej nocy. Była trochę zaskoczona pytaniem Akamu. Oznaczało, że prawdopodobnie nie opuszczał zbyt często swoich czterech ścian.

Z drugiej strony, wielu ludzi z „prowincji” nie miało odwagi pojechać do Honolulu.

Podsłuchiwała, słysząc ryk silnika zmieniającego biegi, a potem z mroku nocy wyłoniły się dwa jasne przednie światła. W ich blasku zauważyła ulgę malującą się na twarzy Hawkinsa.

Furgonetka przejeżdżała obok stacji i Lynn ogarnęło nieracjonalne rozczarowanie. Gdyby nie знаła siebie dobrze, powiedziałaaby, że zaraz się rozplacze. Nie mogła nic zrobić i to ją najbardziej przerażało. Próbowwała uspokoić się w ten sam sposób, co zwykle: obserwowała swój oddech, nie białe obłoczki pary, ale wewnętrzną ścieżkę oddychania, które kursowało wzdłuż kręgosłupa niby płynne złoto. Beznamiętnie patrzyła na swoje otoczenie: długie, czarne cienie dwóch latarni ulicznych za torami, zielony znak, zapewne z nazwą stacji, w języku chińskim. Co było na nim napisane? Zmrużyła oczy. Chińskie *kanji* wyglądały tak samo jak znaki japońskie, ale czasami znaczyły coś innego. Poczowała dojmujący smutek, gdy przypomniała sobie, że planowała intensywną naukę języków dla małej Masa. Ona sama nie miała talentu do języków obcych i z tego powodu zawsze czuła się głupio. No cóż, ten ideogram chyba oznaczał w języku japońskim dom, a liczba 2723 odnosiła się zapewne do miejscowej populacji. A może chodziło o wzniesienie? Jakiś stary człowiek i młoda kobieta po drugiej stronie torów naradzali się przez minutę. Kobieta zawzięcie gestykulowała, zaś stary mężczyzna tylko wzruszał ramionami. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a potem przysunęła składane krzeselka do stolika wróżbity.

Po odjeździe kolei powietrze było rześkie, relaksujące. Lynn próbowała sobie przypomnieć podróż, lecz pamiętała tylko intensywne kolory i to, że życie wydawało się cudowne pomimo takich drobiazgów jak poronienie, odniesienie ran i konieczność salwowania się ucieczką. Świetna sprawa, to opium. Dotknęła czoła - było rozpalone: czyżby

miała gorączkę? Przypomniała sobie, jak matka śmiała się z niej dawno temu: „Kochanie, sama nie rozpoznasz”.

Po jakichś pięciu minutach Hawkins dał im znak. Usiłowała wstać sama. Akamu złapał ją, zanim zdążyła upaść.

- Cholera - powiedziała. Dostrzegła zasępioną minę Hawkinsa i zasłoniła ręką usta. Miał rację. Im rzadziej ludzie słyszeli ich mówiących po angielsku, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że zostaną zlokalizowani.

Poczłapała na tyły stacji, wsparta o ramię Akamu. Kiedy znaleźli się za rogiem, poczuła ulgę. Zobaczyła dużą, starą furgonetkę, która czekała na nich z wygaszonymi światłami.

Hawkins popatrzył w obie strony i przywołał ich gestem ręki. Podniósł Lynn i wepchnął ją na fotel obok kierowcy. Miejsca starczyło dla wszystkich czworga, i kiedy Hawkins wypowiedział jakieś słowo po chińsku, szofer wrzucił bieg i wóz mozolnie potoczył się w noc.

Znajdowali się na mocno ubitej szosie i sunęli w tempie mniej więcej czterdziestu kilometrów na godzinę. Tak przynajmniej domyślała się Lynn, bo prędkościomierz zapalał się tylko wtedy, gdy pokonywali jakieś wybrzuszenie. Pokazywał się wówczas pusty ekran mapy satelitarnej, ustawiony pod dogodnym dla kierowcy kątem, naznaczony wypalonymi czarnymi punktami i częściowo zaśmiecony niedopałkami papierosów. Furgonetka była niezła jakieś dwadzieścia pięć lat temu, ale teraz ledwie zipała.

Ale wciąż dało się nią jeździć.

Kierowca był Chińczykiem. Zerknął na Lynn jeden raz, ale nie była w stanie stwierdzić, jak zareagował na jej oczywisty japoński rodowód. Poczowała się jeszcze bardziej bezradna. Wrogość między Chińczykami i Japończykami trwała od wieków i była niezwykle silna - ona sama była od niej wolna, ale któż mógł wiedzieć, jakie nastroje panowały tutaj? Nosił spłaszczony kapelusz z wąskim rondem i nie był tak stary jak Hawkins, ale starszy od niej. Miał na sobie coś w rodzaju kurtki roboczej i ciężkie, sznurowane buty, które były ubłocone.

On i Hawkins wymienili jeszcze kilka słów. Lynn zerknęła na Hawkinsa, pokazała swoje usta i uniosła brwi. Lekko potrząsnęła głową.

Kiedy zostawili za sobą miasteczko, tylko nieustanny ból w nodze nie pozwalał jej zasnąć. Hawkins sięgnął do kieszeni i podał jej nad śpiącym Akamu pakiet z plastrem. Chciała go zapytać, co to takiego, i spojrzała na ów przedmiot. Nie chciała brać kolejnej dawki środków przeciwbólowych, nawet gdyby zaproponowano jej opium - już i tak była

nieźle oszołomiona. Jednak z pewnością przydałby jej się jakiś antybiotyk. Przechyliła głowę w pytającym geście. On wtulił głowę w ręce i zamknął oczy. Pokręciła głową i wsunęła pakiet do kieszeni. Hawkins wzruszył ramionami.

Prawie uśmiechnęła się na myśl o wszystkich rzeczach, bez których się obywatela - nawet o nieważnym szczególe w postaci okularów przeciwsłonecznych, który wydawał się w tym otoczeniu czymś magicznym. Właściwie, która była godzina, do diabła? Jak ludzie mogli żyć w taki sposób? Ciężarówka rzeziła, jakby za chwilę miała się rozpaść. Lynn wsunęła ręce do rękawów i zatęskniła za ogrzewaniem. Kierowca zerknął na nią i pociągnął gałkę przy tablicy rozdzielczej. Została mu w rękawiczce i spadła na podłogę, na której walały się stare gazety i puste butelki. Strumień gorącego powietrza owionął jej twarz. Próbowwała się pochylić i odszukać gałkę, ale mężczyzna dotknął jej ramienia, potrząsnął głową, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Droga Mleczna jaśniała niezwykle intensywnym blaskiem, niezagrożona światłami wielkich miast. Zresztą, nie było widać żadnej łuny, która mogłaby świadczyć o bliskości miasta. Lynn zerknęła na Akamu, pomyślała o wyrafinowanym fiacie, który mu kupiła. Czy wciąż go miał? Może korzystając z niego, uzyskałaby jakąś informację na temat tego, gdzie się znajdują, gdyby Hawkins nie zechciał jej tego powiedzieć. Prawdopodobnie w komputerze były jakieś rozkłady jazdy pociągów. Jakieś programy geograficzne.

Odgarnęła splątane i przetłuszczone włosy do tyłu. Jak długo była nieprzytomna? Od jak dawna jechali? Pomyślała o tabletkach nasennych i zastanawiała się, czy musiała je zażyć - może Hawkinsowi po prostu było wygodnie ich użyć? I jak odnalazł Akamu? Czy Hawkins był po prostu przyjacielem jej ojca i miał na względzie tylko jej dobro? A może jego zadanie polegało na ocaleniu życia Akamu, żeby mogła go wykorzystać IS? Ale w jakim celu? Czyż IS nie usiłowała zabić Akamu kilka dni temu?

I kogo jeszcze?

Uświadomiła sobie, że chociaż było to najoczywistsze wyjaśnienie, nie jest do końca przekonana. Nie miała żadnych dowodów. Wierząc, że to jedyna możliwość, ograniczała samą siebie, a przez to ograniczała ich szanse przeżycia. *Ktoś* próbował go zabić, *ktoś*, prawdopodobnie, chociaż nie wiadomo, czy na pewno, próbował zabić też ją w Hongkongu. Mniej więcej tyle wiedziała. Do tego dochodziła mieszanka ewentualnych motywów. Nie знаła motywów Hawkinsa i nie miała pojęcia, czy kontaktował się z jej ojcem. A jeśli Hawkins miał jakiś układ z jej ojcem, czy ten ostatni przekazywał informacje IS, czy nie? Właściwie najlepiej byłoby, w miarę możliwości, pozbyć się Hawkinsa.

Poruszyła się, próbując ulżyć bolącej nodze. Teraz oblał ją pot. Z pewnością miała

gorączkę. I umierała z głodu. W co się wpakowała, do diabła? Nana z pewnością by się z niej śmiała...

Kierowali się na północ, ponieważ na widnokregu po prawej stronie robiło się jaśniej.

Wprawdzie droga biegła po pozbawionej charakterystycznych cech równinie, ale Lynn zobaczyła w oddali ciemne kontury gór. Zerknęła na Hawkinsa. Był pogrążony we śnie. Dokąd ich zabierał? I w jakim celu?

Wschód słońca był wspaniały, lecz bardzo różny od świtu w tropikach. Wydawało się, że trwa całe wieki. Zabarwiał widnokrąg blaskiem olśniewającej żółci, która z jakiegoś powodu przypominała jej dawno nieżyjącą matkę. Lynn była zaskoczona. Dzisiaj pomyślała o matce już drugi raz, a przecież nie myślała o niej od wielu lat. Widocznie zaczynała majaczyć. Żółć robiła się intensywniejsza przez dziesięć długich minut, aż wreszcie poróżnowiała, gdy wynurzyło się słońce - oślepiający jaskrawością pomarańczowy skrawek. Na wschodzie było pogodnie, ale czyste, błękitne niebo już rozdzierała wysoko położona, ciemna chmura.

Z kieszeni na drzwiach kierowca wyciągnął termos i otworzył go. W kabinie rozniósł się delikatny aromat gorącej, zielonej herbaty. Lynn zaburczało w żołądku. Pociągnęła łyk z ofiarowanego jej termosu. Kierowca podał jej także zatłuszczoną, wygniecioną torebkę, którą otworzyła. W środku były jej ulubione paszteciki z czarną fasolą. Uśmiechnęła się do mężczyzny, wzięła jeden i ugryzła kęs słodkiego, kleistego ciasta. Wspaniale. Dość węglowodanów na cały dzień, który i tak mieli spędzić w furgonetce. Śpiący obok Akamu poruszył się. Pomyślała, że zaraz się obudzi, ale on znowu ułożył się do snu. Kilka razy gwałtownie podnosiła głowę, aż w końcu i ona zasnęła.

*

Kiedy gwałtowne szarpnięcie obudziło Lynn, poczuła przerażenie. Zobaczyła, że wjeżdżają do zaniedbanej wioski składającej się z rzędu... jurt? Tak, to były jurty. Przetarła oczy. Czy to było możliwe? Jurty i... flagi modlitewne.

Akamu był całkowicie rozbudzony i wpatrywał się w tę scenę wielkimi, brązowymi oczami. Hawkins pochylił się do przodu, przytrzymując się oburącz sfatygowanej tablicy. Obserwował wszystko uważnie, z zapalem.

Czuła się jak dziecko w karnawale, porwane w szalony wir kolorów. Patrzyła jak oniemiała na milion flag modlitewnych, rozciągniętych między jurtami niczym opalizujące, jedwabiste tęcze, i łopoczących na wolno stojących słupach. Skutek zażycia opium był taki, że kolory wydawały się intensywne i cudowne, ale jakby odległe. Lynn nawet to się podobało, tylko że wciąż odczuwała ból, a podskakiwanie wozu na pełnej kolein i pokrytej

zaschniętym błotem drodze z pewnością nie ułatwiało jej życia.

Na małym wzgórzu po jej prawej stronie, na lśniącym fundamencie z gładkiego, beżowego tworzywa, znajdowała się kopuła geodezyjna. Bładozielone heksagony błyszcząły jak opalizujące szkło, a u zbiegu podpór były przytwierdzone małe talerze satelitarne. Ścieżka wśród krótko przystrzyżonych, złocistych traw prowadziła wprost do kopuły.

Z podwójnego rzędu może dziesięciu jurt, które tworzyły coś w rodzaju drogi, wyłonili się ludzie, którzy pokazywali sobie przybyszów palcami i machali do nich. Za nimi, przedzielona trawiastą równiną, znajdowała się wioska, a ściślej krótki rząd dwu i trzypiętrowych budynków, które lśniły białością w promieniach południowego słońca.

A nad tymi budynkami, równie dziwna jak wielki, biały wieloryb wylegujący się na stoku góry, widniała starożytna świątynia. Wyłaniała się z klifu, jakby była w nim wyrzeźbiona, a jej liczne połączane dachy zdawały się emanować energią. Lynn potrzebowała sporo czasu, żeby objąć ją wzrokiem, gdyż miała zaiste gigantyczne rozmiary, stanowiąc dziedzictwo epoki, w której lamowie rządili Tybetem dzięki egzotycznej mieszance buddyzmu, zabobonów i niekwestionowanej władzy. Wydawała się równie imponująca, jak obrazy Potalaoma w Lhasie, jej archetyp tybetańskiej architektury. Tu i ówdzie wystawały z niej szerokie werandy, a rzędy wysokich, ciemnych okien, które wyglądały jak prostokątne, wklęsłe oczy jakiegoś wielkiego i potężnego boga, tworzyły poziome linie na fasadzie świątyni.

Światło słoneczne biegło wzdłuż linii elektrycznych w wiosce, ale te linie nie docierały do jurt. Kiedy furgonetka gwałtownie przystanęła, Lynn zobaczyła, że dachy jurt miały wbudowane komórki fotoelektryczne.

Wreszcie furgonetka zatrzymała się na dobre. Kierowca wyskoczył z kabiny, zostawiając drzwi otwarte, i w tej nowej ciszy miało się wrażenie, że flagi modlitewne są jeszcze bardziej natarczywe, zaś suche powietrze wypełniały krzyki podnieconych dzieci. Poszedł do tylnej części wozu. Lynn wyjrzała przez małe, lepiące się z brudu okno i zobaczyła gigantyczne, wyplatane kosze, pełne błyszczących, czerwonych jabłek oraz z wyglądu twardych zielonych owoców czy warzyw, których nie potrafiła rozpoznać, a także liczne pojemniki z pokrywkami i kilka dużych pudeł kartonowych. Za tym wszystkim dostrzegła jeszcze małą stertę drewna i płyt pilśniowych.

Kierowca wyciągnął kilka lin, poruszając zamasyście rękami do tyłu. Hawkins szarpnął klamkę i napał ramieniem na drzwiczki, aż w końcu się otworzyły. Wysiadł i przeciągnął się. Z kopuły wyłoniło się dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Podeszli do kierowcy, żeby mu pomóc. Wszyscy wyglądali na Chińczyków. Kobieta i jeden z mężczyzn

mieli na sobie zachodnią odzież. Drugi z mężczyzn nosił pikowaną, jedwabną kurtkę.

- Myślę, że jesteśmy w Tybecie - powiedział Akamu. - Rozpracowałem kilka wektorów w pociągu. - Na jego twarzy nie było już widać przygnębienia ani dezorientacji, tylko ekstatyczną fascynację i całkowitą otwartość. On chce się uczyć, Lynn pomyślała z podziwem. Inne dzieciaki byłyby raczej wystraszone i potrzebowałyby wsparcia, lecz on odczuwał podniecenie. Zrobiło jej się żal tego inteligentnego, dziwnego chłopca. Co musiał czuć, wiedząc, że ktoś usiłował go zabić? No cóż, chyba dzielnie sobie z tym radził.

- Tybet? Czy Tybet istnieje? - Ależ oczywiście musi istnieć - przecież Hawkins powiedział, że właśnie tam się udają. Lynn uświadomiła sobie, że ma gorączkę. Była osłabiona i wszystko, co widziała, było oślepiająco jasne. To etap tuż przed śmiercią, powiedziała sobie ironicznie.

Ale kiedy wyjrzała przez okno, zły nastrój minął. Wiatr wiejący przez furgonetkę był zimny, ale wprawiał Lynn w wesołość. Rzeczywiście, chyba znajdowali się na wysokim płaskowyżu. Błękitne góry umykały w dół, ku odległej równinie za ich plecami. Przed sobą mieli ścianę bezładnych szczytów w kolorze brązu i bieli. Widocznie była tak wyczerpana, że spała, kiedy furgonetka z trudem pięła się na tę wysokość. Problemy związane z Interspace, z braćmi, a nawet jej własna obsesja na punkcie kolekcjonowania DNA sławnych ludzi, wydawały się odległe. Przynajmniej w tej ulotnej, ponadczasowej chwili. Podniosła rękę i pomacała koleczyk. Wciąż tam był. Próba zdobycia go miała być podstępem tuszującym ucieczkę z Akamu. Według Hawkinsa to właśnie dlatego byli śledzeni.

Zastanawiała się nad tym.

- No cóż, *Tybetańczycy* sądzą, że Tybet istnieje - powiedział Akamu, tonem sugerującym, że uważa ją za całkowicie niedoinformowaną i musi ją przywołać do teraźniejszości. - Jak Hawajczycy, którzy nadal domagają się praw i własności, które nam zabrano. Sądzę, że to może być mylące. Tybet niemal odzyskał swój status suwerennego państwa podczas Szczytu Sojuszu Obrzeża Pacyfiku w 2007 roku. Ale Chiny wycofały się z sojuszu przed zakończeniem negocjacji. W każdym razie, myślę, że jesteśmy właśnie w Tybecie. Dziś rano przejechaliśmy przez dwie wioski i wydawało mi się, że ich nazwy były w języku tybetańskim. Stary Hawkins jest małomówny. Nie chciał odpowiedzieć na żadne z moich pytań. Przynajmniej pozwolił mi zachować mojego fiata. Patrz, mam tu przemówienie Dalajlamy, ostatnie, jakie wygłosił przed śmiercią - ale są też *inni* lamowie - wyciągnął swój podręczny komputer.

- Wierzę ci - powiedziała. - Na razie lepiej go odłóż. - Znowu przekonywała się, że czegoś nie wie. Takich drobiazgów, jak na przykład historia świata. Jakie to było

zniechęcające. Wiedziało się tak dużo, a jednocześnie tak mało. Człowiek był taki ograniczony. Westchnęła i zamknęła oczy. Jej uporczywa wizja ludzkości, która radośnie wchodzi w przyszłość, gdzie wiedza i połączenia mogą być poszerzane w nieskończoność, skurczyła się do rozmiarów małej, odosobnionej kropki. Potem Tybet pod jej powiekami przeistaczał się z malutkiego kraju na mapie w człowieka, który wstał i nadepnął na tę kropkę. Otworzyła oczy gwałtownie.

Akamu wepchnął fiata z powrotem do żółto-fioletowego plecaka i zaczął iść w kierunku jurty. Przyjrzała mu się uważniej. Plecak i kurtka były nowe. Popatrzyła na siebie. Jej ubranie też było nowe. Wcześniej nawet nie zwróciła na to uwagi.

- Jaki dziś dzień? - zapytała, lecz on był zbyt daleko, żeby ją usłyszeć.

Lynn energicznie wysiadła z furgonetki i zaczęła iść za dziwnym korowodem wąską, krętą, zakurzoną drogą - krępy Akamu w za dużej zielonej kurtce, ściskający swoje komputerowe skarby w torbie, chudy, tajemniczy Hawkins o niejasnych motywach, i jeszcze trzy potężne, czarne, szczekające mastiffy. Ale podskakiwanie sunących szybko psów przyprawiło ją o mdłości, a olśniewająca intensywność błękitu nieba przytłoczyła ją tak bardzo, że upadła. Albo zemdląła.

Jedno z dwóch, pomyślała w chwilę później, czując pieczenie zdartych rąk i dzwonięcie w głowie, podczas gdy kropki, które widziała, znowu zmieniały się w dziwne jurty. Zmartwiona, usiłowała wstać i poczuła na sobie mnóstwo rąk, które chwyciły ją i otrzepywały z kurzu. W powietrzu dało się słyszeć współczujące okrzyki. Akamu wpatrywał się w nią. Przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach się spotkali, uznała, że w jego oczach na pewno jest okazem słabeusza.

Próbując stanąć na nogę, uświadomiła sobie, że po prostu pozwoliła sobie na zbyt wiele, a brak snu i jedzenia oraz ból przyczyniły się do jej fatalnego samopoczucia.

- Pomóż mi, jeśli nie masz nic przeciwko temu - warknęła w stronę Akamu i poczuła zawstydzenie, gdyż on nawet nie uśmiechnął się zgrzyliwie, tylko podszedł z poważną miną i wziął ją pod ramię.

- W ten sposób? - zapytał.

- Tak będzie dobrze - odparła, przekonując się z ulgą, że Hawkins, który odwrócił głowę i patrzył na całe zajście, nie wydaje się zaniepokojony tym, iż rozmawiają ze sobą. - Dzięki.

Hawkins zniknął w drzwiach jurty w pobliżu kopuły, a potem wyłonił się, prowadząc wysoką, chudą Tybetankę, ubraną w dzinsy i kurtkę w piękne, szerokie, żółte i czerwone pasy. Jej długie, skórzane buty były ciemne, miękkie, z futrzanym obszyciem i porządnie

znoszone. Długie, rozpuszczone, czarne włosy kobiety rozwiewał wiatr. Podchodząc do niej, Lynn miała wręcz wrażenie, że ich furkoczące pasma zaczną łopotać jak flagi modlitewne, żeby sprostać ogromowi energii i inteligencji, którą Lynn dostrzegła w jej twarzy i oczach. Nieznajoma wyciągnęła rękę do Lynn.

- Witaj - powiedziała. - Nazywam się Sattva. Chodź, to się rozejrzemy.

Miała w sobie spokojną władczość. Z jakiegoś powodu Lynn natychmiast jej zaufała w tym dziwnym natłoku zdarzeń, ludzi i miejsc, w który nagle się zanurzyła. Czuła się nieważna, lekka jak widmo. A może po prostu miała zawroty głowy, powiedziała sobie, kulejąc na stoku, podtrzymywana przez Akamu.

Wielkie czarne psy szczekały, a wymyślnie ubrane dzieci obserwowały ich pochód wśród wydłużających się cieni jurty.

Z bliska Lynn zobaczyła, że jurty są bardziej wyrafinowane niż przypuszczała. Z dużej odległości mogło się wydawać, że są wykonane z grubego drewna, lecz w istocie rzeczy ich budulec był przetykany różnymi lśniącościami włóknami. Było to inteligentne szkło o różnorodnych możliwościach komunikacyjnych.

Weszła za Sattvą do czwartej jurty po prawej stronie. Tuż za nimi kroczył Akamu.

Wewnątrz Lynn zastanawiała się, coż to za zabawny zapach unosi się w powietrzu, a potem jej oczy przywykły do przyćmionej, złocistej poświaty, w której były skąpane twarze ludzi siedzących na matach wokół niskiego stołu.

- Lampy maślane - wymamrotał Akamu, który siedział obok niej i rozglądał się dookoła zdumionym, zaciekawionym wzrokiem. Była pewna, że ma taki sam wyraz twarzy. - To stąd ten zapach - dodał.

- Jakie to dziwne - mruknęła.

W migotliwym świetle połyskiwały warstwy lazurowego, żółtego i czerwonego jedwabiu, przetykającego podpory sufitu. Dwie ściany jurty były pokryte zamontowanymi na stałe półkami z grubego drewna. Stały na nich schludne rzędy naczyń i innych sprzętów gospodarstwa domowego. W środkowej części półek, na niskim blacie z wystającą żółtą poduszką, znajdowało się pole holograficzne. Pokazywało tybetańskie litery, które pojawiały się i znikwały płynnie i szybko. Dookoła leżały rozmaite wersje systemu, jaki kupiła dla Akamu w Hongkongu. Były tu nawet egzemplarze dziwnych ergów, które dawały się z łatwością przystosowywać do wygodnego użytku. Zerknęła na Hawkinsa, ale on zgarbił się przy stole i ścisnął w rękę kubek z parującą ciecżą. Był tak zajęty rozmową, że chyba jej nie zauważył.

- Chodź tutaj - powiedziała Sattva. - Po jednej stronie znajdowało się niskie łóżko

przykryte szorstkim kocem. - Zdejmij spodnie.

Lynn obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że grupa ludzi przy stole kilka metrów dalej nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Czym ty się przejmujesz? - pomyślała. Pamiętając, że ostatni raz kąpała się Bóg wie ile dni temu, a w pociągu wytarła się tylko gąbką i szybko wysuszyła, próbowała się schylić i zdjąć nowe adidas. Buty te przyniosły mgliste wspomnienie chwili, w której Hawkins wpadł do ich przedziału, zaraz po odjeździe pociągu z jakiejś stacji, i ciężko dysząc rzucił im naręczę rzeczy.

Sattva szybko uklękła i odpięła paski jej butów.

- Usiądź - powiedziała i Lynn z wdzięcznością opadła na łóżko. Sattva zdjęła jej buty i pomogła ściągnąć dzinsy.

Lynn zobaczyła brzydkie, napuchnięte rozcięcie na prawej łydce, mieniające się sinymi i żółtymi odcieniami.

- Kula? - zagadnęła Sattva, delikatnie wymacując jej łydkę.

Lynn skrzywiła się.

- Tak twierdzi Hawkins.

Sattva wstała i ściągnęła z półki aluminiową miskę. Podeszła do ognia i naląła do miski trochę gotującej się wody z wiszącego nad nim imbryka. Rozdarła jakąś torebkę i wysypała do wody biały proszek, wzięła szmatkę z innej półki, umoczyła ją w wodzie i wyżęła.

- Będzie bolało - ostrzegła Lynn. Miała rację. Wycierała ranę od kuli przez kilka minut. - Powinnaś mieć założone szwy - zauważyła. - Teraz jest już za późno. - Podniosła oczy i uśmiechnęła się do Lynn. - Na pewno będziesz mogła zająć się tą brzydką blizną później. Czy została zeskanowana?

- Nie - odparła Lynn.

- Dobrze. Chodźmy.

- Chodźmy?

- Wstawaj.

Sattva pomogła Lynn wstać, owinęła ją kocem, jakby to była spódnica, i wetknęła jego koniec pod spód. Lynn obserwowała ją z rozbawieniem, odnosząc niejasne wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu.

- Musimy pójść do kopuły - powiedziała Sattva. - Mikhel - dorzuciła, podnosząc głos, i tęgi mężczyzna siedzący z grupą przy okrągłym stole odwrócił głowę. - Dasz radę ją przenieść?

- Mogę iść sama - zaprotestowała Lynn, ale Mikhel podszedł zamaszystym krokiem i

podniósł ją.

- Dam radę - zapewnił Mikhel, podrzucając ją bez trudu. - Ile kilogramów? Pewnie ważysz połowę tego, co ja, hę? - Miał bardzo krótkie brązowe włosy i wielkie, dzikie, błękitne oczy. W jego uszach tkwiły kolczyki o złożonym wzorze geometrycznym.

- Ostatnim razem to było sto dziesięć - oznajmiła Lynn. - Funtów.

Była w dziwnym, poopiumowym stanie. Wspomnienia o ojcu błyskawicznie napłynęły do jej umysłu, kiedy wyszli w przejmująco chłodne popołudnie. Jaki był troskliwy, tak dawno temu! Otaczające ich szczyty zdawały się podskakiwać do wtóru długim krokom Mikhela. Wraz z Sattvą pieli się zakurzoną ścieżką do zielonej kopuły.

Sattva otworzyła im drzwi. Mikhel wniósł Lynn do środka i delikatnie położył ją na długim, płaskim stole skaningowym, który stał z boku. Był zwyczajny, gładki, ot, chłodna płyta o wymiarach 2,5 na 1.

Sattva stała przez chwilę patrząc na panel u podnóża stołu. Nacisnęła kilka klawiszy, które zabuczały.

- Cholera - powiedziała. - Nigdy nie potrafię zapamiętać swojego kodu. - Nacisnęła kolejne klawisze, a potem się uśmiechnęła. - Aktywuj - wydała komendę i czysta rurka wysunęła się z miejsca, w którym była przechowywana. Lynn patrzyła przez nią na pozostałą część kopuły.

W środku właściwie nie było wiele sprzętów. Czarne poduszki leżały przy ścianach w stertach po trzy, cztery. Podłoga składała się z dużych, półprzezroczystych heksagonów, które chyba trochę się uginały. Niska lada biegła po obwodzie kopuły; zobaczyła na niej obiekt, który wyglądał jak aureola, lśniący krąg rozmiarów głowy ludzkiej. Na każdym zawirowaniu samej kopuły znajdował się kryształ. Słońce wyszło zza chmury i rozsiewało malutkie tęcze na ścianach, podłodze i twarzy Sattvy.

- Zeskanuj prawą łydkę - powiedziała Sattva.

Lynn nie tyle usłyszała, ile poczuła subtelną wibrację, a Sattva przesunęła się, żeby obejrzeć hologram, który unosił się obok niej. Lynn widziała go przez przezroczystą rurkę skanującą. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio została poddana procesowi skanowania. Chyba kiedy miała siedem lat i złamała sobie rękę.

- Hm. Trzy iks - powiedziała Sattva.

Lynn zobaczyła, jak plamy żółci, czerwieni i ciemnej zieleni przez chwilę robią się zamazane na skutek powiększenia, a potem nabierają ostrości.

- I co myślisz? - zagaśnieła Sattva.

Mikhel przysunął się do obrazu.

- Czy to połamana kość?

- Tak - odparła Sattva. - Złamanie strzałki. To mała podłużna kość w dolnej części nogi. Zapewne kula tylko ją drasnęła. Widzisz tam jakąś kulę, Mikhel?

- Chyba nie - rzekł Mikhel, wzruszając swoimi szerokimi ramionami i marszcząc brwi. - Nie znam się na tych medycznych bajerach.

- Jest specjalistą od soczewek grawitacyjnych - Sattva powiedziała do Lynn. - Z Moskwy.

- O - zareagowała Lynn.

- Ale sądzę, że właśnie to się stało - kontynuowała Sattva.

- Widzisz? To jest ta mała kość. Nic strasznego, ale prawdopodobnie sprawia ból.

- Rzeczywiście - odparła Lynn. - Dla mnie to *jest* coś strasznego.

- O, na pewno - stwierdziła Sattva. - Wyłącz się. Przezroczyta rurka obróciła się i wróciła na miejsce. Sattva pochyliła się nad Lynn, podparła się rękami, tak że włosy zwisały po obu stronach rudej jak miedź, obdarzonej szerokim nosem twarzy. Lynn dostrzegła na jej obliczu rozbawienie i współczucie - była to dziwna, ale w jakimś sensie stosowna i uspokajająca mina. - Chodzi mi o to, że mam tu trochę lekarstw, które temu zaradzą, jeśli kość nie jest całkiem do niczego. Przekonajmy się...

Sattva wyciągnęła szufladę i przetrząsnęła jej zawartość.

- Mikhel, gdzie... o, już mam. Świetnie, wszystko gotowe. Hm, produkt był ważny do listopada zeszłego roku. Ale pewno nadal jest dobry. Uwielbiam, kiedy to już jest zmieszane i gotowe do użycia. - Trzymała w ręku opakowanie ze strzykawką wypełnioną jakąś białą cieczą. Odwinęła je i zawahała się. - No, i jak?

- To substancja zespalająca, prawda? - zapytała Lynn.

Sattva skinęła głową, marszcząc czoło.

- Wiem, że powinnam to wstrzyknąć, ale... czy muszę dotykać kości igłą? Gdzie jest ta kość? To znaczy, jak mam ją znaleźć bez skanera...?

- Użyli czegoś takiego, żeby naprawić moją złamaną rękę, kiedy byłam dzieckiem - powiedziała Lynn. - Jeśli tylko wstrzykniesz ją w pobliżu uszkodzenia, przemieszcza się do kości i łączy z nią. Potem ulega krystalizacji i likwiduje złamanie.

Sattva ściągnęła zaimprovizowaną spódnicę i przystawiła koniec igły do łydki Lynn, mniej więcej piętnaście centymetrów poniżej jej kolana,

- Na przykład tutaj?

- To chyba właściwe miejsce - rzekła Lynn. - No, to strzelaj. - Aż zasapała z powodu przenikliwego bólu.

- W porządku? - zagadnęła Sattva. - Chyba powinnam była użyć jakiegoś znieczulenia. Przepraszam. - Rzuciła strzykawkę do małego kosza na ladzie. - W każdym razie myślę, że powinnaś mieć ruchomą szynę. To całkowicie stwardnieje za mniej więcej dwanaście godzin. - Odsunęła się i odwróciła do swojej szafki.

- Proszę bardzo. Chcesz trochę opium na...

- Nie! - odparła Lynn. Obróciła się i usiadła. - To znaczy, Hawkins dał mi trochę.

- Dobrze - stwierdziła Sattva. - To najlepszy środek przeciwbólowy, jaki możesz mieć. Nie wiem, skąd go zdobył - Chińczycy są pod tym względem raczej rygorystyczni, jak cały świat, ale to kwestia tradycji. Jeśli człowiek sobie tak postanowi, to raczej się nie uzależni. Jak przestanie cię boleć, damy ci trochę opivertu.

- W porządku - powiedziała Lynn. - Już i tak jestem nieźle zamroczona. Może to już stadium opivertu. Albo tuż po. Potrafisz stwierdzić, czy doszło do zakażenia? Wydaje mi się, że gorączkowałam.

Sattva pomacała ranę.

- Jest chłodna.

- Hawkins zaaplikował mi też antybiotyki.

Sattva nachmurzyła się nieco, a potem powiedziała:

- Mogę pobrać próbkę krwi?

Wzięła jej tylko odrobinę. Przytknęła małą pipetkę do palca Lynn i przyrząd wysłał kropelkę do innego urządzenia na konsolce, które ujawniało się po dotknięciu panelu.

- Ach - odezwała się. - Hawkins mówił, że jesteś z Hongkongu, zgadza się?

Lynn skinęła głową.

Sattva pokazała hologram Ziemi o średnicy mniej więcej 30 centymetrów. Obracał się wolno. Na jego powierzchni rozkwiatały kolory, które rozszerzały się i mieszały z innymi kolorami, te zaś bledły w miarę, jak dochodziło do nowych wybuchów.

- To mapa epidemiologiczna - wyjaśniła Sattva. - Wszelkie informacje o chorobach z każdej klinice w światowym systemie są stale uaktualniane i rozpowszechniane za pośrednictwem satelity. - Hongkong - dorzuciła głośniej.

- Mam coś podobnego do śledzenia mitochondrialnego DNA - powiedziała Lynn.

- Pst - rzekła Sattva, uśmiechając się od ucha do ucha. - Jeszcze nie przyzwyczaiłam tego cacka do swojego głosu. *Hongkong!* - powtórzyła głośniej.

Tym razem kiedy powiedziała to słowo, czerwona kropczka powiększyła się i otoczyła Hongkong.

- Ustaw, dopasuj, odczytaj - brzmiały kolejne komendy Sattvy.

Z małego głośnika w rogu popłynął spokojny kobiecy głos.

- Jest to nowy wirus, który powstał w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, prawdopodobnie biorąc początek w Pekinie. Rzutujemy siedmiomiesięczną trajektorię, która będzie zgodna z oglądaną przez ciebie ścieżką. - Holograficzny glob obracał się powoli. Fioletowe obszary mnożyły się w bardzo szybkim tempie, niekiedy w pozornie nie związanych ze sobą miejscach. - Gorączka, nudności, trwające od pięciu do siedmiu dni. Komplikacje raczej niespotykane u młodych, ogólnie zdrowych ofiar. Zalecany odpoczynek i przyjmowanie dużej ilości płynów.

- Dzięki - powiedziała Sattva. - Wyłącz się.

- Mam wirusa? - zapytała Lynn.

- Na domiar złego, tak. Ale zdaje mi się, że już zginął. Kula, co? Ty i Hawkins będziecie musieli wszystko mi powiedzieć.

- Hm, przecież nie jesteś lekarzem - powiedziała Lynn, podczas gdy Sattva smarowała ranę maścią i bandażowała ją. Zastanawiała się, ile lat może mieć Sattva. Czterdzieści? Czterdzieści pięć? Jej długie czarne włosy były przetykane siwizną. Ale w dzisiejszych czasach trudno było ocenić czyjś wiek. Przy odpowiednich kuracjach nawet osoba osiemdziesięcioletnia mogła tak wyglądać.

- Ani trochę. Szkolenie pierwszego stopnia z ratownictwa górskiego. Wtedy doszłam do wniosku, że nie nadaję się na lekarza. Zamiast tego zajęłam się fizyką cząsteczek - czymś maksymalnie abstrakcyjnym. Jedna z nas jest chirurgiem, ale musiała wracać do domu do Benares ze względu na sprawy rodzinne.

- Więc co tutaj robisz? - zapytała, zerkając na Mikhela. Fizyk cząsteczek i specjalista od soczewek grawitacyjnych?

W bładozielonym świetle zauważyła, że wymienili spojrzenia.

- Co to jest? - Pokazała aureolę.

- No cóż - zwlekał z odpowiedzią Mikhel. Sattva otworzyła jeszcze jedną nisko zamontowaną, szeroką szufladę i Lynn przekonała się, że pełno w niej lekkich szyn - goreteksu z aluminiowymi żeberkami. Przejrzała je.

- Ręka, ręka, nadgarstek - o, proszę. Noga. Spróbujmy średniego rozmiaru. - Odwinęła papier, uklękła i założyła szynę na łydkę Lynn.

- Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz - powiedziała Lynn, ale z jej głosu przebijało rozdrażnienie i nieszczerłość.

- Nie chodzi o to, że... - odezwał się Mikhel.

- Nie chodzi *tylko* o to - rzekła Sattva, stojąc. - Myślę, że ta szyna wystarczy.

- Jesteście czymś w rodzaju sekty religijnej, prawda? - zagadnęła Lynn, coraz bardziej obcesowym tonem. Pomyślała, że to skutek zażytego opium.

Śmiech Sattvy był niemal tak samo tubalny i gardłowy, jak u Mikhela. Byli autentycznie rozbawieni.

- Nie - odparła Sattva. - W każdym razie taką mam nadzieję. Nie tego chcę. Kryształy nie mają nic wspólnego z religią. Kryształowa kratownica jest świetnym materiałem do przechowywania i transmisji.

- Co przechowujecie? Co transmitujecie? - Lynn stłumiła odruchowe ziewanie.

Mikhel wstał z poduszki.

- Aparatura na głowie wychwytuje, skupia, zwielokrotnia i przekazuje impulsy elektryczne z mózgu. I na odwrót - może zostać użyta jak magnetyczny rezonans jądrowy, żeby spowodować magnetyczne wyrównanie cząsteczek w mózgu. A kryształy w kopule wytwarzają stałe pole, które wynosi od dziesięciu do jedenastu herców. - Przesunął się, żeby ją podnieść.

- Ale dlaczego? - zapytała. - To przecież dość niska wartość, nieprawdaż? Ani radio, ani satelita, ani nic w tym rodzaju, zgadza się? - Niewiele wiedziała na ten temat. Mikhel wsunął ręce pod jej nogi i plecy i z łatwością ją podniósł. Kolejny raz poczuła się jak dziecko. Kiedy Sattva otwierała drzwi, odezwała się do Lynn:

- Ta aureola jest tylko próbką, przywiezioną przez kogoś z Hongkongu kilka miesięcy temu. Nam specjalnie się nie przyda. Została zaprojektowana, żeby inicjalizować transmisję impulsów przez mózg do komputera kwantowego. - Roześmiała się. - Benny zapomniał zgarnąć jedną z tych zabawek.

- Czy coś takiego jak komputer kwantowy istnieje? - zapytała Lynn.

- No cóż - rzekł Mikhel. - Wiemy o kilku. Na różnych uniwersytetach na całym świecie. Ale wszystkie różnią się między sobą. Pracowali nad nimi spece od sztucznej inteligencji i te komputery są ponoć niezwykle szybkie, małe i sprytne. I niezbyt stabilne. Ale już nadchodzi ich era. Będą stanowiły następny wielki przełom.

- Hm - odparła Lynn. Ból w jej nodze ustępował. Czowała już tylko jego stłumione pulsowanie. - No, więc po co jest ta kopuła? - zapytała, gdy Mikhel przenosił ją przez drzwi.

Sattva zamknęła drzwi i poszła za nimi.

- Niektórzy wierzyli kiedyś - powiedziała - że dana częstotliwość wpływa na mikrotubule w mózgu i powoduje, że mózg znajduje się w stanie kwantowym niemającym powiązania z materią. W tym czasie funkcja fali ulega stłumieniu. Ci ludzie wierzyli, że to właśnie ów brak powiązania wywołał zjawisko świadomości. Kopuły były jedynie sposobem

subtelnego kontrolowania określonego stanu świadomości. Właściwie są czymś w rodzaju wytworu. Kupiliśmy to od Oxfordu. Zdaje się, że mają ich jeszcze trochę, w jakimś magazynie. Byłam bardzo podniecona tym, że mogę coś takiego zdobyć i na własne oczy zobaczyć, jak to wszystko funkcjonuje. Całkiem interesujące było nawet jej wykonywanie - ot, mnóstwo torebek z proszkiem, który zmieszaliśmy z wodą i jakimiś formami. Bardzo się przydała.

Lynn wydawało się, że temperatura spadła o kilka stopni, kiedy byli wewnątrz - tak jak słońce. Dziwne miejsce. Przynajmniej wiedziała, co to są mikrotubule. We wszystkich komórkach roślinnych i zwierzęcych występował cytoszkielet składający się z mikrotubuli - długich rurek o średnicy wyrażanej w nanometrach.

- Zobaczmy - powiedziała Lynn. - Mikrotubule są zrobione z... tubularnych dimerów, tak? Malutkich, połączonych ze sobą jednostek białkowych w kształcie orzecha.

- Tak - powiedziała Sattva, która szła obok niej. - No cóż, Penrose sugerował, że dimery tubulinowe w istocie kontrolują połączenia synaptyczne mózgu w sposób nieobliczalny - niedający się sprowadzić do reprezentacji matematycznej. Eksperymenty potwierdziły, że dimery tubulame są zdolne do stanu Bosego-Einsteina, nawet w przypadku tak ciepłego medium jak mózg, a to właśnie ma miejsce w nadprzewodnictwie, gdzie pojedynczy stan kwantowy istnieje w dużej liczbie cząsteczek. Mikrotubule są wypełnione specjalnym rodzajem wody, całkowicie czystej.

- Zgadza się - powiedziała Lynn. Teraz wszystko sobie przypominała.

- Kiedy zostaje osiągnięta ta względnie duża koherencja kwantowa - ciągnęła Sattva - dziwne efekty teorii kwantowej, które są prawdziwe w bardzo małej skali, stają się możliwe na skalę większą, określoną rozmiarami mózgu. Zdarzeń kwantowych nie można oddać liczbami - *zmierzyć* - można jednak je *przekazać* za sprawą czegoś, co nazywa się Twierdzeniem Nierówności Bella, gdzie dowiedziono, że każde zdarzenie kwantowe ma swoją wersję nielokalną.

- Hm... jasne - rzekła Lynn.

- Jest coś jeszcze - stwierdziła Sattva.

- Możesz mi powiedzieć później. Myślę, że moje tubulame dimery właśnie skończyły na dziś pracę. Tu jest bardzo pięknie, prawda?

- Między innymi dlatego tak mi się to podoba - powiedział Mikhel.

Niebo było błękitne, błyszczące i tak czyste, że przyprawiało ją o ból serca. Błada smuga księżycy kołysała się tuż nad szczytami Himalajów, których bezładne kontury, brązowe i białe z bliska, przechodziły w ciemny lazur w oddali. Prawie wyobrażała sobie, że

widzi, jak zakrzywiona jest ziemia. Mikhel niósł ją w kierunku rzędu jurty, gdzie długie cienie i błękitne niebo ciemniały. Kiedy ponownie weszli do jurty, poczuła zapach lamp maślanych.

Wszyscy jedli kolację, siedząc przy stole zastawionym parującymi daniami. Pikantny aromat wywołał u niej mdłości. Zobaczyła, że Hawkins ma przy łokciu na wpół opróżnioną butelkę złotej whisky. Uśmiechnął się do niej, a potem wrócił do poważnej rozmowy z siedzącym obok niego mężczyzną.

Akamu siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami przed wielkim ekranem, trzymając w rękę kulistego pilota. Niektórzy woleli je od klawiatur. Były wielkości piłki tenisowej, reagowały na złożone kombinacje nacisku - dzieci opanowywały to z łatwością. Akamu co sekundę wydawał nową komendę, dotykając innej części kuli, czemu towarzyszył lekki, ale nagły ruch ręki do przodu. Lynn nie widziała dokładnie, co robił. Wydawało jej się, że Akamu w ogóle nie zwraca uwagi na swoje otoczenie.

- Połóż ją z powrotem na łóżko - powiedziała Sattva. - Dziękuję, Mikhel. Głodna jesteś, Lynn?

Lynn potrząsnęła głową. Chciała tylko zasnąć. Mikhel ułożył ją, a Sattva powiedziała:

- Połóż tę stopę na poduszce. O, tak. - Lynn poczuła, że okrywają ją kocem. Wtuliła się weń, słysząc ciche szepty ludzi przy stole, łopot owiewanej wiatrem jurty, odór sapiących mastiffów i lamp maślanych, a potem zapadła w dziwny sen.

*

Kiedy obudziła się, lampy nadal się paliły, ale było znacznie ciemniej. Małe kręgi złocistego światła podświetlały rozmaite miejsca jurty - sprzątnięty już stół, półki, kilka rzędów koi na drugim końcu, i jeszcze sterty mat na podłodze. Na holoplatformie pojawiały się, szybko jak fale, jakieś znaki. Lynn pomyślała, że to chyba mantra Om Mani Padme, lecz mniejsze niż zwykle litery sprawiały, iż było w niej coś naglącego. Ekran na jednej z półek wykazywał częstotliwość, ale obraz i dźwięk nie były włączone.

Sama jurta wyglądała trochę jak z bajki. Delikatne włókna przetykające ściany jarzyły się ciepłym, przyćmionym, żółtym światłem. Lynn zakładała, że można je modyfikować w nieskończoność. Czuła ulgę. Może ta dziwna załoga używała lamp maślanych, podobnie jak jurty, dla stworzenia nastroju. Nie przychodził jej do głowy inny powód, dla którego nie zastąpiono ich czymś trwalszym. Miała skojarzenie z bandą dzieciaków bawiącą się kryształami na skraju świata.

Albo z człowiekiem bawiącym się allelami w miejscu, które uważa za środek świata. Tymi małymi kawałkami kodu genetycznego. Nie ma już środka. Wszystko jest wszędzie.

Usiadła, a potem ostrożnie wstała, wypróbując nogę. Wciąż czuła ból, ale mogła

oprzeć na niej ciężar ciała. Czowała jasność umysłu i straszny głód. Dobrze było mieć świadomość, że nie jest się umierającą.

Włożyła spodnie i sweter, a potem buty. Czowała się jak nowo narodzona.

W kuchni naczynia z kolacji suszyły się obok dużego porcelanowego zlewu. Była tu nawet bieżąca woda. Ustawione na tle szorstkiego, czerwono-złotego sukna, zwyczajne białe naczynia wyglądały pięknie. Lynn zastanawiała się, czy Sattva jednak nie przemyciła jej odrobiny opium.

Usiadła na wielkiej, jedwabnej poduszce ze złotymi słoniami przy okrągłym, ciemnoszarym stole, gdzie czekała na nią miska z kluseczkami i pałeczki. Włożyła jedną kluskę do ust. Nadzienie było z pasty fasolowej. Umoczyła następną w chłodnym, słodkim, zielonym sosie w innej misce. Żelazny imbryk był zawieszony nad piecykiem postawionym na środku stołu. Zauważyła uchwyt i skorzystała z niego, aby zdjąć imbryk, i nalała sobie parującej herbaty. Piła i jadła aż do syta.

Na dworze usłyszała stłumiony, głuchy dźwięk, podobny do gry na rogu. Pośpiesznie dopiła herbatę i wstała, nie zważając na klucze w nodze. Kiedy już stanęła, nie było tak źle. Kuśtykając, przeszła się po jurcie i zabrała leżącą przy łóżku kurtkę. Była pomarańczowo-czarna. Raczej koszmarna, ale zapewne tylko taką udało się zdobyć na splądrowanym przez Hawkinsa bazarze. Włożyła kurtkę, pomacała kieszenie, uśmiechnęła się. Dzięki, Hawkins. Kapelusz i rękawiczki. Prawdopodobnie równie brzydkie. Obok drzwi znajdował się bambusowy cylinder wypełniony różnymi, rzeźbionymi laskami. Z wdzięcznością wzięła jedną z nich, odgarnęła połę jurty i wyszła na dwór.

Poczwała napór bardzo zimnego powietrza i zanim nałożyła kapelusz, już zapiekły ją uszy. Nad czarnymi, nieregularnymi krawędziami gór płonęły miliardy gwiazd.

Rzadko zdarzało jej się widzieć tak intensywnie świecące gwiazdy. Bledły w zetknięciu ze światłami wielkich miast, gdzie spędzała chyba większość czasu. Długi czas przyglądała się niebu, nagle zauroczona romantycznym aspektem działalności Interspace, która wszak pragnęła dosięgnąć gwiazd.

Potem roześmiała się gorzko. Wierzyła w to, co działo się tu i teraz. Istoty ludzkie posiadały narzędzia umożliwiające im przekształcanie ziemi zgodnie z własnymi zachciankami, aż do odległej zagłady czasu na skutek gorąca albo zimna. I tylko natura ludzka przeszkadzała w osiągnięciu niemal całkowitej doskonałości.

Zaśmiała się ponownie, tym razem z samej siebie. Japońscy mnisi tolerowali jej obecność w zendo, tak jak powinni. Ale przecież musieli zauważyć, jak daleko była od oświecenia! Małostkowa, grubiańska, samolubna, zepsuta - jakie miała prawo narzekać na

ludzkość?

Powietrze miało tutaj oczyszczającą właściwość, zupełnie jakby przewiewało ją na wskroś, jakby składało się z oderwanych od siebie cząsteczek, między którymi występowały duże przestrzenie. Czowała się cudownie mimo zimna, a może właśnie dzięki niemu. Intensywna, głęboka czerń przestrzeni, potęga ziemi, tak różnej od Hawajów. Tak ponurej.

Oderwała wzrok od hipnotyzującego nieba i próbowała określić własne położenie.

Na równinie, w pobliżu jurt, w kontenerach, które zabezpieczały ich przed wiatrem, tu i ówdzie paliły się ogniska. Ale w ogóle nie widziała ludzi, tylko psy. W niektórych oknach w małym miasteczku pół mili dalej paliło się światło.

Wyżej, na wzgórzu, było widać kopułę. Czyżby jarzyła się światłem?

Weszła na wzgórze, podpierając się laską. Noga bolała, ale szyna bardzo jej pomagała. Kiedy podeszła bliżej, jej zaciekawienie tylko się wzmogło. Przez przezroczyste, zielone panele przeświecał delikatny, jasnozielony blask. Co tam się u licha dzieje?

Dotarła na samą górę, krążyła wokół budowli, aż znalazła się pod drzwiami. Zapukała. Żadnej reakcji. Przekręciła gałkę i pociągnęła ją. Drzwi otworzyły się bez trudu i przestąpiła próg.

W środku nie było nikogo. Zamknęła za sobą drzwi i stała w tym blasku, na samym środku, pod zwieńczeniem kopuły.

I znowu doznawała dziwnego i jeszcze bardziej intensywnego wrażenia, że ona sama składa się z oderwanych cząsteczek, które spaja jakaś zdumiewająca siła. I tak oczywiście było. Lynn była jedynie czymś w rodzaju myślącej przestrzeni. Częścią przestrzeni, którą jednoczyła grawitacja, posiadającą skomplikowany kod, zdolną do działania.

W duchu dodawała: częścią przestrzeni zdolną do dziwacznych myśli po gorączce. Czy Sattva zechce więcej jej o tym powiedzieć? Gdzie się wszyscy podzieli? Odwróciła się i przeszła po nieco uginającej się podłodze. W lakierowanym pudełku znalazła hełm z jakiejś tkaniny, z wewnętrznymi elektrodami. Odkładając go, nacisnęła któryś z paneli podłogowych. Usłyszała brzęczenie i w tym momencie ożył jeden z paneli na ścianie. Ale był pozbawiony informacji. Czekał.

Nie mogła się oprzeć. Nałożyła hełm.

Ekran był w istocie projektorem. Powietrze przed oczami Lynn wypełniały holograficzne obrazy. Obrazy jej mózgu. Zobaczyła panel w dole, na którym za pomocą myszy można było pokazywać różne fragmenty obrazu.

Mogła podróżować po własnym mózgu. Interesujące. Ale niezbyt nowatorskie. Zastanawiała się, do czego tutaj tego używają.

Zdjęła hełm i obrazy zniknęły. Ostrożnie go poskładała, włożyła do pudełka i zamknęła wieko. Nie powinna była tu przychodzić. Potem uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że naprawdę chciała wypróbować krystaliczną aureolę. Tak! Pragnęła założyć aureolę, a dopiero potem zrobić trochę biofeedbacku za pomocą skanera mózgu. To byłaby niezła zabawa. Ale Mikhel chyba gdzieś ją schował. Nigdzie jej nie widziała.

Znowu rozległ się natrętny, głuchy dźwięk rogu, brzącający jak głos niebios.

Przejęta pognała do drzwi, wyszła na dwór, skręciła. Tam - w świątyni o złocistym dachu. Teraz przekonała się, że na tarasie i na stromym podejściu, które prowadziło do świątyni, pali się kilka pochodni.

To nie było daleko stąd. Żałowała, że nie ma latarki. Nie miała pojęcia, gdzie jej szukać, dlatego odważyła się wyjść poza rząd ognisk. Stąpała po utwardzonej ścieżce. Teraz musiała tylko iść prosto przed siebie i mieć nadzieję, że między nią i świątynią nie ma żadnych rozpadlin.

Smagana i rozbawiona podmuchami wiatru, szła pośpiesznie, czując, że porusza się na usztywnionych nogach jak pingwin.

Potrzebowała niewiele czasu - jakieś dziesięć minut - żeby dobrnąć do pomostu u podnóża świątyni. Potem już szło się łatwo. Weszła na gładki bruk i przytrzymała się balustrady. Kulała, ale była zdeterminowana, żeby dotrzeć na sam szczyt. Podczas tej wspinaczki w pewnym momencie usłyszała śpiew.

Znalazłszy się na górze, popatrzyła na świątynię.

Szeroki balkon był pusty z wyjątkiem dwóch osób stojących pod drzwiami. Rozpoznała wysokiego, chudego Hawkinsa i pulchnego Akamu. Wyglądali przez otwarte drzwi, z których napływał odgłos głuchego zawodzenia. Nad nadprożem znajdowały się dwa kamienne lwy o srogich obliczach, a migające światło pochodni rozjaśniało inkrustowany turkusem fryz. Przeszła przez dziedziniec, stanęła przy Hawkinsie i zajrzała do środka.

Na podium siedziała Sattva w pełnym lotosie, odziana w ciężkie, ozdobne szaty i wymyślne nakrycie głowy. Stało przed nią pięćdziesięciu śpiewających ludzi. Śpiew nagle ustał i Lynn z wrażenia wstrzymała oddech w ciszy, jaka nastąpiła.

Nie widziała sufitu, ponieważ nie dosięgało go światło rzucane przez lampy maślane. Za Sattwą znajdował się potężny posąg siedzącego Buddy, gładki i złoty, i tak wysoki - liczący dobre kilkanaście metrów - że jego masywna głowa ginęła w cieniu. Każdą powierzchnię w tym pomieszczeniu zajmował wyszukany wzór - rzeźbienia, inkrustacje z macy perłowej, złote wizje demonów i różnych stopni rajy.

Od ilu stuleci istniało to miejsce?

Zobaczyła pustą poduszkę. Kiedy ruszyła ku niej, poczuła, że Hawkins zaciska rękę na jej ramieniu, ale strąciła ją. Nie wydając żadnego dźwięku, usiadła ostrożnie, układając zranioną nogę w pozycji, którą od biedy można było nazwać lotosem, i czuła, jak jej oddychanie zamienia się w złocisty strumień krążący wzdłuż kręgosłupa. Miała wrażenie, że trwa to całą wieczność.

*

Kiedy Lynn otworzyła oczy, w sali nie było nikogo oprócz Sattvy, która znowu miała na sobie dżinsy, buty i jasną kurtkę. Lynn zamrużyła oczami. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek była w tak głębokim transie.

Sattva obserwowała ją, siedząc na poduszce i obejmując rękami nogi.

- Chciałam mieć pewność, że odnalazłaś drogę powrotną - powiedziała niskim głosem, który odbijał się mocnym rezonansem w pustym pomieszczeniu.

Przez kilka chwil Lynn nie była w stanie wydusić ani słowa, aż odzyskała orientację. Nie wiedziała, czy powinna przebywać tutaj, w świętym miejscu. W końcu wyprostowała nogi i masowała je, aż odzyskała w nich czucie. Sattva pomogła jej wstać i zaczęły wychodzić. Sattva podała jej laskę.

Kiedy były w westybuli, Lynn zapytała:

- Czy to byłaś ty?

Sattva skinęła głową.

- Ja. - Stała w miejscu, jakby oczekiwała kolejnych pytań.

- Po prostu jestem trochę zaskoczona - powiedziała Lynn.

- *Zen roshi* to niemal zawsze mężczyźni, chociaż mamy też garstkę kobiet. Może pięć procent. I z tego, co wiem o buddyźmie tybetańskim - a nie wiem zbyt dużo - wydawało mi się, że nie ma już nawet żadnych mniszek.

- To w sumie prawda - odparła Sattva. - W odniesieniu do przeszłości, ale teraz jest inaczej. Czasy się zmieniają. Wszędzie. Wiele rzeczy się zmienia. No, ruszaj się. Idziemy. Wkrótce uświadomisz sobie, jak bardzo jesteś zmęczona. Byłam naprawdę zaskoczona, że przebyłaś tę drogę i zaszłaś na samą górę.

Kiedy Lynn z trudem pokonywała liczne zakręty wysokiego, kamiennego pomostu, zrozumiała, że Sattva miała absolutną rację. Zerknęła na równinę. Kopała nadal świeciła.

*

Lynn obudziła się następnego ranka, oszołomiona, ale i zdeterminowana.

Uświadomiła sobie również, że ma poczucie bezpieczeństwa.

Ubrała się i na stojąco oglądała swoją nogę. Stwierdziła z ulgą, że ból jest o wiele

mniejszy. Widocznie substancja zespalająca poskutkowała.

Kilkoro ludzi przy stole popijało herbatę, ale pięciu innych siedziało w rogu i intensywnie konferowało po niemiecku wokół dużego ekranu, na którym nie było już mantry, tylko jakiś pokaz fraktali. Pokaz ten opuścił ekran i zrobił się trójwymiarowy. Jedna z kobiet zrobiła coś ze swoim kulistym pilotem. Potem zauważyła, że Lynn ją obserwuje. Projekcja się skończyła.

Cyfrowy czytnik na ścianie nad ekranem pokazywał godzinę 11:57. Jak późno! Na pewno myślą, że jest strasznie leniwa. Umilkli, kiedy ich mijała po drodze na dwór. Lynn była lekko poirytowana. Co oni sobie wyobrażają, że jestem jakimś szpiegiem? A jeśli tak, to co robią?

Dzień był znowu radosny i niewiarygodnie pogodny.

- Będziesz potrzebowała kremu przeciwsłonecznego, jeśli zostaniesz tu zbyt długo, blada twarzy - usłyszała i, odwróciwszy się, zobaczyła Akamu.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy on naprawdę zmienił się w krótkim okresie ich znajomości? Wydawał się wyższy - czyżby chodził bardziej wyprostowany? Jego twarz zeszczipiała, wydoroślała. Brązowe oczy były chyba bardziej świadome, jakby zbudził się z długiego snu.

- Wiedz, że całkiem ładnie się opalam - powiedziała. - O co chodzi?

Akamu rozejrzał się dookoła.

- To miejsce jest dziwaczne - stwierdził. Mówił zupełnie jak dzieciak. Czują, że przez chwilę dane jej było zobaczyć to, kim się stawał, a nie to, kim jest teraz.

- Naprawdę - odparła. - Pod jakim względem? Oprócz oczywistego faktu, że mieszkają w pilśniowych namiotach na wysokości kilku tysięcy metrów?

- Dwóch tysięcy czterystu sześćdziesięciu siedmiu metrów - uściślił Akamu, pokazując swój zegarek. - Chodzi mi o tych ludzi.

- Co z nimi? - Czy on w ogóle znał kogoś, kto nie był dziwny? - zastanawiała się. Nawet *ona* prawdopodobnie zaliczała się do kategorii osób niezwykłych, a może i dziwnych.

- No cóż, po pierwsze oni wszyscy myślą, że Sattva ocali świat.

- O?

- Tak. Ona jest nowym Dalajlamą.

- Och. - Lynn przez chwilę usiłowała przetrwać tę informację. Prawdę mówiąc, była zszokowana. - *Tym* Dalajlamą?

- Tym. Javindi mi powiedziała.

- Javindi?

- Tak, jedna ze... świty? Czy to jest odpowiednie słowo?

- Chyba tak. - Sama zastanawiała się, jak nazywać tych ludzi. Przyglądała im się przez dłuższą chwilę, zanim wstała z łóżka. Młodzi, przeważnie w takim wieku, jak ona. Kilko starszych mężczyzn i kobiet. Większość wyglądała na Tybetańczyków, ale nie wszyscy. Niektórzy byli chyba rasy białej, na przykład Mikhel była Indianką, a co najmniej jeden mężczyzna pochodził z Afryki. Na pewno nie widziała wszystkich. Mieli w sobie coś charakterystycznego. Intensywnego, choć nie szalonego. Kiedy pracowali na komputerach, kiedy się naradzali, byli skupieni i dokładni. No i jeszcze ta kopuła.

- Wszystko straciłaś. Wstali o czwartej i medytowali.

- Skąd wiedzą, że ona jest Dalajlamą? - Zaczęła powoli iść z powrotem obok rzędu jurty, bardzo uważając na nogę. Znajdowali się na grzbiecie, który wychodził na niekończące się trawiaste pola. W oddali na rzadkich pastwiskach, zobaczyła jakieś owce.

Akamu uśmiechnął się.

- To jest najlepsza część. Wiesz, jak kiedyś szukali nowego Dalajlamy po śmierci starego? Wierzyli, że Dalajlama odradza się natychmiast, dlatego jeździli po całym kraju z przedmiotami, których używał stary Dalajlama. Jeśli dzieciak potrafił powiedzieć, których rzeczy używał, dochodzili do wniosku, że na pewno *jest* wcieleniem starego. Przynajmniej to była jedna z metod, którą stosowali.

- Właśnie tak postąpili z Sattvą?

- Niezupełnie. Zrobiła licencjat w Pekinie, a potem dostała stypendium do Harvardu. Dalajlama spędził ostatnie trzy lata swojego życia w okolicach Bostonu, gdzie mieszka wielu Tybetańczyków. Przyjaźniła się z nimi wszystkimi i spędzała mnóstwo czasu w ośrodku, czyli w domu tego starego gościa. W każdym razie któregoś dnia była w ośrodku, poszła do biblioteki i zaczęła ściągać książki z półki. Nie do końca wiedziała, dlaczego to robi. Mówiła, że wprawiała ją w niepokój.

- Tak powiedziała?

- Tak, pytałem ją o to. Myślisz, że wszystko robi za mnie system, który mi sprawiłaś w Hongkongu?

- Był całkiem drogi - odparła, drocząc się z nim trochę.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. A ona cieszyła się z jego poczucia humoru.

- Tak czy owak, ustawiła wszystkie te książki w wysoką stertę i wyszła. Kilka dni później zadzwonili do niej „ludzie dowodzący”.

- Ludzie dowodzący?

- Tak. Kimkolwiek są. Ludzie, którzy znali Dalajlamę. Pytali ją, skąd wiedziała, że te

książki trafiły do księgozbioru po jego śmierci. Ona na to, że nie miała o tym pojęcia. Ale najwyraźniej wyjęła każdą, którą tam dostawiono, i żadnej z tych, które kiedyś należały do niego. Dlatego zaczęli ją poddawać różnym testom. Chyba już zrezygnowali ze znalezienia nowego Dalajlamy. Od śmierci starego upłynęło dużo czasu. Skończyła doktorat i wróciła tutaj, żeby otrzymać przeszkolenie. Przedostała się nielegalnie. Chińczycy nie wiedzą, że ona tu jest.

W to akurat Lynn trudno było uwierzyć. Nic nie słyszała o tym, żeby Dalajlama wrócił do Tybetu, ale jak Akamu dobitnie wykazał, dysponowała żałośnie skąpyimi informacjami o wszystkim oprócz DNA.

- Kurczę, Sattva wie naprawdę *dużo* - stwierdził Akamu.

- Bez wątplenia - odparła Lynn. - Ludzie, którzy chcą zmieniać świat, muszą dużo wiedzieć. - Uświadomiła sobie, że jeśli chodziło o naukę, panowała tutaj wręcz fanatyczna gorliwość, i to nie przypadło jej do gustu. Tacy ludzie zawsze chcieli cię przerobić na jednego z nich i nie mogli się pogodzić choćby z najmniejszym odstępstwem od ich dogmatów.

- Nie wiem, czy ona tego chce, ale wszyscy tutaj myślą, że zrobi to. Tak powiedziała Javindi.

- Subtelna różnica - przyznała. - Ciekawa jestem, jak zamierzają zmienić świat.

- To jest najlepsze. Zamierzają zapanować nad czasem, zmieniając świadomość świata.

Nie była szczególnie zaskoczona tym stwierdzeniem. Właściwie idea, że kiedyś IS zapanuje nad czasem dzięki podróżowaniu z prędkością szybszą od czasu, była dla niej chlebem powszednim.

Miała wrażenie, że słyszała już wszystkie książkowe teorie na ten temat.

- Świadomość *ludzi* w świecie - poprawiła Akamu. - Właśnie to chcą zmienić.

- Nie! Świadomość *świata*, głuptasie! Całość.

- Całą materię? - zapytała z autentycznym zaciekawieniem.

- Raczej nie sądzę, żeby Lynn była głuptasem - odezwał się ktoś za ich plecami. Oboje odwrócili się.

- Cześć, Sattva - powiedział Akamu. - Opowiadałem Lynn o tobie.

- Tak też myślałam - odparła Sattva z lekkim uśmiechem na twarzy. Przypominała Lynn poznaną przed laty Indiankę - miedziana skóra, wysokie, szerokie kości policzkowe. - Jestem pewna, że nic nie zostało przeinaczone.

- O, Akamu jest całkiem dokładny - powiedziała Lynn. Uświadomiła sobie, że prawie nie miała czasu na rozmowę z nim, na decyzję, co robić dalej, na zadanie mu pytań, na nic.

Należało z nim pogadać. A potem konfrontacja z Hawkinsem. Z kim trzymał, co knuli? Skąd wiedział, że Akamu jest z nią, i gdzie go szukać? I jeszcze czy mówił prawdę, czy tylko część prawdy, a może nie mówił jej wcale? Powróciło tak dobrze znajome uczucie niepokoju. Musiała się zbierać. Cokolwiek to oznaczało w jej obecnym położeniu.

- Pewnie chcielibyście, żebym sobie poszedł - powiedział Akamu, patrząc to na jedną, to na drugą.

- Nie! - odparła Lynn. - Właściwie to muszę z tobą porozmawiać... - Chwyliła go za rękaw, ale on wykręcił się.

- W porządku - powiedział. - Mam mnóstwo roboty. - Pomachał ręką i pośpiesznie odszedł. Zniknął za jedną z jurt.

Sattva przez chwilę milczała, ale patrzyła wprost na Lynn. Jej czarne oczy zdradzały rozbawienie.

- Cóż on takiego ci powiedział?

- Jesteś Dalajlamą - odparła Lynn.

- Trochę to nieścisle. Ja nie wiem, co myśleć. Wszelkie dowody o tym świadczą, to prawda, a jako naukowiec mam dość otwarty umysł, by uwierzyć w to twierdzenie, dopóki nie trafi się coś lepszego. Właściwie jestem całkiem zaawansowana, jeśli chodzi o zmienianie paradygmatów.

- Ale inni myślą, że jesteś Dalajlamą? To znaczy, reinkarnacją Buddy? - nalegała Lynn.

Sattva wzruszyła ramionami.

- Myślą tak. Ja z pewnością nie pamiętam, żebym miała inne życia. Oni wiedzą, że tego nie pamiętam. Szczerze mówiąc, trochę to rozczarowujące, ale tak już bywa. Nie próbuję nikomu mydląć oczu. Próbuję unikać wszelkich mitologii na tyle, na ile jest to możliwe. Doceniam kształcenie duchowe. Jest bardzo intensywne. Niepowtarzalne. Byli zasmuceni, że odkładam jego rozpoczęcie, dopóki nie ukończę doktoratu, ale czułam, że uczę się bardzo potrzebnych rzeczy. Nie mam im jednak tego za złe, zwłaszcza teraz, gdy już mocno się w to wszystko wgłębiłam. - Znowu uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Jeśli nie zdobędę jakiejś nielegalnej substancji wydłużającej życie, nigdy nie dojdę do końca! Ale tylko żartuję. Jakakolwiek zmiana w mojej fizjologii wszystko by zepsuła. Twoje ciało - ciało-umysł, jak sądzę - staje się bardzo precyzyjnym instrumentem. To podziemne kształcenie jest tutaj prowadzone od prawie stu lat.

Wzięła Lynn za ramię. Uśmiechnęła się, a jej zmrużone, rozbawione oczy przypominały ciemne szparki. Wiatr rozwiewał jej włosy, tak że długie czarne pasma okalały

jej głowę.

- Przejdźmy się kawałek. Dla twojej nogi będzie to korzystne pod warunkiem, że będziesz nosiła szynę, a poza tym musisz dbać o to, żeby mięśnie nie uległy zanikowi. Daj mi znać, jeśli zanudzam cię na śmierć.

Podczas spaceru Sattva pomachała ręką w kierunku wioski, lśniącej w słońcu pół mili dalej, a potem wstąpiły na ścieżkę, która prowadziła na małą, trawiastą równinę, gdzie pasły się jaki.

- My, Tybetańczycy, jesteśmy dosyć wytrwali, tak jak nasz system filozoficzny. Nie po raz pierwszy Chińczycy usiłowali zniszczyć Tybet, ale tybetański buddyzm jest niezmiernie odporny. Przetrwiał inne epoki chińskiej dominacji, dłuższe niż obecna.

- Co usiłują zrobić tym razem? - zapytała Lynn.

- Próbuja nas zabić kapitalizmem. - Sattva zaśmiała się krótko. - Wiesz, że starają się zarządzać Chinami jak dużą korporacją? Problem polega na tym, że takie podejście nie różni się specjalnie od komunizmu. Decyzje podejmowane są przez komisje, które przeważnie nie mają kontaktu z rzeczywistością. Serce prawdziwego kapitalizmu - przestrzeń dla adeptów biznesu, zdrowy klimat podatkowy, i tak dalej - jest duszone przepisami. Albo przemocą - jednym ze skutków ubocznych kapitalizmu wydaje się mafia. Hongkong... - cała ta entuzjastyczna atmosfera przedsiębiorczości - ...kiedy Hongkong zwrócono Chinom, nastąpiły duże zmiany w rządzie i to zaskoczyło wielu ludzi. Wybrano Zhong Chau - bardzo popierającą mały biznes i ugrupowania Zielonych - ale oczywiście została zamordowana. Jej antytrustowe poglądy wkurzały wielu ludzi. W każdym razie nie jestem specjalnie lubiana. Próbuję stworzyć w Tybecie wiele niezależnych społeczeństw pierwotnych...

- Tutaj wszystko wygląda dość pierwotnie - zauważyła Lynn.

Sattva tylko się uśmiechała.

- Nie, moja droga, nie chodzi mi o społeczeństwa *prymitywne*. Widzę, co masz na myśli, ale w tym nie ma niczego niezwykłego. Ja mówię o Społeczeństwach Pierwotnych, z dużej litery. Prawdziwe demokracje. Całkowity dostęp do informacji dla wszystkich na skalę globalną. Zdolność rozumienia informacji na wielu poziomach - z punktu widzenia statystyki, socjologii, a nawet chaosu. Eksperci, którzy potrafią przekazywać informacje swoim bliźnim z wiosek na rozmaite sposoby, tak że ludzie o różnych poziomach wykształcenia są w stanie je zrozumieć. - Sattva przechyliła głowę. - Dam ci prosty przykład. Niektórzy ludzie uzyskują wiele informacji z tabeli i wykresów. Inni nie. Ale jeśli mają informację, mogą próbować podejmować decyzje w sprawach, które wpłyną na ich życie. I kiedy to bardziej się upowszechni, wierzę, że sytuacja polityczna na świecie ulegnie zasadniczej zmianie. To

bardzo proste, ale zależy od edukacji. Teraz możesz zdobyć znakomite wykształcenie, siedząc w domu. To fantastyczne. Co świat robi w tej kwestii? Nic! Kraje takie jak Chiny wręcz utrudniają ludziom naukę. Pomysł kształcenia zbyt wielu ludzi jest zawsze przerażający dla tych, którzy są u władzy. To przecież dobry sposób, żeby władzę utracić. Chcesz usiąść na chwilkę?

Rozsiadły się na dużym, ogrzonym przez słońce kamieniu. Lynn oparła się o chropowatą powierzchnię i założyła ręce za głowę, obserwując nadciągające chmury, podczas gdy Sattva kontynuowała swój wywód.

- Co do mojego bycia Dalajlamą, na pewno mam mocne poczucie obowiązku względem ludzkości w takim sensie, że uznaję za konieczne pomaganie wszystkim ludziom, jak tylko jest to możliwe. Oczywiście tradycyjną rolą Dalajlamy było oświecenie wszystkich ludzi wciąż żyjących w cyklu śmierci i powtórnych narodzin, tak aby mogli ów cykl opuścić. Ale w tym stuleciu czuję, że jesteśmy bardzo blisko zjednoczenia dwóch zasadniczo odmiennych biegunów myśli ludzkiej - nie tylko pierwiastka duchowego i materialnego, ale tego, co bardzo małe i tego, co bardzo duże. Teorii kwantowej i grawitacyjnej czasoprzestrzeni. Świadomość - i kwestia umysłu, za którego sprawą ona się rodzi - to zasadniczy aspekt egzystencji. Być może przenika całą domenę istnienia.

Pochyliła się do przodu i przyciągnęła nogi do klatki piersiowej.

- Wierzę, że jesteśmy bardzo bliscy zrozumienia prawdziwej natury fizycznego wszechświata - samych korzeni materii, od rzeczy bardzo małych po bardzo duże, od działań kwantowych w mózgu aż po naturę zakrzywionej czasoprzestrzeni.

Widzisz, pewien słynny matematyk miał kiedyś taką zagwozdkę. Wierzył, że kiedy zrozumiemy naturę świadomości na poziomie kwantowym - albo zrozumiemy mechanikę kwantową w sposób wystarczająco gruntowny, by wyjaśnić zjawisko świadomości - będziemy mieli narzędzia i informacje potrzebne do zrozumienia reszty fizycznego wszechświata - włącznie z kolejnym z jego tajemniczych przejawów, czasem.

- Czy te dwie rzeczy na pewno są ze sobą powiązane? - zapytała Lynn.

Sattva odwróciła się twarzą do Lynn, krzyżując nogi w marynarskim stylu. Słońce świeciło jej w oczy, dlatego musiała je zmrużyć, ale Lynn i tak widziała szczerzy zapał.

- No cóż, można powiedzieć, że świadomość tworzy czas, gdyż myślenie o czasie bez świadomości jest pozbawione sensu. Czas jest zasadniczo ludzkim wytworem, trochę pokrętnym opisem relacji między nami samymi - naszą świadomością - i materią. Czy tak dziwna jest myśl, że świadomość w końcu będzie w stanie zrozumieć fizyczną naturę wszechświata, włącznie z samą sobą? A potem użyje tego zrozumienia po to, by nawiedzić, a

nawet *zmienić*, fizyczną strukturę wszechświata, tak jak jesteśmy w stanie manipulować fizyczną strukturą ciała ludzkiego?

Wszystkie formy buddyzmu badały świadomość na wiele sposobów przez tysiące lat. Fizyka cząsteczek jest z konieczności zainteresowana nie tylko tworzeniem wszechświata - a co za tym idzie, oczywiście i czasu - ale także zjawiskiem świadomości. Możliwe, że jako świadome istoty, funkcjonujemy na skraju dynamicznego systemu. Że czas jest fraktalem.

Lynn wdychała zapach falujących traw. Wpatrywała się w niebo. Ciepło skały było przyjemne.

- Co by to oznaczało? - zagadnęła. - Jeśli to prawda, w takim razie zawsze tak funkcjonowaliśmy, zgadza się?

- Hm, to tak, jakbyśmy powiedzieli - Sattva spojrzała badawczo na Lynn - że nasze geny zawsze stanowiły przejaw nas samych, więc jaki jest sens dowiadywania się o nich czegoś więcej, wykorzystywania ich w nowy sposób?

Sattva zsunęła się ze skały i stanęła w rozkroku. Wepchnęła rękę do kieszeni. Przez króciutką chwilę Lynn miała wrażenie, że nawet gdyby bardzo się starała zepchnąć Sattwę, nie dałaby rady.

Oczy Sattvy błyszcząły, kiedy przemawiała.

- Lynn, jeśli czas jest fraktalem, być może świadomość jest kluczem do przeskakiwania z jednego pola metawszechświata na drugie!

Lynn z grzeczności stłumiła westchnienie i nie wywracała oczami. W jej życiu pełno było takich fanatyków. Zawsze chcieli więcej, rozpychali się we wszystkich kierunkach - biologia, matematyka, socjologia. I po co? W jakim celu? Żeby można było wysadzić niewinnego chłopca w starej ruderze na Nuuanu?

Usiadła, gotowa zaatakować Sattwę za... za co?

Lynn zrozumiała, że złość powoduje u niej nieracjonalne odruchy. Wzięła głęboki oddech. Naprawdę chciała się dowiedzieć, co oni sądzili o swoich poczynaniach tutaj.

- Metawszechświat? - zapytała, próbując ułożyć nogę tak, aby nie bolała. Na wzgórzu po drugiej stronie głębokiej przepaści stado jaków kłusowało po wąskiej ścieżce i zniknęło za skalnym występem. Ich cienie wydawały się krótkie w południowym słońcu.

- Tak - odparła Sattva. - Vilenkin wymyślił to pojęcie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Uważał, że myślenie o nas jako jednej z wielu podobnych cywilizacji w niekończącym się metawszechświecie - albo metaświecie, jak my go nazywamy - jest znacznie bardziej owocnym podejściem niż zakładanie, iż jesteśmy niepowtarzalni. Twierdził, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że jesteśmy przeciętni, że jesteśmy przeciętnym

przejawem tego, co jest możliwe, i że dlatego w metaświecie istnieje nieskończona liczba takich wszechświatów. Nadał temu nazwę zasady przeciętności. - Roześmiała się. - Trafne określenie!

- Ach! - zawołała Lynn. - A więc próbujecie porozumieć się z nimi?

- Porozumieć albo wybrać się w podróż do nich - odparła. - A według zasady przeciętności oni prawdopodobnie również próbują tego dokonać. Jestem w naprawdę wyjątkowej sytuacji. Nauki, które pobieram jako Dalajlama, nie polegają tylko na studiowaniu filozofii czy pism. Tu chodzi o rzeczywiste fizyczne zmiany. Prawdę mówiąc, to jest bardzo ekscytujące. - Umilkła na moment. - Wybacz. Nie powinnam prawić kazań.

Lynn usiłowała wyrazić swoje zdanie w możliwie grzeczny sposób.

- Może jestem po prostu cyniczna - powiedziała - ale całe życie przeżyłam z ludźmi, którzy twierdzą, że zamierzają zmienić świat, lecz w rzeczywistości chcą tylko osiągnąć korzyść dla siebie kosztem innych.

- Jesteś cyniczna - stwierdziła Sattva. - Chciałabym już zjeść lunch, a ty?

- Śniadanie - poprawiła ją Lynn, po czym ostrożnie zsunęła się ze skały i otrzepała spodnie. Ruszyły z powrotem w stronę jurtt.

- Cynizm u naukowca jest niemal niezbędny - powiedziała Sattva i przez chwilę wahała się. - Mam nadzieję, że nie jesteś zła, że on o tobie mówi, ale Hawkins właśnie tak cię określa. Zrozumiałam to, kiedy wczoraj mówiłaś o śledzeniu mitochondrialnego DNA. On wyraża się o tobie z wielkim uznaniem.

- Och, tak naprawdę niewiele o mnie wie - powiedziała Lynn, siląc się na bez troski ton. Kiedy zbliżyły się do kopuły, przyjrzała jej się uważnie.

Sattva popatrzyła na nią i uśmiechnęła się.

- Później - rzekła. - Zapewniam cię, że wszystkie nasze tajemnice zostaną ujawnione. Zresztą właśnie o to chciałam cię prosić. Próbowałam stworzyć tutaj interdyscyplinarny układ. Coś w rodzaju ekipy, która myśli o... no, o wszystkim. Ale w nowy sposób, pod wpływem dziedzin wiedzy, które w innej sytuacji mogłyby w ogóle nie łączyć się ze sobą, ponieważ większość naukowców ma klapki na oczach. Jesteś genetykiem?

- Tak - odparła Lynn. - Ale właśnie... - Na chwilę przerwała. Jak to powiedzieć? Uciekam. Zabieram tego dzieciaka od zepsucia, jakim było wykorzystanie nauki dla celów IS, i czmycham na pustkowie. Przez bardzo długi czas nie zamierzam robić nic. Z wyjątkiem...

Z wyjątkiem.

Pomyślała o kolczyku, ale nie dotknęła go. Genom Mao mógł stanowić decydujący czynnik, być informacją, która w porównaniu z tym, co słyszała o innych wpływowych

postaciach, mogła skryzalizować wszystkie z takim trudem zdobyte dane na temat przywództwa - i te dobre, i te złe.

Promienie słońca zostawiały na górach duże, jasne plamy, przetykane szarymi smugami. Nagle Lynn stanęła jak wryta.

Dlaczego nie postąpisz uczciwie? - zapytała samą siebie. Z pewnością nie zaszkodzi twoim badaniom fakt, że człowiek, którego próbujesz uratować, jest klonem jednego z największych światowych przywódców. Oczywiście, dla jego dobra...

Zmarszczyła brwi i zrobiła kilka kroków. Skrzywiła się. Zapomniała o swojej nodze.

Sattva delikatnie wzięła ją za ramię.

- Lynn, nie musisz decydować w tym momencie. Prawie nas nie znasz. Napijmy się herbaty.

Jurta była blisko. Lynn potrzebowała kilku minut, żeby jej oczy przywykły do ciemnego wnętrza. Ludzie przy komputerach znowu obrzucili ją nieufnymi spojrzeniami, ale Sattva powiedziała: „Ona jest w porządku” i wrócili do swoich zajęć.

- Dziwi mnie, że tu są linie elektryczne - rzekła Lynn, kiedy Sattva wsypała sproszkowaną zieloną herbatę do wypełnionego wodą żelaznego imbryka, z którego wyglądały twarzyczki naburmuszonych chimer. - To takie odludzie.

- To jedna z pierwszych rzeczy, jaką zrobili na tych terenach Chińczycy. W Himalajach biorą początek niektóre z wielkich rzek Chin. Przybyli tutaj i zbudowali małe hydroelektrownie wszędzie tam, gdzie istniały wodospady. Kiedy to było - jakieś siedemdziesiąt lat temu? Oczywiście, cena za tę pomoc była całkiem wygórowana! Przez jakiś czas próbowali zmuszać rolników do uprawy żyta zamiast jęczmienia, zupełnie jakby sądzili, że mogą kontrolować nie tylko ludzi, ale i klimat oraz glebę. Oczywiście, to im się nie udało. Ale ostatecznie zdołali unieszkodliwić mnichów, zabijając większość z nich albo wysyłając ich do Chin.

- Gdzie jest Hawkins? - zapytała Lynn, gdy Sattva naląła im obu herbaty. Trzymała filiżankę oburącz, czując przyjemne odprężenie. - Myślałam, że będzie tutaj.

- Miał się wybrać na jakiś rekonesans. Zdaje się, że chce cię zawieźć do Nepalu. - Uśmiechnęła się, ale Lynn zauważyła, że jej ciemne oczy są smutne, a napięta twarz zdradza zaniepokojenie.

- Tam jest ciężko - tak jak tutaj, tylko bez chińskich żołnierzy. - Spojrzała Lynn prosto w oczy. - Hawkins jest niezwykłym człowiekiem. Możesz mu powierzyć własne życie. Ja tak zrobiłam. Niejeden raz. Włada wieloma językami i wszędzie potrafi się wtopić w otoczenie. Poznałam go na wydziałowej imprezie w Harvardzie, miał na sobie garnitur i krawat! Jak się

postara, jest całkiem przystojny. Potrafi być brutalny, ale i wytworny - ale ty przecież to wszystko wiesz, prawda? - W zamyśleniu spojrzała na drzwi. - Mam nadzieję, że on czuje się dobrze - powiedziała tak cicho, że Lynn ledwo ją usłyszała. - Za bardzo lubi ryzyko.

- Mam nadzieję, że nie narażamy cię na niebezpieczeństwo przebywając tutaj - odparła Lynn. Sięgnęła po jedno z ciastek na stole i ugryzła kęs. W środku było mięso.

- Weź więcej - zachęciła ją Sattva i Lynn wzięła kolejne ciastko. - To nie byłoby nic nowego. Jestem pewna, że Chińczycy wiedzą, iż jestem tutaj, chociaż moja ekipa chyba lubi udawać, że jakimś cudem jesteśmy niewidzialni. Jeśli Chińczycy żywią jakiegokolwiek obawy wobec mnie, na pewno są przesadzone. Nie dokonałam żadnych nacjonalistycznych posunięć, chociaż z pewnością mogłabym. Prawdopodobnie wielu ludzi jest rozczarowanych ich brakiem z mojej strony. Najbardziej zabiegałam o to, żeby każda rodzina miała łącze satelitarne. Całkiem radykalny pomysł, jak się o tym pomyśli, albo przynajmniej radykalizujący. Oczywiście oni nie zdają sobie sprawy, że w pewnym momencie Społeczeństwa Prymitywne, które oni uważają za głupotę, jeśli w ogóle wiedzą o ich istnieniu, doprowadzą do wielkiej zmiany politycznej. Obecnie problem tkwi w informacji, a nie w religii. Chińczycy wciąż mają bardzo zwartą, blisko ze sobą związaną społeczność inteligencji i naukowców. Oczywiście tak powinno być - postęp w nauce jest teraz źródłem bogactwa, a my przecież, na Boga, nie możemy go ot tak roztrwonić prawda? Wykorzystajmy go tak, by być bogatszym niż wszyscy!

Lynn obejrzała się na małą grupę ludzi.

- A zatem jesteście w Sieci? - zagadnęła.

- Oczywiście - odparła Sattva. - Właściwie mamy naszą własną sieć. Ale monitorujemy rozmaite prace naukowe z całego świata. Ja właśnie przesłałam kawałek do Physical Review. Jeszcze nie wiem, czy mi go przyjmą. - Znowu się uśmiechnęła, wypila kolejny łyk herbaty. - Jest dosyć dziwny, ale bardzo dobrze ujmuje problem.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym sprawdziła parę rzeczy. Może przysłyż jakieś maile.

- Zależy. Każę komuś monitorować wszystko, co będziesz robiła na komputerze, żebyś niechcący nie zdradziła poufnych informacji. I nie chcę, żebyś cokolwiek wysyłała. Możemy zrobić tak, że nikt nie będzie wiedział, iż sprawdzałaś pocztę. W przeciwnym razie gdyby ktoś ciebie szukał, mógłby cię wyśledzić.

- Och, w porządku. - To po co w ogóle mi coś mówicie, zastanawiała się Lynn.

- Właściwie Hawkins nie dał mi wyboru - wyjaśniła Sattva, jakby Lynn mówiła na głos. - Pojawiał się tutaj tylko wtedy, gdy naprawdę musiał. Szczerze mówiąc, trochę to

dziwne. Z jakiegoś powodu on uważa, że ty i Akamu jesteście niezbędni dla naszych działań. Albo że jakoś możecie pomóc. Nie sformułował tego zbyt jasno. Był wyczerpany. A zeszłego wieczoru wyszedł, żeby przygotować się do podróży do Nepalu. Nagle okazało się, że bardzo mu się śpieszy. Ale to dlatego... no cóż, ten wykład i to zaproszenie. Ufam mu całkowicie. - Westchnęła. - I tak rzadko go widuję.

Lynn znowu ogarnęła niepokój. Po prostu nie była pewna, kto usiłował ją zabić. Czym się zajmowała? Dwiema rzeczami, ale która była ważna? Katalogowanie DNA, oddzielanie złowrogiego cienia eugeniki od konkretnej informacji na tyle, na ile było to możliwe... jeśli w ogóle było możliwe. Niektóre strony sądziły, że zamierzała pobrać odrobinę DNA Mao z Chin, żeby porównać go z DNA innych słynnych polityków w swojej bibliotece. To akurat było prawdą.

Ale być może DNA Mao miał być jedynie pretekstem, czymś w rodzaju przynęty. Bracia z pewnością nie zawahaliby się jej wykorzystać - niewykluczone, że przewoziła coś jeszcze dla IS. Cóż to mogło być? Patrzyła na migoczącą lampę maślaną, czując na sobie spojrzenie Sattvy.

Miała także Akamu, nielegalnego klona, stworzonego przez IS albo RO, albo kogoś innego - prawdziwego, żywego, niezwykłego chłopca, który miał pewne przysługujące ludziom prawa.

Nie był niczyją własnością, którą można było rozporządzać wedle upodobania. Może zamach na nią był związany z nim. Może ktoś pomyślał, że on był wtedy razem z nią. Lynn poczuła, że robi jej się gorąco na myśl o tym, jak został potraktowany.

I o zaborczych fantazjach, którym nie powinna ulegać...

Każda interpretacja wydarzeń wiązała się z odmiennym zestawem wyjaśnień.

Lynn poderwała się, słysząc elektroniczny brzęczek w drugim końcu jurty. Jedna kobieta przez chwilę intensywnie wpatrywała się w monitor, potem nacisnęła klawisz. Kilka metrów dalej zapaliło się światelko i jakiś papier wpadł do kosza. Sattva wstała i podeszła, żeby na to popatrzeć.

Lynn kontynuowała rozważania. Chociaż klon króla Kamehameha był wyjątkowy, nie mogła pojąć, dlaczego stworzenie Akamu miałoby stanowić argument na rzecz połączenia teorii kwantowej z czasoprzestrzenią Einsteina czy ujawniać podobne do baniek mydlanych wszechświaty niemowlęce wokół nas, z rozedrganymi przejściami do innych wszechświatów, które zdaniem teoretyków musiały istnieć. DNA Mao był w gruncie rzeczy zabawką, obecnie prawie tak samo niedozwoloną, a to z racji wszelkich międzynarodowych praw regulujących badania genetyczne i wykorzystywanie wyników tych badań. Mimo to, dla jej własnej

wiedzy, byłoby to fascynujące.

Ale czy była w stanie w razie potrzeby odpuścić? Skoro jesteś taką idealistką, czy nie powinnaś natychmiast tego przerwać, wyrzucić Mao już teraz?

Nie. Nawet hipotetycznie ten pomysł wzbudzał u niej obrzydzenie. Był zaprzeczeniem wszystkiego, nad czym pracowała całe swoje życie - zrozumienia ludzi na najbardziej podstawowym poziomie. Podniosła rękę i lekko potarła kolczyk, rozkoszując się jego gładką powierzchnią, wyobrażając sobie jego zawartość, ujawnianie poszczególnych informacji...

Poza tym może będzie go potrzebowała podczas negocjacji ze swoimi braćmi.

Sattva znowu opadła na poduszkę. Lynn puściła kolczyk i w poczuciu winy położyła rękę na kolanach.

- Widzę twój sceptycyzm - powiedziała Sattva. - Spójrz na to w ten sposób. Zapanowaliśmy nad jednym wymiarem - fizyczną odległością - za pomocą szybkiej podróży i telekomunikacji. Rozumienie świadomości jest następnym krokiem rodzaju ludzkiego, następnym etapem ewolucji - pierwszej na ziemi przemyślanej ewolucji. Wszystkie nasze modele Sztucznej Inteligencji są zasadniczo próbami powielenia świadomości, stworzenia jej, a co za tym idzie, zrozumienia nas samych. Najpierw za pomocą narzędzi zwiększyliśmy możliwości naszego ciała fizycznego, a potem użyliśmy mechaniki i robotów. Czym jest zatem świadomość? Na co się przydaje? Jak i dlaczego powstała? Czy istnieje jakaś przyczyna ewolucyjna? Jak wszystko inne, co istnieje, to integralna część wszechświata. Świadomość nie jest jednak materią, aczkolwiek wywodzi się z materii i wywiera na nią wpływ. Na razie w dość prymitywny sposób, poprzez istoty ludzkie, które myślą o tym, co trzeba zrobić, i potem to robią - rzeczy duże i małe. Każdą czynność w życiu codziennym. Budowanie miast. Konstruowanie bomby wodorowej. Podróże kosmiczne. Wszystkie te rzeczy istniały najpierw tylko w myślach.

- Co zatem dzieje się w kopule? - zapytała Lynn. - Nie sądzę, żeby to był tylko wytwór.

Sattva uśmiechnęła się lekko.

- Nie dajesz za wygraną, co? Dobrze. Wykorzystujemy ją do pracy nad problemem dziesięciu wymiarów.

- Teoria strun.

- Tak. Ale zmodyfikowana. Chodzi, rzecz jasna, o świadomość. Wspomniałam Penrose'a. Nie on jeden rozpatrywał problem ciała i duszy w sposób naukowy. Coraz więcej naukowców uważa, że zrozumienie ewolucji i natury świadomości pozwoli rozwiązać wielką kwestię - jak i gdzie prawa mechaniki kwantowej łączą się z prawami czasoprzestrzeni?

Sztuczna inteligencja również jest istotną częścią tej kwestii, ponieważ musimy wiedzieć, czy prawa rządzące ewolucją sztucznej inteligencji - powiedzmy, w programach samoreplikujących - mogą służyć jako podstawa zrozumienia świadomości. I oczywiście, czy coś, co zaczyna się w ten sposób i robi się coraz bardziej złożone, może ostatecznie zyskać świadomość. Mamy rozmaite moduły inteligencji nieustannie bazujące na obliczeniach łączących świadomość z czasoprzestrzenią. Z pewnością jest to piekielnie trudne zadanie.

- No, a kopuła?

- Hm, wspomniałam o koherencji kwantowej, gdzie mózg jest w stanie nadprzewodnictwa, a my próbujemy uchwycić i przedłużyć ten stan, wykorzystując kopułę, ponieważ w tym stanie mózg jest powiązany nie tylko ze zdarzeniami kwantowymi, ale być może jest w stanie wpływać na zdarzenia kwantowe w sposób świadomy. Ale oczywiście tylko w sposób określony wszystkimi naszymi prawami fizycznymi - to nie oznacza, że możemy wyjść i emitować jakieś promienie myślowe i zmieniać rzeczy. Być może jednak oznacza to, że możemy przewidzieć miejsce i podróż do innych obszarów metaświata. Ta zdolność wiązałaby się z oscylacjami poziomu kwantowego i kwantową nielokalnością. Wiemy o wiele więcej, niż nam się zdaje. Na przykład, oko jest wrażliwe tylko na jeden foton światła. Zatem oko ludzkie posiada informację, której według teorii kwantowej nie można mieć - gdzie znajduje się jeden foton w określonej chwili. Czy możemy uczynić tę informację świadomą? Czy jesteśmy w stanie ją wykorzystać?

Chwyliła kluskę i wpakowała ją sobie do ust.

- Och, Lynn, czasami zalewam ludzi bełkotem. Jeśli jesteś zainteresowana, mogę ci pokazać wiele konkretnych informacji. Ważne są liczby, twierdzenia, dowody, a nie te werbalne opisy. Słowa po prostu nie są skuteczne.

- Więc... ci wszyscy ludzie wierzą w ciebie? - zapytała Lynn.

Sattva uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie we mnie. Każdy człowiek jest indywidualnością. Niektórzy wierzą, że zostaną przemienieni w czystą inteligencję, za pośrednictwem komputerów, i pracują nad osiągnięciem tego stanu. Według mnie nie brzmi to zbyt przyjemnie, ale każdemu podoba się co innego. Stojąca tam Ingrid - Sattva kiwnęła głową w kierunku wysokiej kobiety z krótką, niesforną grzywką - jest ekspertką SI o międzynarodowej sławie. Buduje różne komponenty, których będzie potrzebowała, żeby wczytać swój mózg w Sieć. - Sattva wzruszyła ramionami. - Prawdę mówiąc, mnie to się wydaje makabryczne, ale ona ma duszę pioniera. Twierdzi, że w Sieci już istnieją osobowości, które nie mają ciał - to znaczy, nie standardowe osobowości SI, ale istoty będące wcześniej ludźmi. Chyba po prostu jesteśmy

dziwaczną ekipą. Każdy z nas wnosi coś ciekawego. - Znowu wzruszyła ramiona. - Moim zdaniem odpowiedź na palącą kwestię świadomości i eksplorację nowej granicy czasoprzestrzeni będzie miała charakter fizyczny i nieciągły.

Lynn zerknęła na Sattvę.

- A co z tobą? Czy i ty zajmowałaś się czasoprzestrzenią? Oczywiście w sposób fizyczny i nieciągły?

Sattva nic nie powiedziała. To zirytowało Lynn. W końcu Sattva odezwała się cicho:

- Hawkins mówi, że twój ojciec jest szefem Interspace.

- Hawkins za dużo gada.

- Czy to prawda?

Lynn mówiła ostrożnie. No, proszę. To o tę perełkę chodziło Sattvie. Tylko dlatego chcieli ją tu mieć i zapewne tylko dlatego Sattva ją tutaj zwabiła.

- Kiedyś rzeczywiście miał ogromną władzę, chociaż Interspace działa jako rada. Ale teraz... myślę, że został przeniesiony na emeryturę. Odsunięty na bok. On jest... trochę staroświecki, jeśli chodzi o decyzje, które IS podejmuje obecnie.

- Krążyły pogłoski, że dwadzieścia lat temu IS dokonywała nielegalnych eksperymentów nanotechnologicznych, które pozwalały ludziom wierzyć, że mogą podróżować w czasie. Ciekawa jestem... wiesz może, czy były kontynuowane? Udoskonalane?

- Potrzebuję powietrza - powiedziała Lynn i szybko wstała. Pomimo nagłych zawrotów głowy wyszła na zewnątrz. Zanim opuściła jurte, w ostatniej chwili chwyciła laskę.

- Przeklęty Hawkins - mruknęła pod nosem, rozwścieczona. Obejrzała się do tyłu. Sattva nie szła za nią - dobrze! Jakim prawem mówił komuś kompletnie obcemu, w dodatku świrniętemu, wszystko na jej temat?! I dlaczego ktokolwiek miałby zakładać, że skoro ma ojca na takim stanowisku, to będzie znała wszelkie tajne informacje? Właśnie o to tak naprawdę chodziło Sattvie. Do diabła z tym wszystkim!

Szła, kuśtykając niezdarnie, w obawie o swoją nogę, przez jakieś pięć minut. Była bardzo nasrożona. Potem rozejrzała się i stwierdziła, że zmierza w stronę świątyni. Świetnie. Równie dobre miejsce jak każde inne.

Zanim dotarła na taras, była już porządnie spocona. Ciężko dysząc, odwróciła się.

Przed nią rozciągały się postrzępione, niebiesko-białe szczyty. Najwyższe góry na Ziemi, które co pięć lat rosły o kilka centymetrów. Tutaj od tysięcy lat żył dziwny lud: w tym niezwykle homogenicznym pod względem religii kraju dosłownie każdy wierzył, że rozmaite cudowne wyczyny, takie jak umiejętność kontrolowania temperatury własnego ciała, zmiana

materii wyłącznie poprzez proces myślowy (ale to było bardzo trudne i udawało się tylko w określonych warunkach!), a nawet pływanie w czasie dzięki tysiącom wcieleń, były nie tylko możliwe, ale stanowiły rzeczywistość silniejszą od świata fizycznego.

Lynn usiadła na rzeźbionej w kamieniu ławce i kontemlowała fantastyczny widok. Wiatr był tu zimniejszy, dlatego zapięła kurtkę.

Pytanie Sattvy wprawiło ją w przygnębienie. Dlaczego? Stare eksperymenty nanotechnologiczne? Ha! Żadna nowina!

Przed nią, po lewej stronie, gdzie słońce zaczynało opadać, porywiste wiatry przesuwały chmury tak szybko, że za grzbietem górskim, którą ona brała za kraniec świata, zaczęły się wyłaniać - kawałkami, a potem w całości - uprzednio zasłonięte pasma olśniewających szczytów. Gwałtownie zaczerpnęła powietrze i zamruła oczami, gdyż poczuła, że to, co na zewnątrz, połączyło się z wnętrzem, a przeszłość ukazała jej się zupełnie jak to pasmo gór.

*

Lynn chwyciła swoje długie czarne włosy jedną ręką, żeby smagane wiatrem nie uderzały ją po twarzy. Szybki zachód słońca zmienił błękit Pacyfiku w stalową szarość, która następnie zapłonęła czerwienią, złotem i różem. W ciągu dziesięciu minut niebo pociemniało i zaśniły na nim gwiazdy.

Dobra pora na muzykę. Ogrodnicy poszli sobie. Braci nie było w okolicy. Jej macocha i ojciec często przesiadywali tutaj po kolacji i podgrzewali sake na małym piecyku obok kamiennego lanai, ale dzisiejszego wieczoru mieli pełne ręce roboty.

Las w wąwozie obok niej - tajemnicze miejsce z gigantycznymi drzewami banyan i zasadzonymi przez obrońców środowiska sandałowcami - szumiał targany wiatrami, które muskały szczyt Tantalus. Ciemniejąca góra przechodziła gwałtowną spadzistością do końca trawnika i dalej, aż do migoczących świateł Honolulu.

Potem Lynn usłyszała sowę.

Stała zupełnie nieruchomo. Stłumione pohukiwanie rozległo się jeszcze raz.

Lynn wpatrywała się w las, mając nadzieję, że zobaczy ciemny kształt wzbijający się nad czubkami drzew w poszukiwaniu szczurów i królików. Ale nic nie widziała. Ostatnie światło zgasło, a księżyc miał wzejść dopiero za kilka godzin. Ale przecież słyszała ten dźwięk. Wiedziała, że sowa śnieżna, która uciekła z ogrodu zoologicznego z San Francisco, przyleci tutaj, gdzie panuje chłód.

Wbiegła po szerokich, płaskich, kamiennych schodach, weszła przez rozsuwane drzwi do swojego pokoju, zrzuciła kilka poduszek z futonu i w końcu przypomniała sobie, gdzie jest

jej podręczny komputer. Zapewne wciąż leżał pod stołem w jadalni, gdzie spadł podczas lunchu.

- Cholera - powiedziała, ponieważ miała na to ochotę, ponieważ doprowadzała tym nianię do szału. Pobiegła wyfroterowanym korytarzem do jadalni i zatrzymała się gwałtownie przed drzwiami.

Przyłożyła ucho do drzwi i usłyszała ściszoną rozmowę. Kolejne ważne spotkanie IS. Wszystkie były ważne. A niech je! Próbowała cicho przekręcić gałkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

Podeszła do drzwi bocznych, przez które wnoszono jedzenie. Były lekko uchylone. Zajrzała do środka.

W prostym, eleganckim kominku za jej ojcem palił się mały, niebieskawy ogień. Okna były pootwierane i po zachodzie słońca szybko zrobiło się zimno. Siedział na końcu długiego, czarnego jak heban stołu. Słuchało go sześcioro ludzi, czterech mężczyzn i dwie kobiety. Jeden z mężczyzn miał na sobie śliczną, chińską bluzę z żółtego jedwabiu, która w migotliwym świetle ognia wyglądała jak roztopione złoto.

Jedną z tych kobiet już kiedyś widziała i przypomniała sobie, że była to doktor Honsa. Honsa miała trzydzieści dwa lata i doktorat z genetyki, tak jak matka Lynn. Lynn wyszperała jej dane z Sieci dla zabawy. Honsa wyglądała teraz na rozwścieczoną, a jej czarne oczy przypominały szparki. Lynn zauważyła, że jej ręce pod stołem są zaciśnięte w pięści.

Przyjrzała się twarzy mężczyzny siedzącego za stołem naprzeciwko niej. Długi nos, zmarszczone czoło, głęboko osadzone oczy. Gdyby dobrze zapamiętała tę twarz, mogłaby ją odtworzyć po powrocie do swojego pokoju i przekonać się, czy jest w stanie dopasować do niej nazwisko.

Jej ojciec nacisnął guzik i światło kandelabra lekko przygasło. Ciekłokrystaliczny ekran między wysokimi oknami zaświecił się i dwoje ludzi siedzących po tej stronie stołu odwróciło krzesła, żeby obejrzeć projekcję. To była odpowiednia pora.

Lynn pchnęła drzwi tak cicho, jak to było możliwe, ale jej ojciec odezwał się:

- Kto tam?

Miał jak zwykle gniewny głos. Lynn to nie przeszkadzało, chociaż wiedziała, że jej przyrodni bracia bliźniacy bardzo się go bali. Lynn była raczej pewna, że Alyssa, jej amerykańska macocha, również się bała, aczkolwiek nie zdradzała się z emocjami, a jej głos wydawał się cichy i spokojny.

- Potrzebuję mojego handhelda - powiedziała. - Żeby nagrać tę sowę...

- Mamy ważne zebranie, Lynn. Masz dziesięć lat. Chyba powinnaś wiedzieć, jak

należy się zachowywać. Proszę, wyjdź.

- Dobrze - powiedziała, a potem przebiegła pięć metrów wyfroterowanej tekowej podłogi, przeczołgała się pod stołem między dwoma krzesłami i wyciągnęła rękę, aż wymacała swój komputer.

Wygramoliła się spod stołu, wstała, ukloniła i zobaczyła, że goście dyskretnie się uśmiechają i pochylają głowy w świetle padającym ze ściany. Wycofała się tyłem do drzwi, przyciskając do piersi płaski komputer, jeszcze kilka razy zaszurała nogami, tworząc efektowny akompaniament dla monotonnego głosu, który komentował obrazy na ekranie.

- Wyjdź! - wrzasnął jej ojciec.

Powoli wycofała się do holu, podczas gdy on podszedł dużymi krokami i trzasnął jej drzwiami w twarz. Usłyszała szcęk zamykanego zamka, wsunęła handhelda do swojej kieszeni i wybiegła na dwór.

Siedząc na trawniku, obserwowała pokaz fajerwerków w Strefie Turystycznej i czekała na pohukiwanie sowy. Przez niebo przetoczyła się kłębowisko akwamaryny, złota i bieli. Gwiazdy prześwitywały przez nie, jakby były jego częścią. To była Fala. Miedź i zieleń, kobalt z błękitem. Zapalniki zdalnie kontrolowane, całość upakowana precyzyjnie w zbitki przez komputer.

Obserwując scenerię, usłyszała, jak bliźniaki - praktycznie jeszcze bardzo małe - krzyczą na nianię, która szykowała je do snu w ich skrzydle. Owładnęły ją nocne dźwięki z gór: szumiące drzewa, szeleszczące liście palm.

Potem to się zaczęło dziać. Nuty zgromadzone w jej głowie, dla niej równie realne jak widzialny świat. Ich harmonie skupiały się za jej przyzwoleniem. A z bemolem; wizualizowała ten dziwny, szalony riff niczym partyturę. Potem znowu odegrała go w swoim umyśle, żeby go sprawdzić, pozwolić mu okrzepnąć. Wstała tak, jakby trzymała w rękach coś bardzo kruchego, i szła w kierunku domu ostrożnie, jak mnich zen spacerujący podczas medytacji.

Potem przystanęła. Tego ranka jej ojciec zamknął na klucz salę z pianinem, ponieważ nie skończyła ostatniego genetycznego segmentu w ramach pracy domowej. Ponadto zabrał z jej pokoju wszystkie zestawy do robienia muzyki, rozmaitej wielkości, zdalnie kierowane, płaskie ekrany, gdzie często pisała kompozycje, a potem przystawiała czujnik do ekranu, żeby usłyszeć zsyntetyzowaną wersję.

Ze złości i frustracji rozboleł ją brzuch. Oczywiście mogła zapisać swoją kompozycję, ale ważniejsze było usłyszenie dźwięku, a ojciec nie miał prawa tego robić. Zawsze był przeciwny jej muzyce... Powstrzymała się od płaczu. Wzięła głęboki oddech, nacisnęła

klawisz handhelda, zanuciła pomysł, a potem się uspokoiła. Tyle wystarczy, żeby odtworzyć melodię później.

Fajerwerki się skończyły. Goście wyszli i wsiedli do helikoptera zaparkowanego z dala od domu. Uniósł się szybko jak ważka, zamrugał czerwonymi i niebieskimi światłami, i zabrał ich w podróż.

Straciła sowę. Ale wiedziała, że ptak wróci.

Rozsuwane drzwi pokoju Lynn niemal zawsze stały otworem, chociaż ojciec narzekał, że do środka przedostaje się deszcz. Ale długie, zwisające okapy stanowiły dobre zabezpieczenie. Wślizgnęła się do środka.

Róg pokoju tonął w poświacie głównego ekranu, a obok znajdowała się jedna z holograficznych prac genetycznych, którą musiała ukończyć na jutro: wysoka na trzydzieści centymetrów tęczowa helisa DNA, gdzie każdy element łańcucha miał inny odcień.

- Coś jest nie tak z tą osobą - mruknęła, podeszła i zmniejszyła jasność. Nie mogła wyjść z zadania przed jego ukończeniem. Zauważyła, że jej pielęgniarka zrobiła porządek w pokoju i to sprawiło ją w złość.

Położyła się brzuchem na futon i wsunęła kieszeń handhelda, żeby odtworzyć swoją muzykę.

Ale skąd się wzięła cała ta pusta przestrzeń? Uświadomiła sobie, że kiedy aparat spadł na podłogę podczas lunchu, uruchomiła się funkcja nagrywania. To oczywiście nie zaszkodzi jej ptasiej kolekcji, która była zachowana na stałe na srebrnym dysku - z wyjątkiem ptaka moo, którego zbuforowała tego ranka. Wypuścili niektóre z uprzednio wymarłych ptaków dwa lata temu, po sklonowaniu ich z kości. Nie chciała utracić najnowszej zdobyczy.

Nie zaszkodzi sprawdzić, co się nagrało, pomyślała. Większość dnia nic się nie działo, a funkcję nagrywanie uruchamiał dźwięk. Ominęła paplaninę służących, które nakrywały do wieczornego posiłku, i doszła do momentu, gdy zaczęła się kolacja.

Nudne gadki dorosłych.

Potem rozmawiali o eksperymentach nanotechnologicznych. To ją zainteresowało. Wszak były nielegalne.

Wstała i zapaliła jakieś kadzidelko i w powietrzu zawisła cieniutka smużka aromatycznego dymu. Skrzyżowała nogi i słuchała.

Od kolegów z klasy słyszała pogłoski o nieudanych eksperymentach. Właśnie rozpoczęła nowe zajęcia z etyki naukowej. Było to interesujące, zwłaszcza że większość dzieciaków była starsza od niej. „Czy nanobiologia jest etyczna?” Właściwie jeszcze do końca nie rozumiała tego problemu, ale według jednego z jej nowych przyjaciół rezultaty

mogły się okazać katastrofalne. Słyszała, że często implanty nanowe naśladowały rozmaite odmiany chorób psychicznych, tworząc groteskowych, nie dających się już wyleczyć ludzi, którzy mieszkali w Honolulu, w starym centrum wokół Chinatown. Jej ojciec twierdził, że te opowieści są niedorzeczne. Postanowiła, że kiedyś sama to sprawdzi.

Rozpoznała głos ojca.

- Doktor Honsa - czy numer czterdzieści siedem nie był pod pani opieką? Dowiedziałem się, że ta nieszczęsna kobieta otrzymała dawkę eksperymentalnych nanów znacznie przekraczającą prawnie dozwolone ilości. Zarówno pod względem zakresu, jak i funkcji. Dlaczego pozwoliła pani, by tak się stało?

- Proszę pana - odparła kobieta i Lynn wyobraziła sobie jej metalicznie czarne włosy wystrzyżone w dziwaczny sposób, brzydkie, zielone cienie na powiekach, małe tatuaż w postaci trójkąta pod jej prawym uchem, na karku. - Badacze...

- Pani badacze, wykonujący pani polecenia - uściślił ojciec Lynn.

Głos doktor Honsy stał się pogodniejszy.

- Tak. Dokładnie. Oni nie słuchali moich poleceń...

- To jest niedopuszczalne - powiedział ojciec Lynn, głosem ostrym i pełnym napięcia.

- Mówimy tutaj o ludzkim życiu. Co więcej, widzę dowód, iż właśnie ten nan w pewnym momencie mógł być zdolny do przeniesienia.

- Tamto okno było bardzo małe - powiedziała Honsa, monotonnym, pozbawionym emocji tonem. - Proszę... to nie jest żaden problem... nie zostawiliśmy żadnego zapisu.

- Wiem o tym - rzekł cicho pan Oshima. - A niewinna osoba zmarła. - Po chwili milczenia odezwał się znowu. - Ale dowiedziałem się o tym za późno. To dlatego że wiedziała pani, że wstrzymałbym ten eksperyment. To wszystko można było przetestować na zwierzętach albo za pomocą symulacji...

- Panie Oshima - przerwała mu doktor Honsa. - Ta sprawa jest bardzo złożona. Wyizolowaliśmy nowo odkrytą bakterię, która występuje u węgorzy elektrycznych i która ułatwia transmisję ich impulsu elektrycznego. Wierzę, że jeśli poprawnie wprowadzimy jej elementy do mózgu ludzkiego, wpłynie to na skupienie funkcji falowej, na czym nam zależało. Nie chcę okazywać braku szacunku, ale nie da się uzyskać potrzebnych nam danych bez...

Lynn poderwała się, słysząc jakiś dźwięk, i podniosła wzrok. Jej ojciec zasuwiał drzwi od korytarza.

- Lynn, mówiłem ci, żebyś nigdy nie przerywała... co to jest? - Wpatrywał się w handhelda.

- Będzie pani musiała zabrać swoją podejrzaną moralność gdzie indziej, doktor Honsa. Interspace nie życzy sobie pani usług - popłynął tekst z komputera.

Ojciec Lynn miał na sobie długą szatę z niebieskiego jedwabiu, który migotała w przyćmionym świetle. Przeszedł przez pokój i chwycił handhelda, otworzył kieszeń i wyjął srebrną płytkę.

- Nie, tato! - Podskoczyła i próbowała ją schwycić. - Moja kolekcja ptaków!

Bez słowa kilkakrotnie zgiął płytkę. Twarz miał bardzo bladą, a na jego czole pojawił się pot.

- Tato! - krzyczała, zawstydzona, że zachowuje się jak jej młodszy bracia. - Pamiętasz? Moja kolekcja ptaków!

Pierwsze nagranie zawierało skrzek mew na Kaena Point. Dobrze je zapamiętała. Brązowa, uśmiechnięta twarz jej matki, czarne oczy i gładkie, czarne włosy, które nigdy nie wydawały się roztrzepane, nawet jeśli targał je wiatr. Długie, smukłe palce naciskające guziki, głos matki mówiącej do ojca: „Nonsens, oczywiście, że sobie poradzi. Zresztą, to i tak stara technologia, nie ma czym się przejmować. To będzie nasz specjalny projekt, kochanie. Może kiedyś objedziemy cały świat razem - zbierzemy je wszystkie - wabiące krzyki nurów, migrujące kaczki. Dzikie papugi. Jeden skrzek!” Słowa matki pozostały w niej na zawsze, niczym osobista litania, coś w rodzaju przechowywanego pod poduszką pocałunku na dobranoc, kiedy odeszła.

- Nie zrobiłaś kopii? - zapytał, patrząc na nią. Przynajmniej wie, że to było ważne, pomyślała z goryczą. Coś nowego.

- Nie - szepnęła. Jakoś czuła, że to nie byłoby w porządku, że zapis powinien istnieć tylko na tej starej, zapomnianej płytce, odtwarzanej na sfatygowanym handheldzie, którego dotykała jej matka.

- No cóż. Przykro mi. Strasznie mi przykro. Nie usłyszałaś zbyt dużo, prawda? - Jego twarz wyglądała starzej niż rano, a zmarszczki na czole i między oczami wydawały się głębsze niż zazwyczaj. Zmrużył oczy i patrzył na nią trochę przepaszajaco. Odwróciła wzrok.

- Nie - skłamała. - Dużo nie słyszałam.

- Dobrze - powiedział. - Proszę cię, już nigdy nie przerywaj nam w taki sposób.

Wyszedł.

Rzuciła się na futon.

Wciąż jeszcze wszystko słyszała. Fale rozbijały się o krystaliczne zatoczki pełne krabów, skrzeki mew przybierały na sile i cichły, roześmiana matka nazywała ją kochaniem.

Niemal czuła zapach czystego, słonego powietrza Kaena, pokrzykując, zatracając się w dzikim, czystym błękitnie morza i nieba. „Stary drań”, szepnęła. Czuła klucie w piersiach. Zamierzała przenieść zawartość płytki na kryształy, gdzie byłaby bezpieczniejsza. Teraz było już za późno.

W końcu przestała płakać.

Przewróciła się na plecy i patrzyła na belki sufitu w przyćmionym świetle, które wciąż emitowała jej niedokończona praca domowa. Wiatr grzechotał bambusowymi roletami i osuszał łzy na jej twarzy.

Sięgnęła pod łóżko i wyjęła przechowywanego tam zdalnego pada, po czym włączyła go. Na tym urządzeniu nie mogła komponować muzyki, ale to nagle przestało mieć znaczenie. Przez chwilę zastanawiała się, którą sieć powinna wybrać.

Jakiż to rodzaj nanowego eksperymentu odebrał jej głos matki?

*

Dwadzieścia pięć lat później i tysiące mil z dala od domu Lynn kulila się w swojej kurtce. Tamte eksperymenty - czy nanobiologia w jakiś sposób stymulowała mikrotubule? Pozwalała mózgowi pozostawać w stanie niezwiązany? Gdzie podobny wszechświat - albo wszechświaty - można było w jakiś sposób wyczuwać albo nawet wywierać na nie wpływ?

Wiatr powodował, że było tutaj bardzo zimno. Lynn dygotała. Być może zawsze wiedziała zbyt dużo. Może w tym tkwił problem. A teraz, za sprawą Akamu, wiedziała więcej. Dobrze, jeśli należało się do IS. Ale jeśli ktoś był outsiderem, stanowił dla nich zagrożenie. Akamu po prostu stanowił cenne źródło informacji. Mimowolnie uśmiechnęła się i westchnęła. Wiedziałyby o wiele więcej, gdyby kiedykolwiek miała okazję porozmawiać z tym chłopakiem! Gdzie teraz był? Pobiegł gdzieś z samego rana. Jak długo ona tutaj przesiadywała?

Tak czy owak, tutejsi ludzie byli stuknięci. Miała nadzieję, że Hawkins niedługo umożliwi im wyjazd. Zostawił ich tutaj na pastwę losu. Była zafascynowana nieprecyzyjnym założeniem Sattvy, ale w końcu to nie było nic więcej tylko nieprecyzyjne założenie. Nieważne, że wiedziała, iż pewien element brzegowy w IS - zasadniczo niewidzialny, nawet dla ważnych osób w organizacji - był na tym samym szlaku podróży w czasie.

Tak, robiono eksperymenty. Miała dość wiedzy fachowej, by poznać szczegóły, których wtedy by nie zrozumiała. Jakiś skutek fizjologiczny, to oczywiste. Odpowiedź ma charakter fizyczny, mówiła Sattva. Nic dziwnego, że jej chcieli. Lynn usiłowała sobie przypomnieć, co wie o mikrotubulach, ale poczuła zmęczenie. Dimery tubularne istniały na dwóch płaszczyznach, jedna obrócona o trzydzieści stopni w stosunku do drugiej. Wydawało

się prawdopodobne, że zwodniczy bionan, pozyskiwany z węgorzy, miał coś wspólnego z funkcjonowaniem dimerów tubularnych mikrotubuli...

Ścisnęła laskę tak mocno, że rzeźbione nacięcia zaczęły wrzynać się w jej dłoń, powodując ból. Położyła laskę na kolanach i pomyślała o swoim ojcu. Ciekawe, co on wiedział?

Nie kontaktowała się z nim od dobrych kilku lat, dotknięta, chociaż niezaskoczona, tym, że ją wydziedziczył emocjonalnie, kiedy próbowała robić karierę muzyczną. Potwierdziła się wątpliwość, której Lynn doświadczała od śmierci matki i powtórnego ożenku ojca: bardziej kochał bliźniaki. Byli tacy doskonali, dobrzy i posłuszni, żądni sukcesu tak samo jak ich równie dobra i równie posłuszna matka. Nie to co Lynn, której matka była niezależna i błyskotliwa. Ojciec zaofiarował się, że będzie opłacał jej edukację, jeśli zmęczy się śpiewaniem i wróci do szkoły, ale była na to zbyt dumna i oczywiście nie potrzebowała takiej pomocy, zwłaszcza że dostawała pieniądze z patentów matki. Miała dobrą sytuację finansową. Nie była bogata, ale wystarczało, gdy inteligentnie zarządzała posiadanymi zasobami. Wysyłał jej kartki z wakacji, a ona chodziła na rodzinne uroczystości, chociaż trzymała się na dystans. Teraz zastanawiała się, czy może nie zdystansowała się za bardzo. Może ojciec się zmienił. Może chciał jej wynagrodzić pewne rzeczy. Mimo iż jego matka zaliczała się do osób długowiecznych, on sam był raczej słabej konstytucji. Będąc teraz tak daleko od niego, czuła, że postępowała zbyt egoistycznie, że okazywała zbyt wielką dumę. Ekspansywna sceneria, w jakiej się znalazła, i całe to dziwne, nieprzewidziane interludium pomogły jej lepiej zrozumieć wiele spraw.

Ojciec nadal zachowywał miejsce w radzie IS, ale bliźniacy mieli chyba całkiem sporą władzę. Większą niż jego? Z pewnością. Pamiętała, jaki był oburzony eksperymentami. Była absolutnie pewna, że jeśli chodziło o tego rodzaju eksperymenty, jej bracia nie mieliby najmniejszych skrupułów.

Ale i ona sama nie mogła się uważać za wzór moralności. Przypomniała sobie, że nie odrzuciła zachęty Jamesa do korzystania z machinacji IS i że na wszelki wypadek zakodowała kluczowe informacje w swoim paszporcie.

No i dobrze, powiedziała sobie z niecierpliwością. To pomogło ci ocalić życie Akamu. Przestań się obwiniać. Jak ktoś taki jak ty może walczyć z Interspace? Jedna mała kobieta walcząca z wielogłowym potworem. Który nie jest całkiem zły.

Wiatr przynosił zapach śniegu powyżej trawiastych zboczy, skąd lepiej widziała szerokie, zaśnieżone pola i lodowce, które pokrywały te zdumiewające szczyty. Ręce miała sztywne z zimna. Najlepiej będzie wrócić. Miała nadzieję, że Hawkins wrócił i że będą mogli

ruszyć w drogę, uciec od tego eterycznego nonsensu. Kiedy medytowała, nie miała określonego celu. Z pewnością nie myślała o połączeniu świadomości z grawitacją kwantową albo o ratowaniu rodzaju ludzkiego! Wiedziała tylko, że robi się bardzo niespokojna, jeśli nie medytuje, tak samo jak wtedy, gdy nie mogła biegać. Na przykład teraz. Gdyby nie noga, chętnie by pobiegała. Tylko że na tej wysokości ciężko jej się oddychało. Postawiła laskę i kilkakrotnie uderzyła nią w kamienie. Ależ byłoby miło zapuścić się w te góry! Jeśli Hawkins wkrótce nie wróci, skorzysta z ich wymyślnego systemu i wyjedzie stąd w cholerę.

Wstała. Skoro już tu jest, może przy okazji zobaczyć świątynię. Wspaniale, że znalazła się w samym sercu jednego z najważniejszych centrów buddyzmu. Żałowała, że nie potrafi odczuwać pokory, ale taką już miała osobowość. Powiedziała sobie, że będzie oglądać świątynię, rejestrować ją, podziwiać i żałować, że nie jest w stanie zdobyć się na intensywniejsze odczucia.

Ale marudzę, pomyślała. Wszystko przez tę wysokość. Zaczynała ją boleć głowa. Im prędzej wyjadą, tym lepiej.

Pokuśtykała do otwartych drzwi, czując się przytłoczona ich ogromnymi rozmiarami.

W środku paliły się wszystkie lampy. Kolejny raz spojrzała na złocistego Budde, zachwycając się oddaniem tych, którzy wzniesli tę oszalamiającą budowlę na cześć - no właśnie, czego? Stanu umysłu? Stanu istnienia? Czy ta świątynia miała być symbolem ścieżki do innego wszechświata? Korytarze zdawały się ją przywoływać. Nagle uświadomiła sobie, że to tylko wejście do ogromnego labiryntu.

- Lynn!

Odwróciła się spłoszona. Z cienia wynurzył się Akamu. Chociaż mówił bardzo cicho, ogrom zamkniętej przestrzeni nagłaśniał jego szept.

- Cześć - powiedziała. Jej głos brzmiał trochę dziwnie w wielkim pomieszczeniu. - Gdzie byłeś?

- Zasnąłem w kopule. Potem przyszedłem tutaj, żeby się rozejrzeć.

Ha. Tajna kopuła Sattvy posłużyła do przyziemnej drzemki.

- Pięknie tutaj, prawda?

- Trochę to przerażające.

- Jesteś przerażony? - zapytała i podeszła do niego. Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę i mocno go przytuliła, z trudem opasując jego okryte grubą kurtką ciało. Na chwilę przywarł do niej, a potem wyswobodził z objęć.

- Chyba tak. Trochę.

Nastąpiła seria pytań.

- Co my tutaj robimy? Dlaczego ten dom wyleciał w powietrze? Dokąd zmierzamy?

Rozejrzała się i dostrzegła małą wnękę z fotelami.

- Usiądźmy.

Usiedli twarzą w twarz. W świetle lamp połowa jego twarzy zrobiła się złocista jak u Buddy.

- Niestety, chyba nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań - powiedziała. - To nie był mój pomysł, żeby tu przyjechać. Hawkins to... stary przyjaciel. Mojego ojca. Zabiera nas gdzieś... - zawahała się.

- Ale dlaczego? - prawie krzyknął i wydawało się, że jest speszony swoim wybuchem.

Natychmiast uznała, że lepiej będzie powiedzieć mu wszystko, co mogła. W razie gdyby coś jej się stało, potrzebował wszystkich informacji.

- Jesteś kimś wyjątkowym - powiedziała. - Sądzę, że jesteś klonem króla Kamehameha.

Zmrużył oczy. Przez jakiś czas nie patrzył na nią. W końcu odezwał się:

- Nie wierzę ci. Klonowanie jest nielegalne. Moja matka nazywała się Lelani. Mój ojciec nazywał się Don. Zginęli w wypadku, kiedy byłem bardzo mały. Tak mały, że nawet tego nie pamiętam. - Zamknął oczy, potem otworzył je i mówił dalej. - Zawsze mieszkałem z moją ciotką. Kilka miesięcy temu pokazali się John i Ellen i ciotka powiedziała, że oni się mną opiekują podczas jej pobytu w szpitalu. Nie pozwalali mi wychodzić na dwór i bawić się. Potem dom wyleciał w powietrze. I ty mnie zabrałaś. Porwałaś mnie. - W jego głosie z każdym słowem słychać było coraz większą urazę.

- Dobrze. W takim razie nie jesteś klonem. Gdzie mieszkałeś?

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Kto tak powiedział?

- Moja ciocia.

- Dlaczego?

- No... tak po prostu.

- Mówię ci wszystko, co wiem. Ty też musisz mówić mi wszystko. Przemyśl to, Akamu. Rozumiem, że nie chcesz się pogodzić z tym, że jesteś klonem. Ale przecież wiesz, kim był Kamehameha, prawda?

- Oczywiście - odparł, unosząc brodę. - Był pierwszym królem, który zjednoczył hawajskie wyspy. Działo się to pod koniec osiemnastego wieku. I tu właśnie kryje się bzdura. Wiem, że klonowanie ludzi jest możliwe. Ale ten gość nie żyje od ponad dwustu lat, więc to, co mówisz, jest niedorzeczne. Pewno myślisz, że nie mam pojęcia o niczym.

Lynn oparła się o fotel. Naturalnie, że nie mówiła mu o wszystkim. Jak mogła mu powiedzieć, że jego dwaj poprzednicy - a może było ich więcej - zostali zamordowani? Nie wiedziała, kto to zrobił. Możliwe, że RO jakimś sposobem potrafił stworzyć klona, ale miała co do tego wątpliwości. Jej zdaniem to musiała być robota IS. Może chciała zobaczyć, czy to jest możliwe. Dla ludzi z tej organizacji był to wystarczający powód. Do tego wniosku skłoniły ją jej własne wspomnienia. Być może coś było nie w porządku z poprzednimi wersjami albo ktoś się o nich dowiedział i dlatego IS kazała ich wyeliminować. Może chcieli zwodzić Akamu od początku, skłonić go, by uwierzył, że wychowywano go na przywódcę RO, a potem, gdy już odniesie sukces, kontrolować za pośrednictwem jego osoby cały ruch.

Właściwie jej pierwotna teoria, że RO stworzył klony, wydawała się sensowniejsza - tylko że według jej wiedzy jedyne urządzenia laboratoryjne zdolne do produkcji klonów i posiadające przeszkolony personel należały do IS. Ale najtrudniejszym etapem było wszystko to, co prowadziło do zdolnej do przeżycia zygoty. Potem trzeba było tylko wszczepić ją matce zastępczej.

A kiedy uzyskali jedną, wytworzyli następne, które mogli zamrażać.

Pogłoska, że Cen Kalakaua jakimś cudem zostawił im te kości, również wydawała się prawdopodobna. Był czystej krwi Hawajczykiem. Przypomniała sobie, że zostawił im również jakieś debilne „Dowody Kaiulani”, które IS usiłowała zdobyć od jakichś piętnastu lat, odkąd tylko zaginął po nim ślad. Wiedziała o nich tylko dlatego, że bardzo interesowała się tymi kośćmi.

Przeszedł ją mimowolny dreszcz. Ten siedzący przed nią dzieciak był początkiem i końcem wszystkiego. Teraz był wolny, wyalienowany, ale wolny. Mógł żyć własnym życiem.

Akamu przyciągnął nogi do klatki piersiowej i wychylił się do tyłu, ułożywszy głowę obok kamiennej bogini. Patrzył na pokój medytacji. Zapewne intensywnie myślał, błyskawicznie rozważając jej nieprawdopodobną tezę, usiłując znaleźć w niej jakąś nielogiczność. Widziała, jak dygotał, mimo że dostał od kogoś ciepłe nakrycie głowy.

- Akamu - powiedziała, ale on natychmiast zerwał się z miejsca.

- Posłuchaj! - rzekł.

Rozległo się sugestywne buczenie rogu, które słyszała poprzedniego wieczoru, delikatnie akcentujące zachód słońca.

- Teraz oni się tu zjawia! - wykrzyknął.

- Może powinniśmy pójść do jurty - powiedziała. - Jesteś głodny i przemarznięty.

Potrząsnął głową.

- Rozpalają ognisko i powiedzieli, żeby tam siedział dziś rano. Sattva powiedziała,

że mogę się przyglądać. Moja... ciocia kiedyś medytowała. - Zerwał się na nogi i ostrożnie przeszedł między rzędami poduszek, po czym zniknął w cieniu za Buddą.

Na taras wszedł chudy mężczyzna, który zapalił pochodnie. Zaczęli napływać ludzie. Do Lynn podszedł mężczyzna, który z uśmiechem zachęcił ją, by usiadła na którejś z poduszek. Przyjęła zaproszenie.

Noga bolała ją coraz mniej. Kiedy usiadła na poduszce, znowu zaczęła się zastanawiać, czy dla Akamu nie będzie najlepiej, żeby uwolnił się od organizacji, która stała za jego plecami, bez względu na to, czy była to IS czy RO. I jedna, i druga najwyraźniej zamierzały go potraktować jak pionka. Powinien zniknąć i odrodzić się. Nauczyć się wykorzystywać nietuzinkową inteligencję dla swoich własnych celów.

Co do niej samej, miała wrażenie, że wynurza się z długiego tunelu i uświadamia sobie, że świat jest większy i mniej skoncentrowany na niej, niż zawsze myślała.

*

W trakcie tego, co uważała za sesshin, praktykę zazen, śpiewanie przerwał ochryply szept do jej ucha. Rozpoznała Hawkinsa.

- Gdzie jest Akamu? Musimy iść. Natychmiast.

Otworzyła oczy, natychmiast odzyskując czujność.

Wokół siebie widziała mroczne, zawodzące postacie. Na podium widziała Dalajlamę, za jej plecami lśnił Budda.

Naciągnęła buty i wstała.

Przemykała po obwodzie pokoju, mając za plecami Hawkinsa. Minęła trzy wnęki z piecykami, ale nigdzie nie widziała Akamu. Starła się nie wpadać w panikę i kontynuowała poszukiwania. W następnej wnęce z ulgą dostrzegła chłopca. On również ich zobaczył, gdyż wstał i czekał w milczeniu, aż podejda bliżej.

Hawkins dał Akamu znak, żeby szedł za nim, ale schował się z powrotem do wnęki, kiedy usłyszeli głosy ludzi żądających czegoś po chińsku. Z jednej z dużych kieszeni wyciągnął jakiś pakunek i wcisnął go Lynn do ręki. Rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Nachylił się ku Lynn i powiedział:

- Tam są drzwi. Biegnij.

Akamu, z twarzą ponurą i wyglądającą o wiele starszej, niżby sugerował jego wiek, szarpnął Lynn za ramię. Pokazał jej korytarz. Chwycił za ramię Hawkinsa, ale ten odepchnął oboje, ponaglając ich wzrokiem.

Usłyszała, że ktoś biegnie, a potem rozległ się suchy terkot i krzyk, który mógł paść z ust Hawkinsa...

Odwróciła się bez namysłu i zobaczyła wszystko w ułamku sekundy - szeroki, nisko sklepiony korytarz, błyszczący od wilgoci w świetle narożnej pochodni w rogu, skąd wychodził inny korytarz i wielki hol; posadzka wykładana ziarnistymi, marmurowymi płytami, po której przez stulecia stąpało tyle osób...

A w odległości dwudziestu metrów Hawkins wijący się na podłodze i dwóch mężczyzn w ciemnych uniformach, którzy ku niemu podbiegali, trzymając oburącz broń...

Akamu złapał laskę Lynn i wepchnął ją do ciemnej, płytkiej wnęki. Myślała, że dołączy do niej, ale on odwrócił się i rzucił do Hawkinsa, imponując szybkością i siłą. Lynn patrzyła z przerażeniem, jak Akamu chowa się za kolumną.

Uderzył laską w głowę pierwszego żołnierza. Lynn usłyszała gwałtowny trzask, kiedy mężczyzna padł bezwładnie na podłogę, wypuszczając broń. Drugi żołnierz przykucnął i wycelował swoją broń. Jednak Akamu podniósł karabin pierwszego żołnierza i zanim Lynn zorientowała się, o co chodzi, strzelił.

Żołnierz zatoczył się do tyłu z krzykiem i padł.

Przekładając wprawnym ruchem pasek broni, Akamu chwycił Hawkinsa za rękę i zaczął go ciągnąć w kierunku Lynn.

Jej nogi dygotały, ale zmusiła się do tego, żeby podbiec i mu pomóc. Złapała Hawkinsa za kostki w nodze... jego twarz była zakrwawiona... obejrzała się za siebie i usłyszała tylko, jak Sattva szybko daje wskazówki u wlotu korytarza.

Potem Sattva podbiegła do nich, każąc jednemu z mężczyzn, żeby szedł za nią. Szaty falowały za jej plecami. Zdarła diadem i rzuciła go za siebie. Odbił się o posadzkę z głuchym łomotem.

- Tutaj - krzyknęła. - Po prawej stronie.

Przebiegła obok nich i natknęła się na drzwi, które wyglądały po prostu jak część wykładanej ozdobnymi panelami ściany.

- Do środka - zawołała. - Szybko! - Zamknęła i zaryglowała drzwi, kiedy weszli.

Kazała mężczyźnie złapać Hawkinsa za kostki nóg. Ruszyli szybko korytarzem, chociaż Akamu i mężczyzna ciężko dyszeli. Korytarz był zwyczajny, wąski, z niskim sufitem i podłogą, w którą wtopiono małe fosforyzujące światła. Wilgoć świadczyła o tym, iż od wieków nie zaglądało tu słońce.

Lynn szła w tyle. Z wrażenia zapomniała o bólu nogi. Głowę rozsadzał natłok pytań. Po mniej więcej czterech minutach niekończących się zakrętów jak w labiryncie, Sattva otworzyła kolejne drzwi i pokazała im, że mają wejść do środka.

Pomieszczenie nie było zbyt duże - jakieś cztery na cztery metry. We wnęce stało

wysokie łoże, okolone fryzem z drewnianych figurek. Na jednej ścianie stały książki - Lynn zobaczyła tomy z zakresu fizyki, matematyki, a także rzędy czegoś, co wyglądało na dyskietki z aktualizacjami z gazet. Druga ściana była wypełniona półkami z rozpadającymi się, zabytkowymi manuskryptami. Sterty postrzępionego, nierównego papieru przydawały pokojowi zatęchłego odor, który mieszał się z jakimś korzennym aromatem. Zamiast wszechobecnych lamp maślanych przeważały światła elektryczne.

Łoże było przykryte czerwonym jedwabiem.

- Połóżcie go tam - powiedziała Sattva. Po jej twarzy ściekały łzy.

Hawkins oddychał, chociaż jego twarz i koszula były poplamione krwią. Kiedy otworzył oczy, Lynn była zdumiona.

- Rana skalpu - rzekł bełkotliwym głosem. Sattva powiedziała coś do niego ostrym tonem po tybetańsku, a on odrzekł coś łagodnie w tym samym języku. Uśmiechał się przez chwilę. Sattva ścisnęła go za rękę.

- Akamu zabił co najmniej jednego żołnierza, nastąpi więc odwet, chyba że coś wymyślimy - oznajmiła. - Ale na pewno coś wymyślimy. Jesteśmy przyzwyczajeni do zajmowania się takimi rzeczami. - Mówiąc te słowa, krążyła po małym pokoju z powagą i opanowaniem. Otworzyła jakąś szafkę, wyciągnęła maskę tlenową i przyczepiła ją do zbiornika w rogu. Napełniła miskę wodą i umyła Hawkinsowi twarz, patrząc na niego z żarliwą czułością. Hawkins spojrział na nią i znowu przemówił. Sattva przyłożyła ucho do jego ust i słuchała go przez chwilę, a potem kiwnęła głową. Po jego następnych słowach zerknęła z ukosa na Lynn. Potem on przyłożył rękę do ucha i zwiesił głowę na bok.

- Jest nieprzytomny - powiedziała Sattva. - Może to i dobrze. Powiedział, że jest mu przykro. - Rozejrzała się z roztargnieniem i ciągnęła, jakby mówiła do samej siebie. - Idiota. Dlaczego jest mu przykro? Że próbował ocalić dziedzica hawajskiego tronu?

Lynn poczuła, że uginają się pod nią nogi.

- Co?

Sattva chwyciła wiszącą na gwoździu na ścianie miskę i wręczyła ją Akamu.

- Napompuj mi trochę wody, dobrze? - Pokazała małą ręczną pompę obok kamiennego zlewu w rogu pokoju. - O tak, pompuj, pompuj. W końcu polecisz. - Do miski zaczęła cieknąć woda i Akamu ostrożnie podał ją Sattvie. - Postaw ją na stole - poleciła. Przez chwilę myła Hawkinsowi głowę, a potem powiedziała: - Dobrze, to faktycznie tylko rana skalpu. - Potem zwróciła się do Akamu. - My Tybetańczycy wiemy, co znaczy oglądać się na kogoś, prawda? Lubimy mieć jakąś niemal mitologiczną postać, w którą możemy wierzyć na przekór wszystkiemu. To największa odpowiedzialność na świecie, młody człowieku.

Rozumiemy, co to znaczy żyć całe stulecia pod dominacją cudzoziemców. Rozumiemy, co to znaczy tęsknić za posiadaniem ziemi, którą mieli na własność nasi przodkowie, zamiast uprawiać ją dla kogoś, kto płaci psie pieniądze. Wiemy, co to znaczy oglądać się na kogoś, skupiać na kimś uwagę. - Potem raczyła przemówić do Lynn, jednocześnie otwierając i zatrzaszkując szafki. - Na tobie również spoczywa wielka odpowiedzialność. Ale wygląda na to, że jesteś w stanie jej sprostać. Cholera, gdzie się podziały te nożyczki?

Uklękła i szarpnęła szufladę, wyrzuciła ubrania na podłogę, chwyciła parę długich nożyczek i pochyliła się nad Hawkinsem. Rozsunęła kurtkę Hawkinsa i przecięła jego koszulę na środku. Kiedy zobaczyła jego brzuch, wstrzymała oddech.

- Obawiam się, że to coś więcej niż rana skalpu. - Niepewnie wypuściła powietrze z ust i zgarbiła się. Do mężczyzny, który pomagał nieść Hawkinsa, powiedziała: - Sprowadź Madhur. Mogłaby przyjechać za pięć godzin. Ale wtedy prawdopodobnie będzie za późno. Jednak z pewnością nie chcemy tych Chińczyków.

- Już ją wezwałem - odparł mężczyzna. - Jest w drodze.

- Czy mogę pomóc? - zapytała Lynn. Powietrze było duszne. Hawkins jęczał. Akamu siedział wyprostowany, gapiąc się na Sattwę. Lynn zauważyła, że był tak samo zdumiony jak ona.

Sattwa w dalszym ciągu rozcinała koszulę, a potem kurtkę.

- W tamtej szafce jest zestaw pierwszej pomocy - rzekła.

Lynn otworzyła drzwi i znalazła zestaw za jakimiś ubraniami.

- Myślałam, że Hawkins jest przyjacielem mojego ojca - powiedziała. - Co on wie o RO? Dlaczego mój ojciec miałby mu kazać pomagać osobie związanej z tym ruchem?

- Jesteśmy w branży zajmującej się niszczeniem paradygmatów, pamiętasz? - Po chwili głos Sattvy złagodniał. - Dużo pionierskiej matematyki na temat jednoczenia różnych twierdzeń, które ujmują przestrzeń wyższego wymiaru, to zasługa Hawajczyka, Cena Kalakaua. Przestudiowałam jego życiorys, podobnie jak życiorysy wszystkich wielkich matematyków. Siebie, oczywiście, do tej ligi nie zaliczam. Ale dzięki niemu sporo wiem o sytuacji na Hawajach.

Akamu nic nie mówił, ale jego oczy płonęły.

Sattwa skończyła nacinanie i cisnęła zakrwawioną odzież na podłogę. Lynn wyjęła tampon z zestawu pierwszej pomocy. Sattwa chwyciła go i przycisnęła do rany w boku Hawkinsa.

- Ciekawe, co się tam stało. - Zwróciła się do mężczyzny.

- Czy zjawili się kolejni Chińczycy? - zagadnęła.

- Na razie nie - odparł. - Ale sądzę, że próbowali dotrzeć do pozostałych.

- Tak czy owak, musimy zaryzykować i zabrać go do kopuły - powiedziała Sattva. - Będą nam potrzebne nosze. Natychmiast przyślij tutaj Juana i każ mu przynieść wszystko, co jest potrzebne do podłączenia kroplówki.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł. Hawkins był już nieprzytomny, ale jeszcze oddychał.

Sattva zakrwawioną ręką odgarnęła włosy za ramię i powiedziała do Lynn:

- Dla niego najbardziej pomocna będzie zapewne świadomość, że udało wam się uciec. Umówił się w ten sposób, że helikopter zabierze was do Kathmandu, ale będzie tu dopiero jutro. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli pójdziecie do granicy z Nepalem. To tylko dwadzieścia kilometrów. Z twoją nogą będzie to trudne, ale z pewnością wykonalne. Jeśli będziecie szli całą noc, znajdziecie na rano. Stamtąd ktoś za pieniądze może was zabrać do Kathmandu, a może i dalej. Zatrzymują się tam autokary turystyczne. Możecie po prostu udawać, że jesteście turystami. Zaczną was szukać pewnie najwcześniej jutro po południu. Szlak zaczyna się zaraz za świątynią. Hawkins zaproponował zabranie chińskiego helikoptera, ale sądzę, że to by ich tylko rozwścieczyło jeszcze bardziej. Ten rozbije się później z dwoma pechowymi żołnierzami, którzy natrafią na niekorzystne wiatry. Zaczekaj. - Przeszła przez pokój i dotknęła panelu. - Znajdź im przewodnika, plecaki i latarki - powiedziała do kogoś.

Sattva wzięła głęboki oddech. Chyba usiłowała wziąć się w garść. W końcu powiedziała:

- Och, znaleźliśmy jakąś wiadomość dla ciebie, Lynn.

- Jak to?

- Przepraszam - powiedziała Sattva - ale zagrażasz naszemu bezpieczeństwu. Oczywiście musieliśmy wszystkiego się o tobie dowiedzieć. To wiązało się ze sprawdzeniem twojej obecności w Sieci. - Wstała i otworzyła inne drzwi, wyciągnęła kurtkę i narzuciła ją na siebie.

- Jak mogliście to zrobić? - Lynn była zdezorientowana. Sattva wydawała się taka życzliwa. - Nawet nie znacie mojego hasła.

- Daruj sobie, Lynn - odparła Sattva. - W każdym razie ten mail był od Maui. Słyszałaś o nim kiedyś?

- Maui? - Zauważyła, że Akamu robi się czujny. - A ty znasz Maui? - zapytała Akamu.

- Nie - rzekł szybko Akamu.

Puściła to mimo uszu. Nie wiedziała, co to za jeden.

- Co było w tym mailu?

- Nic - odparła Sattva. - To był tylko adres. Kiedy znajdziesz czas, sama skądś go zdobędziesz. Hawkins mówił mi coś o twoim ojcu dosłownie przed chwilą, Lynn. - Sattva na moment umilkła. - Wygląda na to, że zmarł kilka dni temu - dorzuciła.

Lynn wstała, a potem usiadła, oszołomiona.

- Jak?

- Hawkins nie powiedział. - Sattva umyła ręce w misce. Wyglądała znacznie starszej - Lynn uświadomiła sobie, że być może Sattva wygląda teraz na swój wiek. Pięćdziesiąt lat?

Odwróciła się do Lynn, wycierając ręce w róg koszuli.

- Strasznie mi przykro. Przykro mi, że to się stało, i że musiałaś się o tym dowiedzieć tutaj.

Lynn kiwnęła głową, w dalszym ciągu otępiała. Oczy miała pełne łez, przez co wszystko wydawało się bardziej surrealistyczne niż w rzeczywistości - błyszczące boginie falowały przed nią w dziwnie zniekształconym tańcu. Żadnej śmierci, żadnego życia. Oświecenie, samsara, reinkarnacja - która oczywiście jest porażką, z wyjątkiem świętych bodhisattva. Cała ta buddyjska bzdura!

Akamu wziął ją za rękę i ścisnął. Łzy pociekły strugą. Jakie to dziwne, pomyślała, że to on ją pociesza! Odwzajemniła uścisk i otarła oczy.

Sattva patrzyła na Hawkinsa przez długą chwilę. Oczy miał zamknięte, twarz poszarzałą, ale oddychał miarowo.

- Głuptasie - szepnęła, dotykając jego czoła. Potem wyprostowała się żwawo. Drzwi otworzyły się i ktoś - Juan? - wszedł z torbą na ramieniu, w towarzystwie jeszcze trzech osób.

- Przewodnik jest gotowy - powiedział mężczyzna.

- Dziękuję - odparła Sattva i po raz ostatni spojrzała na Hawkinsa. - Chodźcie ze mną.

- Odsunęła ciężkie drzwi z drewnianej płyty, które wyglądały jak część ściany.

Weszli do mniejszego, skąpanego w przyćmionym świetle pokoju. Ściany były tu w całości inkrustowane obrazami ze złota i turkus. Niski podest był otoczony czymś w rodzaju rzeźbionej w drewnie altanki. Sattva podeszła do podestu i strzepała jedną poduszkę, a następnie w pozornie przypadkowej kolejności pchnęła kilka piór drewna, które tworzyły złącza podium. Podium zakołysało się w górę i do środka wpadło zimne powietrze.

Czekał tam niski mężczyzna, porządnie obciążony, z dwoma plecakami. Jeden wręczył Akamu, a drugi Lynn.

Sattva wyciągnęła rękę i dotknęła Lynn między oczy palcem wskazującym. Potem złożyła ręce na piersi i ukloniła się.

- Namaste - powiedziała Lynn, skłoniwszy głowę, lecz Akamu rzucił się naprzód i uściskał Tybetankę.

Lynn włączyła latarkę i weszła na zimną, ciemną klatkę schodową.

CEN

Londyn 2014

11

Gwar okraszonych śmiechem rozmów podczas lunchu w „White Ox” to narastał, to znów przycichał. Duże pomieszczenie miało rustykalny charakter z racji odsłoniętych belek i boazerii, pachniało pasztecikami z mięsem i wilgotną wełną.

Jednak Cen trzymał się z dala od biesiadującego tłumu i nie zwracał uwagi na swoje otoczenie.

Siedział na taborecie przy wyszczerbionej, drewnianej ladzie, a po grubym, falistym szkle szyby przed jego oczami skapywały krzywo krople deszczu. Małe pojazdy elektryczne sunęły cicho wokół położonego dalej cyrku niby wielobarwne chomiki, tworząc żywy kontrast w stosunku do ponurych, kamiennych budowli, które otaczały drogę.

Cen w zamyśleniu zapił nieco przypalone sardynki z grilla łykiem ciepłego, gorzkiego piwa. Podniósł swoje pióro, które uruchomiło ekran notebooka. Jeden błysk zasygnalizował gotowość sprzętu. Potem coś niepokojącego przykuło jego wzrok. Zerknął przez zadymione okno i zmarszczył brwi.

Tak, to była Smith. Stąpała ciężko po wzgórzu razem z tłumem. Wszyscy nieśli ociekające wodą czarne parasole, które złożyli jednocześnie, gdy podeszli do „White Ox”.

Grube drewniane drzwi obok niego otworzyły się ze skrzypieniem i roześmiana, rozgadana grupa weszła do środka razem z podmuchem wiatru. Cen odwrócił się i zgarbił nad ekranem, ale wszystko to na nic się zdało.

- Cen! - Smith, wysoka i ubrana w drogie ciuchy blondynka, wyrwała się z tłumu i precyzyjnie między stolami, żeby do niego dotrzeć. Lekko dyszała, a Cen zamrugał oczami, które zawsze go piekły od jej perfum. - Zjedz lunch razem z nami, Cen, dobrze?

Pokazał jej swój pusty talerz, czując mdłości w żołądku.

- Właściwie już skończyłem, Judy. Naprawdę muszę wracać.

- Odepchnął swój taboret i wstał.

- Ach, nonsens - odparła. Właściwie była bardzo atrakcyjna. Cenowi wydawało się, że jest ciemną blondynką. Jej włosy lekko się kręciły, tworząc trochę niesforną fryzurę. Cere miała prześlicznie bladą, a niezmiennie zaróżowione policzki kontrastowały z dużymi niebieskimi oczami. Cen już dawno przekonał się, że nie nawykła do tego, by ktoś się z nią nie zgadzał.

Zerknęła na pusty ekran.

- Widzę, że intensywnie rozmyślasz.

Pewno byś chciała wiedzieć, o czym tak rozmyślam. Rozdrażniony, sięgnął do kieszeni i rzucił kilka monet na kontuar.

- Powiedziałem, że już skończyłem. - Zgarnął notebooka do torby i zamknął ją.

Judy przechyliła głowę, a potem gwałtownie nią skinęła.

- Świetnie, Cen. Możemy to zrobić po twojemu. Proszę, żebyś przyszedł do mojego biura dzisiaj po południu, o czwartej trzydzieści. Oczekuję pisemnego raportu oraz twoich plików z ostatniego miesiąca. Bez poprawek, jeśli łaska. - Jej oczy mówiły: „Stąpasz po kruchym lodzie”.

Zobaczył, że Hibritten zamawia dla nich to, co zwykle. Cen spojrział na duży okrągły stół, gdzie sadowiła się reszta grupy Smith. Silverstein zdjęła rękawiczki i cisnęła je na blat, usiadła i ujrawszy Cena, uśmiechnęła się do niego i przywołała go gestem ręki.

Kiedy pierwszy raz zawitał do Oksfordu, uwielbiał te nieformalne spotkania podczas lunchu. Każde otwierało jakieś drzwi w jego umyśle, pokazywało nowe sposoby patrzenia na nabytą już przez niego wiedzę, popychało go coraz bliżej Kaiulani, ku temu, by zobaczyć ją znowu i przeżyć to doświadczenie w sposób kontrolowany. Tutaj, w centrum świata fizyki kwantowej i kosmologii, Cen odnajdował ukryty nurt milczącego, ale potężnego podniecenia, który przypominał wzbierającą falę. Zaczął myśleć o swoich dawnych spotkaniach z Kaiulani jak o desce surfingowej umożliwiającej mu przechowywanie informacji, dzięki którym był w stanie złapać falę i w odpowiednim momencie popłynąć na niej z oszalamiającą prędkością do zupełnie nowego brzegu. Panowała coraz większa zgodność co do tego, że życie jest niemal niewyobrażalnie dziwne. Pytanie, które pojawiała się wielokrotnie w umyśle Heisenberga po jego licznych rozmowach z Bohrem

- „Czy natura może być tak absurdalna, jak nam się wydawało w tych eksperymentach z atomami?” - teraz doczekało się definitywnej odpowiedzi.

Tak.

Weźmy choćby jedną rzecz - Twierdzenie Bella, który dowiódł, że rzeczywistość fizyczna może istnieć tylko w środowisku informacji szybszej od światła.

I że to środowisko jest zwykłym światem obiektów, który jest... tworzony, by tak rzec, przez informację dochodzącą z innego miejsca... ponad granicami. Szybciej niż światło!

Tego faktu nie podważano przez ponad pięćdziesiąt lat. Ale co on naprawdę oznaczał?

Cen był przekonany, że ów zasadniczy fakt miał coś wspólnego z jego związkiem z Kaiulani.

Przez pierwsze tygodnie po jego przybyciu odbywała się międzynarodowa konferencja. Cen był zachwycony, kiedy Judy, doktor Judith Smith, zaopiekowała się nim i zadbała, żeby nadażał. Ledwo mógł uwierzyć, że obcuje z ludźmi, których dowody i referaty kiedyś przeglądał, z ludźmi, wśród których byli laureaci Nagrody Nobla. Patrzył podekscytowany, jak luminarze kosmologii podkreślają swoje argumenty i debaty odpychając naczynia i szkicując coś na serwecie. Potem oferował swój spiralny notebook, ilekroć było to możliwe, a teraz jeden cenny noteboook zapełnił się szalonymi spekulacjami na temat tachionów i początków czasu - jeśli czas w ogóle miał początek...

To było jeszcze zanim odkrył, że Judy pracuje dla IS.

Stało się to zupełnie przypadkowo. Był w jej biurze, czekał na nią, kiedy na malutkim narożnym ekranie zaświecił się obraz jakiegoś mężczyzny, który powiedział: „Doktor Smith, tu Ed Nicholman z Interspace w Londynie. Proszę jak najszybciej oddzwonić”. W trakcie tej wiadomości weszła do pokoju. Udała, że nic się nie stało, ale wiedziała, że się domyślił.

Poczuł się jak idiota.

Oczywiście zakodował całą pracę, którą wykonał w związku z tym, co sam nazwał Dowodami Kaiulani, ale wszystko, co jest zakodowane, można odkodować. Judy widziała tylko jego pracę kursową, nic więcej. „Pracował” nad problemem z doktoratu, który rozwiązał już dawno temu. Wydzierał jej jakieś kawałki, ilekroć tego żądała, ale większość czasu spędzał wykorzystując wspaniałe zasoby do rozwiązywania własnych problemów. Zastanawiał się, czy i kiedy Smith wybuchnie i bezceremonialnie przypomni mu o układzie, jaki zawarł z IS.

Nałożył płaszcz, pomachał do Silverstein, zarzucił torbę na ramię i wyszedł na deszcz.

Poczuł na twarzy gwałtowny podmuch zimnego wiatru. Biedna Kaiulani, odesłana z raju do tego wilgotnego klimatu. Nic dziwnego, że ciągle chorowała.

Nieustannie o niej myślał. Martwił się o nią, jakby była żywą istotą, jakby to zamartwianie się mogło doprowadzić do czegoś dobrego. Tęskniła za domem. Prosiła o trochę więcej pieniędzy, całkiem grzecznie. Pisała o swojej pracy na kursie - o matematyce, językach, polityce, historii. Pytała o sytuację w kraju, ponieważ listy z Hawajów były takie dziwne i tajemnicze, nakazywały jej nie ufać nikomu.

Pod wpływem impulsu skręcił w kierunku stacji metra. Oksford był teraz faktycznie częścią Londynu, połączoną metrem i opodatkowaną stosownie do nowego statusu.

Idąc po kałużach i nie zważając na coraz bardziej mokre stopy, Cen snuł rozważania. Słyszał pogłoski, że IS ma jeszcze innych studentów w Oksfordzie i na całym świecie, którzy zajmują się różnymi problemami. Inżynieria genetyczna, nanobiologia, nanotechnologia. Co pewien czas odprężał się i ścigał jakieś wiadomości, gdzie eksponowaną rolę najczęściej odgrywała historyjka o kolonii na Księżycu, która znowu zaczęła funkcjonować. Kolonia na Księżycu i statek pokoleniowy, który miał być zbudowany w oparciu o bazę księżycową, były oczkiem w głowie Interspace. W sprawę zaangażowało się wielu inwestorów. I wielu sceptyków, uderzających w alarmistyczny ton. Niektórzy argumentowali, że to zbyt komercyjne przedsięwzięcie, zważywszy proponowane centrum handlowo-rozrywkowe. Przeciwwstawiali się im ci, którzy pokazywali bardzo zawyżone prognozy zysków, które można było wykorzystać do przyspieszenia prac nad statkiem pokoleniowym. Bardzo rzadko zdarzały się wnikliwe materiały sugerujące, iż IS ma również swoją ciemną stronę. Spróbuj kliknąć linki do tych historii, a zobaczysz, jak daleko uda ci się dojść!

Na stacji Cen nagle zmienił zdanie i nacisnął ikonkę z biletem na pociąg nadziemny do Victoria Station.

- Powinien pan sobie sprawić ciepły kapelusz - zganiła go stojąca za nim w kolejce starsza pani. - Głupiec z pana, że wychodzi pan na taki deszcz z gołą głową.

- Ma pani rację, dziękuję - odparł. Jestem głupcem i kropka. Znakomicie to pani ujęła, staruszek. Brytyjczycy bawili go. Zawsze tacy władczy i tacy pewni siebie.

Nie miał przed sobą długiego czekania. Kupił paczkę pikantnych, suszonych bananów z automatu i zjadł jej zawartość, a potem popił ją puszką gorącej, słodkiej herbaty. Po siedmiu minutach przyjechał pociąg, lokalny i bardzo stary. Wsiadając zauważył tylko, że zniszczone holograficzne malowidło na wagonie przedstawia Pałac w Windsorze, gdyż tytuł został wykonany niezmywalną błękitną farbą. O tej porze w jego wagonie siedziało zaledwie kilkoro pasażerów.

Pociąg sunął tyłami londyńskich przedmieść, mijał stare stacje kolejowe. Cen lubił obserwować cudzoziemców, którzy mieszkali w różnych osiedlach. Była to inna mieszanka niż na Hawajach: Hindusi, Afrykanie, Słowianie i upiornie bladzi, rdzenni Brytyjczycy. W okolicy, która wyróżniała się zdumiewająco wielkimi stertami pobitych butelek, zobaczył grupkę Plastikowych Chłopców w błyszczących kurtkach, objijających się pod szeroką markizą. Patrzył z zainteresowaniem, ale znajdowali się zbyt daleko, żeby mógł stwierdzić, czy ich ciała są rzeczywiście tak fantastycznie zniekształcone, jak głosiły tutejsze legendy.

Pociąg minął Pasaż Światowej Sławy - tak przynajmniej głosił wielki, migający banner - gdzie nielegalne sklepy oferowały zabójczo tandetne imitacje rozmaitych modyfikacji komputerowo-ludzkich, stanowiących odprysk programu kosmicznego. Tutaj uzależnieni gorączkowo szukali odległych kuzynów bionanu, który zabił Mei, nieskończenie wiele pokoleń temu, i w nieskończenie wielu odmianach. Pod szarym niebem hologramy, które lśniły w wielu językach, z towarzyszącymi im obrazkami dla analfabetów, zapraszały do świata rozrywek i okropności, z którymi w poprzednich stuleciach mogły się równać tylko religijne obietnice. Jakaś kobieta tańczyła w deszczu, wirując ekstatycznie niczym derwisz. Unosiła mokrą twarz ku kroplom deszczu. Miała zamknięte oczy, rozwiane długie, rude włosy, a porzucona koszula leżała zmięta u jej stóp. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Cen zastanawiał się czasami, czy niegdyś elitarne obawy przed badaczami materii, które z każdym rokiem wydawały się coraz dziwniejsze, nie stały się udziałem społeczeństwa, idealnie oddając epokę szaleństwa, ekstazy i lęku.

Za oknami było widać kolejne dzielnice, niektóre eleganckie, inne poślednie. Budynki stawały się większe, a ulice bardziej majestatyczne. Victoria Station połączyła pociąg na końcu linii, wprowadzając go w Wiek Rewolucji Przemysłowej. Dworzec został pięknie odrestaurowany, chociaż nie brakowało żebraków ani szaleńców. Mieściły się tutaj sklepy z ekskluzywną odzieżą, restauracje oferujące dania z różnych stron świata, automaty dostarczające notebookowi każdą informację, jaka kiedykolwiek została napisana, w każdym języku, który mógł być natychmiast przetłumaczony na inny język wedle życzenia klienta, w tempie, które dyktował jedynie stan konta.

Cen próbował ignorować te widoki. Wolał patrzeć na Victoria Station oczami Kaiulani: jak na symbol nowości i szybkiego tempa w czasach, gdy Anglia była u szczytu swojej potęgi, a ona należała do tej grupy osób, które wkrótce miały utracić władzę - młodej arystokracji królewskiej całego świata.

Jednak jeśli jego teorie były słuszne, spotkanie Kaiulani w Londynie mogło się okazać o wiele trudniejsze niż na Hawajach. Już samo ustalenie jej możliwego miejsca pobytu było bardziej złożone. Honolulu było malutkie w porównaniu z Londynem, a poza tym Kaiulani mieszkała na Hawajach wiele lat. W Londynie przebywała od niedawna.

Na chwilę przystanął, a potem wysiadł z pociągu. Jedno z imion Kaiulani, Wiktorii, wzięło się stąd, że jej matka została zaproszona na jubileusz królowej Wiktorii, gdzie poznała władczynię imperium. Oczywiście hawajski dwór czuł się w Londynie jak u siebie w domu - od wielu pokoleń hawajscy członkowie rodziny królewskiej objeżdżali cały świat. Ale szczególnie upodobali sobie Wielką Brytanię i wzorowali się na monarchii brytyjskiej. Nie

było w tym nic dziwnego zważywszy, że brytyjska obecność zaznaczyła się na wyspach na długo przed przybyciem Amerykanów. Jakież było ich zdziwienie, gdy przekonali się, że Amerykanie nie postępują uczciwie. Ufali Amerykanom zbyt długo.

Na dworcu panował, jak zawsze, wielki ruch. Pociągi nieustannie przyjeżdżały i odjeżdżały, zapachy pięciu różnych odmian etnicznej kuchni mieszały się w chłodnym powietrzu, tysiące osób kursowało tam i z powrotem, tworząc ciągle zmieniające się strumienie w tłumie. Zapowiedzi pociągów po angielsku, japońsku, niemiecku i w dialekcie mandaryńskim odbijały się niezrozumiałym echem. Jeśli Cen był przez kogoś śledzony, bez wątplenia nie mógł mieć co do tego pewności w tak zatłoczonym miejscu.

Przystanął. Z trudem łapał oddech. Kaiulani z pewnością tutaj była, i to wiele razy. Uwielbiała podróże. Byłaby taką świetną władczynią - bystrą i dostatecznie obytą w świecie, by prowadzić sprawną politykę; znała wiele kultur i miała wizję tego, czym powinny być Hawaje na tle innych krajów, i jak ta ziemia najlepiej posłuży ludowi, który ją zasiedlił. Wystarczyła jedna wizyta u prezydenta Clevelanda, w paryskiej kreacji i szykownym kapeluszu ze strusim piórem - przedstawiła mu sprawę Hawajów inteligentnie, z erudycją, a ówczesne gazety pisały z zachwytem - żeby ten odłożył aneksję aż do końca swojej kadencji. Cen pomyślał o tym, jak Hawajczycy - jego naród, chociaż on sam nie czuł się związany z RO - teraz cierpią pod butem nowego ciemniejszy, IS. Zabawne, że zaczynał odczuwać więź z Maui, chociaż był tak daleko od domu. Sądził raczej, że będzie czuł coraz większy dystans do tego zamieszania, tych niejasnych powinności.

Kobziarz pod kamiennym łukiem obok Cena zaczął kakofoniczne preludium. Jego instrument beczał żałobnie. Miał długą brodę, w której znajdowały się okruszki, i był obdarty. Usłyszawszy pierwszy pisk, Cen odwrócił głowę i wtedy wydało mu się, że ją widzi.

Kobieta w eleganckiej, staromodnej krynolinie wsiadała do pociągu. Z paska u jej nadgarstka zwisał gustowny, składany parasol. Pod zamaszystym, fikuśnym kapeluszem z zielonego welwetu, ozdobionym kilkoma pawimi piórami, piętrzyły się czarne loki. Przez chwilę widział nawet klasyczny, dobrze znajomy profil...

- Kai! - wrzasnął i rzucił się na peron. Drzwi zasunęły się za nią i pociąg powoli ruszył. Biegł obok wagonu, łzy ciekły mu po twarzy. Naprawdę miał nadzieję, że przekona się, czy to ona.

Zwolnił, mocno zadyszany. Patrzył na oddalający się tył ostatniego wagonu. Potem jeszcze przez chwilę przyglądał się niknącym torom i mógłby to robić nawet i godzinę, ale powoli gęstniejąca mgła zepsuła mu widok.

Jesteś obłąkany, pomyślał, brnąc z powrotem na dworzec. Gorączkowo odtwarzał w

pamięci widok, który kazał mu wierzyć, że naprawdę widział ją już dawno temu, że nie była tylko dziełem jego wyobraźni. Jak dawno temu, Century Kalakaua? Niedługo minie dziesięć lat. Uczepiłeś się tej wiary jak dziecko, prawda? Jaki to ma sens?

Ale już sama jego obecność tutaj w Londynie dowodziła, iż Interspace nie uważała jego wiary za mrzonkę. Oczywiście, nie znali rozmiarów jego szaleństwa, ani jego geniuszu, o którąkolwiek z tych dwóch rzeczy chodziło, a on skłonny był sądzić, że raczej o tę pierwszą. Nie myśleli, że szuka przejścia do swojej utraconej miłości. Nie wierzyli jak on, że możliwe jest przejście z jednego przejawu metawszechświata, jak to ujął Vilenkin, do innego dosłownie identycznego przejawu. Chcieli tylko wiedzieć, jak zmierzać bardzo daleko, bardzo szybko, i jak przewidywać położenie innych dających się zamieszkać planet.

Ale... czy tak było? To był główny cel starań Interspace - co do tego Cen miał pewność. A jednak - przez chwilę wspominał dzień, w którym widział Mei ostatni raz, kiedy widział ją żywą, naprawdę żywą, kiedy nie była jeszcze tym przerażonym wróblem, jakiego zrobiła z niej Interspace. Jej ostatnie prawdziwe słowa dotyczyły tuneli czasoprzestrzennych, drzwi w czasie i przestrzeni. Co się działo z tymi członkami Interspace, którzy wierzyli, że takie rzeczy są możliwe?

Poświęcili Mei. Ile jeszcze osób poświęcili? Gdzie byli teraz ci ludzie i jak duże mieli wpływy? Czy w jakiś sposób utrzymywali nad nim kontrolę?

Znowu minął kobziarza, wyjął z kieszeni swój kredyt - przedmiot w kształcie naturalnie dopasowanym do jego ręki, z oddzielnym czujnikiem dla każdego opuszka - aktywował go odciskiem kciuka i przetransferował funta palcem wskazującym na grubą bransoletkę na przegubie mężczyzny. Zielony klejnot na bransoletce zaświecił się i mężczyzna zerknął na sumę ofiarowaną mu przez Cena, a potem podziękował mu krótkim skinieniem głowy. Cen poszedł dalej, minął bramki biletowe i biuro turystyczne, po czym wyszedł na ulicę. Tak jak w Honolulu, w centrum miasta nie mogły jeździć samochody osobowe.

Przynajmniej ucieka mi spotkanie z doktor Smith, pomyślał. Tyle dobrego. Uśmiechnął się. Zaiste, bardzo dobra rzecz!

Londyńskie powietrze było tradycyjnie chłodne i wilgotne. Na ulicy stały rzędy granitowych budowli i nowszych wież ze szkła. Kilka przecznic dalej rząd bezlistnych drzew odcinał się ciemnymi liniami na tle nieba. Postanowił skupić się na samej wędrówce. Nie miał określonego celu. Kilka razy kichnął i w końcu wyciągnął chusteczkę do nosa. Nie przypominał sobie, żeby przed przyjazdem tutaj kiedykolwiek się przeziębił, ale teraz był nieustannie chory. Czyżby w ten sposób solidaryzował się z Kaiulani? Zdał sobie sprawę, że

jego cienki płaszcz zupełnie przemókł. Może powinien posłuchać towarzysza podróży i kupić kapelusz. Kapelusze! Roześmiał się głośno, przyciągając spojrzenia kilku przechodniów na ulicy. O tak, miała parę kapeluszy, co? Zamawiane u najlepszej modystki: egzotyczne pióra, modne w czasach Thomasa Huxley a, wijące się wokół ronda i przykuwające uwagę do jej szlachetnych rysów, do patrzących wprost ciemnych oczu, z których biła inteligencja i żarliwość.

Pomyślał, że to nie Hawajczycy nienawidzili nieomal wiktoriańskiego panowania rodziny królewskiej pod koniec dziewiętnastego wieku, ale amerykańscy biznesmeni. Pałac Iolani, w którym odizolowali królową Liliuokalani, po tym jak została aresztowana na podstawie wyssanych z palca zarzutów, w pełni zasługiwał na miano królewskiej siedziby. Dobrze pamiętał, jak raz przekradł się do środka wraz z grupą turystów. Zachwycał się ozdobnymi meblami z importu, kryształowymi kandelabrami, salą tronową. Byli chyba najbardziej łaskawymi monarchami w historii, a na dodatek najbardziej uwielbianymi. Przypomniał sobie, że Liliuokalani, ciotka Kaiulani, agitowała za transatlantycką linią telefoniczną i gorzko zauważyła, po tym jak została bezprawnie zdetronizowana, że żądni hawajskich bogactw amerykańscy biznesmeni nie byliby zadowoleni, gdyby mogła łatwo kontaktować się z Waszyngtonem, kiedy decydował się los Hawajów. Kilkakrotnie uznała, że musi opuścić Honolulu i udać się do Waszyngtonu. Zawsze wybierała się z oficjalną wizytą i zatrzymywała w najlepszych hotelach. Jej nieobecność w królestwie nie była korzystna.

Ale czy naprawdę widział księżniczkę Kaiulani niespełna godzinę temu?

Z rękami w kieszeni i spuszczoną głową szedł w zimnej mżawce. Minął duży park z zapętlonymi alejkami, który kończył się żywopłotem wyższym od niego. Jakiś mężczyzna prowadzący dwa rosyjskie wilczarze minął go pośpiesznie, odwróciwszy głowę, i skręcił do parku. Cen miał nadzieję, że jego torba jest rzeczywiście nieprzemakalna, zgodnie z zapewnieniami producenta. Właściwie nie miał dokąd pójść. Może, skoro był w Londynie, powinien pójść do pubu, włączyć swojego notebooka i wyświetlić mapy, które z takim trudem stworzył - mapy pokazujące, gdzie, kiedy i jak długo przebywała Kaiulani. Było tam równanie wywiedzione z krzywej czasu i miejsca, włącznie z godzinami i miejscami, w których ją widział. Ale pozostało nieukończony, natrętnie otwarte. Czekalo na dodanie większej liczby zmiennych, aż jego chaos będzie mógł się osadzić w przewidywalnym fraktalu. Ale kiedy już zdobędzie tę informację...

Raj i ekstaza, dla niego, produkt uboczny wiedzy wykraczającej poza najśmielsze marzenia większości ludzi na tej planecie...

Potrząsnął głową, szydząc z samego siebie. Do diabła, dlaczego chodzenie tam, gdzie

ona kiedyś przebywała, miałyby robić jakąś różnicę? Przecież od tamtego czasu światy wirowały poprzez nieskończoności przestrzeni. Mimo to wykrył ścieżkę Kaiulani - sztuki teatralne odnotowane w jej listach, muzea, nawet królewskie przedpokoje, które były dostępne dla zwiedzających... obserwował jak szalony twarze we wszystkich tych miejscach, zawsze z nadzieją, w której była nuta desperacji, mroczne szyderstwo z samego siebie...

Nagle zatrzymał się, czując ogromne wyczerpanie. W jego umyśle świat zwinął się do dziwnych topologii, wibrujących strun, których istnienia dowodziły ślady siły elektromagnetycznej - pozostałości po Wielkim Wybuchu. Teraz miał zjawisko - swoją miłość - którą chciał wcisnąć do wszystkich tych teorii, które pozostawały nierozwiązane od niemal stu lat. Teorii czekających na jednoczącą wizję, która mogłaby uwzględnić wszystkie informacje wreszcie dostępne świadomemu umysłowi.

Uświadomił sobie, że znajduje się na długim, odludnym, zamglonym skrawku szerokiego kamiennego chodnika, gdzie stoją, w równych odległościach, ławki i bardzo stare, pozbawione liści drzewa, ginące we mgle. Sądząc po brązowych liściach leżących przy krawężniku, były to dęby. Panowała tu zupełna cisza, jak na wsi. Żadnych Londyńczyków. Niebo zeszło na ziemię. Czuł się jak w starożytnym Londinium założonym na bagnach, gdzie królowało dzikie ptactwo, podczas gdy mściwa, rudowłosa królowa Boadicea knuła spisek, żeby najechać miasto i wypędzić Rzymian.

Boadicea poniosła klęskę. Rzymianie zwyciężyli. Ruch Ojczyźniany, za którym Cen podążał w pewnej odległości mimo sceptycyzmu, poniesie klęskę. Zdobycy zdobywali. To było ich zajęcie, ich cel, ich siła napędowa. IS zwycięży. Ci ludzie dokonywali podbojów i zniewoleń. Ludzka rzecz. A czas biegł tylko w jednym kierunku. Zresztą, to akurat było dobre. W każdym razie było coś w ludziach, w świadomości, co dawało takie wrażenie. On sam na pewno nie zamieniłby całej posiadanej przez siebie wiedzy na szansę życia jako starożytny Hawajczyk.

Ale czy zamieniłby ją na Kaiulani?

Gdyby dotarł do jej czasu... czego by się dowiedział? Co by zapamiętał? Jak by się zmienił?

Zimny podmuch wiatru przyprowadził go o okropne dreszcze. Nie postąpił mądrze kręcąc nosem na doktor Smith. Ale co była w stanie zrobić IS? Ludzie z IS uważali, że jego umysł jest jak dojna krowa. Będzie do ich dyspozycji, dopóki będą dla niego mili, dopóki będą mieli mu coś do zaoferowania, na przykład najdroższe wykształcenie. Gdyby doszedł jednak do jakichś wniosków, nie miał powodu, żeby się nimi dzielić. Może liczyli na jego naukową próżność? Spójrz na mnie, Cen Kalakaua - pomyślałem o tym! Chcę, żeby świat się

dowiedział, chcę, żeby moim imieniem nazwano jakiś napój bezalkoholowy albo grę VR. Nie miał złudzeń co do korzyści finansowych w tej sytuacji. Ten temat go nie interesował, ale IS i tak zagarnęłyby wszelkie profity dla siebie.

No cóż, w dalszym ciągu będą rozczarowani.

Zatrzymał się - wydawało mu się, że słyszy za sobą kroki. Czyżby śledzili go jacyś szpiedzy doktor Smith? Omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Przecież jesteś w miejscu publicznym, idioto! Tutaj mogą być jacyś ludzie.

Czasami odnosił wrażenie, że jest za bardzo cienką kotarą, a po drugiej stronie znajduje się Kaiulani i przyciska ręce do membrany, którą on jest w stanie rozpuścić dzięki swojej wiedzy. Znowu zmoczył go deszcz, ale nie przerywał marszu. Może akurat miał trudności z rozpracowaniem złożonego systemu, który ludzie nazywali czasem. Wkrótce pochłonie go wir i wszystko stanie się jasne podczas tej niekończącej się chwili, a potem wessie go czarna dziura i nie będzie w stanie przekazać tego, co wiedział.

O, cholera, pomyślał. Zmarzłem na kość. Dajcie mi jakiś tani hotel, szklaneczkę whisky i gorącą kąpiel. Dokąd prowadził ten przeklęty pasaż? Dokąd się zapuścił?

Do tej części Londynu, w której nigdy jeszcze nie był. Przekonał się o tym, gdy ujrzął ciemne budynki i poszedł w ich kierunku. Nic dziwnego. Przecież był tylko kilka razy w centrum praktycznie największego miasta na świecie.

Uznał, że powinien się wybrać do Brighton. Przecież ona często tam bywała podczas swojego pobytu w Anglii, pobierając lekcje języków, matematyki i historii. Tak, informacje, których potrzebował, znajdowały się w Brighton. Londyn był ślepym zaułkiem. Nie spędzała tutaj wiele czasu.

Ale jego optymizm całkowicie wyparował. Nie tak powinien postępować. Próbował jednocześnie zrobić dwie różne rzeczy - opracować zupełnie nową teorię na temat natury czasoprzestrzeni i włóczyć się po Europie w poszukiwaniu ducha. Ale miejsce było ważną matrycą. Świetnie, powiedział sobie. Po Brighton możesz się wybrać do Jersey; potem Paryż, Szkocja, południe Francji, rozmaite miejsca w Niemczech, wszystkie pałace i piękne okolice, gdzie spotykała się z członkami innych królewskich rodów. Doktor Smith będzie tym zainteresowana! Podróże do Londynu nie wzbudziłyby podejrzeń. Ale te inne miejsca... właśnie to go powstrzymywało. Oczywiście, gdyby nie prowadził gry pozorów z ludźmi z IS, prawdopodobnie mógłby poprosić o fundusze na taką działalność, a oni chętnie by je wypłacili. Ale nie mieli pojęcia o jego rzeczywistych zainteresowaniach i musiał utrzymać ten stan rzeczy. Teraz miał nieograniczony dostęp do komputera, do wybitnych naukowców z dziedziny kosmologii, fizyki, matematyki. Układ polegał na tym, że miał udostępniać im

wszystkie swoje myśli. Nie miał skrupułów, gdy chodziło o łamanie umów z osobami, które uważał za morderców.

Czuł się otępiąły. Jakich informacji potrzebujesz? - zapytywał samego siebie. Żle zdefiniowałeś problem. Brakuje ci inteligencji, iskierki, która wszystko połączy. Miał ochotę się rozplakać. Sam się przyprawiasz o chorobę.

Ale przecież istniał zapis tego, gdzie się zatrzymywała i co robiła. Ciągłe zlecała szycie wytwornych szat, ale starała się nie przekraczać swojego budżetu. Ukrywano przed nią wydarzenia polityczne w ojczyźnie, aż w końcu otrzymała informację, że zmarł jej wuj Dawid, i że może najlepiej będzie dla niej, jeśli poleci do Waszyngtonu i spotka się z prezydentem Clevelandem, żeby spróbować go zniechęcić do lobbingu na rzecz aneksji w ówczesnym Kongresie. Cen zastanawiał się, nie pierwszy raz, czy poprzez badania naukowe dałoby się znaleźć dowód na podtrucie *alii* na Hawajach. Było dla niego raczej dziwne, że nie jedno, ale kilka pokoleń - od dwuletniego potomka matki Kaiulani po wielu jej kuzynów, ciotek i wujków - powymierało z niewyjaśnionych przyczyn w okresie dziesięciu lat. Sama Kaiulani miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, gdy zmarła - na co? Choroba Brighta plus zapalenie płuc, które, jak sugerowano w relacjach, sama na siebie ściągnęła szalonym biegiem w zimnej burzy po zaśnieżonych stokach Mauna Loa?

I co z tego, Cen? Ona nie żyje. Teraz nic nie jesteś w stanie zrobić. A gdybyś mógł, to co byś zrobił?

Przed nim rozciągała się ulica z przytulnymi pubami i ociekającymi wodą szyldami. Wszystkie okna były wykuszowe i wiedział, że w środku króluje boazeria z ciemnego drewna, diabelnie staroświecka. Zaczął kichać i doszedł do wniosku, że powinien wziąć gorącą kąpiel i iść do łóżka, jeśli chce uniknąć zapalenia płuc.

Szedł szybciej po mokrej ulicy. Latarnie gazowe, a raczej dobre turystyczne imitacje, nadal świeciły, a ich światło odbijało się o bruk. Spojrzał na zegarek. Było już późne popołudnie. Stypendium powinno znaleźć się na jego koncie wczoraj, a odkąd przybył do Anglii, z pewnością nie wydał dużo pieniędzy.

Minął dwa hoteliki, które wydały mu się zanadto eleganckie jak na jego możliwości finansowe, i wszedł do trzeciego, który wprawdzie również sporo kosztował, ale Cen czuł, że zaraz się rozchoruje, jeśli nie przerwie wędrówki.

Pokój był mały, niemal duszny od perkalu w okropne, różowe kwiaty. Ale wanna z kranem z matowego mosiądzu, którym trzeba było kręcić, żeby ustawić temperaturę, zamiast robić to cyfrowo, była dość duża, by mógł się wyciągnąć. Zrobił sobie herbatę, rozwiesił mokre ubranie na suszarce i usnął na łóżku, szczelnie okryty kołdrą. Jak zawsze, śnił o

Kaiulani, a potem sen rozszczępił się na płaszczyzny białego światła, te zaś przerodziły się w cząsteczki.

Obudził go czyjś szloch.

Otworzył oczy. Najpierw pomyślał, że płakał ktoś w jego śnie, ale kiedy tak leżał, uświadomił sobie, że dźwięki dochodzą z pokoju obok.

Usłyszał stłumione pukanie, szcęk otwieranych drzwi, a potem głos:

- Nie, nie przyjdę dzisiaj na kolację. Nie, czuję się świetnie. Świetnie! Tak, może później. - Drzwi się zamknęły.

Usiadł jak rażony piorunem. To był bez wątpienia głos Kaiulani, w którym pobrzmiwał teraz wyrafinowany, brytyjski akcent.

Zaczął dygotać, w głowie roilo się od implikacji, których nie brał pod uwagę, gdy był młodszy. A jeśli to, że ją widział, w jakiś sposób zmieniło bieg historii?

Ale przecież widział ją już wcześniej i, z tego co się orientował, bieg historii nie uległ zmianie.

Czy gdyby uległ zmianie, on wiedziałby o tym?

Jego ubranie wciąż było wilgotne. No i dobrze, pomyślał, nakładając je w pośpiechu. Czy to oznacza, że nadal jestem w tym samym wszechświecie? Jaki to w ogóle ma sens? Potem myśli zaczęły mu się plątać i czuł tylko ogromną radość, która sprawiała, że widział wszystko w jasnych barwach - przyziemne łóżko, krzesło, stolik. Gdzie się nagle znalazł? Czy to mogło być prawdą? Po tylu latach?

Wszedł do holu, skręcił w lewo. Szedł bezszelestnie po kwiecistym bieżniku.

Stanął przed jej drzwiami. Rozejrzał się po korytarzu. Nikogo nie było. Podniósł rękę, żeby zapukać. Drżała. Usłyszał stłumione kroki na schodach i szybko zastukał do drzwi.

Żadnej reakcji. Kroki zbliżyły się do następnej klatki schodowej. Zapukał jeszcze raz, tym razem śmieiej.

Drzwi uchyliły się odrobinę i Kaiulani spojrziała mu prosto w oczy.

Miała uniesiony podbródek, a jej złocista skóra była trochę bledsza, niż kiedy ją widział ostatnim razem, policzki zaś były naturalnie zaróżowione. Na czoło opadał jej ciemny lok.

- Tak?

- Kai - wyszeptał i pochwycił ją. Przytulał ją mocno i, niewiele myśląc, zaczął całować namiętnie, śpiesznie, a ona odwzajemniała pocałunki.

Pociągnął ją do środka i zamknął drzwi, i natychmiast poczuł zamęt w głowie - może nie miała pojęcia, kim on jest, może wzięła go za kogoś innego? Był teraz mężczyzną, nie

chłopcem.

Niepotrzebnie się martwił.

- Cen! - Odjeżdżając, mówiła cicho i niepewnie. - Co robisz w Londynie? Gdzie byłeś przez wszystkie te lata?

Pomyślał, że w innym wszechświecie, których jest nieskończona liczba.

Puścił i cofnął się o krok, spojrzał na nią.

Miała na sobie wytworny szlafrok z czarnego jedwabiu, mocno przewiązany w talii. Jej czarne, kręcone włosy swobodnie opadały na ramiona i połyskiwały w świetle lampy.

- Ile... ile masz lat? - zapytał.

Popatrzyła na niego dziwnie.

- Siedemnaście - odparła. - Ale ty jesteś o wiele starszy...

- Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu. - Co się dzieje? Czasami myślałam, że widocznie coś sobie uroiłam. Przepraszam...

Właśnie tego się obawiał.

- Nie jestem pewien - powiedział. Święta prawda! - Jak się czujesz? - Wydawało się, że jego mózg nie funkcjonuje. Mały piecyk węglowy w rogu pokoju wydawał drażniącą woń, która mieszała się z zapachem róż w wazonie na stole obok łóżka. Obok wazonu ktoś rzucił małą kartę. Cen chciał ją otworzyć. Kto...?

Wepchnęła ręce do dużych kieszeni szlafroka i przemówiła bardziej kobiecym, melodyjnym głosem.

- Tutaj jest okropnie - powiedziała. - Tak strasznie chcę wrócić do domu. Tu jest przeraźliwie zimno i ciągle pada deszcz. Tutejsi ludzie są bardzo mili, ale wujek Dawid przysyła mi takie dziwne listy, w których ostrzega mnie, że powinnam być ostrożna i nie ufać nikomu. Nikomu! Czy wiesz, jak trudno jest być podejrzliwym w stosunku do wszystkich osób z twojego otoczenia, do ludzi, którzy ponoć są twoimi przyjaciółmi? I dzisiaj poszliśmy do tej okropnej twierdzy Tower w Londynie. Już tam kiedyś byłam. - Przeszła przez pokój do okna i wyglądała przez nie. - Nie pojmuję, jak ci ludzie mogą być z tego tacy dumni. Wszyscy usiłują wzajemnie się powytruwać! Szpiedzy! Ci biedni książęta! Ludzie byli tam torturowani całymi latami! Skazywani na egzekucję! Cen!

Obróciła się szybko. Miała pogodne spojrzenie.

- Wiem, że Hawajczycy poświęcali ludzi. Byli okrutni - w przeszłości bezmyślnie okrutni i chętni do wojaczki. Kamehameha zabił tysiące po to, żeby zjednoczyć Hawaje pod swoim berłem. Ale dzięki jego panowaniu wiele się zmieniło. Teraz wszyscy pracujemy razem, dla naszego kraju i dla siebie nawzajem. Pobudowaliśmy szkoły, szpitale i piękne

domy - nawet pałac królewski. Nie tak duży jak Pałac Buckingham, ale piękny we wszystkich szczegółach, równie piękny jak niektóre z zamczysk niemieckich wzniesionych przez Ludwika. Ci ludzie celebryją okrucieństwo. Są z tego dumni. - Łzy poleciały jej ciurkiem. Otarła je ze złością. - A co ty tutaj robisz? Gdzie byłeś? Wiele razy chciałam cię zobaczyć... Cen...

Opadła na krzesło i pochyliła się do przodu, trzymając ręce na kolanach. Usiadł naprzeciwko niej, w niszy okna. Chciał wziąć ją za rękę, ale czuł strach. Powinien odejść. Teraz. Utkwiła w nim wzrok.

- Cen, ja pamiętam. Wieże ze szkła otaczające Pałac Iolani. Szybkie powozy. Posąg Liliuokalani z jakimiś... z jakimiś datami... - Odetchnęła głęboko. - Jak to jest możliwe? - Sięgnęła po jego rękę, dotknęła ich, a on z trudem przełknął ślinę.

- Ja... nie umiem powiedzieć, Kai.

Przytłaczała go obcość tej sytuacji. Mały pokój wirował mu przed oczami i tylko twarz Kaiulani stanowiła pewny punkt odniesienia. Tylko jej wielkie, brązowe oczy. Wstał.

- Muszę iść.

- Nie! Proszę cię, nie odchodź, Cen! Błagam cię!

- Nie mogę... nie mogę zostać!

W jego umyśle szalały dziwaczne wizje - wizje ludzi z IS w każdych drzwiach, przez które przeszedł. Chyba widział nawet doktor Smith, przemyśliwą z uśmiechem nad tym, jak zainwestować pieniądze po zdobyciu Nagrody Nobla z fizyki...

Stawiał Kaiulani w bardzo niebezpiecznym położeniu.

Wyrwał się z jej objęć, wybiegł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszał szarpanie klamki i pośpieszne kroki na schodach. Pognał do swoich drzwi i zamknął je, dygocząc i czując mdłości.

Rozejrzał się dookoła. Był w swoim współczesnym pokoju.

Stał tam przez chwilę. Ubranie miał wciąż mokre.

Ona go dotknęła.

Czy mogła wybiec na korytarz i wejść do jego pokoju?

Wziął głęboki oddech i stał w zupełnej ciszy. Coś zaskoczyło w głębinach jego umysłu.

Po angielsku mówił sobie w myślach tylko jedno: „Nareszcie”. Albowiem jego umysł wirował od liczb, idei, które przybierały rozmaite kształty, jak czysta energia...

Podniósł słuchawkę. Był zdumiony, gdy usłyszał głos rzeczywistej osoby.

- Obsługa pokoju? Chcę dzbanek kawy. Nie, nie herbaty. Bardzo mocnej kawy. Da się

to zrobić? Stek, nie wysmażony. Tak, z dodatkami. Butelkę whisky jednosłodowej. Nie wiem. A dobra jest? Och, oczywiście - przepraszam.

Zwiększył temperaturę, zdjął ubranie i przywdział szlafrok wiszący za drzwiami łazienki. Usiadł, wyjął notebooka, który był suchy mimo deszczu. Przyniesiono mu jedzenie i picie. Jadł w roztargnieniu. Po dwóch godzinach usłyszał, że obok ktoś trzaska drzwiami. Zmartwił.

- Mówiłem ci, że ten show to strata pieniędzy. Ale ty nigdy mnie nie słuchasz - powiedział głos męski.

Odpowiedziała mu kobieta:

- Mnie się nawet podobał. Przykro mi, że tobie nie.

- Wiesz, że nie cierpię musicali.

Cen odetchnął. Miał poczucie utraty, ale i ulgi. Potem jego palce popłynęły.

Jeśli miał rację....

*

Jeśli miał rację.

Szybko uświadomił sobie, że to dość subtelna kwestia. Jeśli miał rację, musiał to utrzymać w tajemnicy. Jednocześnie musiał nauczyć się jeszcze więcej, żeby znajdować energię do wykonywania swojej pracy.

Cały fascynujący świat współczesnej matematyki stał przed nim otworem. Jeszcze nigdy nie czuł się tak pełen życia.

Szedł z coraz większą wiarą we własne siły po mokrym od mżawki kampusie zimowym, a potem po kampusie wiosennym, gdzie zakwitały pierwsze kwiaty. Przepelniał go zachwyt, miał wrażenie, że wszystko, czego potrzebuje do ukończenia swoich dowodów, znajduje się tuż pod jego nosem, jak gdyby cały świat stanowił wielkie pole informacji, które napływały do niego ze wszystkich stron. Musiał tylko usiąść w środku, pobrać następną porcję informacji, dopasować ją do całości, pomaniplulować nią trochę, a potem rozejrzeć się i zobaczyć, co będzie dalej. Wydawało mu się to tak proste, jakby budował prawdziwy dom.

Nawiedzał Sieć nieustannie. Poruszał się po niej jak po długiej, fascynującej ulicy, gdzie człowiek przystaje, by wejść do jednego domu, a potem drugiego. Oczywiście opracował dla siebie wiele wcieleń, chociaż był pewien, że nie zdołają one zmylić IS. Ale chciał stworzyć pozór, że jego poszukiwania to dzieło kilkunastu osób, które nie są ze sobą powiązane, a zatem nie mają znaczenia. Jak ptak budujący gniazdo, czerpał z każdej gałęzi matematyki i brał to, co było przydatne. A jeśli nie mógł znaleźć tego, czego potrzebował, uruchamiał swoją inwencję. Nie chciał, żeby inni robili te same odnośniki co on, gdzie

wszystko tworzyło się samo w tak piękny sposób, jakby objawiała mu się istota egzystencji, w związku, który przypominał miłość. Nie kwestionował swojego przeświadczenia, że wszechświat żyje, że jego płynną, cudowną istotę przenika nieskończona, kusząca tajemnica, w której on codziennie doszukiwał się tropów.

Korzystał z osiągnięć matematyki dwudziestego wieku i początku dwudziestego pierwszego, jakby każdy system był osobnym klejnotem, objawiającym prawdę, która naprawdę gdzieś tam istniała, prawdę o pomoście prowadzącym do Kaiulani, o egzotycznej materii, dzięki której będzie mógł wejść do jej świata i ocalić ją.

Nie wątpił już, że mu się to uda. Albo zginie próbując ją ratować. Ale czasu, w jakimś zwariowanym sensie, było niewiele. W świecie, w którym żyła, miała umrzeć za kilka lat. Nawet gdyby zdołał do niej dotrzeć, w jaki sposób miałby ją ocalić? To był kolejny problem. Najwyraźniej od dłuższego czasu chorowała. Ale z tym będzie się musiał zmierzyć później.

Jego materia egzotyczna - ta, która otwierała dla niego tunel czasoprzestrzenny, była generowana dzięki emocjonalnej interakcji w jego mózgu, który zmieniał się pod wpływem chemii miłości. Wiedział, że to szalona myśl, ale właśnie takie wyjaśnienie przychodziło mu do głowy. Na pewnej płaszczyźnie w ogóle nie był w stanie pojąć tego zjawiska, lecz właśnie dzięki niemu mógł sfalszować dowody, które były prawdziwe. We wszechświecie pojawiła się nowa możliwość, porównywalna z momentem, kiedy ludzie nauczyli się używać narzędzi i języka. Chodziło o świadomą zdolność wpływania na kwantową funkcję falową. Być może to ona sprawiała, że ludzie widzieli duchy albo znikali w tajemniczych okolicznościach. Ale on znajdował się w uprzywilejowanej pozycji, opartej na głębokiej strukturze wszechświata i czasu, a nabrawszy biegłości, był w stanie wyrazić to zjawisko liczbami.

Późną nocą, kiedy przebywał w Sieci, potrafił nieomal wyobrazić sobie czas jako coś, co nieustannie zmienia kształt. Każda zmiana tworzyła nowy, wspaniały, niewiarygodnie skomplikowany wzór, fraktal, który powtarzał się w nieskończenie dużych i nieskończenie małych wersjach, lecz którego mieszkańcy zawsze uważali się za osoby o naturalnych rozmiarach. Przetworzył zasadę przeciętności, którą zaproponował Aleksander Vilenkin w krótkim liście do Physical Review.

W oparciu o znane fakty z zakresu kosmologii kwantowej, Vilenkin twierdził, że „jesteśmy jedną z nieskończenie wielu cywilizacji mieszkających w ciepłych regionach metawszechświata. Chociaż bardzo kusząca jest wiara, iż nasza cywilizacja jest wyjątkowa, historia kosmologii wykazuje, że przekonanie o własnej przeciętności często bywa owocną hipotezą”. Opublikował tę deklarację dziesiątki lat temu, w Physical Review Letters, tom 74, nr 6.

Cen znał ten artykuł na pamięć, włącznie z jego staranną argumentacją.

Vilenkin nazwał swój pomysł zasadą przeciętności. Według niego piękno tej teorii polegało na tym, że była oparta na dobrze znanych faktach. Jeśli można było ją obalić, to przynajmniej istniały niezbędne do tego narzędzia. Proszę bardzo, rzucał wyzwanie - obalcie zasadę przeciętności.

W ciągu trzydziestu lat nikt nie był w stanie tego zrobić.

Zakładając, że Wielki Wybuch rzeczywiście miał miejsce, a nie wszyscy w to wierzyli, oscylujące wzory we fraktalu, który był czasem, były w przybliżeniu tak samo stare. Ponieważ świat Kaiulani był podobny do jego świata, a zarazem niemal równoległy, gdyż była zaledwie sto lat za nim, stopniowo zaczął wierzyć, że Kaiulani, którą znał, nie pochodziła z jego przeszłości, ale innej, różnej przeszłości, w której to ona widziała jego.

I z tej drobnej różnicy miały się zrodzić ogromne zmiany.

Czy zmiana w jednym wzorze mogła zmienić wszystkie wzory? Próbował ustalić, jakie obowiązują tu ograniczenia.

I zawsze pracował tylko na własny rachunek. Każde większe przedsięwzięcie byłoby zanadto niebezpieczne. Konstruował coś całkowicie indywidualnego, opartego na nim samym. Przekopywał małą kopalnię złota, używając własnego sprzętu i zamierzał usunąć wszelkie podpory, kiedy sam odejdzie. Pragnął, żeby ścieżki czasu zamknęły się za nim jak wyleczona rana. Poczył wszelkie starania, by jego wywodów myślowych nie dało się łatwo uogólnić, a przez to uczynić strawnymi dla innych. Egoistyczne, a jednak nieegoistyczne. Chronił metawszechświat przed Interspace i jej zdradziecką filozofią, która zabiła Mei i Rossa, i niewiedomo kogo jeszcze. Z pewnością istniały dziewicze, niezaludnione, podobne do Ziemi światy. Nie chciał być odpowiedzialny za ich zakażenie.

Od czasu do czasu zastanawiał się: przecież według zasady przeciętności istniało prawdopodobieństwo, że ktoś inny w metawszechświecie dochodził do takich samych wniosków jak on. Wyobrażał sobie nagłą nową krystalizację, skok świadomości i zdolności w żywej tkance metawszechświata niczym zdumiewające skoki ewolucyjne, których zdawały się dowodzić skamieliny. Jeśli ciała fizyczne mogły ewoluować, mogły się zmieniać tak radykalnie, to dlaczego to samo nie miałoby dotyczyć samej świadomości, metawszechświata....

Dlaczego nie.

Chociaż bardzo się starał kamuflować, uświadamiał sobie, że zdobywa renomę w świecie matematyki. Czasem dostawał e-maile z kawałkami, które budziły u niego autentyczną fascynację. Otrzymywał też zaproszenia na wykłady, ale zawsze odmawiał.

Raz dostał wiadomość od kogoś i ruszył jej tropem jak mewa nurkująca po rybę, gdyż miała smak ojczystych stron. Przedarł się do zdumiewającego elektronicznego wszechświata Międzynarodowego Ruchu Ojczyźnianego. Ruch kipiał energią i przekonaniem. Moc tego środowiska zdumiewała go. Przechodził przez społeczności kontaktując się z osobami mającymi problemy, opisującymi swoje ogrody, rozprawiającymi o nowych paradygmatach społecznych i serdecznie zapraszającymi wszystkich ludzi na Ziemi, miejscowych i nie tylko, by dołączyli do ich nowego społeczeństwa. Ich symbolem była piroga z Pacyfiku, według hawajskiego projektu, aczkolwiek każda grupa wysp miała swoje własne logo. Ścisłe rzecz biorąc, to nie były pirogi, lecz statki z desek, o długości mniej więcej dwudziestu pięciu metrów, na których eksplorowali ten największy obszar wodny na kuli ziemskiej i tworzyli jego mapę w swoich umysłach. Ich międzynarodowa społeczność, której członkowie nigdy nie ujawniali swoich personaliów, budowała własny statek pokoleniowy. Cen przekonał się, że przeszli całkiem daleką drogę od czasów, kiedy popisywali się swoją wizją w salonach gier Honolulu. Teraz to była prawdziwa rzecz, prawdziwi inżynierowie i przedstawiciele nauk społecznych.

Ale nie pieniądze, pomyślał. Tylko Interspace je miała. Organizacja potrafiła znakomicie przyciągać każdą młodą i niezależną firmę z aspiracjami, błyskotliwymi pomysłami albo nowatorskim podejściem do materiałów. Cen podejrzewał, że jej imponujące tempo wykupu firm było skutkiem wywierania dużej presji na przedsiębiorców. Ale tutaj, w Sieci Ruchu Ojczyźnianego, znalazł atmosferę sprzyjającą nowym pomysłom, które mogły się wydawać niesamowite, zanim nie znalazł się jakiś geniusz, który potrafił je zastosować.

Użyczenie świadomości było również gorącym tematem. Najwyraźniej niektóre frakcje twierdziły, że dysponują odpowiednim sprzętem do transferu zawartości żywego mózgu do kryształowych matryc. Cen z rozbawieniem zauważył, że trudno im chyba znaleźć ochotników gotowych poświęcić swoje żywe, zdrowe mózgi, by przenieść - na przykład co? Brak wiary? Twoje ciało oczywiście umrze, ale jakie to miałyby znaczenie? Twoja świadomość żyłaby wiecznie. Jasne. Ale dyskusje były ożywione i interesujące.

Cen siedł tam czasami, żeby się odświeżyć, ostrożnie unikając bezpośredniego kontaktu, zachwycając się ich odwagą i pomysłowością.

Głównie zajmował się jednak tworzeniem mapy dziwnie przyciągającego, wielkiego fraktala, który ludzie nazywali czasem. Czasami mógł tylko pokazać pewien kierunek, na przykład „tam”, i to mu wystarczało. Jego misja sprawiała, że posuwał się naprzód radośnie, z zapierającą dech w piersiach szybkością i intensywnością, o jakiej marzył, kiedy był młodszy. Był teraz tutaj i robił dokładnie to, do czego był powołany.

Miał znaleźć Kaiulani - kruchą, dumną, inteligentną - i pomóc jej wypełnić obietnicę.
Reszta tego świata w ogóle się nie liczyła.
I przez następny rok przekonywał się, że tak było.

12

- Cen!

Niebo tego dnia było wyjątkowo pogodne. Minał ponad rok, odkąd widział Kaiulani. Spędził ten czas w ogniu myśli i badań. Czuł się tak blisko wiedzy. Blisko czegoś...

Wspaniałe, jesienne dęby płonęły czerwienią, złotem i żółcią na tle kamiennych budynków jego college'u. Piękno tej scenerii tylko zwiększało jego irytację, ilekroć słyszał głos doktor Smith.

Usłyszał też stukot jej wysokich obcasów za swoimi plecami. Odwrócił się zrezygnowany i czekał. Zawsze ubierała się w drogie kostiumy, traktowała siebie całkiem poważnie i chyba w ogóle nie miała poczucia humoru. Cen pomyślał, że może by je miała, gdyby nie czuła na karku oddechu IS. Musiała mieć wobec nich jakiś dług, inaczej nie dało się pojąć jej zachowania. Jej elegancki, drogi, stalowoszary samochód i plotki o wspaniałym domku na wsi sugerowały, że bez wsparcia IS nie dałaby sobie rady.

Cenowi nie było jej żal.

Stała obok niego lekko zadyszana.

- Mogę się z tobą przejść?

Co za różnica? Cen zaczął iść i ona też.

- Posłuchaj, Cen - powiedziała - musisz mi powiedzieć, jak ci idzie z danymi.

- Nie mam żadnych potwierdzonych eksperymentalnie danych - odparł.

- Chyba za bardzo ci pobłażałam - stwierdziła. - Kreują cię na jakiegoś geniusza. Niech będzie. Ja co prawda nie widziałam niczego, co by o tym świadczyło, ale w porządku. Masz wolne ręce. Ale wymaga się od ciebie, żebyś coś stworzył. Albo przynajmniej tego, żebyś coś zasymilował. Tylko że my nie mamy pojęcia, co robisz. Może przepisujesz Kubusia Puchatka.

- My? - powtórzył.

- Komisja rewizyjna działu kosmologii - powiedziała, nawet nie mrugnawszy okiem.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał jej w twarz. Omal nie wpadła na niego. Zarumieniła się, a z jej oczu wyzierał gniew.

- Ty wiesz i ja wiem, że pracujesz dla Interspace, więc może po prostu pogadajmy o

tym, co naprawdę cię gryzie. Twoim zadaniem jest zameczanie mnie, żebym dokonywał magicznych obliczeń, które pozwolą opracować nową teorię wszystkiego, zupełnie nowy paradygmat. Na pewno mogę zrozumieć, dlaczego uważasz, że nie jestem do tego zdolny. Nikt jeszcze tego nie dokonał. Być może w historii matematyki kryją się gdzieś istotne obliczenia, które mogłyby to wszystko rozjaśnić, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto je poskłada. Kto wie? Ja z pewnością nie zajmuję się rozwiązywaniem problemów arytmetycznych, jeśli to chcesz wiedzieć. Ale mogę nigdy nie uzyskać odpowiedzi. Odpowiedź może nie istnieć, przynajmniej w odniesieniu do tego problemu, albo istoty ludzkie na razie nie są w stanie jej sobie wyobrazić. Więc rozchmurz się.

Jej usta zadrżały. Odgarnęła włosy. Po chwili powiedziała:

- Myślę, że przekonasz się, Century Kalakaua, że mnie tak łatwo nie da się zbyć. - Odwróciła się i wróciła drogą, którą przyszli.

Niezły z ciebie dyplomata, co? Cen wcale nie był zadowolony z tego, co zrobił.

Ale zaczynał sobie uświadamiać - i była to dla niego duża rzecz - że może robić to, co chce, gdziekolwiek. Dzięki dostępowi do gazet i tekstów matematycznych w sieci mógł przeszukiwać ich zawartość do woli. Oczywiście wiązało się to z kosztami, a ponadto jego surfowanie w Sieci z pewnością było monitorowane. Wchodził na rozmaite, zupełnie nieprzydatne strony, żeby zamącić obraz swoich poszukiwań. Atmosfera akademicka była tutaj cudowna, wspinała go na określony poziom, dający szczególne postrzeganie świata, umożliwiające profesjonalizm. Ale teraz?

Rzucił torbę obok siebie, na biblioteczne schody, wyciągnął z niej kanapkę i rozwinął opakowanie. Ugryzł kawałek, a resztę włożył z powrotem do torby i wstał.

W swoich obliczeniach dotarł do pewnego punktu. Odkładał rozwiązanie w obawie, że się pomyli i straci swoją posadę, ale musiał spojrzeć prawdzie w oczy: był gotowy do testu.

Nie chciał go robić, czując na karku oddech IS.

Nie zastanawiał się już dłużej, podjął decyzję.

Wracał przez miasto, szedł w chłodnym cieniu zabytkowych kamienic, mijał stare, zielone podwórza, które wyglądały ładnie w to cudowne jesienne popołudnie. Kiedy wszedł po wąskich, krzywych schodach do swojego malutkiego mieszkania, ze zdumieniem przekonał się, że drzwi stoją otworem.

Chcieli, żeby wiedział, że tutaj byli.

Jego mieszkanie składało się z jednego pokoju. Zamiast kuchni miał szybkiwar do ryżu, podgrzewany talerz i małą lodówkę. IS prawdopodobnie nie uwierzyłaby, że Cen jest w stanie utrzymywać się za tak małe pieniądze. Oszczędzał ponad połowę każdej reszty

kredytowej.

Mieszkanie nie zostało splądrowane. Ale zawsze zostawiał włączony komputer, a teraz monitor był ciemny. Cholera, ta Smith szybko działała.

Próbował hamować narastający strach i złość. Nie martw się. Oni nie rozgryzą niczego, co zabrali. Fragmenty swoich dowodów znał na pamięć, ważne etapy przejściowe, których nigdy nie zapisał.

Kiedy rozglądał się po pokoju, uświadomił sobie, że wbrew temu, czego po nim oczekiwali, czuje się beztrojski i wolny, a nie zastraszonej. Nie był im nic winien. Przez wysokie okno przedostała się mała smuga światła słonecznego, która, jak zawsze o tej porze dnia, padła na jedną z osobistych pamiątek Cena, fotografię Rossa.

Jak trudno było kontrolować kogoś, kto naprawdę nie miał nic więcej do stracenia?

Podszedł, złożył ramkę ze zdjęciem i wepchnął ją do plecaka. Zebrał kompakty z matematyką, fizyką i tekstami na temat chaosu i wsadził je do walizki. W plecaku znalazło się jeszcze miejsce dla kilku sztuk odzieży.

Zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach na dół.

Nic do stracenia.

A do zdobycia cały świat.

*

Kilka miesięcy później deszcz spływał strugami po oknie kawiarni „M Street”, do której Cen często zachodził. Pogoda w Waszyngtonie była jeszcze gorsza niż w Londynie. Przewidywano opady śniegu.

Cen był w podłym nastroju. Gapił się w monitor, na fragmentaryczny dział naukowy wczorajszego Washington Post. Z jakiejś perwersyjnej przyczyny nie tylko zachował tę stronę, ale w dodatku spoglądał na nią co godzinę, chociaż znał ją na pamięć. Krótki cytat z wypowiedzi doktor Judith Smith z Oksfordu. Napłynęły wieści o jej najnowszej pracy naukowej. Oczywiście, to była jego praca. I jakim okazała się geniuszem!

Geniusz. Kalakaua, jakim mógłbyś być geniuszem, gdyby zależało ci tylko na tym świecie. Prychnął i zamówił kolejne piwo. Tutejsze piwo było wyborne. Marmurowy bar lekko lśnił. Mosiężne wykończenia odbijały światło.

Zastanawiał się, co teraz robi. Co do Smith, ostatecznie udowodnią jej, że się myli - no, pod warunkiem, że komuś uda się dokładnie określić, co twierdziła. Był pewien, że nie miała zielonego pojęcia, co oznacza papugowana przez nią wiadomość.

Wiedział, że cokolwiek wyszperała i zebrała do kupy, było mylne, ponieważ okno, które obliczał on sam, punkt na postrzępionym fraktalu, który według niego mógł być

czasem, pojawiło się i zniknęło. Nic się nie wydarzyło.

Może będzie musiał zaczynać od zera. To było takie przygnębiające.

Jego ponure myśli potęgował nieubłagany, zimowy mrok i marna pogoda. Czasami myślał o swojej matce i wtedy było jeszcze gorzej. Głupie kości. Prawie żałował, że w ogóle je znalazł. Gdyby mu ich nie pokazała, nie spóźniłaby się i na czas przygotowałyby tacie kolację tamtego wieczoru...

Zapiął kamizelkę, reagując na podmuch zimnego powietrza, które dopadło go w narożniku w chwili, gdy ktoś wszedł. Rozdrażniony, podniósł głowę.

Nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

Kobieta, która właśnie weszła, była odwrócona do niego plecami i składała jasnożółtą parasolkę w zielono-czerwone papugi. Potrząsała nią przez chwilę, a potem włożyła ją do białego, plastikowego stojaka, gdzie znajdowały się inne parasole.

Usiłowała zebrać swoje ciemne, kręcone włosy w długi warkocz, ale sporo włosów uciekało niczym nieokiełznana aureola. Mimo iż miała na sobie solidny płaszcz przeciwdeszczowy w limonkowym kolorze, znakomicie widać było jej szczupłą talię. Długa, biała suknia z krezą na dole i buty, którym przydałby się ktoś, kto pozapinałby tę setkę guziczków, nie wydawały się niczym dziwnym w Georgetown.

Kiedy odwróciła się i popatrzyła na niego w zatłoczonej kafejce, jej twarz wprost promieniała miłością. Gdy usiadła na taborecie obok niego, jej uśmiech był bez wątpienia figlarny.

- Bonjour - odezwała się. A potem dodała łagodniej: - Aloha.

Cen podniósł szklankę, ale drżała mu ręka. Odstawił naczynie i trochę piwa wylało się na kontuar.

- No co? - zagadnęła. - Nawet nie przywitasz się ze mną? - Przechyliła się, dotknęła jego rękę na szklance i uspokoiła go.

- Aloha - powiedział i natychmiast poczuł wzbierającą w nim tęsknotę za domem.

Serce miał tak przepełnione, że zwątpił, czy w ogóle uda mu się wydusić z siebie jakieś słowo. Deformował czas i przestrzeń, nadając im rozmaite kształty teoretyczne, próbując udowodnić coś, co i tak według jego wiedzy mogło się zdarzyć, usiłując zgłębić przyczyny.

- Wiedziałeś, że zostałam wygnana? - zapytała. - Królowa powiedziała mi, że lepiej będzie, jeśli nie wrócę do domu. Że to by tylko utrudniło życie Rojalistom i wystawiło na szwank Republikę i naszą konstytucję. Ale teraz jestem tutaj. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapobiec aneksji. Mogę spróbować tego piwa, jeśli nie zamierzasz go wypić?

- Tak - wydusił z siebie w końcu.

- Zatrzymałam się w Hotelu Arlington, żeby bronić swojej sprawy, sprawy tronu i praw dla mojego ludu. Ale zastanawiam się... czym jest ten lud. - Wyglądała na niespokojną, wzburzoną. Mówiła w taki sposób, jakby kontynuowali rozmowę przerwana jej wyjściem do toalety, chociaż ostatni raz widzieli się wiele miesięcy temu. Nie miał pojęcia, czy ona pamięta to ostatnie spotkanie. Bał się naciskać ją, bał się, że ona po prostu zniknie. Nie odchodź, ko'u aloha, moja ukochana. Nie odchodź.

Potem spojrzała na niego zagubionymi, ciemnymi oczami.

- Cen - szepnęła - co ja tutaj robię?

- Co masz na myśli? - Głos miał cienki, zmuszał się do mówienia.

Zamrugła i dostrzegł, iż usilnie stara się wziąć w garść.

- To musi być... żebyś ty pomógł mi myśleć. A może to sen. Czytałam wiele rzeczy z filozofii. Doprawdy, skąd miałabym wiedzieć? - Jej przepiękny, modulowany głos o brytyjskim akcencie nabrał władczości. Postaram się zignorować tę dziwność, mówił jej głos, gdyż potrzebuję odpowiedzi na poważniejsze pytanie. - Więc powiedz mi, osobo ze snu. Kiedy wstawiasz się za ludem, to za kim się wstawiasz? - Zerknęła na swoje dłonie w białych rękawiczkach; Cen zauważył, że wyszyto je białymi perełkami, które z pewnością były autentyczne. - Czy mam się wstawiać za ich - za naszymi - ciałami, które przecież umrą? Oczywiście zabiegam o porządne jedzenie, ubranie, wykształcenie. Ale to drobiazg. Czy wstawiam się za naszym ciałem jako jednym ciałem, jednym zbiorem charakterystycznych cech, który sprawia, że jesteśmy niepowtarzalni? Tak niewielu zostało Hawajczyków, od czasu gdy na wyspę zawitała ospa i choroby weneryczne. Czy wstawiam się za naszym dawnym stylem życia, który przeminął, kiedy przyszłam na świat, i z tego co widzę, dobrze, że go już nie ma? Mam wrażenie, że muszę zabiegać o coś nieuchwytnego - życie naszej duszy jako ludu - i nie wiem, co będzie gwarancją tego życia. Nie wiem nawet, co to takiego. Wszystko tak szybko się zmienia.

- Ja też nie wiem. - Odparł Cen. Słyszając jej czysty głos, pełen udręki i zapału, poczuł ogromne zawstydzenie, że porzucił RO i Maui. Ten ruch znaczył dla jego matki tak wiele, że niechętny oddała za niego życie. Zastanawiał się, co się z nim dzieje. Jak mógł być tak cyniczny w obliczu takiego cudu? Kaiulani spędziła całe życie ucząc się, jak najlepiej służyć swojemu ludowi jako królowa. Dlaczego on sam uznał, że trzeba odepchnąć ten naród i jego potrzeby?

W jej brązowych oczach lśniły łzy.

- Nie chodzi tylko o to, że haolscy biznesmeni wykradają nam ziemię - powiedziała. -

Robili to, gdzie tylko mogli, na całym świecie, tam gdzie prywatna własność była nieznanym pojęciem. Widzisz, tak naprawdę to pojedynek idei. Czy wiesz, co sprawia, że jesteśmy niepowtarzalni? - Jej oczy zapłonęły.

- Co? - zapytał.

- Wyruszyliśmy w nieznaną - odparła. - I zrobiliśmy to dla idei, a także dlatego że świat był dla nas innym miejscem niż dla Europejczyków. Widzisz, potrafiliśmy nawigować. Uczepiliśmy się gwiazd za pomocą naszych umysłów i one nas ciągnęły. Skończyłeś już? Może się przejdziemy?

Cen ledwo zdążył schować swój notebook, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę z nią. Memy. Geny. Idee, o których rozprawiała, w jej epoce nawet nie miały nazw.

Padał deszcz, ale trzymana przez niego papuzia parasolka okazała się dostatecznie szeroka.

Jak na Hawajkę była niezwykle drobna, ale w końcu miała też szkockie korzenie. Nie przeoczył ani jednego jej słowa, wypowiedanego tym niskim, wyrafinowanym głosem. Uczono ją królewskich manier praktycznie od narodzin. Zauważył to, kiedy była dzieckiem, ale teraz bardzo to cenił. Była jedyną spośród rodaków, która wystąpiła i przeżyła, i która mogła przekazać wiedzę o Europie, w której mieszkała siedem długich lat. Zabiła ją jej własna ziemia.

Kiedy szli, jej włosy układały się swobodnie. Wiatr był zimny, przenikliwy, aż poczerwieniały jej policzki. Miało się wrażenie, że mgła jest coraz bardziej lodowata.

- Jak tutaj jest, Kaiulani? - zapytał. Usłyszał we własnym głosie nutę błagalnej desperacji, ale nie dbał o to. Jak ona się tutaj dostała? Gdyby ją o to spytał, czy w ogóle potrafiłaby udzielić odpowiedzi? Był pewien, że nie. Jak ona to nazywała? Przyjaciele duszy. Cóż to była za energia? Jak można było ją zdefiniować, narysować, powielić, wykorzystać? Miał dość dziwnych układów geometrycznych. Nie chciał rozwiązywać tajemnicy czasoprzestrzeni - chyba że po to, aby móc oglądać ją. Zbyt straszne było to, że widywał ją tak rzadko. Gdyby tylko mógł być z nią na zawsze.

Na zawsze? Ona zmarła w wieku dwudziestu trzech lat. Niewiele jej pozostało tego „na zawsze”.

- Tutaj jest tylu Hawajczyków, że ciągle na siebie wpadamy - poskarżyła się w odpowiedzi na pytanie, o którym on zdążył już zapomnieć. - W Waszyngtonie pełno jest pół-Hawajczyków, haolskich biznesmenów, innych *alii*, i wszyscy próbują osiągnąć swoje cele poprzez gazety i na przyjęciach u kongresmenów. Jedni chcieli unieważnienia aneksji, inni pragnęli, żeby Hawaje były państwem, a zdarzali się i tacy, którzy uważali, iż Hawaje muszą

znowu stać się niepodległym królestwem. Spora ich część jest niezadowolona z mojego pobytu tutaj. Poznałam prezydenta Clevelanda i jego żonę na audyencji w Białym Domu. - Zobaczył, że Kaiulani zaciska szczękę. - Zostałam wychowana i wykształcona tak, aby myśleć i epatować urokiem. Zrobiłam obie te rzeczy. Członkowie Rządu Tymczasowego - tak nazwali swój przejrzysty szwindel - rozsiadli pogłoski, że jestem dzikuską. - Odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła cudownym śmiechem, a w jej oczach tliły się iskierki niesforenego rozbawienia. - Niestety, ponieważ jestem tutaj, ich plan spalił na panewce. - Cen czytał stare gazety. Jej obecność - widok nadspodziewanie inteligentnej, obytej piękności, ubranej w najszykowniejszy paryski strój i dyskutującej z reporterami o polityce - doprowadziła do tego, że New York Times wezwał do dokładnego zbadania sytuacji na Hawajach. - Przekonali się na własne oczy, że nie jestem dzikuską.

Z łatwością, pomyślał Cen, bardziej niż kiedykolwiek oszołomiony jej obecnością. Coś bowiem zadziało. Coś, co on sam zrobił, okazało się udane. Albo prawie udane. Rozpierała go duma.

- Nie jestem pewna - odparła. - Mogłam wywołać rewolucję na Hawajach. Mogłam zjednoczyć moich rodaków, ale w jakim celu? Studiowałam dogłębnie dzieje krajów europejskich. Nie różniły się niczym od tego, co przeżywali Hawajczycy: niekończące się wojny, i te nikczemne, i te sprawiedliwe. - Westchnęła. - Załatwię im prawo głosowania. Kiedy zostaniemy zaanektowani, przynajmniej będziemy mogli głosować.

- Obawiam się, że większość Hawajczyków nie zagłosuje - powiedział jej Cen, przynajmniej ten raz nie myśląc o konsekwencjach. - Ale w końcu wielu Amerykanów też nie głosuje. Och, oczywiście są senatorowie, profesorowie college'ów - wielu miłych, wykształconych i pracowitych Hawajczyków. Ale dużo osób nie uczestniczy w życiu haolskiego społeczeństwa. Łowią ryby, piją, pobierają zasiłki. Kawalki gruntu, które dał im Kamehameha II, były w kształcie placków, pamiętasz? Żeby jakoś wyżyć, trzeba było mieć górskie wyżyny i kawałek oceanu. Niektórzy szczęściarze wciąż mają tamte stare tytuły ziemskie i procesują się z wielkimi hotelami, których kierownicy uważają się za właścicieli gruntu. Czasami nawet wygrywają. Ale tylko niektórzy... och, Kai, nie powinienem był nic mówić...

Po jej twarzy płynęły łzy. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Oparła głowę na jego piersi i szepnęła:

- Co mogę teraz zrobić? Co powinnam zrobić? - Jej ciałem wstrząsały spazmy szloch. Przytulał ją mocno i kołysał w ramionach, ale ona nie przestawała płakać.

- Kaiulani - wyszeptał. - Przepraszam.

- Tylko ciebie znam, kiedy tu przybywam - powiedziała.

- Widzę, że jest inaczej. Widzę to. To mnie fascynuje. Ty mnie fascynujesz. Wiem, że nie jesteś snem. - Przywarła do niego mocniej, a on wziął głęboki oddech. - Ale nigdy nie mogę zostać na dłużej. Nigdy nie jestem tu dostatecznie długo.

Kiedy wypuścił ją z objęć, wydawała się oszołomiona. Przeszła z nim jeszcze jedną przecznicę, a potem powiedziała:

- Muszę już iść.

Zakręciła się na pięcie i wsiadła do autobusu, którego drzwi otworzyły się tuż przed nim.

Zanim zdążył za nią pójść, drzwi zasunęły się i cichy autobus elektryczny skręcił za rogiem i wyjechał z centrum.

Obserwował jego odjazd w całkowitym oszołomieniu.

Poczuł, że ktoś go bezceremonialnie potrąca i odwrócił się. Mężczyzna chwycił go z całej siły za ramię.

- Z kim rozmawiałeś?

Interspace.

Nawet nie myślał. Roześmiał się tylko temu mężczyźnie w twarz. Miał nadzieję, że dzięki wypitemu wcześniej piwu jego oddech będzie porządnie nieświeży.

- Rozmawiałem? Rozmawiałem z Rossem Benetem. Często z nim gadam. Słyszałeś kiedyś o nim? Co za gość! I z moją przyjaciółką Mei. - Podniósł głos. Przechodnie odwracali głowy i szybko przechodzili obok nich. Cen klepnął mężczyznę po plecach. - Hej, może k-kupić ci drinka? - Miał nadzieję, że wypadł wiarygodnie. Facet patrzył na niego z lekkim obrzydzeniem. Potem puścił jego ramię i odszedł.

- Hej! - wrzasnął za nim Cen. - Kiedy indziej, dobra?

*

Czując niemal dzieciinną satysfakcję, Cen zaczął spędzać dużo czasu w barach. Przekonał się, że niespecjalnie lubi się upijać. Musiał jednak przynajmniej raz czy dwa odstawić show. Wdał się nawet w bójkę i został aresztowany. Przestał myć włosy. Zapuścił brodę i w ogóle o nią nie dbał. Widział, z jakim obrzydzeniem patrzą na niego ludzie na ulicy i był zadowolony. Tak ma być. Porzuciłem świat myśli. Jestem w rozpacz. Nocami dużo rozmyślał, wyciągnięty na starym, wyplatanym fotelu w swoim tanim pokoiku, podczas gdy ATV migotała bezgłośnie.

Kiedy nadeszła odpowiednia pora, opuścił miasto.

*

Cen przebudził się gwałtownie i przez chwilę leżał nieruchomo, zastanawiając się, co go spłoszyło.

Za grubymi zasłonami pobłyskiwało delikatne, szare światło świtu w Berkeley.

Cen usłyszał krople deszczu bębniące o okno. Przypomniawszy sobie, że zaczął nienawidzić tej pozbawionej słońca, brudnej zatoki, którą okalały fabryki. Smog był tutaj znacznie bardziej dokuczliwy niż w mieście, za to życie kosztowało znacznie mniej niż w San Francisco. Wstał i poszedł do kuchni; na ladzie walało się mnóstwo brudnych naczyń. Po piecyku uciekał karaluch. Może trochę za bardzo przejął się rolą odszczepieńca.

Po przybyciu do Kalifornii zdał sobie sprawę, że ma trochę wolnego czasu - nie był pewien, jak dużo.

Potrzebował jeszcze kilku spotkań z Kaiulani. Za każdym razem, gdy ją widział, był w stanie przewidzieć trafniej następne okno.

Wziął więc sobie pracę fizyczną - ładowacz w firmie organizującej przeprowadzki - i zarabiał niezłe pieniądze. Dzięki temu zajęciu miał nieobciążony umysł. Był zdecydowanie poza systemem. Kiedyś rozszyfrował kod, który był adresem sieciowym Maui, gdyż zamierzał wysłać mu wiadomość. Te kości prześladowały go. Może powinien je przekazać Maui. Kaiulani tak by postąpiła. Ale w końcu nie wysłał wiadomości. Pozostawał w osobliwym zawieszeniu. Nie chciał wiedzieć, co IS zrobiła z posiadanymi informacjami. Był zaskoczony, że pozwolili doktor Smith powiedzieć cokolwiek prasie. Niewątpliwie została już ostrzeżona. Był pewien, że to, co rzeczywiście robił z tą informacją, było wiadome tylko jemu samemu.

Cen zeskrobywał druciakiem czarny nalot z dna patelni, ale w końcu dał za wygraną. Czyściej się nie da.

Stał przy zlewie i dziwił się, dlaczego jest pogrążony w tym dziwnym letargu.

I nagle oświeciło go. To był ten dzień. Naprawdę.

Jeden dzień unoszący się w dziwnym rumowisku po wielkim wybuchu. Dzień, na który czekał od miesięcy.

A jeśli się mylił? Już mu się to zdarzało.

Przez chwilę miał ściśnięte gardło ze strachu, ale chwycił kurtkę i nałożył ją na siebie.

Pojechał BART-em przez zatokę, a potem krążył po wzgórzach San Francisco. Niebo wcale się nie przejaśniało, wręcz przeciwnie, padał jeszcze większy deszcz. Cen poruszał się jak w transie. Pozwalał, żeby myśli o Kaiulani sączyły się do jego mózgu wraz z obserwacją pogody. Cały czas kontrolował ich przepływ.

Wielką zagadką była jej śmierć. Owe klątwy i zapowiedzi z pewnością nie były

pomocne! Wydawało się, że zawładnęło nią poczucie całkowitej beznadziei. Była jak świetny koń wyścigowy, hodowany i trenowany tylko w jednym celu: żeby rządzić krajem, i to dobrze, i jeszcze sprawować władzę całym sercem. Po prostu czuła się pozbawiona mocy.

Zmęczył się dopiero po pięciu godzinach wspinaczki po wzgórzach. W końcu przystanął.

Przed nim znajdowało się miejsce, do którego zawitał niejedyn raz. W ramach rekonesansu. Mając nadzieję. Właśnie tutaj Kaiulani zatrzymała się w powrotnej drodze na Hawaje z Waszyngtonu przez San Francisco, po drugiej wizycie, po spotkaniu z Liliuokalani, która wciąż podejmowała bezowocne próby zmiany sytuacji za pomocą aktów prawnych.

Zimny podmuch przyprawił go o szczykowanie zębów. Stojąc na chodniku spojrzał na swoje niewyraźne odbicie na tafLOWYM szkle i uświadomił sobie, że z tak niechlujnym wyglądem nie będzie mile widziany w markowych restauracjach czy barach, w których zazwyczaj przesiadywał.

No i dobrze. Nie planował picia dzisiejszego wieczoru. To mogła być ta noc. Wziął pokój, tak jak to robił przez wiele wcześniejszych wieczorów. Za każdym razem przeżywał rozczarowanie.

Ale tym razem...

W pomieszczeniu, do którego wszedł, pełno było kwiatów - pomarańczowe strelacje królewskie, białe, wonne pąki imbiru, chiński jaśmin i całe krzewy bougainville - żółte, różowe, pomarańczowe, czerwone. Pokój był niezmiernie staroświecki, ponieważ elementy z Zachodu miały być całkowicie autentyczne. Jednak tapeta była zupełnie nowa i skąpana w delikatnym blasku świateł gazowych. Na zewnątrz wciąż padał deszcz. Podeszedł do okna. Nie mógł dojrzeć świateł bazy kosmicznej i to go zmroziło. Może to mgła wszystko przesłoniła.

Ale kiedy odwrócił się i zobaczył ją, nie był ani trochę zaskoczony.

Kaiulani zamknęła za sobą drzwi i zobaczył łzy w jej oczach. Uśmiechnęła się i łzy pocięły obfitą strugą. Nie był w stanie nic powiedzieć. Podeszła do niego i objęła go. Przycisnęła policzek do jego policzka, żeby poczuł całe jej pragnienie, które z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn koncentrowało się na nim.

Tej nocy mówiła niewiele. Chociaż bardzo się starał być delikatny, podejrzewał, że w gruncie rzeczy nie było jej przyjemnie. Jednak ilekroć przestawał i próbował mówić o tym, co się dzieje, ona nalegała, żeby kontynuować.

Oczywiście nad ranem już jej nie było. Wszystko działo się w czasie terażniejszym, baza znowu się pojawiła, a rachunek z pewnością miał dzisiejszą datę.

Ale słońce nie świeciło.

Wszystko co posiadał, oprócz wypłaty za ostatnie dwa dni, miał przy sobie. Ale nawet gdyby tak nie było, zdawał sobie sprawę, że mimo to pojechałby taksówką na lotnisko, tak bardzo rozpierała go nadzieja i podniecenie.

Podczas lotu na Hawaje czuł się tak, jakby został wciągnięty w dziwne układy energii, których przez długi czas nie rozumiał, jak gdyby odsiadywał jakiś wyrok i dopiero teraz odzyskiwał wolność.

LYNN

Azja 2034

13

Wiatr smagający przełęcz był lodowaty jak światło gwiazd, przywiewał śnieżny chłód. Plecak Lynn był ciężki i kiwał się z boku na bok, kiedy szła. Zatrzymała się, ściągnęła rękawiczki zębami i próbowała ustalić, który z licznych pasków na jej ciele poprawiłby sytuację. Idący kilka metrów przed nią Akamu zniknął w czarnym cieniu, a potem wynurzył się ponownie na skąpanym w księżycowej poświacie szlaku. Ich przewodnik niósł mały plecak, dlatego szedł szybciej i zniknął za ostrym zakrętem.

Lynn obejrzała się raz za siebie. Wyszli z bramy w gładkiej ścianie skalnej, do której docierało się przez wąski, wilgotny tunel. Powyżej majaczyła lśniąca w świetle księżyca świątynia. Jej dachówki były ciemne, a wystrzępione flagi modlitewne głośno łopotały. Miejsce śmierci. Nie podobało jej się tutaj. Śmierć miała bezpośredni związek z nią - śmierć z jej powodu i zagrażająca jej samej.

Odwróciła się i szybko poszła za pozostałymi uczestnikami wyprawy. Mocno ścisnęła laskę, wiedząc, że jedno poślizgnięcie mogłoby sprawić, iż spadłaby w ciemność po swojej lewej stronie. Starła się nie zważać na bezustanny ból w nodze, pamiętając, jak gruba i mocna była niezłamana kość na zdjęciu. Wmawiała sobie, że Hawkins nie był martwy, kiedy go zostawili, ale to nie miało znaczenia. Sattva nie była cudotwórczynią. Uderzyło ją jednak, że dwóch starych przyjaciół umiera w tym samym czasie - jej ojciec i Hawkins. Zdała sobie sprawę, jak mało w gruncie rzeczy wie o swoim ojcu.

Pomimo problemu z nogą czuła się całkiem znośnie. Może za sprawą rzeźkiego, ostrego jak nóż wiatru.

Szybko minęła zakręt i zobaczyła, że Akamu i przewodnik czekają na nią. Światło księżyca padało na nieregularny krajobraz złożony z przełęczami i czarnych, z wyglądu bardzo głębokich, dolin. Jej towarzysze odwrócili się i podjęli marsz.

- Akamu - powiedziała, dogoniwszy go. Szlak rozszerzał się, tworząc siodło, mogli

więc iść obok siebie.

- Co? - zapytał. Sprawiał wrażenie zaaferowanego, być może poirytowanego tym, że wytrąciła go z zamyślenia.

- Gdzie się nauczyłeś tak strzelać?

- Jak strzelać?

- Wystarczająco dobrze, by zabijać ludzi.

Milczał przez parę sekund.

- Gry wideo WR. Nie miałem zamiaru nikogo zabić. Może powinienem tylko odebrać im broń?

- Myślałeś szybko i byłeś bardzo dzielny - powiedziała Lynn. Gry WR? To brzmiało dość przekonująco - większość ćwiczeń w różnych grupach zawodowych, od chirurgów po żołnierzy, wykonywano z użyciem wirtualnej rzeczywistości. Wykazano, że dzieciaki, które grają w tego rodzaju gry, mają szybszy refleks.

Ale i tak mu nie uwierzyła.

- Co myślisz o tym, co powiedziała Sattva? - zapytała.

- O czym?

Ścisnęła laskę trochę mocniej.

- O tym, że jesteś klonem króla Kamehameha.

- I co z tego?

- Naprawdę znasz tego Maui, prawda? - Ona sama nigdy nic o nim nie słyszała. Ale była pewna, że Akamu o nim słyszał.

Wielkie ptaszysko wydało skrzek i, machając ciężkimi skrzydłami, poderwało się z jednej z cienkich sosen na chronionej przełęczy.

- Co to było? - Akamu przystanął i odwrócił się, żeby obejrzeć niebo.

- Może sowa - odparła. - Akamu, nie zmieniaj tematu. Mój ojciec umarł. Rozumiesz? - Głos jej zadrżał i próbowała nad nim zapanować. Potknęła się o skałę i tylko laska uchroniła ją przed upadkiem.

- Uważaj! - napomniął ją Akamu. Przewodnik odwrócił się i upewnił, że nic im się nie stało, a potem kontynuował marsz. Ale chociaż dzieliło ją od niego raptem kilka metrów, z powodu porywistego wiatru nawet nie słyszała jego kroków.

- Ty płaczesz! - zawołał Akamu.

- Patrz, jak idziesz - odparła, ocierając twarz. - A czego się spodziewasz?

- Nie wiem - odparł tępo. Potem dorzucił, głosem tak cichym, że musiała wytężyć słuch: - Ja chyba nawet nie mam ojca.

- Zrobił jeszcze kilka kroków, a potem usłyszała jego przenikliwy śmiech. - Albo...
pewnie nie żyje od paruset lat!

- Może myślałeś, że to Maui jest twoim ojcem - powiedziała.

- Nigdy nie myślałem, że Maui... - zaczął z oburzeniem i zaraz umilkł. - Podeszłaś
mnie - powiedział wreszcie.

- Posłuchaj, dzieciaku, twoim zdaniem dlaczego wbiegłam do budynku, który miał
zaraz wybuchnąć?

- Skąd wiedziałaś, że wybuchnie? - zapytał.

- Bo uważnie patrzyłam. Mam apartament na czterdziestym trzecim piętrze Koolau
House.

- Koolau House?

- To ta szklana wieża przecnicę dalej od miejsca, w którym byłeś.

- Och. - Z trudem przebrnął metr, dwa. - Co widziałaś?

- Widziałam, jak dwóch mężczyzn podchodzi do twojego domu i ulatnia się w
wielkim pośpiechu.

- No i co? Dlaczego miałabyś coś sobie o tym pomyśleć?

Lynn uświadomiła sobie, że jej serce bije szybciej niż jeszcze minutę temu. Był
dociekliwy. Chcesz wiedzieć coś o Maui? Powiedz mu wszystko. Powiedz mu wszystko, co
wiesz. Jeśli jej tajemniczy wysłannik nosił imię Maui, można było się założyć, że coś go
łączy z RO. Być może był to nawet ktoś sławny, kto używał kodowanego imienia. Większość
z nich tak robiła. Czy można było się temu dziwić?

Ale ciężko jej było się przemóc.

- Dlaczego, Lynn? - Zatrzymał się i obrócił, żeby na nią spojrzeć. Jego twarz była
czysta i gładka, jeszcze dziecinna, chociaż dowiódł odwagi i intelektualnej biegłości. Dzieci
potrzebowały miłości i poczucia bezpieczeństwa. Idący niżej przewodnik też się zatrzymał i
pomachał zniecierpliwiony. - Dlaczego? - powtórzył.

Lynn głęboko odetchnęła.

- Ponieważ wiedziałam, że inne klony zostały zabite - powiedziała.

Nawet nie mrugnął okiem.

- Ja również o tym wiedziałem - odparł. - Chcę wiedzieć, skąd ty to wiedziałaś.

- To długa historia - rzekła. - Może lepiej...

- Pieprz się - odparł, budząc w niej popłoch. W jego oczach przez chwilę było widać
łzy. Odwrócił się i zaczął zbiegać szlakiem. Odepchnął przewodnika, który spojrzał najpierw
na Lynn, potem na Akamu, a następnie ruszył szybkim krokiem.

*

Po godzinie księżyc zaszedł i musieli wyjąć latarki. Przewodnik szedł twardo na czele. Akamu nie chciał rozmawiać z Lynn, a szlak był zbyt wąski, żeby iść obok siebie.

Znowu mieli do pokonania wzniesienie i Lynn z trudem wytrzymywała pulsowanie w nodze i pieczenie w gardle. W końcu nie miała już siły dalej iść.

- Zaczekajcie! - krzyknęła, ale tamci już zniknęli za zakrętem i nawet jej nie słyszeli. Kucnęła na szlaku. Kamienie uwierały ją w pośladki, a rozluźnione mięśnie powodowały u niej dygotanie. Była zalana potem i gdy tylko powiał wiatr, zaczęła drżeć z zimna.

Wydawało jej się, że słyszy szum rzeki w dole, a może to tylko wiatr wył pośród drzew. Jakie drzewa mogły rosnąć na tym pustkowiu?

Żałowała, że nie jest w stanie wyobrazić sobie duszy ojca. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że gwiazdy błyszczą jaśniej.

Wyobraźnia, powiedziała sobie, ale jednocześnie oddawała go gwiazdom, do których chciał dotrzeć tak bardzo, że poświęcił na to swoje życie. Nie zrobił tego dla siebie, lecz dla ludzkości. Pogrążona w rozmyślaniach, dopiero po jakimś czasie uprzytomniła sobie, że Akamu nią potrząsa.

- Lynn! Czy ty zasnęłaś? Za szybko idziemy? Chodź. Pomogę ci wstać. Przepraszam, że tak się wkurzyłem.

Przewodnik zawrócił i zmarszczył brwi.

- Dopiero ruszyliśmy. Przed świtem musimy jeszcze zrobić dwadzieścia kilometrów. Panna Sattva mówiła, że możemy mieć na karku żołnierzy. Lepiej, żebyśmy się pośpieszyli. - Zdjął plecak i włożył do niego rękę. - Proszę - powiedział i wepchnął im obojgu coś do rąk. Z powrotem nałożył plecak, odwrócił się i szybko ruszył szlakiem.

- Świetnie! - powiedział Akamu, rozerwawszy opakowanie.

Lynn szukała latarki.

- Co to takiego?

- Batonik - rzekł. - Hej, włóż ten papierek do kieszeni!

Ale wiatr wyrwał Lynn papierek z rąk i cisnął go gdzieś w ciemną pustkę.

*

Mniej więcej w środku nocy Lynn przeszukiwała swój plecak w nadziei, że znajdzie jeszcze coś słodkiego. Skierowała snop światła małej latarki na schludną torbę Hawkinsa i natknęła się na coś, co otrzymała, gdy wypisywano ją ze szpitala - pakiet z plastrami przeciwbólowymi i różnymi fiołkami, na których były napisane instrukcje. Z wdzięcznością rozdarła opakowanie i przyłożyła sobie plaster na szyję. Akamu zachowywał

się tak, jakby uczestniczył w najlepszej zabawie w swoim życiu. Tak, cudowna przygoda, pomyślała. Cudowna. Po chwili Akamu stanął obok niej na szlaku.

- Możesz mi powiedzieć teraz, Lynn? On powiedział, że możemy odpoczywać jeszcze pięć minut. Zdradź mi, skąd wiesz tyle rzeczy o mnie.

Powiedziała mu. Opowiedziała mu w paru zdaniach, że jej ojciec był szefem IS, ale jej ci ludzie się nie spodobali i kiedy dorosła, nie chciała się z nimi wiązać. Niemniej jednak miała dostęp do wszystkiego, czym zajmowała się IS. Jej bracia stali teraz dość wysoko w hierarchii IS, a poza tym wychowywała się blisko organizacji. Powiedziała mu, że jest ekspertem od rozmaitych spraw związanych z DNA i że to właśnie tłumaczy, dlaczego wiedziała o klonach. Milczał cały czas i nie zadawał żadnych pytań. Potem przewodnik kazał im wstać i ruszać w drogę. Zaczynało jej być wszystko jedno, kto ich ściga. Znajdowali się teraz niżej i szli wzdłuż odnogi jakiejś rzeki. Były tu drzewa, a gładkie, okrągłe kamienie, które widziała na szlaku, wyglądały jak wygodne poduszki. Potknęła się i upadła, ale pomachała ręką swoim towarzyszom i szła dalej. Po jakimś czasie przykleiła sobie kolejny plaster przeciwbólowy. Zobaczyła twarz ojca, pomarszczoną i zaniepokojoną, słyszała jego głos nakazujący, żeby koniecznie skontaktowała się z Hawkinsem. Co on i Hawkins robili? Bardzo chciała, żeby już zrobiło się jasno i żeby mogła odpocząć, a potem przejrzy wszystko, co podarował jej Hawkins. No i musiała wycisnąć z Akamu informacje na temat Maui. „Maui jest moim przyjacielem” - powiedział jej chyba z sześć razy. Ale teraz być może powie coś więcej. Będzie musiał. Mimo wszystko czuła się bezradna. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z osobą w wieku Akamu. Na pewno niczego nikomu nie zdradził - skutek wczesnej indoktrynacji. Przynajmniej był żywy, podczas gdy inne klony Kamehameha nie przetrwały. Ale chociaż nauczono go, jak posługiwać się bronią, i był bardzo zaradny, żył tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Tylko po co w ogóle przebywał w tamtym domu?

*

W pakiecie przygotowanym przez Hawkinsa znajdowały się pieniądze: chińskie, amerykańskie dolary, mnóstwo jenów, tajskich bahtów i pokaźna sumka wszechobecnych euro.

Urzędniczka na granicy z Nepalem, w chatce na południowym brzegu niewiarygodnie zielonej i wartkiej rzeki, która płynęła kilkadziesiąt metrów od nich, przez wąwóz okolony białymi klifami, wpatrywała się w ich paszporty przez kilkanaście minut, najpierw lustrując dokumenty Lynn, a potem Akamu. Lynn była skrajnie wyczerpana. Ich przewodnik zawrócił, gdy tylko zaczęło świtać, twierdząc, że teraz nie będą mieli żadnych kłopotów.

Wszystko wydawało się dziwnie odległe, jakby przydarzało się komuś innemu, komuś raczej mało ważnemu. Wiatr rozwiewał włosy Lynn. Jego świeży zapach nasuwał skojarzenie z lodowcami. Kilka metrów dalej stały autobusy, które wyrzucały z rur czarny dym i pozbywały się turystów. Były jeszcze bardziej sfatygowane niż furgonetka, którą dojechali do wioski Sattvy. Lynn nie słyszała nic oprócz ich ryku i basowego szumu rzeki. Stanęła na zdrowej nodze, marząc, żeby strażniczka się pospieszyła. Jeden z kierowców, z którym rozmawiała, powiedział, że dwa autobusy mają czekać na podróżników, którzy wybierają się na jednodniowe wycieczki do Chin. Kolejny, wypełniony pasażerami, którzy właśnie skończyli tygodniowy wypad, miał odjechać przed dziesięcioma minutami, czekał jednak na nią i Akamu.

- Ale proszę się pośpieszyć - powiedział kierowca odwożący swoją grupę z powrotem do Nepalu. - Oni muszą zdążyć na samolot w Kathmandu. - Akamu siedział. Był oparty o cieką balustradę i wydawało się, że śpi.

Strażniczka spojrzała na Lynn jeszcze raz. Lynn nagle pojęła, co wyrażają jej czarne oczy. I poczuła ogromną ulgę. Było oczywiste, że zadziałał wirus w czipie komputerowym dostarczonym przez Hawkinsa - zmieniał dane w ich paszportach szybko, nie zostawiając żadnych śladów. Jeden z podróżników, wysoki biały mężczyzna ubrany w wyrafinowany strój do wypraw, wysiadł z autobusu i zrobił kierowcy porządną awanturę, wymachując rękami i pokrzykując. Kierowca pokazał mu Lynn. Mężczyzna potrząsnął głową. Kiedy stojący na dużej połaci mocno ubitej ziemi kierowca wzruszył ramionami i pośpiesznie wrócił do autobusu, Lynn wyjęła z kieszeni kilka banknotów. Gdyby nie zmęczenie, od razu domyśliłaby się, co trzeba zrobić, i czekali by tu najwyżej minutę. Strażniczka po prostu czekała na łapówkę.

Strażniczka uśmiechnęła się, szybko skinęła głową. Lynn zaoferowała jej miejscową walutę, całkiem sporą sumę, ale reakcją były zmarszczone brwi. Lynn wyciągnęła dwadzieścia dolarów. Strażniczka przyjęła pieniądze, ale nie oddawała paszportów, tylko przeniosła spojrzenie na Akamu. Lynn szybko wręczyła jej kolejne dwadzieścia dolarów. Potem usłyszała cichy stukot. To kierowca zamknął drzwi autobusu. Strażniczka oddała im paszporty. Kierowca wrzucił bieg. Lynn potrząsnęła Akamu, który najpierw jeszcze bardziej się skulił, ale zaraz oprzytomniał, zobaczył, co się dzieje, wstał i zaczął biec, krzycząc i wymachując rękami jak Lynn.

Razem biegli po stwardniałej, błotnistej, wyboistej drodze, lecz autobus już zniknął za zakrętem. Lynn zaczęła kaszleć od kurzu i przystanąła. Była zbyt wyczerpana, żeby podsycać w sobie gniew, więc tylko stała zdumiona, że kierowcy nie pozwolono się zatrzymać.

Uprzytomniła sobie, że mimo środków przeciwbólowych odczuwa bardzo silny ból w nodze. Akamu wyglądał tak, jakby miał za chwilę osunąć się na ziemię. Nocna wyprawa była uciążliwa i niebezpieczna: po tym jak zaszedł księżyc, groziło im, że w ciemności poślizgną się i wpadną do jakiejś rozpadliny.

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Aż podskoczyła.

- Przepraszam panią.

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę, który był tego wzrostu co ona i miał na czole czerwone znamię thika. Czarne włosy opadały mu na oczy i ciągle je odgarniał. Pokazał jej wóz, który wyglądał na jeszcze większego grata niż tamten autobus. Chyba był na benzynę - to akurat wydawało się korzystne, bo nie będą musieli zatrzymywać się za kilka godzin i czekać na doładowanie. Była pewna, że ten facet nie ma zapasowej baterii do samochodu elektrycznego. Jego wóz nie miał zderzaków, a tylne drzwi były umocowane linką.

- Dla pani mogę wyprzedzić ten autobus - powiedział. - To żaden problem.

*

Rzeczywiście, samochód ruszył z zapierającą dech w piersiach prędkością, chociaż zakręty były bardzo ostre i brakowało barier ochronnych. Lynn znalazła jakieś obszarpane pasy bezpieczeństwa dla Akamu, ale dla niej nie znalazło się już nic. Akamu zasnął, jak tylko opadł na siedzenie. Zamknęła drzwi od swojej strony, ale był to żalorny wysiłek. Samochód zaczął rzeźnić w pobliżu szczytu, a mężczyzna, który przedstawił się jako Jehu i zażądał dwustu dolarów amerykańskich za podróż, zatrzymał go niedbałym skrętem kierownicy. Odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- Przydałoby się to naregulować.

Lynn zapłaciła mu siedemdziesiąt pięć dolarów i obiecała następne siedemdziesiąt pięć po przybyciu na miejsce; wydawał się bardzo zadowolony z tego układu. Mrugnęła załzawionymi oczami. Po tej stronie gdzie siedziała, znajdował się skraj klifu; gdyby otworzyła drzwi i wysiadła, runęłaby do wąwozu, gdzie rzeka tworzyła teraz cienką, zieloną nic. Jehu sięgnął pod swój fotel i wyciągnął rękę. Trzymał w niej młotek. Lynn omal nie zatkało z wrażenia.

Wciąż uśmiechając się od ucha do ucha, wysiadł z samochodu i wsunął się pod podwozie. Usłyszała walenie.

- Już naregulowałem co trzeba, proszę pani, nie będzie problemów - oznajmił i zatraskując drzwi, rzucił młotek na fotel.

Rzeczywiście, samochód sprawował się teraz znakomicie. Mknęli górą w stronę następnego wąskiego wąwozu, gdzie nagie pola wznosiły się tarasowato po lewej stronie, a w

dole płynęła jeszcze rzeka - czyżby ta sama? Lynn zauważyła błysk rozbitego, przewróconego jeepa, który najpewniej stoczył się na drzewo w pobliżu wody.

- Nie musimy gonić autobusu - powiedziała.

- Niech się pani nie przejmuję, nigdy nie pozwalam się wyprzedzić autobusowi. To kwestia honoru. - Odsunął okno i szukał czegoś w kieszeni koszuli. Lynn zadygotała i zapięła swój płaszcz. Mężczyzna zapalił skręta, odwrócił się i zaproponował go Lynn.

- Może spróbuje pani nepalskiego tytoniu?

To by ją pewnie zrelaksowało. Droga była tak wyboista, że ona i Akamu podskakiwali na siedzeniach jak popcorn.

- Nie - odparła.

Jehu wzruszył ramionami i odwrócił się. Zauważyła, że przyglądał jej się zmrużonymi oczami w lusterku. Autobus na drodze przypominał małą kropkę. Kierowca nacisnął pedał gazu. Samochód czknął i wypluł gryzący, czarny dym. Jehu ostrożnie włożył skręta do popielniczki i przechylił się do przodu. Położył rękę na klaksonie i trzymał ją tam, a jednocześnie sterował kierownicą za pomocą dwóch palców drugiej ręki.

- Zwolnij! - wrzasnęła Lynn, ale on tylko się zgarbił jeszcze bardziej. Autobus bardzo szybko zrobił się duży. Znajdowali się na końcu prostego odcinka drogi. Był wczesny ranek i jakiś mężczyzna orał nawodnione pole z pomocą białego bawoła wodnego. Droga przechodziła kobieta, niosąc na głowie stertę patyków. Samochód minął ich oraz kilka brudnych, drewnianych domów dosłownie w ułamku sekundy. Jehu ścisnął koło kierownicy i przejechał na niewidoczną odnogę drogi.

- Widzi pani? - zapiął, cudem unikając zderzenia czołowego z potężną ciężarówką. Puścił klakson i wziął skręta z popielniczki.

- Wypuść nas! - zażądała Lynn.

Jehu wyglądał na speszonego.

- Przepraszam panią. Już więcej tego nie zrobię.

- Mam nadzieję - odparła Lynn, ale nie doczekała się potwierdzenia z jego strony, bo w międzyczasie zmógł ją sen.

*

Kiedy otworzyła oczy, nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

Wioska była nieduża, znajdowała się na wzniesieniu. Z okna Lynn widziała imponujące kontury Himalajów. Akamu gramolił się z siedzenia na przedzie. Zamrugła oczami. Musieli się zatrzymać co najmniej jeden raz, a ona nawet o tym nie wiedziała. Akamu wysunął głowę przez otwarte okno.

- Jehu jest naprawdę fajny - oświadczył.

Jehu podszedł do jej okna.

- Głodna pani? - Poglądził się po swoim chudy brzuchu. - Ja codziennie muszę jeść ryż. - Jeszcze jeden pełen zadowolenia uśmiech.

Lynn powoli wysiadła z wozu. Czowała się tak, jakby bito ją kijami przez wiele godzin, a potem wrzucono do szafy. Zużyła wszystkie plastry przeciwbólowe. Akamu szedł za Jehu do miejsca, którego nazwa brzmiała Mustang. Napis na tablicy został namalowany chyba wieki temu. Po obu stronach szosy stało jakieś sześć walących się budynków, wszystkie z zewnętrznymi drabinkami prowadzącymi do klatek na drugim piętrze. Lynn dostrzegła jeszcze zamocowany w ziemi, nieco pokiereszowany talerz satelitarny, z wyglądu bardzo stary. Kilkoro ludzi siedziało na schodkach i obserwowało ją.

Zachwiała się i przytrzymała samochodu, zdumiona, jak dała radę przejść dwadzieścia kilometrów. Podciągnęła nogawkę spodni i stwierdziła, że jej noga jest znowu opuchnięta. Burczało jej w brzuchu. Mimo ciężkiego plecaka starała się szybko podążać za Akamu, mimo ciężkiego plecaka. Dogoniła go przed samymi drzwiami.

- Niczego tutaj nie jedz - powiedziała. Sięgnęła do plecaka i wyciągnęła batonik owinięty w papierek z napisami po chińsku.

- Co to jest? - zapytał podejrzliwie Akamu. - Chcę ryżu. Jehu mówił, że tutaj podają dobry ryż.

- Obawiam się, że od tego ryżu zrobi ci się niedobrze - odparła. - Wody też nie pij. Masz tu trochę pieniędzy. - Wyciągnęła kilka banknotów. - Targuj się o wszystko. Jeden dolar ma tutaj wartość... och....

- Wiem ile - rzekł pogardliwie. - Jehu mi powiedział. A poza tym mogę to sprawdzić. - Wyciągnął swój plecak.

- Tego też ze sobą nie bierz.

- Nie rób tego, nie rób tamtego - przedrzeźniał ją Akamu. - Jestem głodny. Zamówię sobie ryż. - Wszedł na schody na zeszywniałych nogach.

- Będziesz żałował - powiedziała Lynn. Odwróciła się i zerknęła na drogę. Znak!

Wyjęła program do przeglądania map, który przyjaciele Sattvy włożyli do plecaka. Typowa taniocha, oglądała go już dzisiaj rano, czekając w kolejce za chamskimi podróżnikami. Prymitywne schematy pokazywały drogi, które nie były ani trochę zakrzywione i skręcały zawsze pod ostrym kątem. Przynajmniej łatwo było czytać taką mapę w nocy. Ale ekran był ciemny, przesuwiała włącznik tam i z powrotem. Cholera. Widocznie zapomniała go wyłączyć. Będzie musiała go doładować. Znowu zaczęła grzebać w plecaku.

Nie miała czasu, żeby dokładnie obejrzeć jego zawartość. Całą drogę przespała. Na razie nie zauważyła niczego, czego już nie widziała. Z wyjątkiem pofałdowanej, papierowej mapy, którą rozłożyła z ulgą. Tymczasem przybiegła do niej grupka dzieci z wyciągniętymi rękami

Dla każdego wyjęła z plecaka chińską monetę. Spora część Azji nie była połączona z sieciowym systemem kredytowym, dlatego Lynn cieszyła się, że ma prawdziwe pieniądze. Zazwyczaj nie popierała żebraniny. Czula, że postępuje nierozważnie. Kiedy dzieci odbiegły, odwinęła jeden ze wzgardzonych przez Akamu batonów. Odgryzła kawałek i trzymając mapę w drugiej ręce, poszła do małego sklepiku na poboczu. Zajrzała do środka, kupiła dziwnie aromatyzowaną wodę sodową w przezroczystym pojemniku, usiadła na słońcu i oglądała mapę.

Bez wątpienia znajdowali się na drodze do Kathmandu. Pokonali pięćdziesiąt kilometrów. Czy to było wszystko? Zdumiewające, jaką różnicę robiła odrobina taniej technologii - praktycznie za darmo mogła wziąć mapę satelitarną w Hongkongu, która podałaby ich położenie w każdym punkcie świata. Ale zyskali coś - ważne, wyczyszczone paszporty i pieniądze, dzięki Hawkinsowi. Sattva miała rację. Był niesamowitym człowiekiem. Spojrzała na zegarek, piękne, ozdobne, staromodne cacko, przekazywane z pokolenia na pokolenie, wyśmiewane i nazywane głupotą przez jej braci, gdy byli nastolatkami. Mieli rację - zegarek był głupi. Tylko podawał czas. Ich zegarki robiły wszystko oprócz gotowania obiadów, aczkolwiek za pomocą tych zegarków mogli wysłać sygnał do rozpoczęcia gotowania.

Ale przynajmniej dzięki swojemu filigranowemu zegarkowi i mapie ustaliła, iż Jehu musiał zwolnić po tym, jak zasnęła. Może próbował zrobić na niej wrażenie.

Potem uderzyła ją myśl, że jej ojciec nie żyje.

Opuściła mapę i patrzyła niewidzącym wzrokiem.

Poprzedniej nocy całymi godzinami rozmyślała o jego śmierci. Znowu wspominała jasne gwiazdy okolone czarnymi górami, słyszała szuranie buciorów i nieustanne stukanie jej laski na szlaku. Jej bracia. Czy byli zdolni do morderstwa? Ojcobójstwa?

Jak taka myśl mogła w ogóle przyjść jej do głowy? Usprawiedliwiliby eksperymenty, które pozwoliłyby im dyskretnie zaspokoić potrzeby materialne, o ileż bardziej wyrafinowane niż potrzeby Lynn: ten absolutnie niezbędny dom z chłodnej stali i szkła na Black Point, gdzie monstrualne fale podmywały klif. To było w stylu Jamesa. Samuel wolał zaawansowany technologicznie kompleks w górach z widokiem na połowę wyspy i bezmiar błękitnego Pacyfiku. Ale te domy były tylko wierzchołkiem góry lodowej. Obaj wierzyli, że zasługują nie tylko na nie, ale na dodatkowe adresy w strategicznych miejscach na świecie. Nie można

było jechać do Berlina, Londynu czy Perth w interesach, a potem męczyć się nawet w najlepszych, oferujących najlepsze rozrywki hotelach. Poza tym hotele nie były bezpieczne. Dodajmy do tego osobistych krawców, żony jak z żurnala, rozpieszczone dzieci, personel i ochronę, i nieujawnione luksusy - łatwo było zrozumieć, dlaczego tak zawzięcie bronili swoich stołków.

Lynn starała się zapomnieć o emocjach. Chociaż poróżniła się z ojcem, zawsze była z nim bardziej związana niż bliźniacy. Zanim ponownie się ożenił, zabierał ją ze sobą wszędzie w podróże służbowe. Pamiętała jak przez mgłę Luwr, śnieg za oknem pociągu, kiedy mknęli przez Szwajcarię, strome, ekscytujące zejście do Rio. Ale jeszcze lepiej pamiętała zabawy w domu i ból, jaki musiał czuć po utracie ukochanej żony, kiedy całymi dniami przesiadywał na lanai i wpatrywał się w ocean. Jego drugie małżeństwo było inne. Bardziej przypominało sojusz. Doprowadziło do stworzenia dwóch wojowników Interspace. Obaj zostali prawnikami.

Próbowała odrzucić tę okropną myśl, ale bezskutecznie. Miała nadzieję, że myśl zniknie jak nocny koszmar za dnia, ale ona nabierała coraz większego sensu. Jeśli Samuel i James zabili ojca, zabicie przyrodniej siostry byłoby dla nich o wiele łatwiejsze. Może myśleli, że ją zabili, a może zorientowali się, że jeszcze nie udało im się tego dokonać.

Zadrzała w ciepłym słońcu, jeszcze raz złożyła mapę i wstała. Chciała zobaczyć, co jeszcze kryje plecak. Można było przyjąć za pewnik, że dzieciaki, które stały wokół niej i patrzyły wyczekująco, natychmiast by jej to zabrały i uciekły. Zaczęła iść z powrotem do samochodu. Postanowiła, że tam będzie oglądała mapę, przynajmniej do powrotu Jehu. Prawdopodobnie zбочzył z drogi w trakcie jazdy, bo patrzył na nią w lusterku. Dzieci poszły w ślad za Lynn, paplając między sobą i wyciągając rączki.

Co z Jehu? Czy był tam tylko na skutek zbiegu okoliczności? W jego obecności nie mogła wypytać Akamu - należał do ludzi, którzy sprzedaliby wszystko, włącznie z informacją. Nie powinna była pozwolić, żeby Akamu oddalił się w jego towarzystwie....

Ale zabójcy nasłani przez jej braci reprezentowałiby znacznie wyższą klasę. Lynn pomyślała jeszcze, gdy Jehu pojawił się w drzwiach szarego budynku, energicznie wymachując ramionami, zapewne pokrzepiony ryżem i uśmiechnięty, że profesjonalny zabójca nie wyglądałby na takiego głupka. Jehu zszedł po schodkach i w drzwiach stanął Akamu, przeciągał się i szczyrzył zęby w uśmiechu jak jego kompan.

*

Jehu chciał zabrać Lynn i Akamu do Hiltona w Kathmandu, ale ona uparła się, żeby ich wysadził w środku miasta. Zapłaciła mu i, gdy tylko jego samochód zniknął za rogiem,

pogoniła Akamu przez labirynt uliczek.

Zmierzczało. Akamu znowu jęczał, że coś by zjadł. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na jego imponującą posturę. Ludzie siedzieli na chodnikach i mieli towary rozłożone na kocach.

- Poproszę ten - powiedział Akamu, pokazując grubo tkany, wełniany kapelusz.

- Później - powiedziała Lynn, ale zatrzymała się, rozdrażniona, podczas gdy Akamu uiszczał zapłatę.

- Skąd masz te pieniądze? - zapytała go.

Akamu tylko się uśmiechnął.

- Nie musisz im płacić tyle, ile żądają - powiedziała.

- Myślałem, że się śpieszymy - odparł, naciągając kapelusz na uszy. - A w ogóle to dokąd się wybieramy?

- Nie jestem pewna - rzekła. - Musimy odpocząć, pogadać i podjąć decyzję. - Przynajmniej nikt tutaj za nimi nie pójdzie.

A może jednak? Jeśli wzięli pod uwagę rozumowanie Sattvy, to było najbardziej sensowne miejsce.

Gdzie się ukryć? Zerknęła na Akamu, który wydawał się pochłonięty widokami i dźwiękami. Zauważyła, że wciąż jeszcze był dość dziecinny, by spoglądać tęsknie na ciemne drzwi wirtualnych pałaców, o niewątpliwie niskiej rozdzielczości, przed którymi chłopcy w jego wieku oferowali usługi erotyczne i narkotyki. Ale nic nie mówił, tylko szedł dalej. Może rzeczywistość była odrobinę bardziej interesująca niż dawniej...

Gdzie?

- Akamu, od jak dawna wiesz, że jesteś klonem? - zapytała.

- Nie powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach w obecności wszystkich tych ludzi - odparł i nagle pobiegł przez tłum do stolika i pochylił się. Zanim tam dotarła, już zawiązywał sobie coś wokół nadgarstka. - Patrz, mapa satelitarna! - zawołał z błyskiem w oku. - Właśnie tego nam trzeba! - Szedł przez pięć minut bawiąc się przyciskami, a potem stwierdził: - Wiesz co? Jesteśmy na skrzyżowaniu ulic Czternastej i K w Waszyngtonie.

- Najwyraźniej wymaga kalibracji - zawyrokowała Lynn, starając się nie uśmiechać. - Może coś powoduje zakłócenia.

- To złom, ot co - odparł Akamu.

Ulice były zatłoczone. Powietrze wypełnia kakofonia klaksonów, które wcale nie płoszyły wspaniałych, białych bizonów wodnych, poruszających się wedle własnego widzimisię. Wszędzie byli sprzedawcy. Z drzwi sączyły się intensywne zapachy curry. Lynn i

Akamu wyszli na ogromny plac. Świątynia przed nimi była biała i potężna.

Miała oczy.

Lynn czuła się przytłoczona splendorem łopoczących flag - zielonych, żółtych, czerwonych, fioletowych, półprzezroczystych jak akwarele pod niebem, które wieczorem ciemniało, przybierało intensywny odcień opalizującego błękitu. Wielkie, skośne oczy, namalowane pod czerwonymi płytkami tworzącymi kapelusz, zdawały się spoglądać w każdym kierunku.

Nieśmiali ludzie z gór siedzieli na kocach z nielicznymi thanką, malowidłami przedstawiającymi święte miejsca, demony i Buddę, a także sceny tańca i śmierci. Buddyści stanowili tutaj mniejszość, około dziesięciu procent populacji. Najwięcej było Hindusów. Lynn miała wrażenie, że to miejsce nie zmieniło się od średniowiecza i było tak oczyszczone, jakby przelała resztki swojego umysłu, siły i woli w doskonałą białą wodę, który stał na środku ulicy i kłapał uszami, nie zważając na ruch - w kolory, które wydawały się ważniejsze niż definiowana przez nie materia. Prawie nie widać było tutaj wpływów współczesności. Nawet stylizowane, wysokie na kilkadziesiąt centymetrów, złociste hologramy Kali, którymi jeden ze sprzedawców oddzielił swoją powierzchnię handlową, wykorzystywały strasznie zacofaną technologię, praktycznie z poprzedniego stulecia.

Na rogu, gdzie buszowały trzy małpki, najwyraźniej przeszkolone przez jakiegoś mężczyznę do kieszonkowej roboty wśród ryczących ze śmiechu gapiów, Akamu stał przed kobietą, która coś sprzedawała. Co to było? Komputery? Lynn zdała sobie sprawę, że umiera z głodu i że natychmiast musi coś zjeść. Dość już tych błazeństw. Musiała się mieć na baczności.

Ale nie przerywała. Lepiej było nie skupiać na sobie uwagi. Akamu odwrócił się od stolika, gdzie świecące laserowe chipy były owinięte w plastik i wyłożone jak cukierki na chropowatym blacie z drewna. Wyglądał na zaskoczonego jej obecnością.

- O.

- Co znowu kupiłeś?

- Coś.

- Na przykład co?

- Coś, co pomoże mi wykonać moją robotę - odparł podekscytowanym głosem. -

Naprawdę dziwne, że znalazłem to coś tutaj.

- Co to jest?

- Posłuchaj, później ci powiem, dobrze? Teraz jeszcze tego nie potrzebuję, ale system, który załatwiłaś mi w Hongkongu nie miał tej opcji, a jeśli będę miał szczęście, to zadziałała.

Sprzedawczyni nie miała pojęcia, co ma, ale ja chyba od razu się zorientowałem.

Odchodzili z jasnego kwadratu. Zmierzch pogłębiał cienie na wąskiej ulicy. Sklepiki reklamowały haszysz, koce, malowidła thanka, tanie stroje z bawełny. Zapach kadzidełek mieszał się z powiewami rzeńskiego, chłodnego wiatru. Wreszcie Lynn zobaczyła miejsce, którego szukała.

Był to mały, niewyróżniający się niczym hotel, a raczej schronisko, chociaż napis na szyldzie głosił: „The Diamond Hotel”. Właściciel pokazał jej schody prowadzące do pokoju z wykładziną z linoleum na podłodze. Były tam dwa żelazne łóżka, goła żarówka zwisająca z sufitu i umywalka, a w dalszej części korytarza toaleta. Panowała tu idealna czystość.

- Wezmę go - oświadczyła, mimo narzekań Akamu.

- Posłuchaj - rzekł zniecierpliwiony, kiedy mężczyzna zamknął drzwi. - Może przelecimy się samolotem? - Podniósł kartę, która leżała na stole obok jakichś sfatygowanych broszur.

Lynn obejrzała ją.

MARATON HIMALAJSKI
DOŚWIADCZONY PRZEWODNIK
NOWY SAMOLOT

TRASY GRUPOWE ALBO INDYWIDUALNE
POKÓJ 7, HOTEL DIAMOND, KATHMANDU

- Jasne - powiedziała Lynn. - Nie wystarczył ci kierowca z piekła rodem? - Aż wstrząsnął nią dreszcz. Rzuciła kartę na stół, zamknęła okno i zasunęła delikatne zasłony z bawełny.

Akamu wydawał się o wiele bledszy niż jeszcze przed chwilą.

- Gdzie jest łazienka? - Pognał korytarzem.

Kiedy wrócił, Lynn wręczyła mu tabletkę z apteczki, którą zapakowano do jej plecaka.

- To dobre na twoje dolegliwości - powiedziała. - Mówiłam ci...

- Zamknij się - odparł, nie odrywając ręki od gałki u drzwi.

- Odporny chłopak - zauważyła. - Nie zapomnij wziąć plecaka.

*

Zjedli posiłek w małej kafejce o brudnych ścianach i niedopasowanych krzesłach. Tu było najbliżej. Trochę się ożywiła i zamierzała pomęczyć Akamu po kolacji. W lokalu pełno było Hindusów, Nepalczyków i Tybetańczyków. Jednak ponieważ większość Nepalczyków mówiła chyba po angielsku, Lynn nadal nie chciała prowadzić rozmów w tym miejscu. Poza tym była głodna jak wilk.

Akamu przewijał raczej ubogie menu. Wreszcie pokazał kelnerowi obrazek.

- Pizzę.

- Może powinieneś zamówić coś, co oni potrafią tutaj robić - powiedziała.

Zmierzył ją gniewnym spojrzeniem, podczas gdy ona zamówiła curry i chińskie piwo.

Potem ziewnął.

- To znaczy, mam nadzieję, że będzie ci smakowało - odezwała się znowu. - Mam nadzieję, że tabletki pomoże.

- Jestem głodny - warknął.

Zmarszczył nos, kiedy podano jedzenie. Usiłowała się nie uśmiechać. Może użyli sera jaka.

- Zamów coś innego. Nie musisz tego jeść - rzekła. Więc oczywiście zrobił jej na złość.

Pochłonęła żarłocznie swoje curry. Bardzo jej smakowało. Miała dużo szczęścia, że jej układ pokarmowy wciąż dobrze funkcjonował. Ale była pewna, że miejsce, w którym Akamu jadł lunch, lepiło się z brudu. Przeciętą długość życia w Nepalu wynosiła zaledwie czterdzieści pięć lat. Zdumiewające! Dlaczego?

Z powodu takich ludzi jak jej bracia. A także, musiała to przyznać, z powodu takich ludzi jak ona, wołających milczeć i egoistycznie koncentrować się na własnym życiu, co oznaczało tolerancję dla niesprawiedliwości. No cóż, Lynn, pomyślała, próbując nie płakać do pikantnego curry, skoro tak, to jak byś zaczęła swój program przemian społecznych na światową skalę?

Najlepiej zacząć od drobnych rzeczy. Zerknęła przez stół na Akamu.

Prawie skończył to, co tutaj nazywano pizzą. Duże, wyraziste brązowe oczy chłopca były półprzymknięte, a zmęczenie rozluźniło rysy jego twarzy. Ciemna cera zaróżowiła się nad kośćmi policzkowymi. Jego czarne, kręjące się włosy były już całkiem długie i prawie zakrywały mu uszy. Kucyk, który zauważyła u niego przy pierwszym spotkaniu, teraz wydawał się o kilka centymetrów dłuższy. Koszulka pod jego kurtką była bardzo brudna. Czując na sobie jej badawcze spojrzenie, Akamu podniósł oczy.

- Co?

Wyciągnęła do niego rękę i łagodnie potrząsnęła jego ramieniem.

- Myślałam tylko, jak świetnie ci idzie.

- Tak. Mam rozwolnienie i nie kąpałem się od tygodnia. I naprawdę spóźniam się ze swoją robotą.

- Jaką robotą? - zapytała.

- Och, przecież wiesz - odparł wymijająco, machając zatłuszczoną ręką w powietrzu. - Robotą.

- Właśnie o tym chcę wiedzieć. Między innymi. Skończyłeś? To idziemy.

Lynn zapłaciła i wyszli na ciemną, krętą uliczkę. Kilkoro żebrzących dzieci poszło za nimi, ale szybko dało za wygraną. Lynn czuła się zwawiej po curry i piwie, ale wiedziała, że to nie potrwa długo. Rozejrzała się i nie zobaczyła żywej duszy. Na końcu ulicy chodnik jaśniał od świateł nocnego bazaru. Akamu z pewnością wypatrzyłby tam coś dla siebie. Przy następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo. Będą wracali do hotelu inną drogą.

- Co o tym sądzisz? - zapytała.

- O czym?

- O tym, że jesteś klonem Kamehameha?

Przez długi czas nic nie mówił, aż w końcu Lynn zdała sobie sprawę, że nie zamierzał udzielić jej odpowiedzi. Postanowiła, że będzie bardziej agresywna. Jutro, kiedy oboje będą wypoczęci, wydobędzie od niego całą historię i będą mogli podjąć jakieś decyzje.

- No, to jesteśmy - powiedział Akamu, zerknąwszy przez drzwi w murze spajającym aleję.

Z dziedzińca Diamond Hotel przesączyło się światło. Ze strachem zauważyła czarną limuzynę. Przystań się zamartwiać, powiedziała sobie. Nikt nie byłby w stanie cię tutaj znaleźć. Chyba że wysledziło was jakieś urządzenie...

Zatrzymała się. Akamu szedł dalej. Cholera, pomyślała. Oboje jesteśmy wyczerpani i brudni. Potrzebujemy odpoczynku. Chwyliła Akamu za rękę i pociągnęła go z powrotem w aleję.

Próbowała zanalizować sytuację. Jeśli ktoś chciał ich zabić, czy pojawiliby się w tak manifestacyjny sposób? Prawdopodobnie to tylko jakiś... dyplomata. Jasne. Akurat tutaj przebywa. No dobrze. Handlarz nielegalnym nanem. Reklamuje swoje bogactwo. Równie bezsensowna teoria.

No, więc co się działo?

Wraz z Akamu stali w cieniu. Obserwowany przez nią mężczyzna, w którym rozpoznała kolegę jej braci, wysiadł z samochodu, szybko zbliżył się do drzwi biura i wszedł do środka.

Ach, tak. Oczywiście przyjechał tylko po to, żeby zabrać ją do domu. Jak miło z ich strony, ile troski okazali podążając za nią przez pół kontynentu.

Myśl, Lynn, myśl.

Jeśli znaleźli Hawkinsa, oczywiście byli w stanie namierzyć ją tutaj. Ale jak, u licha,

zdołali osiągnąć taką dokładność?

- Co się stało? - wyszeptał Akamu.

- Znaleźli nas.

- Samolot - powiedział Akamu.

- Jak oni nas znaleźli? - Pomyślała, że musieli nafaszerować czymś Akamu.

Wzruszył ramionami.

- Kim są „oni”?

Pokój 7. Naprawdę nic innego nie przychodziło jej do głowy. Gdzie było naprawdę nieznane miejsce?

Bardziej nieznane niż to?

Po prostu miejsce, gdzie można byłoby odetchnąć, choć trochę zyskać na czasie.

Mężczyzna wyszedł z biura. Patrzyła, jak wchodził po schodach do ich pokoju.

Świetnie, czekaj tam. Czekaj tam do usranej śmierci.

Pokój 7 był kilka drzwi dalej. Podeszła i zapukała do drzwi, a potem zaczęła w nie walić.

Jakiś człowieczek w bieliźnie otworzył drzwi, trzymając w ręku piwo. Z małego radia na stole sączyła się dzika, metaliczna hinduska muzyka.

- Czy może nas pan zawieźć do Chaing Mai?

Przechylił głowę.

- Dokąd, proszę pani?

- Chaing Mai. Północna Tajlandia. - Była tam przed trzema laty. Było to jedno z najbardziej nieznanymi miejsc, jakie przychodziły jej do głowy, najmniej rozwiniętych, przynajmniej w tamtym czasie. I było bliżej miejsca, w którym mogliby zniknąć naprawdę - parę dni autostopem do Kambodży, buddyjska świątynia, którą raz odwiedziła...

- Hm - odparł. Miał łysinę okoloną czarnymi włosami.

- Naprawdę jestem bardzo zmęczony. Od wielu dni latam z wycieczkami. Każdy kto przybył na Festiwal Nowych Gwiazd, chciał się przelecieć. To było szaleństwo.

- Możemy wejść? - Wepchnęła się do środka, pociągając za sobą Akamu i zamknęła drzwi.

- Chaing Mai - powtórzył. - Latałem już do Bangkoku. Ale nie do Chaing Mai. Może dałoby się trzymać rzeki? Ma pani mapę satelitarną? Ja robię tylko trasy himalajskie. Zawsze tę samą.

- Ja mam mapę - powiedział Akamu i Lynn spojrzała na niego. Wzruszył ramionami. - Naprawdę mam.

- No cóż. - Pociągnął kilka łyków. - To będzie kosztowało. Przede wszystkim weźcie dużo paliwa.

- Ile?

- Niech no pomyślę. Jutro dam wam znać.

- Musimy lecieć dziś wieczorem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- W takim razie musicie zapłacić dwa razy tyle.

Dwa razy ile? - miała ochotę zapytać Lynn, ale powiedziała tylko:

- Czy możemy wyruszyć już teraz?

- Macie euro?

Kiwnęła głową.

- Tysiąc na początek.

Ładna, okrągła liczba. Odliczyła sumę w pięćdziesiątkach. Zniknął w łazience. Wychodząc, dopinał guziki spodni. Zdjął koszulę z krzesła i naciągnął ją przez głowę, a potem usiadł, żeby zasznurować buty.

- Stawka będzie jeszcze powiększona, ponieważ macie kłopoty.

- Nie mamy kłopotów. Zmarł mój ojciec i musimy polecieć do domu.

- Do Chaing Mai? - zagadnął, unosząc brwi. - Pani wybaczy, ale nie wygląda pani na Tajkę.

- Mój ojciec zamierzał zostać buddyjskim mnichem. Jest pan gotowy?

Nałożył kurtkę i kapelusz.

- Mam nadzieję, że wzięliście ciepłą odzież. Mój system grzewczy jest zepsuty. Chodźcie, pojedziemy na lotnisko.

- Myślałam, że ma pan nowy samolot.

- Jasne, jak dla mnie, to on jest nowy. Kupiłem go w zeszłym miesiącu.

Lynn i Akamu czekali w cieniu, podczas gdy on podjechał swoim wozem, małym, staromodnym, mocno poobijanym, miejskim autem. Limuzyna wciąż stała w tym samym miejscu. Nie mogła zobaczyć, kto w niej siedzi, jeśli w ogóle ktoś tam był. Ona i Akamu z trudem wcisnęli się do samochodu. Był elektryczny i cicho przyśpieszał.

Na głównej ulicy było gwarniej niż dotychczas. Wokół nocnego bazaru paliły się kolorowe światełka. Lynn miała pustkę w głowie. To nie mogło się tak ciągnąć. Oparła rękę na brzegu okna i w roztargnieniu bawiła się czarnym kolczykiem.

Jej palce zastygły. Po chwili bezwiednie odłączyła od kolczyka jego tylną część i odpięła podwójny łańcuszek, który przechodził przez drugi otwór w jej uchu jako

zabezpieczenie.

Przez chwilę patrzyła na kolczyk - gładki, okrągły, doskonały.

Wiedziała, że dzięki DNA Mao mogłaby osiągnąć coś przełomowego. Część założeń, które sugerowała reszta jej kolekcji, zostałaby rozbita w puch, inne natomiast doczekałyby się potwierdzenia. Nowe, być może rewolucyjne hipotezy, narzuciłyby się same.

Lynn zamknęła oczy, ujrzała przelotnie panoramę ludzkiej doskonałości: swoje marzenie - pełny zestaw informacji, jakie można byłoby wywieść z ludzkiego genomu, dotyczący takich cech, jak: inteligencja, przywództwo czy polityczna wizja. Informacje wykorzystywane odpowiedzialnie, w dobrej woli, po to, aby wyzwolić ludzkość, pieczołowicie zbierane i katalogowane przez takich ludzi jak ona. Wykorzystywane przez takich ludzi jak...

Jej bracia.

Którzy oczywiście użyli urządzenia namierzającego. Dość prymitywnego, ale, jak się okazało, skutecznego.

Opuściła szybę. Wahala się przez moment. A gdyby mogła je rozbić - rozmontować na części? Problem polegał na tym, że cała zakodowana informacja była najpewniej wtopiona w samą konfigurację materiału.

Miała wrażenie, że kolczyk parzy jej rękę: dzieło jej całego życia.

Dzieło jej życia albo życie Akamu.

Przejeżdżali obok wozu, na którym piętrzyły się bele jedwabiu. Uliczne światła tworzyły na nich tańczące smugi żółci, błękitu, srebra i olśniewającego różu jak u flaminga. Wóz ciągnął bawół wodny, który na jej oczach wlaźł na oświetlone miejsce. Przez chwilę zwierzę błyszczało, jakby ktoś podświetlił je od wewnątrz - był to oślepiający, biały, intensywny blask. Woźnica trzasnął z bicza i wóz zjechał na bok.

Kiedy go mijali, Lynn cisnęła kolczyk na wóz. Zobaczyła, że upadł między bele jedwabiu.

Na rogu, gdzie skręcali w lewo, małopka w garniturze tańczyła do wtóru muzyki na flecie.

- Za gorąco pani? - zagadnął mężczyzna, zerkając w lusterku na otwarte okno.

- Nie - odparła. - Czuję się świetnie.

*

Nazywał się Hadid, a jego samolot był rzeczywiście stary. Metalowe boki wydawały się trochę nierówne, jakby ktoś wyklepał je młotkiem. Maszyna miała śmigło. Jedno.

- To jest naprawdę niewiarygodne - powiedział Akamu tonem nabożnego szacunku,

patrząc na nie wytrzeszczonymi oczami.

- O, tak - zgodziła się Lynn, myśląc ze złośliwym uśmiechem o tym, jak Akamu narzekał na samolot, którym lecieli z Honolulu do Hongkongu. A teraz proszę!

Oczywiście po tym jak zabił żołnierzy, musiała zmienić swój pogląd na jego osobowość. Wydawał się bardziej zagadkowy niż kiedykolwiek. Chyba im lepiej go znała, tym mniej o nim wiedziała. Ale to, że miał takie zdolności, było całkiem logiczne - żył dłużej od innych klonów i prawdopodobnie zawdzięczał to szybkiemu refleksowi i przeszkoleniu.

- To wspaniały samolot. Można na nim całkowicie polegać - oznajmił Hadid. - Przepraszam. Jest już po godzinach. Muszę zapłacić mojemu przyjacielowi, żeby zapalił światła na pasie startowym - mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, bo tak jest naprawdę bezpieczniej - a także uiścić specjalny podatek wylotowy. - Wyciągnął rękę.

- Specjalny podatek wylotowy?

- Podatek dla ludzi, którzy nie przechodzą przez kontrolę celną - powiedział.

- Ile? - zapytała Lynn, zastanawiając się, ile tak naprawdę pieniędzy dał jej Hawkins. Pomyślała, że nawet nie miała czasu, żeby je przeliczyć. Z pewnością nie chciała tego robić na oczach bardzo spostrzegawczego Jehu.

Hadid przekazał pieniądze mężczyźnie, który wyszedł wraz z nimi do samolotu. Przeliczył je, skinął głową, włożył zapłatę do kieszeni i odszedł.

Lynn poczuła ulgę, kiedy zobaczyła wnętrze samolotu. Nie było tak obskurne, jak je sobie wyobrażała. Wyglądało o wiele lepiej niż kabiny miejscowych samochodów. Fotele były pastelowszare, a na podłodze w przedziale dla pasażerów leżał nawet dywan.

- Czyż nie jest piękny? - zagadnął rozpromieniony Hadid. - Usiądźcie sobie. Gdzie macie ochotę. - Poszedł do kokpitu i zaczął szykować maszynę do startu.

- Ile ma lat? - zapytała.

- To jest najlepsze - ryknął przez drzwi. - Tylko trzydzieści pięć. Praktycznie nówka.

- Hm. - W sumie było tu sześć foteli w dwóch rzędach. Lynn pomyślała, że będzie spała na podłodze. Kokpit miał chyba wszystkie wymagane tarcze. Przypuszczała, że śmigło będzie się obracało. A co tam.

Ten dzień był stanowczo za długi.

- To Piper Cherokee - orzekł Akamu z podnieceniem w głosie - Zdałem na nim. Podczas wirtualnej lekcji. Czy mogę go poprowadzić? Proszę?

- Dlaczego nie? - odparł Hadid, chociaż w tym samym czasie Lynn krzyknęła: „Nie!” Sięgnęła do swojego plecaka i podała mu pakiet papierowych map.

- Może to się przyda.

- Usiądź obok mnie, młody człowieku - nakazał - to dam ci lekcję prawdziwego latania.

- Tylko proszę pamiętać, w jakim kierunku lecimy - powiedziała Lynn.

- Nie ma problemu. - Hadid i Akamu usiedli razem. Ten ostatni wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Sprytny chłopak - zauważyła. - Poddaję się. Nie zwracaj mi teraz głowy. Muszę sporo rzeczy przemyśleć.

Odłączyła jedną z poduszek fotela, żeby się na niej położyć. Zapadła w głęboki sen, jeszcze zanim samolot zatankował paliwo. Obudziło ją dopiero twarde lądowanie. Usiadła zdezorientowana pośród ciemnych, pustych foteli. Niebo szarzało przed świtem.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Gdzieś w Indiach - rzekł Akamu. - Tankujemy paliwo. Cieszę się, że się obudziłaś. Hadid powiedział, że poszło mi tak dobrze, że pozwoli mi wystartować. Chcesz popatrzeć?

- Nie - odparła Lynn i znowu zasnęła.

Góry, nad którymi przelatowali, były wysokie i zielone, o ostrych grzbietach i porośnięte dżunglą. Lynn wydawały się puszyste i miękkie, kiedy usiadła na jednym z foteli. Najchętniej położyłaby się i zasnęła na tej zielonej puszystości. Wyglądała znacznie przytulniej niż podłoga w samolocie.

Kiedy zrobili postój w Indiach, Hadid podzielił się z nimi curry z soczewicy, ziemniakami i ryżem, kupionymi na straganie. Teraz Lynn czuła mdłości i oparła głowę o szybę. Otworzyła torbę i grzebała w niej chaotycznie w poszukiwaniu apteczki.

Jej palce otarły się o twarde, płaski przedmiot. Wyciągnęła go.

Małe pudełko zamykane na zatrzask. Otworzyła je. Dziwne. W środku była tylko mała pocztówka, jedna z dwóch kart formatu pięć na dwa i pół centymetra, którą wkładało się do komputera, żeby uzyskać obraz. Pałac Iolani. Na odwrocie nie było żadnej wiadomości. W każdym razie ona jej nie zauważyła. Nie widziała wcześniej tej kartki. Zaplątała się między papierkami od batonów i mapami na samym dnie plecaka.

Zajrzała do kokpitu. Hadid i Akamu koncentrowali się na swoim zadaniu i bez wątpienia byli wyczerpani.

- Ile jeszcze? - wrzasnęła.

Hadid odwrócił głowę i krzyknął:

- Ach! Już pani nie śpi. Myślę, że nie więcej niż godzinę.

- Czterdzieści siedem minut - powiedział Akamu.

Lynn była oszołomiona gorącem i wilgocią, kiedy stanęła w drzwiach samolotu.

- Pomogę pani zejść - rzekł Hadid.

Rozejrzała się dookoła. Z niewytłumaczalnej przyczyny czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Nie miała pojęcia dlaczego. To było głupie. Może nie śledzili ich za pośrednictwem kolczyka. Może podążali za czymś, co było wtopione w ciało Akamu. Zauważyła, że szczyt góry opadał ku polom, na których rosły jaskrawopomarańczowe maki. Była spocona. Zdarła z siebie kurtkę, kapelusz, dwa swetry i wepchnęła je do plecaka. Zwróciła się do Hadida.

- Ile?

Odliczyła żadaną sumę i dołożyła jeszcze połowę jako napiwek. Wydawał się spłoszony.

- Dziękuję pani, bardzo dziękuję. Chyba sobie odpocznę, a potem wrócę. Pani syn jest dobrym pilotem. Dawanie dzieciom takich lekcji jest bardzo dobre. - Odszedł w kierunku otwartego, drewnianego pawilonu, służącego jako terminal na lotnisku, które było po prostu dużym, płaskim polem na szczycie góry. Budynek miał wysoki, bardzo stromy, kryty słomą dach. Nad schodami znajdował się szyld z napisem „Piwo” i jego licznymi odpowiednikami w innych językach.

Piwo. Lynn otarła czoło. Zimne piwo? Zerknęła na Akamu. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się przewrócić. Objęła go ramieniem.

- No, chodźmy, wasza wysokość - powiedziała łagodnie.

- Założę się, że jest tu gdzieś jakieś fajne miejsce, gdzie można się zdrzemnąć. - Poszli w stronę budynku i weszli na schody. Za barem była chuda, piękna kobieta w długiej sukni, oparta o wysoki taboret. Jej czarne włosy były krótko przystrzyżone za uszami. Lynn w skrytości ducha błogosławiła Hadida, że uwolnił ich od formalności na granicy.

- Mówi pani po angielsku?

- Tak - odparła kobieta.

- Zna pani jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać?

- W Chaing Mai - powiedziała.

- Może być - rzekła Lynn, nieco spłoszona tym, że kobieta podniosła telefon komórkowy i nacisnęła jeden przycisk.

W oczekiwaniu na jazdę wypijała dwa piwa, które chyba zrobiły jej dobrze na żołądek. Akamu zdjął całe ubranie oprócz spodni i położył je na ziemię, a potem położył się na nim i zakrył ręką oczy. Hadid pił w milczeniu. Miał przekrwione oczy. Wiatr szalał w pomieszczeniu i powodował szelest strzechy, raz po raz napierając na ściany. Na zewnątrz

niekończące się pola roztańczonych maków pozwalały słońcu świecić z porażającą intensywnością.

CEN

Hawaje 2017

14

Cen przespał lot nad Pacyfikiem i został zbudzony, żeby wypełnić formularze na moment przed tym, jak ukazały się wyspy. Szybko zaznaczył opcję „nie” przy pytaniach o to, czy przewozi chore rośliny albo zawirusowane chipy komputerowe i gorączkowo wypatrywał lądu na błękitnym morzu. Bardzo cieszył go widok rozciągających się w dole zielonych wysp.

Wielka Wyspa Hawajów była pokryta śniegiem, zaś obserwatoria, gdzie spędził wiele szczęśliwych godzin z Rossem, czekając, aż przypadnie mu w udziale minuta obserwacji przez teleskop, tworzyły błyszczący rząd białych kopuł, a dalej górski grzbiet przechodził w szerokie, zielono-czarne stoki. Czy to było Parker Ranch, gdzie Kaiulani spędziła swoje ostatnie miesiące? Suche wybrzeże Kona okalała niekończąca się linia grzywaczy, której biel odcinała się od niewyobrażalnie ciemnego błękitu. Spoglądał na szachownicę terenów, które wywalczono na drodze sądowych sporów. Był tu cypel Kohala, kraina zaawansowanej technologii, której wyłącznymi posiadaczami byli członkowie Hawajskiego Ruchu Ojczyźnianego. Z prawnego punktu widzenia trochę przypominała dawny rezerwat, tyle że spisali swoje własne warunki w zamian za scedowanie prawa do ziemi na jeden megakurort. Pieniądze z innych kurortów posiadanych obecnie przez Hawajczyków zasilały budownictwo i szkoły. I, jak podejrzewał Cen, coś znacznie poważniejszego. O ile babka Maui miała coś wspólnego z tą sprawą.

Przelecieli nad Haleakala, gdzie kłębiły się gęste chmury. Fioletowe cienie pochłaniały mile szerokiego zbocza, a potem gonił je szybko przesuwający się brzeg światła, za sprawą którego zieleń i złocistość lasów i pól nabierały boleśnie wyrazistego blasku. IS chciała umieścić na kraterze wyrzutnię. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu spotkała się ze zdecydowaną odmową rządu USA. Jej działacze uważali, że w celu zaludnienia wszechświata należy poświęcać nawet Parki Narodowe.

Po dziesięciu minutach znaleźli się nad wyspą Oahu, blisko wybrzeża Kailua. Cen

usiłował nie patrzeć na plażę, gdzie pływał w dniu śmierci swojej matki, na dróżki, którymi biegał. Nie mógł jednak oderwać wzroku od tych mrocznych miejsc, od swojej przeszłości.

Lecz po kilku chwilach samolot przeleciał na drugą stronę wyspy, symbol innego życia Cena: dookoła Diamond Head i jeszcze dalej rozciągało się Honolulu i stłoczone dzielnice mniejszości etnicznych skąpane w słońcu. Stromy, niezamieszany szczyt ciemnozielonych Gór Koolau, spowijały szybko przemieszczające się chmury.

Wolny od ponurego obrazu śmierci własnej matki, Cen mógł się zastanawiać, jak długo będzie musiał czekać na ostateczną, rozstrzygającą informację, której potrzebował.

Może nadejdzie dzisiaj.

A może nie nadejdzie nigdy.

*

Samo Honolulu zaskoczyło Cena tym, że było takie małe. W dzieciństwie te dziesięć kwadratowych przecznic wydawało się ogromem. Oczywiście metropolia zdążyła się znacznie powiększyć, jeszcze zanim dorósł, a jej powierzchnię liczono w milach kwadratowych, ale jego prawdziwa ojczyzna była jednym ze stu podwórek i wyglądała teraz tak dziwnie i staro. I znacznie bardziej nędznie niż w jego wspomnieniach. Pomyślał, że nie było go tu od dziecka. Jak w ogóle zdołał przetrwać dzieciństwo? Na ścianach budynków pobłyskiwały holograficzne obrazy prostytutek. Wystarczyło dotknąć obrazka kredytem z odciskiem palca, żeby dostać przydział. Cen pomyślał o nieżyjącej od dawna Mei i miał ochotę się rozplakać, ale zamiast tego kontynuował marsz po Hotel Street. Z walącego się drewnianego bazaru wychodzili klienci z koszami pełnymi egzotycznych warzyw i zapakowanej w plastikowe torby ryby.

A kości Kaiulani spoczywały pięć przecznic dalej, w Królewskim Mauzoleum na Nuuanu, gdzie ta szeroka aleja zaczyna się podnosić w stronę Pali.

Ta myśl wywołała u niego mdłości. Poczul bulgotanie w żołądku, a potem zrobiło mu się słabo.

W końcu uświadomił sobie, że prawdopodobnie jest głodny. Wszechobecny smród zdechłej ryby ustępował teraz miejsca woni pasków teriyaki na bambusie skwierczących na pobliskim piecyku. Cen zatrzymał się i kupił ich kilka. Kiedy je zjadł, poczuł się znacznie lepiej. Mógł myśleć o mauzoleum bez bólu: spotkam cię, zanim dopełni się los, obiecał jej. Wiedział, że ma obsesję, lecz przy tym jest całkowicie normalny w tym ulicznym zgiełku, pośród rozpychających się hord turystów i ludzi, którzy na nich żerowali. Miał wrażenie, że czas napiera na niego niby zwężający się korytarz, jak gdyby był w pociągu mknącym po coraz bardziej stromym zboczu i musiał przygotować się na skok w ostatniej chwili. I czuł, że

jeśli wybierze nieodpowiedni moment, oboje zginą.

Liczę na ciebie, Cen. Teraz tylko tobie mogę zaufać. Nie wiem, co naprawdę dzieje się z moim ludem, z moim królestwem, z moim życiem. Nie wiem, kim są moi wrogowie, albo moi przyjaciele. Nawet nie opowiedziałam o tobie ojcu, a przecież mówię mu wszystko. Rozumiesz to?

Właśnie te słowa wypowiedziała do niego tamtego wieczoru w San Francisco.

- Rozumiem - odparł Cen i kobieta sprzedająca kwiaty zapytała:

- Które? Anturium? Strelcja? Wszystkie są świeże.

*

Cen wynajął pokój podobny do tego, który dzielił z Mei przed tyloma laty. Drewniane parkiety były spaczone ze starości, a na końcu korytarza znajdowała się łazienka. On sam przebywał na górnym piętrze, tuż pod dachem starego, opustoszałego składu celnego. Dwa wielkie okna wychodziły na hałaśliwy port i bazar. W dole tłumy ludzi, głównie Azjatów, zapępiały ulice każdego dnia, zostawiając mało miejsca nawet dla rowerów. Czuł ulgę, znowu widząc tę mieszankę ras. Czuł się jak u siebie w domu, oglądając twarze Koreańczyków, Japończyków, Chińczyków i Wyspiarzy Pacyfiku. Powietrze było nasycone przyjemnym słonawym zapachem, który przypominał mu dzieciństwo. Pomyślał, że powinien żywić obawę i zachować ostrożność z powodu IS, ale te uczucia nie były zbyt intensywne. Doznawał raczej wrażenia, iż ma w sobie nową siłę: dziwną, niezwykłą jak na niego pewnośc siebie. Nie wiedział wszystkiego, co powinien wiedzieć.

Ale czuł, że będzie to wiedział.

The Advertiser i Star-Bulletin nadal się ukazywały i kiedy podszedł do kiosku, nie dostosował ich do swoich wymagań. Zamówił całą gazetę na papierze odnawialnym. Wydruk zajął prawie minutę, podczas gdy klienci stojący za nim burczeli pod nosem, zniecierpliwieni. Ich kody kategorii zapamiętywały dość ograniczony zestaw informacji i zawsze przekazywały go do poszczególnego odbiorcy w ułamku sekundy.

Obserwując tych ludzi, poczuł zdumienie osobliwością sytuacji. Jak i dlaczego było możliwe powstanie tego wszystkiego - świadomej egzystencji? Opierał wiarę w życie Kaiulani na przypuszczeniu, na czymś, co umysłowi ludzkiemu trudno było uchwycić, a tym bardziej przewidzieć i wykorzystać. Ci ludzie, te budynki, chodnik pod jego stopami - jakież to wszystko było nierzeczywiste, jakże kruche i efemeryczne! Potrafił przejrzeć na wylot materię tego świata. W każdym razie tak sądził, widząc roje malutkich pikseli. Być może jego mózg właśnie tak postrzegał miliardy malutkich tuneli czasoprzestrzennych, otwierających się i zamykających w ułamku sekundy na jeden z nieskończenie wielu wszechświatów, z którym

jego miejsce miało punkty styczne. Czuł, że jest o włos od całkowitego zrozumienia egzotycznej matematyki, co pozwoliłoby mu zniknąć w czasach Kaiulani i pozostać tam na zawsze. Prowadząca tam informacja stanowiłaby zupełnie nowy sposób widzenia wszechświata.

Była to otrzeźwiająca myśl.

Jadł lunch przy straganie, a widok ulicznej fety coraz bardziej utwierdzał go w przekonaniu, że jest u siebie. Filipińskie adobo, japońskie sashimi, mocna wietnamska kawa jasnobrązowa od skondensowanego mleczka. Poi i suszona chińska wieprzowina na słodko. W porcie było mnóstwo łódek - nowozelandzki frachtowiec, statek naukowy nafaszerowany najnowocześniejszą elektroniką, który według prasy przyplłynął prosto z Antarktyki.

Następnego ranka tuż przed świtem zbudziły go krzyki walczących kogutów, które rozbrzmiewały na podwórzach Honolulu. Usiadł w mroku przy oknie i patrzył, jak właściciel lombardu podlewa swój kawałek chodnika, trzymając niedbale cygaro w ustach. Pomyślał o Maui i tej walce kogutów sprzed lat.

Światła na ulicy pogasły, gdy zapłacił za wietnamską kawę i ciastko w miejscu, gdzie nikt z obsługi nie mówił po angielsku. Chudzi, delikatni Azjaci tłoczyli się na ulicach, idąc do pracy. Widział wiele kobiet, z wyglądu prawniczek, ubranych w kostiumy, stukających szpilkami. Młodzi mężczyźni nosili garnitury i krawaty, przez co pocili się cały dzień, zaś starsi mężczyźni mieli na sobie jasne koszule z cienkiego jedwabiu, wypuszczone na wierzch.

Cen znalazł tablicę z rozkładem jazdy autobusów. Wszystkie autobusy na wyspie poruszały się cicho, bez kierowców. Były to elektryczne pojazdy wyposażone w słyszalne przekleństwa w wielu językach, sunące wydzielonymi pasmami po świetlistych torach. Wpisał nazwę Makaha i dowiedział się, że musi przejść tylko jedną przecnicę i poczekać dziesięć minut na swój autobus.

Był osobliwie wytworny, z wygodnymi siedzeniami i ozdobami z imitacji drewna. I jeszcze zdumiewająco czysty. Dwaj Japończycy drzemali z boku. Ich kije golfowe leżały w pojemniku bagażowym na przedzie.

Każdy nowy widok wywoływał u niego ból i radość, poczucie straty i dręczącą nostalgię.

Zauważył, że IS rozbudowała Bazę Kosmiczną Hickam jeszcze bardziej - tajemnicze, pozbawione okien obiekty, najeżone małutkim talerzami satelitarnymi. Legendarny Pokój, Który Sterował Całym Światem, musiał być gdzieś tutaj, nie pod ziemią, bo Hickam był po prostu zabudowanym koralem, lecz w obszernym, odpornym na bombardowania bunkrze, odziedziczonym po amerykańskich żołnierzach. Czytał kiedyś w gazecie, że IS chce

zbudować nowy tunel wyrzutni na Wielkiej Wyspie, ale negocjacje z członkami Ruchu Ojczyźnianego przeciągały się. Tutaj, na Kohala, RO miał dobrze prosperującą, nieco enigmatyczną enklawę. Był również właścicielem terenów, na których miał powstać tunel.

Cen wiedział za pośrednictwem Sieci, że członkowie Ruchu Ojczyźnianego nie byli odizolowani pod względem intelektualnym. Przede wszystkim półwysep Kohala mógł się poszczycić znakomitymi szkołami, których absolwenci dostawali się na najlepsze uczelnie na całym świecie. Wielu z nich wracało potem, by nauczać. Cen był pewien, że Społeczeństwa Pierwotne, porozrzucane po całej Sieci jak klejnoty, wirtualne społeczności, które połączyła wspólna filozofia, narodziły się na Kohala.

Łatwo było jednak zrozumieć, dlaczego kierownicy IS zaczęli protestować, że starty mają miejsce tak blisko ich wartych miliony domów tutaj, na Oahu, zwłaszcza iż szczątki po nieudanym starcie satelity spadły na dwie posiadłości. Tak, niech płonące wraki spadają na Hawajczyków i ich pretensjonalną szkołę. Typowa reakcja. Istniały też poważne obiekcje co do wyrzutni na Wielkiej Wyspie w związku z niebezpiecznymi czynnikami geograficznymi, takimi jak częste trzęsienia ziemi. Ale najlepsi inżynierowie, jakich Interspace zdołała zwerbować - Cen podejrzewał, że w grę wchodziły duże pieniądze - upierali się, że nowe materiały i technologie budowlane pozwolą przezwyciężyć wszystkie problemy. Wulkan Kilauea, słynący z gejzerów stopionej lawy, nie wybuchął od dziesięciu lat, gdyż jego gorące jądro znalazło nowe pęknięcie pod dnem oceanu, zaraz na południe od Wielkiej Wyspy, a poza tym znajdował się jakieś sto mil od proponowanego tunelu.

Cen był pewien, że ten tunel był możliwy dzięki obłaskawieniu lokalnych polityków - jakaś firma budowlana podlizwała się odpowiednim ludziom w IS i miała szansę zarobić mnóstwo pieniędzy.

Cen wiedział, że to dzięki Maui Ruch Ojczyźniany tak wspaniale okrzyknął, chociaż nie miał bezpośredniego kontaktu z nim od wieczoru, kiedy zmarła Mei - od tamtego momentu dawno temu, kiedy pochylił się na wietrze i kluczył między pojazdami, biegnąc co sił tą samą drogą, którą teraz jechał autobus, ciężki i stateczny.

To był dzień, w którym Cen poznał babkę Maui. Dopiero teraz uświadomił sobie, że został wprowadzony w samo serce Ruchu Ojczyźnianego, a jego działacze nie mieli najmniejszych zastrzeżeń. Maui działał teraz w całkowitym ukryciu, ponieważ już dwukrotnie próbowano go zamordować, a ci, którzy wynajęli zabójców, nie zostali zdemaskowani. Cen był osobiście zainteresowany dyskretnym śledzeniem mrocznych poczynań IS. Nie wiadomo było, kiedy on sam może paść ofiarą zamachu.

Przez wszystkie te lata członkowie Ruchu Ojczyźnianego nie wywierali na niego

nacisków. Zrozumiał, że sądzili, iż całkowicie sprzedał się IS.

Ale on obrał zupełnie inną ścieżkę.

Rzędy domów, przetykane co kilka mil gigantycznymi centrami handlowymi, pięły się po nagich, suchych stokach Waianae. Między górami ukazała się duża dolina, siedziba gęsto zabudowanej, głównie podziemnej bazy armii USA przejętej przez IS.

Po lewej stronie widział błękitne przebłyski oceanu między wieżowcami. Fontanny białej piany i lśniąca czarna lawa, częściowo pokryta złocistym piaskiem, przyciągały oko i serce, krzepiły go, przypominały dziecięce lata zabaw w morzu i surfowania. Na myśl o Rossie przez chwilę miał w oczach łzy. Na każdej plaży widział surferów wypływających na dużej fali i łopoczące na wietrze namioty hawajskich ohana, poszerzonych rodzin, i czuł zapach pieczonych na grillu kurczaków huli huli. Widok wytrwałych surferów nappełnił go optymizmem. Przynajmniej pod tym względem nic się nie zmieniło.

Autobus jechał z sykiem, a budynki po obu stronach drogi stawały się coraz bardziej zniszczone. Japończycy obudzili się, patrzyli przez okno i kręcili głową ze współczuciem, a Cen czuł, jak płonie mu twarz. Mieli rację. Tutaj nie zmieniło się prawie nic, a jeśli już, to na gorsze. Dzielnica wyglądała jak w latach 90. Nie zainwestowano w nią żadnych pieniędzy, infrastruktura była nieznanym słowem. Nędzne rudery były otoczone wrakami plastikowych samochodów, na ponuro wyglądających bazarach okna były pozabijane deskami, a wśród reklam alkoholu wałęsali się niechlujni szabrownicy.

Autobus skręcił w majestatyczną Dolinę Makaha i podjechał prosto pod bramę klubu. Młody mężczyzna wyszedł golfistom na spotkanie, wziął od nich torby i załadował je na wózek, a potem usiadł z mężczyznami na tyłach. Brama zasunęła się za nimi ze stanowczym szczękiem. Znaleźli się z powrotem po tej lepszej stronie dwudziestego pierwszego wieku. Cen wysiadł i po odjeździe autobusu stał oddychając chłodnym, porannym powietrzem.

Ciszę mącił jedynie szum fali. Gdzieś na tych niedostępnych klifach wyrastających z rozległego, zielonego jak szmaragd podłoża doliny, nad ekskluzywnymi, schowanymi wieżowcami, wiła się stroma i niebezpieczna ścieżka. Kiedyś podążał nią wraz z Maui do miejsca, które na zawsze pozostało w jego pamięci.

Może gdyby zdołał odnaleźć tę niesamowitą, kulistą jaskinię, w której poznał babkę Maui, przypominałby sobie tamten dzień. Być może moc ścieżki, której nie wybrał, moc dawnych, żeglarskich Hawajów, pomogłaby mu zdecydować, jakie ma zobowiązania wobec świata, który pragnie zostawić. Kaiulani gorąco wierzyła, że jest odpowiedzialna za swój świat i swój lud i chociaż nie była w stanie wypełnić swoich powinności, stała się inspiracją dla Cena. Nie mógłby jej spojrzeć w oczy, gdyby nie miał pewności, że zrobił wszystko, co

było w jego mocy tutaj.

Skręcił i wyszedł bramą za mur klubu. Po pół mili przeszukiwania gąszczy, w którym pełno było puszek po piwie i odpadków, wreszcie znalazł zarośnięty szlak i wszedł na niego. Po kilkudziesięciu metrach poczuł przyciąganie innego wieku, jakby ta ziemia pragnęła go przytulić. Słyszał gruchanie niewidocznych gołębi, a wysokie, ogrzewane słońcem trawy słodko pachniały.

Wspinaczka trwała o wiele krócej, niż to sobie wyobrażał, chociaż szybko się zmęczył. Prawdopodobnie pokonał jakieś tysiąc metrów, zanim znalazł się na pokrytym czerwoną ziemią występie, którego zwietrzałe skały stanowiły dość niepewny punkt oparcia. Ktoś przeciągnął kilkudziesięciometrową stalową linę wzdłuż urwistego wejścia. Cen przytrzymał się jej z wdzięcznością. Korony drzew gwałtownie się poruszały na wietrze, tworząc las przesiąkniętej słodyczą mimozy. Słychać też było szum pobliskiego wodospadu.

Przeszedłszy po czole klifu, ujrzał przed sobą jaskinię.

Wstrzymał oddech i wszedł do środka.

W środku było pusto.

Drażniący zapach dymu mieszał się z odorem śmieci. Pomyślał, że powinien był zabrać ze sobą latarkę. Pogrzebał w kieszeniach i znalazł kilka zapalek, które wziął z baru. Zapalił jedną i zobaczył kilka świec wetkniętych w podłozę jaskini. Pochylił się i zapalił je.

Był zde gustowany tym, co zobaczył.

Najwyraźniej zbierali się tu narkomani. Panowała moda na narkotyki z nanem, a raczej narkotyki, które rzekomo zawierały nan, a w rzeczywistości były mieszankami rozmaitych substancji farmakologicznych o bardzo silnym działaniu, często prowadzącymi do zgonu. Metoda zażywania zależała od pomysłowości dilerów. Cen zauważył w migoczącym blasku świec kilka plastikowych zakraplaczy porzucanych na podłodze. Czytał kiedyś w gazecie, że modne jest wpuszczanie kilku kropli do oka.

Na błyszczącej czarnej ścianie odznaczała się zieleń i róż wulgarnych napisów i symboli gangów. Do dziury przemknął sznur, przewracając stertę śmieci. Cen odwrócił się błyskawicznie, słysząc szmer za swoimi plecami, ale nikogo nie zauważył. Na zewnątrz było zielono i przyjemnie.

W głębi duszy czuł, że ma do czynienia ze świętokradztwem. To głupie, pomyślał, kiedy zdmuchiwał świecę, potykając się o plastikowe kartoniki po napojach. Maui i jego babka zrobili z tego miejsca sanktuarium, w którym Cen czuł moc, mana biorącą się z ziemi. Jego ziemi.

Stanął przy wejściu do jaskini i z ulgą wdychał świeże powietrze.

Schodził, nie widząc niczego dookoła, jak pogrążony w ponurym śnie, od którego nie ma ucieczki. Nie zdawał sobie sprawy, jak wspaniałe było to jedno spotkanie z kobietą, której imienia wciąż nie znał. Dziwne, bo przecież odrzucał wszystkie ich uwertury. Lecz gdzieś z zakamarków jego umysłu wypłynęła prawdziwa przyczyna: kobieta знаła jego matkę, znała jej imię. Tylko ona mogła mu opowiedzieć historie, których był spragniony, historie o matce, jej dzieciństwie i pozostałych członkach rodziny. Kiedy ją poznał, chciał tylko uciec od swojej przeszłości, od krwi i wycia, od świadomości, że serce i umysł matki zamilkły na zawsze.

Gdyby mógł ją znaleźć teraz, byłby zachwycony tym kontaktem.

Ale jak znaleźć Maui bez bezpośredniego kontaktu sieciowego, który zagrażałby im samym, a także ich planom? Cen nie nadawał się specjalnie do konspiracji. Każdy rozważany przez niego kamuflaż albo byłby nieskuteczny, albo tak doskonały, że Maui nie miałby pojęcia, kto usiłuje się z nim skontaktować. Nie potrafił wymyślić niczego bystrego.

Zresztą, co mogłby zrobić, co mogłby zmienić wobec dwustu lat panowania obcej władzy na wyspach? Otarł pot z czoła i stanął, żeby spojrzeć na morze. Oszalamiająca panorama sprawiała, że czuł się tak, jakby miał skrzydła. Jakże łatwo było zatopić się w uroczym, niekończącym się błękicie. Ile wysp miał w głowie stary żeglarz Tevake, kiedy zależało mu na dokładnym punkcie odniesienia? Klify Kaena Point, wciąż dziki brzeg Oahu, były zaledwie kilka mil dalej. Najbliższym lądem na północy była Kauai, odległa o siedemdziesiąt mil. A dalej, niewidoczny, objawiający się subtelnymi znakami, które doświadczony żeglarz potrafił odczytać z odległości stu mil, punkt odniesienia, etak.

Tak jak Kaiulani była jego etak.

Cen nie był już pewien, czy brak języka pisanego rzeczywiście dowodził niższości danej cywilizacji. Pamięć Polinezyjczyków była niezmierna. Obejmowała tysiące opowieści, których zapamiętywanie ułatwiał hawajski taniec hula. Natomiast pisanie brało się z konieczności udokumentowania własności i długów powstałych w wyniku wymiany handlowej. Społeczeństwo polinezyjskie tworzyło silne więzy i z pewnością funkcjonowało lepiej niż jakikolwiek komunistyczny reżim na początku dwudziestego wieku, a w dodatku miało o wiele dłuższą historię. Było porozrzucane po całym Pacyfiku.

Spoglądając na panoramę, Cen niemal widział te gigantyczne, żeglujące łodzie. Podejrzewał, że Hawai'i Loa, wielkie czółno zbudowane przez Bishop Museum, w którym dzieci żeglowały po Pacyfiku i uczyły się dawnej sztuki nawigacji, sprawiło, że zainteresowali się nim inżynierowie IS, którzy przecież mieszkali na Hawajach i nieustannie oglądali Hawai'i Loa w wiadomościach. Sugestywny obraz zainspirował ich wyobraźnię. Do

starego projektu dotyczącego statków napędzanych energią słoneczną dodali nową technologię.

Taki statek był teraz budowany na orbicie. Jego żagle miały leżeć w uśpieniu niczym ziarna, aż we właściwym momencie pochwyćą cząsteczki światła, które przerzuć go przez całe stulecia do następnej galaktyki. Czytał kiedyś, że budowa potrwa piętnaście lat, a baza księżycowa nareszcie zostanie wykorzystana zgodnie ze swoim przeznaczeniem, oraz że projekt pochłonie wszystkie zasoby i sektory IS.

Cen wstał i kontynuował zejście.

Zważywszy jak płytkie cele miała Interspace, można ją było uznać za kolejne wcielenie kolonializmu. Dzieci, które korzystały z tej jaskini za nim, były dokładnie w takiej sytuacji jak on - osamotnione, pozbawione wiary, że w przyszłości czeka je coś dobrego, uczone tylko tego, jak powiększać szeregi pariasów i być tanią siłą roboczą.

A ty, Cen, jesteś tylko jeden. Dlaczego myślisz, że jesteś w stanie zmienić to draństwo?

Jego sandały chrzęściły na zastygłej lawie. Znajdował się niemal na poziomie morza. Obok niego, za żelaznym ogrodzeniem, dolinę wypełniały gładkie, precyzyjnie wykonane wgłębienia pola golfowego. Ogrodzenie w stylu art deco z fryzem z delfinami, ustępowało miejsca mura z cegieł, a po pewnym czasie Cen znalazł się na autostradzie, nad którą unosiły się fale gorąca. Kilka przecznic dalej, między drewnianymi domami ujrzał pieniądze się, roztańczone morze. Ruszył ku niemu, przeszedłszy na drugą stronę ulicy. Może przynajmniej na jakiś czas uda mu się zmyć z siebie pesymizm, uczucie, że ucieka od bitwy, którą należało toczyć. Tylko nie wiedział jak. Co dobrego mógłby zdziałać?

Zszedł z rozgrzanego asfaltu na jeszcze gorętszy, nieskalany, złocisty piasek. Miotane wiatrem ziarenka kłuły go po twarzy. Przed sobą widział rozedrgany bezmiar wspaniałej akwamaryny zwieńczony białą falą. Ludzi prawie nie było widać.

Zdjął z siebie ubranie i starannie złożył. Został tylko w spodenkach. Schodził po zboczu, aż grzmiące fale wezbrały nad nim, przezroczyście, przetykane światłem, a on nagle zanurkował i dał się ponieść prądowi, który wcześniej poskromił białe grzywacze z lewej strony. Prąd uwolnił go jakiejś ćwierć mili dalej. Z ogromnej kipieli pomachał mu ktoś, kto płynął na wielkiej, staroświeckiej desce surfingowej. Cen również pomachał surferowi, a potem uniósł się i opadł na fali, która płynęła kojącym, monotonnym rytmem.

Odwrócił się i spojrzał na wietrzejące, ocienione chmurami klify, i nagle, w tej chłodnej, przesyconej światłem wodzie zrozumiał, co powinien zrobić.

Ktoś powinien wiedzieć, gdzie one są, kiedy mnie już nie będzie.

Słowa jego matki. Wypowiedziała je w dniu swojej śmierci. Mówiła o kościach wciąż ukrytych w Górach Koolau na drugim końcu wyspy.

Nie myślał, że są ważne. Nie wydawały się tak istotne, jak sprawy, o których myślał. Ale matka zginęła właśnie przez nie. Jej życzenie powinno być respektowane.

Cen nigdy nie czuł w sobie altruistycznego żaru, jaki dostrzegał u Maui. Trzymał się własnych ścieżek, kierował własną dziwną pasją, kultywował i podsyczał w sobie wrodzony cynizm. Przychodziło mu to łatwo, wszak czuł na plecach oddech IS.

Teraz doznawał mrowienia w życiodajnym oceanie, chociaż zaczynał też dygotać z zimna, czuł, że pochłania go ogień dający ciepło, jakiego nie pamiętał.

I był z tego zadowolony.

*

Mimo kręcącego się wiatraczka Cen pocił się w swoim małym pokoju, zapisując kartki papieru liczbami. Odkrył, że bardzo lubi przyciskać ołówek do papieru - dzięki temu lepiej mu się myślało. Robił to już od trzech dni, lecz bez powodzenia. Gwałtownie odsunął krzesło od biurka i przycisnął powieki, aż w wewnętrznym mroku pojawiły się jasne plamy. Wstał i poszedł do umywalki w łazience, wylał na głowę kilka szklanek wody, ale uporczywa myśl nie dawała o sobie zapomnieć.

Będzie musiał się zalogować. Odtworzyć trasę w Sieci, do tego jarzącego się ekranu ze szczególnym połączeniem, nad którym pracował na stacji londyńskiego metra, kiedy odkrył z przerażeniem, że jego notebook został uszkodzony, a on sam doznał olśnienia. Oczywiście zrobił kopię, która jednak zawieruszyła się gdzieś, gdy wychodził w ogólnym zamieszaniu. Nie mógł jej znaleźć.

Ale ona nadal istniała.

Przeklinał swoją nedorzeczną pewność, swoje przekonanie, że skoro uzyskał wynik, na zawsze go posiada. Gdyby kiedykolwiek go opublikował, mógłby teraz po prostu pójść do biblioteki i przejrzeć czasopisma na komputerze. Zamiast tego narażał się na zdemaskowanie, musiał stosować zapewne bezużyteczny kamuflaż, ściągać na siebie rekiny z Interspace, które przekonały się, że zajmował się myśleniem, a nie piciem, a co gorsza, pokazały mu, że jego praca ma znaczenie.

Zamknął drzwi na zamek i ruszył w trasę po Honolulu. Pomimo prawa do prywatności żadna z kabin internetowych w centrum Honolulu nie była bezpieczna. Niektóre lepsze hotele reklamowały się dyskretniejszym dostępem do Sieci. Zamożni biznesmeni potrafili zareagować nieprzyjemnie, gdy taką dyskrecję naruszano. Ruszył w stronę Waikiki, pewien, że jeśli pójdzie do najbardziej luksusowego hotelu i użyje którejś z tamtejszych kabin, będzie

miał większą szansę na utrzymanie swoich myśli w tajemnicy.

Minął Pałac Iolani, złocisty pomnik Liliuokalani, ekskluzywne sklepiki i wielkie, klimatyzowane restauracje strefy turystycznej, a potem Hotel Księżniczki Kaiulani. Widząc zaburzenia scenerii, zaczął się zastanawiać, czy to nie dlatego, że niewłaściwie się odżywał. Poczł dreszcz na plecach, a potem aż podskoczył, słysząc wystrzał armatni.

Ceremoniał. Zamknąwszy oczy, widział wszechświat wewnętrznych gwiazd. Chciał jakoś go naprawić. Wiedział, że znalazł się w miejscu, w którym splatały się wszystkie jego myśli. Tutaj. Gdzie było tutaj?

Gdzie dokładnie?

Jak mógł opisać przejście i miejsce matematycznie?

Jak mógł zostać tutaj na zawsze?

Bryza chłodziła jego skórę. Usłyszał stłumiony przez rafy szum fal i liści roślin, które pieczołowicie sprowadzano do tej botanicznej krainy czarów. Czł zapach imbiru, słyszał przenikliwy chrzęst maszerujących stóp i wydawanych lakonicznie rozkazów.

Poczł smak krwi i uświadomił sobie, że mocno przygryzł wargę.

Data? To musiało być po 12 sierpnia 1898 roku. Ten straszny dzień, kiedy nastąpiła oficjalna aneksja Hawajów. Tamtego ranka w Pałacu Iolani opuszczono hawajską flagę i wciągnięto na maszt flagę amerykańską. A wówczas hawajscy muzycy rzucili swoje instrumenty w połowie piosenki i uciekli ze łzami w oczach, potem zaś nagle rozpętała się burza, psując uroczystość. To właśnie tamtego dnia na zawsze zniweczono nadzieje Kaiulani i hawajskiego ludu.

Pamiętał, że dawno temu widział w Bishop Museum oryginalne zaproszenie od Rządu Tymczasowego dla Clegorna i Kaiulani do uczestnictwa w Ceremonii Aneksji, adnotację „uprasza się o odpowiedź”, a pod spodem napisaną zamaszystymi literami notatkę od Clegorna, że „z konieczności” ani on, ani jego córka nie mogą przyjąć zaproszenia.

Cen otworzył oczy. Ainahau - pełna bujnej zieleni, kwiatów i ptactwa - znajdowała się po drugiej stronie szosy.

I ona tam stała. Patrzył na nią ze ściśniętym gardłem.

Kaiulani pochylała się nad strelicjami. Ścięła kilka kwiatów i położyła je na ziemię. Miała na sobie powłóczystą, czarną muumuu. Szerokie rondo kapelusza ocieniało jej twarz, która z tej odległości wydawała się wychudzona i blada.

Uklęła i wyciągnęła rydel ze stojącego obok koszyka, po czym zaczęła grzebać nim w ziemi.

Za jej plecami drzewa mango i banyan częściowo zasłaniały starą rezydencję. Ojciec

Kaiulani wybudował jej nowy dom w 1897 roku, ale Cen go nie widział, co zresztą nie mogło dziwić, bo przecież ta posiadłość liczyła dziesięć akrów. Ochryple krzyki pawy rozlegały się po każdym wystrzale z armaty.

Porzucił rejdach na zewnątrz i wszedł przez furtkę.

Szczęk rydla w ziemi mieszał się z szemraniem liści, owiewanych wiatrem znad brzegu. Podniósł oczy i zobaczył amerykańskich komandosów, ubranych w mundury z przeszłości i uzbrojonych w karabiny. Strzegli przed nią opinię publiczną.

Och, Kai, pomyślał. Może powinnaś być bardziej niebezpieczna.

Kaiulani nie patrzyła na niego, usiadł więc przed nią na chłodnej trawie, krzyżując nogi. Dzieliło ich tylko kilkadziesiąt centymetrów. Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

Spojrzała na Cena. Jej brązowe oczy były przygaszone, pełne smutku.

- Strasznie schudłaś - powiedział.

Uśmiechnęła się szyderczo, ale jej oczy mówiły coś innego. Pokazała mu obszerną suknię.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Po twarzy - odparł. - Co tutaj robisz?

Wbiła rydel w ziemię i odchyliła się.

- Nie widzisz żołnierzy? - zapytała. - Jestem więźniem. Nie mogę nawet urządzić imprezy dobroczynnej. Oni myślą, że próbuję zebrać pieniądze dla ruchu oporu. - Kiedy mówiła, zauważył zapadnięte policzki, podkrążone oczy.

- To może zaczniesz działać? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Lily - moja ciotka, królowa - poddała się. Przetrzymywali ją w pałacu. Wykryli coś w rodzaju spisku - tak przynajmniej twierdzili, ale to tylko młody Wilcox lojalnie robił to, co do niego należało. Ona nie miała o tym pojęcia. Doszło do walk na Diamond Head. Zginęli Hawajczycy. Chcieli ją sądzić za zdradę stanu. Grozili, że ją zabiją. Mi też grozili.

- Nie możesz nic zrobić?

- Ona wciąż mi radzi, żebym nic nie robiła. Rząd Tymczasowy zaproponował, że uczyni mnie królową, ale ona twierdzi, że tylko by mnie wykorzystano, żeby skłonić Hawajczyków do zaakceptowania planów aneksji. I nie chce, żebym przeszła do opozycji i podburzała Hawajczyków. To by tylko doprowadziło do większego przelewu krwi. Ma rację.

- Mówiła rozgoryczonym głosem starej kobiety. - Nigdy nie miałam rzeczywistej władzy. Zawsze byłam nikim.

- Jesteś kimś dla mnie - powiedział.

Spojrzała na niego i zdumiał się, widząc wdzięczność w jej oczach.

- Nie wiedziałaś? - zagadnął.

- Prawie cię nie widuję - powiedziała.

- Przepraszam - powiedział i nagle ogarnęła go ciekawość.

- Posłuchaj, jak twoim zdaniem to się dzieje? To, że się nawzajem widzimy?

- Myślę - powiedziała wolno - że to ma jakiś związek z kośćmi.

- Z jakimi kośćmi?

- Kośćmi Kamehameha - odparła. - Nie mówiłam ci o nich? Jestem pewna, że tak.

Kahuna użył ich, żeby rzucić klątwę na moją matkę, i ona umarła. Rzucił klątwę również na mnie, bo byłem jej córką. Moja stara hawajska niańka powiedziała mi, że przeklął moje spojrzenie. Kiedy mój ojciec dowiedział się, że mi o tym mówiła - wiesz, byłem bardzo młoda, ale pamiętam to - wpadł w złość i odprawił ją. Odtąd do opieki nade mną zatrudniał tylko haoli. Wiesz, jest Szkotem i nie wierzy w żadne przesady. Ja kiedyś też się z tego śmiałam. A potem byłem taka szczęśliwa, że mogę cię widzieć, że pomyślałam: jeśli to część tej klątwy, to dla mnie jest ona raczej błogosławieństwem. Teraz nie jestem tego pewna. Czuję tylko straszliwy smutek. Nie tylko z twojego powodu. Chodzi... jeszcze o inne rzeczy. - Zadrżała.

- Wszystko wydaje się takie mroczne. Moje życie się skończyło, to życie, które miało mi przypaść w udziale. Życie mojego kraju się skończyło. Teraz to tylko kolonia, miejsce, które można łupić. I nigdy nie mogę cię zobaczyć, kiedy tego pragnę. Tak po prostu się dzieje. Czasami. A właściwie prawie nigdy.

- To nie ma nic wspólnego z kośćmi - zawołał. - To ma związek z tobą! - W jego umyśle pojawił się podtekst: to nie ma nic wspólnego z kosmologią kwantową, metawszechświatem, „obserwatorem” albo rozgałęziającym się czasem. To były tylko słowa. Nagle uświadomił sobie, że połączenie, którego tak rozpaczliwie poszukiwał, miało związek z ludzką świadomością, z wolą, z miłością.

Absurd.

Coś zupełnie nienaukowego.

Ale przecież skoro świadomość i wszystkie jej atrybuty, włącznie z emocjami, naprawdę istnieją, muszą jakoś się pojawiać w wielkich równaniach, z którymi zmagał się od tak dawna i z taką desperacją. Słowa same z niego ulatywały, chociaż krzywił się na myśl o tym, ile agresji i wściekłości jest w jego głosie.

- To ma związek z wolą! Nie robisz tego, do czego się urodziłaś!

Stała z płonącym wzrokiem.

- A ty? - zapytała.

- Nic o mnie nie wiesz - odparł. - Ja wiem...

- Och, co ty wiesz? - wykrzyknęła. - Tylko ci się zdaje, że wiesz. I nie mów mi, co robić albo kim jestem. Wszyscy mi to mówią od zawsze.

Pobiegła przez trawnik. Ruszył za nią i chwycił ją za ramię, okręcił i przytulił.

- Nie odchodź, Kai - szepnęła. - Proszę cię, nie odchodź. Proszę cię, nie złość się na mnie. Potrzebuję cię. Potrzebuję tego czasu. Potrzebuję ciebie.

- To pomóż mi - wyszeptała.

Przytulił ją mocno, pogładził jej włosy, pochylił głowę i pocałował ją.

Za zielonym listowiem zabrzmiał czyjś męski głos. Kaiulani odskoczyła.

- Vicky! Gdzie jesteś? Zagramy w karty? Reszta czeka.

- Kroki męzczyzny oddaliły się.

- Koa - powiedziała, patrząc na Cena. - Mój kuzyn. Chce się ze mną ożenić.

- Nie możesz! - wyrwało mu się.

- Z jakiej racji mówisz mi, co mogę, a czego nie mogę robić? - zawołała głosem pełnym bólu. - Co innego mogę zrobić, co powinnam zrobić, jeśli on jest skłonny mnie poślubić? Lubię go. Zawsze byliśmy ze sobą blisko związani. I przynajmniej zawsze jest na miejscu i kocha mnie bez względu na wszystko. Masz czelność. Za kogo ty się uważasz? - Odepchnęła go i odchyliła głowę. Jej poważne spojrzenie było kontynuacją pytania.

- Proszę cię, Kai - powiedział. - Ożenię się z tobą. Jeśli tego chcesz. Ja tego chcę.

- Ale... - zaczęła. Na jej twarzy malowało się osłupienie.

- Czy... czy nie tego chciałaś? - zapytał, w poczuciu całkowitego upokorzenia. - A jeśli będę błagał?

- Jak możesz się ze mną ożenić? - zapytała niemal pogardliwym tonem. - Nie cierpię tego. Chyba zwariowałam. Ty nie jesteś prawdziwy. Zawsze mówiłam sobie, że nie możesz być prawdziwy. Ale... - zerknęła na siebie - teraz wiem, że jesteś prawdziwy. Bo jak inaczej wytłumaczyć... Cen, będę miała twoje...

I właśnie w tym momencie znowu pogrążył się w ciemności, a potem stał i mrugał oczami, już w swoim czasie.

Ludzie gapili się na niego i obchodzili go szerokim łukiem.

Co zamierzała powiedzieć. Twoje dziecko? Jak inaczej mogło się kończyć takie zdanie?

Ale ona nigdy nie miała dziecka. Musiał się przesłyszeć.

Odwrócił się i zaczął długi powrót do swojego pokoju. Narastało w nim podniecenie.

Może potrzebował właśnie tej informacji: o miejscu i dacie pojawienia się Kaiulani. Zasnął nad papierami późno w nocy, walcząc z rozczarowaniem. Teraz masz już wszystkie elementy, powtarzał sobie. Nie martw się.

Ale był przerażony.

*

Następnego ranka zmierzył się z sednem własnego strachu.

Zapiski o chorobie, która spowodowała jej śmierć, były chaotyczne i niespójne. Raporty stwierdzały „chorobę Brighta”, to znów że „reumatyzm dosięgnął jej serca”, albo że „zmarła na zapalenie płuc”.

Jeśli naprawdę wrócił, to czy tylko po to, by zobaczyć ją na łożu śmierci?

Nie mógł myśleć o swojej wspaniałej matematycznej budowli, gdy coś takiego wisiało mu nad głową. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej. I przemyśleć to wszystko. Musiał wyjść z tego pokoju, oderwać się od papierów.

Autostrada, którą szedł, dudniła pod kołami pojazdów. Potem znalazł się w jednej z dzielnic powyżej Honolulu i wszedł na Liliha Street.

Podążał za jakimś wewnętrznym kompasem. Krzyki mew przydawały tej współcześnie wyglądającej okolicy atmosfery tajemniczości. Pragnę przeszłości, pomyślał. Po prostu pragnę przeszłości oraz kobiety, która w niej istnieje. Kaiulani.

Ale musiał nadać tej informacji spójny kształt, żeby móc ją dopasować do tego, co już wiedział.

Miał nadzieję, że to spotkanie stanowiło ostatni element pozwalający w pełni zdefiniować jego wizję czasu fraktalnego i przewidzieć, w których miejscach fraktale metawszechświata da się przeskoczyć, przejść w poprzek, kiedy cząsteczki, który były nim, zostaną całkowicie przełożone...

To było możliwe. Tak.

Kupił paczkę papierosów, chociaż nie palił od lat. Ross zmusił go do porzucenia tego nałogu. Kiedy wypalił pół paczki, znalazł się przed Bishop Museum. Wyrzucił resztę papierosów do kosza i wszedł do sklepiku z pamiątkami. Mógł to zrobić gdziekolwiek. Potem pójdzie do archiwów, sprawdzi, czy zawarte są w nich dokładne informacje medyczne...

W środku znajdował się rząd książek o Kaiulani, przemieszany z ogólnymi Hawajami - pracami dotyczącymi genealogii, flory i fauny, wyczynów żeglarzy, odkrytych pieśni i autentycznymi filmami pokazującymi taniec hula. Wyciągnął jeden z tomów, ale zorientował się, że już go widział. Widział wszystkie te książki.

- Kolejny fan Kaiulani? - zapytał mężczyzna za ladą. Na jego mosiężnym

identyfikatorze widniało imię Palea.

Cen odwrócił się z otwartą książką.

- Chyba tak - powiedział.

Palea, zwalisty Hawajczyk z długim kucykiem, uśmiechnął się.

- Ciągłe tu przychodzą. Kupują holograficzne plakaty z jej podobizną. Mają towarzystwo, które odtwarza jej ubiory i rzeczy osobiste. Bez przerwy tworzą nowe projekcje wirtualne. Oto najnowsza: „Kaiulani w Jersey”. Pokazał ją i pokręcił głową.

- No cóż, wydaje mi się to całkiem zrozumiałe - zauważył Cen.

- Jej wnuczka zmarła w zeszłym tygodniu - powiedział Palea. - Odeszły dawne czasy. Trochę szkoda. Oczywiście nie miała w żyłach nawet jednej czwartej hawajskiej krwi. No i była upartą starą damą. Handlowała używanymi samochodami, więc możesz sobie wyobrazić. Wcale nie interesowała się swoimi przodkami.

- Jak to, jej wnuczka? - zagadnął Cen, ostrym tonem. - Kaiulani nie miała przecież dzieci.

Palea wzruszył ramionami.

- Chyba nie powinienem nic mówić. Moja ciotka by mnie zabiła. Tyle że od dawna nie żyje. Ale przecież jesteś Hawajczykiem, nie? Dziwię się, że nie wiesz. Może to nie jest szczególnie ważne. Nie miałeś żadnych ciotek? Nie wychowałeś się na tych opowieściach?

- Moja matka... - odparł Cen ze wzruszeniem w głosie - ...moja matka zmarła, kiedy byłem jeszcze mały. Potem musiałem sobie radzić sam. - I nienawidziłem wszystkiego, co miało związek z Hawajami, ale nie wiedziałem dlaczego.

Z wyjątkiem Kaiulani.

- To fatalnie - powiedział Palea. - Zresztą, do diabła z tymi starymi sekretami. Przecież dla Hawajczyków to żadna tajemnica. Naprawdę przegapiłeś tę historię. No, ale dzieciaki często nie słuchają. Tak, zmarła kilka tygodni po porodzie. Na skutek porodu. Całą sprawę zatuszowano. - Odwrócił się do następnego klienta. - W czym mogę pomóc?

Cen stał z otwartą książką w dłoniach. Czyżby, nie wiedząc o tym, przemieścił się już do innego świata? Był spocony. Papierosy przyprawiły go o zawroty głowy.

Palea popatrzył na niego z niepokojem.

- Hej, bracie, wszystko gra?

Cen chwycił się lady. Sklepik zawirował.

*

Drewniany dom Palea, zwany kamaaina, czyli dom weterana, znajdował się kilkaset metrów nad autostradą Nuuanu Pali. W dole przejeżdżały samochody, których hałas z tej

odległości przypominał szum spienionych fal i mieszał się ze szmerem potężnego drzewa banyan, którego małe odnogi oplatały chybotliwą balustradę ganku Palea.

Cen stał na skraju szerokiej, drewnianej werandy, która górowała nad obficie porośniętą stromizną. Podłogi były przykryte sizalowymi matami, a pomieszczenie wychodzące na zewnątrz było umeblowane stołami i krzesłami w rozmaitych stylach. Przez chwilę o dach bębniły krople deszczu, ale chmura wkrótce ustąpiła. Na rozsuwane drzwi napierały pomarańczowe, szkarłatne i żółte kwiaty hibiskusa. Cen poszedł do kolejnego narożnika i patrzył na precyzyjnie wyrzeźbioną w skale sadzawkę, gdzie woda zatrzymywała się tylko na moment, a potem przelewała się przez krawędź i spływała w dół.

Palea wcisnął mu do ręki zimne piwo i włączył przycisk, który uruchamiał podwodne światło.

- Moje koi. Mam większość z nich od lat. Widzisz to białe? To Ed Sullivan. Słyszałeś kiedyś o nim?

- Nie - odparł Cen, otwierając piwo.

- Czerwone to Lucy. Uwielbiam te stare programy telewizyjne. Mam setki kompaktów. Na pewno nie chcesz czegoś zjeść? Wciąż nie wyglądasz dobrze. Jeszcze nigdy nie widziałem mdlejącego mężczyzny. Zresztą mdlejącej kobiety też nie widziałem. - Odwinął wielkiego sandwicza, którego kupił w drodze do domu. - Masz, weź trochę.

Cen nie przepadał za słonym mięsem, ale zjadł trochę, żeby nie sprawić przykrości Palea, który był miłym facetem. Miał wrażenie, że wpadł do króliczej nory.

- No, więc opowiedz mi o Kaiulani - powiedział nagle.

Palea wyciągnął się na głębokim krześle z bambusa, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Cen usadowił się na podobnie wyglądającej kanapie.

Nadeszła noc, która sprawiała, że Autostrada Pali wyglądała jak częściowo zasłonięta rzeka wolno płynącego światła. Wiatr przyniósł ze sobą na moment zapach imbiru, a liście bananowca zaklekotały w ciemności. Cen wypił piwo i postawił puszkę na okrągłym stoliku.

- Co chcesz wiedzieć? - zagadnął Palea.

- Kaiulani miała dziecko?

Palea pociągnął z puszki.

- Tak.

- Dlaczego nikt o tym nie wie? Nigdzie o tym nie czytałem.

Twarz Palea była pogrążona w cieniu. Mówił szybko, wtrącając hawajskie słowa. Cen słuchał go z zachwytem. Skupiał uwagę na jego słowach, jakby od tego zależało jego życie.

- Mówię ci o tym tylko dlatego, że jesteś Hawajczykiem, bracie. Oczywiście wszyscy

mają to w nosie. Przecież ona nie żyje od ponad stu lat. Ale tak, była w ciąży. Właśnie dlatego udała się na Wielką Wyspę, żeby uciec. Urodziła na Molokai. Wiesz, w końcu wróciła do kahunów. Ale było za późno, żeby ją uratować.

- Co się stało z dzieckiem? - zapytał Cen ochryplym szeptem.

- Kiedy Kaiulani zmarła, jej ojciec, Clegorn, powiedział ciotkom, że uzna to dziecko za swoje. Prawdopodobnie taki był plan od samego początku. Pewno nikt poza ścisłym kręgiem by tego nie kwestionował. Kaiulani dorastała z kilkoma siostrami przyrodnymi, które Clegorn uznał za swoje córki bez zawarcia związku małżeńskiego, zanim ona przyszła na świat, a moim zdaniem miał ich jeszcze więcej po śmierci Likelike. Ale wszystkie te ciotki były totalnie zaskoczone. Przecież ten dzieciak mógł rządzić Hawajami, co?

- Mógł zostać zabity - odparł Cen. Kolejne zagrożenie.

Wyczuł, że Palea kiwa głową w mroku.

- Dokładnie - powiedział. - Zagrożenie dla nowego rządu amerykańskiego, który był bardzo niestabilny. Możesz sobie wyobrazić bunty, a nawet rozlew krwi, gdyby ludzie dowiedzieli się o istnieniu nowego dziedzica tronu, o dziecku ich ukochanej księżniczki? A poza tym tylko ten dzieciak został staremu po Kaiulani.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec.

- Kim był ojciec?

Palea milczał przez chwilę, ale noc przepełniały ruchy i dźwięki - cykanie owadów, szum ruchu ulicznego, ryk milionów drzew wykrzykujących odpowiedź w umyśle Cena.

- Nikt nie wie - powiedział Palea. - Najpewniej Koa, jej kuzyn. Byli ze sobą blisko związani. Odwiedził ją parę razy w Anglii, a kiedy wróciła, spędzali dużo czasu razem. Z jakiegoś powodu nie wzięli ślubu. Myślę, że byli dla siebie jak brat i siostra. Ale to tylko moje zdanie. Ciotki mówiły, że o dziecku dowiedział się znacznie później, kiedy ona umarła, a on poślubił inną kobietę. Całą ciężę utrzymała przed nim w tajemnicy. Może ona i ojciec zawsze chcieli, żeby to była tajemnica. Hawajczycy nie robili problemów z ojcostwem jak haole. Ale Kaiulani właściwie już nie żyła w hawajskim świecie. Może jej na tym zależało.

- Ale dlaczego? - zapytał Cen, czując pieczenie w gardle. - Dlaczego umarła? Przecież miała tylko dwadzieścia trzy lata. Czyżby krwotok? Komplikacje poporodowe? Co się stało?

- Choroba Brighta. - Palea wstał i wszedł do środka, wciąż mówiąc przez otwarte okienko w kuchni. Cen usłyszał odgłos otwieranej i zamykanej lodówki. - Nie potrafili dokładnie ustalić przyczyn tego schorzenia. Alice Longworth, żona Teddy'ego Roosevelta, zmarła w dniu, w którym rodziła. Ona również na to cierpiała.

- Choroba Brighta.

- Tak. - Trzasnęły drzwiczki kredensu, potem jakieś inne. Palea mruczał coś do siebie, a potem znowu zwrócił się do Cena. - Tak mówili. Ogólnie jakiś problem z nerką, może skutek infekcji.

Te przeziębienia na terenie Europy.

- Dlaczego niektórzy podają, że zmarła na zapalenie płuc?

- W ten bzdurny sposób tuszowano sprawę. „Och, odjechała w zimnym deszczu”. Chyba starali się coś wymyślić. Zresztą, kogo to obchodzi, co? Myślę, że powiedzieli o tym jej synowi, kiedy dorósł. Ci ludzie żyli w świecie wyrafinowanych intryg. Uwielbiali wbijać wrogom nóż w plecy. Wiecznie ze sobą walczyli. Ludzie nadal tak się zachowują. Ja wywodzę się z rodu kahunów. Moi kuzyni mają w żyłach królewską krew. Ciągłe patrzyli na nas z góry. Być może staruszek Clegorn był tym zmęczony, zwyczajnie w świecie zmęczony. I może nie chciał, żeby Amerykanie obmawiali jego córkę za nieślubne dziecko, zwłaszcza że ona zmarła. - Wrócił, trzymając dwa piwa i torbę precli. - Chcesz jeszcze piwa?

- Nie - odparł Cen. - Chyba mam już dość.

- Ja chyba też - odparł łagodnie Palea. Zerknął na Cena z drugiego końca werandy. Jego pociągła, ciemna twarz jaśniała w blasku cytrynowej świeczki. - Kim ty jesteś? Dlaczego tak się tym przejmujesz?

- A ty? - zagadnął Cen. - Skąd to wszystko wiesz?

- Mój wuj miał sporo starych taśm, które sam nagrywał. Stare ciotki miały kiedyś klub, spotykały się w sobotnie poranki. - Palea roześmiał się cicho. - Stary człowiek mówił, że matka go tam zaciągała i zmuszała do słuchania ich opowieści. Kilka lat później, kiedy był w college'u, uświadomił sobie, że były tam wszystkie te stare damy. I zaczął je nagrywać, zadawać im pytania. Opowiadały o dawnych czasach. O ostatnich dniach, wiesz? Wszystkie miały amerykańskie nazwiska, bo powychodziły za męża, ale były starymi ciotkami. Ostatnimi z królewskich kuzynów, którzy urodzili się pod koniec dziewiętnastego wieku i na początku dwudziestego wieku. Opowieść o Kaiulani była jedną z wielu. Och, te historie sięgały głębiej w przeszłość. W bardzo dawne czasy. Ona zawsze była tylko pionkiem. Jestem pewien, że Clegorn w końcu to sobie uświadomił. Po prostu nie miało sensu mówić komukolwiek, że Kaiulani zmarła z powodu tego dziecka. Co ich to obchodziło, do cholery. Dlaczego Clegorn miałby rujnować życie jeszcze dziecku? I dlaczego miałby rezygnować ze wszystkiego, co mu zostało po Kaiulani, na rzecz kogoś, kto był ojcem tego dziecka? Bardzo możliwe, że sama Kaiulani wymusiła na nim obietnicę, żeby nic nie mówił. Mówiono, że powinna była zaufać kahunom, zgodzić się na kurację w hawajskim stylu, a wtedy przeżyłaby. Mówisz

wszystko, co trzymałaś w tajemnicy, pozbywasz się trucizny. Kto wie - może zabiło ją ukrywanie prawdy o ciąży, może przez to nie otrzymała pomocy, której potrzebowała. - Westchnął. - A może było tak, jak mówili - że nie miała powodu, by żyć. Wiedziała, że nie zostanie królową, a na dodatek miała nieślubne dziecko. W oczach jej wyrafinowanych europejskich przyjaciół postąpiła haniebnie. Dała za wygraną. Ach, nic dziwnego. Przecież była Hawajką tylko w połowie. Miała słaby charakter. Była zanadto rozpieszczona. I za chuda, do cholery. Ale dlaczego ty się tym przejmujesz?

Palea zadał to pytanie kolejny raz. Cen nie odwrócił głowy. Jego odpowiedź była przeznaczona dla gwiazd, strumienia, rzeki światła i przytłaczającego zapachu imbiru. Palea nie słyszał jego szeptu.

Bo cię kocham, Kai.

- Co? - zapytał Palea.

Cen odwrócił się i popatrzył na wysokiego mężczyznę o zatroskanych, brązowych oczach, który opowiadał mu o swoim ludzie i swojej ojczyźnie. Oczywiście to jemu należało zadać to pytanie.

- Znasz kogoś o imieniu Maui?

*

Następnego ranka Cen kupił kołnotatnik, taki jakiego używają artyści do robienia rysunków. Poczul głęboką satysfakcję na widok ogromnej ilości białego papieru. Kupił paczkę nieścieralnych ołówków, gdyż nie chciał, żeby ktoś wymazał jego dzieło, ani też żeby straciło na intensywności. Nie było jeszcze ukończone, ale czuł jego wzbierającą energię i pragnął być gotowy.

Miał w głowie delikatną strukturę myślową. Wiedział, że wkrótce zostanie ukończona i będzie całkowicie satysfakcjonująca; dźwięczna jak dzwon, brzmiąca równie donośnie jak wszystkie kościelne dzwony Honolulu, które biły w dniu narodzin Kaiulani tak dawno temu.

Zaczekał na odpowiednią porę i wrócił do muzeum. Palea zignorował go. Zobaczył jedyny egzemplarz Śmierci Królestwa, podszedł do lady i zapłacił za niego. Palea spojrzał na niego pytającym wzrokiem, ale on powiedział tylko: „Dziękuję panu” i wydał Cenowi resztę. Poprzedniego wieczoru Cen wreszcie przekonał Palea, że jest tym, za kogo się podaje, i że Maui chce dostać od niego wiadomość. Palea dał mu instrukcje jak dla szpiega. Zabawne, że to wszystko było takie prymitywne.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, wydarł stronę nr 97 i przytrzymał ją nad zapaloną zapalką. Pokazał się numer telefonu, niedbale nagryzmołony. Uśmiechnął się. Czasami najlepsze okazywało się to, co najprostsze, prawda? Zapamiętał numer, podarł kartkę, wrzucił

strzępki do sedesu i spuścił wodę.

Jeszcze nie był całkiem gotowy zadzwonić do Maui.

Ale miał nadzieję, że to się zmieni już niebawem.

Nadzieja coraz bardziej go polaryzowała, jak gdyby nad nocnym widnokregiem miała za chwilę wejść jedyna prawdziwa gwiazda żeglarzy, która utworzy ścieżkę przez ciemne morze. Przedtem już wiele razy miał okazję poznać tę wznoszącą się krzywą nieuniknionej energii. Pracował wtedy jak szalony przez kilka dni, prawie nie śpiając i nie jedząc, a świat wydawał się przesycony światłem i poczuciem celowości, pełen krystalicznych wzorów, które spływały z ołówka.

Potem zawsze pogrążał się w mroku. Gdyby nie zapiski, które powstawały, gdy miał inne myśli, mógłby z łatwością twierdzić, że życie nie ma sensu.

Tym razem pragnął odbić się od krzywej, ulecieć w samo serce wszechświata, w prawdę wszelkiej rzeczy i istnienia.

*

Tej nocy, w żywej przestrzeni między czuwaniem a snem, w której kipiało od myśli, Cen poczuł, że coś zaskoczyło. Usiadł na łóżku, uświadomiwszy sobie, że to się stało. Kołdra ześlizgnęła się z jego nagiego ciała. Siedział na skraju łóżka, długi czas czując, jakby był centralnym punktem szerokiego pola informacji, które po cichu objawiało się od zarania dziejów i tylko czekało z bezgraniczną cierpliwością, aż pojawi się jakiś cel. Czuł pokorę i głęboką wdzięczność. Lekki wiatr znad portu chłodził jego ciało, aż zaczął dygotać. W końcu przykrył się i zasnął, wcale nie przejmując się, że zapomni o tym, czego doznał. Przeleje to wszystko na papier.

*

W Ala Moana Park tuż po zachodzie słońca palmy kokosowe rzucały długie cienie na miękki, zielony trawnik.

Cen spędził tu kiedyś popołudnie z Kaiulani. Był wtedy taki młody. Teraz wybrał betonową ławę za powykręcany drzewem, usiadł i otworzył notatnik.

Pisał, że zapach morza wypełnia jego nozdrza tak, jak uczestnicy pikniku i krzyki dzieci wypełniają park. Gołębie wydawały dźwięki podobne do pohukiwań sowy; każdy dźwięk był jak bańka, która otaczała dzień i rozpryskiwała się przy uchu. Wszystko dookoła zdawało się powtarzać jak echo prawdę tego, co mówiło jego pióro.

Kiedy wreszcie skończył i podniósł głowę, w parku nie było już nikogo i zapadł zmierzch. Po drugiej stronie rafy oświetlone łodzie turystyczne energicznie pruły morze, a on czuł, że wszystko, co istnieje, było niepodzielną, skończoną jednością: światło i czas, to, co

małe i duże, kwanty i grawitacja, wszelkie siły i ich konsekwencje, jedna wielka, otwarta rzecz, odkryta za sprawą istnienia Kaiulani.

I będzie podróżował na ścieżce jej odkrycia.

Siedział oszołomiony przez pół godziny, wycieńczony i bardzo szczęśliwy. W tym miejscu kiedyś mieszkała, a kilka przecznic dalej zmarła.

Światła łodzi odbijały się w ciemnej wodzie. Mimo chłodnej nocy zaczął się pocić.

To może mu się nie udać.

Ale jakie to miało znaczenie? Mógł tylko próbować.

Uświadomił sobie teraz, że to może nie być tak precyzyjne, jak sobie wyobrażał. Przypominało mu to różnicę między patrzeniem na mapę pokazującą skrzyżowanie a byciem na tym skrzyżowaniu, osoba stojąca na nim podałaby zupełnie inny, bogatszy opis niż ktoś tylko oglądający mapę. Stać go było na większą dokładność niż przedtem. Mógł rozszerzyć pewne parametry tak, żeby po przejściu na tamtą stronę nie był w stanie już wrócić. Może kiedyś, opierając się na swoich dowodach i potężnej mocy obliczeniowej komputera, zdoła osiągnąć większą precyzję. Na razie wystarczyło mu to, co miał. Mógł teraz dokonywać projekcji i w ramach szeroko zdefiniowanych parametrów znał miejsca i czas, w którym to będzie możliwe.

Miał jeszcze do zrobienia kilka rzeczy tutaj, w tym życiu, zanim będzie gotowy.

Musiał zrobić nie tylko to, czego chciała Kaiulani, ale także to, co w głębi serca uważał za słuszne.

I musiał zrobić wszystko, żeby ocalić jej życie.

Przekartkował notes od samego początku. W świetle dochodzącym z łazienki zauważył, że nie zostawił wolnego miejsca.

Nieważne. Doszedł do końca notatnika i napisał: DOWODY KAIULANI.

Zamknął notatnik i mocno go ścisnął, jeszcze raz spoglądając na przepiękną iluminescencję. Pearl Harbor, Wybrzeże Waianae odchyłały się od niego zamaszystym łukiem, usiane światełkami, które przypominały ziarenka soli.

*

W lombardzie kupił długą torbę na zamek, żeby zmieścić w niej rozmaite wędki i kołowrotki. Uważnie obejrzał dwie wędki i wybrał jedną z nich, dostatecznie ciężką i solidną. Poszedł do innego sklepu, gdzie znalazł całkiem dobry kołowrotek. Targował się o niego, tylko po to, żeby, jeśli jakimś cudem był śledzony przez agentów IS, dać im powód, dla którego zakupił torbę. Patrzył na siebie samego z dystansu, rozkoszował się każdym szczegółem. Wszystko co robił, każda sekunda przybliżała go do Kaiulani.

Zapinając swój nowy ekwipunek, pomyślał, że jest całkiem fajny. Może naprawdę wybierze się z nim na ryby.

Z początku bardzo go przygnębiała prawda o jej śmierci. Czy to on był ojcem jej dziecka?

Chyba tak, zwążywszy jego przeświadczenie, że był z nią w San Francisco.

W bibliotece medycznej Szpitala Queen's przeczytał o chorobie Brighta i odkrył, że diagnoza była ogólnikowa i nie ma pewności, na co chorowała ani czy istniał jakiś sposób, żeby ją uratować po niebezpiecznym porodzie. Niewykluczone, że skuteczna mogła być tylko dializa. Ewentualnie antybiotyki. Może nowa nerka. Wszystko zależało od tego, co naprawdę jej dolegało. Żałował, że nie zna żadnych lekarzy, którzy mogliby mu pomóc, udzielić porady. Czy wstrzemięźliwość była jedynym wyjściem? Na to było za późno. Zatem co powinien dla niej zabrać? Plaster antykoncepcyjny? Proszę, kochanie, oto podarunek z przyszłości?

Zatrzymał się w darmowej klinice, żeby poddać się wasektomii.

Siedział w małym pomieszczeniu, owinięty białym papierem, i ciągle zadawał sobie pytania. Czy był w stanie zmienić jej życie? Zamienić jej śmierć na życie? Czy mógł... a jeśli...

- Proszę się nie martwić, taką operację można wykonać na kuchennym stole. Prawdę mówiąc, robiłem je na kuchennych stołach - powiedział jowialny lekarz, naciągając gumowe rękawiczki z traskiem. - Wie pan, wszyscy krewni marzą o darmowych pracach. Kobiety zawsze chcą załatwić swoich mężów. Ale pan nie wygląda na specjalnie przejętego.

- Co? - zapytał Cen, wyrwany z zamyślenia. - Och.

- Powiedziałem, że jeszcze nie widziałem, aby mężczyzna patrzył na te noże z takim spokojem jak pan - odparł lekarz, biorąc od pielęgniarki jeden ze skalpeli.

- Och - powtórzył Cen. - Pewno zadziałał ten plaster. - Nie czuł się ani trochę zaniepokojony. I z pewnością nie czuł bólu. Czuł euforię.

- Tak mi się zdaje - rzekł lekarz. - Ma pan ostatnią szansę, żeby zmienić zdanie.

Cen potrząsnął głową i zamknął oczy.

Wyszedł z próbkami potężnego antybiotyku, których starczyłoby chyba na rok, gdyż powiedział lekarzowi, że wyrusza w długą podróż do odległych regionów Chin. Lekarz odpowiedział, że przebywa tam jego córka, która również jest lekarką i pełni tam ochotniczą służbę medyczną.

- Dam panu taki zestaw, jaki wzięła ona, w razie gdyby coś się panu przytrafiło. Infekcje nerek, jakie pan przeszedł, stanowią zagrożenie w takim regionie. Ma pan jeszcze

wyrostek? To niedobrze. Niech pan się nim zajmie. Recepcjonistka ustali z panem terminy.

Doktor wynurzył się z pokoju, trzymając kopertę pełną plastrów.

- Nie uwierzy pan, jakie są skuteczne. Te antybiotyki są wrażliwe na bakterie. Są genetycznie zaprogramowane tak, aby reagować na szerokie spektrum bakterii. Idealne w pana sytuacji. Zniszczą organizmy tak prymitywne, że nawet ich nie widzieliśmy, oraz organizmy tak odporne na atak, że nie reagują na żadną inną substancję. To zupełnie nowa generacja leków. Jeszcze nie zatwierdzona przez FDA, ale wkrótce to nastąpi. - Zniżył głos.

- Powiem panu prawdę, te leki stworzyła IS dla swojego statku pokoleniowego. Gdyby nie zadziałały, poleciałoby sporo głów.

Umilkł na chwilę.

- Jeśli martwi się pan o swoje nerki, to ma je odbudować. - Podeszedł do mebla z szufladami i wyciągnął arkusz perforowanych plastrów, starannie oznakował plastikową torebkę i wsunął je do środka wraz z paskami, które po włożeniu do moczu dawały dokładne informacje o funkcjonowaniu nerek. Poinformował Cenę, jak należy je stosować. - Moja interpretacja - a propos, jestem urologiem, więc znam się na tym dość dobrze - jest taka, że odrośnięta nerka może powodować problemy. Ale dopiero kiedy pacjent jest dość stary, w wieku, którego by bez niej nie dożył. Przeciętnie stary, rozumie pan?

Cen podziękował mu wylewnie, a potem wrócił do pokoju i włożył pakiet do torby z wędkami.

Wszystko co teraz robił, każdy ruch, każda decyzja przypominały mu o przejrzystości światła tutaj, w jego domu nad morzem, a nawet w dole, gdzie nie było słyhać zgiełku świata, a ryby odbijały światło powolnymi tęczkami i wszystko w promieniu kilkunastu metrów było wyraźnie widoczne, mimo iż znajdowały się w wodzie. Teraz przygotowywał się do wejścia do owego obcego medium, ale tym razem świadomie, w roli nurka.

Wsiadł do autobusu późną nocą, żeby jechać samotnie i mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Miał nadzieję, że IS w końcu spisała go na straty, nawet jeśli wiedziała o jego pobycie tutaj. Być może uznała, że oprócz fragmentów, które dostała od Smith, nie może liczyć na nic więcej.

Cen miał przy sobie torbę, a w niej nową wędkę.

Kiedy usiadł na tyłach i autobus jechał miarowo autostradą Nuuanu Pali, przypomniała mu się podróż sprzed wielu lat tą samą linią, kiedy uciekał od śmierci matki, identyczną drogą nad Koolau, tylko z przeciwnej strony.

Kiedy dokładnie ukrył w pamięci tamto straszne wydarzenie? Może na wysokości tej przecznicy, gdzie świecił neonowy szyld całodobowego sklepu z alkoholem? A może milę

dalej, gdzie, oglądając się za siebie, widział panoramę światła Honolulu rozciągających się w dole jak migotliwa wizja ze snu. Z każdym metrem przejechanym przez autobus zdawał się przybliżać do jakiegoś potężnego, straszliwego miejsca w swoim umyśle. Kiedy dotarł do Nuuanu Pali - „tego” Pali, chociaż słowo „pali” znaczyło po prostu „klif” - czuł, że dławi go jakieś mroczne brzemię.

Wysiadł. Która to była godzina - trzecia w nocy? Zobaczył jakąś parę na tle skał podziwiających widoki, ale poza tym miejsce było puste.

Miotany nieustannym wiatrem, który, jak głosiła legenda, mógł czasami dawać oparcie, zawieszony nad porośniętą bujną zielonością stroną Koolau, przytrzymywał się powykręcanych drzewa i w końcu znalazł się niebezpiecznie blisko skraju pali.

W dole rozciągała się kraina jego dzieciństwa. Zatoka Kailua, wyrzutnia jarząca się od światła.

Podniósł oczy ku świecącemu księżycowi. Tamtejsza kolonia rozwijała się bardzo szybko. Przypuszczał, że było to sensowne miejsce do posiania nasion.

Ale on sam był w stanie przejść do innego świata. On jedyny.

Może jakiś matematyk w przyszłości ekstrapoluje jego wyniki na grupę ludzi, nawet na pole, które zawierało statek albo i całą planetę. Sam mógłby to zrobić, gdyby tu został.

Ale nie zamierzał zostać.

Kaiulani spoglądała kiedyś na tę okolicę. Przypuszczał, że nocą było tu o wiele ciemniej, a gwiazdy świeciły jaśniejszym blaskiem, którego nie mąciły światła na lądzie. To było jej przyszłe królestwo. Lecz ostatecznie Hawaje stały się ostatnim przyczółkiem, który spowił płaszcz Boskiego Przeznaczenia, zagarnęły Kaiulani w objęcia śmierci, porwały ją wraz z czarną falą podbitych tubylców.

Patrząc na rzadko rozsiane światła w dole, pomyślał o Maui. Jak się miewał Maui? Czym tak naprawdę się zajmował? Wkrótce dowie się tego. Cieszył się na spotkanie z Maui po tak długiej przerwie. Kaiulani sprawiła, że przebudził się i dostrzegł prawdę Maui.

Teraz potrafił lepiej docenić informację od babki Maui, że Interspace chroniła w swoim łonie radykałów z Ruchu Ojczyźnianego.

Wreszcie miał to, czego pragnął przez ponad połowę swojego życia. Był pewien, że dysponuje wszystkimi elementami układanki. Już samo zrozumienie zasady, która nią rządziła, wystarczyło, by mógł odejść. I pozostać w czasach Kaiulani.

I nigdy nie wrócić.

Dziwnie było być w posiadaniu elementów tak wielkiej zagadki.

Nie poświęcałby się dla takich ludzi, jak pracownicy Interspace. Nie było powodu,

żeby znali te rzeczy. Kto wie, do jakich celów mogliby ich użyć.

Poczuł silny podmuch wiatru i musiał się przytrzymać drzewa, żeby zachować równowagę. Skierował wzrok do góry i patrzył na światło miliarda gwiazd. Uświadomił sobie, że całkiem zapomniał o pozornie najważniejszym celu międzynarodowego konsorcjum Interspace - podróżach do gwiazd. To był pierwszy zorganizowany wysiłek ludzkości na skalę światową, zmierzający do opuszczenia planety. Dane z maleńkich sond robotów pojawiały się na drugiej stronie Honolulu Advertiser każdego dnia. Sond było dużo, dlatego kolumna zawsze była zadrukowana. Liczna społeczność naukowa mieszkająca tutaj studiowała ją z niemałym zainteresowaniem.

Ale IS była skorumpowaną i niemoralną organizacją. Równie skorumpowaną i niemoralną jak Rząd Tymczasowy składający się z amerykańskich biznesmenów, którzy uważali za stosowne spokojnie, ostrożnie, krok po kroku zabierać ziemię, prawo głosu i władzę tym, którym te rzeczy się należały, zmuszając Kalakaua do podpisania tak zwanej „Konstytucji Bagnetowej”.

Powinien zostać i w miarę możliwości walczyć u boku Maui. Powinien. Powinien zostać i zająć należne sobie miejsce w annałach nauki.

Ale nie zrobi tego.

Zdumiało go jaśniejące niebo. Zapomniał o upływającym czasie. Ukryte w falującym lesie tropikalne ptaki powitały świt gwałtownym ćwierkaniem, a ciemnopomarańczowe niebo w ciągu kilku minut zmieniło barwę na żółć, a potem błękit, zaś metalicznoszara tafla wielkiego oceanu w dole zrobiła się niebieska, świadcząc o tym, że dzień zaczął się na dobre.

Pora była iść. Podniósł torbę. O dziwo, nie czuł zmęczenia.

*

Początek szlaku był zaledwie dwie mile dalej. Poszedł tam ścieżką równoległą do drogi prowadzącej przez gęstą dżunglę. Krople deszczu bębniły o liście drzew, odświeżając powietrze, ale kluczący między grubymi pniami wędrowiec nie odczuwał skutków ulewy. Szlak był spokojny, oddalony od głównej drogi.

Szedł po wąskim szlaku odpowiednio równoważąc ciężar długiej torby. Prawie widział swoją matkę, księżniczkę, kapłankę *alii* z rodu kahunów. Miał wrażenie, że ona idzie przed nim i zabrania mu jeść zbyt dużo guaw. Zerwał tylko jeden dojrzały, żółty owoc i wgryzł się w jego słodki, różowy miąższ.

Kiedy dotarł do wodospadu i rozlewiska, przystanął. Jak coś tak pierwotnego mogło istnieć tak blisko Honolulu? Czyżby tego miejsca strzegły duchy, w które nadal wierzyła większość Hawajczyków?

Złożył im cichy hołd i postawił torbę.

To był prezent dla Maui i dla babki Maui. Nie musiał im dawać tych rzeczy, ale miał obowiązek je przekazać i było oczywiste, komu się należą.

Po raz trzeci w życiu wspinał się na klif za wodospadem i usiadł na wąskim występie.

Był przemoczony. Sięgnął do środka i wyjął zawiniątko z kośćmi.

Patrzył na nie dłuższą chwilę, czując ulgę, że wciąż są w jego posiadaniu. Białe ptaki przeleciały nad spokojnym, zielonym rozlewiskiem, do którego prosto niczym strzała wpadał wodospad. Właśnie za to zginęła jego matka: żeby pokazać mu zawiniątko ze starymi kośćmi.

Może nie była to bezpośrednia przyczyna. Ale gdyby nie spóźnili, się wracając do domu... ojciec nie wpadłby w szal... matka nie wyciągnęłaby broni, którą wszyscy zaczęli sobie wrywać.

Absurdalne rozumowanie! Ale pokazała mu kości w dniu swojej śmierci i odtąd jego życie nie było już takie samo. Z powodu tego, co przyniósł tamten dzień, dlatego że tak mocno wierzyła w ich świętość, te kości były dla niego święte. Ponieważ ona w nie wierzyła. On wierzył jedynie w moc umysłu i w Kaiulani, i w prawdziwość tego, co wiedział.

Balansując na występie, szybko rozwijał zawiniątko. Tkanina tapa pokruszyła się i odpadała płatami, przywierała do jego rąk.

Kości lekko połyskiwały w stłumionym świetle lasu. Odór zbutwiałej tkaniny mieszał się z zapachem wodnego pyłu i wielkich, nieznanych mu białych kwiatów, które rosły kaskadami po jednej stronie wodospadu.

Wybrał jedną kość dla Maui, bardzo długą, chyba była to kość puszczelowa. Właściwie nie wiedział, co chcą zrobić z tym szkieletem, ale pamiętał jak przez mgłę słowa babki Maui, że to miało coś wspólnego z DNA. Jedna kość w zupełności by wystarczyła, tak? Resztę sobie zatrzyma. Potrzebował tych kości jako karty przetargowej w razie nieprzewidzianych okoliczności.

Albowiem uświadomił sobie, że może trzeba będzie wrócić. Przeniknęło go zimno na myśl o tym, że może ponieść całkowitą klęskę, a wtedy być może zechce wrócić.

Może?

Rozważał długo ten pomysł.

I co z tego, jeśli naprawdę zechce wrócić? Prawdopodobnie będzie tego chciał wiele razy. Ale czy będzie w stanie wrócić?

Przyznawał w duchu, że sam w to wątpi. Nie miał tutaj, w tym stuleciu, żadnego celu, nie kochał tu niczego i nikogo. Jego etak znajdował się poza tym horyzontem.

Lecz mimo wszystko...

Przesunął w zamyśleniu ręką po szorstkich, dziobatych kościach. Jeśli wpadną w nieodpowiednie ręce albo po prostu zostaną zagubione, działacze RO nie będą mieli niczego.

Potrzebował obu rąk, żeby wydobyć czaszkę ze sterty owiniętych tkaniną kości. Przez chwilę patrzył w ciemne, puste oczodoły.

Potem wziął kawałek naderwanej tapa, zawinął w nią czaszkę i wepchnął ją głęboko do groty.

Następnie ponownie owinął kości i z niemałym trudem zszedł na dół, kilkakrotnie omal nie ześlizgując się do rozlewiska. Kluczył wokół wody, starając się nie deptać po bujnych paprociach, kurczowo ściskając swój pakunek. Rozsunął torbę i włożył kości wraz z wędką. Ledwo je pomieścił. Musiał walczyć z zamkiem błyskawicznym, aż w końcu udało mu się zamknąć torbę.

Obezwładniony zmęczeniem położył się na miękkim mchu, przytulając do siebie torbę, i zasnął.

Obudził się kilka godzin później. Światło umknęło z polany. Było późne popołudnie. Wkrótce miało się ściemnić. Nie miał ochoty przebywać na tym wąskim szlaku do późnej nocy. Dlaczego spał tak długo?

Sen miał jednak uzdrawiającą moc.

Kości były ciężkie i niewygodne do niesienia w powrotnej drodze. Świadomie rozkoszował się każdym spektakularnym widokiem, refleksami słońca na morzu, widocznymi w miejscach, gdzie las ulegał przerzedzeniu. Kilka razy kucnął, słysząc narastający szum wiatru, i przytrzymał się skały lub drzewa.

Kiedy wreszcie wrócił do swojego pokoju, minęła północ. Był wyczerpany. Włożył klucz do drzwi, ale one same się otworzyły. W ciemnościach w środku stał jakiś wysoki mężczyzna, który pochylał się nad stołem i skanował jego notatnik, a raczej jego dowody!

Cen zareagował błyskawicznie. Rzucił się do mężczyzny, zamachnął się torbą i wyrzucił go kośćmi w brzuch.

Intruz wrzasnął, upuścił aparat, który z trzaskiem rozbił się o podłogę. Schylił się i jedną ręką sięgnął po aparat, podczas gdy druga ściskała otwarte strony.

Cen kopnął aparat, chwycił notatnik i wyszarpnął mu go z ręki.

Kartki ściskane przez intruza podarły się. Cen podniósł torbę z kośćmi i zadał kolejne uderzenie. Mężczyzna odsunął się unikając ciosu. Szybkim ruchem powstał i wybiegł przez drzwi. Zaspany Cen słyszał tupot jego nóg na schodach. Z całej siły kopnął aparat, wyciągnął digikartę, na której dokonano nagrania, umieścił ją nad płomieniem zapalniczki i stopił.

Co za głupiec z niego. Myślał, że tamci dali się uspić. Bez wątpienia byli tu za każdym razem, kiedy wychodził. Próbowali znaleźć dowody jego działalności, jakby uważali, że mają do nich prawo, jakby w ogóle można było się uważać za właściciela historii czasu, natury wszechświata.

Chwycił notatnik i kości. Wściekłość rozpałała jego ciało jak ogień. Zbiegając po nierównych schodach, niemal pragnął, żeby na dole czekał ktoś, kogo można byłoby zamordować gołymi rękami.

Ale obskurne foyer było puste i Cen wyszedł w noc niezaczepiany przez nikogo.

15

Krótkie, charakterystyczne wyładowanie elektryczne uświadomiło Cenowi, że kod szyfrujący działa.

Maui nie wydawał się zaskoczony jego spanikowanym głosem. Ale z jego głosu wionęło chłodem.

- Powiedziano mi, że możesz spróbować nawiązać kontakt. Możemy rozmawiać bezpiecznie przez krótki czas. Więc mów szybko. Czego chcesz?

Cen nie miał mu za złe podejrzliwości.

- Mam coś dla ciebie - powiedział. - Coś, czego chciała twoja babka. Nie wiem, czy ci mówiła...

- Och - przerwał Maui, zamyślonym głosem. - Wiem, o czym mówisz. Co było powodem? Tyle lat pracowałeś dla IS.

- Nigdy nie pracowałem dla IS - odparł beznamiętnie Cen. - Nienawidzę ich.

- Nieźle nas zmylili - powiedział Maui.

- To ja próbowałem zmylić ich - rzekł Cen. - Ale niespecjalnie mi się to udało. Jak myślisz, kto zapłacił za Oksford? Właśnie tam byłem. Posłuchaj, jak mógłbym dla nich pracować? Oni zabili Rossa. Zabili... zabili Mei. Pamiętasz ją? Miałeś pomóc ją wydostać, tamtego dnia, kiedy zabrałeś mnie do Makaha. Ale było już za późno. Tamtego wieczoru kiedy mnie wysadziłeś, poszedłem do swojego pokoju i ona tam była. Martwa. Chyba na jakiś czas oszalałem.

Maui milczał przez chwilę.

- Pamiętam. To prawda, że poszukiwano jej w szpitalu. Mów dalej. Dlaczego nas nie wezwałeś? Pomogliśmy ci.

Nie za darmo, pomyślał Cen. Będę musiał sobie przypomnieć, jak umarła moja matka.

- Mówienie o mojej matce źle na mnie wpływało - powiedział Cen. Przeklęty Maui. Nadal odczuwał przygnębienie. Głos trochę mu drżał. Odchrząknął i mówił dalej. - Po prostu nie interesuję się polityką. Jestem matematykiem. - Uświadomił sobie, że jego słowa nie zrobią na Maui specjalnego wrażenia.

- Przez wszystkie te lata zajmowałem się myśleniem. No, wiesz. Myśleniem.

- Zatem co było powodem zmiany decyzji?

Cen zdał sobie sprawę, że nawet nie chce opowiedzieć Maui o Kaiulani.

- Pracowałem nad pewnymi dowodami - rzekł, czując, że jego odpowiedź brzmi nieprzekonująco. - Są ważne. Właściwie to jestem ścigany dlatego, że nie chcę ich oddać. Posłuchaj, jeśli nie chcesz tego, co mam, to w porządku. Wcale nie musiałem do ciebie dzwonić! - Omal nie powiedział: „Do diabła z tobą!”

- Uspokój się - powiedział Maui. - Czy możesz się ze mną spotkać za godzinę? Muszę coś sprawdzić. Jeśli spóźnię się więcej niż dziesięć minut, nie czekaj. - Podał zwięzłe wskazówki, a potem się rozłączył.

*

Cen chodził po betonowym nabrzeżu Kanału Ala Wai w centrum Waikiki. Ciągle oglądał się za siebie. Słyszał tylko szum unoszących się na wodzie łódek. Wyoś się stąd, podpowiadała skacząca adrenalina. IS wszystko słyszała.

Gołe, aluminiowe maszty niezliczonych żaglówek tworzyły splątana, linearną lamigłówekę, która jarzyła się od wysoko położonych świateł doków. Jakaś ryba wyskoczyła z wody w ciemności, Cen również podskoczył.

Omala nie umarł ze strachu, gdy czyjaś ciężka ręka poklepała go po plecach.

- Hej, bracie - powiedział ktoś tubalnym, basowym głosem, po hawajsku. Odwrócił się i zobaczył Maui.

Maui uściskał go i zaraz cofnął się o krok. Cen zamrugał oczami.

- Myślałem...

- Omówiliśmy sytuację. Zaryzykujemy. Prawdę mówiąc, bardzo się cieszymy, że mamy wiadomość od ciebie po tak długim czasie.

- My?

- My - odparł Maui.

Maui był trochę niższy od Cena - ale i tak wysoki, ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu - i mocniej zbudowany. Jeśli będzie uważał, nie zrobi się tak gruby jak Palea. Wyglądał na bardzo sprawnego mężczyznę. Miał na sobie szorty, grubą bluzę i sportowe obuwie. Twarz częściowo zakrywała broda. Miał bardzo długie włosy. Wciąż było

w nich to białe pasmo.

Spojrzał na torbę Cena.

- Idealna - wyszeptał, jakby wiedział, co jest w środku. - Chodźmy.

Drewniany pomost dudnił pod ich stopami. Po kilku zakrętach Maui pokazał łódkę.

- Proszę bardzo.

Lelani była długą, niską łodzią, być może trochę zbyt długą i niską jak na łowienie ryb, chociaż częściowo do tego przystosowaną - miała salingi polepszające pracę lin, ale zamiast wieżyczki do wypatrywania ryb zamontowano tu niską kabinę jak na jachtach. Kiedy Cen zszedł na gładki, drewniany pokład, zobaczył błyszczącą konsolę, która stopniem skomplikowania mogła się równać z tablicą rozdzielczą w samolocie. Postawił torbę w kabinie i zobaczył mały czarny talerz satelitarny za kuchnią.

Maui nie tracił ani chwili. Zaczął odbijać od pomostu. Dał Cenowi znak, żeby odwiązał linę opasującą kołek. Zanim Cen skończył związać linę na pokładzie, silnik już terkotał, i popłynęli przez pogrążoną we śnie marinę.

Kilkakrotnie skręcali. Kanał wił się między ulicami i wieżowcami śródmieścia Waikiki wypełnionego okrzykami niestrudzonych imprezowiczów i jasnego dzięki światłom w nielicznych oknach. Wpłynęli na otwarte morze. Biała linia przybrzeżnej fali na rafie po obu stronach kanału odbijała księżycową poświatę. Cen obejrzał się, gdy silnik ugrzązł w skłębionych wodach, i zobaczył światła omiatające dzielnicę uniwersytecką, zatrzymujące się nagle na krawędziach stromych, głębokich wąwozów, które, niczym czarne noże, rozdzielały jasność. Na dachach wieżowców powoli pulsowały czerwone światła. W górze, nawet o tej porze, Cen zobaczył uformowane w szyku, jeden za drugim, samoloty.

Maui stał u steru i patrzył prosto przed siebie. Fale wydały się Cenowi ogromne, od czasu do czasu uderzały o pokład, pieniały się w swej górnej części i bryzgały wodnym pyłem, a potem się cofały.

Długie włosy Maui rozwiewał wiatr. Cen dygotał z zimna i żałował, że nie ma na sobie kurtki.

Maui obrócił się i dokładnie przyjrzał Cenowi.

- Niewiele się zmieniłeś - powiedział, przekrzykując ryk silnika.

- Za to ty tak - odparł równie głośno Cen. - Dokąd zmierzamy? - Ku swojemu zdziwieniu nie miał ochoty na pogawędkę z Maui ani na uzupełnianie luk. Zupełnie jakby widzieli się poprzedniego dnia.

- Molokai - rzekł Maui. - Twoja ohana jest z Molokai, tak?

- Tak, moja rodzina była z Molokai. - Wiatr przyjemnie pachniał po latach spędzonych

w wielkich miastach. Cen pokazał ręką światła, które stanowiły część malutkiego miasta Kaunakakai. - Port, tak?

- Tam nie płyniemy - powiedział Maui.

W miarę jak się zbliżali, zarys wyspy stawał się coraz wyraźniejszy. Od Honolulu dzieliło ich tylko dwadzieścia pięć mil. Dwadzieścia pięć mil i sto lat. Mieszkańcy mieli małe firmy, na przykład łowili ryby lub hodowali wodorosty, jakby brali pod uwagę delikatność środowiska naturalnego na wyspie liczącej raptem czterdzieści mil długości i dziesięć mil szerokości. Znacznie różniła się od Kohala, bardziej zaawansowanego technologicznie ośrodka Ruchu Ojczyźnianego na Wielkiej Wyspie. Molokai nie została nikomu zabrana. Zachowała się w stanie naturalnym.

Maui skręcił wzdłuż wybrzeża i skierował się na wschód.

Dzień był już w pełni. Drewniane domki tworzyły ciąg na nadbrzeżnej drodze. W głębi Doliny Halawa, okolonej ciemnymi górami, znajdował się jeden z najwyższych wodospadów. Zbocze wyspy stopniowo opadało ku wysokiemu płaskowyżowi, ten zaś wznosząc się, przechodził w stromy grzbiet górski skutecznie oddzielający północne klify.

W pewnym miejscu nad wodą gromadziły się ptaki nurkujące z zapałem. Latające ryby przecinały morze śmiałymi skokami.

Dopłynięcie do końca wyspy wymagało sporo czasu. Maui męczył się ze sterem i podłączył do Sieci jeszcze jeden silnik, ale wiatr i prąd z tysięcy mil otwartego oceanu targały małą łodzią.

Maui otworzył chłodzony pojemnik pod nogami, wyjął dwie kanapki i dwa piwa. Wręczył jedną kanapkę i piwo Cenowi. Sam również zaczął się posilać.

Dzień był przepiękny. Słońce mocno przygrzewało, a morze dookoła było szare, i tylko w zetknięciu z urwistym wybrzeżem zmieniało barwę na niebieską. Na szczytach naznaczonych głębokimi szczelinami gór w głębi Molokai zalegały ciemne chmury. Rosły tu wilgotne deszczowe lasy, niedostępna, tropikalna dżungla. Kiedy okrążyli kraniec wyspy i horyzont przesłoniły klify - Cen przypomniał sobie, że to najwyższe morskie klify na całym świecie - Maui przybliżył łódź do nich.

Klify falowały po lewej stronie. Cen nie mógł dojrzeć skrytego w chmurach szczytu. Uderzające o brzeg fale wzniewały fontanny piany na wysokość kilkunastu metrów, gdzie napotykały zastygłą, czarną lawę. Cztery koziołki robiły niemal pionowe susy, wchodząc na górę.

- Czy nie powinniśmy zachowywać większej odległości? - wykrzyknął Cen.

Maui zerknął na niego i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Płynęli jeszcze

piętnaście minut. Cen napawał się pięknem krajobrazu - patrzył na morskie jaskinie, które wyglądały jak plaster miodu, na białe ptaki muskające tafłę wody, dwa delfiny płynące obok łodzi (z tymi dziwnie wesołymi pyskami), by po chwili zniknąć. Intensywne, poranne słońce kontrastowało z czarnymi szczelinami w niemal pionowej ścianie przetykanej czerwienią zieloności; dalej, w niemal zasłoniętych dolinach zielone klify były poprzecinane tuzinami wodospadów. Nagle Maui krzyknął: „Uwaga!” i skierował łódź wprost na ląd.

Cena poraził potworny strach. Maui uruchomił silnik, aż złapali wielką falę, która poniosła ich w kierunku skał z czarnej lawy. Maui śmiał się jak oszalały demon. Był całkowicie pochłonięty tym, co widział przed sobą.

Cen rozpaczliwie pragnął choćby kamizelki ratunkowej. To wszystko było szaleństwem. Wynurzyli się z fali i Cen miał wrażenie, iż świat został pozbawiony dna. Wystarczyła chwilowa utrata równowagi i łódź przewróciłaby się, a oni wylądowaliby na dnie wraz z kośćmi kilkaset metrów poniżej tych klifów.

Dudniące wokół nich fale na moment straciły impet. Kipiel, która ich unosiła, zagarnął ocean. Znaleźli schronienie w małej zatoczce.

Cen cały się trząsł. Maui odwrócił się do niego z drażniącym uśmiechem od ucha do ucha.

Błyszczące turkusowe wody dziewiczej zatoczki okalał półksiężyc białego piasku ozdobionego palmami. Fale unosiły się i opadały ze stłumionym pluskiem. To ustronne miejsce całkowicie skrywały przybrzeżne grzywacze uderzające o rafę. Cen uświadomił sobie, że łódź może odpłynąć tylko dzięki przyptywowi. Maui był wybornym sternikiem i potrafił wykorzystać sprzyjający prąd.

Wjechał do jaskini. Na suficie tańczyły smugi światła, a łagodny chłopot wody rozbrzmiewał głuchym echem po wygaszeniu silnika.

- Zacumuj tutaj - polecił Maui, pokazując Cenowi skalistą wypukłość. - Jesteśmy w domu.

Dom. Czy ja kiedykolwiek będę w domu? - zastanawiał się Cen. Cel, który miał w sercu, był tak niewymownie dziwny. Ale wcale nie dziwniejszy niż to miejsce, tak bardzo odmienne od brzydoty zaśmieconego, betonowego i cuchnącego Honolulu.

Wręczył Maui torbę, a potem skorzystał z jego pomocy i wysiadł na wąski stopień w lawowej skale, który błyszczał za każdym razem, gdy omywała go fala, stłumiona, ale nie całkiem poskromiona przez ścianę jaskini.

Maui oddał Cenowi torbę, a on przyjął ją z zadowoleniem. Jej zawartość była dla niego bezcenna.

W torbie były nie tylko kości, ale światło - światło zredukowane do matematycznych wzorów, początek światła zbadany i opisany tak, jak można byłoby opisać te morskie wyspy, nieustannie omywane przez morską pianę, gdzie fale energii, która przeszła przez cząsteczki, rozbiły się, ponownie formowały i odpływały, by wybuchnąć na zewnątrz w swej niekończącej się manifestacji siły.

Ściana bujnego listowia dżungli odbijała promienie słońca, a dalej, w ciemnej dolinie, widać było liczący ze sto metrów wodospad.

Cen podążał w ślad za Maui po skalnym występie. Wyszli na miniaturową łąkę, gdzie rosła wysoka, zielono-złota trawa, której źdźbła zginał wiejący swobodnie na przestrzeni tysiąca mil wiatr. Kolczaste, niesamowicie wielkie gniazda agawy sizalowej, których ukwiecone łodygi były wyższe od Cena, przypominały groźnych strażników.

Cen poczuł się jak w domu, chociaż ostatni raz był na Molokai jako dziecko, kiedy odwiedzał rodzinę matki. Ale tu chodziło o coś głębszego. Był wolny od filozoficznych wątpliwości, od polityki, zadawnionych żalów i historii: oto istota jego kości i kości w torbie. Pustkowie Pacyfiku.

Patrzył na grzebienie fal w oddali. Potężny wiatr rozpryskiwał wodę na podobieństwo subtelnego koronkowego wzoru, z tych, jakie widział w Anglii. Przybrzeżna fala szemrała, roztopiając granicę między wnętrzem i tym, co było poza Cenem. Jego istota stawała się wodną kipiela przybierającą cudownie intensywne barwy akwamaryny, ciemnej zieleni, granatu. Czuł słone powietrze. Na dole czarne kraby pęzały po lawowych skałach. Prawie okrągłe, wysadzone białymi kwiatami, soczyste liście niskiej rośliny naupaka falowały na nadmorskich stokach. Ich zieleń była niemal przezroczysta, jakby błyszcząły od wchłanianego przez grube liście światła. Cen czuł w kościach piękno tej ziemi.

Maui zaczął iść. Cen ujrzał wąski szlak skryty w wysokiej, złocistej, nadbrzeżnej trawie. Szlak prowadził do góry, po dość uciążliwej stromiźnie. Cen niósł duży ciężar, a stopy ślizgały się w niewygodnych sandałach zori, dlatego szybko cały się spocił w prażącym słońcu i żałował, że nie spakował bagażu umiejętniej, kiedy Maui zaofiarował pomoc, potrząsnął głową.

Po godzinie znajdowali się wysoko nad błękitnym Pacyfikiem, a śmiertelnie niebezpieczne, potworne fale były tylko zmarszczkami na tafli morza. Ucichły wszystkie morskie hałasy. Cen słyszał teraz tylko szelest traw i krzyki ptaków, których nawet nie umiał nazwać.

Niespodziewanie minęli ostrą jak nóż krawędź jednej z grani, które opadały wprost ku morzu, i znaleźli się w głębi dżungli. Cen pozwolił Maui szybko posuwać się do przodu, a

sam zatrzymał się i rozglądał z podziwem.

Czerwona ścieżka była zaledwie cienkim rowkiem na stromym zboczu klifu, gdzie dziwaczne drzewa przybierały niesamowite, surrealistyczne kształty. Ich zielone korony były daleko w górze, dając wędrowcom schronienie, barwiąc światło na nierzeczywistą zieleń. Pnie miały pozdzieraną korę, która tworzyła białe i brązowe pasy. Przed sobą ujrzał polanę porośniętą wysoką, złocistą trawą, którą zaciemniały prążkowane cienie wielkiego drzewa banyan.

Maui zatrzymał się i ciężko dyszał, kiedy Cen go dogonił. Wyciągnął z małego, zielonego plecaka butelkę wody, opróżnił ją do połowy i podał Cenowi. Po chwili przykucnął i, nie patrząc na swojego towarzysza, zaczął mówić.

- W latach dziewięćdziesiątych zrobili z tej okolicy park narodowy. Od tamtej pory prawie nic tu nie zmieniano. Śmieszne. Dla mnie to jak kosmos. Nie wiem dlaczego, bo kosmos jest sterylny, a to miejsce nie. Wszystko co jest w kosmosie, sami tam umieściliśmy. Za milion pokoleń wszystko będzie tak zmutowane, że będzie się wydawało równie pierwotne jak to, co się narodziło z rozłupanej czaszki Zeusa. - Otrzeptał spodnie i kontynuował marsz w górę.

Spłoszone wielobarwne kozły uskakiwały przed nimi spłoszone. Wyglądały jak czarno-brązowo-białe kuleczki poruszające się z wielką szybkością. Może wzięły ich za myśliwych. Szlak wił się między błotnistymi, czarnymi brzegami szybko płynących wodospadów.

Cen rozglądał się dookoła. Miał wrażenie, że życie wydostaje się z jego piersi niby musująca, świetlista bańka. Jak okiem sięgnąć, ciągnęło się błękitne, zwieńczone białymi falami morze, kręta linia horyzontu w kolorze indygo i niebo. I to było dobre. Nieskończenie, cudownie, potężnie dobre; wykraczało poza platoniczne Dobro w jego ludzkiej wyobraźni.

To była doskonałość.

Czy Kai to widziała?

Czy będzie w stanie ją ocalić?

Chociaż usiłował zwalczyć wątpliwości, nawet ta piękna sceneria nie chroniła go przed strachem. Równie dobrze mógł umrzeć. Ale nie miał wyboru, musiał próbować.

Pamiętając, co myślał o mapie drogowej i rzeczywistości, miał nadzieję, że dokonał właściwego manewru. Dziś wieczorem określi ostateczne parametry z maksymalną dokładnością, a potem...

Poszedł za Maui na następny poziom, zmoczony deszczem, który zaczął padać nagle i równie nagle się skończył. Potem ruszyli płaską ścieżką, która wiła się pośród miniaturowych

dżungli, karmionych opadającymi strumieniami. Bolały go nogi. Ciekawiła go roślinność, którą oglądał - kwitnące drzewa pomarańczowe wysadzające wzgórza, malutkie, żółte kwiaty tuż przy ziemi, nieduże, nieznanne mu kwiaty przy strumieniach. Ptasie trele były sugestywne, ich egzotyczność pozwalała uszom Cena swobodnie lawirować między tym, co uważał za teraźniejszość i przeszłość.

Podniósł torbę i poszedł za Maui do ogromnych drzew.

Kiedy wynurzył się z zagajnika, przystanął.

Nad sobą ujrzał kilkaset metrów pionowego pali.

W dole ciągnęły się czarne klify i błękitne morze, a białe ptaki o długim upierzeniu robiły skomplikowane figury w powietrzu, ujarzmiając je po mistrzowsku, tak jak on pragnął ujarzmić czas. Wyobraź sobie, jaką trzeba mieć odwagę i wiedzę, by odważyć się na pokonanie dwóch tysięcy mil, pomyślał i poczuł jeszcze większy podziw dla hipotetycznych celów IS.

Czy będę pamiętał IS? - zastanawiał się, idąc dalej. Maui gdzieś zniknął. Przed nim na szlaku światło sączyło się przez kotarę zwisających pnączy z ogromnymi, ciemnymi liśćmi. Rozsunął je, jakby to była kurtyna, i znowu się zatrzymał.

Zobaczył na płaskim skrawku ziemi zwykły, pozieleniały dom z deszczulek, ukryty wśród drzew i pnączy.

Widział chyba tysiące takich domków, o kwadratowych orientalnych dachach i białych zarysach. Dwa duże, czarne psy wybiegły z ganku, szczerząc i obnażając kły, aż stojący przed nim Maui ukląkł. Wtedy opuściły łby, zawzięcie wymachując ogonami, a on uspokajał je łagodnymi, niemal pozbawionymi spółgłosek słowami.

W drzwiach pojawiła się jakaś kobieta.

Oczywiście miał nadzieję, spodziewał się, ale mimo wszystko...

Babka Maui. Zabawne. Nadal nie znał jej imienia.

Miała na sobie fioletową holoku. Dojrzał ten kolor nawet pomimo cienia. Suknia zakrywała jej stopy. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się. Długie białe włosy opadały lokami na jej wąskie ramiona.

- Cen! - wykrzyknęła, przełamując ciemnozieloną ciszę dżungli. Zeskoczyła z ganku, potknęła się, zgarnęła swoją holoku i pospieszyła ku niemu.

Zaszczycony jej powitaniem miał ochotę uklęknąć, ale stał wyprostowany, położywszy torbę na trawę. Kątem oka dostrzegł talerz satelitarny na skraju łąki, a po chwili babka Maui objęła go w pasie. Szlochała i płakała. Dziwne, ale on zachowywał się tak samo.

- Cen - powiedziała. - Mój kochany Cen.

Zebrał się na odwagę i mocno ją przytulił. Patrząc na jej białutkie włosy, wyobrażał sobie, jak kruche musi mieć kości. Podniósł głowę i zobaczył, że Maui patrzy mu w oczy z bezgranicznym smutkiem. Cen odgarnął kobiecie włosy z czoła.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz - powiedział, a ona uśmiechnęła się, marszcząc kąciki brązowych oczu.

- Lelani - rzekła. - Zupełnie zwyczajne imię.

Znowu obejmował ją długo, bardzo długo. Chyba tego potrzebowała.

- Dziękuję, wnuku mojej siostry - mruknęła, ochrypłym głosem.

Nie był ani trochę zaskoczony.

Puściła go, odwróciła się i poszła w stronę domu. Kiedy weszli na ganek, na którym były tylko poduszki z jasnozielonego jedwabiu i niski czarny stolik, odwróciła się i powiedziała:

- Usiądź, to opowiemy sobie wszystko.

Maui wziął torbę do środka.

Opowiedziała mu o jego rodzinie.

- Sam Kamehameha stworzył linię, z której się wywodzisz, papa kahuna alii pule - ród królów albo przeważnie kahunów - zaczęła.

Odpowiadanie na jego pytania zajęło godzinę, potem drugą. Na jakiś czas zapomniał o bożym świecie. Ulewa, która rozpętała się wokół nich, błyszczała w słońcu, trochę podobna do mgły. Pojawiły się intensywne tęcze.

- Herbaty? - zaproponowała w końcu i skinął głową. Rozpaliła w japońskim piecyku i powiesiła nad nim czarny imbryk z lanego żelaza. Zgarnęła swoje roztrzepane, białe włosy, szybko zaplotła je w warkocz i wyjęła filiżanki z szufladki. Psy leżały na bokach i spały.

Krople deszczu bębniły o dach, a kłębiasta chmura zasłaniała wszystko oprócz dziedzińca przed tym dziwnym domostwem.

- To wisząca dolina - powiedział Maui, wyciągnąwszy nogi na schodkach ganku. - Jak szufelka wystająca z górskiego zbocza. Pionowa w górze i w dole. Praktycznie niedostępna. Z wyjątkiem miejscowych chłopaków - powiedział Maui, uśmiechając się przez chwilę. Kiedy zerknął na Lelani, twarz mu posmutniała.

Szerokie liście bananowca klekotały na porywistym wietrze. Cen słyszał szmer wielu strumieni. Pobliski klif przecinały krzyżujące się strugi spadającej wody.

Lelani nalała parującej wody z czajnika. Patrzyła, jak ciecz zakrywa gładkie, turkusowe dno czarnej filiżanki.

Cen pił gorzką herbatę i w końcu odważył się zapytać Lelani:

- Dlaczego? Dlaczego postanowiłaś się zestarzeć?

Nie wydawała się poruszona tym pytaniem.

- Był już czas. Gdybym kontynuowała, możliwe, że postradałabym zmysły. Oni jeszcze nie są pewni, dlaczego tak się dzieje, jak z większością manipulacji, ale tak się dzieje - i to całkiem szybko po zaobserwowaniu pierwszych niepokojących sygnałów - u siedemdziesięciu pięciu procent ludzi, którzy byli ulepszani przez tak długi okres jak ja. Nadal żyją i wyglądają młodo, ale ich umysły się zmieniają. - Pochyliła się do przodu i objęła kolana rękami. Deszcz lał teraz jak z cebra. Wiatr rozwiewał jej włosy. Kropelki deszczu tańczyły na deskach na krawędzi głębokiego, zadaszono ganku. - Ale niczego nie żałuję. Tak dużo udało mi się zrobić, tak dużo zobaczyłam. - Na chwilę umilkła. - I to jeszcze nie koniec mojego życia.

Cen wstał. Zdjął zori i wszedł do domu.

Wnętrze domu było pograżone w ciemnościach z powodu burzy. Za rozsuwanymi drzwiami było widać futon na matach tatami. Podłoga była wykonana ze starannie wypolerowanego, czerwonego drewna, zaś umeblowanie pokoju zdradzało japońskie wpływy. Na czarnym stoliku mrugał osłonięty przezroczystym plastikiem komputer, a przed nim piętrzyły się poduszki. Obok znajdował się stojak z kompaktami i tak modne teraz kryształki.

Intrygował go mebel pod jedną ze ścian, podobny do kanapy. Uznał, że to zapewne pojemnik pływakowy, rodzaj komory izolacyjnej, dzięki której w głowie Lelani mogły powstawać wizje nowych, odrodzonych Hawajów. Podszedł do niego i przyjrzał mu się dokładniej.

Lekkie wgłębienie w miejscu, gdzie być może kładło się głowę, było wypełnione ogromną liczbą czujników okrytych sukrem. Do boków był przyczepiony ekran w kształcie litery U, który można było opuszczać przed osobą, kiedy leżała. Wyglądało na to, że ma opcje holograficzne. Przebiegł dłonią po tej części, która prawdopodobnie przytrzymywała ręce, a potem po oparciu dla pleców. Powierzchnia była taka sama jak we wgłębieniu na głowę - jedwabista - i, tak jak ono, w całości pokryta miękkimi, grudkowatymi czujnikami.

Na niskim stoliku obok urządzenia leżało małe, błyszczące pudełko z koa. Otworzył je i zobaczył kilkanaście kryształów.

Rozpoznał nowy materiał siatkowy, który zdobywał popularność w przypadku informacji do jednorazowego odczytu i mógł przechować zawartość Biblioteki Kongresowej w jednym centymetrze sześciennym. Te kryształki miały kształt wielkich, dalekomorskich piróg jak Hawai'i Loa.

Ostrożnie zamknął pudełko, wciąż zaciekawiony, czując się jak ktoś, kto wtyka nos w nie swoje sprawy.

Maui zostawił torbę obok sterty poduszek. Cen usiadł na nich i próbował ją otworzyć. Zamek się zaciął i Cen mocował się z nim jakiś czas, zaklął i w końcu wyjął scyzoryk i rozciął bok torby, trochę zdziwiony, że tak mu się śpieszy.

Na wierzchu leżał pognieciony notes. Wyciągnął go i odłożył na bok. Wepchnął torebkę od lekarza do obszernej kieszeni koszuli.

Z trudem oddychając, delikatnie sięgnął po zawiniątko z tapa i próbował je wyciągnąć, ale sklepiło się na obu końcach. Ściął cały wierzch torby. Był przerażony, gdy zobaczył, ile tkaniny się pokruszyło.

Zajrzał do środka i rozpoznał kręgi zmieszane z różnymi małymi kośćmi. Wziął garść mniejszych kości, małych kręgów i duży kwadrat tapa - wsunął to wszystko do kieszeni koszuli, w której przechowywał już torebkę od lekarza. Potem ostrożnie zapiął kieszeń na guzik.

Wstał i spróbował podnieść całe zawiniątko, ale ten manewr okazał się trudny, bowiem część kości sterczała po bokach i musiał jakoś je zgarnąć.

Wyszedł na ganek, gdzie siedzieli Lelani i Maui, obserwując deszcz.

- Coś ci przyniosłem - rzekł i złożył kości u jej stóp.

Lelani sięgnęła po nie, ale zawahała się. Spojrzała na Cena.

Skinął głową.

- Zostawiłem tam tylko czaszkę. - Nie wspomniał ani słowem o kościach, które zabrał dla Kaiulani.

Odwinęła zawiniątko najpierw z jednej, a potem z drugiej strony.

- Są Kamehameha - powiedział Cen, wiedząc, że to nie jest konieczne, ale czując, że powinien coś powiedzieć.

- Mahalo - powiedziała Lelani, kładąc na nich ręce. - Wielkie dzięki.

Lelani usiadła na kolanach i śpiewała, gdy tymczasem niebo rozpozodziło się i pociemniało, i przy wtórze cykania owadów pojawiły się gwiazdy.

Jej niski głos wypełniał polanę, mieszał się z wiatrem, podnosił się i opadał kończony hipnotyczną kadencją. Cen, który wciąż mówił całkiem niezłe po hawajsku, czuł chłód, w miarę jak ona cofała się coraz bardziej w czasie, zrobiła przeskoczenie na Tahiti i kontynuowała podróż. Cen zobaczył, że chociaż dom wydawał się zasłonięty, gdy do niego podchodzili, mieli z niego doskonały widok na morze, oświetlony księżycem, a na ciemnym niebie płonęły liczne gwiazdy.

W końcu Lelani podniosła z wielkim trudem kości, przeniosła je na łąkę i wyciągnęła ku morzu, gwiazdom, księżycowi. Ku czasowi.

Przeszłości, teraźniejszości, przyszłości.

*

- Narodziny Kamehameha zostały przepowiedziane tak samo, jak narodziny Chrystusa - powiedziała później Lelani, opierając się o bok ganku. Twarz miała ściągniętą, ale ciemne oczy były ożywione.

Maui zerwał z drzewa na małej łące pąki plumerii i zrobił podwójny wieniec lei, podczas gdy ona śpiewała - zapach kwiatów był zniewalający.

- Były znaki na niebie, jak gwiazda chrześcijan. Kahuni wiedzieli, że on się narodzi. Jeszcze przed przyjściem na świat miał swoich wrogów, dlatego matka urodziła go w sekretnym miejscu, korzystając z pomocy kahunów i, oczywiście, królewskich akuserek. Potem był ukrywany i wychowywany, aż osiągnął dojrzałość. - Spojrzała na Cena. - Twoja matka śpiewała to, kiedy otrzymała kości. Była księżniczką i kapłanką nui i jednym z jej obowiązków było strzec szkieletu. Czy nauczyła cię tej pieśni?

- Ona... pokazała mi kości pierwszy raz dopiero w dniu, w którym umarła - odparł, usiłując mówić wyraźnie i dobitnie, ale bez większego powodzenia. Dotychczas nigdy nie rozmawiał z nikim o jej śmierci i był zdumiony tym, że wciąż tak mocno odczuwa przerażenie tamtej nocy i mrok, który spowijał jego życie przez tyle lat.

- Przykro mi - powiedziała Lelani i umilkła. Teraz było słycać tylko wieczorne szmery.

*

- Obsługa jest tutaj całkiem dobra - powiedziała później, w środku. Na niskim stoliku paliło się kilka świec, ale za szklanym kinkietem w kuchni paliło się światło elektryczne.

Zdjęła żelazną przykrywkę z kociołka z ryżem i Cen wiedział, że potrawa jest gotowa. Miał nadzieję, że zna się na czasie tak znakomicie, jak Lelani na czasie gotowania ryżu.

- Helikoptery lądują tu od czasu do czasu. Wtedy dostają warzywa, ryż, pastę fasolową. Tutaj jest mnóstwo owoców.

- Skinęła głową w kierunku strzelby w rogu. - Czasami strzelam do kóz i świń. Niemal wszędzie są owoce mango, papai, drzewa chlebowego. Lubię też schodzić do oceanu i zbierać wodorosty.

- Nie pozwól, żeby cię nabrała - powiedział Maui. - Jej wodorosty nori pochodzą wprost z Honolulu. Pierwszorzędny towar, co? Jeszcze kawa z Kona, prawda? - Jego uśmiech był łagodny, ale spojrzenie miało beczelne, wyzywające. - Wiatr, woda i energia słoneczna.

Żyjesz z ziemi, co?

Znowu wzruszyła ramionami i, uśmiechając się od ucha do ucha, powiedziała do Cena:

- No, to zanieś zupę na stół, dobrze?

Podniósł parujący kociołek.

- Lelani - zagadnął - co zamierzasz zrobić z tym szkieletem?

Uśmiechnęła się ciepło.

- Zrobimy z niego klony - powiedziała.

Cen omal nie upuścił zupy. Chociaż podejrzewał taki zamiar od dawna, był zszokowany, że Lelani mówi o tym wprost. Czy coś podobnego było możliwe nawet teraz, w dzisiejszych czasach? Najwyraźniej tak. Ale z pewnością było nielegalne. Ostrożnie postawił zupę na stole.

- Dlaczego?

Jej uśmiech zrobił się tajemniczy.

- Zobaczysz - odparła i odmówiła dalszej rozmowy na ten temat.

Po kolacji wrócili na ganek, gdzie płonęła świeczka o zapachu cytryny. Oboje trzymali szklaneczki z gorącą sake.

Cen oparł się o poduszki. Noc i dzień dały mu się we znaki. Ciało miał obolałe. Odstawił sake i zasnął. Maui zbudził go i odprowadził do jego futonu. Jutro, pomyślał, wycofując się w szum deszczu na dachu, tysiące nocnych owadów, wrażliwość oceanu tak daleko w dole, gwiazdy tak wysoko na niebie. Jutro wypyta Lelani o te kryształy.

Dziś wieczorem po raz pierwszy czuł całkowity spokój. Wiedział, że wreszcie postąpił właściwie.

*

Następnego ranka czuł się wypoczęty, ale wciąż obolały. Miał świeży umysł.

Dzień był chłodny. Nałożył koszulę i zapiął ją, poklepując kieszeń z lekarstwami. Nie czuł się tak od lat. A może, pomyślał, biorąc filiżankę kawy od Maui, nie czuł się tak nigdy w życiu.

Słońce padało na szerokie deski koa, tworząc ukośne wzory. Lelani była na ganku, siedziała przy stoliku. W miseczce znajdowały się kawałki papai i słodkiego chleba.

- Poczęstuj się - powiedziała Lelani i Cen usiadł, starając się nie rozlać kawy.

Daleko w dole, na obficie porośniętym zboczach klifu czubki palm lśniły w słońcu, miotane podmuchami wiatru. Wszystko się poruszało - morze, las, chmury na niebie, i coś w nim samym, coś, co pędziło szybko jak wiatr.

- Słyszałem, że Kaiulani urodziła tutaj, na Molokai - powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem.

- To prawda - odparła Lelani cicho i spojrzała na niego wyczekująco. Jakie miała pojęcie o tym, czym się zajmował? Przecież wiedziała całkiem sporo o Interspace, prawdopodobnie tyle, ile przeciętny pracownik IS.

Wypiła kolejny łyk kawy.

Zauważył, że przeglądała jego notes. Wyciągnął rękę nad stołem i przyciągnął go. Wygładził pogniecione kartki. Trzy z nich zostały przedarte, tak że zostały tylko połowy wersów, a drugą połowę ścisnął w ręku cwaniak z IS. Poczł ulgę.

- Mogę to napisać na nowo - powiedział. - Mogę to dla ciebie odtworzyć.

Uświadomił sobie, że ma do nich zaufanie. Znał ich marzenie, podsłuchiwał ich podczas pobytu w Londynie za pośrednictwem Sieci. Przeszli przez coś w rodzaju próby ognia i wiedzieliby, jak wykorzystać dowody. To znaczy, pod warunkiem, że zostałyby trochę rozwinięte. No cóż, to również leżało w jego możliwościach, aczkolwiek myśl o zastępach ludzi dokonujących skoku fraktalowego przez metawszechświat wciąż go przerażała.

Maui i Lelani uśmiechnęli się do siebie nawzajem. Nie rozumiał, co miała znaczyć ta wymiana spojrzeń. Może nie uważali tego za szczególnie ważne, a w każdym razie nie tak ważne jak kości. Spróbuje później zrobić na nich wrażenie wagą swoich dowodów. Już sprawił im wielką przyjemność. Zrobią stadko klonów Kamehameha. Nie był pewien, jak skorzystają na tym Hawajczycy, ale z pewnością był to projekt przemyślany i oni wierzyli w niego równie mocno, jak on wierzył w Kaiulani.

I uspokoił ducha matki.

- Wiesz, gdzie urodziła? - zapytał trochę bez przekonania, bo absurdalna wydawała się myśl, iż mogliby znać odpowiedź na to pytanie. Przekartkował dowody i już chciał znaleźć ołówek, żeby spisać to, co już tańczyło w jego umyśle.

- Oczywiście - powiedziała Lelani, zaskakując go. - To bardzo święte miejsce. Istnieje od ponad tysiąca lat. Chciała tutaj przybyć, żeby odbyć poród. Właściwie to niedaleko stąd.

- Och - powiedział Cen. - Och.

Wstał, przeciągnął się, założył sandały zori. Piękno poranka przypominało mu przezroczyisty welon - ciemne klify, których cień okalał łąkę Lelani, lazurowe mielizny w oddali, których odcień przechodził z akwamaryny w nocny błękit, niezliczone drzewa dookoła, uginające się pod naporem wiatru.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie to jest?

Miał wrażenie, że wszystko dookoła zlewa się. Słońce weszło nad klifem i zaświeciło

mu prosto w oczy. Osłonił je ręką. Spojrzał na Lelani, jej białe włosy wyglądały tak, jakby podświetlała je aureola.

- Nietrudno znaleźć to miejsce - odparła. - Byłam tam wiele razy. To piękna okolica. Grzbiet górski znajduje się ponad półtora tysiąca metra nad poziomem morza. Widać stamtąd wszystkie wyspy z wyjątkiem Kauai. Oczywiście ona przybyła z drugiej strony wyspy. Szeroki szlak stopniowo się wznosi. Prawdopodobnie niesiono ją na lektyce. Jeśli nie zna się drogi bardzo dobrze, trudno jest nią wrócić, to wręcz niemożliwe. Widzisz szlak po tej stronie polany?

Przejdźcie w dżungli, prowadzące do góry.

- Idź nim mniej więcej milę. Masz zegarek? Dobrze. Pół godziny - to bardzo stromy, urozmaicony szlak. Dojdiesz do wodospadu i rozlewiska, z którego sączy się woda. Nad tobą, wzdłuż grzbietu, rozciąga się liczący setki metrów nawis. Będzie ci się wydawało, że nie ma jak pójść do góry. Trzymaj się z dala od rozlewiska. Skąły są śliskie, a spadanie trwałoby długo.

- Będę uważał - rzekł posłusznie Cen.

Kiedy Lelani i Maui wybuchnęli śmiechem, był zbity z tropu. Zachowywał się z takim namaszczaniem. Ale oni oczywiście nie mieli pojęcia dlaczego.

- Szlak biegnie dalej przez rozlewisko. Idzie się po głazach. Ale ty musisz pójść za wodospad. Jest tam mała jaskinia ze schodami w środku. To wylot kanału lawowego. Kanał ma jakieś dwa i pół metra wysokości i dość strome nachylenie. Schody liczą sobie chyba ponad tysiąc lat. Dam ci latarkę, ale będziesz potrzebował obu rąk do wspinaczki. Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię. To bardzo długi kanał. Kiedy wyjdiesz, znajdziesz się na kolejnej polanie, gdzie rośnie sędziwe drzewo banyan.

Cen ponownie skinął głową, widząc oczyma wyobraźni drzewo banyan - jakieś kilkanaście metrów średnicy, prastary matriarcha lasu, sto splecionych ze sobą pni, ciągle wypuszczających nowe.

- Zawrócisz i znajdziesz następny szlak zaraz za skalną formacją. Idź nim dziesięć minut i znajdziesz się na kamieniach narodzin. Są tam resztki heiau. Święte miejsce, kamienna platforma służąca do przekazywania błogosławieństw, uzdrawiających zaklęć, oddawania czci. To tam miał miejsce poród.

- To wszystko?

- Wszystko.

Cen wziął kolejny kęs chleba orzechowego i przełknął go, nie czując smaku.

- Skończę te dowody później - powiedział, wskazując na notes. Interspace zabiłaby dla

zdobycia takiej informacji. Już nieraz zabijała. On dopilnuje, żeby Maui i Lelani wszystkiego się dowiedzieli. Chociaż oni na pewno już o tym wiedzą. Przecież wiedzieli tak dużo.

Lelani pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Wstała i przytuliła go, a potem cofnęła się.

- Aloha - zawołała, kiedy przeszedł łąkę. Za nią rozbrzmiewał tubalny głos Maui. Odwrócił się i pomachał.

- Aloha.

Aloha.

Aloha.

*

Piął się po malutkich, przepięknych łąkach, upstrzonych delikatnymi kwiatami. Na dole palmy i sosny błyszczały w słońcu, a w powietrzu rozbrzmiewały krzyki dziwnych ptaków. Szedł coraz wyżej i wyżej. Klnąc, dobrnął do rozlewiska i patrzył na ocean daleko poniżej wąskiego kanału, gdzie woda mknęła po krawędzi skały. Mokry od wodospadu, wszedł do długiego, ciemnego kanału i zapalił latarkę. Schody były sfatygowane i zdawały się nie mieć końca. Czuł się tak, jakby wszystko dookoła go przytłaczało. Miał ochotę wrzasnąć i zawrócić, ale zobaczył malutkie światło w górze. Po chwili wyszedł na ostrą przełęcz.

Napawał się widokiem wysp swojej ojczyzny, osadzonych w morzu jak zielone klejnoty, wysp znalezionych i skolonizowanych przez jego przodków. Dwa wielkie, idealne wulkany zwieńczone obłokami, Mauna Loa w połowie zasłonięta przez Haleakala. Poczul w sobie przyływ radości, jakby jego żyły napełniły się światłem, jakby błyszczał i migotał od środka. Czuł się taki silny i zdrowy. Maui i Lelani, jego przeszłość, całe jego życie - wszystko wydawało się nierealne jak sen. Istniało drzewo banyan o niezliczonych odnogach rozłożystego pnia, o liściach, które przepuszczały światło słoneczne, tworząc wzór nieustannie zmieniający się pod wpływem wiatru. Ścieżka była wąska, ale dobrze widoczna, spłaszczała grań do szerokości metra. Można było odnieść wrażenie, że idzie się tutaj jak po linie.

Ale coś w nim drgnęło, jakby to jego umysł balansował na linie. Zobaczył ten mały notes na stole Lelani.

Musiał wrócić. Nie po to, żeby ukończyć dowody. Należało je zniszczyć. Były zbyt niebezpieczne. Postąpił głupio, zapisując je.

Zrobił pierwszy krok, żeby wrócić.

Powstrzymał go znajomy głos za kotarą drzewa banyan.

Uświadomił coś sobie. Ta myśl przenikała go niby przezroczysta, akwamarynowa fala, błyszcząca w swej intensywności, skupiona tylko na jednym zdumiewającym odkryciu:

Teraz.

Wziął głęboki oddech, odwrócił się i wkroczył na prastary szlak.

LYNN

TAJLANDIA 2034

16

Lynn siedziała na podłodze przy niskim drewnianym stoliku, sortując rzeczy z paczki, którą wcisnęła jej Hawkins.

Pokój był prosty, ale piękny. Lakier na drewnianej podłodze był ciemny i tak wytarty, że aż błyszczał. Przeszkłone drzwi otwierały się na balkon, chwiejną strukturę zawieszoną na wysokości trzeciego piętra i drżącą za każdym razem, gdy Akamu tam wchodził. Beżowy muślin przy otwartych oknach przybierał jasnozłocistą barwę, kiedy wychodziło słońce - co akurat zdarzało się rzadko. Zjawili się chyba w porze deszczów, gdyż nieustannie mieli do czynienia z ciepłymi ulewami, i tylko chwilowo obłoczek przetykanej słońcem mgły przesunął się nad prawie niebieskimi górami. Poprzedniego wieczoru siedziała na balkonie i patrzyła w nieskończoność, jak znikał staroświecki, zielono-różowo-pomarańczowy neon, odbity w zalanej wodą ulicy.

Podmuch wiatru strącił papiery. Lynn wyciągnęła rękę i podniosła drewnianego słonia, jeden z dostępnych tu wszędzie turystycznych totemów, jakie rzeźbili ludzie ze wzgórz. Postawiła go na mapach, które były wprawdzie pogniecione, ale poprawnie złożone. W pakiecie od Hawkinsa znalazła jeszcze więcej map - chyba z całego kontynentu. Najwyraźniej przewidywał daleki, chaotyczny lot. Znalazła kolejną latarkę oraz mapę elektroniczną wielkości portfela, która przedstawiała, raz lepiej, raz gorzej, to samo terytorium. Ponadto oferowała natychmiastowe tłumaczenia na więcej języków, niż te, które wymieniono we wstępie. Kopie zapasowe. Hawkins przywiązywał wagę do kopii.

W drugim pokoju chrapał Akamu. Widziała go przez drzwi. Przewracał się z boku na bok, ale wciąż spał. Zmarszczyła brwi. Spał od czternastu godzin. Zważywszy ile przeszli, nie była ani trochę zdziwiona. Próbowała go zbudzić na śniadanie, ale tylko coś wymamrotał i przewrócił się na bok.

Wróciła do sortowania rzeczy.

Klucz magnetyczny, bez oznaczeń. Cudownie. Stary drań lubił tajemnice.

Ich paszporty leżały na stole obok niej. Z tego, co się orientowała, były nieźle podrobione.

Po rozłożeniu portfela ukazywały się kieszenie z walutami, których wartość wynosiła w sumie około sto tysięcy dolarów. Ktoś miał głębokie kieszenie. Oczywiście, jej ojciec. W tym kraju mogła kupić za te pieniądze żywność i opłacić czynsz na lata - może na zawsze. Mogli zniknąć.

Tak.

Hm, czemu by nie?

Wstała i wyszła na balkon. Deski były spaczzone i trzeszczały pod jej bosymi stopami; czerwona poręcz, której się trzymała, lśniła od ciepłego deszczu. Zniknąć. Niech to wszystko się uciszy.

Jakaś część jej osobowości mówiła: nie. Musiała wrócić, dowiedzieć się, dlaczego umarł jej ojciec. Jeśli, jak podejrzewała, został zamordowany, powinna walczyć i odsłonić raka toczącego serce Interspace.

Ale jakie miała dowody, że Interspace usiłowała zabić ją i zdołała zamordować jej ojca?

Tylko jeden z oprychów, których widziała pod domem Samuela, pokazał się w Nepalu. Ot i wszystko.

A zatem? Ich ojciec mógł umrzeć z przyczyn naturalnych. Atak i pościg mogły pochodzić skądinąd. Może była śledzona - dla własnego dobra, a człowiek w limuzynie został wysłany, żeby ją uratować, poinformować o śmierci jej ojca, zabrać ją do domu na pogrzeb. I może nawet tak by twierdzili. Istniała również realna możliwość, iż wszystkim sterowała jakaś tajna komórka wywiadowcza w łonie IS, i że jej bracia nie mieli najmniejszego pojęcia o planowanym morderstwie.

Akurat.

Sytuacja finansowa IS była niezwykle skomplikowana. Lynn wiedziała, że statek kosztował wielokrotnie więcej, niż powinien. I że niektóre projekty, na przykład tunel wyrzutni na Wielkiej Wyspie, powstały wyłącznie po to, by pieniądze trafiły poprzez nieuczciwych przedsiębiorców budowlanych z powrotem do kieszeni jej braci. Miasto haraczy. Miała dostęp do informacji o szczegółach tego przedsięwzięcia. Kolejny wymiar IS, który dotychczas wygodnie było jej ignorować, obok bioetycznych aspektów poczynił organizacji.

Ach, tak, co może zrobić jeden mały człowiek?

Co może zrobić jeden tchórzliwy człowiek?

Możesz zdobyć dowód. Wiesz jak i oni to wiedzą, kimkolwiek są i cokolwiek wyczyniają.

Z pewnością nie była kimś nie do zastąpienia. Chociaż miała fachową wiedzę, istniał sztab ekspertów, którzy potrafili zrobić to, co ona i jeszcze odtworzyć badania, które prowadziła w celu wyhodowania bardziej wyspecjalizowanych istot ludzkich. Nieskończenie bardziej wyspecjalizowanych niż Akamu, który był wszak tylko replikantem, a nie osobnikiem o przewidywalnych zachowaniach. Zresztą jej zdaniem nieprzewidywalność była kluczowym elementem w tej dziwnej mieszance wnętrza i zewnątrz zwaną inteligencją.

Ponadto nigdy nie kryła, że będzie walczyć do samego końca o wykorzystanie części zgromadzonych przez siebie informacji.

Ale tak naprawdę to nie tego się obawiali. Prawdopodobnie strasznie zależało im na ukryciu kompromitujących danych, jakie miała na ich temat.

Wiadomość Maui. Była gdzieś w Sieci. „Maui” - kimkolwiek ten ktoś był - miał coś wspólnego z Akamu. Ale musiał wiedzieć, że jeśli ona skontaktuje się z nim, IS dowie się o wszystkim, co zostało przekazane.

Czy powinna jednak odebrać tę wiadomość? Nie chciała użyć fiata Akamu - po inicjalizacji linka mogli zostać namierzeni, a wiedziała, że Akamu nie pozbedzie się swojego ukochanego sprzętu. Gdzieś zrobiono stronę Chaing Mai w taki sposób, że mogła tam wejść anonimowo.

Ale nie ten hotelik. Wybrała go ze względu na niski poziom zaawansowania technicznego. Większość firm miała chyba wyłącznie lokalny charakter - żywność, ubrania, artykuły pierwszej potrzeby były przedmiotami handlu na rynku. Z wyjątkiem firm, które miały coś wspólnego z makiem - tu istniało największe prawdopodobieństwo, iż będą w Sieci i będą zaawansowane technicznie. Chociaż syntetyczne narkotyki były szeroko dostępne i legalne w większości krajów, wielu narkomanów twierdziło, że „oryginał” jest trochę inny. Oczywiście, firmy farmaceutyczne produkujące substytuty utrzymywały nielegalny status naturalnych wyrobów z maku, gdzie się tylko dało, pomimo dostępności opivertu. Jeszcze jedna gra, podobna do tych, które uprawiano w IS.

Lynn nie miała ochoty kontaktować się z takimi ludźmi.

No i jeszcze te pieniądze w plecaku. Taka duża suma. Być może jej ojciec dawał w ten sposób do zrozumienia, że powinna zniknąć. Dać sobie spokój z wiadomością Maui. Dać sobie spokój ze wszystkim z jakichś istotnych przyczyn, których mogła się tylko domyślać. W pewnych krajach mogła kupić nową twarz niemal za bezcen, mogła zniknąć, a mimo to

świetnie sobie żyć, gdyby tylko zechciała.

Z drugiej strony pieniądze mogły oznaczać: pomścij moją śmierć. Albo: to może być kosztowne, ale zorientuj się, co jest grane, i zrób coś pożytecznego. Bez Hawkinsa nie wiedziała.

Ulica, na którą spoglądała, nie była szeroka. Widziała sunące jeden po drugim elektryczne tuk-tuki, małe riksze z kierowcą i miejscem dla jednego, dwóch pasażerów. Ich ostrzegawcze dzwonki brzęczały nieustannie. Naprzeciwko dostrzegła restaurację serwującą makaron, budkę z lodami, zakład krawiecki i drzwi, nad którymi wisiał krzyż. Handel odbywał się głównie w dużym, wyraźnie wydzielonym parku przy drodze. Szmaragdowa zieleń, pełno straganów z produktami i wszelkiego rodzaju ubraniami - tradycyjnymi szatami i stertami używanej odzieży z Hongkongu - klatki z kurczakami i kaczkami.

Przed parkiem trzech mnichów złożyło parasole i wsiadło do autobusu. Cienkie, pomarańczowe szaty przylegały do ich ciał, tworząc ciemne plamy. Jakiś sprzedawca wyłowił z wanny z lodem orzech kokosowy, ściął jego czubek, wsadził słomkę i podał go kobiecie.

Tutaj, Lynn? Chcesz zostać tutaj?

No cóż, tutaj przynajmniej nikt nie próbował ich jeszcze zabić.

Dwukrotnie usłyszała dziwny dźwięk. Za drugim razem uświadomiła sobie, że do jej uszu dochodzi jęk Akamu.

Wbiegła do środka, uklękła przy jego łóżku. Wciąż spał. Potrząsnęła nim.

- Zbudź się, Akamu. Masz sen. - Biedny dzieciak. Przeżył tyle, że z pewnością miał prawo mieć koszmary. Znowu nim potrząsnęła. Zaczęła się bać.

Otworzył brązowe oczy. Były pełne bólu.

- Gdzie ja jestem? - wyszeptał. Usiadł niepewnie. Bardzo się pocił. - Kim jesteś?

- Nazywam się Lynn - powiedziała, czując trzepotanie w żołądku. - Pamiętasz? Twoja stara kumpelka Lynn. Leciałeś samolotem z Tybetu i sprowadziłeś nas tutaj. Jesteśmy w Chaing Mai, w Tajlandii.

Jesteśmy milion mil od domu.

Stwierdziła z ulgą, że jego zamroczenie minęło. Patrzył na swoje stopy, mrugając powiekami.

- Lynn. Tybet. Zgadza się. - Pustka i smutek wyzierające z jego oczu zaszokowały ją. Jednak po pewnym czasie na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. - Nie martw się - powiedział. - Przejdzie mi szybko.

Poderwała się, nalała mu szklankę zimnej wody z dzbanka. Wypił ją natychmiast. A

potem jeszcze dwie.

- Co masz na myśli? - zapytała. - Co się dzieje, Akamu? Czy to już się zdarzało? -
Chwyciła go za ramiona i omal nie zaczęła nim trząść z frustracji. - Musisz mi powiedzieć!

Unikał jej wzroku.

- Nie ekscytuj się tak bardzo. Chciałem tylko powiedzieć, że to chyba znowu przez
jedzenie. Gdzie jest łazienka?

Zaprowadziła go korytarzem.

- To śmieszne - powiedział, zanim zamknął za sobą drzwi. - Nie ma tu sedesu.

Mamrotał pod nosem jakieś bzdury, kiedy wyszedł. Wypchnęła go na ulicę,
pomyślawszy sobie, że odrobina ruchu na świeżym powietrzu dobrze mu zrobi. Nie jest
pijany, mówiła sobie, ale z pewnością zachowuje się jakby był - potyka się, wybucha
śmiechem bez powodu. Deszcz ustał na chwilę i z ulicy podnosiła się para. Zaprowadziła go
do pierwszej z brzegu restauracji naprzeciwko ich balkonu, posadziła przy czystym stole. Był
całkiem uległy, dziwnie zamyślony.

Menu było w całości po tajsku. Próbowała odczytać kilka słów. Makaron? Usiłowała
sobie przypomnieć, jaką wymowę tego słowa podawał jej translator w pokoju. Pomyślała, że
może znać jeszcze inne ważne słowa, np. ryż, ryba, mięso i curry, ale nie była tego pewna.

Kobieta za ladą miała błyszczącą, brązową cerę. Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając
znaczne luki w uzębieniu. Lynn pomyślała z bólem serca, jak łatwo byłoby rozwiązać
wszystkie problemy ludzi na całym świecie, ale umysł krzyczał: „Przestań!”

Kobieta pokiwała szybko głową. Lynn zauważyła, że jej wymowa wprawia ją w
rozbawienie. Powiedziała coś śpiewnie pod adresem Lynn i zdjęła dużą pokrywę z
podgrzewanego kociołka, unosząc brwi w pytającym geście.

Tak! Lynn skinęła głową, powtórzyła ten gest, aż w końcu kobieta była
usatysfakcjonowana i napełniła dwie miski. Lynn wzięła pałeczki ze szklanego pojemnika i
wręczyła parę Akamu. Kluski były polane słodkim, pikantnym sosem orzechowym.

- Tego nie jedz - powiedziała do Akamu, pokazując mu pałeczkami małe czarne
kawałki. - Oni chyba nazywają te papryczki mysimi kupkami.

Akamu zadławił się.

- Chyba już je jadłem! - Miał łzy w oczach, a jego twarz mocno poczerwieniała. Mała
kobieta podbiegła z dzbankiem wody i dwiema szklankami, zaśmiewając się do rozpuku.

Z kotłów unosił się ostry zapach curry z ananasem i lepkiego ryżu, który zaparował
wnętrze szklanej ludy.

Po kolejnej próbie porozumienia się z kobietą zdołała kupić jeszcze szklankę wina.

Sączyła powoli słodką, bladą ciecz i patrzyła, jak Akamu je posiłek i godzi się z nieuniknioną prawdą.

Nie mogli ot tak wsiąść do samolotu i zostawić za sobą to, co mu dolegało. Jego problem nie miał nic wspólnego z układem pokarmowym. Na jej oczach upuścił pałeczki. Zapewne używał ich od dziecka. Miał nieskoordynowane ruchy.

Nie, Lynn, nie sądzę, że możesz tu zostać.

Ale dokąd mogliby pójść? Śmierć podążała za nimi wszędzie.

Na ulicy znowu było słycać szum ciepłych kropel deszczu, który świecił, przechodząc przez prymitywny hologram roweru nad sklepem po drugiej stronie ulicy. Droga była zatłoczona ludźmi niosącymi parasole, a także rowerami i tuk-tukami.

- Lepiej ci? - zapytała.

- Trochę. Możemy już wrócić do pokoju? Może w końcu uda mi się wykonać trochę pracy.

- Pracy? - zapytała, gdy wyszli ze sklepu. - Jakiej pracy? - Usiłowała mówić pozbawionym oschłości tonem.

- Och, po prostu pracy - powiedział.

- Możesz mi ją pokazać?

- Chyba tak. - Weszli po schodach. Pobiegł do swojego fiata, małego, eleganckiego narzędzia do myślenia, które stało na niskim, tekowym stole. Położył go tam, żeby się naładował. Zauważyła, że w swoim plecaku miał kilka przedłużaczy, których nie kupiła w Hongkongu. Dziwne. Widocznie dostarczył je Hawkins. Akamu uruchomił fiata i, stukając w klawisze jak szalony, błyskawicznie dotarł do miejsca przeznaczenia.

Deszcz przestał padać, a zmierzch zalegał białą luną nad górami. Chmury obniżyły się i nastąpiła noc. Lynn opuściła zasłony i włączyła światło.

- Akamu - powiedziała, klękając obok niego.

Zamrugął, ale jego palce niestrudzenie stukwały w klawiaturę.

Była przyzwyczajona do abstrakcji, ale zastanawiała się, czy, nawet jeśli byłaby matematykiem, zrozumiałaby to, co robił.

- Posłuchaj - powiedziała. - Musimy porozmawiać. Proszę cię, dzieciaku, pogadaj ze mną. Chcę ci pomóc. Wiesz o tym, prawda? Myślę, że potrzebujesz pomocy, ale boję się wracać na Hawaje. Gdybym wiedziała, co jest nie w porządku, może zdołalabym ustalić, co trzeba zrobić...

- Ale ja jestem zajęty - powiedział i tylko lekkie poruszenie powieki świadczyło o tym, że jej słucha.

- Akamu, jacyś ludzie usiłowali cię zabić. Właśnie nas szukają. Jeśli się nie mylę, to dlatego, że jesteś klonem Kamehameha.

- Mylisz się - powiedział. Na chwilę podniósł głowę i zobaczyła w jego oczach coś, czego nie potrafiła zinterpretować.

- Nie rozumiesz, że jest nas więcej? Po co zabijać mnie, skoro są inne kopie?

Nie okazując żadnych uczuć, Lynn snuła przykre domysły, rozważała jego fatalizm, zbyt stanowczą postawę, skalę tego, co się działo. To dzięki jej naciskom nastąpił ten przełom. Po raz pierwszy udało jej się wycisnąć z niego jakąś informację.

- Ile?

- Nie wiem. - Wciąż pisał, ale palce nie były już tak pewne. - Dasz mi święty spokój?

- Akamu, wiem, że wbijano ci do głowy, żebyś z nikim nie rozmawiał, ale...

- Jesteś z IS - powiedział i z trudem przełknął ślinę.

- Nie jestem i dobrze o tym wiesz.

- Właśnie że nie wiem! - wykrzyknął. - Gdybyś była, to przecież powiedziałabyś mi, że nie jesteś, prawda? - Zacisnął ręce. Wyglądał tak, jakby chciał rozwalić komputer. Lynn chwyciła go za nadgarstki i delikatnie trzymała. Poczowała, że Akamu rozluźnia się.

- Nie jestem z IS - powtórzyła. - Znienawidziłam tych ludzi, gdy tylko dowiedziałam się, co robią. Straciłam... - na chwilę umilkła - ...straciłam swojego ojca na zawsze właśnie dlatego: bo nie mogłam mu wybaczyć, że pracował dla nich.

Nie powinna mu mówić takich rzeczy. Był zbyt młody. Potem przypomniała sobie, z jaką łatwością zabił żołnierzy.

Więc powiedz mu.

- Sądzę, że moi bracia zlecili zabicie mnie. Myślę, że wysłali kogoś, żeby mnie śledził. Myślę, że zabili ojca. Oni uosabiają IS, a w każdym razie są jej wizytówką. Czy naprawdę sądzisz, że mogłabym dla nich pracować? - A co, może nie pracowałaś? zapytał jakiś wewnętrzny głos. - Akamu, ja chcę ci pomóc. Ale musisz mi więcej powiedzieć!

Akamu odwrócił się i niespodziewanie przytulił ją do siebie - rozgrzany, spocony, trzynastoletni dzieciak, ważący więcej niż ona. Odwzajemniła uścisk, aż w końcu ją puścił i obiema rękami otarł łzy z twarzy.

- Chyba się boję. Ale muszę to skończyć. Muszę skończyć, zanim zobaczę się z Maui...

- Na czym polega twoja praca, Akamu? - zapytała. - I kim, u diabła, jest Maui?

Zasłony wydął lekki wiatr, który przyniósł zapach świeżego curry z ananasem. Akamu zignorował pytanie Lynn i wrócił do pisania.

Na ekranie jarzyły się upakowane razem liczby i symbole. Ich zestawienie miało w sobie coś z postmodernistycznego dzieła sztuki. Tu i ówdzie widziała słowo czy zdanie, ale nie było tego wiele.

- Widzisz? - zapytał. - Chcesz zobaczyć więcej? - Nie czekając na odpowiedź, przewijał ekrany, zatrzymując się na każdym przez kilka sekund, jakby ponownie wchłaniał informacje, i od czasu do czasu kiwał głową. W miarę jak czytał, miał coraz bardziej różowe policzki i coraz szybciej oddychał. Potem nie było już liczb, tylko pusty ekran i migający kursor.

- W dowodach Kalakaua brakuje kilku kartek. Właśnie to próbuję uzupełnić.

Och.

- Akamu - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Czy Cen Kalakaua nie był geniuszem? A także dorosłym człowiekiem? Który pracował nad doktoratem? Zdaje się, że coś takiego słyszałam.

- Oczywiście - odparł Akamu bez cienia urazy. - Jestem tylko dzieckiem. Nie mógłbym zaczynać tego od zera. - Oderwał się od ekranu, oparł plecami o biurko i przyciągnął kolana do klatki piersiowej. Blask ekranu uwydatniał jego zamyślane oczy.

- Chyba niewiele o mnie wiesz, prawda?

- Powiedziała ci wszystko, co wiem - rzekła.

Wziął głęboki oddech.

- Nigdy nie miałem żadnych przyjaciół i prawdziwych przyjaźni, które przetrwałyby próbę czasu.

Lynn próbowała przezwyciężyć gniew i skoncentrować się na słuchaniu. To wydawało się niewybaczalne. Jak gdyby ten dzieciak był jakimś modułem wywiadowczym na służbie RO. Teraz była pewna, że stworzyli go ludzie z Ruchu Ojczyźnianego, i odniosła wrażenie, że nie są lepsi od tych IS.

- Wielka szkoda - powiedziała.

Jak zwykle, wzruszył ramionami.

- Miałem tak zwane życie towarzyskie. Tak to chyba nazywali. Kiedy byłem mały, bawiłem się z grupką dzieciaków, ale problem polegał na tym, że ciągle mnie wrywano z mojego środowiska. Nie obwiniam nikogo. Starano się zapewnić mi bezpieczeństwo. Mieszkałem przeważnie na Hawajach, ale na jakiś czas wysłali mnie do Nowego Meksyku. Potem na Alaskę i do Nowej Zelandii. I do jakiejś miejscowości w Rosji. Miałem dużo jednomiesięcznych rotacji, żebym mógł się dowiedzieć czegoś o moich kolegach ze statku w rzeczywistym czasie. Zyskałem pewność co do jednej rzeczy: że społeczeństwa pierwotne

naprawdę dobrze funkcjonują. W każdym czułem się jak u siebie w domu.

- Twoi koledzy ze statku?

- Tak. Hawai'i Loa ma mieć międzynarodową załogę. Wszyscy mamy pracować razem. Będzie tak jak podczas dawnych wypraw. Tylko zamiast znajdować nowe wyspy na oceanie, my zamierzamy znaleźć nowy świat w czasie. Wiesz - powiedział podekscytowany - zupełnie jak Maui: nie ta osoba, którą znam, ale mityczny bóg Maui. Ten, który schwycił słońce na niebie i kazał mu zwolnić, aby ludzie mieli dłuższy dzień. Będziemy w stanie zmieniać także czas. Znasz tę legendę o Maui, jak wyciągał wyspy z oceanu za pomocą haczyków? My będziemy robili coś podobnego na Hawai'i Loa, korzystając z dowodów. Ale ja muszę poznać dowody. Ktoś musi je rozwiązać. - Westchnął. - Nie sądzę jednak, że bym był do tego zdolny.

- Hawai'i Loa?

- O, zdaje się, że teraz ma inną nazwę. Statek pokoleniowy, który budują na orbicie. Myślę, że jest już gotowy. Dlatego muszę szybko działać. Musimy ich pokonać.

- Ich?

- Tak - odparł ziewając. - IS. - Powieki mu opadały, ale zmusił się do ich otwarcia. - To ma kształt, wiesz? Rozwiązanie. Mam wrażenie, że odpowiedź nieustannie na mnie napiera i dostaję ją kawałek po kawałku. Wiesz cokolwiek o teorii strun? Ciągłe myślenie o niej jest naprawdę dziwne. Szkoda, że nie czuję się lepiej. - Wyszczrzył zęby w nieco szelmowskim uśmiechu. - Mam trochę rzeczy z systemu Sattvy. Bardzo mi to pomogło. Pewno nie przypuszczali, że jakiemuś dzieciakowi uda się cokolwiek znaleźć. Myśleli, że tylko bawię się grami. Wydaje się, że wszystko układa się w całość, i to coraz szybciej. To jest wspaniałe! O wiele wspanialsze niż kiedykolwiek myślałem... gdybym tylko czuł się jak zawsze i nie był taki zmęczony... - Głowa mu opadła, a palce rozluźniły się. Już miała wstać i pomóc mu pójść z powrotem do łóżka, gdy raptownie otworzył oczy i wrócił do pracy, chociaż wydawało się, że patrzy w głąb samego siebie, a nie na ekran.

Wyszła na balkon, mocno zaniepokojona. Nagle tak dużo informacji. I Społeczeństwa Pierwotne - czy Sattva nie nazywała swojej małej organizacji Społeczeństwem Pierwotnym? Zaczęła się czuć jeszcze bardziej zacofana. Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą więcej od niej o tym, co się dzieje. Nawet Akamu, a przecież to ona go ratowała.

A może wcale go nie ratowała?

Czy przypadkiem nie wspomniał o przejęciu statku pokoleniowego? I jeszcze o zmianie jego nazwy?

Tak, Lynn. O zagarnięciu statku. Zupełnie jak haole, którzy zagarnęli ich ziemię.

Czuła, że ma ściśnięte gardło. Poruszyła ją śmiałość wizji tego chłopca. Najwidoczniej taki był plan RO. Jaki wspaniały!

I jaki absurdalny.

A może wcale nie?

Z ulicy unosiła się para, zamazując widok błyszczącego, zielonego Buddy na balkonie trzeciego piętra naprzeciwko, i tajskie litery, które zapewne głosiły, że Restauracja Pod Szmaragdowym Buddą serwuje dania z makaronu. Cienkie ubranie przywierało do jej ciała, kiedy patrzyła na parującą ulicę. O tej porze było chłodniej niż za dnia i ludzie chętniej robili zakupy. Obserwowany przez Lynn migocący Budda miał teraz tak wyraźne kontury, że pomyślała, iż za chwilę zmieni się w zupełnie nowy obraz, wytworzy boską aureolę albo przeniesie przesiąkniętych Buddą mieszkańców tej ulicy, a wraz z nimi także ją i niestrudzenie pracującego za jej plecami Akamu, do czystej krainy w umyśle Akamu. Czyżby symbioza materii i umysłu? Połączenie światła i kości, tego co szybsze od światła, jeśli Sattva miała rację, i chłopca, który został wyhodowany z DNA w kupce starych kości.

Opadła na krzesło i przechyliła je do przodu, po czym skrzyżowała ręce na mokrej poręczu. Z baru na dole popłynęła wszechobecna tajska muzyka, zaaranżowana zgodnie z najnowszą modą, ale mająca w sobie coś osobliwie swojskiego, łagodnego. Rozumiała pasję Akamu. W jego wieku była taka sama, równie uparta i samotna.

Akamu nie wydawał się oburzony tym, że został porwany, a przecież właśnie tak próbowała go chronić.

Tylko że mając w pamięci sposób, w jaki rozprawił się z żołnierzami, można było zakładać, iż sam podjął taką decyzję. Tak, pójdę z tą damą, bo właśnie ocaliła mi życie, i może powinienem stąd zwiewać, ale nic jej nie powiem. Gdyby chciał, mógł ją zostawić dawno temu. A już na pewno mógł skontaktować się z Maui i uratować się.

Dlaczego więc tego nie zrobił?

I co Akamu próbował tutaj wybadać? Czy próbował dokończyć dowody Kalakaua?

W angażowaniu dziecka do takiej gry było coś niegodnego. Zajrzała do środka. Patrzyła, jak Akamu z zapalem pracuje na komputerze. Miał na sobie tylko białe szorty, a na jego szyi wisiał ozdobny, z wyglądu plastikowy kryształ, którego jasna barwa kontrastowała z ciemnobrązową skórą chłopca. Był spocony pomimo kręcącego się w górze wiatraczka. To ją zmartwiło - czyżby miał gorączkę? Może, ale niekoniecznie. W końcu było tutaj diabelnie gorąco.

Nagle ćmiący ból głowy rozgorzał z całą mocą. W prawej skroni czuła takie pulsowanie, że pan Budda zdawał się chwiać, ale może to wrażenie potęgował upał. Bała się

po raz pierwszy w życiu i, co dziwne, bała się nie o siebie, lecz o Akamu - dziwnego Hawajczyka Akamu.

Smaragdowy Budda nie mógł się z nim równać.

Gdyby była chrześcijanką mówiącą o Jezusie, może byłoby to bluźnierstwem, ale była zadowolona z tego, kim jest - niedowarzoną buddystką - i z tego, że jej wewnętrzna wizja Akamu, jego mocy i cierpienia, rozbłysła z taką intensywnością, i że była zdolna do takiego współczucia i niemal czci.

Ale było coś jeszcze: poczucie bliskości, empatia.

Nie dorównywała mu inteligencją. Ale on był inny, wyjątkowy, osamotniony, mimo klonów, o których wspominał, a ona wiedziała, jakie to uczucie - chociaż kojarzyła je z okresem dojrzewania, podczas gdy dla niego było czymś bardzo rzeczywistym.

- Buddo, dopomóż nam - mruknęła i wycofała się do pokoju. Była ubrana tylko w jedwabne spodnie i lekką bluzkę - mokre, a przez to dające choć odrobinę chłodu w strasznym upale. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takich temperatur.

Nagle rozpadał się głośny, srebrzysty deszcz, który zmoczył parujące chodniki. Na oświetlonej neonami ulicy spokojnie rozkwitły parasolki.

Niech diabli wezmą ten cholerny Ruch Ojczyźniany, pomyślała. Widocznie zawiązali jakiś wielki spisek i byli gotowi poświęcać jednostki tak samo jak IS. Ten Maui powinien pójść do więzienia za krzywdzenie dzieci.

Dziwne zachowanie Akamu sprawiło, że nagle zapomniała o tym, jak niebezpieczny może być kontakt z nim. Patrzyła na chłopca przez kolejną minutę.

Teraz wydawało jej się, że RO zaaplikował mu jakąś formę biologicznej modyfikacji. A były ich setki, włącznie z licznymi dziwnymi zmianami neurochemicznymi, których mogła się tylko domyślać.

Maui miał dla niej wiadomość, tak?

Nadeszła pora, żeby ją odebrać.

I dać mu popalić.

*

Wieczorem Lynn przemykała zatłoczoną ulicą, ukryta pod świeżo zakupioną parasolką. Tego ranka nabyła też na bazarze torebkę, do której włożyła zawartość torby Hawkinsa: paszport, pieniądze, klucz i tajemniczą kartkę pocztową.

Minęła dwa okna wystawowe, gdzie pozowały chude dziewczęta z numerami na koszulach. Z kilkunastu barów płynęła zmysłowa muzyka, zawsze optymistyczna, w durowych tonacjach. Przeszła obok dziedzińca świątyni - prastare, gładkie kocie łby,

pluskająca fontanna, pogodna oaza - i miała ochotę zakraść się do środka choćby na trochę, zapomnieć o upływającym czasie.

Nadal kroczyła w pośpiechu, bojąc się zostawić Akamu samego na dłuższy czas. Wiedziała, że powinna już znaleźć to, czego szukała: duży, anonimowy, nowoczesny hotel z jakimś centrum biznesowym, gdzie mogłaby się zalogować i odebrać wiadomości.

Jeszcze jedna przecznica. Przeskoczyła kałużę i wylądowała w następnej. Kiedy usiłowała uskoczyć przed taksówką, woda prysnęła jej na sandały. Zatrzymała się na rogu i rozejrzała na wszystkie strony. Nigdzie nie było widać hotelu.

Weszła do sklepiku i włożyła rękę do torby, żeby wyjąć translator. Wystarczy, że zapyta: „Gdzie jest ten duży hotel?”, a urządzenie udzieli odpowiedzi w każdym wybranym przez nią języku. Dotknęła pocztówki Hawkinsa i zamiast translatora przypadkowo wyciągnęła właśnie ją.

Ach, tak, Pałac Iolani, punkt orientacyjny Honolulu, symbol utraconego królestwa. Był to hologram mający wyświetlać trójwymiarowy obraz po włożeniu do jednego z tych tanich, plastikowych rzutników, które mieli chyba wszyscy. Zapewne można było dostać coś takiego nawet w tym sklepiku. Rozejrzała się i zobaczyła stojak z pocztówkami.

Obróciła go leniwie, włożyła jedną z pocztówek i podziwiała pole przewróconych kamiennych posągów Buddy. Kobieta kręcąca się za jej plecami poszła pomóc innemu klientowi. Lynn włożyła pocztówkę z Pałacem Iolani.

Na górnej części pałacu widniał adres.

Adres w Bangkoku.

- W czym mogę pani pomóc?

No cóż, przynajmniej nie potrzebowała translatora. Trzęsącymi się palcami wyjęła pocztówkę z adresem z rzutnika.

- Chce pani kupić tę kartkę?

- O, tak. I jeszcze ten rzutnik.

- Trzy bahty.

- Jeden - rzekła odruchowo Lynn.

- Trzy - powtórzyła z dezaprobatą kobieta.

Lynn wręczyła kobiecie kilka monet, odwróciła się i wyszła ze sklepu. Nie biegła ulicą, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale szła całkiem szybko. Kiedy pojawiła się w drzwiach i strząsnęła wodę z parasola, jakaś kobieta za ladą pokazała jej stojak zrobiony z nogi słonia. Lynn wrzuciła do niego parasolkę, szybko poszła do pokoju, otworzyła drzwi; jej palce dygotały tak bardzo, że raz upuściła klucz. Kopnęła drzwi, bojąc się tego, co za chwilę

zastanie.

Jej obawy spełniły się. Akamu leżał na podłodze w konwulsjach, rzucając się jak ryba wyjęta z wody. Drgawki przywiodły go w pobliże biurka. Podbiegła do niego i odepchnęła, żeby nie uderzył w nie głową. Kiedy kopnął nogą w biurko, zleciał z niego komputer, a potem przewróciło się i biurko, niszcząc delikatnego fiata. Lynn odsunęła stół. Miała nadzieję, wielką nadzieję, że ten hałas nie zwróci niczyjej uwagi i że elektryczna burza w mózgu Akamu szybko się skończy. Ale kiedy się zaczęła? Pomyślała, że nie powinna była wychodzić! Połała ręcznik lodowatą wodą i próbowała go przyłożyć do jego czoła. Dwukrotnie z całej siły wyrzuciła tyłem głowy w podłogę, a potem jego ciało stało się bezwładne.

Wciąż oddychał. Po prostu sam siebie znokautował.

Lynn czuła gniew i strach. Nie mogła dać sobie z tym rady. Zwykły atak nie wzbudziłby u niej niepokoju. Ale to nie był zwykły atak.

Krople deszczu zabębniły o dach. U jej stóp leżał Akamu.

Teraz nie miała wątpliwości, że doszło do jakiejś manipulacji.

O nieprzewidzianych skutkach.

Przez jej głowę przebiegało kilkadziesiąt możliwości, ponure aspekty rozmaitych nielegalnych eksperymentów IS, dokonywanych z tysięcy niejasnych powodów. Wiele z nich miało odroczone w czasie konsekwencje.

Przypomniała sobie logo laboratoriów Triplera na swoim monitorze jeszcze w Honolulu. Kto to zrobił? Maui czy Interspace?

Uklękła obok Akamu i odgarnęła mu włosy.

- Akamu? - Ogarnęły ją złe przeczucia. Co to było? Coś, co miało go zmusić do rozwiązania tych cholernych równań, praca, o której nieustannie mówił? Akamu leżał zupełnie nieruchomo.

- Przeklęty Maui! - powiedziała. Zerwała się, zmoczyła ściereczkę i obmyła Akamu twarz.

Zatrzepotał powiekami. Nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w sufit.

- Akamu - rzekła. - Posłuchaj mnie. Musisz wiedzieć, co jest nie tak. Powinieneś mi o tym powiedzieć. A jeśli wiesz, chcę, żebyś mi powiedział, co trzeba zrobić, a zrobimy to.

Spróbował usiąść. Chwyliła poduszkę i wepchnęła mu ją pod głowę. Milczał.

- Nie ma pośpiechu - powiedziała. - Może sprowadzę lekarza.

- Nie! - zawołał z niepokojem. - Nic dobrego z tego nie będzie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ... wiem, co jest nie w porządku. Nie możesz mi pomóc. To po prostu zaczyna działać. Zajęło więcej czasu, niż myślałem.

- Co takiego?

Jego lekki uśmiech był ironiczny, ponad wiek dojrzały.

- Nie jestem pewien. Ty nie wiesz?

- Nie.

- W porządku. Czuję się już lepiej. - Podciągnął się na łokciach. Lynn przysunęła duże miękkie krzesło i pomogła mu usiąść. Otworzyła usta, gotowa zamęczać go pytaniami, ale zobaczył pogniecione fiata i krzyknął.

- Co się stało? - Wyskoczył z krzesła, mrużąc coś gorączkowo. Dotykał fiata w taki sposób, jakby to było zwierzątko ze złamanymi kośćmi. - Nie chce się włączyć!

- Kopnąłeś stół - powiedziała Lynn.

Przytulił fiata do piersi, skulił się na krześle i zaczął płakać.

- Och, nie, och, nie, och, nie!

- Zrobiłeś kopie zapasowe? - zapytała Lynn.

- Tak, ale nie całości - przyznał, uspokoivszy się trochę.

- Nie skopiowałem ostatniej części, nad którą pracowałem tutaj. Ta była najważniejsza. Bo czuję... czuję... och, nie wiem. - Jego twarz wydawała się szczuplejsza niż poprzedniego dnia, a oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Ręce lekko mu drżały.

Lynn usiadła na krześle naprzeciw niego. Musiała przywrócić go światu. A także Maui, który tak nikczemnie z nim postąpił, żeby wyciągnąć z niego dowody.

Wstała z pełną determinacją.

- Mam teraz tylko jakiś adres w Bangkoku. Musimy się tam dostać. Myślę, że mają jakiś nocny pociąg. - Może kiedy tam dotrą, przyjdzie jej do głowy pomysł na to, jak cało wrócić na Hawaje. Wzięła do ręki zniszczony japoński przewodnik i otworzyła kalendarz. - To już pewno nieaktualne, ale tu piszą, że jeden odjeżdża za godzinę. Chcę się stąd wynieść. Potrzebujesz pomocy.

- Mówiłem, że nic mi nie jest - odparł Akamu ze złością. - Jeszcze nie jestem gotowy do powrotu. Powiem ci, jak nadejdzie właściwa pora. Teraz czuję się lepiej.

- Wcale nie. Chodźmy.

Krzyknął:

- Chcę zostać tutaj i naprawić go! Mam robotę do wykonania. Czuję się świetnie!

Przemiana tego względnie uprzejmego chłopca we wrzeszczącego, rozwścieczonego potwora była dosyć szokująca. Ale Lynn знаła takie zachowanie. Jej bracia czasami robili

takie sceny, a przecież Akamu miał o wiele ważniejsze powody. Funkcjonował dzięki jakiejś biochemicznej szprycy. Był większy i silniejszy od niej, więc Lynn tylko stała i usiłowała go mierzyć zimnym spojrzeniem.

- Tutaj nie ma gdzie tego naprawić, Akamu - powiedziała. - Włóż go do swojej torby i wynośmy się stąd. Bangkok jest dużym miastem. Załatwimy ci nowego fiata. Lepszego.

Jego trochę zamglone oczy nie podobały się Lynn, ale przynajmniej nie stawiał oporu i nie rozrabiał. Chciała mu pomóc włożyć białą jedwabną koszulę z krótkimi rękawami, ale on wyrwał się i powiedział:

- Nie chcę zapinać guzików.

- Weź swoje zori. Jesteśmy spakowani. - Lynn wepchnęła mapy do plecaka; wyszli na korytarz i zeszli szerokimi schodami obok recepcjonistki. Lynn zatrzymała się na chwilę, uwieszona u ramienia Akamu, i powiedziała: - Chcę zapłacić.

Dziewczyna zwróciła się do komputera i dotknęła jakiegoś klawisza. Drukarka zawarczała, Lynn zapłaciła, nie sprawdzając sumy, wyciągnęła parasolkę ze stojaka i popędziła Akamu po schodach.

Po dziesięciu minutach byli na stacji, a pół godziny później w swoim prywatnym przedziale.

Akamu usnął na łóżku. Lynn wyglądała przez okno, dopóki nie zapadła ciemność. Sprawdziła, czy drzwi są zaryglowane, i zapadła w niespokojną drzemkę. Obudziła się po kilku godzinach z mocno bijącym sercem z powodu sennego koszmaru. Usiadła i włączyła światło. Akamu nadal spał, głęboko oddychając. Za kogo oni się mieli, ci ludzie z RO?

Skuliła się na krześle i patrzyła na niego długo, a potem znowu zasnęła.

Obudziła się nagle. Ktoś pocierał jej policzek. Usiadła.

To był oczywiście Akamu.

- Lynn - powiedział. - Boję się.

Wstała i podeszła do koi. Objęła go ramieniem, mając nadzieję, że pociąg ukołysze go do snu, i zgasiła światło.

Zaczął mówić schrypniętym głosem.

- Nigdy nie byłem tak długo z dala od mojej ohana - mojej rodziny.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż bywałeś w rozmaitych miejscach.

- Wszędzie była moja ohana.

- Och. Zgadza się. Mówiłeś coś o Społeczeństwach Pierwotnych, prawda?

- Tak było kiedyś.

Znowu te bzdury Ruchu Ojczyźnianego o złotym wieku.

- Jak było kiedyś, Akamu?

- Wszyscy podejmujemy decyzje wspólnie. Postępowaliśmy w ten sposób przez setki lat, zanim pojawili się Tahitańczycy.

Lynn pomyślała, że głupio będzie wypominać mu, że bardziej wojowniczy Tahitańczycy, którzy przybyli ok. 800 roku, i dawni Hawajczycy tworzyli teraz harmonijną całość.

- Czasami jest ciężko - powiedział. - Dużo kłótni. Nawet przez kilka dni. Ale jakoś to wszystko funkcjonuje. Demokracja. Spójrz, ile dokonaliśmy. Jesteśmy niemal gotowi do startu. Właściwie jestem zadowolony, że to się stało w ten sposób, chociaż z początku miałem wielkie obawy. To naprawdę działa.

- Co działa, Akamu?

Otworzył oczy.

- Naprawdę nie wiesz?

- Wiem, że Maui chyba nafaszerował cię nanem.

- Maui! - Zamrugał powiekami, a potem roześmiał się.

- Co jest takie śmieszne?

- Ty naprawdę nie wiesz. No proszę. A ja myślałem, że jesteś inteligentna.

- Tylko tak mówiłam. Nie jestem inteligentna.

Trudno było go zobaczyć, ale kiedy przechodzili pod jakimiś światłami, w ich blasku zauważyła uśmiech na jego twarzy.

- Hm, szczerze mówiąc, Maui jest na mnie wściekły.

- Dlaczego?

- Ot, tak.

Wtedy wybuchnął histerycznym śmiechem, dławiąc się, płacząc i robiąc takie zamieszanie, że Lynn zaczęła się bać, czy to nie jest kolejny atak drgawek. W końcu otarł łzy, wziął kilka głębokich oddechów i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak - powiedział. - Tak.

Jak? Dlaczego?

- Więc powiedz mi o tym - powiedziała Lynn, siląc się na spokojny, wręcz łagodny głos.

- To długa historia.

- Mamy czas. Mnóstwo czasu.

Chrząknął.

- No, dobra. Od dziecka wiedziałem, że istnieje pewien towar, którego zażycie

pomogłoby mi zrobić to, co muszę zrobić. Nawet nie wiem, skąd się o nim dowiedziałem. Może powiedział mi któryś ze starszych dzieciaków albo znalazłem informacje w sieci. W każdym razie w zeszłym roku zacząłem mówić Maui, że chcę to wziąć, a on na to, że nie mamy tego towaru i nie będziemy mieli, a nawet gdybyśmy mieli, to ja nie mógłbym go zażyć. Potem dowiedziałem się, że umarł od niego jeden z klonów Kamehameha i właśnie dlatego nie wolno mi go było wziąć.

Lynn poczuła zimny strach.

- To ma sens - wydusiła.

- Hm - odparł Akamu, głosem raczej obojętnym i nieobecny.

- Postanowiłem, że i tak muszę go zdobyć. Bo czasu jest teraz tak mało. Nie możemy go marnować. Nie obchodzi mnie, co mówi Maui. Myśli, że jest taki bystry! A tak naprawdę to on lubi się rządzić. Więc uciekłem, włamałem się do Triplera i zabrałem trochę tego towaru.

- Co?! - Lynn usiadła gwałtownie. - Jakim cudem...

Akamu uśmiechnął się sennie. Miał zamknięte oczy.

- Fajnie, co? Zaplanowałem to wszystko już dawno temu. Wziąłem jedną z szybkich łodzi Maui i dotarłem do Kaava na Oahu. To na drugim końcu wyspy od Honolulu, wciąż przeważają tam Hawajczycy - dziura zabita dechami, rozumiesz? Można tam spokojnie wylądować. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Potem pojechałem autokarem do Triplera. Żółta linia, no i znałem rozkład. I dokładnie wiedziałem, czego chcę, gdzie to trzymają, i jaką mają ochronę.

- Skąd wiedziałeś?

- Myślisz, że ci powiem? - zagadnął. Droczył się z nią, ale był stanowczy. - Maui był strasznie wkurzony. Potem rozmawiałem z nim tylko raz i czułem, że ma ochotę mnie zamordować. Ale to było po tym, jak mnie złapali, tylko że uciekłem...

Ziewnął głośno.

- W każdym razie poszturchali mnie trochę, pobrali krew i robili różne rzeczy przez parę godzin. Ale myślę, że potraktowali mnie jak głupiego dzieciaka. Całkiem łatwo było się od nich uwolnić. Martwiłem się, ponieważ cały czas wydawało się, że nic się nie dzieje. Pewno trzeba było czasu, żeby towar zadziałał i w ogóle. Kiedy uciekłem, wiedziałem, że będą mnie szukali, i dotarłem do bezpiecznego domu na Nuuanu - tam gdzie zobaczyłem ciebie. Po prostu jakoś tam dotarłem. Mamy sieć takich domów na wszystkich wyspach. Nawet nie pozwoliłbym im zawiadomić Maui, gdzie byłem przez kilka dni, tak się bałem jego gniewu. Ale chyba i tak mu powiedzieli. Musieli. Interspace zdecydowała, że jestem ważny i

bacznie mnie obserwowała. Maui przygotowywał plan sprowadzenia mnie z powrotem do Kohala.

W jego głosie wyczuwało się udrękę.

- Nie wiem, co się stało z Johnem i Ellen. Myślę, że ludzie z IS dowiedzieli się, gdzie jestem i usiłowali mnie zabić. Zamiast mnie zginęli John i Ellen. - Starał się powstrzymać łzy.

- To się stało z mojej winy. Byli dla mnie tacy mili.

Lynn była pewna, że dom wyleciał w powietrze, ponieważ zaalarmowała IS swoim nocnym surfowaniem po sieci Interspace, ale nic nie powiedziała.

- No, więc dla jakiej to niezmiernie ważnej rzeczy narażasz życie, Akamu? - I jak cię przed nią uratuję? Jakie są parametry tego, co zrobiłeś? Jak mam wrócić do systemu i uzyskać odpowiedzi, a jednocześnie nie dać im nas zabić?

Nie odpowiedział. Spróbowała inaczej.

- Ile czasu pracowałeś nad dowodami?

- Myślę, że od wczesnego dzieciństwa. Chyba wszystko, czego się nauczyłem, miało z tym związek. Kiedy byłem mały, mogłem się bawić tyłoma rzeczami - komputerami, wirtualną rzeczywistością, specjalnymi klockami. Chyba wszyscy się tym zajmowaliśmy. Nawet ci, którzy nie żyją. Jeden z nas już w wieku siedmiu lat rozwiązał problem Penrose'a dotyczący pokrycia płaszczyzny płytkami. Lubimy to - powiedział bardziej sennym głosem. - To fajna zabawa.

No cóż, Lynn powiedziała sobie kwaśno, czy aby ty sama nie miałaś podobnych planów w związku z Masa?

Akamu nachylił się do niej. Jego oczy wyrażały autentyczne szczęście.

- Zorientowałem się tylko, że... hm, potrafię to wyjaśnić wyłącznie za pomocą liczb. W każdym razie niedługo pojawi się jakieś okno. Gdzieś tam. Daleko w kosmosie. I nie sądzę, żeby następne pojawiło się wcześniej niż za jakieś dwadzieścia lat.

- Okno.

- Okno, przez które Hawai'i Loa dokona skoku. Lynn... jest tyle miejsc w metawszechświecie. Ale kiedy obliczasz parametry miejsc, gdzie warunki początkowe umożliwiłyby nam egzystowanie... przypomina to sposób, w jaki ci dawni żeglarze byli w stanie ustalić, gdzie jest ląd, chociaż byli setki mil od niego, na środku oceanu. Zupełnie jakbym żeglował, wypróbowywał spiętrzone fale, obserwował ptactwo, tylko że używam liczb, które mówią mi wiele rzeczy o... - chwycił poduszkę i ścisnął - ...o tym. O materii. O wszystkim. Jak to płynie. To fraktal. Wzór, który powtarza się w nieskończoność. Wiem doskonale, czego chcemy. Jestem tak blisko uzyskania informacji, jak się tam dostać! Odkąd

tylko Tybet stał się mocniejszy... A teraz jeszcze pomaga Cen. Naprawdę! Maui powiedział mi, co się przydarzyło Cenowi. Chyba chciał mnie nastraszyć.

- Co przydarzyło się Cenowi?

- Maui powiedział mi o jakichś starych zapiskach, które znalazł. Wiesz, że znał Cena? I wiedział, że Cen chodził do szpitala, żeby odwiedzić kobietę, z którą mieszkał, Mei. A Mei zaaplikowali taki sam nan. Przez niego umarła. To była bardzo silna dawka. Ale Cen dostał go o wiele mniej.

A ty dostałeś taką dawkę, że mogłeś zginąć.

Odgarnęła włosy z jego czoła.

- Musimy natychmiast przywrócić cię do poprzedniego stanu. - W głowie miała mnóstwo myśli, zastanawiała się, co mogłoby powstrzymać ten proces.

- Myślę... być może potrzebuję pomocy - powiedział. - To jest trochę przerażające.

- Zrobię, co będę mogła - odparła, siłąc się na pogodny ton.

- Dobrze - powiedział i zamknął oczy.

- Akamu? - rzekła po kilku minutach.

Znowu zasnął. Położyła go delikatnie, znalazła kołdrę i przykryła. Wróciła na swoje krzesło, ale teraz nie czuła już senności. Patrzyła jak światła małych wiosek od czasu do czasu rozjaśniają jego twarz i rozmyślała.

*

Obudziło ją pukanie do drzwi. Wyjrzawszy przez brudne okno, zobaczyła, że dojeżdżają do dużego dworca kolejowego.

- Zbudź się - powiedziała do Akamu i potrząsała nim, aż się podniósł. - Umyj twarz. Jesteśmy w Bangkoku.

- W Bangkoku?

Wręczyła mu plecak, podczas gdy pociąg hamował z sykiem.

- No, chodź.

Wzięła go za ramię i poprowadziła korytarzem, idąc za innymi pasażerami, którzy wysiadali na peron. Akamu uwiesił się u jej ramienia.

- Nie czuję się dobrze - powiedział.

Lynn starała się nie wpadać w panikę.

- Wiem. Ale musimy dotrzeć na miejsce. To ten adres. - Wyobrażała sobie, co zrobią. Zapukają do drzwi. „Hawkins? Jaki Hawkins?” Albo nikt nie otworzy. Albo będzie czekało tam na nich mnóstwo nieprzyjemnych ludzi.

Ale gdyby wrócili na Hawaje, sytuacja byłaby jeszcze gorsza.

Hawkins był w kontakcie z jej ojcem. Dał jej ten adres. Nic nadzwyczajnego, ale zawsze coś. Zatrzymaj się w superhotelu, takim z najlepszym wyposażeniem pokoi, wejdź do sieci i zrób porządne wyszukiwanie, aż dojdiesz, co mu dolega i jak to powstrzymać. Tak żeby go nie zabić.

Czoło Akamu było pokryte potem. Oderwał się od niej i usiadł na drewnianej ławce.

Na dworcu kolejowym panowało istne pandemonium. Pociągi ekspresowe w ciągu godziny odjeżdżały do Hongkongu, Benares, Paryża, Sankt Petersburga. W porównaniu z wielkimi, łukowymi sklepieniami ze stali i przyciemnionego szkła ludzie byli jak mrówki. Omal nie potknęła się o blondwłosego żebraka, ubranego w nienaganny zachodni garnitur, noszącego krawat z rzędem malutkich hologramów. Siedział w pozycji lotosu na środku przejścia, uśmiechając się jak szaleniec. Ścisnął w rękę aparat do przyjmowania kredytów w kształcie małego zielonego Buddy. Trzymał go nad sobą w triumfalnym geście.

Lynn czuła się coraz bardziej jak kiedyś w Tybecie. Jak zbiór cząsteczek, których nic nie spaja. Kawa. Zobaczyła sprzedawcę. To pomoże jej się skoncentrować. Potem złapią taksówkę.

Kobieta na ławce naprzeciw Akamu, który wyglądał na jakieś szesnaście lat, trzymała na okrytych żółtym sari kolanach śpiące dziecko. Jej powieki nieustannie opadały. Owalna, brązowa twarz była uderzająco piękna - duże, inteligentne oczy w ciemnej oprawie, długi, idealny nos...

Przez chwilę Lynn straszliwie pragnęła trzymać w dłoniach esencję swoich genów, coś, co całkowicie tłumaczyło kobietę, drobne, niedające się ująć w liczby fakty, które nią kierowały, które pozwalały jej dojrzeć. Lynn miała ochotę się z nią zamienić, dać jej każdą cudowną możliwość, jaka była dana jej samej, i mieć nadzieję, że przynajmniej ta kobieta nie zmarnuje szansy. Nigdy nie udało jej się dokonać czegoś naprawdę ważnego. Ojciec oczekiwał tego od niej, lecz ona uciekła i grywała dla turystów. I chociaż zaczęła mocno pracować nad rozwojem swojej inteligencji, nie chciała pamiętać o implikacjach tego, co robiła, ukrywała je jak żółw zagrzebujący jaja w piasku. Niech kto inny się martwi.

Na tym hałaśliwym dworcu, gdzie istniał tylko jeden ograniczony zbiór cząsteczek i błyskotliwy chłopiec, którego życie zależało od niej, czuła się bezradna, upokorzona przez całe swoje otoczenie. Dookoła niej rozbrzmiewały podniesione głosy sprzedawców. Malutcy, holograficzni ludzie tańczyli albo toczyli dysputy na płatnych platformach przed rzędami krzeseł. Czuła zapach dziwnych korzennych przypraw.

Zewsząd z błyszczących kart sączyła się informacja. Pojawiała się i zniknęła, jakby ktoś rozsiewał ją rozrzutną ręką. Lynn widziała przed sobą kolejne pokolenia ludzkości, która

wcale się nie zmieniała, nie dojrzewiała, lecz tylko pokazywała się i dawała sobą manipulować. Co sprawiło, że ona była inna? Jaki szczęśliwy traf? Po co jej była ta wiedza, jeśli nie po to, by działać dla dobra wszystkich?

Kobieta otworzyła oczy, zerknęła na Lynn i uśmiechnęła się nieśmiało. Lynn przyszło do głowy coś jeszcze: może ta kobieta uważa siebie samą za szczęśliwe zrzędzenie losu. I czuje litość w stosunku do niej.

Jakby na potwierdzenie tych myśli, kobieta spojrzała Lynn prosto w oczy i podniosła rękę w hinduskim geście religijnym mudra, którego znaczenia Lynn nie umiała odgadnąć.

Akamu mamrotał coś pod nosem.

- O co chodzi? - zapytała Lynn, przykładając ucho do jego warg.

Usiadł i wytrzeszczył oczy, ale patrzył gdzieś przed siebie.

- Wiem! Staram się! - Szybko pokiwał głową.

- Dość! - mruknęła Lynn. Do diaska z kawą. Chwyliła go za ramię.

Wyszarpnął się.

Żebrak wygładził krawat. Wciąż uśmiechał się jak obłąkany.

- Proszę, Akamu - powiedziała - chodźmy stąd, dobrze? Obiecuję, że zaraz sprowadzę dla ciebie pomoc.

Akamu opadł na siedzenie, dygocząc. Zamrugał powiekami kilka razy; był oblany potem. Odwrócił się do Lynn i spojrzał na nią błagalnie.

- Boję się. Powiedz Maui, że jest mi przykro. Musimy się śpieszyć - powiedział.

- Tak - odparła. - Wiem.

17

Akamu jęczał na tylnym siedzeniu, gdy taksówka podskakiwała na wyboistej drodze. Kierowca odwrócił się z marsową miną.

- On jest chory - zauważył. - Nie podoba mi się to.

- Mnie też - odparła Lynn. - Szkoda, że nie jedzie pan szybciej. Wydaje mi się, że pojechał pan pasem wolnego ruchu.

- Tu wszędzie są pasy wolnego ruchu. To jest Bangkok.

Właśnie wydostali się z czterdziestopięciominutowego korka na szerokiej, dziesięciopasmowej ulicy, gdzie wszystkim dokuczał harmider klaksonów, upał i parujący deszcz. Teraz z jednej strony ulicy widać było zielony klong, z drugiej zaś znajdował się niekończący się rząd błyszczących wieżowców.

Gorące słońce przedarło się przez chmury, kiedy skręcili za rogiem w spokojny, wąski zaułek, okolony białymi, wysokimi na siedem metrów murami. Nad całkowicie czystym chodnikiem z cegieł wyginały się drzewa, tworząc duży kontrast w stosunku do domków z falistej blachy i tektury, które mijali przed pięcioma minutami. Znajdowała się tutaj dziwna oaza spokoju.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział kierowca. - To będzie dwieście bahtów.

- Mówił pan, że będzie kosztowało sto - rzekła odruchowo, zamyślona. Daj spokój, Lynn, zapłać temu facetowi i już. - Proszę zaczekać, aż otworzą bramę, to zapłać panu dwieście - powiedziała. Zmarszczył brwi, ale nie klócił się z nią.

- Zbudź się, Akamu - powiedziała. Potrząsnęła nim, a następnie wysiadła, zostawiwszy otwarte drzwi, i pociągnęła go za ramię. Kopnęła ogromną drewnianą bramę, zastanawiając się, czy to aby na pewno właściwy adres. Miejsce wydawało się bardzo zaniedbane. Trochę się podłamała. Było tu pusto. I co teraz? Ponownie zaczęła się dobijać do bramy, tym razem mocniej, i krzyknąć: „Halo, halo!”

Po chwili kierowca powiedział:

- Tutaj nie ma nikogo, panienko. Może zabiorę was gdzieś indziej?

Dokąd?

Odgarnęła winorośl z mosiężnej tabliczki obok bramy i upewniła się, że to właściwy adres. Poniżej znajdowało się nazwisko: pułkownik S. W. Hawkins.

Klucz.

Pogrzebała w plecaku, znalazła klucz, włożyła go do zamka.

Usłyszała szcęk i spróbowała przekręcić klamkę.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Zobaczyła dziki, zielony ogród, zarośnięty szerokimi, gęstymi pnączami zwisającymi z drzew, które rozpościerały się dookoła jak parasole przeciwsłoneczne. Między grubymi płytami chodnikowymi rosło zielsko. Gorąca bryza sprawiała, iż potężne liście szeleściły zrędlawie, a potem zaraz się uspokajały. Dwie czerwono-żółte papugi śmignęły przez dziedziniec. Podobne barwy miały kwiaty, które wiły się w lśniącej, przesiąkniętej deszczem dżungli.

- Halo! - krzyknęła raz jeszcze, ale odpowiedział jej tylko szum wiatru w liściach, śpiew ptaków i szczebiot małpy za wysokim murem. Majaczył nad nią wysoki, tajski dom na podwyższeniu. Do otaczającego go balkonu można było dotrzeć kilkoma klatkami schodowymi. Lynn zobaczyła, że sunie ku niej kościsty, miauczący kot.

- Proszę pani, musi mi pani zapłacić teraz!

Ostrożnie zrobiła kilka kroków, gotowa do ucieczki. Nagle na bruk spadł wyschnięty liść palmy i Lynn odruchowo podskoczyła.

Wzięła głęboki oddech i wybrała schodki, które prowadziły chyba na tyły domu - były ciężkie i solidne. Pokryta zdobieniami poręcz zdawała się falować pod jej dłonią. Weszła w cień rzucany przez korony drzew i przez chwilę widziała w dole dach taksówki.

Spróbowała otworzyć drzwi, uchyliły się same.

Przeszła przez duży, pięknie wykończony dom z półkami, na których stały figurki tańczących Tajek. Zobaczyła wyfroterowany parkiet i raczej skromne umeblowanie. Był tu salon, jadalnia i kuchnia. Wszędzie panowała taka czystość, jakby dopiero co tu sprzątano, chociaż gdy powiodła palcem po niskim stoliku, znalazła warstwę kurzu.

Weszła do gabinetu - dużego pokoju z wieloma oknami, między którymi wisały półki pełne książek. Niski stolik służył Hawkinsowi jako biurko. Miał wbudowaną zwyczajną klawiaturę, która wyświetlała ekran i platformę holograficzną.

Weszła do drugiej sypialni i stanęła jak wryta, czując, że serce bije jej jak młot.

Hawkins leżał na łóżku. Z początku myślała, że jest martwy. Podeszła bliżej i wtedy było jeszcze gorzej, bo podniósł pistolet o skomplikowanej konstrukcji i, nie otwierając oczu, wycelował w nią.

- Ani kroku dalej - powiedział, a potem zamrugął oczami. - Lynn - wyszeptał i broń wypadła mu z ręki.

*

- Gdzie jest kolczyk? - To było pierwsze pytanie Hawkinsa, kiedy zapłaciła kierowcy i wpuściła Akamu do środka.

Akamu czuł się trochę lepiej i twierdził, że nic mu nie jest. Lynn zostawiła go leżącego na kanapie. Wiedziała, że jego stan pogorszy się w ciągu jednej, może dwóch godzin. Usiadła na krześle w sypialni Hawkinsa, z własną listą pytań.

- Kolczyk? - zapytała bezradnie, a potem coś sobie przypomniała. - Było w nim urządzenie namierzające. Wyrzuciłam go w Kathmandu.

- O, rany - powiedział Hawkins i zmarszczył brwi. Miał na sobie szarą, jedwabną piżamę i wydawał się malutki pośrodku ogromnego futonu, ułożonego na gładkim, drewnianym podeście. Z trudem przybrał pozycję siedzącą. Był bardzo blady. Lynn zastanawiała się, jak się tu dostał, ale postanowiła zapytać go o to później.

- Bardzo mi przykro, że kazałem ci tu się zjawić, zważywszy na okoliczności - powiedział. - Czuję się znacznie gorzej, niż myślałem. Sattva nie chciała mnie puścić, ale ponieważ umieściłem wszystkie te informacje w plecaku... - Zrobił przeproszący gest, ale

Lynn zauważyła, że drugą rękę trzymał na pistolecie.

- Nie mieliśmy dokąd pójść - powiedziała. - Nie jestem pewna, co się dzieje, komu ufać. - Nie chciała powiedzieć, że nie ufa Hawkinsowi. Jego też nie była całkiem pewna. Ale był gotowy umrzeć, byle tylko ich chronić. - To jest... - chciała powiedzieć „lepsze niż nic”, ale zmieniła zdanie - ...piękny dom.

- Mój ojciec był właścicielem całej przecznicy - oznajmił. - Moja siostra nadal mieszka obok, idzie się do niej przez bramę na tyłach, a kuzyn mieszka po drugiej stronie ulicy.

- Co jesz? - Lynn zapytała Akamu, widząc, że chłopak wchodzi do sypialni z wypełnioną czymś miseczką.

- Ryż - odparł. - Było go trochę w lodówce. Umieram z głodu.

- Dom uruchamia kuchenkę - powiedział Hawkins.

- Przepraszam, że wyrzuciłam ten kolczyk - powiedziała Lynn. - Ale jeden z oprychów Samuela pokazał się w Kathmandu. Pomyślałam, że był w stanie nas znaleźć tylko dzięki kolczykowi. Chyba naprawdę zależało im na tej informacji o genomie.

Hawkins zaśmiał się krótko i chrapliwie.

- Im zależy na dowodach - oświadczył głosem stłumionym jak deszcz, który znowu zaczął padać.

- Co? - zagadnął Akamu i zatrzymał pałeczki w drodze do buzi, podczas gdy ziarenka ryżu spadły do miseczki. Oczy mało nie wyszły mu z orbit.

- Na Dowodach Kaiulani - powiedział Hawkins. - Oczywiście, być może niekompletne, ale...

- Od kogo? - zapytał Akamu.

Hawkins przekrzywił głowę.

- Kto jak kto, ale ty chciałbyś wiedzieć, co? Pewien chiński geniusz twierdził, że je ukończył w oparciu o Fragmenty Kalakaua, które przez wiele lat krążyły po Sieci. Ludzie z IS wysunęli swoje macki, a kilka dręczących poszlak sprawiło, że byli gotowi kupić kota w worku na każdych warunkach.

- Ale ja myślałam, że to DNA Mao - odezwała się Lynn.

- Oczywiście, moja droga. Właśnie tak miałaś myśleć. W przeszłości udowodniłaś swoim braciom, że można polegać na twoich usługach kurierskich, ale ponieważ z początku odmówiłaś, oni poczynili alternatywne przygotowania i dopiero potem dowiedzieli się, że jednak się zgodziłaś. I oczywiście zainstalowali urządzenie namierzające. Gdy wiezie się informację tak wielkiej wagi, o potencjalnie większej sile niż energia atomowa, nigdy dość

zabezpieczeń. Nie potrafiłem oddzielić urządzenia namierzającego od dowodów. Miałem tylko nadzieję, że wyprzedzamy ich o kilka kroków i zdołamy jakoś to przeprowadzić. Widzisz, ci żołnierze nie byli Chińczykami. Kiedy twoi bracia uświadomili sobie, że to ty uratowałaś Akamu, z jakiejś przyczyny przestali ci ufać. - Hawkins uśmiechnął się. - Nie sądziłem, że przytrafi mi się tak poważny uraz. Co, oczywiście, było z mojej strony wielką głupotą.

Pokręcił głową.

- Kiedyś obudziłem się i wyznałem Sattvie, co zawierają kolczyki. No cóż, powiedzmy, że jej spokój świadczy o tym, że nadaje się na Dalajlamę. Bałem się, że, zabijając mnie, zmarnuje całą swoją pracę. To, nad czym pracowała całe życie, było dosłownie w zasięgu ręki! Upierała się, że nie wydobrzałem na tyle, by pojechać, ale nie miałem wyboru. Myślałem, że będę wystarczająco zdrowy, żeby cię przechwycić, zanim wejdiesz do środka. - Spróbował usiąść, ale zabrakło mu siły. - Musisz opuścić to miejsce jak najszybciej. Moja siostra pomoże ci. Wszystko spapałem. Teraz dowody z pewnością wpadły w łapska Interspace.

- Co? - zapytała Lynn. - W takim razie kto...

- Moja droga - odparł Hawkins i na jego chudej twarzy zagościł subtelny uśmiech. - Jeszcze się nie domyśliłaś?

- Ja tak - zapewnił Akamu, z nutką złośliwości w głosie.

- Nie pracujesz dla Interspace. Ale myślałam, że znałeś mojego ojca.

- Znałem go - odparł Hawkins. - Byliśmy bardzo, bardzo blisko. Zrobiłbym dla niego wszystko. Był jednym z najzacniejszych ludzi na świecie.

- Co do tego raczej byśmy się nie zgodzili - zabrzmiał czyjś głos za otwartym oknem.

Lynn nie wiedziała, że ma taki szybki refleks.

Poderwała Akamu i napierała na niego w korytarzu, podczas gdy kule rozszczerpiły drewno obok jej głowy.

- Biegnij! - syknął Akamu. - Widocznie czekali...

Wyjrzała przez okno. Przy tylnej bramie, którą weszli, znajdował się samochód. I z pewnością było tam jeszcze jedno auto na przedzie.

O co chodziło z tą siostrą?

Spoglądając w dół, zobaczyła, że kilku mężczyzn biegnie w kierunku miejsca, w którym leżał Hawkins.

Szanse mieli minimalne, ale musieli spróbować. Pokazała dom obok.

- Jego siostra - powiedział Akamu.

- Spróbujmy - powiedziała Lynn.

Zbiegli po schodach na drugim końcu domu i kluczyli między drzewami. Lynn cieszyła się, że listowie jest tak gęste. Jeśli nie widziano ich, jak zbiegali po schodach, to tym bardziej nie można ich było dostrzec w tej chwili.

Gnali wzdłuż muru, szukając bramy. Lynn była przerażona.

- Jest! - wyszeptał teatralnie biegnący przed nią Akamu i pchnął drewniane wrota, a potem je zatrzasnął. Lynn wsunęła ciężki skobel do żelaznej obręczy i, ciężko dysząc, rozejrzała się dookoła.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedziała. - Szybko nas rozpracują. - Zostawiła plecak ze wszystkimi pieniędzmi. Miała tylko kilka bahtów w kieszeni. Nie mieli paszportów. Być może siostra Hawkinsa byłaby w stanie ich wesprzeć, ale nie mieli czasu, żeby poprosić o pomoc.

Zobaczyła żelazną bramę, a za nią ulicę, na której panował duży ruch. Nie mieli dokąd pójść, a nie mogli zwlekać. Chwyciła Akamu za ramię i wbiegła między samochody. Ryk klaksonów i pisk opon wtapiały się w ogólną kakofonię. Przywołała pustego tuk-tuka i wskoczyli do środka.

- Dokąd? - zapytał kierowca.

Lynn miał zupełną pustkę w głowie.

- Proszę nas zabrać do hotelu Royal - powiedziała. Przypomniała sobie tę nazwę z przewodnika. - Czy to daleko stąd? - zapytała, kiedy kierowca zaczął się śmiać.

- Może mila - odparł. - Ale tam zatrzymują się tylko pracownicy rządowi.

Nie była pewna, dlaczego to wydało mu się takie zabawne, ale zapytała:

- Tylko tajscy?

Z zapalem pokiwał głową.

- Tak. Mógłbym was zawieźć do Intercontinental.

- Royal jest w porządku - powiedziała. Potrzebowali tylko lobby z telefonem. Kiedy spadł ciepły deszcz, Lynn zamknęła oczy. Hawkins na pewno nie żył. A jeśli pracował z jej ojcem albo dla niego, a nie dla IS, w takim razie jaka była w tym wszystkim rola jej ojca?

Kiedy spojrzała z boku na Akamu, zaczęła coś rozumieć.

- Możesz się poruszać? - zapytała. Znowu utknęli w korku, a znajdowali się zaledwie przecznicę od posiadłości Hawkinsa. Zebrał się tam tłum, zapewne z powodu odgłosów strzelaniny. Ci mężczyźni z pewnością będą ich szukali...

- No, chodź - powiedziała, chwytając Akamu za ramię. - Wsiądźmy. Za wolno jedziemy!

Ale on wpatrywał się w ulicę.

- Maui! - krzyknął i wyskoczył z tuk-tuka.

Mimo dużego ruchu Akamu biegł, klucząc między stojącymi pojazdami. Minął pięć pasów z szybkością gazeli, podczas gdy Lynn umierała ze strachu.

Potem Lynn zobaczyła go.

Wysoki, brodaty, dobrze umięśniony Hawajczyk z rozpuszczonymi włosami - czarnymi, z białym pasemkiem z boku.

Już go kiedyś widziała przez chwilę. W wiadomościach. Wyglądał wtedy młodziej. Tajemniczy przywódca RO, którego nazwisko było nieznane, gdyż chyba nieustannie się zmieniało. Przypomniła sobie, że chyba uznano go za zmarłego. Gdzieś istniał nawet jego akt zgonu. Z pewnością nie widziano go od jakichś dziesięciu lat.

Pochylił się i uściśnął Akamu, a jego włosy wirowały wokół chłopca jak ochronna zasłona.

Kiedy Lynn go obserwowała, przyszło jej do głowy coś zupełnie nie na temat. Jaki piękny mężczyzna!

- Proszę pani? - zagadnął kierowca.

Wyciągnęła z kieszeni ostatniego bahta, rzuciła go kierowcy i puściła się pędem, zanim nowa fala tuk-tuków nie ruszyła z miejsca po zmianie świateł.

18

Maui znał zaułki Bangkoku jak własną kieszeń.

Ani razu nie zatrzymał się przewodząc zbiorowej ucieczce. Szybko wszedł do utrzymanego w jaskrawej tonacji sklepu z elektroniką i wybiegł stamtąd tylnymi drzwiami, cały czas trzymając Akamu za rękę. Od czasu do czasu oglądał się na Lynn zachęcająco, jakby chciał jej pokazać, że o niej nie zapomina.

Kiedy już oddalili się od korka ulicznego wokół posiadłości Hawkinsa, wcisnęli się do taksówki z przyciemnionymi oknami i fotelami, które były ustawione naprzeciwko siebie. Maui przemówił do kierowcy po tajsku. Kierowca skinął głową, a Maui usadowił się wygodnie na fotelu.

- Jak nas znalazłeś? - zapytał Akamu, ciężko dysząc. Widać było, że boi się, iż Maui wybuchnie gniewem, którego przyczyny Lynn doskonale rozumiała: Maui kochał i cenił tego chłopaka nie ze względu na jego „pracę”, lecz dla niego samego.

- A co cię to obchodzi? - odparł Maui. - Przez ciebie zamartwiałem się na śmierć.

Myślałem, że nie żyjesz. - Ale kiedy mówił te słowa, cały czas ujmował twarz Akamu obiema rękami.

- Wszystko w porządku?

Czy zjawilem się na czas? - zdawały się pytać jego oczy, gdy przez chwilę patrzył na Lynn.

- Jak nas znalazłeś? - powtórzył z naciskiem Akamu.

- Ktoś o imieniu Sattva skontaktował się ze mną - powiedział Maui. - Co było szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo Lynn najwyraźniej nie uznała tego za ważne.

- Akamu nie uznał tego za ważne - poprawiła go. - Oczywiście nie wiedziałam, kim jesteś, a on nie chciał mi tego powiedzieć. Nawet nie chciał przyznać, że cię zna. A po tym zdarzeniu dosyć długo nie rozmawialiśmy ze sobą.

Maui miał na sobie spodnie khaki i jasnozieloną koszulę z szorstkiego, surowego jedwabiu, jedną z tych, które można było kupić za bezcen na ulicznym straganie. Miał niechlujną brodę. Twarz zdradzała znużenie, a oczy były przekrwione.

- Sattva mówiła mi, że być może pokażesz się u Hawkinsa - powiedział. - Bałem się, że przybędę za późno.

- Przybyłeś za późno - odparła Lynn. - Jeśli chodzi o Hawkinsa. - Skuliła się na swoim fotelu. Kolejna śmierć. I po co? Nadal nie wiedziała. W każdym razie nie była pewna odpowiedzi.

- Jak się czujesz? - Maui znowu zwrócił się do Akamu.

- Świetnie - odparł Akamu. Z jego przejrzystych oczu biła nieszczerłość. Lynn zdumiewały te sztuczki. Z nią nie próbował tak pogrywać.

Wiedział, że ona nie da się nabrać.

- Nie czuje się świetnie - powiedziała Lynn. - Teraz sprawia wrażenie zdrowego, ale nie sądzę, żeby to długo trwało. Potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Maui popatrzył na nią uważnie.

- Myślisz, że możesz mu pomóc?

- Ja?

- Ja nie potrzebuję pomocy! - wrzasnął Akamu i widoczny w lusterku kierowca aż zamrugał oczami.

Maui trzymał Akamu za obie ręce. Patrzył na niego z surową powagą. Lynn wieszowała sobie, że nie jest obiektem tego spojrzenia.

- Akamu, to jest niebezpieczna gra.

Akamu odwzajemnił jego spojrzenie.

- Niedługo utworzy się okno. Wszyscy są gotowi, prawda? Do tego czasu będę już znał trasę. Będę ją czuł w swoich kościach. W głębinach swojego umysłu. Będę gotowy do pilotowania Hawai'i Loa. Ale muszę pozostać w tym stanie! Muszę to kontynuować!

- A ja nie mogę ci na to pozwolić - odparł Maui, patrząc na niego spokojnie. - Zwłaszcza jeśli mam cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii. To nie jest takie ważne.

- Jest ważne i ty o tym wiesz! - Oczy Akamu napełniły się łzami i zaczął histerycznie szlochać. - A Lynn wyrzuciła dowody!

Maui spojrzał na Lynn.

- Miałaś te dowody i wyrzuciłaś je?

- Wtedy myślałam, że to DNA Mao - wyjaśniła. - I myślałam, że zostaniemy zabici, ponieważ było tam urządzenie namierzające.

Maui mocniej uściśnęła Akamu i zerknęła na Lynn w poczuciu bezradności.

- W takim razie sądzę, że IS je znalazła - powiedział zrezygowany. - Jeszcze jeden problem. Ale moim zdaniem to i tak był fałszywy alarm. Możliwe, że te dowody nie są kompletne. Najbardziej niepokoję się o Akamu. Musi być jakiś sposób, żeby mu pomóc. Jeśli ty nie chcesz tego zrobić, na pewno uda mi się kogoś znaleźć. - Z jego głosu bił teraz chłód.

- Zrobię, co będę mogła - odparła pośpiesznie. - Jak dotychczas. - Była trochę zaskoczona, że nie zadał jej więcej pytań w związku z dowodami.

To dlatego, Lynn, że on jakimś cudem wie...

- Wybacz - powiedział Maui. - Zawsze dawałaś z siebie wszystko. - Kąciki jego wielkich oczu opadły, a ciemnobrązową twarz przecięła zmarszczka. - Mogę zapalić? - zagadnął i zanim zdążyła dać odpowiedź, nacisnął klawisz z papierosem. Otworzyła się popielniczka, a mały wiatraczek zaczął wirować po to, by pochłaniać dym, lecz nie działał zbyt sprawnie, i gdy Maui zapalił papierosa, zaczęły mu łzawić oczy.

Rozmasował plecy Akamu i mruknął:

- Już dobrze. Teraz odpoczywaj, Akamu. Odpręż się. Akamu zakaszła kilka razy, mrugając powiekami. Po chwili zaczął głęboko oddychać. Lynn była pod wrażeniem.

- Chyba nie jestem pewna, co on tam zażył w Triplerze - powiedziała.

- O, ja wiem - odparł ponurym głosem. - Wiem doskonale, co to było. I on najwyraźniej też wiedział.

- Co to za substancja? - zapytała Lynn.

Maui westchnął. Nastał już wieczór. W jego ciemnych oczach odbiło się światło nadjeżdżającego samochodu. Lynn zauważyła, jak bardzo jest smutny.

- To trochę zawile, ale istnieje jakiś rodzaj bionanu, który ustawia te małe... rzeczy,

które wchodzi w skład otoczki komórek mózgowych...

- Tubularne dimery - powiedziała Lynn.

- Hm? Tak, to o nie chodzi - powiedział i mocno zaciągnął się papierosem. - Z tego, co zrozumiałem, jeśli są ustawione na pewnych płaszczyznach, ułatwiają mózgowi przejście w stan kwantowego nadprzewodnictwa. Można wtedy dokładnie wiedzieć, co się dzieje, gdziekolwiek tworzy się rzeczywistość, która potem objawia się tutaj. - Znowu zaciągnął się dymem. W skąym świetle Lynn zobaczyła jego ironiczny grymas. - Akurat.

- Więc nie wierzysz, że to jest możliwe - zauważyła z ulgą Lynn.

- Hm - odparł Maui - niestety, nie jest to całkiem prawdziwe. Ale jestem pewien, że to, co wymyślili, w dalszym ciągu nie jest zbyt wyrafinowane. - Westchnął. - Stało się tak częściowo z mojej winy.

- Ja sądzę, że całe to cholerstwo stało się z twojej winy - powiedziała Lynn.

Maui wzdrygnął się, ale jego głos był spokojny, poważny.

- To wszystko było ryzykowne, każda część.

- Ludzie nie są twoimi pionkami - odparła z wyraźną irytacją. - Nawet jeśli... jeśli stworzyłeś ich w laboratorium!

- Zgadza się - rzekł Maui. - Spędziłaś z Akamu kilka tygodni. Czy on zachowuje się jak typowy pionek? - Przechylił głowę i patrzył na nią pytającym wzrokiem.

Lynn westchnęła.

- Wydaje się trochę... uparty - przyznała.

- Nie tak znowu trochę - odparł Maui. - W gruncie rzeczy istnieje możliwość, że to my jesteśmy jego pionkami. - Kiedy spojrzał na Lynn, kąciki jego oczu zmarszczył lekko ironiczny uśmiech. - Przemyśl sobie to wszystko, a tymczasem ja trochę odpocznę. - Ziewnął.

- Musisz mi wybaczyć, że mówię bez sensu. Od kilku dni nie zmrużyłem oka. Cały czas próbowałem znaleźć Akamu. No, a poza tym jeszcze czyniłem ostatnie, że tak powiem, ustalenia. Uwierz mi, będziesz później zadowolona, że uciałem sobie drzemkę.

Położył się na rogu fotela, przytulił Akamu ramieniem i zamknął oczy.

- Zaczekaj no - powiedziała Lynn. - Nawet nie zaczęłam zadawać pytań.

Ale nie była w stanie obudzić żadnego z nich.

*

Świt nad Pacyfikiem był intensywnym, zielonym, szybko przesuającym się skrajem światła, które obudziło Lynn. Ze zdumieniem stwierdziła, że leży w atlasowej pościeli w malutkiej, wyłożonej drewnianą boazerią sypialni. Po chwili wróciła jej pamięć.

Kiedy Maui zasnął, jechali o zmierzchu przez jasno oświetlony, pełen życia Bangkok.

Robili objazd w związku z Buddyjskim Festiwalem Nowego Księżyca - tysiące świec tworzyły krętą linię na ulicach otaczających Wat Po, gdzie spoczywał słynny Leżący Budda, ogromny i majestatyczny.

- W zeszłym tygodniu urządzili tu festiwal, jakiego jeszcze nie było - powiedział kierowca do Lynn. - Nazwali go Festiwalem Nowych Gwiazd. Był o wiele głośniejszy od tego, tańczyły w nim miliony.

- Miliony? - powtórzyła Lynn.

Kierowca wzruszył ramionami.

- Tak to wyglądało. Przez te dzikie tańce zatarasowali wszystkie ulice wokół pałacu i Wat Po. Musiałem robić duże objazdy, a klienci byli bardzo niezadowoleni.

Kiedy wyjechali z miasta, Lynn zapewne również zasnęła, gdyż obudzono ją, gdy droga zrobiła się wyboista. Potem usłyszała, jak Maui wydaje instrukcje, otworzyła oczy i zobaczyła małe lotnisko otoczone przez liczne prywatne samoloty.

Lynn zrobiła uwagę na temat luksusowego modelu, na którego pokład wsiedli, lecz Maui odparł tylko:

- Nie jest nasz. Od lat chciałem nim polecieć i wreszcie miałem dostatecznie ważny powód, by o niego poprosić.

Teraz mały odrzutowiec ścigał krawędź poranka. Lynn usiadła na łóżku i rozejrzała się dookoła. Prywatne odrzutowce nie były dla niej czymś nieznanym, ale ten naprawdę robił wrażenie. Postmodernistyczny, ambitny wystrój wnętrza, subtelnie falujące drewno i metal. I chociaż białe pierzaste czubki chmur były skąpane w różu i złocie, ta noc była dość krótka. Lynn nadal odczuwała zmęczenie.

Zdjęła ubranie i weszła pod prysznic. Przeszukała szuflady i założyła czyjeś szorty, tak duże, że musiała je związać paskiem. Znalazła jeszcze obszerną koszulkę z napisem „Restauracja Ono”.

- W samą porę! - powiedział Maui, kiedy usiadła obok niego w kabinie. Akamu leżał za ich plecami na kanapie. - Lądujemy za jakieś dwadzieścia minut.

- Gdzie? - zapytała.

- A - powiedział. - No wiesz, ściśle tajne.

- Kohala. - Północny półwysep Wielkiej Wyspy, scedowany na rzecz RO dziesiątki lat temu.

- Dokładnie.

- A jak, twoim zdaniem, mogę pomóc Akamu z tamtego miejsca?

- Tam dowiesz się, czy jest w IS ktoś, kto wie, jak mu pomóc.

- To dość interesujące stwierdzenie.

- Myślę, że wszystko, czego się dowiesz o Kohala, będzie niezmiernie interesujące.

- Jak on mógł uciec z taką łatwością? - zapytała Lynn. - Czyżby nikt go nie pilnował? Maui pochylił się i dokonał kilku cyfrowych poprawek.

- Nie, do diabła, po prostu pozwalamy mu na wszystko. Gdyby nam powiedział, że chce obrabować bank, na pewno byśmy mu w tym pomogli. A jak ci się zdaje?

W Lynn zaczęła brać górę wrodzona niesforność.

- Ale dlaczego nie wykazaliście większej ostrożności? Co z innymi dziećmi - innymi klonami - które zmarły?

Skinął głową. Zadrżał mu jakiś mięsień w szczęcie.

- To ty powinnaś się zastanowić, kto je zabił - odparł szorstkim tonem. - My nie chcieliśmy tworzyć naszych klonów beznamiętnie, tak jak montuje się wyroby w fabryce. Być może daliśmy im zbyt dużo wolności, sprawiliśmy, że nie potrafiły się uchronić przed niebezpieczeństwem, ale jaką mamy alternatywę? Pragnęliśmy, żeby stały się częścią większej społeczności, bo w przeciwnym razie czy przejmowałyby się losem swoich bliźnich? I co by wiedziały? Jak mogłyby się zgodzić na pełnienie roli przywódców?

- A mogłyby się nie zgodzić? - zapytała Lynn zgryźliwie.

- No cóż, jeden z nich mimo swojego wieku zapowiada się na świetnego specjalistę od bankowości inwestycyjnej w Hongkongu. Dzięki temu programowi dowiedzieliśmy się bardzo dużo o istotach ludzkich, o ich klonowaniu i jego następstwach. Chcieliśmy, żeby dorastały w możliwie normalnych warunkach. Nie było ich tak wiele.

Ale więcej niż zakładała Lynn. Uświadomiwszy to sobie, poczuła, że nie byłoby w porządku wprawiać go w przygnębienie. Widziała, jak drgają mięśnie jego policzków.

- Akamu mówił o Społeczeństwach Pierwotnych - powiedziała, żeby zmienić temat.

- Tak - odparł, podczas gdy samolot przemknął przez kłęb chmur w drodze na lądowisko. - Społeczeństwa Pierwotne pozwolą nam opuścić tę planetę i przetrwać w rozmaitych warunkach. Nie ma żadnej hierarchii. To jest prawdziwa demokracja, ale ludzie muszą się uczyć, jak w niej funkcjonować. Muszą wierzyć, że będzie skuteczna. Muszą się nauczyć ufać samym sobie, wiedzieć, jak uzyskiwać dostęp do informacji, do prawdziwej informacji, a nie czegoś, co im się wciska. Muszą się nauczyć kompromisu, tworzyć nowe drogi, wyznaczać cele, myśleć o społeczności jak o prawdziwej społeczności, a nie dyktaturze, choćby łagodnej. Dla pojedynczej osoby to wielka odpowiedzialność. I muszę przyznać, że dla kogoś takiego jak ja słuchanie innych to jedna z najtrudniejszych umiejętności. Ale sądzę, że to jedyna forma rządu, która sprawdzi się na dłuższą metę. A my

mamy na myśli właśnie odległą perspektywę czasową.

Gwałtownie przechylił samolot nad wybrzeżem Kohala.

Morze było przejrzyste, turkusowe, okolone cienką linią piętrzących się w oddali fal, białych na tle czarnej lawy. Strome, zalesione klify były poprzecinane pionowymi, wąskimi dolinami. Przeważająca część Wielkiej Wyspy była względnie młoda z geologicznego punktu widzenia. W miarę jak płyta tektoniczna, na której przycupnęły Hawaje, obracała się w stronę północną nad plamą gorącą, formowały się poszczególne wyspy. Kohala stanowił najbardziej wysunięty na północ punkt Wielkiej Wyspy, o wiele starszy od części południowej. Teraz w morskich głębinach na południe od nich tworzyła się nowa wyspa.

Lynn wyciągnęła rękę w stronę odległego pióropusza dymu.

- Czy to Kilauea? Myślałam, że nie wybuchał od wielu lat.

- Nie wybuchał - odparł Maui. - Ale w przypadku wulkanu to oczywiście krótki okres.

Ponowił erupcje kilka tygodni temu. Jego rzekome „uśpienie” było jedną z przyczyn, dla których udało się namówić inwestorów z IS do sfinansowania tunelu wyrzutni na Wielkiej Wyspie. - Uśmiechnął się szeroko, wyglądając przez okno i skupiając uwagę na lądowaniu. - To jest i złe, i dobre. Złe dla IS, ponieważ wyrzuciła pieniądze w błoto. Wielka Wyspa jest najmniej stabilna sejsmicznie ze wszystkich wysp. Ludzie z IS nigdy nie skorzystali z tego tunelu, chociaż jest nowiutki, ukończony, gotowy do użytku. Za duże ryzyko. Nadal używali tego na Oahu, żeby prowadzić prace nad statkiem pokoleniowym.

- Ale dobre dla członków Ruchu Ojczyźnianego - odezwała się Lynn. Dobrze wiedziała, w jakim celu zbudowano ten tunel.

Albo tak jej się wydawało. Żeby przekazywać pieniądze dla jej braci i im podobnych. Teraz ogarniały ją wątpliwości.

- Akamu powiedział mi o twoich planach. I o swoim zamiarze zostania pilotem.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zagadnął Maui.

- Myślę, że zwariowałeś. I że przez ciebie Akamu również zwariował.

- Może zmienisz zdanie.

- A zatem gdzie jest wyrzutnia?

Maui pokazał okno.

- Wejście jest za górami, w pobliżu Kailua-Kona, gdzie wybrzeże stopniowo obniża się ku morzu. To prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd. Stamtąd tunel podnosi się, żeby pojazd mógł nabrać impetu. Potem biegnie przez góry i odchodzi od tamtego otworu - powiedział i zobaczyła tunel w otoczeniu lśniącej czarnej lawy, szklanego włókna tej ziemi. Dookoła stali pilnujący go żołnierze, z tej odległości podobni do lalek. Tunel należał do Interspace, ale

wyjście graniczyło z terenem Hawajskiego Ruchu Ojczyźnianego.

Maui zapewnił maszynie delikatne lądowanie i zatrzymał ją. Oczy miał jak Akamu, ciemnobrązowe i duże, ale bardzo poważne, kiedy zwrócił się do Lynn.

- Chociaż ten projekt jest bardzo ważny, ta ostatnia historia omal mnie nie zniechęciła. IS się nas boi. I powinna. Myślę, że to dlatego uciekają się do skrajnych metod. - Westchnął. - I chyba to właśnie każe Akamu wierzyć, że on sam też musiał zastosować takie metody. Kiedy jesteś młody, nie myślisz o negatywnych aspektach. Wydaje ci się, że jesteś nieśmiertelny. Ale mamy mało czasu. Musimy odnieść zwycięstwo szybko, bo inaczej ta szansa przepadnie raz na zawsze. Nie tylko nam, ale wszystkim ludziom. - Kiedy mówił te słowa, nieświadomie chwycił kryształ wiszący na jego szyi na cienkiej, wyraźnej nitce - czyżby to była żyłka wędkarska? Przypomniła jej się Akamu. To u niego widziała kiedyś taki kryształ. Przyjrzała mu się uważniej. Przedstawiał polinezyjskie czółno, którym żeglowało się nawet tysiące mil.

- Widzisz - powiedział - gdyby nie Akamu, nie posiadałbym się ze szczęścia. Teraz urzeczywistniają się wszystkie nasze plany. Dzieło mojego życia. Brakuje tylko kilku elementów tej układanki. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Jednym z nich jesteś ty.

- Ja! Jak tylko Akamu poczuje się lepiej, kończę z tym wszystkim. Zostanę pustelnicą. - Wstała jak on i poszła za nim do drzwi.

Odwrócił się i położył jej rękę na ramieniu.

- Zaczekaj, to się przekonasz - powiedział z lekkim smutkiem w głosie. - Nie jestem pewien, czy naprawdę będziesz w stanie to zrobić. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nie. - Odkręcił koło otwierające drzwi. - Idziesz pierwsza - oznajmił i wrócił po Akamu.

Jak zawsze przy powrocie, Lynn była zdumiona intensywnością barw, chłodnym, czystym powietrzem, kiedy schodziła po schodkach z odrzutowca. Palmy zawzięcie się wyginały na porannym wietrze. Ich korony miały przyćmiony, błękitno-zielony odcień. Stały w rzędzie, który był granicą niższego skraju klifu. Przed jej oczami rozpościerały się górskie trawy, a za nimi strome, zalesione góry, na których piętrzyły się kwieciste baldachymy drzew, przetykane olśniewającą żółcią i czerwienią, miotane podmuchami bryzy. Lynn słyszała tylko szum wiatru pośród niezliczonych liści.

Na końcu pasa startowego znajdowała się wiejska dróżka, ocieniona konarami bardzo starych drzew. Byli kilkaset metrów nad poziomem oceanu i zdążyła już zobaczyć pionowe klify, które opadały stąd w dół - nie dałoby się na nie wejść. Po drugiej stronie błękitnego kanału znajdowało się masywne zbocze Haleakala, fioletowe z oddali.

Ten świat tętnił życiem. Jak ktokolwiek mógł chcieć go opuścić, zgodzić się wsiąść na

pokład dusznego, pozbawionego życia statku kosmicznego - choćby nie wiem jak wspaniałego - po to, by spędzić na nim resztę swoich dni? Nie miała pojęcia. Nigdy nie była w stanie zrozumieć tego dążenia.

Czekał na nich elektryczny jeep bez dachu. Maui bez widocznego trudu przeniósł Akamu i ułożył go na tylnym siedzeniu, usiadł za kierownicą i uruchomił pojazd. Jechali w milczeniu pod wielkimi drzewami. Przed nimi przelatowały ptaki.

Właściwie nie była pewna, czego oczekiwała - szafasów z trawy? Doznała lekkiego szoku, gdy na nadmorskich urwiskach, spijających światło z bezkresnego nieba, ujrzała kilka kopuł podobnych do budowli u Sattvy. Nieco dalej, w pobliżu wodospadów, stały liczne, fascynujące domy ze szkła, drewna i czarnej lawy. Były całkowicie nowoczesne i wtapiały się w krajobraz.

Ale Maui nie zabrał jej do nich. Najpierw krótko rozmawiał z ludźmi, którzy ich powitali, po czym wziął ją za ramię i zaprowadził do schludnej szopy. Czują, że jest wyczerpany, mówiły jej to jego oczy i zapach skóry, kiedy weszli do windy w szopie. Zjeżdżali przez niespełną minutę.

Spodziewała się zimnych, błyszczących podziemnych korytarzy, takich jak w Interspace, ale przeżyła miłe rozczarowanie.

Drzwi otworzyły się i ujrzała coś, co przypominało wnętrze katedry, lecz wydawało się naturalne. To, co kiedyś pochwylił strumień lawy i co stworzyło tę scenerię, już dawno zniknęło. Gładkie płyty z drewna były rozmieszczone w równych odstępach na podłożu w wielkim, podobnym do lobby pomieszczeniu, w którym pełno było palm i innych tropikalnych roślin bujnie rosnących dzięki przyćmionemu oświetleniu. Był tam jeszcze mały wodospad. Skąpo oświetlone korytarze z luminescencyjnymi podłogami odchodziły od centralnie położonego atrium w kierunku lądu, zaś bliżej morza znajdowało się wielkie, odsłonięte miejsce, które zalewało wnętrze blaskiem. Kobieta, która pełniła funkcję strażniczki, skinęła głową na Maui i jakiś znikający w korytarzu mężczyzna odwrócił się i pomachał ręką.

- Każ doktorowi Konapai natychmiast przyjść - powiedział strażniczce, a ona znowu kiwnęła głową.

Maui poszedł z Lynn na otwarty balkon. Oparła się o balustradę, ciężko oddychając. Balkon wykuto w zagłębieniu z czystej, czarnej lawy, które naśladowało zagłębienie z wodą kilkaset metrów niżej. Popatrzyła w prawo, potem w lewo. Chociaż była tak blisko, szkło wtopione w klif po obu stronach na długości setek metrów było prawie niewidoczne, mieszając się z naturalnym połyskiem lawy.

Zapach suszących się na skałach wodorostów mieszał się ze słonym powietrzem. Łoskot fal uderzających o skały w oddali brzmiał jak powitanie. Lynn brakowało tego intensywnego błękitu Pacyfiku.

- Nie ma to jak w domu - odezwał się Maui. Akamu, wciąż leżący na kanapie, na której położył go Maui, otworzył oczy.

- Ją chcę do mojego mieszkania - powiedział, wyciągając rękę. Maui złapał ją i trzymał mocno przez chwilę.

- Odpoczywaj - powiedział Maui. - Za chwilę przyjdzie doktor Konopai i zajmie się tobą. - Lynn ze zdumieniem zobaczyła, że Akamu zamyka oczy i wtula się w poduszki.

Maui zwrócił się do niej.

- Chodź. Pora zabrać się do roboty. Muszę ci coś pokazać.

Poszła za nim do obszernego pomieszczenia na końcu kompleksu. Dostrzegła sypialnię, przyjemną, ale bezosobową, jak w hotelu.

Na środku szklanej ściany znajdował się zapasowy, elegancki system wirtualny.

Konsola była wygiętym fiatem, a przed nią znajdowało się krzesło z cienkich, metalowych rurek, wyściełane poduszką i podobne do owada. Miało kółka. Maui zachęcił ją, żeby usiadła. Było zaskakująco wygodne. Maui wysunął bliźniaczo podobne krzesło i usiadł obok niej.

- Witaj w Interspace - oznajmił.

Spojrzała na niego.

- Śmiało - powiedział. - Spróbuj.

Założyła hełm w postaci dwóch metalowych warstw. Kiedy nacisnęła podstawkę obok ucha, opuścił się panel oka. Usadowiła się wygodniej na krześle i nacisnęła klawisz na konsoli poręczy.

Lynn Oshima znalazła się w swoim Koolau House. Szybko ominęła strażnika i windę, i weszła do środka.

- Pozwoliłem sobie od razu skierować cię do domu - oznajmił Maui.

- Och, piękne dzięki - odparła nieco wstrząśnięta.

Wykorzystując panel pod swoją prawą ręką zaczęła krążyć po swoim własnym systemie. Zobaczyła swoje najnowsze, liczące kilka tygodni dzieło, w którym całkowicie wymazała geneskan Akamu. Starła się, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Było w tym trochę ironii. Przecież robiła takie rzeczy od wczesnej młodości.

- Szpiegowaleś mnie! - zawołała, czując, że to co mówi, jest bardzo przewidywalne.

- Nie, nikt tego nie robił. - Nie widziała jego twarzy, słyszała tylko jego głos, niski i

uspokajający. - Dotychczas nie interesowaliśmy się tobą zbyt. Ale jak widzisz, sprawa jest otwarta. - Podjechał krzesłem do szafki i wyciągnął z niej inny hełm, po czym włożył go. - Patrz teraz.

Znaleźli się w kwaterze IS. Słyszała nawet rozmowy ludzi. Przeniósł ją i siebie do jakiegoś magazynu, zamówił dodatkowy ponton jako zapasową szalupę ratowniczą.

Przez następne dwadzieścia minut pokazywał jej serce i duszę Interspace, nie zdradzając żadnych emocji. Zachowywał niewzruszony spokój, czuł się tutaj jak u siebie.

Łatwo było pojąć, w jaki sposób Akamu przygotował plan wkroczenia do laboratoriów Triplera.

- Myślisz, że znajdziesz to, czego potrzebujesz? - zapytał Maui. - Wziął ten towar... tutaj... - Pokazał kalendarz, zaznaczył na nim dzień sprzed mniej więcej miesiąca.

- Jeśli tam jest, to go znajdę - odparła. - Inna sprawa, czy zdążę.

- No cóż - rzekł Maui. - Czasu jest rzeczywiście mało.

- Właśnie to powiedziałam.

- Nie - odparł. - Chodzi mi o to... jak dużo Akamu powiedział ci o naszych planach?

- Hm, niewiele. Tylko to, że macie zamiar przejąć statek pokoleniowy. Właściwie to brzmi trochę dziwnie.

Maui oparł się na krzesło. Miał ponurą minę.

- Mam nadzieję, że wszyscy inni, którzy mają jakieś pojęcie o naszej pracy, myślą tak samo. Ale musimy dokonać tego szybko. Odbył się już chrzest statku. Planują start w ciągu miesiąca. Teraz - Lynn miała wrażenie, że jego serce bije mocniej z podniecenia - właśnie teraz mamy największą szansę. - Zniżył głos do intensywnego szeptu. - W ciągu kilku następnych dni.

- Dni? - zapytała. - Ale myślałam... to znaczy, według oficjalnego planu ma się to odbyć dopiero w przyszłym roku...

- Nie - uciął Maui. - Wszystkie procedury zostały uruchomione. To, co planowaliśmy od piętnastu lat.

Pokazała ekran.

- Od jak dawna się tym zajmujesz?

- Od wieków - powiedział. - Od wieków. - Wstał. - Sprawdź, co z Akamu i trochę odpocznę. Oni potrafią go utrzymywać w stabilnym stanie, przynajmniej przez jakiś czas. Tutaj wszyscy wiedzą, kim jesteś i po co tu przybyłaś. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, od razu proś. Widziałaś przejście międzynarodowe?

Skinęła głową.

- Jest tutaj wielu ludzi, którzy bardzo chcą nam pomagać. Ruch RO działa na całym świecie. Na pewno potrafisz rozgryźć ikonki. Och, zapomniałem. Pewnie będziesz chciała coś zjeść.

Oparła się o krzesło.

- Nie rozumiem. To oczywiste, że jesteście w stanie kontrolować Interspace. Co robicie?

- Mam nadzieję, że to nie jest oczywiste - rzekł. - Nie chcemy odkrywać kart za szybko. Po prostu zachowujemy ostrożność, a wszelkie dokonywane przez nas zmiany są absolutnie konieczne i bardzo nieznaczne, chociaż zważywszy wielkość tej organizacji, nikt nie zauważyłby nawet dużych zmian - po prostu pomyślano by, że ktoś dał na nie pozwolenie. Niech odwalają całą robotę. My jesteśmy tylko grupą niedomytych, głupich tubylców, których interesują wyłącznie dawne legendy. Z niepoważnym, pretensjonalnym, podziemnym urządzeniem, o którym oni wiedzą wszystko, a przynajmniej tak sądzą. - Mówił spokojnie, ale twarz miał rozgorączkowaną. - Na razie chcę tylko, żebyś wyleczyła Akamu.

- Posłuchaj - odparła. - Mamy do czynienia z bardzo delikatnymi zmianami w chemii mózgu.

- No to odwróć je. Spraw, żeby znowu był normalny. Taki jak dawniej.

- On nigdy nie był normalny.

- Był całkowicie normalnym Kamehameha, a Kamehameha dożył późnej starości. Lynn, nie jestem głupcem. Rozumiem rzeczy, które mogą robić ludzie tacy jak ty, być może rozumiem je lepiej, niż myślisz. Ja tylko nie jestem w stanie zrobić ich sam.

- Nie uważam, żebyś był głupcem.

- Może jestem, i to zdesperowanym głupcem. Mamy tyle do zrobienia, a tak mało czasu, i jeszcze kocham Akamu.

- Może jemu się podoba to, kim jest.

- A tobie?

- Naturalnie, że nie. Mówię ci tylko, że będzie miał złamane serce, jeśli utraci możliwość skończenia pracy nad tymi dowodami. Znienawidzi nas.

- To i tak o niebo lepiej, niż alternatywa - odparł Maui. - Nie obawiasz się, że on może umrzeć, Lynn?

- Bałam się - przyznała. - I nadal się boję. Ale... pomyśl o tym, Maui. Co będzie, jeśli któregoś dnia zrozumiesz te rzeczy? One są jak powietrze, którym oddychasz. A potem człowiek czuje się jak śmieć. Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, o czym myślałeś. Nie rozumiesz, jakie to może być bolesne? Po prostu wcale nie jestem pewny, czy taka kontrola, o

jakiej mówisz, w ogóle jest możliwa. Twierdzę, że mogę jeszcze pogorszyć sprawy. Dla mnie jest to wprost zatrważające. On wygląda bardzo źle, ale gwałtowny rozwój mózgu wytrąca z równowagi cały organizm. Tworzą się rozmaite rodzaje nowych połączeń neuronowych.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł szorstko Maui. - Po prostu o tym nie wiem. A te dowody są ważne, ale robimy postęp, wykorzystując wiele innych źródeł. Myślę, że te dowody są pod pewnym względem jak nieuchronna wiedza. To informacja, którą wreszcie jesteśmy w stanie odkryć i zastosować. Nigdy nie liczyliśmy na rewelacje jednej tylko osoby, zwłaszcza że mowa tu o dziecku. On wziął to wszystko na siebie.

- Może świadomość, że jest Kamehamehą, dała mu poczucie, że jest dla ciebie kimś ważnym - wypaliła. - Niełatwo jest żyć w przeświadczeniu, że stworzono cię tylko dlatego, że jesteś taki jak wspaniała, bajeczna, potężna postać z przeszłości. I w jakim celu? Doprawdy, w jakim celu?

Maui cedził słowa powoli.

- Sklonowanie króla Kamehameha było pomysłem Lelani. Mojej babki. - Ręka opadła mu na kryształowy statek kosmiczny i Lynn przypomniała sobie, jak oni go nazywają - Hawai'i Loa. - Była hawajską kapłanką, więc to była dla niej świętość. Miała wizję idealnych Hawajów, przeprowadzki do zupełnie nowego świata, posiadania przywódców zdolnych do oceny kompletnie nowej sytuacji, tak jak to uczynił Kamehameha, kiedy zjawili się Europejczycy, i potrafiących obrócić tę ocenę na własną korzyść. Przez sto lat dobrze sobie radziliśmy, dopóki nie wygasł ród Kamehameha. Jednak choroby, takie jak odra i ospa, w ciągu dwudziestu lat zmniejszyły naszą populację o przeszło połowę. Co więcej, misjonarze jasno dawali do zrozumienia, że tylko kobiety zamężne powinny mieć dzieci, a to dla Polinezji było zupełnie nową ideą. Małżeństwo istniało, ale dzieci... były czymś wyjątkowym. Należały do całej społeczności. Było czymś zupełnie zwyczajnym, że para dawała swoje dziecko siostrze czy bratu na wychowanie, sama wychowywała zaś dzieci innych. To cementowało społeczność. Dzieci nie były „własnością”, a tożsamość ojca nie miała większego znaczenia - w każdym razie nie w sensie „uznawania” dzieci. Kiedy zjawili się misjonarze i wcisnęli wszystkim swoją filozofię, aborcja i dzieciobójstwo ze strony kobiet, którym kazano się wstydzic własnej kultury, zdziesiątkowały ludność w jeszcze większym stopniu.

Myślę, że Lelani myślała o tym w ten sposób: oto coś, co zachowało się z czasów, gdy wszystko dobrze się układało, i te dzieci będą symbolem powrotu naszej pomyślności. Ale sądzę, że było w tym wszystkim coś znacznie bardziej poetyckiego. I miała słuszność. Posiadanie tych dzieci było szalenie ważne dla RO. One wszystko na powrót scalały. Możemy

korzystać z technologii współczesnego świata jak wszyscy. To coś w rodzaju mana, siły. Sprowadziliśmy tutaj trzy pokolenia hawajskich dzieci, żeby odebrały wykształcenie, którego nigdy nie zapewniło im państwo. Mieliśmy własne, prywatne szkoły. Posiadanie dzieci Kamehameha - ściślej rzecz biorąc, klonów, chociaż jestem pewien, że nie tylko w ten sposób myślisz o Akamu - nadało temu wszystkiemu odrobiny magii. Kiedy hawajskie dzieci opuszczają to miejsce, by pójść do college'u, są pewne siebie i dumne, wykorzystują w nauce wszystkie swoje możliwości. Wiele wróciło, by tutaj pracować, inne pracują dla nas na różnych stanowiskach na całym świecie, a mnóstwo prowadzi normalne życie, wykonując najrozmaitsze zawody. Doprawdy, Lynn, kto mógłby nie chcieć własnych narodzin!

Na pewno nie taki optymista jak ty, pomyślała.

Nie przestawał mówić.

- Zapewniam cię, że klonowanie wiąże się z problemami, jakich nie przewidzieliśmy, ale wszyscy w końcu będziemy musieli się z nimi zmierzyć, więc czemu nie teraz? Teraz, kiedy przebywamy na Ziemi, jestem tutaj dla każdego z nich, do samego końca. One są moimi dziećmi. Było dla mnie czymś absolutnie zdumiewającym, że to w ogóle działa! To jest jak cud. Cud - powtórzył ciszej. - A teraz wszystko zaczyna tworzyć sensowną całość. - Westchnął. - Wiem, że jesteś zmęczona, a ja dałem ci dużo pracy.

- Zrobię, co będę mogła. - Archiwum doktor Honsy. Myślała o nim nawet teraz. Trzeba będzie sprawdzić najpierw tam - w miejscu od dawna zamkniętym... podniosła hełm.

- Och, zaczekaj. - Maui otworzył szufladę i wyjął małą, srebrną płytkę. Zawahał się na moment, a potem wręczył ją Lynn.

- Przechowywałem ją dla ciebie - powiedział. - Jeśli uważasz, że mamy czas, może powinnaś najpierw przyjrzeć się jej. To nie potrwa długo. A jeśli chcesz więcej informacji, naciśnij ikonkę gazety w korytarzu informacyjnym. - Odchodząc, klepnął ją po ramieniu. - Masz świetne zabezpieczenie.

Trzymała płytkę w ręku po jego odejściu, niemal bojąc się na nią spojrzeć.

Podeszła do rzędu okien i była mile zaskoczona, że się otwierają. Podmuch wiatru był tak silny, że rozwiął jej włosy.

Tuż za oknem, na gruzelkowatej lawie, jarzyła się jasnozielono odporna na mróz, zielona naupaka o krótkich, lekko zaokrąglonych liściach i delikatnych, białych kwiatach. Kiedy Lynn patrzyła, jak roślina drży pod wpływem każdego podmuchu, przychodzili jej na myśl starożytni Polinezyjczycy, którzy przesuwali granice, żyli w skrajnie ciężkich warunkach, kolonizowali każdą piędź ziemi. Usłyszała stłumiony szum fal w dole, spijała samą niebieskość morza niczym balsam, wdychała słone, ostre powietrze. Jakże za nim

tęskniła! A dotychczas nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Odsunęła się od okna i popatrzyła na płytkę. Chyba wiedziała, co na niej jest. Wróciła na krzesło.

Ale nie śpieszyła się, oglądała wiadomości. Przeczytała swój własny nekrolog. Przypadkowy, tragiczny w skutkach pożar w sklepie jubilerskim w Hongkongu. Jej osiągnięcia - raczej nieliczne. Jej zaangażowanie w życie społeczności - skromne. Bracia byliby bardzo rozczarowani, gdyby musieli jej zwrócić to, co odziedziczyła. Oglądała wideo z przyjęć na cześć ukończenia statku pokoleniowego, ominęła przejście, które pozwoliłoby jej wirtualnie zmieszać się z bardziej subtelnym zapisem wielkiej fety.

W końcu nie mogła już dłużej zwlekać. Wróciła i wsunęła płytkę do odtwarzacza w sypialni. Usiadła na skraju łóżka i patrzyła, jak przemawia jej ojciec.

19

- Lynn - zaczął, a ona natychmiast zatrzymała obraz i przyglądała się twarzy ojca.

Jego ukochanej twarzy.

Była bardziej pomarszczona niż w jej wspomnieniu, chociaż ostatni raz widziała ojca niespełna trzy miesiące temu, na uroczystej kolacji wydanej przez Alysę, matkę bliźniaków. Pamiętała, że poprosił ją, aby została do późna i porozumiała z nim, a kiedy odmówiła, błagał o telefon. Te wspomnienia wpędziły ją w przygnębienie. W ogóle nie zadzwoniła. Dopiero co zaszła w ciążę i doświadczała euforii. Nie chciała słuchać krytycznych uwag, których nie szczędził jej, gdy znalazła pierwszą pracę i została muzykiem. Potrzebował trochę czasu, żeby oswoić się z myślą, że będzie miał wnuczkę.

Ale tych kilka miesięcy miało ogromne znaczenie.

W górnym prawym rogu zamrugała data. Dzień, w którym uciekła z Akamu.

Zdziwiła się, że twarz ojca jaśniała takim szczęściem. Nie widziała go w takim nastroju od lat. Jego uśmiech przywodził na myśl wspomnienie szczęśliwych dni, kiedy jeszcze żyła matka.

Zwolniła pauzę i ojciec przemówił.

- Lynn - powiedział. - Nagrywam te słowa, żeby przekazano je Maui z RO. Jeśli oglądasz mnie, to oznacza, że nie żyję. Ale nie rozpaczaj. Pragnę zostać pochowany na cmentarzu Nuuanu, obok mojego ojca i siostry. Twoi bracia wiedzą o tym i jestem pewien, że w tej kwestii mnie usłuchają. Otrzymałem pogroźki, ale nie dam się zastraszyć. Wiem, że zrozumiesz.

Przez wiele lat czułem coraz większy niepokój w związku z kierunkiem obranym przez Interspace. Byłem taki dumny z utworzenia tej organizacji! Wierzyłem, że nie ma wspanialszego przedsięwzięcia niż wysłanie ludzkości w kosmos. Ale dziwnym trafem wszyscy ci, którzy mieli ideały, rezygnowali albo ponosili śmierć. Interspace została zniszczona od wewnątrz. Nie za sprawą jednej osoby, ale przez współudział, którego źródłem jest subtelny szantaż. Ujmując rzecz prosto, zabiera się ogromne zyski, nie zostawiając dość pieniędzy na to, co powinno być robione.

Wiem, że masz okropne zdanie o swoich braciach, ale oni nie są tacy źli, jak ci się wydaje. Nie chcieli słuchać moich ostrzeżeń w sprawie Interspace, ale to nie są źli ludzie. Muszą chronić i opiekować się swoimi rodzinami. I nie pojmują, że sekcja wywiadowcza Interspace jest bezlitosna. Przejawia bezinteresowne okrucieństwo. Ci ludzie nie przejmują się mną ani tobą, ani twoimi braćmi, i nie będą ich słuchali. Myślę, że twoi bracia będą wstrząśnięci tym, jak mała jest ich władza w niektórych kwestiach. - Wzruszył ramionami i spojrzał Lynn głęboko w oczy. Jego śmierć wydawała się niemożliwa. Przecież stał tu przed nią.

- Być może każda taka duża organizacja, gdzie obowiązuje tajemnica, rodzi klasę szpiegów, którym wydaje się, że stoją ponad prawem - ciągnął, a potem wypił łyk wody. - Lynn, od jakiegoś czasu utrzymuję kontakt z RO. Przypuszczam, że to niestety cię zaskoczy. Mówię niestety, gdyż zdaję sobie sprawę, co oddaliło cię ode mnie, i myślę, że gdybyś wiedziała o mnie te rzeczy, to nie... nienawidziłabyś mnie tak bardzo. Ale nie chciałem Cię narażać. Mam nadzieję, że twoi bracia są zaskoczeni, w przeciwnym razie moje poświęcenie nie miało sensu.

Ci z RO to dobrzy ludzie. Ulżyło mojemu sumieniu, że przekazałem im wszelkie informacje, jakie byłem w stanie przekazać. Lubię ich. Oni reprezentują wszystko to, czym mogła się stać Interspace. I wiesz co, Lynn? Może Interspace wysłała ten wielki statek wiedząc, że nigdzie nie doleci, a wszyscy na pokładzie w końcu umrą. Idą w zaparte. Żeby uratować twarz - i zyski - muszą lecieć.

Ale RO ma inne plany. Mam nadzieję, że pomogłem im dodać niezbędne komponenty, nieznanne Interspace, które umożliwią statkowi funkcjonowanie!

Uderzył pięścią w niewidoczny na ekranie stół. Zmrużył oczy, w których tliły się łobuzerskie ogniki.

- Lynn, jeśli wszystko dobrze pójdzie, ten statek przeskoczy fraktala! - Wybuchnął śmiechem. - Och, świetnie się bawiłem podczas tych kilku spotkań z Maui. Opowiadał mi różne niesamowite historyjki, na przykład o przeskoku fraktalnym i skłonił do rozmyślań o

dziwnych rzeczach. Ja w niego wierzę.

- Jeśli oglądasz to nagranie, to dlatego, że pomógł ci mój stary przyjaciel, pułkownik Hawkins. Możesz mu zaufać. - Na jego twarzy zagościła nostalgia. - Zrobiłby dla mnie wszystko, tak jak ja dla niego. Nie narażałbym go na ryzyko, ale chodziło o ciebie, Lynn. Wiem jednak, że podjął się tego z zadowoleniem. Taki już jest. Byłem śmiertelnie przerażony, kiedy dowiedziałem się, że jesteś w takim niebezpieczeństwie, ale było już za późno i mogłem tylko zawiadomić Hawkinsa.

Chrząknął.

- Lynn, wiele razy próbowałem ci powiedzieć, jak bardzo cię podziwiam. Wiem, jak trudno ci było po utracie matki. - Znowu chrząknął. - Nie żałuję, że ożeniłem się z Alyssą, ale z pewnością żałuję, że nie zrozumiałem, że ona nie będzie dla ciebie matką.

- Westchnął. - Ciężko jest wychowywać dziewczynkę! Musisz przyznać, że byłaś niemożliwa! - Uśmiechnął się do niej. - Mam całą muzykę, jaką kiedykolwiek nagrałaś, moje kochanie. Całkiem często jej słucham. Jest piękna. Żałuję, że nie pomogłem ci więcej. Mogłabyś zostać wielkim kompozytorem.

Lynn zatrzymała ten obraz, wstała, zamrugała oczami, żeby się nie rozplakać, i kilkakrotnie przeszła po pokoju tam i z powrotem. Zastanawiała się, dlaczego odczuwa taką wściekłość. Złapała chusteczkę, wydmuchała nos, potem usiadła i znowu oglądała nagranie.

Jej ojciec przez chwilę milczał, wierząc się na fotelu.

- Wiesz, to trochę zabawne. Nic z tego, co ci powiedziałem, nie doprowadziło do zmian. Dlatego na pewno nie mogę ci dawać żadnych rad. Mogę ci tylko powiedzieć, że cię kocham.

Znowu moment milczenia. Potem powiedział nagle: „Do widzenia” i ekran zgasł.

Lynn rzuciła się na łóżko. Znowu słyszała rozbryzgujące się raz po raz fontanny piany, krzyki mew. Czuła powiew wiatru.

A zatem RO i Interspace były sobie bliższe, niż mogła podejrzewać. Ten wniosek poprawił jej humor. Czyżby wizja, o której Akamu mówił w tamtym pokoiku w Chaing Mai, była rzeczywiście... możliwa?

Hawkins bez wątplenia zamierzał przekazać dowody, a także Akamu, działaczom Ruchu Ojczyźnianego.

Dowody błyskotliwego, rozchwianego emocjonalnie Cena Kalakaua.

Które, jak twierdził Akamu, pomogłyby mu pilotować statek pokoleniowy - i to Hawai'i Loa - w przestrzeni międzygwiazdnej.

Do innego świata.

Jak?

Wyjęła płytkę z odtwarzacza i włożyła ją z powrotem do pudełka. Uświadomiła sobie, że nie ma gdzie schować płytki, więc zostawiła ją na środku łóżka. Wiadomości, powiedział Maui. Ale nie czuła się na siłach, by znowu doświadczać intensywnych emocji. Teraz była świadoma cierpienia Akamu. Opadła na miękkie krzesło, podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła rozmyślać.

Istniał sposób na to, aby wirus przeniósł nowy DNA do jego mózgu - jego własny, zwyczajny DNA. Będzie musiała dokładnie zbadać jego nan. Zdobyć dostęp do archiwów i dokładnie ustalić, co mu dolega. Tak. Tylko wtedy przekona się, czy można cokolwiek zrobić.

Cokolwiek? Co za myśl! Naturalnie coś da się zrobić. Przynajmniej zdoła w miarę ustabilizować jego stan.

Taką miała nadzieję.

Ktoś zostawił na stole czarne, lakierowane pudełko. Uniosła pokrywkę, wypła zupę miso, zmiotła plastry węgorka z grilla na słodko, a na koniec zjadła marynatę i zimny ryż.

Usiadła przy swojej eleganckiej maszynie i zaczęła pracę.

*

Wkrótce jej dochodzenie nabrało właściwego rytmu. Prawie zapomniała o udreće, która dała impuls poszukiwaniom. Odpowiadał jej kojący blask wirtualnych korytarzy, ale szybko porzuciła je, zniecierpliwiona - zwalniały jej tempo - i wkroczyła w królestwo czystej informacji.

Data, czas, miejsce. Laboratoria Triplera, ostatni miesiąc. Zawężała poszukiwania dość szybko: Hawajczyk, trzynaście lat, dwa miesiące. Zdrowy i pełen wrogości.

Złapany z blokerem urządzenia skanującego siatkówkę oka i małą fiolką bionanu w kieszeni przez mechanika, który musiał się z nim mocować. W wyniku tej konfrontacji mechanik miał złamane żebro.

Wykradał ogień.

Najwyraźniej już wchłonął połowę bionanu. Brakowało jednego mililitra. Fiolkę zabrano.

Substancja nie miała nazwy, tylko numer. Była mrożona przez wiele lat, wraz z tysiącami innych roztworów, z których każdy wywoływał określone zmiany w chemii mózgu niemające konkretnych zastosowań. A przynajmniej nikomu nie były one znane w tamtych czasach.

Potrzebowali piętnastu minut, żeby go rozgryźć. Oczywiście komputer szybko

dopasował osobę do próbki krwi z martwych klonów. Ani śladu dumy, którą musieli czuć, czy zaciekawienia - co ten dzieciak robił akurat tutaj?

Zostawili chłopca ze strażnikiem, który stanowczo go nie docenił.

Dzieciak uciekł, a oni nie wiedzieli o tym przez czterdzieści pięć minut.

Poleciało kilka głów.

Lynn uśmiechnęła się pod swoim hełmem.

No, dobrze. Ale co ze sobą zabrał?

Raport obejmował stare dane ujawnione podczas śledztwa dotyczącego eksperymentów na ludziach sprzed lat. Sprzed wielu lat.

Badania magnetycznym rezonansem jądrowym zmian mózgu diagnozowanej osoby, film pokazujący rozkwitającą barwę i zmienną aktywność. Lista pytań, które zadano diagnozowanej osobie, zadania, które wykonywała; pokazywany w tym samym czasie film, delikatne, urocze reakcje jej neuronów, jej...

Lynn zatrzymała poszukiwanie, nacisnęła opcję wstecz, otworzyła okno.

I odczuwała zachwyt.

Zbierano tutaj informacje należące do dziedziny, o której mówiła Sattva, wysoko na tamtej wietrznej, zimnej, tybetańskiej równinie. Mikrotubule. Pytania. Co widzisz teraz? Stały stan od dziesięciu do jedenastu herców, oscylacja, przy której, jak twierdziła Sattva, można było podtrzymać stan załamania funkcji falowej.

Brak danych. Brak danych. Brak danych.

Przez pięć minut diagnozowana osoba była martwa. Zgadza się?

Zwrócili jej fale mózgowie. Test zakończony.

Zatem co się stało? Co widziała? Gdzie była?

I co jej się przydarzyło?

Na ten temat nie było żadnych zapisków.

I w ogóle dlaczego Akamu zadał sobie tyle trudu, żeby to coś zdobyć?

Przypominała sobie fragmenty wieloletnich badań na temat tego, co czyniło ludzi wyjątkowymi. Tak, wiedziała, jak sprawiać, by ludzie byli wyjątkowi. To wszystko klasyfikowano jako informacje ściśle tajne. Po prostu eugenika. Manipulowanie, nawet w imię szczytnych celów, wielką inteligencją, w tej czy innej dziedzinie, nie było w porządku.

Ale czy było coś złego w tworzeniu albo próbie tworzenia istot, które z kolei mogłyby pociągnąć nas dalej, szybciej? Istot, które mogłyby, na Boga, zaoferować Wielką Zunifikowaną Teorię, chaotyczny rachunek różniczkowy... prawdę na temat czasu? Jaka była odpowiedź? Pozwalać dorosłym na dokonywanie oświeconych wyborów co do tego, jak mają

się zmieniać? Ale wtedy było już za późno. Na tym etapie mózg już się nie rozwijał.

To, co robił Akamu - rozwiązywanie dowodów - było czynnością głęboko ludzką, całkowicie naturalną. Z tego, co jej mówił, odebrał takie wykształcenie, że wręcz musiał przejawiać matematyczny geniusz. Tak łatwo było stworzyć środowisko, w którym dzieci mogły osiągnąć maksimum swoich możliwości. Wydawały się geniuszami w porównaniu z dziećmi, którym takiej szansy nie dano, ot i wszystko.

Lecz prawdziwy geniusz naprawdę istniał i ona o tym wiedziała. Widziała to na własne oczy - wielkie skoki, do których były zdolne niektóre dzieci, sposób, w jaki trzylatki opanowywały naukę czytania i wykorzystywały ją do studiowania złożonej matematyki w wieku lat siedmiu, a na dodatek bardzo to lubiły. To właśnie te dzieci badała. Wyjątkowe dzieci i wyjątkowych dorosłych. Kamehameha prawdopodobnie był taką wyjątkową osobą. Zaś Akamu był Kamehameha, przynajmniej z biochemicznego punktu widzenia.

Program nanowy w Interspace nie był realizowany metodą prób i błędów. Wcześniej wykonano mnóstwo badań na szczurach i nawet nie starano się ich kamuflować, bo przecież nikt nie przejmował się szczurami. Była w stanie do nich dotrzeć. Popatrzeć na pracę Honsy - a kto wie, co stało się z Honsą, kiedy jej ojciec wyrzucił tę kobietę. Lynn mogła ją wytropić. Ale najpierw...

Maui zadbał o to, żeby pobrać krew od Akamu zaraz po jego przybyciu; czuła wdzięczność, ponieważ to oznaczało dostępność jego genomu wraz z zasobem innych istotnych informacji.

Korzystając ze swojej wiedzy fachowej i doskonalonych od dawna umiejętności, wyizolowała nan w jego krwi. To, że była w stanie tego dokonać, oznaczało, że nan umiejscowił się w jego szpiku kostnym i wysyłał nieustanny strumień substancji modyfikujących. Wydawało się, że nan stymuluje wytwarzanie pewnych hormonów.

Jednym ze skutków tego procesu były zmiany kształtu tubularnych dimerów, co z kolei wpływało na kąt między ich płaszczyznami.

W tym koktajlu znajdowała się również bakteria, którą Lynn zidentyfikowała po dłuższym czasie. W końcu zorientowała się, że eksperymenty, które doprowadziły do stworzenia jej lekko zmodyfikowanej wersji, miały miejsce w Kopenhadze przed wieloma laty. Obecnie posiadano jeden z prototypowych komputerów kwantowych, o których wspominała Sattva.

Owa bakteria, wyizolowana ze skóry głębokowodnych węgorzy elektrycznych, żyła w symbiotycznym związku z tymi rybami. Jej obecność na skórze węgorzy z pewnością ułatwiała im wyładowania elektryczne. Teraz uczestnicy kopenhaskiego eksperymentu brali

odpowiednią zmanipulowaną wersję po to, by stymulowała ona ich połączenie z komputerem kwantowym.

Lynn miała rozgorączkowane oczy. Poprawiała oświetlenie i z zapalem kontynuowała poszukiwania informacji - wszelkich informacji, które mogłaby wykorzystać.

Węszyła w ślepych zaułkach, zdobywała dostęp do dawno zamkniętych archiwów, aż znalazła pracę Honsy i porównała ją z późniejszymi eksperymentami w laboratoriach Triplera. Były łączone z przedsięwzięciem, które nosiło nazwę: „Projekt Ludzkiego Nawigatora”. Zaznaczyła tę nazwę, żeby móc do niej wrócić później, kiedy już dotrze do źródeł bieżącego problemu.

Pracowała coraz bardziej gorączkowo - dane Honsy były pełne informacji o kolejnych pokoleniach martwych szczurów.

Zaczęła od nowa, systematycznie sprawdzając wszelkie tropy, które znajdowała w danych. Było to tak monotonne zajęcie, że popadała w desperację i bała się, że straci czujność i przeoczy coś bardzo istotnego. Zapewne będzie musiała wykonać tę pracę sama - dotrzeć do precyzyjnej struktury bionanu i zobaczyć, czy możliwe jest jej unieczynnienie tak, by jeszcze bardziej nie zniszczyć delikatnych tubularnych dimerów. Pomyślała, że chyba jednak może to zrobić i postanowiła zastosować inną metodę - zacznie od wyizolowanego przez siebie nanu.

Wstała, na chwilę zdjęła hełm i nalała sobie kawy z zostawionego przez kogoś dzbanka - nie pamiętała kiedy. Kawa była zimna, ale wypła ją całą. Była wyczerpana.

Kiedy wróciła do trybu wizualnego, w prawym górnym rogu zobaczyła migającą ikonkę, której wcześniej nie zauważyła - czyżby to było hawajskie czółno do żeglugi? Kliknęła je.

INICJATOR INTERFEJSU LUDZKIEGO NAWIGATORA URUCHOMIONY

Co?!

Szybko przeczytała informacje na pasku bocznym.

Dowiedziała się, że interfejs ludzkiego nawigatora statku pokoleniowego został zainicjowany i ukończony dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat. Łączył istotę ludzką z komputerem kwantowym. Ów komputer kwantowy przekładał funkcjonowanie mózgu na poziomie kwantowym na bieżące, nieustannie zmieniające się parametry przestrzeni wysokiego poziomu równie szybko, jak był w stanie myśleć pilot. Dzięki temu statek byłby w stanie...

Przeskoczyć fraktala.

Podpis jej ojca na tym projekcie wydawał się bardzo czytelny.

I oczywiście nie było żadnych danych eksperymentalnych na temat stanu pilota po dokonaniu takiej operacji.

Jednak kandydatem do takiej funkcji mógł być tylko ktoś, kto uczestniczył w planowanym stałym biofeedbacku w pewnych fazach zwiększonego rozwoju mózgu, który musiał się zacząć we wczesnej młodości.

Rozwścieczona zdarła hełm z głowy, czując, że zaraz się rozplacze.

Cisnęła hełm na krzesło i wstała.

Wybiegła do głównego punktu łącznikowego pod wysoko sklepionym dachem z chropowatej lawy. Liczne rośliny szumiały na wietrze, powietrze przesycił intensywny zapach kwiecia. Lynn czuła chłód. No, gdzież był ten jego apartament?

W pobliżu drzwi, przy konsoli siedziała jakaś całkiem żwawa kobieta, najwyraźniej była strażniczką. Pomachała Lynn, ta zaś poszła dalej, wprost do apartamentu Maui. Nawet nie zapukała. Zobaczyła, że panuje tu ciemność. Weszła do sypialni. Maui spał nago, co było widać w świetle księżyca. Potrząsnęła nim.

- Co? - zapytał.

- Obudź się - powiedziała. - Coś przede mną ukrywasz.

*

Wyszli na dwór. Noc była wietrzna, tropikalna. Chmury o ciemnych, podświetlonych obwódkach mknęły po powierzchni księżyca, a potem pozwalały mu znowu błyszczeć w całej okazałości. Ciągły szelest liści stawał się głośniejszy z każdym podmuchem wiatru, lecz zaraz cichł. Gdzieś w pobliżu musiały też rosnąć mimozy, bo czuło się ich słodki, ciężki zapach.

- Gdzie jest ta kopuła? - zapytała Lynn, rozglądając się dookoła.

- Jakies dwadzieścia minut drogi na piechotę - odparł Maui, który szedł skąpaną w księżycowej poświacie ścieżką tak szybko, że praktycznie musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku.

- Nie możemy tam pojechać?

- To dwudziestominutowy spacer po fasadzie klifu - rzekł.

- Dlaczego w ogóle ją zbudowałeś? - zapytała. - Jesteś pewien, że on tam jest?

- Całkiem pewien - odparł Maui ponurym głosem. Kiedy Lynn obudziła go, niemal zionąc ogniem, i kazała mu powiedzieć, gdzie jest Akamu, Maui wywołał panikę w szpitalu. Maszyny monitorujące twierdziły, że Akamu wciąż tam przebywa.

Ale to nie była prawda.

Czujniki w kopule zarejestrowały ruch, ale kiedy Maui próbował skontaktować się z osobą w środku, nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- Nie zapomniałaś. Nie mówiłem ci - rzekł. - Oni są właściwie czymś w rodzaju wytworu. Spróbuję to wyjaśnić, chociaż to nie jest moja dziedzina. Za to moja babka bardzo się tym interesowała. Prawdę mówiąc, to ona zapoczątkowała cały program. - Dotarli do podnóża klifu - czarnego, złowrogiego, ożywionego nocnymi hałasami. Lynn zobaczyła ze zdumieniem, że kiedy Maui stawia nogę na pierwszym schodku, na ścieżce robi się jasno od wmontowanych w nią świateł.

Mówił zadyszczanym głosem i podczas wspinaczki od czasu do czasu kaszłał. Lynn musiała iść tuż za nim, żeby go słyszeć.

- Kiedy jakieś trzydzieści lat temu prowadzono badania na temat świadomości, jedna z teorii głosiła, że zrozumienie świadomości i połączenie grawitacji z teorią kwantową okaże się jednym i tym samym. Nie jestem pewien dlaczego - może tylko dlatego, że przyjemnie nam było ludzi się, iż za jednym zamachem rozwiążemy dwie wielkie tajemnice. Rozumiesz, że załamanie funkcji falowej ponoć dopuszcza wszystkie możliwości jednocześnie.

- Tak - odparła Lynn. - Też za dużo o tym nie wiem. Ale wiem, że wielu fizyków odrzuciło tę przesłankę, posiłkując się Interpretacją Kopenhaską. A w każdym razie zapewnili, że nie możemy stworzyć czegoś, co już istnieje. To znaczy, samo myślenie nie ma mocy sprawczej. Ale chodziło o dostęp. Wokół nas istnieją możliwe wszechświaty - w obrębie tego wszechświata - tu i teraz. Myślę, że co do tego chyba wszyscy są teraz zgodni. Problem w tym, że z racji warunków początkowych różnią się od naszego pod względem fizycznym tak bardzo, że nie jesteśmy w stanie ogarnąć ich rozumem. Są pozbawione znaczenia. Z pewnością nie mogą być miejscami docelowymi.

- Są i inne teorie, Lynn - odparł Maui. - Według jednej z nich istniejemy w metawszechświecie, a nie wszechświecie. Tworzenie metawszechświata jest, jak wszystko, procesem chaotycznym, który na pewnych etapach swojej ewolucji staje się uporządkowany. Ilekroć ten fraktal, że się tak wyrażę, ulega krystalizacji, istnieją identyczne, powtarzane w nieskończoność wzory. A potem, jak powiedziałaś, to kwestia zdobycia dostępu. Tunel czasoprzestrzenny to pojęcie raczej przestarzałe, ale ludzie przynajmniej są w stanie jakoś się do niego odnieść.

Twój ojciec był bardzo otwarty na te idee i pomógł zainicjować pracę nad statkiem pokoleniowym, który mógłby umożliwić dostęp do metawszechświata. Oczywiście za pośrednictwem Sieci Ruchu Ojczyźnianego wspierają nas czołowi naukowcy z całego świata. Widzisz, nawet jeśli Kalakaua rzeczywiście dowiódł istnienia metawszechświata, nie można stwierdzić prawdziwości i fałszywości wszystkich twierdzeń wyższej matematyki. Dowiódł tego Godel. Tylko istota ludzka może je naprawdę pojąć. Ale ogromne szybkości potrzebne

do znalezienia się w metawszechświecie i nieprzerwany ciąg decyzji, jakie trzeba podejmować, oznaczają, że komputer kwantowy na statku musi być połączony bezpośrednio z umysłem człowieka, który rozumie te dowody. Ta osoba niekoniecznie musi je rozwiązać - musi tylko być w stanie pojmować je na głębszym poziomie. Właśnie o to chodzi, Lynn. Oficjalnie statek pokoleniowy został zbudowany tak, by podróżował szybciej od światła - by nadal eksplorował nasz kosmos i to, co jest poza nim. Ale interfejs komputera kwantowego, który pomógł stworzyć dla statku twój ojciec, umożliwi nawigowanie skokiem fraktalnym. Jednakże nie mamy pojęcia, jakie konsekwencje będzie miał ten wysiłek dla zaangażowanej weń osoby. Dlatego chciałem uniknąć takiej sytuacji. I właśnie dlatego zabroniłem Akamu zajmować się tym przedsięwzięciem.

Lynn ucieszyła się, że Maui na chwilę umilkł. Ale zaraz odwrócił się do niej i rzekł:

- Niejeden raz podsłuchiwał nas, kiedy rozmawialiśmy o tych sprawach. Nie potrzebował wiele, żeby go to wciągnęło.

- Jaką masz alternatywę? - zapytała Lynn. - Przypuszczam, że planowałeś zrobić tę samą rzecz, z kimś innym?

Maui potrząsnął głową.

- Zrobiliśmy coś analogicznego, z punktu widzenia sztucznej inteligencji. I walczyliśmy z czasem, usiłując wymyślić dla istot ludzkich jakiś bezpieczny sposób komunikowania, gdyż o terminie decyduje IS, kiedy uznaje, że statek pokoleniowy jest gotowy do startu. Kiedy znaleźli Akamu, myślę, że odkryli nasze atuty. Sądzę... sądzę, że zabili twój ojca, bo zorientowali się, co zrobił z komputerem kwantowym i ludzkim nawigatorem. Oczywiście oni nie mają nikogo, kto potrafiłby sterować takim statkiem. Najlepiej więc zabić osobę, której mogłoby się to udać. - Zaśmiał się ironicznie. - Właściwie to trochę zabawne - im większa organizacja, tym łatwiej ukrywać pewne rzeczy. Teraz gdy nabrali podejrzeń, chcą sfinalizować projekt szybciej, w ciągu następnych tygodni. Dlatego przystąpiliśmy do realizacji naszego planu. Członkowie naszej załogi przybywają całymi zastępami. Mogę tylko mieć nadzieję, że IS nadal nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy gotowi.

- Wasza załoga? Zresztą, nieważne. Śpieszy nam się. Co z interfejsem SI?

Maui odparł:

- No cóż, wielu ludzi twierdziłoby, że to, czego użyjemy, będzie miało świadomość. - Umilknął na chwilę. - W gruncie rzeczy mam wielką nadzieję, że to prawda. Ale gdybyśmy zdecydowali się na żywą istotę ludzką, musiałby to być dorosły osobnik, mężczyzna albo kobieta, ktoś mogący zdecydować o tym, czy chce zostać wtajemniczony, ktoś znający

ryzyko.

- Myślę, że Akamu zdaje sobie sprawę z ryzyka - rzekła powoli Lynn. - Właśnie dlatego chciał trzymać się od ciebie z daleka, dopóki nie skończy analizy dowodów. Nie chciał, żebyś był w stanie powstrzymać ten proces. Ale ja odnoszę wrażenie, że jeśli wykorzystasz sztuczną inteligencję, to wracasz do bazy obliczeniowej - powiedziała. - Nie rozumiem tego.

- Może zrozumiesz później - powiedział. - Co z Akamu? Czy wymyśliłaś coś, co pomogłoby... ułatwić to przejście albo całkowicie je zatrzymać?

- Nie - odparła. - Właśnie przygotowywałam się do pracy nad tym, kiedy zobaczyłam tę informację o Inicjacji Nawigatora. Myślę, że już doszłam do siebie. Bierzmy się do pracy. Jeśli dzieje się z nim coś innego, to wszystkie założenia biorą w łeb.

Zmusiła nogi do marszu i kiedy pięli się do góry, kontynuowała rozmowę z Maui.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz tutaj komputer kwantowy?

Maui zatrzymał się nagle i odwrócił.

- Skąd wiesz?

Przeszła obok niego.

- Mówiłam, że musimy się śpieszyć. Nie wiedziałam. Wiem teraz. Mój ojciec mówił o tym w swojej wiadomości.

- Nie odsłuchałem tej wiadomości - powiedział Maui.

- Mówił, że komputer jest na statku, nie tutaj. Ale widzisz, oprócz nanu Akamu najwyraźniej wchłonął coś opracowanego znacznie później niż nan - coś, co mógł zdobyć tylko pod warunkiem, że kontaktowałaś się z ludźmi pracującymi nad komputerem kwantowym. A mój ojciec twierdzi, że kontaktujesz się z nimi.

- Zgadza się - powiedział Maui, mocno sapiąc za jej plecami.

- Mamy ten najnowszy prototyp od ponad roku. A niech to, Lynn, jeśli potrafisz wydedukować coś takiego, to myślę, że Akamu jest w dobrych rękach.

- Nie jestem żadnym geniuszem - odparła Lynn. - A obawiam się, że on właśnie kogoś takiego potrzebuje. Powiedział mi, że zasnął w kopule w Tybecie. Ha! Ciekawa jestem, co robił naprawdę.

Maui przyśpieszył kroku.

- W Tybecie była kopuła?

- Tak. Sattva - Dalajlama - jest fizykiem cząsteczek. Ona też ma kopułę.

- Bez żartów. - Maui milczał jakiś czas. - Sprawia wrażenie bardzo milej. Nie wymieniliśmy zbyt wielu informacji. Działaliśmy raczej w trybie awaryjnym.

- Mam nadzieję - odparła Lynn. - Ale zgadzam się z tym, co powiedziałaś. Ona jest bardzo miła.

- I chyba bardzo błyskotliwa.

- Hawkins mówił mi, że była wściekła - oczywiście na swój sposób, nie afiszowała się z tym - bo nie powiedział jej, że w kolczyku znajdowały się dowody. Zdaje się, że pracowała nad nimi całe życie.

- Naprawdę! - W jego głosie wyczuwało się spore podniecenie. - To kolejny problem. Gdyby Interspace zdobyła te chińskie dowody, i gdyby okazały się przydatne... twój ojciec zamierzał przekazać chińską wersję Dowodów Kaiulani, żeby w ten sposób nam pomóc. Naturalnie nie mieliśmy pojęcia o rzeczywistej wartości ich próby. Kalakaua dokonał licznych przeskoków logicznych i na początek zostawił coś w rodzaju rusztowania. Całkiem możliwe, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że inni nie nadążają za jego rozumowaniem. Myślę, że wydawało mu się, iż wszystko jest krystalicznie proste. Część jego matematyki jest właśnie na nowo odkrywana. Oczywiście mamy większość jego ostatecznych dowodów...

- Macie je? - zapytała zdumiona Lynn.

- Tak - odparł Maui. - Ktoś z IS wyrwał niektóre z nich; to były połówki kartek. Muszę oddać im sprawiedliwość, wydaje mi się niemożliwe, żeby ktoś mógł odtworzyć dowody na podstawie kilku wyrwanych stron i tego, co Kalakaua zostawił w sieci, ale oni bardzo się starali.

- Skoro Kalakaua był wielkim geniuszem - odezwała się Lynn - dlaczego u diabła nie sklonowaliście jego?

Maui wzruszył ramionami.

- Chyba krótkowzroczność. Przepadł, zanim uświadomiliśmy sobie, czym tak naprawdę się zajmował. Nie dzielił się tym z nikim. Lelani - jego babka - naprawdę chciała tylko kości Kamehameha i sądziła, że on wie, gdzie są. Wiedział i w końcu nam je dał. Po prostu nie mieliśmy pojęcia o wadze jego życia, jego pracy.

- Aha. A kopuła? Czy już jesteśmy blisko?

- Prawie na miejscu. Zbudowano ją jakiś czas temu. Zasadniczo umieścili istotę ludzką w środowisku, w którym jest ona poddawana ciągłej oscylacji od dziesięciu do jedenastu herców. To ma pomóc ludzkiemu umysłowi, który ma charakter nieobliczalny, w uzyskaniu połączenia ze zdarzeniami kwantowymi. Bez interfejsu rozumowania. Po prostu na poziomie wiedzy. Kiedy istoty ludzkie są w tym stanie - jeśli teoria jest poprawna - rozumieją intuicyjnie samą naturę wszechświata kwantowego. I są tego świadomi, gdy znajdują się w tym stanie. Potrafią dostrzec przejścia. To jest jak... hm, jak trzymanie kuli w rękach -

dotykasz jej, widzisz ją. Zamiast wiedzy o niej za pośrednictwem matematycznych formułek, abstrakcyjny obraz, który potrafią pojąć tylko nieliczni. Bądź cierpliwa!

- Staram się - odparła Lynn. - Sattva opowiadała mi to samo. Ale ja chcę wiedzieć, czy Akamu spędził tutaj dużo czasu, kiedy był mały.

- Ty chyba próbujesz mi wmówić przemoc wobec dziecka. Hm, jestem winny. Akamu rzeczywiście tutaj przebywał. Jak wszystkie dzieciaki. Po kilku pierwszych latach, kiedy to zaczęło się wydawać głupie, nawet ich nie pilnowano. Właśnie tak było, chociaż dzisiaj brzmi to szokująco! Mogły tu sobie przychodzić, korzystać z biofeedbacku i obserwować dzięki rezonansowi magnetycznemu to, co się dzieje z ich mózgami. Wszystkie chyba świetnie się przy tym bawiły. Ja też tego próbowałem, ale bez szczególnych efektów. To znaczy, było to odprężające, ale nie wydawało się szkodliwe i podobało się im. Więc zostawiliśmy te kopuły tutaj.

- Na ciebie nie miało to wielkiego wpływu prawdopodobnie dlatego, że twój mózg był za stary i skostniały - powiedziała Lynn.

- Pięknie dziękuję - odparł Maui.

- Ależ to prawda. Wszystkie pola i połączenia informacyjne tworzą się w trakcie pierwszych dziesięciu lat życia. A najsilniejsze powstają w okresie niemowlęcym, aż do momentu, gdy dziecko ma pięć, sześć lat. Kiedy w końcu tam dotrzemy?

- Za tym wzniesieniem - odparł.

Gwałtownie skręcili i przeszli jeszcze jakieś sto metrów. Ujrzeni fragment dachu łagodnie oświetlonej, zielonej kopuły. Z każdym krokiem było go widać więcej. Na przedzie majaczyły czarne palmy. Na małej, wysoko położonej łące padał blask księżyca. Daleko w dole fale wyglądały jak zmarszczki na jasnej, jarzącej się tafli morza.

Kiedy Lynn przebiegła przez łąkę, otworzyły się drzwi.

W drzwiach stał Akamu. Wydawało się, że błyszczy w łagodnym, złocistym świetle.

Zatrzymała się dosłownie kilka kroków od niego.

Miał na sobie tylko czarne szorty. Na jego klatce piersiowej jaśniał napis Hawai'i Loa. Na głowie spoczywał nimb z kryształów.

Obok niego znajdował się mały, podświetlony panel z napisem. Lynn odruchowo spojrzała na niego i w sekundę wchłonęła jego treść.

*

Świadomość byłaby przejawem tego kwantowo sprzężonego, wewnętrznego stanu cytoszkieletu i jego zaangażowania we wzajemne oddziaływanie (Obiektywną Redukcję) kwantowych i klasycznych poziomów aktywności.

- Penrose, 1995

Obejrzała się na Akamu. Zasmuciła się, widząc wyraźny triumf w jego oczach.

- Spóźniłaś się - oznajmił z niewzruszonym spokojem.

- Teraz nikt mnie nie powstrzyma.

Spojrzał na gwiazdy.

- W końcu jestem gotowy zabrać nas tam.

20

Maui chwycił Akamu za barki i patrzył mu w oczy długo, z powagą. Lynn miała wrażenie, że przez chwilę w oczach Maui błyszczały łzy, ale mogła się mylić. Spojrzenie Akamu było spokojne, niewzruszone. Maui wydał przeciągłe westchnienie, opuścił ręce i cofnął się o krok.

- Akamu - powiedział - nie trzeba było tego robić. - Ale w jego głosie było słycać nie tylko gniew, ale i szacunek, jak gdyby zdał sobie sprawę, że nie mówi już do dziecka.

- Stałem się tym, kim chciałem zostać - odparł łagodnie Akamu. - To jest w porządku.

- Zerknął na Lynn. - Gdybyś wiedziała, że to jest możliwe, nie zrobiłabyś tego?

- Niestety nie jestem nawet w połowie tak odważna jak ty - odparła.

- Założę się, że jesteś - rzekł z wielkim przekonaniem.

W milczeniu potrząsnęła głową i przeszła obok niego do kopuły.

- To właśnie tutaj zrobiłeś biofeedback? - zagadnęła, stając przed znajomym ekranem.

- Ta rzecz wyświetla hologram twojego mózgu, tak?

Akamu i Maui podeszli do niej i kilkakrotnie spoglądali na napis „Gotowe” na ekranie.

- Czy nie ma czegoś... - zaczął Maui zaafierowanym tonem. Najwyraźniej znowu zaczął sobie uświadamiać możliwe skutki poczynań Akamu. - Nie - odparli jednocześnie Akamu i Lynn.

Maui odwrócił się i dyskretnie opuścił kopułę.

- Zaczekaj! - krzyknęła Lynn i ruszyła za nim. Akamu złapał ją za rękę.

- Pogodzi się z tym. Daj mu spokój. Teraz nie powinnaś z nim rozmawiać. Uwierz mi. Stojąc w drzwiach, Lynn widziała, jak Maui znika w mroku nocy. Odwróciła się.

- Czy dostałeś ten bioelektryczny stymulator, kiedy byłeś w kopule Sattvy?

- To coś z węgorki? - zagadnął Akamu. Pokręcił głową.

- Mam to tutaj. Przyszło razem z prototypowym komputerem kwantowym i hełmem.

Długo rozmawiałem o tym z ludźmi w Kopenhadze. Maui nie wiedział o tym. Jest zapracowany.

- Ale sam komputer kwantowy nie wystarczył, zgadza się?

Akamu pokręcił głową.

- Muszę też zrozumieć Dowody Kaiulani. Myślałem, że bionan w Triplerze pomoże.

Chcę być dokładnie taki jak Cen Kalakaua. Pod każdym możliwym względem.

- Dlaczego miałbyś tego chcieć? Czyż w końcu nie został pijakiem, nierobem?

- Pijakiem! - Akamu rzucił jej gniewne spojrzenie. - Cen Kalakaua był najbliższym człowiekiem na całym świecie!

- Czyżby? Właśnie słyszałam...

- Słyszałaś to, co było przeznaczone dla Interspace. Ha! To chyba zadziałało, Lynn. Cen Kalakaua przeskoczył fraktala.

Lynn uświadomiła sobie, że jeszcze miesiąc temu roześmiałyby się Akamu w twarz, gdyby zrozumiała jego zapewnienie. Teraz powiedziała:

- Skąd wiecie?

- Wiemy dzięki analizie jego dowodów, oczywiście.

- To znaczy, że nikt nie widział, jak on to robił.

- Nie bezpośrednio. To było na Molokai. Zostawił Maui i Lelani - babkę Maui - i ruszył na wędrowkę, żeby zobaczyć miejsce, gdzie Kaiulani urodziła dziecko, w Międzynarodowym Parku Biosfery.

- Zaraz, zaraz - sprzeciwiła się. - Nie za bardzo się znam na historii Hawajów, ale nie sądzę, żeby Kaiulani miała jakiegoś dzieci. Czy ona nie umarła młodo, czy coś w tym stylu?

- Daj sobie spokój - powiedział Akamu. - Teraz to nieważne. Faktem jest, że pojechał w tamto miejsce i już nie wrócił.

- No i co z tego? Przecież to trudny teren, prawda? - odparowała Lynn. - Może spadł z jakiejś skały.

- Może - powiedział Akamu. - Tylko że z jego dowodów jasno wynika, że istniało okno dokładnie w tamtym czasie i miejscu. Jeszcze parę tygodni temu można było mieć wątpliwości. Ale teraz jestem tego całkowicie pewny. - Kiedy mówił te słowa, jego twarz zaróżowiła się z podniecenia.

- To dlatego nazwałeś je Dowodami Kaiulani?

- To on je tak nazwał. Ja je widziałem, Lynn - rzekł z przejęciem w głosie. - Trzymałem je w rękach. To tylko zwykły notatnik. Napisał ten tytuł na tyle okładki.

Usiadł na niskim krześle przed monitorem.

- Chodź - powiedział. - Pokażę ci, jak teraz wygląda mój mózg.

Po chwili spojrział na nią i jego oczy zapłonęły wielką radością.

- Lynn - wyszeptał. - To działa. Wszystko działa. To jest jak... jak długie ulice światła. Wiele ulic, których końca nawet nie widać. Zupełnie jak... nie wiem jak co! Ale jestem taki szczęśliwy, Lynn!

*

Kiedy wzeszło słońce, na półwyspie Kohala rozpoczęła się intensywna krzątanina - gorączkowa, ale przemyślana. Wielkie ciężarówki wzniewały tumany kurzu na starych, trzciniowych drogach. Na pasie startowym raz po raz lądowały odrzutowce - w tak małych odstępach czasu, że Lynn bała się, iż w każdej chwili może nastąpić kolizja.

Usadowiła się na skale na skraju łąki, gdzie znajdowała się kopuła. Jak okiem sięgnąć, nad oceanem przelatowały eskadry małych samolotów. Mniej więcej co piętnaście minut widziała wielką flotę ogromnych helikopterów.

Akamu spał w kopule, jego głowa spoczywała na okrągłej zabuton, jednej z poduszek używanych w medytacji Zen. Lynn była o niego dziwnie spokojna. Podjął decyzję i teraz nie można jej było odwołać. Był teraz dziwną, nową istotą. Brał los w swoje ręce bez względu na ryzyko, żeby poprowadzić ludzi do nowej ojczyzny.

Lynn wstała i przeciągnęła się. Wąski wodospad tworzył rozlewisko na skraju łąki. Podeszła do niego. Zimna mgła nasyciła powietrze i opadała na niskie wzniesienia porośnięte niecierpkami. Lynn rozebrała się i ostrożnie wspięła po śliskich skałach do miejsca, z którego zanurkowała do rozlewiska. Zaparło jej dech w piersiach. Została w wodzie tylko na chwilę. Kiedy wychodziła, zauważyła, że po jej ranie od kuli została tylko pomarszczona blizna.

Czekała na nasłonecznionej skale, dopóki nie wyschła. Następnie włożyła ubranie. Zajrzała do Akamu, ale on smacznie spał, więc odgarnęła mu włosy z czoła i zamknęła za sobą drzwi. Odwracając się, zobaczyła na ścieżce pielęgniarza, którego pamiętała z poprzedniego, chaotycznego wieczoru.

- Maui przysłał mnie, żeby zostawiał z Akamu - powiedział. - Zostawiłem swojego mopedu pod wzgórzem. Maui powiedział, że możesz z niego skorzystać, jeśli chcesz.

- Gdzie można pojechać?

Pielęgniarz popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Wszędzie! - powiedział, wymachując szeroko rękami. - Wszędzie jest cudownie. Ale trzymałbym się z dala od trzciniowych dróg. Dzisiaj przewożą duże dostawy.

Zeszła po kamienistym szlaku, który był mokry i trochę śliski.

Wydała mopedowi komendę, żeby ją zabrał do jej stacji. Miała jeszcze pracę do

wykonania.

*

Nikt nie zwracał na nią uwagi, kiedy szła korytarzami. Wszyscy dookoła zwijali się jak w ukropie.

Usiadła na swoim krześle.

Przez dwadzieścia minut zajmowała się odbitą pocztą elektroniczną. Okazało się, że jej wiadomość nadeszła z Niemiec. Wystukała kod, który tak dobrze знаła.

Po minucie na monitorze pojawiła się nieco zamglona twarz Jamesa. Kiedy ją zobaczył, wytrzeszczył oczy.

- Lynn! Gdzie jesteś? Szukaliśmy cię. Musisz szybko wracać do domu. Ojciec nie żyje.

- Wiem - powiedziała. - Właśnie w tej sprawie dzwonię.

Zmrużył oczy.

- Jak się dowiedziałeś?

- Jak zmarł, Jamesie?

Wziął głęboki oddech.

- To był zawał, Lynn. Wiesz, że ciągle mu mówiliśmy, żeby załatwił sobie nową...

- Gówno prawda! - powiedziała Lynn i walnęła pięścią w stół. Podskoczyła i nachyliła się nad ekranem. - On został zamordowany! Zabito go, Jamesie. Chcę wiedzieć, co ty i Samuel mieliście z tym wspólnego.

- Nie ma cię w Monachium - powiedział. - Gdzie jesteś?

- Może powiesz mi prawdę? - nalegała.

- A może ty mi ją powiesz? - odparował James z zawziętością. - Byłaś z nim wzmowie cały czas, nieprawdaż, ty mała...

Przerwała połączenie, wyłączyła cały system i siedziała przez kilka minut ciężko dysząc.

Potem znowu go włączyła. Zaczęła zbierać i zachowywać dane tak szybko, jak nadążały jej palce.

Co mogła zrobić jedna osoba?

Bardzo dużo.

*

Kiedy skończyła, było już prawie południe. Sen nie wchodził w grę. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak rozbudzona. A poza tym umierała z głodu.

Wstała i wsunęła do kieszeni koszuli małą, srebrzystą płytkę, którą stworzyła, po

czym skrupulatnie zapięła kieszeń. Wyrzała na korytarz, gdzie panowało jeszcze większe zamieszanie. Było oczywiste, że nikt nie ma czasu, żeby zaserwować jej dzisiaj lunch! Udała się na górę i weszła na moped.

- Chce mi się jeść - powiedziała mu. - Zabierz mnie tam, gdzie jest najbliżej. I trzymaj się z dala od trzcinowych dróg.

Komputer przetrawił jej polecenie, zapewne koncentrując się na kilku słowach kluczowych i ignorując resztę. Wreszcie odpowiedział metalicznym głosem:

- Skręć w prawo.

Moped piął się wąską drogą, która biegła obok klifu. Najwyraźniej kiedyś była to autostrada stanowa, ale teraz wyglądała okropnie. Lynn manewrowała tak, żeby nie wpadać w dziury i próbowała nie myśleć o ogarniającym ją co pewien czas strachu, gdy widziała, jak daleko w dole jest teraz ocean i jak stromy jest klif po jej prawej stronie, od którego dzielił ją zaledwie metr.

Potem skręciła za rogiem i zobaczyła podniszczony znak: „Restauracja Ono”.

Usiadła przy stoliku pod strzechą, zjadła trochę teriyaki mahi i wypła piwo. Oprócz niej był tu tylko kucharz siedzący przy sąsiednim stole i czytający gazetę.

- Leci pani? - zagadnął, kiedy wstała i odstawiła talerze na ladę.

- Tak - odparła. - Dziękuję. Smaczne było.

- Nie - powiedział. - Chodzi mi o lot. Na Hawai'i Loa.

- Dobry Boże, nie! - powiedziała. - A pan? - zagadnęła żartobliwie.

- Mam nadzieję, że tak - odparł z powagą. Wstał i pokazał jej gazetę. - Widzi pani? Jest gotowy. Jestem zdenerwowany. I podekscytowany. Z tych nerwów. - Wybuchnął drżącym śmiechem, usiadł, zmierzwił ręką włosy. - Rozglądam się dookoła i codziennie myślę o tym, jak tu jest pięknie. Ale statek też jest piękny. I to, gdzie się wybieramy i co będziemy robili, jest bardzo ważne. Ważniejsze niż to, że przebywam tutaj i przyrządzam rybę.

- Tak sędzę - rzekła.

- O, bez wątpienia! Gdzie byśmy byli, gdybyśmy zostali w Azji, co? Gdzie byłaby Ziemia, gdybyśmy wszyscy zostali tutaj? Ludziom pisane są podboje, ekspansja. Ziemia się zużywa. Niektórzy z nas muszą ją opuścić. Przeludnienie prowadzi do wojny. Do śmierci niewinnych istot.

Lynn uznała tę tezę za nadmiernie uproszczoną, ale nie chciała się spierać. Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Lynn Oshima. Jestem przyjaciółką Maui. Dopiero co tutaj

przyjechałam.

Uśmiechnął się i potrząsnął jej rękę.

- Ja nazywam się Ken. Maui to dobry człowiek.

- Więc byłeś na statku?

- O, oczywiście. Na wirtualnym statku. To coś jak bycie w rezerwie wojskowej. Musimy spędzać tyle godzin tygodniowo na statku z naszą ohana. Członkowie są z różnych krajów i mamy nieustanną rotację, więc poznaje się rozmaitych ludzi. W tym tygodniu było bardzo ciekawie - przybywa ich tu coraz więcej, a ja poznałem wiele osób, które wcześniej oglądałem tylko wirtualnie. Mamy symulacje na wypadek zagrożenia i tym podobne rzeczy. Tu jest niesamowicie. Tyle informacji, tak łatwo do nich dotrzeć. Zdumiewające ogrody - ciągną się dosłownie kilometrami. Niekończący się zapas żywności - naprawdę jak na arce. I bardzo hawajski styl. - Niski mężczyzna pokazał falujący, zielony las, który porastał górę za ich plecami.

- Zgromadziliśmy sporo ptaków z tej okolicy. Uważano je kiedyś za wymarłe. W czasach milenium wiele gatunków znajdowano w bardzo odległych biorezerwach. Ostatecznie udało nam się odtworzyć populację. Znalaziono też liczne szkielety. Niektóre z tych ptaków to był nasz pierwszy sukces, jeśli chodzi o klonowanie z kości. Tyle gatunków ptaków nietotów, roślin, które utraciły swoje kolce - tak bezbronne miejsce! To najbardziej odizolowana kraina na całej kuli ziemskiej. Bez drapieżników, bez chorób. - Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Przepraszam. Mam nadzieję, że cię nie zanudzam. Jestem ornitologiem. Właśnie dzięki temu załapałem się na statek. Zastanawiałem się nad tym, co dokładnie zabrać. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej wspaniałego, ale i przerażającego? Ale czasami - zatoczył ręką wielki łuk, który objął klify, morze, wioskę w oddali - pragnę tylko zostać tutaj do końca swojego życia. - Znowu się roześmiał. - Jest wielu takich, którzy chętnie zajęliby moje miejsce! Prawdę mówiąc, cały czas przybywają. Od tygodnia, z całego świata.

Opuściwszy specja od ptaków, Lynn cicho jechała przez ciemnozielone dróżki, które ozdabiały cętkowane słońcem winorośle. Sunęła wzdłuż fasady klifu wąską, porytą koleinami drogą, która nie łączyła się z resztą wyspy. Kiedy udało jej się sformułować pytanie, moped powiedział jej, że ponieważ Kohala jest uznawany przez społeczność międzynarodową za odrębną jednostkę polityczną, nie musieli postępować zgodnie z prawem emigracyjnym USA, a przyjazdy i wyjazdy nie były rejestrowane przez amerykański rząd.

Daleko w dole zielone i złociste cyple zapuszczały się niby palce w ocean, oddzielone małymi zatoczkami, niedostępnymi od lądu ze względu na zdradzieckie klify. W pobliżu wyrzutni została zawrócona przez strażników Interspace, którzy powiedzieli jej, że to

własność prywatna. Jeden z nich obserwował półwysep potężnym teleskopem, który zapewne tłumaczył informacje na kilka różnych mediów nadawczych. Zastanawiała się, co myślą o całym tym zamieszaniu. Zawróciła mopedą.

Zjeżdżała w dół, rozkoszując się złocistym popołudniem. Morze przy brzegu było akwamarynowe, a rafy - doskonale widoczne dzięki krystalicznie czystej wodzie. Białe mewy nerwowo latały wokół wysepek w pobliżu brzegu, łapiąc słońce. Pojechała na skróty z powrotem do wioski, korzystając z rady mopedą, który powiedział jej, raczej tonem przygany, że ma akurat tyle energii elektrycznej, ile trzeba.

Wjechała z powrotem w cały ten zgiełk. Wcale nie zmałał, wręcz przybrał na sile.

Pojazdy poruszały się tam i z powrotem, w zawrotnym tempie. Terminale komputerowe dosłownie wyrastały z ziemi, na grubych kolumnach, całkowicie wodoodporne. Ujrzała kobietę, która naciskała jeden z nich ręką i zapewne właśnie otrzymała zlecenie, gdyż natychmiast oddaliła się stanowczym krokiem.

Lynn nie była pewna, dokąd pójść. Po chwili zobaczyła pawilon z czerwonym dachem i kilkunastoma stolikami - na jednym z nich stał Akamu i machał do niej.

Moped potoczył się ku niemu niechętnie, napełniając powietrze gniewnymi komunikatami.

- Lynn! - zawołał Akamu, kiedy się zbliżyła. - Lynn, wylatujemy! I to natychmiast.

- Co? - zapytała, zatrzymując mopedą. - Ty chyba nie mówisz... nie masz na myśli statku?

- Ależ tak - odparł ze śmiechem, a ona poczuła mrok w sercu. Już nie będzie Akamu.

- Nie możesz lecieć! - wyrwało jej się, chociaż wiedziała, że on musi polecieć.

- Lynn - rzekł łagodnie, jak gdyby był o wiele starszy i mądrzejszy od niej. - Ja po to się urodziłem. Czuję się teraz cudownie. To chyba jedyne miejsce, gdzie mogę naprawdę żyć w zgodzie z sobą. Na statku. Ten statek jest stworzony dla mnie - albo takich jak ja - żebym mógł z nim się połączyć.

- Wiem - oznajmiła bez entuzjazmu.

Zobaczyła, że Maui wchodzi na wzgórze. Pomachał, ale ona nie odwzajemniła tego gestu. Była zbyt przygnębiona. Wszystkim. Tak szybko! Pomyślała o płytce w kieszeni. Kiedy oni odlecą, przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie.

Maui wydawał się spięty, a przy tym wyciszony. Czujny, świadomy i kompetentny, jakby trzymał w ręku jednocześnie wiele nitki i był gotowy w razie potrzeby utkać je na zawołanie.

- Lynn - powiedział. - Właśnie szykowałem się do przekazania wiadomości temu

mopedowi. Cieszę się, że wróciłaś. Nie sądziłem, że nie będzie ciebie tak długo! Dziś rano przesłaliśmy Sattvie naszą część dowodów. - Z jego głosu przebijało ogromne podniecenie.

- Przesłaliście je siecią? Myślałam, że to jest ściśle tajne i w ogóle.

- Nie uwierzyłabyś, jakich ona ma tam ludzi. Ich kodowanie zmienia się co sekundę. Każda porcja informacji była zakodowana w całkowicie innym systemie. W tej fazie warto próbować. - Wyglądał jak gorliwy chłopiec, a nie mężczyzna w średnim wieku.

- Mam nadzieję, że to robią - stwierdził Akamu. - Tylu ich jest. Ja jestem tylko jeden. Myślę, że osiągnąłem granice swoich możliwości. Muszę tylko być w stanie to zrozumieć.

Maui odparł:

- Interspace szykuje się do wysłania własnej załogi, Lynn. Właściwie to oni przygotowują się do odlotu. Po nic. Stwarzają pozory, że ustalili jakieś docelowe miejsce, ale to nieprawda. Po prostu nie są gotowi. Ale boją się nas. Odkąd twój ojciec... no cóż, z pewnością podejrzewają, że wkrótce zdecydujemy się na jakiś manewr.

Zmrużył oczy i zerknął na niebo.

- Ale nie wiedzą jak i kiedy. Być może wiedzą jednak, co to będzie. Dlatego musimy jak najszybciej się stąd wydostać. Pierwszy helikopter wyrusza na prom za około dziesięć minut. Mamy do zabrania pięć tysięcy członków załogi.

- Pięć tysięcy?

- Prom jest w stanie tyle udźwignąć. Ten na Oahu zabierał znacznie cięższe ładunki na potrzeby budowy. Mamy całkiem wyrafinowane mechanizmy ochronne, a także działaczy Ruchu Ojczyźnianego na licznych istotnych stanowiskach na całym świecie. Oni zapobiegają wszelkim możliwym atakom nuklearnym, chociaż moim zdaniem są one mało prawdopodobne. Kiedy zadokujemy, na miejscu nie będzie nikogo zdolnego do oporu - głównie będą to ludzie z ekipy konserwacyjnej.

- Oni na pewno wiedzą, że się szykujesz, Maui - powiedziała. - Ci strażnicy na promie.

Maui zaśmiał się krótko.

- Można by nazwać ich podwójnymi agentami. Oni są z nami. Wysyłają fałszywe raporty do satelitów szpiegowskich. Ludzie na stanowisku Kailua-Kona, gdzie wsiądziemy na prom, też są z nami. Nie zostawiliśmy niczego przypadkowi. Mamy plan. Członkowie Interspace właściwie go nie mają. I zamierzają poświęcić tylu ludzi. Sądzę, że po prostu chcą się ich pozbyć, obiecując im ostateczny przełom. Mogą przespać swoją drogę do wieczności. Bez tego przełomu znajdą się na skraju nicości wraz ze swoimi klonami i bankami informacji i na zawsze pozostaną statkiem szaleńców.

- Nie mają mnie - odezwał się Akamu.

- Zgadza się - potwierdził Maui. - Bez dokładnej informacji o naturze czasoprzestrzeni nigdy, przenigdy nie dotrą do środowiska, w którym da się żyć. Po prostu wszystko na to wskazuje. A nawet gdybyśmy zdobyli wszystkie te informacje i przesłali je ludziom z Interspace, nie mieliby pilota. Ale my jesteśmy gotowi. Dokładnie wiemy, jak prowadzić ten statek. Uczestnicy szkoleń robili to dosłownie od lat. My potrzebujemy tylko tej kluczowej informacji o tym, dokąd polecieć i jak się tam dostać. Lynn, jesteśmy gotowi przejąć statek! - zawołał z zapalem.

- Tak - odparła. - Brzmi to całkiem łatwo.

- Przekonasz się - powiedział. - Jeszcze nie jesteśmy całkowicie gotowi do lotu. Na razie. Do pilotowania statku, kiedy już dotrzemy na miejsce. Ale Sattva była zdumiona, gdyż otrzymała wszystkie dowody Cena, oprócz wydartych kartek. Powiedziała, że to jest jak sen.

- Tak, nie powinno jej zająć dużo czasu rozgryzienie wszystkiego - odparła Lynn bardzo suchym tonem. - Godzinę, może dwie.

- Myślę, że jest w stanie to zrobić - stwierdził Akamu. - Widziałem dużo z tego, co już zrobiono. Tam jest wielu inteligentnych ludzi, Lynn.

Maui obrócił się i spojrział na ocean, trzymając ręce na biodrach. Westchnął.

- Ale kiedy już się tam znajdziemy, na statku, nie wiadomo, co się może zdarzyć. Świat nie będzie nam zbyt przychylny, kiedy się dowie, że go ukradliśmy, zwłaszcza jeśli Interspace podniesie wojenne larum. Trzeba jakoś podciąć im nogi. Będziemy łatwym celem przez co najmniej jeden, dwa dni, dlatego trzeba się zająć wieloma szczegółami technicznymi. Nie chcemy krwawej łaźni. Na pewno wyślą żołnierzy, żeby się nas pozbyć, chyba że wyjaśnimy nasze stanowisko i naszą motywację na arenie międzynarodowej. I to szybko. - Chrząknął. - Twój ojciec zamierzał przekazać światu nasz punkt widzenia, ale...

Włożył ręce do kieszeni i, cały czas odwrócony do nich plecami, przyglądał się fioletowej Haleakala na drugim brzegu wąskiego kanału.

Lynn coś sobie uświadomiła.

Jednak przez chwilę nie odzywała się ani słowem.

Miała wizję ziemi, pięknej, zielonej planety. Swojego domu.

Tylko tutaj mogła odbyć pielgrzymkę do tego klasztoru w Kambodży, zakurczonym, nasłonecznionym szlakiem, prowadzącym przez okolony winoroślami las do miejsca, w którym mogłaby się dowiedzieć, kim naprawdę jest.

Ale może musiała się tego dowiedzieć znacznie wcześniej.

Na przykład w tej chwili.

Zamęt ostatniego miesiąca silnie na nią wpłynął, zmuszał do postawienia pytania: co może zrobić jedna osoba?

Wreszcie uzyskała odpowiedź. Odpowiedź zaglądała jej w twarz. To proste. Oderwij się od wszystkiego, co kiedykolwiek poznałaś.

Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego teraz, to bez względu na to, ile lat będzie żyła, gdzie i jak, nic jej nie ocali.

Ale to było tak cholernie trudne. Na samą myśl o takim posunięciu jej gardło ścisnął klaustrofobiczny lęk.

Zerknęła na Akamu. Patrzył na nią wyczekująco.

Wrobili mnie, pomyślała.

Nie szkodzi. Głęboko odetchnęła. Maui odwrócił się do niej.

- Myślę, że mogę wam pomóc.

Ku jej zdumieniu Maui zrobił krok do przodu i przez chwilę mocno ją przytulał, potem cofnął się i, wciąż trzymając ją za ramiona, zwrócił ku niej uszczęśliwioną twarz.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

- Wiem - odparła.

*

Za pomocą wielkich helikopterów dotarli do Kona.

- Zobaczysz - powiedział Akamu, ściskając rękę Lynn tak mocno, że miała wrażenie, iż za chwilę ją złamie. - Na tym statku jest piękny przedział tylko dla ciebie! Maui pokazał mi go dzisiaj rano za pośrednictwem WR. - Musiał wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć ogólny harmider.

- Nie wątpię, że to zrobił - mruknęła pod nosem.

Nie miała zbyt dużo czasu, żeby przemyśleć swoją decyzję.

Ale czuła, że postępuje słusznie. Trudno jej było stale wyprzedzać o krok tych, którzy chcieli ją wyciszyć. To był najlepszy sposób, żeby zyskać efektywne forum.

I była całkiem pewna, że „jej” przedział miał pierwotnie należeć do jej ojca.

Ta myśl ją uspokajała.

O dziwo, kiedy zatoczyli krąg nad górą i wylądowali, było tak, jak mówił Maui. Podwójni agenci strażnicy Interspace kazali im szybko iść do magleva długimi ruchomymi schodami, które przyprowadziły Lynn o klaustrofobię. Maui nie było z nim, lecz Lynn domyślała się, że cała operacja była planowana od wieków, gdyż wszyscy jeden po drugim siadali na wyznaczonych miejscach szepcząc z przejęciem i ze strachu wydzielając pot, który Lynn wyczuwała mimo klimatyzacji. Doprawdy, w każdej chwili mogli zostać wysadzeni w

powietrze.

Ale może Interspace nie planowała czegoś tak zuchwałego, pomimo iż miała dowody pod nosem. Lynn uśmiechnęła się na wspomnienie licznych imprez, w których uczestniczyła, gdzie RO był obiektem zabawnych dowcipów. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, pomyślała, gdy tymczasem Akamu cierpliwie ją przypinał i zapytał:

- Co jest nie w porządku, Lynn? Nie musisz się tak strasznie denerwować.

Zemdlała, gdy podnieśli się gwałtownie. Miała okropne nudności przez resztę podróży. Akamu od czasu do czasu z niepokojem ścisnął jej rękę i mówił:

- Nie martw się, Lynn. Jak już dotrzemy na miejsce, poczujesz się lepiej.

To jest szalone, myślała, zwyczajnie w świecie szalone.

21

Lynn zerknęła na prompter, który był gotowy do drogi. Udało się wynegocjować łącze satelitarne i spędziła sporo czasu zbierając dodatkowe informacje. W każdym razie starczyło ich, żeby odesłać do diabła kadrę kierowniczą Interspace na kilka tysięcy lat.

Było tak, jak mówił Akamu. Statek był piękny.

Załoga zadomowiła się tu natychmiast, przechodząc na właściwe stanowiska. Maui powiedział Interspace, że w razie gróźb statek odleci niezwłocznie. Wszystko było gotowe do tej procedury.

Z wyjątkiem dowodów. O czym Maui im nie powiedział.

Lynn przebywała tu jeszcze zbyt krótko, żeby zwiedzić cały statek. To zajęłoby jej kilka miesięcy. Ale zobaczyła śliczny, mały apartament oznaczony jej imieniem i właśnie tam zajmowała się zbieraniem informacji. To, że na pokładzie statku zreplikowano wszelkie informacje z Ziemi, było niesamowite, ale możliwe dzięki kompresji danych, backupom i plikom zastępczym.

Może Maui miał rację. Nadeszła właściwa pora. Technologia i tak była tutaj. I całkowicie wierzył w swój nowy/stary system społeczny. Może to zadziała.

Według Maui mieli podróżować najwyżej dwa lata.

- Pomysł jest taki - powiedział, siadając na krzesło obok niej - że będziemy daleko w przyszłości. Tak daleko, że zrozumiemy materię egzotyczną i przynajmniej wyślemy wiadomości z powrotem na Ziemię. Możemy im powiedzieć, gdzie jesteśmy, jak się tam dostaliśmy, jeśli tak postanowimy. To część umowy, którą właśnie z nimi zawieram.

Lynn spoglądała na mrugające czerwone światło, które w pewnym momencie zrobiło

się żółte i jakiś głos powiedział: „Trzydzieści sekund”.

Nacisnęła klawisz i na ekranie wyświetliły się punkty, którymi miała się zająć. Popatrzyła na siebie na monitorze.

Czy to była ona? Ta chuda kobieta o bladej twarzy i potarganych czarnych włosach? Telewizja na całym świecie będzie ją pokazywała w takim stanie? Uświadomiła to sobie dopiero w tej sekundzie, lecz już w następnej musiała być gotowa do wygłoszenia oracji.

*

Wkrótce po jej przemówieniu Interspace zrzekła się wszelkich roszczeń do nowo nazwanego Hawai'i Loa.

Sattva przesłała im skończone dowody dwa dni później wraz z listem gratulacyjnym, który zawierał podziękowania za to, że jej grupa miała sposobność ukończyć jeden z najważniejszych dowodów w historii matematyki.

Dowody zostały przetransferowane do komputera kwantowego i Akamu uważnie je studiował. Podniecenie, które ogarnęło załogę, rosło z każdą godziną.

Lynn była zdumiona, że czuje się taka wolna.

Żałowała tylko, że zostawiła Nanę. Gdzieś za skłębionymi chmurami była wysepka, a na Nuuanu Avenue w małym drewnianym domu mieszkała zgryźliwa stara kobieta, która właśnie straciła swojego syna, a teraz miała utracić jeszcze wnuczkę.

Lynn zadzwoniła do Nany i kiedy rozmawiały, wyobrażała ją sobie siedzącą na specjalnym fotelu, z którego korzystała w korytarzu, tylko kiedy ktoś dzwonił. Użyła przestarzałego telefonu komórkowego bez funkcji wideo.

- Lecę w kosmos, Nana - powiedziała.

- Czyżby to miejsce ci nie odpowiadało? - Głos Nany zdradzał najwyższą irytację, a także urazę. - Najpierw wyjechałaś, o niczym mi nie mówiąc. Tak się martwiłam. A teraz... Zawsze mówiłam, że głupia z ciebie dziewczyna. - Nagle zaczęła mówić błagalnym tonem i Lynn boleśnie odczuwała głębokie osamotnienie starej kobiety. - Mam teraz tylko ciebie. Proszę cię, pisz do mnie!

- Nana, nie mogę do ciebie pisać z miejsca, do którego się wybieram - odparła, czując się podle. - Ale będę o tobie myślała.

Akamu, przejęty nowym celem, w ciągu kilku ostatnich dni przed odlotem zdawał się dojrzewać na jej oczach. Czekali tak długo tylko na Akamu oraz na moment, w którym statek przejdzie ostatnie etapy inicjalizacji.

Podczas ceremonii pożegnalnej Maui zdjął z szyi Hawai'i Loa i położył go na miejscu na swojej konsoli. Lynn wiedziała już, że Hawai'i Loa należący do Akamu był kopią

zapasową. Lynn była przy jej tworzeniu, podobnie jak Akamu.

Wszyscy na statku stali, czekali, oglądali film wideo z atriów, mostów i sal zebrania.

Maui wsunął panel i po chwili powiedział trochę drżącym głosem:

- Inicjuj interfejs SI.

Nastąpił moment ciszy. Ręka Maui spoczywająca na panelu dygotała.

A potem powietrze wypełnił melodyjny, łagodny głos kobiecy.

- Witam - powiedziała. - Nazywam się Lelani. - Po dłuższej przerwie odezwała się znowu i tym razem z jej głosu przebijał zachwyt. - Zdaje mi się, że... to zadziałało.